

FELIKS W.

KRES

SZERŃ

I SZERER

ZIMA

PRZED

BURZĄ

KSIĘGA

CAŁOŚCI

TOM II



F E L I K S W.

K R E S

S Z E R Ń
I S Z E R E R

K S I Ę G A
C A Ł O Ś C I

T O M II

ILUSTRACJE
PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI

fabryka słów®

WARSZAWA

KSIĘGA CAŁOŚCI

1. Północna Granica
2. Król Bezmiarów
3. Grombelardzka legenda. Serce Gór
4. Grombelardzka legenda. Wstęgi Aleru
5. Pani Dobrego Znak. Wieczny pokój
6. Pani Dobrego Znak. Wieczne Cesarstwo
7. Porzucone królestwo
8. Żeglarze i jeźdźcy
9. Tarcza Szerni
10. Najstarsza z Potęg
11. Szerń i Szerer: Zima przed burzą

Spis treści

Karta tytułowa

Księga całości

Część pierwsza. Zima przed burzą

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Część druga. Tor i Rewin

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

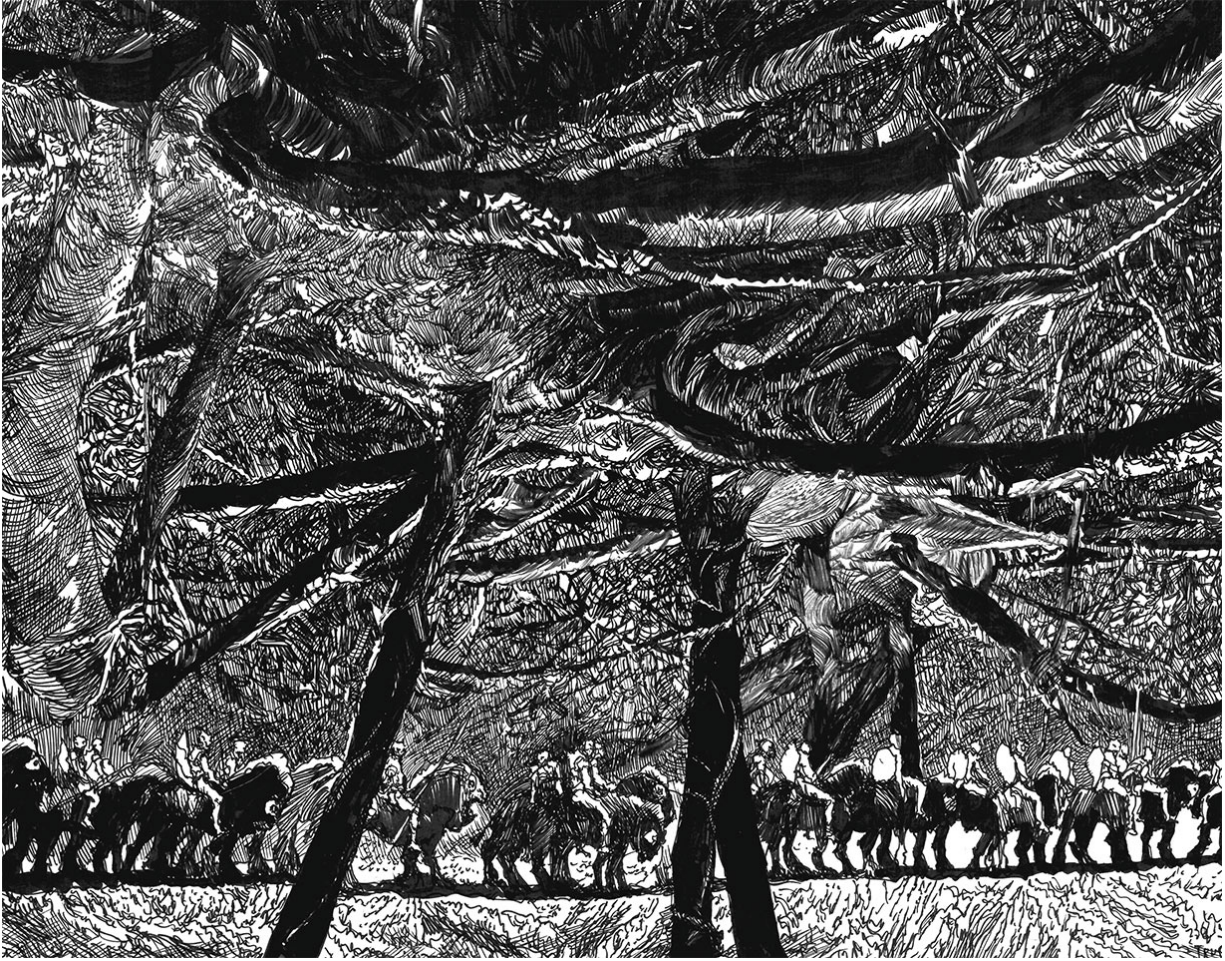
Rozdział 11

Rozdział 12

Mapa

Karta redakcyjna

Okładka





Część pierwsza

Zima przed burzą

PROLOG



Niewysokie wzgórza pokryte były lasem – albo może czymś, co oglądane z góry, mogło przywodzić na myśl las. Zamiast drzew ponad ziemią rozpościerało się tylko jedno monstrualne pnącze o stu grubych, wijących się pniach, z których wyrastały tysiące mniejszych odgałęzień. Konary plątały się, krzyżowały, drobne gałęzie oplatały większe. Wszystko to, pokryte bujnym listowiem, tworzyło gigantyczny organizm. Dopiero niżej, pod brzuchem tej porażającej ogromem rośliny, krzewiło się inne życie. Między wczepionymi w grunt pękami grubych jak wieże korzeni rozciągał się istny labirynt, skryty w wiecznym półmroku – niezliczone sztychy światła przebijały zielony dach tego świata, ale to nie wystarczało, by uczynić go jasnym. Niewielkie zagajniki rosły blisko siebie, rozdzielone połaciami pustej przestrzeni. Grunt porośnięty był dziwnym mchem, brunatnozielonym kożuchem. Pofałdowany, zgrubiały, tu i tam zapewne okrywał skały, a może to były szczątki roślin lub wielkich zwierząt – obumarłe konary, połamane pnie, szkielety... Kożuch wygładzał i zacierał kontury.

Zagajniki i laski, poprzebijane na wylot korzeniami Nadrośliny, zbite w cierniste gąszcz, tak zwarte, że nie przedostałby się przez nie nawet kot, wydawały się istnymi fortecami – wyrąbanie drogi przez ten zdrewniały gąszcz było chyba niepodobieństwem. Kolczaste łodygi na obrzeżach nie tkwiły wcale w gruncie, bo mogłyby zostać odcięte lub

odgryzione u korzeni. Uczepione rosnących daleko w głębi drzewokrzewów, czerpały z nich soki, broniąc w zamian przed intruzami z zewnątrz, ku którym wystawiały szybko odrastające, cierniste szpony. Ze środka opancerzonych zagajników strzelały ku górze pęki łodyg, wbijających się w brzuch Nadrośliny. Bronione u korzeni przez kolczaste chaszczki, łodygi twardniały i rozginały się na boki, otwierając szczeliny w skłębionym gąszczu powyżej. Po grzbietach zagajników pełzły plamy światła, prowokując ruch liści, czy też raczej czegoś, co przypominało liście. Gdy słońce odchodziło lub zniknęło, mięsiste płaty natychmiast uciekały, cofając się pod opiekę chaszczki.

Zagajniki były więc naprawdę fortecami, których załogi naprawiały swoje mury – one zaś służyły w zamian obroną.

Gdzieś daleko w półmroku rozbrzmiał tętent. Potężniał i narastał, grunt zaczął dygotać od uderzeń ciężkich nóg. Przemknęło w głębi, między korzeniami-wieżami coś wielkiego, roztopionego w wiecznym cieniu, i zniknęło w labiryncie zagajników. Tętent oddalał się szybko, wreszcie ucichł.

Cisza.

Dopiero gdy wróciła po galopie, dało się ocenić, jak jest bezmierna i głęboka. Nigdzie tutaj nie szumiał wiatr – do wtargnięcia pod brzuch Nadrośliny potrzebny byłby wichur, bo zwykle podmuchy mogły tylko gładzić jej grzbiet. Nie śpiewały ptaki, nawet nie brzęczały owady. Nie było żadnych odgłosów kojarzących się ze zwykłym lasem.

Wysoko, bardzo wysoko na zboczu jednego ze wzniesień, blisko kopulastego szczytu, skłębione cielsko Nadrośliny zdawało się leżeć na ziemi. Wzniesiono tam płot, a raczej mur obronny, spleciony z twardych jak żelazo, kolczastych łodyg. Wielki pierścień, obejmujący znaczny obszar, opasujący szczyt wzgórza niczym ciernisty diadem. Wewnątrz pierwszego

pierścienia znajdował się drugi, mniejszy, obejmujący opiekuńczym kręgiem chaty-ziemianki – dziwne siedliska, częściowo wydrążone w ziemi, częściowo zadaszone. Krzątało się między nimi mnóstwo dwunożnych sylwetek. Była to siedziba rozumnych istot, zwanych za granicą Srebrnym Plemieniem.

Zielony dach nad osadą mocno podziurawiono, przerzedzono konary i listowie, by przepuszczały więcej słonecznego światła. Było niezbędne roślinom uprawianym na poletkach między zewnętrznym a wewnętrznym murem. Te najbardziej wymagające, ale i wartościowe, przeniesiono tutaj z innego świata. Nie wszystkie chciały rosnać pod Wstęgami Aleru, lecz niektóre tak. Najlepiej przyjmowały się rośliny strączkowe, którym było chyba wszystko jedno, jaka Potęga się rozpościera nad kopułą nieba. Wystarczała im ziemia, woda i światło.

Przywiedziono stado zwierząt. Może lepiej: tabun, były to bowiem wierzchowce. Chudzi, poruszający się podrygującym krokiem jeźdźcy podchodzili do stworzeń i wskakiwali na ich grzbiety; trudno to było nazwać dosiadaniami. *Fehstsfht* – tak określano zwierzęta. Niemożliwe do wymówienia przez człowieka słowo po drugiej stronie granicy zostało zastąpione przez „wehfet”.

Do jazdy na wehfetach nie używano siodeł, cała uprzęż składała się z obroży na szyi wierzchowca, zaopatrzonej w rzemienną pętlę, którą jeździec oplatał nadgarstek. Ponadto od obroży wzdłuż grzbietu biegł skórzany pas, przymocowany dalej do czegoś w rodzaju popręgu – ten popręg opinał tułów zwierzęcia blisko zadnich nóg. Do grzbietowego pasa przywiązywano bądź przypinano specjalnymi kościanymi klamrami wszelkie pakunki i broń.

Oddział wojowników sposobił się do wymarszu z wioski.

Wszyscy byli świetnie uzbrojeni: każdy nosił zbroję drewnianą, a może raczej korową, przywodzącą na myśl skorupę żółwia, ale tylko rysunkiem, bo była to giętka skorupa – dość regularne czworokątne płytki nie zachodziły na siebie, zbroję dało się zginać na ich stykach. Na plecach wojownicy nosili bajecznie kolorowe tarcze, rzemienie zaś podtrzymywały pokrowce z łukami i strzałami. Ponadto każdy członek oddziału miał włócznię zakończoną kamiennym grotem lub utwardzoną w ogniu, a niektórzy jeszcze prawdziwe żelazne miecze, zdobyte pod obcym niebem.

Otwarto bramę w mniejszym murze, potem drugą w zewnętrznym – ta była zamaskowana. Kilkunastu wojowników w luźnym szyku zjechało ze wzgórza.

Najpierw przemierzali otwarty, prawie pustynny obszar. W półmroku pod nogami wierzchowców ścieliła się tylko szorstka trawa. Wkrótce zastąpił ją brunatnozielony kozuch. Srebrne Plemiona miały wiele słów na określenie tego żywego kobierca, ale najczęściej padała nazwa, którą można by wyłożyć jako: Mchokrywa.

Po pewnym czasie niżej zaczęły się pojawiać pierwsze kolczaste zagajniki. Jeźdźcy mijali je obojętnie, jednak w dość znacznej odległości, jakby bojąc się, że zdrewniałe szpony porwą każdego, kto znajdzie się w ich zasięgu.

Las gęstniał. Zagajniki były coraz większe, szerzej rozpostarte. Kurczyły się otwarte przestrzenie między nimi; u schyłku dnia jeźdźcy z dużym trudem wyszukali miejsce dość obszerne, by dało się rozbić obóz, a może raczej tylko rozłożyć się na nocleg. Nie stawiano żadnych namiotów i nie palono ognisk. Puszczone wolno zwierzęta otrzymały paszę, sypaną wprost na ziemię z dużych worków – były to nieco przywiedle, wachlarzowate liście, uczepione delikatnych gałązek. Podobne rośliny tuliły się do niektórych mijanych po drodze kolczastych

zagajników, a wehfety na ich widok pomrukiwały znacząco, lecz jeźdźcy nie chcieli tracić czasu.

Mimo nadchodzącego mroku – a może właśnie dzięki jego nadejściu? – wokół obozu nie wystawiono żadnych wart. Nastroje w grupie wojowników znacznie się poprawiły. Cokolwiek zagrażało tym zbrojnym, w czasie podróży czujnie przepatrującym okolicę, na pewno nie mogło nadejść w nocy. Nieprzeniknione ciemności pod brzuchem Nadrośliny, której cielsko nie pozwalało dojrzeć gwiazd ani księżyca, były chyba opiekuńcze i przyjazne.

Z nastaniem dnia ruszono w dalszą drogę, wciąż rażno i bez obaw. Tym razem pozwolono wehfetom posilić się delikatnymi roślinami, które jasnozielonym kręgiem otaczały bury zagajnik. Wielkie ożywienie wywołał odkryty nieopodal brązowy krąg na ziemi. Szeroką na kilka kroków przestrzeń pokrywał zwyrodniały, stwardniały mech, zupełnie już niepodobny do Mchokrywy, chyba chory, przypominający najprędzej korę jakiegoś drzewa. Wycięto krąg w całości, oczyszczono, ze znanstwem podzielono na kilka mniejszych części i objuczono wehfety. Wojownicy zyskali bezcenny, rzadko występujący materiał na zbroje. Była to zdobycz warta nawet znacznej zwłoki w podróży.

Ruszono dalej. Lecz po pewnym czasie ścieśniono szyk marszowy, a pojedynczy jeźdźcy oddalili się na cztery strony świata, postępując wraz z grupą główną, lecz wyraźnie ją ubezpieczając wszędzie tam, gdzie było to możliwe, bo teren nie ułatwiał zadania. O tej porze wróg już chyba nie spał i mógł się pojawić zewsząd.

Podróż wiodła przez prawdziwy labirynt, wąskie przejścia między kłębami zagajników rzadko miały szerokość stu kroków. Klucząc, krążąc, czasem niemal zawracając, bo tak

wiodła jedyna droga, wojownicy tracili bardzo dużo czasu; w linii prostej niewiele posunęli się naprzód.

Monotonny marsz najbardziej dał się we znaki starcowi jadącemu w samym środku grupy. Nie narzekał, lecz dało się zgadnąć, że grzbiet wehfeta to już nie jest miejsce dla niego. Był jedynym jeźdźcem, który nie dźwigał żadnej broni, zwierzę zaś, którego dosiadał, dobrano chyba specjalnie: wierzchowiec wydawał się wyraźnie spokojniejszy i lepiej ułożony niż wszystkie pozostałe, nader często przywoływane do porządku przez swoich panów. Wehfety szybko się nudziły monotonną jazdą w grupie, lubiły nagle pobiec w lewo albo w prawo, jeszcze chętniej zaś skubnąć zębami zad lub bok pobratymca. Zdarzały się pojedynki naprawdę groźne dla jeźdźców, z trudem poskramiających zadziorne zwierzęta.

Po drugiej stronie granicy, gdzie wyprawiano się czasem dla zdobycia cennych przedmiotów, wehfety łagodniały. Zawsze trudniejsze w prowadzeniu od szerserskich koni, pod niebem Szerni traciły jednak sporo animuszu. Było to pożądane tak podczas przemarszów, jak i w bitwie. Waleczność zwierzęcia byłaby zaletą, gdyby szła w parze z posłuszeństwem – ale nie szła.

Tutaj, pod ogromnym cielskiem Nadrośliny, zdarzało się wcale nierzadko, że rudy hests, najgroźniejszy i właściwie jedyny wróg srebrnego wojownika, miał się z pyszna, powalony potężnymi ciosami przednich łap wehfeta, który zazwyczaj uciekał – lecz postawiony w sytuacji bez wyjścia stawiał rozpaczliwy i nierzadko skuteczny opór. Srebrni wojownicy z hestsami walczyli wyłącznie pieszo, bo wehfety w takim starciu bywały nieobliczalne. Puszczone wolno, mogły się obronić, a nawet dać wsparcie swoim panom. Obciążone jeźdźcami nie umiały uciec ani skutecznie walczyć, próbowały

zaś robić jedno albo drugie, utrudniając lub nawet uniemożliwiając walkę wojownikom.

Kolejny całodzienny przemarsz nie zakończył się biwakiem jak poprzedni. Niezbyt szybkie, lecz szalenie wytrzymałe wierzchowce mogły iść przez wiele dni bez przerwy – zarówno one, jak i wojownicy potrafili odpoczywać w marszu. W tym świecie nic nie spało tak jak istoty pod niebem Szerni. Niektóre zmysły czuwały, inne były odłączane, a raczej tylko wytłumiane kolejno, bo alerski półsen mógł być głęboki lub płytszy. Myśli spowalniały bieg; rozmowa była prawie niemożliwa, poruszenia wolniejsze i mniej dokładne niż na jawie – niemniej prowadzenie wehfeta śladem wiodącego oddział, nieśpiącego przewodnika nie nastęczało trudności. Tak samo półczuwały wierzchowce, świetnie widzące w mroku.

Oddział zatrzymał się dopiero następnego dnia po południu. Z myślą o wehfetach wybrano miejsce w pobliżu dużego skupiska jasnozielonych roślin. Rozbito obóz, rozpakowano więcej juków niż na poprzednim biwaku. Chyba planowano obozować tu dłużej. Wierzchowce napojono w pobliskim strumieniu, który na długości kilkunastu kroków wyłaniał się spod Mchokrywy, by zaraz znów pod nią uciec. Posilili się także jeźdźcy.

Wkrótce podjęto marsz, już pieszo. W obozie zostało kilku strażników.

Wieżowe korzenie Nadrośliny wbijały się w grunt. Wojownicy wybrali jeden – najpotężniejszy ze wszystkich, gruzłowaty, spękany, pełen uchwytów dla dłoni, a nawet gigantycznych pęknięć i szczelin, z których można było korzystać niczym z górskich ścieżek. Z niezwykłą sprawnością piełi się w górę, czasem tylko pomagając najstarszemu towarzyszowi, który też radził sobie nadzwyczaj dobrze, ale już nie potrafił przeskoczyć na odległy o dziesięć kroków występ.

Niemniej okazało się wkrótce, że wciąż umie biegać: przemierzył w ten sposób wyjątkowo równy odcinek „ścieżki” i nabrawszy rozpędu, przeskoczył do następnej szczeliny. Bez rozbiegu wykonać takiego skoku już nie potrafił, ale po nabraniu szybkości owszem. Byłby to wyczyn trudny albo wprost niemożliwy nawet dla młodego i sprawnego człowieka.

Lecz shehi – bo tak o sobie mówili wojownicy Srebrnych Plemion – nie byli przecież ludźmi.

Brzuch Nadrośliny w wielu miejscach zwieszał się nisko, gdzie indziej uciekał do góry. Tutaj trwał na średniej wysokości; gdyby dało się iść ku niemu przez powietrze, wystarczyłoby czterdzieści kroków.

Oglądana z bliska Nadroślina wcale nie była zwartym kłębem. Jej szerokie ramiona tworzyły sieć podniebnych traktów. Jeśli szczeliny w wieżowym korzeniu podobne były nieco do górskich żlebów, to obrosnięte mniejszymi gałęziami konary przywodziły na myśl rzadko uczęszczane leśne ścieżki. Drogę torowali zmieniający się wojownicy z żelaznymi toporami i mieczami. Wszędzie dałoby się przejść bez wycinania zagradzających drogę gałęzi, ale w niektórych miejscach byłoby to połączone z ryzykiem lub znaczną stratą czasu. Właśnie wtedy używano zdobycznej żelaznej broni.

Wkrótce zresztą zaniechano wyrąbywania drogi. Odcięte gałęzie i liście spadały w dół, a uderzeniom ostrzy towarzyszył hałas. Przedzierający się przez Nadroślinę oddziałek nie chciał zwracać na siebie uwagi. Był to chyba nadmiar ostrożności, bo hestsy nie umiały się wspinać po korzeniach-wieżach, a o dostrzeżonych śladach podniebnej wędrówki szybko zapominały. Ich rozum pozwalał na podtrzymywanie – bo już nie rozniecanie – ognia oraz użycie w walce kija lub kamienia; to była granica możliwości.

Daleko, daleko z przodu, w dole, coraz wyraźniej majaczyła plama światła, rozpostarta na czymś, co było chyba ogromną polaną.

Z bliska – raczej wiatrołomem. Kataklizm musiał przejść dosyć dawno, bo powalone, porozrywane zagajniki zupełnie już wyschły i zbrązowiały. Rozrzucone wszędzie łodygi, a także konary i gałęzie Nadrośliny były martwe od miesięcy, a może nawet lat.

Szehi nigdy nie zetknęli się z prochem, wynalezionym pod niebem Szerni, bo używano go tylko na morzach. Gdyby było inaczej, uznaliby pewnie, że ogromny lej zięjący w środku wiatrołomu mógł powstać w wyniku wybuchu tysiąca beczek prochu.

Pusta przestrzeń przywodziła na myśl olbrzymie mrowisko. Na odartym z mchu skalistym gruncie przemieszczały się bez ładu i składu setki rudych stworów, niewielkich tylko dlatego, że odległych. To miejsce przyciągało sfory hestsów z okolic oddalonych nawet o kilkanaście dni marszu. Stada mieszały się, koczowały; hestsy stale walczyły ze sobą i pożerały trupy zabitych. Wszystko to działo się na obrzeżach wyrwanej w ziemi dziury, owego wielkiego leja, będącego chyba dziełem wybuchu.

W samym środku tej wyrwy – coś było i coś się działo. Niemające żadnego odpowiednika w normalnym świecie zjawisko wymykało się opisowi, wzrok prześlizgiwał się po czymś, co rosło i malało jednocześnie, oddalało się i zbliżało, lecz nie było żadnym pulsowaniem, było... sprzecznością. Obrazem czegoś niemożliwego, płaskiego i wypukłego, wąskiego i szerokiego... Oko żadnego stworzenia nie mogło prawidłowo ogarnąć i ocenić rzeczy, a może zjawiska przewijającego się przez kilka równoległych światów i czasów.

Po obrzeżach leja krążył szary wir, przypominający szeroką na dwadzieścia kroków i niewiele wyższą trąbę powietrzną. Hestsy, rycząc, uciekały mu z drogi, wir zaś gładził kolejne skały, mające rozmaite kształty, ale podobne wielkością, nieco krócej zatrzymywał się przy kłocach drewna, pochodzących chyba z połamanych konarów Nadrośliny. Odłupane kawałki przyskały na boki, raniąc rude stwory. Wyłaniały się, wolno rzeźbione przez wir... posągi? Mniej lub bardziej toporne figury, niektóre ledwie zaczęte, inne prawie skończone. Niewyraźne i słabo widoczne spod brzucha Nadrośliny, stale przysłaniane przez cielska hestsów, to znów rozmyte w krążącym wolno wirze, który nie kończył dzieła, a tylko posuwał się dalej, dotykając na chwilę kolejnej skały albo kłoca i już pełznąć ku następnym.

Na przekradający się po konarach oddziałek (dokładano tam teraz wszelkich starań, by nic na dole nie dostrzegło poruszeń w Nadroślinie) ktoś czekał. Kilku srebrnych wojowników pokazało się pobratymcom. Ci shehi wartowali tu od wielu dni, stale obserwując to, co w dole. Teraz wskazywali przybyłym miejsca, gdzie mogli odpocząć, bo zrobiono tutaj coś w rodzaju stałego obozu, w gęstwinę wpleciono nawet daszki chroniące przed deszczem, a pod nimi plecione hamaki. Niewidoczne z dołu stanowiska były świetnymi i wcale wygodnymi punktami obserwacyjnymi.

Poruszano się ostrożnie, lecz w zamian nie dbano o ciszę. Sfory na dole ryczały i ujadały. Nie zachodziła obawa, że ktokolwiek coś usłyszy w tym zwierzęcym zgiełku.

Dowódca przybyłych wymienił wieści z dowódcą oczekujących, który wskazał odległy brzeg leja. Trudno było dostrzec, ale chyba majaczył tam, obsiadły przez Złote Plemię, prawie gotowy posąg.

A jednak musiały minąć jeszcze trzy dni, nim dzieło zostało naprawdę ukończone.

Wir krążył po obrzeżach tak wolno, że śledziło go stale tylko czworo oczu. Dopiero gdy zbliżał się do przeciwnego brzegu leja, do prawie ukończonego posągu, obserwowali wszyscy. Aż za którymś razem zatrzymał się – i nie popłynął dalej.

W gromadzie shehich wszczęło się poruszenie, bo na tę właśnie chwilę czekali. Zwracano się ku starcowi, czyniąc gesty niezrozumiałe dla istot pod niebem Szerni, lecz tutaj wyrażające niezwykle splątane uczucia. Prawie nikt nic nie mówił, bo shehi o uczuciach nie mówili. Zawsze zdradzali je tylko mową ciała.

Starzec odpowiedział samym wyrazem twarzy: otwarł lekko usta, wąskie nozdrza zwęziły się jeszcze bardziej i nieomal zamknęły. Był to uśmiech, ale bardzo smutny.

Wir na krawędzi leja zaczął maleć, jakby wnikał lub wsiąkał w obrobiony kamień. Po pewnym czasie zniknął.

Wtedy skała ożyła.

Z niebywałym rykiem hestsy rzuciły się we wszystkie strony świata, większość byle dalej od leja, ale inne atakowały ruchomy posąg, pokrywając go kłębem ciał. Tej wzmożonej ruchliwości wokół wykrotu towarzyszyło coś przeciwnego w jego głębi: wszystkie trudne do zaobserwowania i nazwania zjawiska, owe pulsujące poruszenia niemożliwych kształtów, wyraźnie tam zamierały.

Wydawało się, że ujadanie i zwierzęce ryki na dole nie przepuszczą żadnego innego dźwięku, mogłyby zagłuszyć nawet huk pioruna. A jednak głos starca shehich został usłyszany – nie był głosem, który mogło wydać jakiekolwiek gardło. Zaczęte i prawie skończone rzeźby na polanie w dole wybuchały pojedynczo albo razem, czasem niszczona była zwarta grupa, kiedy indziej rozpadały się kamienne

i drewniane bryły w oddalonych od siebie miejscach. Rozrywane na strzępy rude cielska mieszały się z rozbryzniętym piaskiem, skałami, żwirem i suchymi resztkami roślin. Nagle poderwały się ku górze wszystkie krawędzie jamy, na całym jej obwodzie. Niebywałe masy skał, ziemi, żywych i martwych już hestsów, wszystko to zwały się w głąb leja, zasypując go niemal do połowy. Potem rozbrzmiewały już tylko coraz dalsze ryki stworów, w panicznej ucieczce czmychających z polany ku opiekuńczemu półmrokowi. Wkrótce zamarł wszelki ruch w zasięgu wzroku, tylko w głębi i na obrzeżach dziury tarzały się, pełzały i ujadały okaleczone, poranione rude bestie, niezdolne do ucieczki, czasem zdychające pod warstwą ziemi i skał, częściowo lub całkowicie pogrzebane żywcem.

W obozowisku na konarach Nadrośliny zmieniono wartę, zostawiono całą przyniesioną żywność i wodę. Oddział szechich ruszył z powrotem do miejsca, gdzie czekały wehfety. Mogło się zdarzyć, że jakaś uciekająca sfera przypadkiem tamtędy przebiegła i wymordowała zarówno zwierzęta, jak i nielicznych wartowników. Wówczas oddział musiałby wracać pieszo, bez żadnych zapasów, obarczony ponadto ciałem sędziwego towarzysza, na którego twarzy zamarł ostatni smutny uśmiech.

ROZDZIAŁ 1



Karawany kupieckie rzadko zajeżdżały do wiosek, czasem tylko zatrzymywały się w tych mijanych po drodze, przy czym bardziej chodziło o nocleg, a mniej o zarobek. Sunęły po traktach łączących wielkie miasta i wykładały towary tam, gdzie obroty były największe. Pod Północną Granicę zwyczajne karawany nie zapuszczały się nigdy.

Ponieważ jednak handel nie znosi próżni, plony, którymi gardziły potężne przedsiębiorstwa, bardzo chętnie zbierał drobny handlarz. Czasem był to człowiek na mule, prowadzący dwa inne, objuczone, a za nim syn lub siostrzeniec prowadził jeszcze dwa. Trochę rzadziej przyjeżdżał wóz, przeważnie mały, dwukołowy, zadaszony płótnem. Ale zdarzało się, że przybywała małeńka karawana. I tak właśnie było tym razem.

Dwaj podróżujący razem kupcy przywieśli do wioski dwa wozy – w tym jeden duży, czterokołowy – i trzy pary zwierząt jucznych. Kupcom towarzyszyli pomocnicy i jakiś starszy wiekiem podróżny. Takiej karawany nigdy w Nateli nie widziano. Wieś była ludna i wcale zamożna, leżała jednak mocno na uboczu; prawdę rzekłszy, mało kto w ogóle o niej wiedział, tym bardziej więc nie zaglądał. A już odkąd poszły wieści o wojnie, na Północ nie zapuszczał się nikt.

Jesień męczyła drobnym śniegiem z deszczem. Dzieciarnia z niehumanym wrzaskiem pędziła obok wozów tam i nazad, rozchlapując zimne kałuże pełne gnijących liści. Zaciekawieni

i uradowani mieszkańcy wychodzili na progi domów. Ale i przybysze wyglądali na zadowolonych. Z wyraźnym ukontentowaniem spoglądali na solidne domostwa, wypasione prosiaki w obejściach, chędogo odzianych chłopów. Na zwiędłej już łące pasło się naprawdę piękne stado kóz, były i krowy. Trafili do istnej kopalni srebra. Obiecywano im, że tak właśnie będzie, ale kto mógł przypuścić, że nie skłamano ani słowem?...

Duża, naprawdę duża i zamożna wieś! Warto było nadłożyć drogi. Kupieckie oko bez trudu dojrzało szczere zainteresowanie mieszkańców, a to znaczyło, że niecodziennie ktoś tutaj wystawia towary na sprzedaż. Chłopi w wioskach przy głównych traktach wybrzydza i nauczyli się łupić podróżnych, bezwstydnie zdzierając za noclegi. Wszyscy tam mieli wszystko, a jeżeli czegoś zabrakło, mogli w każdej chwili dokupić. Lecz tutaj?...

Żelazne narzędzia, a nawet broń (armektański wieśniak, bywało, kupował wojskowy łuk i strzały, marząc o wojskowej przyszłości dla syna albo córki – czasem składały się na zakup dwa, trzy gospodarstwa). Wełniane pledy, odzienie, tkaniny, tasiemki i wstążki, porządne igły i nici. Ozdoby dla kobiet. Nawet wino – ten tajemniczy, pyszny napój przyrządzany z prawie nieznanych w północnym Armekcie owoców, któremu w wioskach przypisywano właściwości lecznicze. Wszystko to mogło znaleźć nabywców. Armektański chłop rzadko był nędzarzem, mieszkańcy niektórych wiosek potrafili uciąć naprawdę sporo grosza.

W zamian udawało się tanio kupić futra i skóry, bo w lasach na Północnej Granicy chłopi mieli prawo polować. Albo zioła lecznicze, a szczególnie te babskie na niezajście w ciążę lub spędzenie płodu – niektóre wioski miały tego ile chcieć, za to w miastach stale brakowało; wielkowiejskie kobiety, wielkie panie, którym poprzewracało się w głowach, wcale nie

pragnęły mieć dzieci. Mieli też chłopci różne nadwyżki pozostałe po spłaceniu daniny, a jeszcze dary lasu. Wieśniakom nie opłacało się i nie chciało iść do dalekiego miasta, by sprzedać kilka wianków suszonych grzybów. Ale oddać kupcowi, który właśnie przyjechał, w zamian za wstążkę dla córki?

Te same grzyby w wielkim mieście warte były pięciu takich wstążek, a kupcy umieli liczyć. Handel wymienny prowadzono więc z wielkim rozmachem, a że był ciekawszy od pieniężnego, świetnie się przy tym bawiono. I sprzeczano, ale zwykle życzliwie, bo jednym i drugim zależało.

Wozy zatrzymały się na małym placu w środku wsi. Świadom miejscowych obyczajów kupiec zszedł z wozu i poprosił o rozmowę ze „starszym”. W południowym, a nawet środkowym Armeckie nie za bardzo pamiętano o wioskowej hierarchii, ale im dalej na północ, tym bardziej rosło znaczenie naczelnika. Tutaj, na Północnej Granicy, każdą osadą kierował jakiś rzutki, niebojący się podejmowania decyzji człowiek. Armecktańsko-alerskie pogranicze nawet w znacznie spokojniejszych czasach było krajem niezbyt przyjaznym, czasem niebezpiecznym, a w najlepszym wypadku trochę dzikim. W takich warunkach trudno było się obejść bez przywódcy z prawdziwego zdarzenia.

Wokół wozów coraz liczniej zbierali się wieśniacy, szczególnie dzieciarnia i kobiety, ale przyszło też kilku mężczyzn. Brwi handlarza powędrowały w górę – dobiegał pięćdziesiątki, przemierzył świat i niejedno już widział, ale teraz godnie kroczył ku niemu najmłodszy „starszy wioski”, jakiego mógł oczekiwać. Wzrostu męskiego, już nie chudy, przeciwnie – raczej barczysty, miał jednak najwyżej szesnaście lat. Prędzej jednak piętnaście niż szesnaście (w tym wieku to znacząca różnica). Wskazywały na to niewyostrzone jeszcze

rysy twarzy i naprawdę bardzo słabe coś, co za jakiś czas miało być wąsem.

Sytuacja wyjaśniła się szybko.

– Witaj, panie, ty i twoi towarzysze – powiedział młody człowiek bardzo uprzejmie, ale nie uniżenie, zresztą zaskakująco swobodnie; głos miał już męski, nie chłopięcy. – Ojca nie ma, wróci nieprędko. Nigdy nie mieliśmy w Nateli starszego wioski, bo... No, to właśnie przez ojca. – Rozłożył ręce i uśmiechnął się, a nadstawiający ucha chłopci z jakiegoś powodu wybuchnęli śmiechem. – Jesteście tu mile widziani. Na pewno nikt we wsi nie zaprotestuje, jeśli poproszę, byście byli naszymi gośćmi.

Chłopi tak nie mówili. Nigdzie, nawet tutaj w Armekcie, gdzie wędrowni bakałarze uczyli dziatwę sztuki czytania i pisania, rozprawiali o historii, objaśniali zwyczaje i tradycje najstarszego narodu Szereru. Piętnastolatek nie wyglądał zresztą na chłopskiego syna. Nie wskazywał na to strój, a tym bardziej ręce, nieznające ciężkiej pracy, czyste, z niepołamanymi paznokciami.

Nie mógł jednak być synem właściciela wsi; to była wieś imperialna, nie prywatna. Trochę tajemnicza sprawa, chociaż z drugiej strony...

– Dziękuję, młody panie. Jeśli to możliwe, zatrzymamy się na dwa lub trzy dni.

– Tak długo, jak tylko chcecie. Poproszę, by wskazano wam pomieszczenia dla zwierząt. Czy masz jakieś specjalne życzenia lub pytania, wasza godność?

– Tylko jedno: gdzie cię szukać, panie, gdyby...

Uczynił niejasny gest.

– Gdyby coś? – odpowiedział wesoło chłopak. – Gdyby coś, to mieszkam... o, tam.

Kupiec spojrział. Za drzewami, trudny w pierwszej chwili do zauważenia, stał okazały dom. I to nie był dom wieśniaka, choćby najbogatszego. Większy, z poddaszem, które na pewno było poddaszem mieszkalnym, różnił się od pozostałych. Nie otaczały go zwykłe zabudowania gospodarcze, nie było chlewu, stodoły, obory. Pyszniło się za to coś, co wyglądało na obszerną, bardzo wygodną dla czworonogów stajnię. Konie. Drogie zwierzęta, na które nie stać chłopą. Nawet armektańskiego.

Po obszernym podwórzu biegały trzy psy, z którymi bawiła się dziewczynka. Psy myśliwskie.

Kupiec powziął już pewne podejrzenie, które teraz się chyba potwierdziło. Nie za dobrze znał te strony i panujące zwyczaje, ale słyszał, że przy niektórych wioskach imperialnych właśnie tutaj, na Północnej Granicy, buduje się takie domy dla zarządcy-niezarządcy, opiekuna-nieopiekuna... Dla niebędącego chłopem osadnika; kogoś, kto nie jest żołnierzem ani żadnym imperialnym urzędnikiem, a tylko wolnym – ale to zupełnie wolnym, inaczej przecież niż zwykły wieśniak – człowiekiem. Kimś, kto samą obecnością zaświadcza: „Tak, chcę tutaj mieszkać, choć nie muszę, nie odpracowuję żadnej wolnizny”. To ośmielało, dodawało chłopom pewności siebie i przyciągało nowych osadników. Ziemia na północy była tania. Podarowanie komuś jej skrawka – zazwyczaj tyle, ile zajmował dom i przyległe zabudowania – niewiele kosztowało, a obiecywało wprawdzie trudno policzalne, ale jednak wymierne korzyści.

– Mamy piwowara – powiedział jeszcze chłopak, który już odchodził, ale przystanął, przypomniawszy sobie o tak ważnej dla podróżnych sprawie. – Gdzie piwowar, tam i karczma. Nie taka, jak w miastach, ale... grzane piwo na pewno się znajdzie.

Wskazał palcem kierunek.

– Tamten dom. Ten szyld wycięty z deski wyobraża, hm, dzbanek.

W samej rzeczy. Zawieszony u strzechy, chwiał się na wietrze bombiasty dzban z pociemniałego od wilgoci drewna. Jeśli ktoś wiedział, na co patrzy, mógł się łatwo doszukać nawet ucha i dziobka.

To nie była przecież wiadomość dla przybyszów (bo jakich?...), a miejscowi wiedzieli, gdzie jest „karczma”. Chłopsko podpatrzyło zapewne szyld oberży w jakimś miasteczku i też chciało być takie światowe.

No, to było.

Wokół wozów panował rozgardiasz. Pomocnicy użerali się z dzieciarnią, gotową wcisnąć się wszędzie, byle tylko podejrzeć, a może i zwędzić przywiezione skarby.

Chłopak wrócił raz jeszcze.

– Przebacz, panie. Staram się jak mogę, ale pierwszy raz czynię honory gospodarza i ciągle o czymś zapominam – powiedział szczerze, trochę zakłopotany. – Jest zbyt zimno, byście nocowali na swych wozach. Nie szukajcie nigdzie noclegów. W przybudówce przy domu pomieszkuje nasz pacholek, ale teraz go nie ma, zresztą już jesienią przeprowadza się do domu, bo to nie jest schronienie na cały rok. Ale na kilka dni, czy choćby tydzień, wystarczy. Domek stoi pusty, jest tam całkiem duża i wygodna izba. Nie sprawicie żadnego kłopotu.

– Jeszcze raz dziękuję, młody panie.

Kupiec miał trzech synów, a najmłodszy z nich liczył sobie siedemnaście wiosen, był więc niewiele starszy od gospodarza Nateli. Handlarzowi spodobała się skromność, prostota i obycie rozmówcy.

Przybysze zajęli się wyprzęganiem zwierząt od wozów. Chłopi życzliwie garnęli się z pomocą. O tej porze roku nikt nie narzekał na nadmiar zajęć, a przybycie karawany było nie lada wydarzeniem.

Chłopak wrócił do domu. W obszernej sieni przytupnął parę razy, starannie strząsając błoto z obuwia. W następnym pomieszczeniu leżał na podłodze całkiem ładny kobierczyk – żal było niepotrzebnie pobrudzić takie coś.

– Wenew? – zapytano; głos był głosem kobiety.

– Tak, to ja, już jestem – odparł, wchodząc do dużej izby, solidnie ogrzanej płonącym w palenisku drewnem. – Dwa wozy i sześć mułów, to prawdziwa karawana! – kontynuował z uśmiechem. – Ale będzie się działo! Dziewczyny aż piszczą do tego, co jest do kupienia. A ty nie pójdziesz zobaczyć? Kiedy ostatni raz kupiłaś sobie cokolwiek?

– Nie pamiętam. W Kirlanie.

Z namysłem przekrzywił głowę.

– Niczego ci w imieniu ojca nie obiecuję. Ale wydaje mi się, Sajło, że on chce cię tam odesłać z powrotem.

Otworzyła szeroko oczy i przysięgłby, że poróżowiła na policzkach.

– Jeśli mnie zapyta o zdanie – dorzucił – doradzę mu, żeby tak zrobił. Chociaż będzie mi ciebie brakowało, no wiesz.

Mrugnął okiem.

W odpowiedzi pokazała mu język.

Była... dobrą nauczycielką. Udzielała lekcji, których oczekiwano, ale wszystko przecież można robić tak albo siak. A ona uczyła, można by powiedzieć, i tak, i siak.

Pierwszy raz przyszło mu do głowy, że ojciec sprowadził Sajłę z powrotem nie tylko do opieki nad jego młodszą siostrą.

Niewolnica – jedyna, jaką mieli. Wyzwolona, bo choć sprzedano ją jako tanią dziewczynę do prac, to została niewolnicą domu, najpierw towarzyszką zabaw, zarazem zaś opiekunką starszej córki swego właściciela. W Armekcie uważano, że domowa służba powinna być wolna. Odstępstwem

od tej zasady były tylko Perły. Ale te żywe klejnoty bardzo rzadko marzyły o wolności. Może dopiero na starość.

Ojciec wyzwolił Sajłę i zapytał ją, wolną już kobietę, czy chce zostać. Wtedy po raz ostatni rzuciła mu się do nóg. Prosta, niezbyt ładna wiejska dziewczyna, która kiedyś sprzedała się w niewolę, nie śmiała nawet marzyć o podobnej przyszłości. Miała być wolną służącą w dostatnim domu, gdzie traktowano ją nie tylko jak człowieka, ale prawie jak członka rodziny. A pełne utrzymanie, dach nad głową – to było bardzo dużo. Wygodne życie bez pospolitych trosk.

Co nie znaczyło, że odtąd wszystko zawsze się jej podobało, i Wenew dobrze to widział. Jeśli gdzieś była naprawdę szczęśliwa, to w Kirlanie, towarzysząc jego siostrze. Została odwołana, bo wydawało się, że bardziej potrzebna jest tutaj. Nie poskarżyła się oczywiście ani słowem, ale było zupełnie jasne, że życie w stolicy miało się całkiem nijak do życia na wiejskim wygnaniu. Dwie młode kobiety, osiemnastoletnia pani i jej o cztery lata starsza przyjaciółka-służąca, niebogate, ale i nieubogie, w wielkim mieście miały świat u swych stóp. Tutaj nawet nie było jak nosić tych kiecek, w których tam się chodziło.

Lecz ojciec uznał, że w domu, w Nateli, roztrzepana mała Akea bardziej potrzebuje towarzystwa i opieki niż rozsądna Emira w Kirlanie.

Młody Wenewet zamyślił się i na chwilę zapomniał, że trzeba by dokończyć rozmowę. Zamyślił się, bo zajmował czyjeś miejsce, właśnie przyjął kupców we wsi i trochę „z rozpędu” na wszystko starał się patrzeć oczami ojca.

– Idź. No idź, i zabierz Akeę – powiedział, bo nagle się przecknął.

Jedenastolatka podsłuchiwała pod drzwiami. Wypadła z drugiej izby i rzuciła się bratu na szyję, bo wcześniej nie

pozwolił jej iść. Nawet podał jakiś wydumany powód, ale w istocie po prostu się bał, że niesforna siostrzyczka zacznie go przedrzeźniać wobec kupców albo zrobi nie wiadomo co. A tymczasem, na życzenie społeczności występując w zastępstwie ojca, był o wiele bardziej przejęty, niż chciał komukolwiek okazać.

Sajla narzuciła na ramiona gruby wełniany serdak, zabrała drugi dla swej towarzyszki i wzięła ją za rękę. Były do siebie tak podobne, jak mogły być niespokrewnione Armektanki: tak samo czarnowłose i brązowookie, z warkoczami przerzuconymi na piersi, trochę smagłe, o trójkątnych, zakończonych drobnymi podbródkami twarzach. Zaśmiał się nagle; trochę za dużo tych sióstr...

– Nie, nic – powiedział. – Jesteście takie podobne.

Popatrzyły na siebie. Akea nadal trzymała Sajlę za rękę.

– Pieniądze – przypomniał.

Sajla uznała, że nie warto brać.

– Towary wyłożą dopiero po południu – wytłumaczyła. – Teraz odpocznę, napiję się piwa. Zawsze tak robią. Aż wszyscy, którzy chcą coś kupić, nie będą mogli się doczekać.

Na pewno wiedziała, co mówi. Właściwie to chyba ona powinna przyjąć tych kupców. Niby też spędził kilka lat w wielkim mieście, no ale... Dwunasto-, a nawet czternastolatek niewiele dowiedział się o świecie, albo raczej: dowiedział się bardzo dużo, ale tylko tego, czego mógł się dowiedzieć w szkolnych murach. Sajla zobaczyła i zrozumiała dziesięć razy więcej.

Stały przy drzwiach, czekając, co powie. O czym? O pieniądzech: mają brać czy nie brać.

I Wenew po raz drugi uświadomił sobie, że nie jest swoim ojcem. Ojciec już dawno wyprawilby je obie, nawet nie przerywając zwykłych zajęć. A on stał i dumał nad każdym

słowem, jakby posłanie młodej panienki i służącej na zakupy było doniosłą decyzją, wymagającą rozważań.

– Bierzcie pieniądze albo nie bierzcie, już was tutaj nie ma – powiedział.

– Zaraz wrócimy.

– Sajlaa! – powiedziała z wyrzutem i urazą Akea. – Wcale nie wrócimy zaraz!

Poszły i Wenewet został sam.

Rozsiadł się przy stole (ani o tym myśląc, wybrał sobie ojcowskie krzesło) i wyglądał przez okno. Obrzydliwie mokry śnieg zgęstniał, płatki zgrubiały. Już chyba nie były przetykane deszczem, ale i tak topniały prawie natychmiast po zetknięciu z ziemią. Najpaskudniejsza pora roku. Już nie jesień, a jeszcze nie zima.

Prawdę mówiąc, podekscytowanie mieszkańców wioski udzieliło się i jemu. Przez trzy lata mieszkał w Kirlanie, gdzie nie brakło niczego – przekupniów i straganów było więcej niż drzew, handlowano wszystkim i wszędzie. Stolica! Ale pół roku temu skończył naukę i wrócił do Nateli. Teraz uświadomił sobie, że podobnie jak Sajla, także i on od kilku miesięcy niczego nie kupił. A wielu rzeczy bardzo potrzebował.

Najbardziej zaś tego, co nic nie kosztowało. Wieści, plotek, może zwykłej rozmowy. Z kimś, kto nie był chłopem, myślącym tylko o robocie na roli i krowie, którą właśnie sparła kolka.

Młody Wenewet nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo go odmienił pobyt w mieście. Kochał i szanował ojca, żył się z wieśniakami, wśród których dorastał. Ale potem przez trzy długie lata otaczali go zupełnie inni ludzie, inne sprawy. Wrócił do domu i ujrzał swojego rodzica – szczerego i mądrego, ale w gruncie rzeczy prostego człowieka, z którym trudno było porozmawiać. Który nigdy nie brał udziału w wielkim święcie na ulicach stolicy, ledwie słyszał o czymś takim jak zawody

zapaśnicze... Kiedyś ojciec wiedział wszystko – potem się okazało, że nie wie prawie nic. Wyrastał ponad przeciętność, ale chyba tylko tutaj, w Nateli. Wenew wstydził się, że jest mądrzejszy od ojca; bolało go to, bo coś stracił, choć nie umiał powiedzieć co. Najprędzej owo śmieszne, a tak potrzebne każdemu chłopcu przekonanie, że ojciec jest największy, najmądrzejszy. Że jest kimś zupełnie wyjątkowym.

W ciągu kilku minionych miesięcy wiele razy przyszło mu tęsknić za starszą o trzy lata siostrą, z którą mieszkał w Kirlanie. Emira była inna, zupełnie inna. Wiedziała wszystko o wszystkim, znała świat, potrafiła wszędzie się znaleźć. Nikogo nie pytała o zgodę na cokolwiek, a gdy czasem przyjeżdżała do domu, ojciec na te kilkanaście dni z nieskrywaną ulgą oddawał jej rządy i po wyjeździe córki długo nie umiał się pozbierać, bo nie bardzo pamiętał, gdzie odwiesił kapotę. Ale Emira szanowana była nawet przez takich ludzi jak urzędnicy imperium i oficerowie legii. Miała wielu niezwykłych przyjaciół, aż na koniec zyskała jeszcze jednego przyjaciela, największego, w osobie młodszego brata.

Nie znosił tej złośliwej mądrali, która kiedyś (ach, jakież to było szczęście!) wyjechała do Kirlanu. Lecz nie minęło wiele czasu, a ruszał w ślad za nią; wyjeżdżał z domu zdruzgotany, miał trafić pod władzę siostry.

A potem zmieniło się wszystko.

Matkowała mu tylko trochę, na samym początku. Raczej pokazała miasto, wyjaśniła to i tamto. Przestrzegła przed czymś i powtórzyła tylko raz, dla pewności, a coś innego pochwaliła. Później robił, co uważał za słuszne, ona zaś mu ufała. I nie zawiodła się.

Zaufanie – znamię dojrzałości. Dzięki zaufaniu, którym mądrze obdarzyła go siostra, Wenewet stał się mężczyzną na dwa lata przed pełnoletnością.

Został jej oddany pod opiekę. Ale gdy wracał do domu, powiedziała pół żartem, pół serio: „Zostawiasz mnie bez opieki”. Uświadomił sobie wtedy coś ważnego.

o o o

Towarzyszący kupcom podróżny był starym bazarzem-gawędziarzem. W Armekcie, gdzie zbudowano najlepsze drogi Szereru, karawany kupieckie chętnie zabierały podróżnych, bo na przyzwoitym trakcie ciężar dodatkowego pasażera w bardzo niewielkim stopniu zużywał siły zwierząt pociągowych. Pieniądz uiszczony za przejazd nie cuchnął, a wędrowny grajek (takich zabierano najchętniej, i to nawet bez żadnej opłaty) był dodatkową atrakcją, przyciągającą ludzi w odwiedzanych miastach i miasteczkach.

Sławetna natelska karczma w istocie wcale nią nie była. Piwowar podejmował spragnionych w swoim domu, gdzie wielka izba służyła głównie za pole bitwy dla kilku najmłodszych jego pociech, żona zaś stawiała garnce piwa na dużym kwadratowym stole w kącie. Gdy pogoda dopisywała, przed domem pojawiał się inny stół, podłużny na krzyżakach, a przy nim dwie ławki. Teraz jednak pora roku nie sprzyjała wyszynkowi pod gołym niebem.

Ponieważ wobec takiego stanu rzeczy w całej wsi trudno było znaleźć odpowiednie miejsce do zgromadzeń, a śnieg z deszczem wciąż padał, niezawodni kupcy rozpięli między drzewami olbrzymi dach z żaglowego płótna. W rzeczywistości był to chyba stary żagiel, połatany i pocerowany, zdjęty z jakiegoś okrętu. Nie mógł już chwytać wiatru podczas morskich podróży, ale wciąż niezłe osłaniał przed kaprysmi pogody. Płachta chroniła zaimprovizowane kramy, znalazło się też miejsce dla gawędziarza, przy którym zaraz skupiła się

gromadka siedzących w kucki dzieciaków i mężczyzn. Kobiety, przynajmniej na razie, myślały wyłącznie o wystawionych towarach, za to mężczyźni, ciekawi świata jak dzieci i żądni wiedzy o dziwnych wydarzeniach, obszernym kręgiem otoczyli bazarza; znalazł wdzięcznych słuchaczy. Dostał piwo. Zgłodniał – znalazła się bułka, trochę sera i kiszony ogórek. Krótka przerwa, gdy się posilał, była nawet bardzo pożądana, by wymienić uwagi, poroztrząsać zasłyszane wieści.

Zapadał wczesny o tej porze roku zmierzch, wkrótce więc nieliczne towary, pokazane głównie dla zachęty, powędrowały z powrotem na wozy. Niewielkie ognisko, przy którym słuchano wieści z dalekich stron, stało się najważniejszym punktem wioski. Przez nikogo nie niepokojony, Wenew przykucnął sobie z plecami opartymi o koło wozu; rozpoznał go kupiecki pomocnik, pozdrowił skinieniem i zostawił w spokoju, bo przecież nie zachodziła obawa, że „starszy wioski” coś skubnie.

Kimkolwiek był wiekowy podróżny, na pewno nie bazarzem łązęgą. Wenew dość ich widział w dziesiątkach stołecznych gospód. Teraz słuchał opowieści (niektóre z nich znał, były stare jak Armekt), z namysłem marszcząc brwi, bo gdzieś już się zetknął z takim sposobem mówienia. Ale niezbyt długo się zastanawiał. Stary człowiek umiał opowiadać, a nie wszystkie historie były stare.

Wenewet – już nie chłopiec, ale jeszcze nie mężczyzna – całą duszą chłonał barwne opowieści o wojownikach, których nigdy nie mógł spotkać: o Samotnych Jeźdźcach, widywanych zawsze wtedy, gdy działo się coś niezwykłego; o Szarym Tabunie – najświetniejszym oddziale, jaki znały Równiny. Rozmiłowany w swych tradycjach i historii Armekt sam z siebie chyba tworzył takie legendy; wyrastały z armektańskiej ziemi, ze stepów i lasów, by płynąć następnie ku wioskom i tam wsączać się w serca mieszkańców. Wojny księstw; ścierające się na ich

granicach wielkie armie... Gromady Jeźdźców Równin, ludzi kochających tylko wolność i galop konia. Piesze legiony Sar Soa, złożone z najlepszych łuczników świata... Były tam wspaniałe czyny, poświęcenie dla wielkiej sprawy, oddawanie życia za przyjaciół. Wspaniałe zwycięstwa i równie chwalebne klęski. Dziesiątkami takich opowieści karmiono armektańskie dzieci, nim dorosły i odkryły, że to tylko baśnie.

No, może nie tylko. Przeplecione z historią, tworzyły stubarwne mozaiki, gdzie nie dało się odróżnić prawdy od nieprawdy.

Jednak, cokolwiek by mówić, te półbaśnie na zawsze już odmieniały dusze córek i synów Wielkich Równin. W najmarniejszym z wioskowych chłopów od urodzenia aż do śmierci mieszkał duch łucznika, który wespół z podobnymi sobie ludźmi podbił cały Szerer. W takiej Nateli lub innej podobnej wsi wieśniak pracował na roli, warzył piwo, rąbał drwa i oporządzał obojęcie, lecz zawsze gotów był sobie przypomnieć, że pod Pasmami Szerni trwa uśpiony, ale nieśmiertelny, potężniejszy od wszystkich innych byt: Arilora. Pani Wojny i Śmierci, Los Wojenny. Potęga głucha i ślepa, bezrozumna zupełnie jak Szerń – a zarazem wspierająca każdego, kto odwagą i lojalnością wobec towarzyszy broni umiał sobie zaskarbić jej względy i uczynić przyjazną, nie wrogą.

Przypominała ogień, który mógł ogrzewać domostwa albo je spopielać. Czegoś tak potężnego nikt nie mógł traktować beztrosko.

Wenewet osiągnął już wiek i dojrzałość pozwalające patrzeć na legendy tak, jak patrzeć należało: ciepło, lecz pobłażliwie. Czasem jednak wracały dziecięce marzenia. W wielkiej tajemnicy nawet przed samym sobą młody Armektańczyk sam tworzył kolejną legendę o Jeźdźcach. W tajemnicy – bo udawał,

że właściwie tego nie robi; przecież tylko zabija czas. Mity rodziły się inaczej. Czyżby rzeczywiście wychodziły spod piór młodych, a niechby i starych mężczyzn, niemających nic do roboty?... Jeśli nawet nie pojawiały się same pod wysoko zawieszonym niebem Ri Silloru, to powstawały raczej przy obozowych ogniskach, gdzie z dymem niósł się zapach pieczystego, a ludzie z łukami w dłoniach wspominali swoje znakomite czyny. Nie tworzono ich chyba w ciepłutkich pokoikach na poddaszu?

Wenew nie pokazałby nikomu tych zapisanych przez siebie stronic. Były zwykłym łgarstwem. Oszustwem, bo prawie wszystko zmyślił: nie odtwarzał, a nawet nie ubarwiał żadnej zasłyszanej historii. Gorzej, bo piętnasto-, szesnastoletni mężczyzna, gdy nie myślał o koniu i łuku, to mógł myśleć wyłącznie o jednym. Ruda Ajana, o której słyszał dziesięć legend, stawała się oto bohaterką kolejnej, w której po równo bawiła się łukiem, jak i włóczniami wszystkich bez mała napotkanych mężczyzn... Szczególnie bardzo młodych i samotnie strzegących wiosek na końcu świata.

Kiedyś parsknął śmiechem, bo naraz policzył sobie, że Jeźdźczyni Ruda Ajana, o której słyszał od zawsze, musi być teraz osiemdziesięcioletnią, niemogącą dosiąść konia staruchą; mogła też spoczywać, jako szkielet, w zagajniku pod kupą zgniłych liści.

Tego dnia już nic nie napisał.

Starzec przy ognisku trochę się zmęczył. Chyba znowu był głodny – wyglądało na to, że zjeść i potrafi, i lubi. Zaraz ktoś przyniósł pół miski zimnej kaszy ze skwarkami – to, co zostało z obiadu. I piwo.

Zamyślony Wenewet nawet nie zauważył, kiedy gawędziarz skończył jeść i podjął kolejną opowieść. Trzeba przyznać, że

dziadek nie był darmozjadem. Teraz jednak mówił o czymś innym, nie snuł żadnej armektańskiej legendy.

Dzieciaki zaczynały się nudzić, ubywało ich przy ognisku, w zamian przybywało mężczyzn, przystanęło też kilka kobiet. Wieśniacy odgrzebywali w pamięci to, co każdemu przed laty, w szczenięcym wieku, wpajał wędrowny bakałarz; dziwili się obyczajom panującym w dalekim Złotym Dartanie, do których to obyczajów właśnie nawiązał mówca.

– W niektórych domach magnatów, wielkich panów dartańskich, panują nasze zwyczaje. Armektańskie. Dartan przez dwieście lat był prowincją Wiecznego Cesarstwa i skutki tego widać. Dobre skutki. Inaczej w domach rycerskich, a więc takich, które kultywują stare tradycje przodków.

– Tradycja, panie, to coś bardzo dobrego. – Jeden z chłopów trochę się obruszył.

– Są tradycje i tradycje. Najgorzej jest w domach mieszczańskich, i tak samo w chłopskich. Tam kobieta, właśnie tradycyjnie, wciąż jest traktowana inaczej niż mężczyzna.

– A jak?

Kobiet mogły nie obchodzić historie o wojnach i zamorskich krajach, ale o innych kobietach?... Aż dwie jednocześnie zadały to samo pytanie.

– Przedmiotowo.

Mówca starał się przybliżyć prostym ludziom sens trudniejszych słów – magnatów zaraz dodatkowo nazwał „wielkimi panami”, ale czasem jednak zapominał się i mówił po swojemu. Wenus już wiedział, kogo mu przywodzi na myśl ten przybysz. Nauczyciela ze szkoły w Kirlanie. Powinien to wiedzieć od razu, ale dach z żaglowego płótna, strój tego człowieka, chłopskie twarze wokół... To nie pasowało. Nie naprowadzało na właściwy trop.

– W Dartanie kobiety ochraniano, ale w zamian były zależne od mężczyzn. Wojownicy ginęli na wojnach. Kobiety musiały rodzić nowych wojowników.

– W Armekcie, panie, było jeszcze więcej wojen. Najbardziej tutaj, na Północy. Każdy dzieciak to wie – zaprotestował ktoś.

– Dopieroś co, panie, sam opowiadał – przywtórzył drugi.

– Jesteśmy zdrowi. Długo żyjemy i rzadko chorujemy – powiedział Wenewet. – Starcy zachowują zęby, bardzo rzadko niedołączniają. Stulatek? W co drugiej wsi.

Zaskoczeni chłopci zwrócili się ku niemu i młodzieniec stropił się pod spojrzeniem wielu par oczu, choć zwykle nie zbywało mu na śmiałości.

– Proszę bardzo, młody panie – zachęcił gawędziarz, nie kryjąc zaciekawienia.

– Kiedy ostatnio zmarło we wsi niemowlę? – zapytał Wenewet.
– Zdarza się, i wszyscy bolejemy. Ale jak często?

Powiódł spojrzeniem, bo trochę poniewczasie przyszło mu na myśl, że dotyka czyjś nieszczęścia. Jednakże w kręgu ludzi nie dostrzegł żadnego rodzica, który doświadczył straty dziecka. Kilkoro we wsi było.

Popatrzono po sobie.

– No, będzie cztery lata nazad. A wcześniej... ale nie, to nie u nas – rzekł ktoś po długiej chwili. – Gdzie indziej żem wtedy mieszkał. No i Raszka nie donosiła. Ale to co innego. No i jak dzieciaki się w stawie potopili. Tylko to już te większe.

– W całym Szererze dzieci umierają jak muchy. Najbardziej w wioskach. W Grombelardzie, Dartanie, wszędzie. A u nas, w Armekcie, zawsze dorastało ich więcej, niż można wyżywić – wytłumaczył Wenewet. – Nie chorowały i nie umierały, ani one, ani ich matki w połogu. Zdarza się, bo zdarza się wszędzie, nawet w rodzinie cesarskiej. – Wszyscy wiedzieli, że księżę Awenor, najmłodszy syn starego Imperatora, stracił w ten

sposób żonę, a wkrótce potem zmarło słabe dziecko. – Ale w Armeckie bardzo rzadko, o wiele rzadziej niż gdzie indziej. Kobiety nie musiały, a nawet nie mogły rodzić przez całe życie, zamiast tego chodziły polować, żeby zażegnać widmo głodu w swojej wsi. „Kto ma pszczoły, ten ma miód; kto ma dzieci – głód i smród” – żartobliwie przypomniał stare porzekadło. – Armektańskie plemiona walczyły między sobą o nowe tereny łowieckie, a tym wojnom dodatkowo sprzyjał nadmiar młodych mężczyzn. Zresztą kobiet też. Niektóre chodziły na wojny z mężczyznami i tak jest do tej pory. Kobieta u nas nie była i nie jest workiem, z którego się wyjmuje kolejne dzieciaki.

– Trudno opowiedzieć o tym lepiej, a jeszcze tak pięknym językiem – orzekł starzec, już nawet nie z uznaniem, bo wręcz szczerym szacunkiem w głosie. – Jesteś, młody panie, człowiekiem bardzo gruntownie wykształconym. A gdzie, jeśli wolno mi spytać?...

– W Kirlanie.

– I przy której to, proszę, akademii?

– Wielkiej – powiedział Wenew, rumieniąc się mimo woli i właściwie nie wiadomo dlaczego.

– W szkole przy najlepszej uczelni Szereru – podsumował stary gawędziarz.

Stojący dokoła chłopci jęli oglądać siedzącego przy kupieckim wozie chłopca niczym jakieś dziwo. Każdy wiedział, że młody pan Wenewet wyjechał pobierać nauki. Ale teraz wychodziło na to, że wrócił jako wielki uczonego, którego musiał uszanować siwowłosy starzec. Nikt tu się nie spodziewał czegoś podobnego.

– Zamierzasz tam wrócić, panie? – zapytał gawędziarz. – Bo na razie, jak sądzę, ukończyłeś tylko szkołę wstępną? Jakiś język, przypuszczam, że dartański, historia, no i wprowadzenie do wysokiego armeaktańskiego. I lektury, ma się rozumieć. Może nie poezja, ale sagi. Czy tak?

– Jeszcze trochę matematyki. Ale to naprawdę tylko trochę, same podstawy geometrii i algebry. Chyba każda szkoła uczy trochę inaczej, czegoś więcej albo czegoś mniej.

– Rzeczywiście.

– Nie wiem, czy wrócę. Jeszcze nie wiem, czego w ogóle chcę – odrzekł szczerze i otwarcie Wenew. – Bardziej teraz koń i łuk mi w głowie, a dzisiaj, panie, gdy słuchałem twoich opowieści, to zaraz mógłbym siodłać wierzchowca – zażartował. – Nauka na razie mi zbrzydła, ale jeśli nie wymyślę czegoś ciekawszego... Jeszcze nie wiem – powtórzył. – Właściwie, skoro pytasz, panie, dobrze mi było w szkole. Ale akademia?...

– Wykładałem tam.

– W Wielkiej Akademii?

– Jestem historykiem.

– Co więc tutaj robisz, wasza godność? Z kupcami?

Uczeni ze stołecznych akademii, a zresztą wszystkich uczelni imperium, byli ludźmi otaczanymi ogromnym szacunkiem, na dodatek nieubogimi, bo uczelnie hojnie dotowano. Wenew gotów był przypuścić, że starzec, z jakichś niejasnych powodów, zmyśla. Tylko pomylenie zamieniłyby życie akademickiego wykładowcy, traktowanego z taką samą atencją, jak najwyżsi oficerowie imperialnych legii i najdostojniejsi urzędnicy cesarstwa, na los obieżyświata gawędziarza.

– Wykładałem gościnnie przez dwa lata, potem wróciłem do swojej pracy. Ale ją także musiałem porzucić.

– Co robiłeś, panie?

– To już bez znaczenia. Świat się kończy, więc tym bardziej moja praca się nie liczy. Wojna potrwa najwyżej rok lub półtora. Niewiele zostało nam czasu. Nie roztrwonię go na coś, co nie ma żadnego sensu.

Dziwna rozmowa, niewiele mająca wspólnego z pięknymi mitami o Jeźdźcach, czy nawet gawędą o dalekich podróżach,

coraz mniej podobała się chłopom, a i Wenew poczuł się cokolwiek zagubiony. Czyżby staremu człowiekowi rzeczywiście brakowało piątej klepki? Koniec świata... Nie zanosilo się. Niepokoje, a niechby wojenka na granicy (nic nowego w tych stronach), chyba tego nie zwiastowały.

Właśnie wojna, temat bardzo na czasie, żywo obchodziła wieśniaków. Jeden odkaszlnął i zapytał:

– Mówisz, że wojna, panie? Dużo słyszy się teraz, że Alerczyki wypuścili wielkie hordy, a granica przecie niedaleko. Mój ojciec widział wojnę z Alerem, wasza godność, tą, co była więcej jak ćwierć wieku nazad. Popalone wioski... Strasznie nasi się bili z potworami.

– Teraz będzie gorzej – obwieścił ponuro starzec. – Nie obronimy się.

Chłopi popatrzyli po sobie.

– Ejże, panie... Jak: nie obronimy? Nie ma lepszego wojska jak nasze. Aler zawsze wypuszczał hordy i zawsześmy go w końcu pobili.

– A teraz nie pobijemy.

– Młody panie, pozwól na słowo – mruknął ktoś za plecami Wenewa.

Chłopak obejrzał się i zobaczył przywódcę karawany. Wstał z ziemi, skinął głową starcowi, wokół którego coraz ciasniej tłoczyli się zaniepokojeni chłopi, i poszedł za kupcem. Wciąż prószył przeplatany deszczem śnieg, co od razu dało się we znaki, gdy tylko wyszli spod płóciennego dachu.

– Niezręcznie mówić takie rzeczy młodemu człowiekowi – rzekł skrzywiony kupiec. – Wolałbym raczej namawiać cię, panie, do szacunku dla starszych. Ten tutaj jest stuknięty – oznajmił krótko, krzywiąc się jeszcze bardziej. – Nie słuchaj go, panie, szkoda czasu.

– Mówi, że wykładał w Wielkiej Akademii. Kiedy z nim rozmawiam, to naprawdę mi się wydaje, że to jeden z uczonych.

– Może był uczonym, może nie był. Od paru tygodni, odkąd go zabraliśmy, opowiada tylko wojnie i o końcu świata. Nie można już tego słuchać.

– Ale wojna rzeczywiście wybuchła.

– Jedna z wielu, nie pierwsza i nie ostatnia. Słuchałem cię tam trochę, panie, przy ognisku, i widzę, że dużo wiesz o świecie, jesteś nad wiek poważny i dojrzały. Gdyby wierzyć każdemu, kto po utarczce z Alerem wieścił koniec świata... Zawsze znajdzie się taki, co kracze. Tylko pomyśl.

– Chyba tak – przyznał Wenew. – Ale ten stary człowiek wydaje się bardzo mądry. To nie jest lamentująca baba z napadniętej przez Alerów wioski.

Kupiec popatrzył z namysłem.

– Jest stuknięty – powtórzył po chwili. – Słucham go od kilku tygodni i uwierz mi, młody panie. Jest stuknięty.

I chyba wiedział, co mówi.

ROZDZIAŁ 2



Kilkadziesiąt mil dalej, w komendanturze Rewinu, powiedzieliby to samo, ale bez tej pewności w głosie, którą miał przywódca kupieckiej karawany.

Pośród szeroko rozpostartych łąk i lasów, nad przepięknym jeziorem, brunatnoczerwona budowla, do której przytuliła się osada służebna, wyglądała jak dziwo nie z tego świata. Potężne zamczysko nie pasowało tam do niczego; przede wszystkim było niesłychanie brzydkie, chciałoby się powiedzieć: brzydkie po armektańsku, bo naród władców świata, rozmiłowany w sztuce słowa, zarazem żywił nadzwyczajną niechęć do wszystkich innych sztuk, architektury nie wyłączając, a już szczególnie architektury wojskowej. W ogóle, gdy szło o sprawy związane z wojną, dziedziną dla Armektańczyka najbardziej godną szacunku, na zabawę i żarty brakowało miejsca. Bojowy ekwipunek używany przez Legię Armektańską, chociaż dobrej jakości, pozbawiony był jakichkolwiek ozdób, niepodzielnie królowały oszczędność i prostota wykonania. Żołnierz Kraju Równin mógłby użyć – i używał – zdobionego dartańskiego oręza tylko wówczas, gdy zachodziła konieczność, bo inaczej byłby przekonany, że uwłacza Niepojętej Pani Losu Wojennego, wymachując grawerowaną zabawką z połączonym jalcem i szmaragdem w główicy rękojeści. Konieczność, taka jak utrata lub niedobór własnej broni, oczywiście to usprawiedliwiała. Podczas minionej wojny z Dartanem niedozbrojona Legia Armektańska

szeroko wykorzystywała zdobyczny oręż – ale też pozbywała się go przy pierwszej okazji. Sprzedawano kosztowne cudeńka, kupując w ich miejsce prostą w wykonaniu broń armektańską, chociaż, prawdę mówiąc, solidność była jej największą zaletą, bo dopieszczony przez miecznika ostrze dartańskiego rycerza, mimo „niepoważnych” zdobień, niemal pod każdym względem górowało nad tanią głównią legionisty.

Ktoś, kto słabo rozumiał armektańskie podejście do wojny, musiał przystanąć zdumiony, jeśli nie wstrząśnięty, brzydotą najpotężniejszej fortecy Szereru. Nie wmurowano bodaj jednej cegły, nie położono nawet jednej dachówki więcej, niż to było niezbędne. Kołatka na furcie głównej bramy miała postać pierścienia przymocowanego do żelaznego cycka – gdyby wykonano ją na kształt wilczej głowy, komendant twierdzy niechybnie zachorowałby ze zgryzoty.

Czerwone armektańskie miasta, nietynkowana cegła poprzecinana na krzyż malowanymi na czarno belkami, wcale nie były brzydkie. Pojedynczy budynek straszyl; zebrane razem – mniej. Podobne do siebie kamienice trwały w wojskowym ordynku, ulice tworzyły regularne prostokąty i kwadraty, ale był w tej przejrzystości i prostocie jakiś wdzięk. Może lekkość. Te miasta wydawały się... bezpieczne. Przewidywalne.

Jednakże wojskowych budowli nijak to nie dotyczyło. Tutaj nie udało się połączyć prostoty z jakąkolwiek urodą. Najwięcej to miało wspólnego z posępными murami Grombelardu, chociaż tam budowano z kamienia, nie z cegły.

Koniecznym jest powiedzieć, że w środku paskudnej budowli Armektańczyk nie spoczął, póki nie uczynił jej jeszcze skrajnie niewygodną, bo sama prostota nie wystarczała. W wielu izbach, a i na korytarzach, budowano zupełnie niepotrzebne, płaskie stopnie. Służyły tylko do tego, by

przypominać swą uciążliwością, iż syn i córka Wielkich Równin powinni być stale gotowi do wyrzeczeń i niewygód.

Nawet gdy siedzieli w przewygodnej pogranicznej twierdzy.

Rewin i podobny, trochę mniejszy Tor były pozostałościami po zamierzchłych czasach, gdy armektańskie królestwa i księstwa toczyły krwawe wojny. Rewin strzegł granic Królestwa Trzech Portów, Tor był przeciwwagą dla Rewinu, wzniesiono go na zachodniej granicy Wielkiego Księstwa Riny i Rapy. Po zjednoczeniu Armektu straciły na znaczeniu, ale gdy inne twierdze Szereru stopniowo popadały w ruinę, a niektóre wręcz zostały rozebrane, te dwie utrzymano, ze względu na długie linie stanicznych placówek, zbudowanych na Północnej Granicy dla obrony przed Alerami. Tor był stolicą Wojskowych Okręgów Wschodnich Pogranicza, Rewin Okręgów Zachodnich. To tutaj dosyłano i składowano niezbędne zapasy, przygotowywano uzupełnienia i trzymano odwody. Szkolono, a właściwie nauczano, oficerów najwyższej rangi, a więc tysięczników i nad tysięczników imperium, bo Tor i Rewin były także wojskowymi uczelniami.

o o o

W Rewinie, w głównej bryle budowli, u podnóża precudnego stołpu o kształcie wynaturzonego grzyba, mieściła się Sala Odpraw.

Widziała niejedno – ale takiego grona chyba jeszcze nie. Przeważali niewojskowi, dałoby się naliczyć nie więcej niż dziesięć osób w białych, niebieskich i niebiesko-szarych tunikach Legii Armektańskiej oraz Armektańskiej Straży Morskiej (trzej przedstawiciele floty nosili hajdawery zamiast spódnic). Oprócz żołnierzy przy ogromnym stole zasiadło jeszcze trzech mężczyzn i kobieta – mieli na szyjach owalne

medaliony o rozmiarach połowy dłoni, zawieszane na srebrnych, niezbyt grubych łańcuchach – było to grono uczonych, przysłanych przez cztery wielkie uczelnie Trzech Portów. Osobną grupę stanowili urzędnicy imperium, choć należałoby rzec sprawiedliwiej: urzędniczki i urzędnicy, bo w tym dość licznym gronie było więcej kobiet niż mężczyzn. Armekańczycy uważali, że kobiety, mniej podatne na korupcję i nie tak łase na karierę dla samej kariery, znacznie lepiej sprawdzają się na najwyższych stanowiskach tego rodzaju.

Miejsce u szczytu stołu samotnie zajmował pięćdziesięcioletni, po męsku bardzo urodziwy mężczyzna, ze skroniami przyprószonymi siwizną i tak samo przysrebrzoną, krótko przyciętą brodą. Po lewicy miał Nadtysięcznika-Komendanta Wojskowych Okręgów Zachodnich Pogranicza, po prawej ręce zaś kobietę, ku której zwracały się wszystkie spojrzenia, bo w tym niezwykłym gronie wyróżniała się niezwykłością.

Siwiejący na skroniach mężczyzna był przedstawicielem i małżonkiem jej wysokości A.S.N.Weremy, cesarzowej Wiecznego Cesarstwa, a kobieta po jego prawicy nie używała na co dzień żadnych tytułów poza grzecznościowymi, jednak listy podpisywała zwyczajowo: lah'egri, Przyjęta przez Pasma. Jej godność Kesa była jedyną żyjącą historyczką Szerni i jedną z nielicznych kobiet, jakie w ogóle na przestrzeni dziejów zostały przyjęte przez wiszącą nad światem Potęgę.

Przykuwała spojrzenia. Już od kilku dni gościła w Rewinie i oswojono się z tym, kim jest. Ale nie z urodą. Wysoka i trochę zbyt szczupła czterdziestodwuletnia blondynka, o dumnie wygiętych brwiach i onieśmielającym, iście królewskim spojrzeniu, miała urodę hodowlanej Perły. Zupełnie nieprzebrzmiała.

Kiedyś rzeczywiście była Perłą.

Może od stu lat nie widziano w tych murach kobiety o takiej urodzie. Albo w ogóle nigdy. Żołnierka Legii Armektańskiej, nawet jeśli ładna i młoda, musiała się obyć bez klejnotów, różu, czernidla do brwi... No i bez takiej sukni. Żeby choć armektańskiej – ale to był dartański brokat, w tym zamczysku aż nieprzyzwoity. Jedyna obecna w Sali Odpraw żołnierka, postawna i wcale niestara nadsetniczka, w swojej wojskowej tunice miała się do Przyjętej całkiem nijak.

Przy stole toczono spór. Nikt już chyba nad nim nie panował. Pozornie.

Bo oto Księżę Małżonek odchrząknął i po chwili zaległa cisza. Wiedział, że ludzie muszą się wygadać, a czasem nawet pokłócić, więc pozwolił. Nie mogło to jednak trwać w nieskończoność.

– Po dwóch dniach rozmów, bo chyba nie obrad – powiedział z lekką ironią, ale bez śladu irytacji bądź gniewu – jesteśmy w tym miejscu, z którego wyruszyliśmy. Ta podróż nie może trwać wiecznie. Wprawdzie Cesarstwo nazwaliśmy Wiecznym, ale to tylko nazwa. Spróbujmy zaprowadzić porządek.

Odchylił się na oparcie krzesła, niewyściełanego, raczej niewygodnego. Armektańskiego.

– Wojskowi swoje. – Skinął głową ku ludziom w mundurowych tunikach. – Wdeptać w ziemię wszystko, co przyjdzie z tamtej strony. Wystarczy trochę więcej pieniędzy, trochę więcej żołnierzy i jasne rozkazy.

Można tu było dodać kilka „ale” i „jeżeli”, niemniej w największym skrócie wszystko się zgadzało, więc nikt nie zaprotestował.

– Urzędnicy swoje. – Teraz skłonił się lekko grupce siedzącej przy drugim końcu stołu. – Nie może być więcej pieniędzy, więcej żołnierzy i nie będzie jasnych rozkazów przynajmniej tak długo, jak długo Rollayna nie określi swojego stanowiska.

Wobec możliwej wojny z Dartanem, wiszącej w powietrzu już od półdekady, nie może być mowy o pieniądzach, żołnierzach ani ostatecznych rozkazach. Czy tak?

Znowu nikt nie zaprotestował.

– Teraz uczeni: nie można wdeptać w ziemię wszystkiego, co się po niej porusza, nie zapytawszy najpierw, co to w ogóle jest. Wszystko powinno poczekać, aż dowiemy się więcej. Czas! Potrzebny jest czas i rozwaga.

Trzy głowy skinęły twierdząco (bo właściciel czwartej, najstarszy przy tym stole, odpoczywał z przymkniętymi powiekami), więc księżę Ramez odskinął im.

– Wasza godność? – zwrócił się do Przyjętej, czyniąc jednocześnie dłońmi skąpy gest, oznaczający chyba, że odkrył matematyczną prawdę w rodzaju: zero plus dwa minus dwa to nadal zero.

– Ale ja już mówiłam, księżę, że... nie mam nic do powiedzenia. Doszło do Drugiej Wojny Potęg, Szerń i Aler starły się nad Szererem i ta wojna nie skończyła się jeszcze albo nie umiemy poznać, że tak jest. Doszło do czegoś w rodzaju zawieszenia broni, żadna z Potęg nie wróciła do równowagi, trwają w gotowości do podjęcia zmagania. Wiele wskazuje na to, że Aler się rozpada i jest to proces bardzo szybki, nawet w naszych, ludzkich kategoriach. Rozciągnięty na kilka lat, a trzy już minęły. Powiedziałabym, że Szerń czeka z bronią u nogi, aż wrogie wojsko straci resztki wartości bojowej. – Uśmiechnęła się lekko do wojskowych. – Ale to tylko... bajka o Wojnie Potęg. Bajka, bo to się dzieje „za siedmioma górami i siedzioma rzekami”.

– Tylko za jedną rzeką i jednym pasmem górskim, wasza godność – powiedział sucho komendant Okręgów Zachodnich, który jako współgospodarz Rewinu i najstarszy stopniem wojskowy sam sobie udzielił głosu.

– Nie, panie – odparła równie sucho – i to właśnie próbuję od wczoraj wytłumaczyć. To, co się dzieje po drugiej stronie granicy, jest oczywiście skutkiem Wojny Potęg i rozpadu Aleru. Ale dla nas przy tym stole to zupełnie obojętne. Przyczyny? Co nas obchodzą? Te zmagania ponad światem to tylko taka ciekawostka albo baśń. Czczą wiedza. Jeśli przyjdą stamtąd czteroskrzydłe smoki, dwugłowe olbrzymy czy cokolwiek – zrobiła mimowiedny ruch ręką, bo w niewielkiej salce obok było właśnie to „cokolwiek”, a raczej jego szczątki – to możemy użyć zbrojnej siły, nauki, ale nie Pasm Szerni ani żadnych innych „mocy”. To się dzieje zupełnie osobno. Pewien bardzo mądry człowiek, lubiący podawać obrazowe przykłady – uśmiechnęła się nieznacznie, bo miała na myśli konkretną osobę, a mianowicie swego męża, przyjętego przez Szerń tak jak ona – powiedziałby pewnie, że gasimy pożar i możemy to czynić w taki lub inny sposób. Ale bójka podpalaczy, którzy gdzieś uciekli i mordują się teraz nawzajem albo właśnie przestali mordować, nie ma dla nas żadnego znaczenia.

– Jeśli Aler się rozpadnie, wasza godność? Czy nasze „dwugłowe olbrzymy” nie znikną? Nie poumierają?

– Możliwe. Możemy poczekać, aż pożar sam zgaśnie, ze wszystkimi konsekwencjami tej decyzji, bo może przecież ogarnąć całe miasto. Jestem tylko Przyjętą, panie, i nie znam się na gaszeniu pożarów. Sporo wiem o podpalaczach, ale ta wiedza jest bezwartościowa dla kogoś, kto chce walczyć z ogniem.

– Czy nie wrócą, by podpalić coś jeszcze?

– Możliwe. Nie umiem tego przewidzieć ani temu zapobiec.

– Jaki więc pożytek z twojej wiedzy, pani?

– Już drugi dzień, panie, dowodzę, że żaden. Ile razy powinnam powtórzyć?

Popatrzyła wprost na komendanta. Rzecz nietrudna, bo siedzieli twarzą w twarz.

Wojskowi musieli nie znosić tej kobiety. Niestety. To chyba nie była jej wina, po prostu taką miała urodę, taki układ oczu i brwi. Nawet gdyby legła na posadzce w tej sali, to i tak patrzyłaby z góry. Na ludzi, na których nie patrzyła z góry nawet cesarzowa.

Chociaż... Cesarzowa, niestety, czasem tak. Nie powinna. Ale była przynajmniej cesarzową.

Kesa-Przyjęta nie. I jednak nie wszystko dało się przypisać układowi brwi, bo ten nieśmiertelny królewski półuśmiech, stale zabłąkany na jej ustach, nie wynikał po prostu z urody.

Taka była. Królowa z niewolniczej hodowli. I niejeden miał ochotę powiedzieć to głośno. Bo nie tylko wojskowi źle się czuli pod spojrzeniem pięknej historyczki Szerni. Była oglądana, często podziwiana – ale lubiana przez nielicznych.

Książę Ramez znowu odchrząknął. Łudził się, że Przyjęta zdoła nadać obradom jakiś nowy kierunek; powinien uczynić to sam, lecz nie miał żadnego pomysłu. Zamiast tego gotowa była sprzeczać się z żołnierzem. No, co prawda to nie ona parła do sprzeczeki.

Liczył wszakże, że Przyjęta ma więcej rozumu niż żołdak. Choćby nawet jeden z najznamienitszych w Armekcie, dowodzący kiedyś Armią Wschodnią, po śmierci sławnej nadtyśięczniczki Terezy.

– Wasza godność, ja także czasem zapominam, że nie zdołasz wytłumaczyć wszystkiego – powiedział, łagodnie stając w ten sposób w obronie nadtyśięcznika W.Aroneta. – To nie jest zwykła wojna graniczna.

Prawdę mówiąc, małżonek cesarzowej też nie miał serca do wyniosłej Kesy-lah'egri. Skrywał to niezwykle starannie, bo jej

mąż był człowiekiem, któremu sporo zawdzięczał i którego nazywał przyjacielem.

Skinęła głową, zanim skończył mówić; przyjęła reprimendę. Oczywiście, że miała więcej rozumu niż żołnierz. Być może więcej niż ktokolwiek w tej sali, nie wyłączając uczonych.

Dotknęła palcami prostego, ale jednak delikatnego pucharka. Wszyscy mieli przed sobą posrebrzane cynowe kubki. Bez żadnego zażenowania poprosiła wczoraj o coś, z czego będzie mogła napić się wina.

Teraz właśnie upiła łyk.

– Dokładnie w roku trzysta dziewięćdziesiątym siódmym ES, czyli trzydzieści sześć lat temu, doszło tutaj do wojny znacznie większej niż inne wojny graniczne – powiedziała. – Wszyscy wiemy, kto wygrał: armektańscy żołnierze. Szerszą wiedzą o skutkach tej wojny, skutkach dla dwóch Potęg walczących nad światem, niestety nie dysponuję. Podzielę się domysłami.

No, nareszcie.

– Przyjmuje się, że Potęgi takie jak Szerń i Aler nie stwarzają życia, potrafią jedynie je przekształcać. Ale to tylko założenie, pewności brak. Zwierzęce gatunki otrzymują rozum, będący modelem, odbiciem Pasm albo Wstęg, czasem są przy tym nieznacznie poprawiane. Koty mówią; krtań i język kota są trochę inne niż u podobnych gatunków, na przykład u rysia. Wydawało się dotąd, że to mogą być takie zmiany albo niewiele poważniejsze. Tak przynajmniej to wygląda u nas, pod naszym niebem, bo Szerń jest potęgą zrównoważoną, zachowującą należyte proporcje w działaniu. Inaczej niż Aler, który...

Zawahała się.

– Są i takie opinie, że Srebrni Alerowie to... ludzie – powiedziała. – Pod niebem Aleru to chyba nie były drobne zmiany.

Spoglądano z niedowierzaniem.

– Świadoma część Szerni – podjęła Przyjęta – wyłoniona z martwej i bezmyślnej Potęgi, nadała rozum trzem gatunkom u nas. Podobna część Aleru wyłoniła rozum tam, za granicą. Otrzymały go dwa gatunki, nazywane przez nas Srebrnymi i Złotymi Plemionami. Teraz chyba pojawił się trzeci. Ta stwarzająca rozum, świadoma część Aleru, podobna do naszego Rongoloa Krafa, czyli Największego Nie-Czuwającego, uśpiona była tutaj, na terenach północnego Armektu. Olbrzymi jak wzgórze kamienny posąg, wypełniony czymś, co przywodziło na myśl bardzo drobny piasek, nieledwie kurz. Wciąż żyją ludzie, którzy brali udział w tej wojnie, a nawet tacy, którzy widzieli ten posąg, zanim spalili go Srebrni Alerowie. Spalili, broniąc się przed czymś. Tutaj, pod niebem Szerni, sprawcze siły alerskiego Dawcy Mądrości nie mogły się zbudzić, bo zostałyby natychmiast zaatakowane i zniszczone przez Pasma Szerni. Aler sięgnął po tę uśpioną treść i być może wchłonąłby ją, by znów wyodrębnić jako sprawczą siłę, tym razem pod opieką swoich Wstęp. Nie doszło do tego, posąg zniszczono, a uśpioną treść rozproszono. Możliwe, że właśnie zebrała się z powrotem gdzieś pod niebem Aleru. Może osiem lat temu. Niedawno. Mamy pewne powody, by uważać, że tak właśnie jest, nieprawdaż? – Znów zrobiła słaby gest w kierunku przyległej komnatki.

Słuchano z największą uwagą.

– Aler zawsze był Potęgą... uszkodzoną? To chyba najlepsze słowo. Poobijaną. Mówiąc „zawsze”, mam na myśli: odkąd, płynąc nad Bezmiarami, dotarł do naszego kontynentu i uczepił się jego skraju, walcząc o przetrwanie, bo wydaje się, że ląd jest takim Potęgom niezbędny. Pokonany w Pierwszej Wojnie, zepchnięty na same rubieże, zapewne jeszcze przed wojną obdarzył bardzo niedoskonałym rozumem dwa gatunki, już o tym mówiłam, a zresztą wszyscy tutaj to wiedzą. Oszczędzę

długiej opowieści o prawdopodobnym wpływie tego nieudanego rozumu na Wstęgi Aleru, bo taki wpływ, i to niszczący, był i jest wywierany. My także wpływamy na Szerń, ale Szerń jest Potęgą nieuszkodzoną, a w każdym razie sprawną i potrafi odzyskiwać równowagę. Aler chyba już nie. Być może trzeci rozumny gatunek alerski powstałby tak czy inaczej, i nie różnił się bardzo od Srebrnych i Złotych Plemion. Ale doszło do Drugiej Wojny Potęg. Co jest przyczyną, a co skutkiem, nie wiem.

Znów upiła drobny łyk wina.

– Możliwe, że alerski Dawca Mądrości przebudził się przed ośmioma laty, by dać rozum. Ten akt przebudzenia wzmógł aktywność Aleru i wtedy Szerń zaatakowała. Nie od razu. Przez kilka lat w strukturze Pasm narastały niezrozumiałe dla nas, dla Przyjętych, zmiany, można to wytłumaczyć jako przygotowania do wojny. Mogło też być odwrotnie: wybuch Drugiej Wojny Potęg, wzmożona aktywność walczących Wstęg i Pasm przebudziły Dawcę Mądrości. Niesprawna, ale wciąż przepotężna ponad ludzkie wyobrażenie struktura, porozbijana, dodatkowo wytracona przez wojnę nawet z tej chwiejnej równowagi, w jakiej jeszcze mogła się utrzymać, nie tylko obdarzyła rozumem, ale ponadto przekształciła, może nawet stworzyła, chociaż powinna być do tego niezdolna... Stworzyła i obdarzyła namiastką rozumu COŚ. To, co jest w tamtej salce. Nie wiemy, co to jest, ile tego jest ani do czego jest zdolne. Wiemy, że można to zabić; to już sporo.

Uniosła swój pucharek na wysokość ramienia i natychmiast stojący z tyłu sługa dopełnił go winem.

– Nie upiję się – powiedziała uspokajająco i ten pierwszy, niewyszukany przecież żart, na jaki sobie pozwoliła, dowiódł przynajmniej, że jest ludzką istotą, a nie jakimś lodowym soplem, z którego wykuto kobietę.

Kilku wysokich dowódców – przecież jednak: żołnierzy – uśmiechnęło się lekko. Zyskała małeńki okruszek sympatii.

– Odnaleźć – powiedziała niejasno, właśnie takim spokojnym tonem, jakim wojskowy dowódca mógłby wydać błahy rozkaz w rodzaju: „Wyprowadzić”. Po czym uściśliła: – Rada Przyjętej? Odnaleźć Dawcę Mądrości. Może stworzył i nadał rozum pięciu takim istotom, czy też rzeczom, po czym na powrót zasnął. A może codziennie stwarza sto albo tysiąc nowych. Z baśni, którą opowiedziałam, bo to wszystko, przypomnę, są domysły, nie wiedza, wynika: odnaleźć i zniszczyć Dawcę Mądrości. O ile w ogóle istnieje.

Zaległa cisza.

– Jak wygląda? Czy to znowu wielki kamienny posąg?

– Nie sędzę. Nie wiem, jak wygląda. I nie mam żadnych przypuszczeń.

– Czy może być podobny do naszego...

– Rongoloa Krafa? Możliwe. Ale Krafa nikt nigdy nie widział. Nie znaleźliśmy go w Romogo-Koor, nie wiemy, gdzie się znajduje ani jak wygląda. Jego istnienie jest dowiedzione, ale... to wywód matematyczny.

– Sprawdzony i potwierdzony wielokrotnie – rzekł jeden z uczonych, chyba rad, że może wreszcie coś powiedzieć. – Akademiccy uczeni nie są mędrkami Szerni, ale matematyka jest jedna dla wszystkich.

– Jeśli ten alerski Dawca Mądrości zostanie zniszczony, to czy Aler go nie odtworzy?

– Możliwe.

– W jaki sposób można go zniszczyć? Czy to leży w zasięgu naszych... w granicach ludzkich możliwości?

– Nie wiem.

– Na wszystkie moce Szerni...

– Wasza godność, powiedz to wreszcie: „Żaden pożytek z twojej wiedzy, Przyjęta”.

Zaległo krótkie milczenie.

– Gdzie może być? – zapytał nadtysięcznik W.Aronet.

Uśmiechnęła się i upiła jeszcze łyżek. Znów z królewską obojętnością.

– Gdzieś?

o o o

Kesa w niewolniczej hodowli przyszła na świat jako dartanka. Małą literą, jak pełnokrwista dartańska klacz. Tak odnotowywano na certyfikacie krew płynącą w żyłach niewolnicy. Była kolejnym miotem pary rozplodowej, w której odpowiednio dobrany dartańczyk krył dartankę. Przez trzydzieści dwa lata życia miała status przedmiotu.

Ale dorastała i zawsze mieszkała w Dartanie. I nie opuszczała go nigdy, aż do dnia, gdy wspaniały mężczyzna poprosił jej wspaniałą panią o wolność dla Perły Domu. Wyzwolona, już nie była dartanką. Uważała się za Dartankę.

Armektanką nie była na pewno. A odwiedziny obcego mężczyzny w jej sypialni, w samym środku nocy – no, to było bardzo po armektańsku. Aż nazbyt.

Oczywiście zapytał służebną niewolnicę, czy jej pani nie śpi. I dopiero wtedy poprosił, by go zapowiedziano.

Miała zażądać z powrotem sukni i kazać ją sznurować? To trwało trochę dłużej niż klaśnięcie w dłonie. Ale przecież, no, właściwie po co?... Czyżby ktoś nie wiedział, jak wygląda nieubrany człowiek? Odwiedził ją Armektańczyk. Gdyby brała kąpiel, to na pewno byłby skłonny przysiąc na taborecie i nie odprawiając łaźiebnej, wyłuszczyć krótko sprawę, z którą przyszedł. Wielka narada, no tak, oczywiście, ale teraz

zamienimy przecież tylko kilka słów. Późno już i pora spać, nie będziemy chyba, Keso, bawić się w ceremonie?

Czyżby ktoś nie wiedział, że ludzie się kąpią?...

Bezpośredniość i prostolinijność tych wiecznych łuczników Równin wprawiała czasem w zakłopotanie.

Przyjęła gościa, siedząc w łóżku, owinięta swoim futrem z granatowych lisów. Może nie kosztowało tyle, ile ten cały zamek, ale wieżę bramną kupiłaby na pewno. A skądinąd wcale nie było jej zbyt ciepło. Te forteczne mury przejmowały chłodem. I to teraz, jesienią. A zimą?

– Naprawdę, książę... Nie wiem, co powiedzieć – odezwała się bezradnie, gdy stanął w drzwiach i milczał, czekając na słowa gospodyni, bo tak przecież nakazywało dobre wychowanie. – Oczywiście, to jest Armekt. I jesteśmy w wojskowej warowni, czyli prosta dartańska żołnierka powinna chyba... Ale czy koniecznie? Na poranny apel garnizonu też mam się stawić?

– Nie gniewaj się, wasza godność. W ciągu dnia nie bardzo umiem znaleźć wolną chwilę, a jeszcze trudniej taką, gdy nikt się nie domyśli, że przyszedłem porozmawiać z tobą w cztery oczy. Oboje, wasza godność, jesteśmy... cudakami. Konzachty dwojga cudaków? – teraz on zawiesił głos.

Miał słusność.

Jego Cesarska Wysokość Książę Małżonek A.S.N.Ramez, jeszcze jako przedstawiciel Imperatora w Grombie, też majstrował przy Szerni, chociaż nie bardzo potrafił. Okrył się niesławą, popadł w niełaskę, omal nie stracił żony, zawiesiła małżeństwo najpierw na pół roku, potem znowu. Odzyskał dobre imię dopiero kilka lat temu, gdy się okazało, że miał rację. Tak jak przewidywał, doszło do wybuchu Drugiej Wojny Potęg. Nie ziściły się najgorsze obawy, nie uległa dotąd zagładzie żadna kraina Szereru – a chciał je ratować kosztem

dzikiego Grombelardu, którym rządził. Lecz wszystko jeszcze mogło się zdarzyć.

Ramez odzyskał pozycję, a przede wszystkim – żonę. Dowiedział, że nie był szaleńcem, co najwyżej podjął nietrafne, ale dające się uzasadnić decyzje. Nie on jeden na świecie. To można było zrozumieć, a nawet puścić w niepamięć.

Jednak w oczach wielu pozostał cudakiem. Takim nieudanym, niedokończonym Przyjętym. Albo może po prostu Nieprzyjętym.

– Pół tysiąca mil – powiedziała. – Ja ci tego, wasza wysokość, nie zapomnę. Przez miesiąc byłam w podróży, a pędziłam najszybciej jak mogłam. Bo po ludzku jechałabym dwa razy dłużej.

– Nie pomyślałem o tym – wyznał rozbrajająco. – Z Kirlanu do Rewinu jest cztery razy bliżej, z Kanazy to właściwie po sąsiedzku, a wszyscy jechaliśmy tu z Trzech Portów. Rzeczywiście, przecież mieszkasz, wasza godność, pod Rollayną?

– Tak.

– Nie ciebie oczekiwałem. Byłem pewien, że przyjedzie twój mąż.

– Pojechał do drugiej stolicy. Każde z nas pojechało tam, gdzie mogło. I tam, gdzie powinno. W Rollaynie rozmawiałabym z moją dawną panią. To musiałyby być inne rozmowy, niż mogę prowadzić tutaj.

– Chyba tak. Nie pomyślałem, że to tak daleko. Kurierzy na rozstawnych koniach...

– Tak, potrzebują czterech dni, żeby przekazać list z jednej stolicy do drugiej. Niecałego tygodnia, jeśli nie ma pośpiechu, a trzech dni, jeśli sprawa jest najwyższej wagi. Wyglądam, wasza wysokość, na kurierkę?

– W tym futrze? Moja żona takiego nie ma. Cesarzowa.

– Nie ma, bo jest Armektanką. Umarłaby, gdyby włożyła to na siebie. W jaki sposób chroni się przed chłodem? Ma w skrzyni konopny worek?

Parsknął, rozbawiony. I bezceremonialnie przysiadł na skraju łoża.

– Nie. Ciepłe, lecz niedrogie futro stepowej pantery. Ale ma je już chyba... no, z piętnaście lat.

Uniosła dłoń.

– Dobrze, ja w ogóle nie chcę tego słuchać. Rozmawiajmy, wasza wysokość. Chyba że chcemy razem zjeść w tym łóżku śniadanie.

– Rewin dlatego – powiedział, wiedząc doskonale, że ta kobieta nadąży za nim myślami – że bardzo źle się rozmawia o wojsku, trupach, stanicach i granicach, jeśli siedzi się w domu albo dwie ulice dalej. Żołnierzy nie liczę. Cała reszta przy tym stole jeszcze wczoraj nie pamiętała, jak wygląda dziesięć drzew obok siebie, takie lasy w stolicy nie rosną. Specjalnie ich tu przywlokłem, to alerskie truchło mogłem przecież sprowadzić do Kirlanu, nie musieli oglądać go tutaj. Ale widziałaś uczonych? Niewiele mówią, prawda? Bo dotarło do nich, że czekać, badać, rozważać, wszystko to można w miejskiej bibliotece albo w salach ich akademii. A tutaj, gdy któryś powie: „Dowiedzmy się o tym więcej”, to zaraz milknie, bo wie, że gotów jestem wskazać mu okno, za którym deszcz ze śniegiem pada na równinę, i odpowiedzieć: „Proszę, panie, dowiaduj się”. Urzędniczek i urzędników dotyczy to tak samo. A może nawet tym bardziej, bo uczeni mają więcej wyobraźni.

– Przyjętej dotyczy trochę mniej. Kilka lat temu byłam w Grombelardzie. Wjechałam konno do Grombu. Do tego, co z niego zostało.

– Wiem, Przyjęta. Ale jednak dobrze się stało, że zobaczyłaś Rewin.

– Właściwie dlaczego?

– Bo w całym Szererze nie istnieje nic potężniejszego. Jeśli ta twierdza padnie, to padnie wszystko. Wiem, pani, że niewiele możesz zrobić, znam możliwości Przyjętych. Ale pewnego dnia, jeśli usłyszysz, że padł Rewin... Wtedy będziesz wiedziała, co upadło. I możliwe, że zrobisz coś niemożliwego.

– Podobno Alerowie nie potrafią zdobywać umocnień. Nawet drewnianych, stanicznych.

– Ale potrafią je otoczyć. Załoga tego zamku może umrzeć z głodu, jeśli nie będzie nikogo, kto przedarłby się z odsieczą.

– Książę, czy są powody?... – zapytała wolno. – Niczego nie lekceważę, mam bardzo duże obawy, ale... Nie potrafię ocenić problemu z wojskowego punktu widzenia. Na razie chyba jeszcze nie dzieje się nic strasznego? A może już jednak się dzieje?

– Wstęgi Aleru cofnęły się tak daleko, jak chyba jeszcze nigdy, wiesz o tym lepiej ode mnie. Kilkakrotnie pojawiło się to „coś” żywego albo nieżywego, czego nawet nie umiemy nazwać. A te zagony Alerów...

Uczynił niejasny gest.

– Uciekają – powiedział. – Srebrne Plemiona uciekają. Bijemy się z wielkimi zagonami, ale te zagony to bandy uciekinierów, nie łupieżcze hordy. Prowadzą swoje kobiety i dzieci. Walczą z nami, bo tu jesteśmy i nie chcemy puścić ich dalej, do środka Armektu, a może i Dartanu. Gdyby nie to, pociągnęliby chyba na południe tak daleko, jak to możliwe. Wasza godność, dajemy im tu w skórę od setek, od tysięcy lat. Od zawsze, odkąd pojawił się ludzki rozum. Nie wybiliśmy ich do ostatniego, bo kampania pod niebem Aleru jest niemożliwa. Ale tutaj jesteśmy górą. Uciekają spod własnego nieba pod niebo Szerni, na tereny odwiecznego wroga, który ich tłucze od zawsze. Tu jest chyba bezpieczniej, wasza godność. Bezpieczniej niż u nich. Co

musiałoby wydarzyć się u nas, żebyśmy całymi rodzinami, z dziećmi, uciekli na ziemie Alerów?

Milczeli przez chwilę.

– O czym chciałeś rozmawiać, książę?

– Właśnie o tym.

Czekała.

– Wasza godność – powiedział – Grombelardu już właściwie nie ma, to zajęty przez łachudry półwysep odcięty od reszty Szereru, który dzięki żołnierzom dartańskim nie przysparza specjalnych kłopotów, ale nie ma też z niego pożytku. Trochę się do tego przyłożyłem, ale tylko trochę, bo to przecież nie Cesarski Przedstawiciel rządził Ciężkimi Górami, zabrakło kogoś innego. Grombelard to teraz właściwie tylko jedno portowe miasto na północy, zarządzane przez mojego szwagra. Głupca, którego trzyma na krótkiej smyczy stara przyjaciółka mojej żony. Po drugiej stronie kontynentu jest Garra, która za kilka miesięcy wybije się na niepodległość, bo nikt nie zdoła temu zapobiec. Nawet rządzący tam drugi z moich szwagrów, człowiek o wiele mądrzejszy i mający więcej cech władcy, niż ktokolwiek kiedyś przypuszczał. Poznałaś go przecież, nie szczędzi trudu, ale... nic nie zrobi. Ani on, ani nikt. Z dnia na dzień zostanie wskrzeszone wrogie zamorskie królestwo, gotowe dołożyć wszelkich starań, by Armekt, a najlepiej wszystkie państwa kontynentalne przestały istnieć. To koniec Wiecznego Cesarstwa, pora wrócić do skromniejszej nazwy: Królestwo Armektu. Na to królestwo bardzo nieprzychylnie spogląda najpotężniejsza dzisiaj kobieta na świecie. Ależ tak, wasza godność, oboje wiemy, że nie mam na myśli mojej żony, władczyni resztek imperium. To nie ona, lecz królowa Ezena ze swej stolicy w Rollaynie decyduje dziś o losach Szereru. Skrzywienie jej ust lub zmarszczenie brwi zdecyduje o tym, czy Armekt otrzyma wsparcie licznych chorągwi dartańskich,

odzyskując zarazem legiony strzegące południowo-wschodniej granicy. Wydaje mi się, że na całym wielkim świecie istnieje tylko jeden człowiek, który ma jakiś wpływ na tę kobietę, na królową Ezenę. To twój mąż.

Uśmiechnął się. Nie, nie ironicznie, bo wręcz kpiąco. Wiedział, jak czuje się ktoś, od kogo zależy zbyt wiele.

– Z tego wynika – zakończył – że jego godność Gotah-lah’agar stanowić będzie o przyszłości Szereru. Czy on o tym wie?

– Jest najmądrzejszym człowiekiem na świecie – powiedziała z niezachwianą pewnością. – Jeśli my, książę, o tym wiemy, to on także. Czy upadek Armektu jest przesądzony?

– Z powodu Alerów? Nie. Nikt nie wie, jaka będzie ta wojna, na pewno wielka, ale może niekoniecznie beznadziejna. Armekt nie boi się Alerów aż tak jak królestwa, którego jest przedmurzem. Alerów pokonamy albo zatrzymamy, ale nie pokonamy Dartanu. To pierwsza z rzeczy, o których chciałem mówić tylko z tobą. Nikt w tym gronie nie musi wiedzieć, że zarówno ty, pani, jak i twój mąż jesteście kimś więcej niż tylko poproszonymi o opinię doradcami. Przecież nie wrócisz do Rollayny – stwierdził, nie zapytał. – Niech zgadnę: pozwolisz, bym zaprosił cię do stolicy. W imieniu najgodniejszej cesarzowej.

– W żadnym razie. Ale skoro tak nalegasz, książę...

– Rad jestem, że przełamałem twój twardy opór, pani.

– Sprawy – przypomniała. – Bo ta była pierwsza.

– Przypadkowo rzucone zdanie. Powiedziałaś dzisiaj: „Wciąż żyją ludzie, którzy brali udział w tamtej wojnie”. Tej zakończonej trzydzieści sześć lat temu. Nazywamy ją tutaj Wielką Wojną Graniczną.

– Rzeczywiście przypadkowe zdanie. Dla zaznaczenia, że to nie tak dawno.

– Ale oni naprawdę żyją, wasza godność. Mało kto o nich pamięta, a jeżeli już, to najbardziej o ich wojskowych zasługach. Ja jednak, jako, hm, nieudany Przyjęty, interesowałem się tą wojną nie tylko jako ciągiem przemarszów, bitew i potyczek. Coś dziwnego przydarzyło się małemu oddziałowi żołnierzy, który znajdował się tuż obok pagórka kryjącego Dawcę Mądrości, gdy Srebrni Alerowie zaczęli go odkopywać. Żyje i ma się niezgorzej łuczniczka, która wtedy tam była, jest dzisiaj jedną z najślawniejszych armektańskich żołnerek, a wydaje mi się, że ją znasz, wasza godność. I być może wciąż żyje dowódca tamtego oddziału.

ROZDZIAŁ 3



Hodowlane Perły wymyślono jako najdroższe bibeloty Szereru. Bardzo urodziwe i gruntownie wykształcone, nie były warte przecież nawet połowy tych pieniędzy, jakie za nie wykładano. Zwłaszcza że zużywały się niebywale szybko: piętnastolatka, za którą zapłacono zawrotną sumę, już dziesięć lat później zaczynała tracić na wartości, a gdy przekroczyła trzydziesty rok życia, szanujący się dom powinien kupić nową. Starą dało się zbyć na rynku wtórnym za mniej niż połowę pierwotnej ceny.

Jak zawsze i wszędzie, istniały wyjątki od reguły. Czasem nawet czterdziestolatka, jeśli była dobrze utrzymana – a najczęściej tak właśnie się działo – mogła nadal wypełniać zadania Pierwszej Perły Domu i nikt się temu nie dziwił, a wystawiona na sprzedaż kosztowałaby tyle, ile wydano w hodowli.

Na przykład Perła cesarzowej. Odkupienie klejnotu od władczyni imperium niebywale podniosłoby prestiż nowego właściciela. Samo wystawienie takiej niewolnicy na sprzedaż byłoby wielkim wydarzeniem, o którym w całym cesarstwie trąbiliby miejscy obwoływacze.

Dotyczyło to, rzecz jasna, nie tylko monarszych dworów. Było wiele rodów mających duże, choć tylko lokalne znaczenie. W południowym i środkowym Dartanie bez trudu można by naliczyć dziesięć Domów, od których sto innych natychmiast odkupiłoby używane Perły.

Pierwszej Perły najświetniejszego ze wszystkich dartańskich Domów, Domu K.B.I., nikt na razie nie zamierzał sprzedawać, choć liczyła sobie trzydzieści jeden lat. Co prawda nie wyglądała na tyle – ale jeszcze mniej, prawdę mówiąc, wyglądała na najdroższą niewolnicę Szereru. Długonoga i ładnie zbudowana, miała jednak cokolwiek przyciężką figurę, zdradzającą nadmierne zamiłowanie do łakoci. Delikatnie rysował się brzusek. O, do otyłości było jej daleko; w żadnym razie nie była gruba...

Ale szczupła – cóż, tym bardziej nie.

Oznaczało to tylko tyle, że właścicielka z jakichś powodów traktowała ją nazbyt pobłażliwie i pozwalała na wiele.

Cały Dartan znał te powody. Przyjaciółka królowej i powiernica wszystkich jej sekretów, przy tym naprawdę niezastąpiona w zarządzaniu domem i potrafiąca mądrze doradzić w każdej sprawie, bezgranicznie oddana swojej pani, musiałaby dopuścić się prawdziwej zbrodni, by trwale popaść w niełaskę.

Bo nietrwale popadała co najmniej raz w miesiącu.

Teraz szła pałacowym korytarzem i wszystko co żywe uciekało jej z drogi. Była złośliwa, kapryśna i znienawidzona chyba nawet przez drzewa w parku. Gdy nikt nie widział, na pewno oskubywała je z kory.

Pod każdym względem stanowiła przeciwieństwo królowej. Bo Ezenę powszechnie lubiano (a już lud stolicy wprost ją kochał), była zdecydowaną, ale sprawiedliwą, ponadto łagodną i wyrozumiałą władczynią. Wybaczano więc jej nawet łajdaczkę Pierwszą Perłę, wobec której królowa jakoś nie umiała być sprawiedliwa ani zdecydowana.

Łajdaczka właśnie biegła do swojej pani, bo znowu przebrała miarkę i wszyscy w pałacu to widzieli. Nikt nie miał pojęcia, o co poszło. Najczęściej chodziło o niezliczonych mężczyzn,

których Perła trzymała w skrzyniach, za kotarą, pod łóżkiem i przynajmniej dwóch w samym łóżku – miewała ich o każdej porze dnia i nocy, więc musieli być gdzieś pod ręką. Ale, choć tym razem nikt nie wiedział, co zrobiła piękna Anessa, to dla każdego dworzanina było jasne, że się naraziła. Wszyscy znali tę minę i ten krok.

Nikt się jednak nie cieszył. Im bardziej oberwała – tym bardziej obrywał później cały dom.

Królowa czekała w ulubionym pokoju dziennym. Nie robiła nic innego, tylko stała i czekała. Jeśli miała jakieś zajęcia, to widocznie je odłożyła. By stać i czekać na niewolnicę.

Niedobrze.

– Wasza królewska wysokość.

Były same.

– Przyjęty – odpowiedziała krótko monarchini.

Anessa naprawdę nie wiedziała, o co chodzi. Błękitne oczy i drobne usta współtworzyły wyraz zdziwienia.

– Ale... – powiedziała, bo chyba naprawdę oczekiwała reprymendy za coś innego. – Nie pokłóciłam się z nim.

Gotah-Przyjęty znał Anesę od dawna i myślał o niej z grubsza to, co wszyscy. Perła odpłacała mu atencją na pokaz, zazwyczaj aż przesadną, w której tle kładła się cichutka wiadomość: „To dlatego, żebyś nie miał szansy się do mnie przypier...”.

– Nie nie – powiedziała królowa. – Jeszcze raz.

– Nie pokłóc...

– Że co?... NIE POKŁÓCIŁAŚ SIĘ, niewolnico, z jednym z największych uczonych Szereru i Powiernikiem Królowej? Pięć! – powiedziała Ezena, pokazując tyleż rozcapierzonych palców uniesionej dłoni. – Niech ta liczba na zawsze utkwi w twojej pustej głowie. Pięć. Tyle osób w Dartanie zachowało ten tytuł, przyznawany kiedyś na prawo i lewo każdemu, kto się

ładnie uśmiechnął. Nie znaczył nic, a teraz znaczy. Pięć osób w całym Dartanie ma prawo do tego tytułu. A powiedzcie ci, ile jest Pereł? Właściwie to nie wiem, ale zaraz może być o jedną mniej. Przynieś no mi swój certyfikat.

Wyglądało to naprawdę niedobrze. A najgorzej dlatego, że Anessa wciąż nie wiedziała, o co gniewa się na nią królowa.

– Wasza wysokość, ja naprawdę nawet jednym słowem...

– O tym właśnie mówię.

Anessa zamilkła.

– Jesteście sobie warci – skonstatowała królowa nieoczekiwanie. – O tak, ja też się czasem buntuję. Pamiętasz, co wyprawiałam w Sey Aye? Opowiedz.

– Chodziłaś nago po domu – bąknęła Anessa.

– Niezupełnie, ale niech ci będzie. Dziesięć lat temu. A tutaj? Widziałaś mnie kiedyś na korytarzu w słabo zawiązanej koszuli niosącej kolan? Nauczyłam się nad tym panować i kiedy chcę się wyfukać, to nie wychodzę z sypialni. Wszyscy słyszą, że się przeziębiam, a ty obrywasz za całe zło świata. Można? Można.

Odwróciła się i podeszła do okna, biorąc po drodze jabłko z kosza stojącego na stole.

– Fumy i fochy. Mędrzec Szerni i Pierwsza Perła królewskiego Domu – ciągnęła, przewracając oczami, czego Anessa mogła się tylko domyślać, bo jej pani odwrócona była tyłem. – Jego zaraz stąd przegnam, a ciebie... No nie – powiedziała zrezygnowana. – Nie mogę, choć bardzo chcę. Podobno mam jakąś władzę? Za mało, żeby wyprosić nieznośnego gościa i odprawić niewolnicę. Królowa Dartanu! – parsknęła.

Ugryzła jabłko; chrupnęło.

Do Anessy zaczęło coś docierać. Już chyba... prawie wiedziała.

Ezena uporowała się z kęsem owocu i znów stanęła twarzą do swej Perły. Trzymała jabłko w uniesionej dłoni.

Różniły się urodą tak samo, jak usposobieniem. Wysoka i mocno zbudowana królowa miała czarnogranatowe włosy i różnobarwne oczy figlary: jedno zielone, drugie czarne. Niczego więcej figlarnego w jej twarzy nie było. Zdecydowany podbródek, wyraziste rysy. Niżej szerokie ramiona, duże piersi, okrągłe biodra; to nie było chuchro, które można przerzucić przez ramię i gdzieś unieść. Urodziwa kobieta, ale w typie wojowniczkii. Zabawne, bo nigdy w życiu nie użyła żadnego oręża i minęły chyba lata, odkąd miała w ręku sztylet albo włócznię. Zmuszana do ćwiczeń z bronią, w końcu ich poniechała, bo nie przejawiała najmniejszego talentu. Chociaż, naprawdę rozgniewana, potrafiła rzucić krzesłem w drzwi.

Stojące przed nią słodkie dziewczę o blond włosach jeździło konno jak armektański Jeździec Równin i choć też nie miało serca do broni, to było niebezpieczne jak zmija. Pozbawione jakichkolwiek skrupułów, gdy w grę wchodziło dobro jej pani. Bez wahania udusiłaby niemowlę, gdyby zaszła taka potrzeba.

– Ile tam było osób? Pięćdziesiąt? – zapytała już spokojniej Ezena. – Wstał z łóżka lewą nogą, tak to się mówi? I szukał guza, i prowokował cię, bo cię nie lubi. Zrobiłaś z niego durnia, albo raczej sam z siebie zrobił, a ty mu pozwoliłaś. Nie, nie wiem, co powinnaś zrobić w takiej sytuacji, nie ja jestem Pierwszą Perłą królowej. Może powinnaś zemdleć albo pod byle pretekstem wynieść stamtąd swoje tłuste pupsko. Zamiast tego usadziłaś go przed kilkudziesięcioma osobami. Jesteś nieoceniona.

Anessa przygryzła wargę.

– Ten człowiek nie jest chodzącą doskonałością, czasem coś go ugryzie. Rzadko, ale miewa humory jak baba w ciąży, no trudno – ciągnęła królowa. – Ja o tym wiem i ty wiesz. Wolno mu mieć jakieś wady, bo w zamian niektóre sprawy rozumie lepiej niż ktokolwiek inny na świecie. Bardzo, ale to bardzo potrzebuję jego pomocy. Poparcia. Autorytetu. Nie mam pojęcia,

jak go odbudować. – Roześmiała się i rzuciła jabłko w kąt. – Przez cały wieczór przy niezliczonych świadkach użerał się z niewolnicą, która nawet mu nie zechciała należycie odpowiedzieć, choć z każdym innym w tej sali przynajmniej podjęłaby rozmowę. Nie minęło pół doby, a cały pałac opowiada tylko o tym. Jutro, gdy się powołam na jakąś jego opinię, to usłyszę z kąta podśmiejki. Nie wiem, jak ci dziękować, ty... blondynko.

– Przepraszam, wasza wysokość – szepnęła Anessa.

– To za mało. Odszukasz go, a raczej odwiedzisz, bo myślę, że jest u siebie. Porozmawiacie. Obudził się dzisiaj i jestem pewna, że już wie, co przy twojej pomocy nawyczyniał. Ty też już wiesz. Macie porozmawiać i jakoś to wszystko odkręcić. Dwoje ludzi – królowa przytknęła palce do skroni, jakby próbowała utrzymać w głowie myśli – mogących się rozmówić we wszystkich językach Szereru, którzy przeczytali wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane. Perła z najlepszej hodowli i historyk Szerni. Kiedy on wymienia zdarzenie, to ty dodajesz datę; ty zaczynasz, a on kończy zdanie. Między wami zawsze siedzę jak głupia, praczka, która została królową. Pod warunkiem że akurat chce wam się rozmawiać. Pierwsza Perła i Powiernik Królowej. Bo co? Bo się nie lubią. – Rozłożyła ręce, biorąc ścianę za świadka. – Napluj mu do zupy, gdy nie będzie patrzył, a on, kiedy będziesz siadała, niech ci odstawi krzesło.

Poruszyła głowę, wskazując podbródkiem drzwi, i niewolnica uciekła.

o o o

Jego godność Gotah-lah'agar siedział w Rollaynie już od trzech tygodni. Rzeczywiście, miewał czasem humory, ale najczęściej właśnie w stolicy Dartanu. To nie było miejsce dla niego; może

odnalazłaby się tutaj jego żona. Ściśle: odnalazłaby się w pałacu takim albo podobnym. Bo dom Ezeny zarządzany przez Anesę to było ostatnie miejsce, do którego powinna trafić Kesa.

Gotah umiał rozmawiać, a nawet potrafił działać. Ale tutaj rozmową nazywano wygłoszenie pompatycznego orędzia w wypełnionej po brzegi sali, gdzie połowa słuchaczy nie wiedziała, o czym mówiono, a druga połowa nic z tego nie rozumiała. Trzeciej połowy nic nie obchodziło, czwarta połowa nie umiała wyrobić sobie zdania na żaden temat. Tych połówek było bardzo, bardzo dużo, bo zachodziły na siebie, pokrywały się w pełni albo częściowo.

Jeszcze gorzej z działaniem. Działać to w Rollaynie znaczyło: zwołać naradę i udać się do sali, gdzie połowy obecnych nic nie obchodziło, druga połowa nie rozumiała...

Przyjęty tracił czas. Przelewał z pustego w próżne. Niektórzy nawet byli zgodni co do tego, że zarówno w Rollaynie, jak i Kirlanie powinny właśnie zapadać najdonioślejsze decyzje. Zaraz potem rozpalał się spór o to, jakie skutki będą miały te decyzje dla gildii kupców bławatnych na Zachodnich Wybrzeżach. A wstrzymanie budowy okrętów w stoczniach Nin Aye i przesunięcie środków na doposażenie wojsk lądowych osłabi przecież pozycję Domu K.N.E., to zaś nieuchronnie pociągnie za sobą wzrost niezadowolenia trzech rodów południowodartańskich, których kosztem wzmocni się... Wynikiem tego musi być wycofanie poparcia dla... Przecież zdajesz sobie sprawę, wasza godność, że wahania koniunktury na rynku zbożowym muszą przełożyć się na...

Czyli: Rollayna powinna wywiązać się z traktatowych zobowiązań wobec Kirlanu czy nie?

Hm. Doprawdy. Jeśli wojna na północy Armektu jest nieunikniona (ale czy na pewno, wasza godność? czy na pewno?), to oczywiście tak. Chyba tak, może tak, wasza

godność. Ale trzeba uwzględnić skutki, jakie dla Związku Portów Wschodnich – czyli dla Seyenu, wasza godność, dla Seyenu! – będzie miało zamknięcie dla handlu portu w Rinie, a może i Rapie...

Rzeczywiście.

Wprawdzie Szerń właśnie rozwalila na kawałki inną Potęgę, wiszącą od zawsze nad północną częścią kontynentu; wprawdzie nie wiadomo zupełnie, co w związku z tym stanie się lada rok, jeśli nie lada miesiąc (resztki takiej rozbitej Potęgi znikają? wybuchają? tańczą i śpiewają?), nie wiadomo nawet, co dzieje się teraz, bo zza Północnej Granicy wypada do Armektu wszystko, co żywe – a może i nieżywe – gotowe stratować pół Szereru. Jednakże wełna, wożona przez Związek Portów Wschodnich?... No, naprawdę, nie wolno zapomnieć.

Minionego wieczoru mędrzec Szerni stracił cierpliwość (prawdę mówiąc, wcześniej troszeczkę wypił ze złości). I odbił sobie wszystko na Pierwszej Perle Domu jej królewskiej wysokości Ezeny.

Tyle tylko, że wyszedł na dziwaka. Piękna Anessa była chyba zaskoczona, a reszta obecnych po prostu zgorszona objawioną tak nagle niewiedzą Powiernika Królowej na temat skutków, jakie dla losów Szereru może mieć zalegająca na portowym nabrzeżu mokra wełna.

Zapowiedziana przez służebną niewolnicę Pierwsza Perła zastała mędrca Szerni mniej więcej w środku rozważań na temat: Wojna Potęg a wełna w Seyenie.

– Królowa wzywa? – zagadnął, nie bawiąc się w jakiegokolwiek powitania, bo w odróżnieniu od pięknej Anessy, nawet nie musiał udawać, że obdarza ją jakimkolwiek szacunkiem.

– Przeciwnie, wasza godność. Nie przysłała mnie po ciebie, lecz do ciebie.

Zdziwił się. Perła pojawiała się wyłącznie po to, by przekazać zaproszenie królowej. Na naradę, obiad...

Ogarnął spojrzeniem hodowlane cudo i zdziwił się po raz drugi. Ubierała się bardzo różnie, zależnie od humoru i okoliczności. Widział już suknie i klejnoty kosztujące chyba więcej niż utrzymanie całej gwardii pałacowej, kiedy indziej zwykłą szatkę domowej niewolnicy. Teraz miała na sobie bardziej armektańską niż dartańską, ciepłobrazową suknię. Bardzo ładną i gustowną, ale jednak, strach powiedzieć... raczej skromną. I, pomimo armektańskiego kroju, nieodsłaniającą wszystkiego, co tylko można odsłonić. Rozcięcie z lewej strony, pokazujące nogę do kolana, to było przecież nic.

– Tak – przyznała, bez trudu odgadując, co pomyślał.

– No proszę. A dlaczego? – zapytał, bo podobnie bez trudu zrozumiał, co oznacza „tak”.

Oboje przeszli na armektański i nawet tego nie zauważyli; to był najbujniejszy, po prostu najdoskonalszy język Szereru.

Królowa Ezena po stokroć miała przecież słuszność: być może w całym pałacu nie było dwojga ludzi, którzy rozumieliby się lepiej. Pozostawało zagadką, dlaczego potrafili dojrzeć w sobie nawzajem tylko wady, a nie umieli uszanować żadnych zalet.

– Chcę cię przeprosić, wasza godność. Szczerze i niezdawkowo. Dlatego powtórzę: tak, przebrałam się specjalnie dla ciebie. – Parsknęła, jakby sama nie mogła w to uwierzyć, ale zaraz przeprosiła gestem, a potem pokazała palcem krzesło: „Siadaj”.

Zdumiał się po raz trzeci.

Bo wyglądało na to, że po raz pierwszy w życiu Perła królowej chce porozmawiać z nim normalnie.

Ostrzegawczo uniósł palec: „Nic nie mów”.

Nosił mocno szpakowatą brodę, która częściowo skrywała kalectwo – lekko skrzywione usta. Ale wiedział, że choćby dołożył starań, to na jego twarzy stale będzie gościł niezawiniony, nieco kpiący półuśmiech.

Miał nadzieję, że i ona o tym pamięta.

– Gotah-lah’agar i Pierwsza Perła królowej? – upewnił się bardzo ostrożnie.

Po czym, na znak dobrej woli, posłusznie zajął miejsce, które mu wskazała.

– To chyba lepiej – odparła – niż obrażony mądrała i rozpaprana dziwka?

– O, na pewno – przyznał. – Ale daj mi chwilę, Anesso. Przez ile to? Osiem lat? No więc, przez osiem lat rozmawiałem tylko z rozpapraną... mm... Tak.

Nigdy dotąd nie zwrócił się do niej po imieniu. Wyłącznie: Perło.

Powstrzymała się w porę, bo już miała na końcu języka coś w rodzaju: „Zgodnie z każdym twoim życzeniem, wasza godność”. Zauważył to i pomyślał, że jej też nie jest łatwo. Mimo iż miała trochę więcej czasu, by się przygotować.

– Lepiej jednak: Perło – powiedziała. – Nie próbujemy niemożliwego, wasza godność.

Przeszła się po komnatce, raczej ciasnej. Wyjrzała przez jedyne okno, jakby mogła zobaczyć na zewnątrz coś nowego.

Nie istniał na świecie taki dwór monarszy, by zapewnić dość miejsca wszystkim, którzy musieli, powinni bądź mogli się na nim znajdować. Komnatka z przedpokojem – to było wszystko, na co mógł liczyć specjalny gość, doradca królowej Dartanu. Może coś więcej znalazłoby się dla władczyni Wiecznego Cesarstwa, gdyby zechciała złożyć wizytę swojej dartańskiej „siostrze”, a w rzeczywistości bratowej. Bo już tytułowany księciem przedstawiciel świetnego dartańskiego Domu bytował

w takich warunkach jak Gotah, a pomniejszych gości lokowano w ogóle poza pałacem, w jednym z domów noclegowych należących do monarchini. Oczywiście, było tam o wiele wygodniej, no ale...

W niewielkiej komnatce, gdzie dwoje ludzi prawie ocierało się o siebie, widziało każdy grymas i słyszało każde westchnienie, niewolnica i Przyjęty próbowali – choćby na krótko – wyzbyć się uprzedzeń. Może tylko: odłożyć je na bok. Jednak nie było to proste. Łatwo dało się włożyć odpowiednią suknię i wskazać palcem krzesło albo odpowiedzieć: „Anesso”. Poprowadzić normalną rozmowę znacznie trudniej.

Stała plecami do okna. Zdała sobie sprawę, że gospodarz pod światło widzi tylko jej sylwetkę, więc odeszła dwa kroki w bok.

Dała mu trochę czasu, o który prosił. Teraz spojrzała pytająco.

– Nie rozgrzebujemy tego – zgodził się od razu.

Przytaknęła.

– Masz sprawę, Perło? Dość poważną, żeby...

Przytaknęła ponownie.

Było jasne, że nigdy się nie pokochają. Niechęć narastała latami, okrzepła. Przy obopólnym wysiłku może dało się o niej na chwilę zapomnieć. Ale zastąpić czymś innym raczej nie.

Nie miało też sensu tłumaczenie sobie nawzajem, dlaczego się nie lubią i dlaczego lubią się nie lubić.

– Słucham – powiedział krótko.

– Przyszłam z polecenia królowej, ale... – Zawahała się. – Chyba przyszłabym nawet, gdyby mi nie kazała. Bo ma rację. A nie zawsze uważam, że ma, czasem czepia się czegoś i tyle. Ale teraz miała rację. Nie zrobimy, wasza godność, tego, czego żąda królowa, bo nie odwrócimy biegu czasu, ale możemy się umówić, że już więcej nie będziemy jej robić koło... jej

królewskich lędźwi. Zgódźmy się, wasza godność, że jeżeli przy świadkach zabraknie ci dla mnie cierpliwości, to ja po prostu jak najszybciej i jak najdalej zabiorę swoje otłuszczone pupsko, bo tak to dzisiaj łaskawie ujęła. A ty nie pobiegiesz za mną.

Uśmiechnął się. No, no. Wyglądało na to, że piękność naprawdę się stara. O królowej – z sarkazmem?... Ale tak, właśnie tak mogło i powinno rozmawiać dwoje ludzi, znających praczkę Ezenę, potem księżną Ezenę, a wreszcie jej królewską wysokość Ezenę. Dwoje ludzi, którym na niej zależało. Tutaj nie musieli niczego udawać.

Skinął głową.

– Jak jej pomóc? – zapytała zwięźle. – Najpierw ty, wasza godność, bo jesteś pierwszym ogniwem łańcucha. Jest strateg, jest polowy dowódca i jest rębajło na koniu. Pierwszy wskazuje cel wojny, drugi cel uderzenia, a na końcu rębajło rąbie. Ty wiesz, co trzeba zrobić, ja będę wiedziała jak, a ona to robi. I tylko jej jednej w tym dziele nikt nie zastąpi, bo strategów i dowódców, może nie tak dobrych jak my, znajdzie się wielu, ale rębajło jest tylko jeden.

– Bardzo ładna przerośnia. I trafna.

– Przez cały czas, wasza godność, zajmuję się setką spraw. Na pewno mniej istotnych niż te, o których właśnie mówimy, ale te mniej istotne sprawy też ktoś musi załatwić. I zdarza się, że Pierwsza Perła Domu odkłada na bok sprawy związane z przyszłością Szereru, bo musi się zająć obrażonym gościem swojej pani. O, nie piję do ciebie, wasza godność. Jeśli się zastanowić, to wcale nie jesteś najgorszy, bo przynajmniej masz rozum i można się do niego odwołać. A jak tylko stąd wyjdę, to pójde do kogoś, z kim należałoby się rozmówić właściwie za pomocą halabardy, bo żadne inne racje nie dotrą. Może jeszcze pięć tysięcy sztuk złota uznałby za dobry argument.

Urwała.

– Tylko raz i tylko jedna sprawa, bo z niczego nie zamierzam się tłumaczyć – powiedziała nieprzyjemnym tonem, chyba bardziej ostro, niż chciała. – Zaczynamy trudną rozmowę i zależy mi, żebyś raz spojrział na coś moimi oczami, bo to nam ułatwi porozumienie. Tak uważam, tak... tak mi się wydaje. Otóż lubię mężczyzn, wasza godność, i okropnie wierzę się w nocy, gdy śpię sama – oznajmiła bez zmrużenia oka. – Ale choćbym mężczyzn po prostu nie znosiła, to i tak spałabym z tyłoma, z iloma tylko można. Królowa tego nie robi, a ja mogę. Zdobywam w ten sposób wiadomości i zjednuję dla mojej pani sojuszników, których w inny sposób pozyskać bym nie zdołała. Jeśli w ciągu roku przechodzi tych mężczyzn przez moją sypialnię stu, to nikt nie pozna, że pięciu z nich potrzebowałam tam nie ja, tylko moja królowa, a właściwie nawet nie ona, tylko jej królestwo. Natomiast gdy przejdzie jeden, raz kiedyś, to wszyscy będą wiedzieli, kto zdradził tajemnicę, dlaczego nagle królowa podjęła inną decyzję... Uznaj to teraz za tanie wytłumaczenie, jakie sobie znalazła ładaczniczka, albo za uchylenie rąbka tajemnicy, w jaki sposób pomagam królowej rządzić państwem.

Zastanowił się. Skrzywił. Na koniec skinął głową.

– Jedno i drugie?...

Parsknęła śmiechem. Kolejna rzecz, która się zdarzyła po raz pierwszy: rozbawił ją swoją uwagą. A w każdym razie zechciała to okazać.

Była nieprawdopodobnie śliczna, gdy tak szczerze się śmiała. „Obrażony mądrała” Gotah – nawet on nie był z kamienia. Złośliwie uśmiechnął się w duchu sam do siebie. Toż ze szczerbatą pokraką, choćby miała najgustowniejszą suknię, nie zawarłby żadnego zawieszenia broni. Świat nie był sprawiedliwy.

Odkrycie.

– Niech będzie – rzekła. – Czy możesz, wasza godność, uzbroić się w cierpliwość i opowiedzieć mi dokładnie, jaki mamy kłopot? Tak jakbym wczoraj przyszła na świat. Ja na pewno to wszystko wiem, mędrcze Szerni, ale nie umiem poustawić sobie w odpowiedniej kolejności. Niektóre problemy są pilne, inne mogą poczekać. Z czymś tam można się uporać, a z czymś innym nie, trzeba więc będzie taki kłopot obejść, skoro nie da się przewyciężyć. Opowiedz mi po kolei, co jest najważniejsze, a co mniej; z czym sobie poradzisz, a z czym nie. I z czego możemy, a z czego nie wolno zrezygnować.

– Niech tak będzie – przystał. – Ale usiądź, Perło. To potrwa. Usłuchała.

Zaledwie dwa dni wcześniej Gotah dostał od żony obszerny list, dzięki uprzejmości księcia Rameza posłany imperialną sztafetą kurierską. Miał najświeższe wiadomości z północy, dowiedział się wszystkiego o nowej „wojence” na granicy i związanych z nią obawach małżonka cesarzowej. I oczekiwaniach względem jego, Gotaha, osoby.

To ostatnie go po prostu rozsierdziło.

Przedstawił rzecz Pierwszej Perle. Mówił, mówił i mówił.

– O tym, że coś się dzieje na Północnej Granicy, wiadomo od pół roku – rzekł, zmierzając do końca. – Ale o tym, że Armekt naprawdę może sobie nie poradzić, dowiadujemy się dopiero teraz. Przypuszczenia, mgliste obawy Przyjętych, to wszystko można zlekceważyć, zbyć wzruszeniem ramion. Wiadomo, „gdybacze”. Raporty wojskowych dowódców to coś innego. Oni tam w stanicach nie obawiają się jakiegoś niejasnego, możliwego zagrożenia. Oni tam walczą. Na razie z uciekinierami. Ale już wkrótce mogą walczyć z tym, co ich ściga.

Zastanawiała się.

– Idzie zima.

– Właściwie już przyszła. Tak, i tylko dlatego mamy trochę czasu. Kesa pisze, że ruch na granicy zamarł. Żadna strona nie kwapi się do wojaczki w mrozie i śniegu, bez paszy dla zwierząt. Srebrne Plemiona koczują nad brzegami Lezeny i u podnóża Gór Dzielących, po obu stronach granicy, a Legia Armektańska ich nie zaczepia. Jeśli dochodzi do potyczek, to raczej przypadkowych.

– Wojen na granicy było mnóstwo.

– Nie takich. I nie w takich czasach. Nie ma już imperium, zostały szczątki. Jednocześnie doszło do Drugiej Wojny Potęg. Trzydzieści parę lat temu stoczono na północy bardzo dziwną wojnę i Armekt wyciągnął z niej wnioski. A małżonek cesarzowej wie o Szerni więcej niż jakikolwiek inny, niebędący Przyjętym, mieszkaniem Szereru. Szykuje się największa i na pewno najtrudniejsza wojna, jaką tam toczono kiedykolwiek. Szansa, że do niej nie dojdzie... Ja nie widzę. Chyba że jutro rozpadnie się Aler i wszystko tam od razu trafi szlag. Liczyć na to?

– Dartan, wasza godność – powiedziała po chwili. – Co ma do tego Dartan? Królowa jest lenniczką cesarzowej i ma obowiązek posłać kontyngent wojsk na żądanie Kirlanu. Rozmiary tego wsparcia są nieokreślone. Nie pamiętam dokładnie, jak to sformułowano w traktacie pokojowym, ale sens jest taki, że na miarę możliwości i potrzeb. To przecież nic nie znaczy. Dartan, na żądanie Kirlanu, od dawna już angażuje znaczne siły w Grombelardzie, ta doborowa piechota jest już tam tak liczna i tak niewiele mająca wspólnego z patrolami Królewskiej Straży Krajowej, że właśnie została z niej wyłączona i przemianowana na osobny Hufiec Pogranicza. A do Armektu jedna chorągiew już poszła. Ochotnicy, żądni wrażeń łowcy przygód, chcący na własne oczy ujrzeć legendarne potwory alerskie. Niemniej są to sprawni wojownicy i niewątpliwie dartańscy, udający się na

wojenną wyprawę poza granice kraju, za przyzwoleniem i częściowo za pieniądze swojej monarchini. Trzysta dwadzieścia koni, o ile dobrze pamiętam. Zobowiązania traktatowe wypełnione. „Na miarę możliwości”, nieprawdaż?

– Nie sędzę.

Rozłożyła ręce.

– A czy na miarę potrzeb? – zapytał.

– Kto to oceni? Dla Armektanki...

(Gotah już przywykł, że tak na dworze w Rollaynie mówi się o Najgodniejszej Cesarzowej).

– ...każde wsparcie będzie za małe. W oczach mojej królowej już jest wystarczające.

– Przecież wiem, że wcale tak nie myśli.

– Ale tak musi mówić. Przez dziewięć lat, bo tyle minęło od zawarcia pokoju, jednoczyła kraj, wpajając wszystkim, że największym zagrożeniem dla Dartanu jest Armekt, który przez dwa stulecia rządził tu jak u siebie i na pewno zechce przywrócić stan sprzed wojny. I przecież taka jest prawda, nie wymyśliła sobie tego. Teraz ten Armekt ma kłopoty, a Ezena jeszcze większe, bo w ciągu miesiąca albo dwóch miesięcy musi zburzyć wszystko, co budowała przez lata. Rycerzom sposobiałym się do wojny z Armektem ma powiedzieć, że będą teraz własną krwią tysiąc mil od domu wybawiać Armekt z kłopotów. I to takich kłopotów, z którymi bez trudu radził sobie zawsze i od zawsze, a miał jeszcze dość siły, by drugą ręką podbić cały Szerer.

Gotah mógł tylko pokiwać głową.

Wojna z Armektem, która wybuchła przed dziesięciu laty, dotąd właściwie się nie skończyła. Podpisano traktat pokojowy, o którym od początku wiedziano, że jest najwyżej zawieszeniem broni, porozumieniem prowizorycznym i tymczasowym, niesatysfakcjonującym nikogo. Było jasne, że

zwycięski Dartan nie będzie w nieskończoność kontentował się pozycją państwa zwasalizowanego przez Kirlan. I tak samo było oczywiste, że Wieczne Cesarstwo, jeśli chce nim w ogóle pozostać, nie może zrezygnować ze swojej Pierwszej Prowincji, pod każdym względem wartej dziesięć razy tyle, ile pozostałe prowincje cesarstwa razem wzięte.

Grombelardzki półwysep był bezwartościowy, w najlepszym wypadku zaspokajał swoje potrzeby. Jednak nieujarzmiony (bo „niepodległy” jawiło się zbyt dużym słowem dla czegoś, co nigdy nie było samodzielnym królestwem, ani nawet zlepką księstwów), pozostawiony sam sobie, przysparzał kłopotów jako siedlisko i schronienie zbójów. Dlatego go kiedyś zajęto. Bardziej opłacało się utrzymywanie miejskich garnizonów w środku Grombelardu niż budowanie linii stanic na kolejnej płonącej granicy, takiej jak ta na północy.

Bardzo podobne były przyczyny podboju Garry. Ta wielka wyspa, tradycyjnie niechętna kontynentalnym państwom, była zbyt słaba, by im zagrozić, ale dość silna, by pilnować swych morskich interesów, czyli przepędzać piratów od własnych brzegów i zapewnić ochronę własnym kupcom. Przepędzeni piraci panoszyli się więc na wodach, a nierzadko też brzegach armektańskich i dartańskich. Dlatego Garrę zdobyto. Bo bez niej nie dało się kontrolować południowych mórz, sama zaś kontrolować ich nie mogła. Zresztą może by i mogła, lecz nie chciała.

Bez Dartanu – trzymanie Grombelardu i Garry właściwie nie miało sensu. Bez Dartanu nie miało sensu istnienie Wiecznego Cesarstwa.

Od momentu zakończenia wojny armektańsko-dartańskiej oba państwa szykowały się do nowej. Oba nie były gotowe. Armekt nie miał pieniędzy, nie miał armii i odbudowywał ją.

Dartan nie miał floty – i też ją odbudowywał, a właściwie budował od podstaw.

Każdego roku oczekiwano wybuchu kolejnej wojny. Mijały lata, lecz nie wybuchła. Dlaczego?

Bo nad Armektem cały czas wisiała nierozstrzygnięta sprawa Garry. Po ostatniej rebelii, mimo iż Wieczne Cesarstwo wyszło z niej obronną ręką, Morska Prowincja nie doszła do siebie. Wciąż było za mało imperialnych wojsk, trochę lepiej wyglądała sprawa z flotą, ale o jakości tych sił szkoda było w ogóle mówić. Próbowano wszystkiego, bo nawet układów z piratami – kaperskie żaglowce spod znaku czarnego żagla mogłyby stanowić odpowiedź na morskie siły kolejnej rebelii. Armekt nie mógł uderzyć na Dartan, bo nie ulegało wątpliwości, że następnego dnia wybuchnie nowe powstanie garyjskie, któremu nie będzie można przeciwstawić niczego oprócz tego, co już jest w Morskiej Prowincji. Czyli zdemoralizowanych i niekompletnych oddziałów lądowych, wspartych przez niewiele lepsze siły morskie.

Dartan nie wypowiedział Armektowi traktatu pokojowego, a tym samym wojny, z tego samego powodu: zbrojny konflikt z cesarstwem oznaczał rebelię i wybicie się Garry na niepodległość. Nowa dartańska flota, już dość silna liczebnie, była jednak niegotowa pod każdym innym względem – bo niedoświadczona, niesprawdzona i raczej kiepsko dowodzona. Nie stanowiła jeszcze równorzędnego przeciwnika dla Armektańskiej Straży Morskiej. Było więcej niż pewne, że którakolwiek flota wyjdzie ze zmagania zwycięsko – osłabiona wojennymi stratami, zostanie natychmiast zmieciona z południowych mórz przez okręty garyjskie. O Garyjczykach wszystko dało się powiedzieć oprócz tego, że nie potrafią szybko budować i zdobywać żaglowców, a tysiące świetnych żeglarzy, ludzi zżytych z morzem od dziecka, mieli tam na

każde zawołanie. Królowa Ezena umiała wybiec myślami do przodu i wiedziała, że Dartan może uniezależnić się od Armektu, ale nie jest w stanie zbudować i kontrolować nowego imperium na miarę Wiecznego Cesarstwa. Musiałaby rządzić krajem, mając za sąsiada ponownie pokonany, lecz niepodbity i tym razem naprawdę już wrogi Armekt (o uczynieniu z tego olbrzymiego kraju jakiejś okupowanej prowincji w ogóle nie mogło być mowy), u południowych brzegów tak samo wrogie lub co najmniej nieprzyjazne państwo niepodzielnie panujące na morzach, a na północy Grombelard – jaskinię zbójców, której stale należało pilnować.

Szerer był po prostu za mały dla dwóch mocarstw. Wyglądało na to, że rozpad Wiecznego Cesarstwa oznacza ni mniej, ni więcej, tylko zniszczenie jedyne go politycznego porządku, z którego wynikał powszechny pokój.

Dartan pragnął niepodległości i było to zrozumiałe. Ale niepodległość Dartanu zwiastowała dla Szereru niekończące się pasmo wojen. Przynajmniej takiego Dartanu: wielkiego i zjednoczonego. Kirlan inaczej popatrywałby na dawną Złotą Prowincję, gdyby oderwało się od niej Wielkie Księstwo Zachodnich Wybrzeży, a najlepiej też Dartan Południowy.

No, akurat. Gotah nie próbował sobie wyobrazić, jak wizja takiego ładu przypadłaby do gustu królowej Ezenie.

– Wiem, Perło – powiedział teraz. – Jednak Armekt, być może, właśnie stanął w obronie nie tylko swoich granic, ale całego naszego świata. To, co dzieje się na północy, może być tylko armektańskim kłopotem, trochę większym niż dotychczasowe. Ale może być też początkiem katastrofy. A decyzje, zwłaszcza tu, w dalekiej Rollaynie, należy podjąć natychmiast. Bo gdy stanie się dla każdego oczywiste, że to właśnie katastrofa, a nie jakiś cudzy problem na dalekiej granicy, wtedy może być już za późno na działanie. Wojska nie zbiorą się z dnia na dzień ani

nie dotrą na miejsce w tydzień. Powinny zbierać się dzisiaj, a wyruszyć jutro. To nie jest armektańska baśń wojenna, gdzie oto płoną ognie na wzgórzach, Gondonia wzywa pomocy, więc Rovania odpowie i już, patataj... pojechali. Żyjemy, Perło, w prawdziwym świecie.

– O, więc wiemy o tym oboje.

Puścił złośliwość mimo uszu; zresztą zaraz się zmitygowała i nawet, mrugnawszy doń znacząco, sama sobie pogroziła palcem.

Skinął głową.

– Strategia, powiedziałaś? Przed chwilą ją nakreśliłaś, nie jestem ci potrzebny. Po pierwsze i najważniejsze: niezwłocznie przekonać Dartan, że tysiąc mil dalej jakieś mityczne potworki, których nikt tu nigdy nie widział, są największym problemem Dartańczyków. W odróżnieniu od mokrej wełny na portowych nabrzeżach Seyenu. Tak, wiem: ta wełna to też jest prawdziwy świat...

– Niezwłocznie?

– Tak. Nie bacząc na żadne polityczne koszty, królowa powinna natychmiast odpowiedzieć na żądania Armektu.

– Wtedy na pewno ich nie spełni – powiedziała chłodno niewolnica, po czym potwierdziła to, o czym myślał przed chwilą. – Za kilka miesięcy będzie miała wojnę domową, od królestwa odpadnie Południowy Dartan, a na pewno Zachodnie Wybrzeża. Królowa będzie musiała skierować swoje wojska nie do Armektu, wasza godność, a przeciw chorągwiom południowodartańskim. I dobrze, jeśli utrzyma się na tronie. Bo czy zapobiegnie rozpadowi kraju, nie wiem. Wątpię.

– Ma własne wojsko, prywatne. Najlepsze ciężkie chorągwie świata.

– Dziesięć. Nie pośle ich do Armektu, bo tutaj zostanie bezbronna. Może posłać zbiorcze chorągwie rycerskie. Jeśli

zażąda ich wystawienia przez Domy południowodartańskie, będzie miała... no, może jeszcze nie wojnę domową, ale na pewno wypowiedzenie posłuszeństwa. Oni po prostu nie wystawią tych chorągwi, i oby tylko tyle, bo mogą je wystawić przeciw niej. Jeśli zaś królowa pominie Domy południowodartańskie i zażąda daniny krwi od samego tylko Północnego Dartanu, to straci poparcie. Północnodartańscy rycerze już raz złożyli tę daninę, wyzwalając Dartan spod armektańskiego panowania. Teraz mają samotnie umierać na granicy armektańsko-alerskiej, bo królowa boi się wezwać pod broń rozpieszczone rody południa? Które nigdy jej specjalnie nie kochały, a w zamian nieustannie są obłaskawiane?

– No więc, Perło, królowa straci to poparcie...

– ...a wtedy Dartan straci Zachodnie Wybrzeża – dokończyła, wpadając mu w słowo. – Domy południowodartańskie na pewno nie ruszą na Llapmę, raczej zaakceptują odrodzone Wielkie Księstwo Zachodnich Wybrzeży, bo nie w smak im rosnąca siła Rollayny. Dziesięć przybocznych chorągwi królowej nie pojedzie na drugi koniec kraju, by wdać się w wojnę domową z Wybrzeżami, zostawiając stolicę na łasce i niełasce Południowego Dartanu. Już raz tak było, zapomniałeś? Żołnierze przybiegli jej na ratunek spod Lida Aye i zdążyli cudem, ale spod Llapmy nie zdążą. Królowa ma więc zdać się na łaskę Złotych Wzgórz? Bo Północny Dartan będzie obrażony lub daleko na wojnie w Armekcie. Właściwie jedno i drugie.

O mało nie wybuchnął. Ale dotarło do niego, że Perła nie szuka zwady. Po prostu pokazywała mu to, o czym niby wiedział, ale nie chciał przyjąć do wiadomości: wciąż i wciąż tę przekłętą wełnę na nabrzeżach... Dartański rycerz, który jutro miał pożegnać żonę, a następnie dosiąść konia i ruszyć na cudzą wojnę, nieprzysparzającą sławy, łupów ani wzrostu znaczenia jego Domu, myślał to, co mówiła Anessa. Tylko

mówiła – bo przecież tak nie myślała. Chciała pokazać trudności.

– A jednak, Pierwsza Perła, to już wszystko – orzekł. – Strategia, której żądałaś. Teraz ty musisz znaleźć odpowiedź na pytanie: jak. A wtedy nasza żołnierka o granatowych włosach zrobi resztę. Przynajmniej mam nadzieję, że zrobi, bo i ona bywa nieobliczalna.

Po czym dodał jakby do siebie, bo przypomniał sobie ustęp z listu żony:

– Owszem, żyją ludzie, którzy miewają na nią wpływ, ale właśnie tylko tyle: miewają.

ROZDZIAŁ 4



Młoda zima sypnęła pierwszym, szybko topniejącym śniegiem. Następnego dnia wrócił ojciec.

Wenewet niecierpliwie wyglądał powrotu rodzica, a zarazem obawiał się go. Po raz pierwszy pozostawiony sam sobie, jako głowa domu sprostać musiał licznym wyzwaniom, których nie oczekiwał. Odwiedziny kupców na przedzimiu przerwały – miał takie wrażenie – jakąś tamę, za którą spiętrzone zdarzenia.

Oczywiście nie były to przygody jakkolwiek podobne do historii, które chętnie opowiadał stary gawędziarz-uczony, zanim ruszył w dalszą drogę z karawaną. Żadnych podobnych przygód Wenewet nie zaznawał (niestety, a może na szczęście; odkąd wyobraził sobie staruchę na koniu, jakoś stracił ochotę na spotkanie z Rudą Ajaną i zaczął pisać inną opowieść). Działo się wiele, były to jednak zdarzenia pospolite. Chociaż, jak chyba wszystko pod armeckańskim niebem, dotykały dziedziny Niepojętej Arilory.

Najpierw do wsi przybył goniec Legii Armeckańskiej z listem poborowym. Było to wydarzenie o dużej doniosłości. W czasach pokoju niewielkie naturalne ubytki w szeregach wojska wyrównywano, rekrutując pojedynczych chętnych z różnych wiosek. Legia Armeckańska nie oszczędzała na listach poborowych, bo podtrzymywano w ten sposób, no przecież, stary mit o łuczniku z wioski, który z czasem mógł zostać dowódcą legionu... Kończyło się zazwyczaj na marzeniach;

w czasie pokoju oficerowie szkoleniowi mogli dowolnie przebierać w tłumie chętnych, by na koniec wskazać dwóch chłopaków i jedną dziewczynę o naprawdę niechybnym oku, a do ciężkiej piechoty drągała o głowę wyższego od innych, przy tym masywnego i silnego jak żubr. Czasem z całego obwodu miejskiego do wojska nie dostawał się nikt.

Teraz było inaczej. W Nateli z niejaką dumą, trochę żartobliwie, ale i z pewnym niepokojem, mówiło się o „wyprawie Aktarów”. Na setkę męskich mieszkańców wsi to najpospolitsze imię nosiło jedenastu – a z tej liczby aż trzech młodych ludzi należało do grupki, która wyruszyła do Kanazy, gdzie w miejskim garnizonie wyznaczono punkt zborny wszystkich kandydatów do służby wojskowej.

Minęło kilka tygodni; jak na razie nikt nie wrócił do wsi. Wydawało się niewiarygodne, by na pięcioro chętnych tyleż zostało przyjętych.

Oczekiwano wieści i samych „Aktarów”, przyjętych do wojska albo nie. Niemal zawsze legia pozwalała nowym żołnierzom na powrót do ich wiosek, gdzie ubrani w wojskowe tuniki z gwiazdami mogli pożegnać rodziny, nade wszystko zaś utrwalali wieczną armektańską legendę, że Niepojęta Pani Wojny przed każdym potrafi otworzyć drogę do świetnej przyszłości i sławy.

Dziwne, ale choć nic się nie działo, oddech wojny wyczuwali wszyscy. Zwykle bawiono się łukami w wolnych chwilach i mało kto miał głowę do tego. Teraz nie wiadomo kiedy i za czyją sprawą wrócono do starego zwyczaju urządzania zawodów strzeleckich raz w tygodniu. We wsi, oprócz kilku myśliwskich, było tylko pięć wojskowych łuków z prawdziwego zdarzenia, z tego dwa pożyczone wieśniakom przez młodego pana Weneweta. Ale kiepską samoróbkę, zdatną jako tako do ćwiczeń, miał już prawie każdy. Dwaj starsi chłopci odkurzyli,

przekazaną im przez ojców albo dziadków i już prawie zapomnianą, sztukę robienia strzał – zaraz kazali się zwać dumnie grotnikami. Wenewet doradzał, pomagał coś zorganizować, przede wszystkim zaś sędziował podczas zawodów łuczniczych, bo jego autorytet był niekwestionowany. Ale nie zawsze sędziował, bo też lubił postrzelać z łuku i czasem sam stawał w szranki. Nigdy niestety nie wygrał. Były we wsi dwie łuczniczki znacznie lepsze od niego (obie stare, dzieciacie, jedna, przeszło trzydziestoletnia, mogła być mu matką, druga prawie babką – żadna nie ruszyła do Kanazy, gdy ogłoszono pobór) i jeszcze kilku mężczyzn strzelających nie gorzej, a czasem lepiej niż on. Jednak zawsze znajdował się w gronie najlepszych i nigdy nie musiał się wstydzić, w zamian świecił przykładem i zaskarbiał sobie przychyłność wieśniaków, najszczerzej gratulując zwycięzcom i oddając im sprawiedliwość. Był też fundatorem drobnych nagród.

Zamiast wciąż wyglądanym rekrutów do wioski przybył drugi goniec, tym razem prywatny. Wysłanie umyślnego posłańca było przedsięwzięciem kosztownym, więc w przywiezionym liście na pewno zawarto coś więcej niż wzmiankę o pogodzie i zapytanie o zdrowie...

Wenewet nie wiedział, jak powinien postąpić. List był od jego siostry do ojca. Lecz Emira przecież nie wiedziała, że ojciec jest nieobecny. Gdyby było inaczej, to ważne wieści na pewno posłałaby bratu.

Po namyśle, niewolny od rozterek, złamał pieczęć i przeczytał list.

Emira pisała o wojnie, a miała dużo do powiedzenia, bo z racji swojego zajęcia i zajmowanej pozycji dysponowała bardzo wiarygodnymi, choć objętymi rygiem tajemnicy wieściami z najpewniejszych źródeł: od urzędników Trybunału Imperialnego. Zaprzysiężona tłumaczka z języka dartańskiego,

prawie na pewno ryzykowała karierę, dostarczając ojcu, choćby jak najogólniej, wiadomości o sprawach niejawnych.

Nalegała na natychmiastowe wysłanie Akei i Sajli do stolicy, gdzie mogła im zapewnić opiekę, siostrę zaś posłać do przyakademickiej szkoły, co i tak było planowane. Co prawda dopiero za rok.

Nie zwlekaj, Ojczy – pisała. Mówi się, że zima może być ciężka, drogi staną się trudne, a czasem nawet niemożliwe do przebycia, a Akea to jeszcze dziecko. Przyślij mi ją natychmiast, zanim nastaną mrozy i śniegi. Nie wiadomo, co będzie wiosną, a z Nateli wprawdzie blisko do Rewinu, jednak tam może nie być miejsca dla uchodźców. Po raz pierwszy od niepamiętnych czasów Legia Armeckańska formuje stałe załogi forteczne. Szykujemy się do wojny, i to prawdziwej wojny. Z nadejściem wiosny wszystko może się zdarzyć, wielu ludzi może wyruszyć do miast. W zatłoczonej stolicy będę mogła znacznie mniej niż teraz. Jeśli wyprawisz Akeę natychmiast, to bez trudu i bez pośpiechu wynajdę odpowiednie dla trzech kobiet miejsce do mieszkania, będę przecież musiała się przeprowadzić. Zadbam o wszystko, będziesz ze mnie zadowolony. Oczywiście przyślij pieniądze.

Ojca nie było i nie mógł podjąć decyzji. Powinien podjąć ją brat.

Nie musiał. Ale czuł, że powinien. Podejmował zresztą tak czy owak, bo wstrzymanie się od decyzji oznaczało po prostu, że Akea nie pojedzie do Kirlanu. Było więc w istocie decyzją.

Ojciec przed wyjazdem zapowiedział, że najpewniej wróci z początkiem zimy – należało więc poczekać jeszcze ze dwa tygodnie.

I rzeczywiście tyle to trwało.

Uściskawszy rodzica i serdecznie powitawszy towarzyszącego mu Renewa, starego sługę, bez mała członka rodziny, Wenewet sam pobiegł do najbliższej wiejskiej chałupy

z wieścią o powrocie jego godności i prośbą, by możliwie najprędzej przysłano obiad, i to dużo obfitszy niż zwykle. Od dłuższego czasu odwoływał się do życzliwości gospodyń, które zresztą dobrze wychodziły na gotowaniu dla niego dodatkowej porcji kapuśniaku, krupniku albo klusek – chłopak dostarczał im z własnej spiżarki dwa razy więcej, niż przejadał, a wymagań, oprócz ładnej sztuki mięsa w kaszy albo w zupie, nie miał żadnych.

Ojciec sam w stajni zajął się koniem. Gdy Wenewet wrócił, właśnie szedł do domu, niosąc tylko własne juki; całą resztą miał zająć się sługa. Jeszcze raz na krótko przygarnawszy syna, pan domu rozsiadł się wygodnie na swoim miejscu za stołem i zażądał wina.

– Nie piłem wina od kilku tygodni – powiedział.

– Zaraz przyniosę. Byli we wsi kupcy – odrzekł z uśmiechem syn. – Możesz wybierać i przebierać, ojczy, kupiłem trzy dzbany i beczułkę. Każde inne.

Rzadko mieli w domu więcej niż jeden rodzaj wina. A jeszcze rzadziej osobę, która się na nim znała. Najbardziej chyba Emira.

– Dobrze, że przynajmniej jeden Aktar wrócił – zażartował Wenewet, po czym w kilku słowach opowiedział o „wyprawie Aktarów”; ojciec nosił to samo imię.

Popróbowawszy wina (smakowało zupełnie jak wino), gospodarz rozejrzał się po izbie, uniósł brwi i już chciał zapytać... Zamiast tego wziął do ręki rozpieczętowane pismo, które podał mu syn.

– Otworzyłem – powiedział Wenew, mając słabą nadzieję, że nie słyhać, jak mocno uderza mu serce.

Aktar przeczytał, uniósł na chwilę spojrzenie, potem przeczytał list jeszcze raz, ani odrobinę nie zmieniając wyrazu twarzy. Popatrzył na syna.

– Nie jesteś jeszcze pełnoletni – powiedział.

– Nie, dopiero za trzy miesiące... Prawie cztery.

– Naprawdę?

Milczeli.

– Odprowadziłem je do Wezu – rzekł Wenewet, wymieniając nazwę najbliższego miasteczka obwodowego. – Chciałem opłacić w garnizonie asystę żołnierza albo dwóch, czasem przydzielają. Ale znalazłem dużą kupiecką karawanę jadącą do Kanazy i porozmawiałem z jej naczelnikiem. Zostawiłem mu trochę srebra. Dziewczyny na pewno już dotarły na miejsce. A między Kanazą, Donarem i Kirlanem aż gęsto od wsi i miasteczek. I wojskowych patroli. Od Kanazy mogą jechać same.

Jeźdźcy Równin w tych okolicach nie bywali prawie nigdy, o innych rzezimieszkach między największą fortecą Szereru a stołecznym okręgiem Trzech Portów nie warto było nawet wspominać, zdarzali się rzadziej niż na ulicach miast. Mógł okuleć koń – i to było chyba największe „niebezpieczeństwo”, jakie mogło spotkać w drodze samotną kobietę i dziecko. Ale towarzystwo kupieckiej karawany na pewno uwalniało od kłopotów takich jak szukanie noclegu, oporządzanie wierzchowców, przygotowywanie w drodze posiłków i od wielu innych drobnych uciążliwości.

– Podjąłeś decyzję, synu – powiedział Aktar – a ja nie będę jej zmieniał.

– Dałem też Sajli pieniądze dla Emiry. Niewiele nam zostało.

– Oczywiście. Trochę przywiozłem, poradzimy sobie.

To nie było to samo, co „pochwalam twoje decyzje”.

Ale nie było też dezaprobaty.

Wenewet o nic więcej nie zapytał, bo znał swego ojca i wiedział, że rozmowa dobiegła końca.

Wkrótce potem przyniesiono im obiad, po chłopsku niewyszukany, ale gorący i obfity. Razem z wieśniaczkami

stawilo się kilku mężczyzn, oddelegowanych przez mieszkańców Nateli do powitania jego godności Aktara. Odeszli uradowani, unosząc podarki dla wsi: baryłeczkę wódki dla mężczyzn, także samą z miodem pitnym dla kobiet i dartańskie orzechy dla dzieci.

Zdrożony ojciec wkrótce udał się na spoczynek, pozostawiając synowi rozpakowanie sakw podróжных. Czterdziestosiedmioletni, muskularny i jeszcze silny mężczyzna nie przypłacał swych podróży zdrowiem, lecz umiał już docenić dobrodziejstwa snu w porządnym łóżku.

Wenewet też położył się wcześniej niż zwykle, ale nie umiał zasnąć. Zbyt wiele myśli snuło mu się po głowie. Wątpliwości, których dotąd nie było; pytania, które należałoby zadać... W końcu zasnął, nie przeczuwając, że następnej nocy będzie spał jeszcze gorzej, najbliższy tydzień zaś przyniesie wydarzenia chyba najważniejsze w całym jego dotychczasowym życiu.

o o o

Ojciec położył się wcześniej, ale i wcześniej wstał. Gdy Wenewet zjawił się w głównej izbie, pan domu zajęty był rozmową ze służką.

– Nie chciałem cię budzić, ale dobrze, że już wstałeś – powiedział na widok syna.

Po męsku leniwi, zjedli we trzech byle jakie śniadanie na zimno, rozmawiając o zwykłych sprawach: w stajni zaczął przeciekać dach; warto by ruszyć z końmi do lasu i ściągnąć jakieś powalone drzewo, żeby porąbać na opał i zrobić zapas na zimę. Najlepiej kilka drzew, żeby było dla całej wsi, a w zamian chłopcy z wdzięczności porąbią i dla nich.

Wkrótce Renew oszczędł; miał co robić.

– Weźmiemy się za to wszystko już dzisiaj – powiedział Aktar.
– Pościągamy drzewa? Powiem chłopom, weźmiemy jeszcze dwa woły. Ale... dziś? Trochę mokro.

– Tak, ale nie mamy czasu. Czekamy na ciotkę Ayę – odparł Aktar po krótkiej chwili milczenia. – Powinna przyjechać za trzy, cztery dni, ale może się zjawić wcześniej. Nawet jutro.

Wenew, żując ostatni kęs czerstwego chleba, uniósł na chwilę spojrzenie, a potem uciekł z nim w bok.

Ciotka Aya to był... bardzo dziwny temat.

Emira mgliście pamiętała matkę. Wenew wcale; zmarła wkrótce po jego urodzeniu. Najmłodsza Akea była przyrodnią siostrą starszej dwójki. I to wszystko; ojciec nigdy nie rozmawiał o tych sprawach. Jedenastoletni Wenewet zadowalał się najprostszymi wyjaśnieniami, potem przez trzy lata był w Kirlanie. Dorósł. Wrócił do domu, mieszkał z ojcem i młodszą siostrą. Wiele rozmyślał o sprawach, które kiedyś go nie obchodziły, a jeżeli nawet obchodziły, to na pozór dawały się łatwo wytłumaczyć. Najwięcej rozmyślał teraz, gdy był zupełnie sam – bo przecież wyjechała nawet Sajla i całymi dniami nie miał do kogo otworzyć ust.

Ciotka Aya zjawiała się rzadko. Wyjeżdżała po tygodniu, czasem po ośmiu lub dziewięciu dniach. Gdy zawitała pół roku temu, Wenewet zdał sobie z czegoś sprawę i zaczął rozmyślać o rzeczach, które nie przychodziły do głowy jedenastoletniemu chłopcu. W zamian zupełnie nagle stanęły przed oczami młodego człowieka, który już za cztery miesiące miał odebrać od ojca jakieś błahe polecenie w rodzaju: „Usiądź tutaj”, a po spełnieniu go usłyszeć pouczenie: „To był ostatni taki rozkaz. Od tej chwili nie musisz być mi posłuszny, jesteś dorosłym człowiekiem i sam podejmujesz decyzje. Odpowiadasz za wszystko, co zrobisz bądź postanowisz”.

Wenewet uważał, że powinien porozmawiać z ojcem; chciał coś wiedzieć i sądził, że ma do tego prawo. Ale teraz, gdy zupełnie nagle nadarzyła się okazja do rozmowy, stracił odwagę i rezon. Nie był jeszcze pełnoletni. Wyobrażał sobie (ale czy nie naiwnie?), że po przekroczeniu tej magicznej granicy szesnastu lat – będzie łatwiej.

Na razie wciąż był dzieckiem. Jak miał wypytywać tego niesrogiego, często uśmiechniętego, ale jednak nieprzystępnego mężczyznę o... kobiety? Choćby nawet jedna z tych kobiet była rodzoną siostrą matki. A druga, właśnie matka, chyba najważniejszą kobietą jego życia. Przecież była jeszcze trzecia, nieznaną... Ta, która urodziła Akeę.

Ale nie, nie był już dzieckiem, nawet jeśli brakowało czterech miesięcy. Czasem myślał, że „ta trzecia” wcale nie jest nieznaną. Akea wyglądała jak mniejsza ciotka Aya.

On też był podobny do ciotki, ale była przecież siostrą matki, więc miał urodę po obu. A Akea... no, po kim?...

Bał się zapytać ojca nawet o jego własne życie, cóż dopiero o kobiety, z którymi je dzielił. Bo Wenewet odkrył, że są tutaj jakieś tajemnice. Może zresztą nie tajemnice. Przemilczenia.

– Tym razem nie przyjeżdża w odwiedziny – dodał ojciec. – Odpocznie najwyżej jeden dzień, przenocuje. Potem wyruszamy.

– Z ciotką Ayą?

– Tak.

– Ale... więc znowu jedziesz, ojczy? Myślałem... Dopiero co wróciłeś.

Aktar milczał przez chwilę.

– Wyruszamy – powtórzył. – Miałem na myśli i ciebie.

Wenewet zaniemówił. Ojciec nie dał mu czasu na zadawanie pytań.

– Nie wiedziałem, że wyprawileś siostrę do Kirlanu, więc jeszcze wczoraj rano nie zamierzałem cię zabierać. Gdyby tu była, musiałbyś zostać i opiekować się nią. Pustym domem może zająć się Renew. Wezwij go.

Syn pobiegł spełnić polecenie i wkrótce stawiał się z powrotem w towarzystwie starego sługi. Nim wyrzekł słowo, Aktar powiedział:

– Dobrze, teraz wyjrzyj przez okno.

Zdziwiony i zaskoczony Wenewet spełnił polecenie. Nie dostrzegł niczego niezwykłego, więc obejrzał się pytająco.

– To był ostatni rozkaz, jaki odebrałeś od ojca. Możliwe, że często będę twoim dowódcą, synu, ale nie mam już nad tobą władzy rodzicielskiej, właśnie się jej wyrzekam. Zawsze będziesz mi winien szacunek, ale posłuszeństwo już nigdy.

To mówiąc, spojrział na sługę.

– Renewie, służysz mi z własnej woli. Jesteś wolnym człowiekiem i świadkiem tego, co mówię.

Po armektańsku. Krótko, oszczędnie, nieuroczyście. Ale za to całkiem po prostu, zdecydowanie i nieodwołalnie. Wenewet patrzył na ojca, próbując sprostać sytuacji, w której go postawiono bez żadnych przygotowań. Wiedział, kiedy wypadają jego szesnaste urodziny – ale nie przewidział, że można je przyspieszyć.

– Ukończone szesnaście lat, synu – powiedział Aktar, jakby umiał czytać w myślach – to wiek mający znaczenie dla prawa imperialnego, będziesz mógł się chociażby ożenić albo wstąpić do wojska. Lecz w moich oczach jesteś dorosły już dziś. Właściwie od wczoraj. Dowiedziałem się, że umiesz podejmować decyzje na własny rachunek i odpowiedzialność. Byłem pewien, a i tak dostałem dowód.

Ojciec wyszedł zza stołu, wyciągnął rękę i uściśnął dłoń lekko pobladłego syna. Zaraz podszedł Renew.

– Widziałem i słyszałem – powiedział, bo tak powinien przemówić ktoś, kogo powołano na świadka. – Wasza godność?...

Aktar skinął głową.

Stary sługa z szacunkiem uściśnął dłoń młodszego ze swych chlebobawców, zarazem zaś wychowanka. Wenewet nie wytrzymał i po prostu go objął. Wciąż oszołomiony, czuł, jak sto wezbranych uczuć rozsada mu pierś.

Był dorosły. Był mężczyzną, takim samym, jak ci dwaj tutaj. Zaświadczył o tym najważniejszy człowiek świata: jego ojciec.

– Mam dla ciebie podarunek, Wenewie, ale to wieczorem. Nie wiedziałem, że powinien być gotowy na dziś – rzekł Renew, po czym wyszedł i zostali sami.

Pan domu wskazał stół i miejsca przy nim. Usiedli.

– Teraz będzie łatwiej? Nie licz na to – rzekł po chwili Aktar z lekką kpiną w głosie i napił się wody z kubka, a Wenewet dostrzegł coś, czego nie oczekiwał: jego ojciec był chyba wzruszony, ironia miała to zamaskować. – Pytaj, synu. Nie od dzisiaj wiem, że chcesz pytać. Teraz już możesz jak mężczyzna mężczyzną.

Nie znał takiego ojca.

Raz i drugi zdarzyło mu się słyszeć, jak ojciec rozmawiał z kimś innym. Z ludźmi, którzy czasem przywozili jakieś wieści, a raz nawet był świadkiem rozmowy ojca z ciotką – oboje nie wiedzieli, że ich słyszał. Nie mówili o niczym szczególnym, ale zwracało uwagę to, JAK mówili. Ojciec był inny, zupełnie inny. Wenewowi wtedy przyszło na myśl, że to jest w ogóle... inny człowiek.

Chyba rzeczywiście tak było. Aktar z ogromną powagą traktował swoje powinności rodzicielskie. Wydawało się czasem, że coś sobie postanowił, poprzysiągł. Dla syna i córek miał inną twarz niż dla reszty świata.

– Tak, ojcie. Dużo myślałem... – zaczął trochę chaotycznie Wenewet. – Najbardziej teraz, ostatnio. Wyjeżdżasz „w sprawach”. Kiedy miałem dziesięć lat, to mi wystarczało, ale potem... Na czym polegają te sprawy? Z czego my właściwie żyjemy, jak zarabiasz pieniądze, ojcie? Polujesz, sprzedajemy skóry, futra... Ale ja już umiem liczyć i wiem, że nie żyjemy ze sprzedaży skór, a jemy nie tylko dziczyznę. Kim... – Urwał, bo zaczęte pytanie, zadane własnemu ojcu, musiało zabrzmieć głupio. Dokończył je jednak: – Kim ty jesteś? Czym się zajmujesz?

Aktar domyślał się, co nurtuje młodego człowieka. Lecz domyślał się chyba zbyt wiele; oczekiwał innego i trudniejszego pytania. Słowa syna przyjął z dobrze maskowaną ulgą; chłopak tego nie zauważył.

– Dawno chciałeś o to zapytać?

– Już pytałem. Emirę. Ale nawet nie wiem, co odpowiedziała. Ona zawsze potrafi... wiesz. – Uczynił niejasny ruch ręką.

– O, wiem.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Emira potrafiła uniknąć odpowiedzi na dowolne pytanie. Pytający słuchał, ona odpowiadała – aż po pewnym czasie okazywało się, że już od dawna mówią o czymś innym. Chyba nigdy nikt nie przyparł jej do muru.

Aktar skinął głową i lekko się uśmiechnął. W odróżnieniu od syna był dobrze przygotowany do rozmowy. Od zawsze wiedział, że pewnego dnia do niej dojdzie, mało tego: odbył już podobną rozmowę. Z dorosłą córką.

Emira nie odpowiedziała bratu, bo nie chciała.

– Twoja siostra przypomina kogoś, kogo znałem, gdy miałem tyle lat, co ty. Nosi imię na pamiątkę po tamtej. Kiedyś, synu, opowiem ci wszystko dokładnie, dzisiaj tylko trochę, bo naprawdę musimy zabrać się do pracy. Jeśli nic nie zrobimy

i pojedziemy, to wszystko spadnie na Renewa, a nie jest już młody i wkrótce my będziemy pomagać jemu, nie on nam.

Uniósł rękę.

– Odpowiem na twoje pytanie. Wiele lat temu, za młodu, ścigałem pewnego człowieka, mordercę. – Aktar zmarszczył lekko brwi. – Szukał schronienia w rodzinnym domu i tam go pochwyciłem. Jego matka i ojciec prosili o życie syna. I nie zabiłem go.

Zdumiony Wenewet spoglądał szeroko otwartymi oczami.

Ojciec... ścigał jakiegoś mordercę?

– Rok później spotkaliśmy się znowu i tym razem jeden z nas zginął – rzekł Aktar i znowu się uśmiechnął, rozkładając lekko ręce, jakby pokazywał: „Siedzę tutaj”. – Pochwycono mnie i miałem odpowiedzieć za zabójstwo. Twoja... ciotka powiadomiła pewnego człowieka, ojca tego, którego zabiłem.

– Ciotka Aya?

– Sprowadziła go. Był teraz kimś bardzo ważnym, ale przede wszystkim był człowiekiem. I Armektańczykiem. Uwolniono mnie, bo na moją korzyść świadczył ojciec zabitego. Wiedział, a raczej uwierzył, że tylko broniłem życia. Zawarliśmy pewien układ, darowano mi ten skrawek ziemi, na którym mieszkamy. Miałem trochę pieniędzy, wystarczyło, by się pobudować. – Aktar powiódł spojrzeniem po ścianach, jakby chciał ogarnąć cały dom. – To właściwie jest moje więzienie, przyrzekłem, że będę tu siedział. No więc siedzę, opiekuję się wsią. Siedzę i oczekuję bardzo specjalnych zleceń, a gdy je dostaję, to „wyjeżdżam w sprawach”. Co byś pomyślał, synu, gdybym ci powiedział, że żywi nas Trybunał Imperialny?

Dla Wenewa wszystko działa się zbyt szybko.

Oczekiwał czegoś innego. Ojciec był świetnym jeźdźcem; może najlepszym, jakiego znał. Gdyby powiedział: „Synu, biorę udział w wyścigach konnych i nie dość, że wygrywam nagrody,

to obstawiam zakłady” – byłby gotów od razu uwierzyć. To proste: ojciec milczał, nie chcąc mówić małoletnim dzieciom, że para się hazardem. I ryzykuje życie, bo w zawodach jeździeckich każdy miał prawo zrzucić z siodła drugiego i niejeden już zginął pod kopytami albo został kaleką.

Ale... Trybunał Imperialny?

– No, to wiesz już – skwitował Aktar – dlaczego twoja siostra, mimo tak młodego wieku, została tłumaczką Trybunału. Rzeczywiście świetnie zna dartański, no ale... Nie jestem urzędnikiem ani szpiegiem – wyjaśnił. – Właściwie tylko gońcem, posłańcem. Co prawda niezwykłym posłańcem, bo... – Aktar zawahał się, nie wiedząc, jak przedstawić rzecz zarazem krótko i zrozumiale. – Dawno temu, jeszcze zanim przyszedłeś na świat, dużo jeździłem po Równinach i bardzo dobrze je znam. Poznałem też wielu ludzi jeżdżących tak jak ja. Jeźdźców Równin. Czasem Trybunał Imperialny potrzebuje pomocy tych ludzi. A najczęściej tylko życzy sobie, by gdzieś się nie plątali, do czegoś nie mieszali, kogoś nie ukrywali. Żeby w czymś nie przeszkadzali. W takich dziwnych rozmowach potrzebny jest pośrednik, któremu ufają jedni i drudzy: urzędnicy Trybunału i Jeźdźcy. A przede wszystkim to musi być ktoś potrafiący szukać wiatru w polu. – Uśmiechnął się jeszcze raz.

– I ty jesteś, ojcze, kimś takim?

– Źle czy dobrze?

Wenewet milczał, a świat wokół zmieniał się w oczach. Wrzucono go w środek legendy: jego ojciec był kiedyś Jeźdźcem Równin, a teraz człowiekiem, któremu Jeźdźcy ufali i uważali za swojego. Tak bardzo, że przyjmowali od niego polecenia wydane przez ludzi, których zadaniem było ścigać Jeźdźców. Bał się, że ojciec żartuje.

Bo ojciec czasem żartował. Co prawda nigdy w ten sposób.

„Źle czy dobrze”. To też było nowe, nawet jeśli ojciec pytał z lekką kpina.

Źle czy dobrze? Miałby oceniać ojca?

Tylko że ojciec nigdy dotąd nie zadał podobnego pytania.

Aktar bez trudu czytał w duszy syna – zupełnie jakby nagle wydostała się na zewnątrz. Sięgnął po odpięty, położony na stole pas. Z płaskiej sakiewki wszytej po wewnętrznej stronie wydobyl ciasno złożony dokument, opatrzony żelazną plombą-pieczczęcią. Wenewet przeczytał potwierdzenie tożsamości tajnego urzędnika Trybunału.

Mieli ścinać tego dnia drzewa z lasu, ale zrezygnowali, bo sypnęło deszczem ze śniegiem tak obficie, że choć wkrótce ustał, wszystko utonęło w błocie.

Jednak to i owo należało zrobić w domu, więc nie próżnowali. Wenewet wyszukał sobie takie zajęcia, którym mógł od biedy podolać sam. Dachy stajni dotąd nie naprawiał, bo właściwie należałoby wymienić cały, więc czekał z decyzją do powrotu ojca. Stało na naprawie; latając ciekący dach, młody mężczyzna miał czas na rozmyślanie.

Ale to jeszcze nie były wszystkie wydarzenia tego dnia.

Wieczorem ojciec wszedł na chwilę do jego sypialnej izby. Trzymał w ręku cienki plik zapisanych kart i Wenewetowi zrobiło się gorąco.

– Przeczytałeś list do mnie, a ja twoje pisanie i jesteście kwita – rzekł wesoło Aktar. – Kiedy były tu twoja siostra i Sajla, chyba lepiej pilnowałeś tych kartek?

Chłopak nie wiedział, co odrzec.

– Nigdy nie miałem ręki do pióra, ale opowiadaliśmy sobie z chłopakami przy ognisku różne takie... – Aktar pokiwał głową, spod oka zerkając na syna. – Ty byłbyś wtedy dla nas za stary. Opowiadaliśmy sobie i wszyscy mieliśmy przy tym czerwone uszy, nie zielone.

Wenewet domyślił się, że akurat tak samo czerwone, jak jego w tej chwili.

Ojciec oddał mu kartki.

– Ayana, nie Ajana – rzekł i roześmiał się, bo w wymowie brzmiało to tak samo, a różnicę widział tylko w myślach i właśnie to sobie uświadomił. – Uczyłeś się przecież dartańskiego? Ruda Ayana jest półkrwi Dartanką. Nosi imię po babce.

Chłopak siedział na łóżku osłupiały.

– Ty ją znasz? Ona... jest prawdziwa?

– Tak, Wenewie, a ty umiesz dodać dwa do dwóch, bo nauczyli cię w szkole. Ale nie myśl dzisiaj za dużo. Śpij dobrze.

Jeszcze raz się uśmiechnął i wyszedł.

Wenewet nie spał dobrze; prawdę mówiąc, budził się kilka razy i ledwie przytomny zwłókł się rano z łóżka. Ale niczego do niczego nie dodał, a w każdym razie nic z tego nie wyszło, chociaż dodawał z całej siły. Nie spał, a wciąż miał wrażenie, że za dużo mu się minionego dnia przyśniło.

Lecz rano nie odnalazł tego ojca, którego pożegnał dwa miesiące wcześniej, gdy „wyjeżdżał w sprawach”. Niby nic się nie zmieniło albo bardzo niewiele, jednakże wyczuwał różnicę. Ojciec trochę inaczej z nim rozmawiał i chyba inaczej patrzył.

Z równań dotyczących Ayany nic się nie wyłoniło, bo zbyt mocno utkwiał mu w głowie obraz staruchy ledwo trzymającej się na grzbiecie konia. Uświadomił to sobie w jednej chwili.

Dwa dni później przyjechała ciotka Aya; gdy na podwórzu zeskoczyła z siodła, zimowe słońce zapaliło na chwilę jej ciemnobrązowe, lekko powleczone miedzianą barwą włosy i wtedy nagle Wenewet dodał dwa do dwóch.

Złapał się za głowę i po prostu uciekł.

ROZDZIAŁ 5



WSar Soa to dość znany ród. Niezbyt wpływowy, bogaty też nie – powiedział Aktar. – Raczej tylko stary.

– Ty przecież, ojcze, wychowałeś się w Sar Soa.

– W wiosce niedaleko Sar Soa – sprostował

Aktar. – Dom taki jak N.R.M., książe, z którego wywodzi się jego wysokość Ramez, małżonek cesarzowej, to tak. O tym rodzie wiedział nawet wiejski chłopak, zresztą wie chyba każdy Armektańczyk. Ale pomniejsze rody Czystej Krwi? Setnik legii i podsetnik gwardii D.L.Rawat odszedł z wojska z prawem do zachowania stopnia. Roztrwonił resztki majątku, rozwodząc się z pierwszą żoną, potem żenił się... właściwie co i rusz, ale po okresie próbnym zazwyczaj nie przedłużał małżeństwa albo żona nie przedłużała, zostawiał jej wtedy połowę wszystkiego, co jeszcze miał, i szukał następnej. Zestarzał się, rozpił, stracił ostatnią sztukę srebra i teraz już kobiety nie garną się do niego.

– Bardzo dziwne – powiedziała Ayana.

Siedzieli we troje w wielkiej izbie, obejmując dłońmi kubki z grzanym winem. W palenisku płonął ogień, ale nie było zbyt ciepło.

– Wiosną, trochę mniej niż rok temu, ruszył w podróż, chyba do Riny. Zdaje się, że odwiedził samo pogranicze, ale Trybunał uprzedza, że to są wiadomości niepewne. Gdzieś pojechał i wrócił do Sar Soa, tyle wiadomo na pewno.

– Dlaczego nam... dlaczego tobie, ojcze, zlecono to zadanie? – zapytał Wenewet. – Dlaczego nie pójdzie do tego setnika jakiś

sarsoański oficer?

– Setnik Rawat nie rozstał się z wojskiem w przyjaźni. Raczej niczego z nim nie załatwią. Uznano, że sprawdzi się raczej ktoś taki jak ja, kto przez pół życia prowadził trudne rozmowy, żeniąc ogień z wodą. A potem, jeśli zdołam przekonać tego człowieka i pozyskać jego zaufanie, będę najlepszy do wypełnienia drugiej części zadania. Ja i wybrani przeze mnie towarzysze. Bo jeśli odliczyć konnych łuczników legii, to kto właściwie może pojechać na północ, wlokąc ze sobą sześćdziesięcioparoletniego pijaka, który co prawda był kiedyś dobrym jeźdźcem i dowódcą konnicy, ale dziś...

– Ale na czym właściwie polega to zadanie? Ktoś w ogóle kiedykolwiek robił coś takiego? Próbował rozmawiać z Alerami?
– zapytała Ayana.

– Tak, właśnie on. Człowiek, do którego jedziemy. Przez jakiś czas nawet przebywał w ich obozie wojennym. Nie jako jeniec.

– Żartujesz.

– Nie. To akurat wiadomo na pewno. W oddziale, którym wtedy dowodził, była jedna łuczniczka, i ona na pewno mówi prawdę. Powiedziała, że tak było, więc...

– Może dziewczyna zmyśla? Minęło trzydzieści parę lat...

– Właśnie. „Dziewczyna” ma dziś pod sześćdziesiątkę, jest tysięczniczką Gwardii Armektańskiej, a w ogóle to jedną z najsławniejszych żołnerek Szereru. Ma na imię Agatra.

– TA Agatra?

– Tak. Bohaterka wojny dartańskiej, Żelazna Agatra z Żelaznej Ariergardy. Dziesięć razy pobita i dziesięć razy od nowa z garścią żołnierzy zatrzymująca ciężką jazdę wroga, ścigającego rozbitą Armię Wschodnią. Chodząca legenda. Kandydatka na najwyższe stanowiska w wojnie, która się właśnie zaczyna. Naprawdę miałyby zmyślać o swoim dowódcy i wydarzeniach sprzed trzydziestu lat? Żeby dodać sobie znaczenia albo... po co?

– Widziałem ją raz w Kirlanie – pochwalił się Wenewet. – Była wielka parada wojska na ulicach z okazji urodzin cesarzowej. Wtedy ktoś mi pokazał... a właściwie to wszyscy pokazywali i mówili, że to jest Żelazna Agatra.

Aktar skinął głową. Ayana wzruszyła ramionami, jak to ona.

Wenewet właściwie nigdy nie był pewien, czy lubi ciotkę Ayę. Zjawiała się od zawsze i tak samo zawsze znikła, a do rozmów z dzieciarnią chyba nie miała cierpliwości. Co prawda przywoziła prezenty, a to wydawało mu się bardzo ważne, gdy ledwie odrastał od ziemi.

Raz dostał kilku drewnianych, wspaniale wyrzeźbionych żołnierzy.

„To od wuja Weneweta, mojego brata. I brata twojej matki” – powiedziała. „Nosisz po nim imię i kiedyś na pewno go poznasz”.

„Gdzie jest wuj Wenewet?”

„Daleko. Przysłał mi list, pieniądze i tych żołnierzy dla ciebie”. Teraz właśnie, już wkrótce, miał poznać wuja.

A dziwactwa ciotki przestały mieć znaczenie. Do Rudej Ayany pasowało cokolwiek. Chyba nawet nie powinna być taka całkiem zwyczajna.

Młody syn Aktara od kilku dni brodził w półrzeczywistości. Gdy siedział przy stole i rozmawiał z ojcem, wszystko było od biedy realne. Lecz gdy choć na chwilę zostawał sam... Wtedy zaczynał odnosić wrażenie, że wymyślił sobie opowieść, jedną z tych, które warto by wieczorem spisać. Jeszcze nie zdążył ochłonąć po zostaniu mężczyzną; jeszcze nie przetrwał prawdy o tym, kim naprawdę jest jego ojciec i niemila ciotka, którą znał od zawsze – a już wtajemniczano go w plany najdziwniejszej wyprawy, jaką widział Armekt, a może i cały Szerer: poselstwa do srebrnych Alerów. Wiązało się to zadanie z legendami o bohaterach ze starej wojny granicznej i o tych z wielkiej wojny

armektańsko-dartańskiej. Miał ich wkrótce zobaczyć na własne oczy.

– Wy, ja i mój brat... – wyliczyła, pokazując palcem, przy czym „brata” wskazała gdzieś za sobą i do tego na pewno pod powałą.

– Do tego stary pryk w lektyce, bo chyba nie na koniu. Mało nas.

– Dwóch Wenewów – zauważył Aktar.

– Wcale nie – odpowiedziała z uśmiechem. – Wenewet i Ajan.

– Ajan?...

Wenew też uniósł brwi. Ciotka Ayana i wuj... Ajan?

– Nie uwierzycie, co wyprawiał. W Dartanie. Jeśli będzie chciał, to sam wam opowie, ja nie umiem – zastrzegła (nie było to prawdą; z czasem Wenewet się dowiedział, że ciotka, jeśli chce, to umie opowiadać). – Ale kiedyś ktoś zapytał go o imię, a on nie chciał kłamać ani zdradzić prawdziwego, więc zażartował: „Ayana”, bo to było pierwsze, co przyszło mu do głowy. Imię siostry. Myślał, że się po tym odczepią. Z czasem został Ajanem, pisany chyba po armektańsku, nie po dartańsku... zresztą nie wiem, mieli go tam za Armektańczyka. Uznał to za swój wojenny przydomek, mówi, że to imię przyniosło mu szczęście. Może tak, bo wiem, co wtedy robił: prosił się o byle jaki grób. Kocham go i cieszę się, że wrócił. – Znowu się uśmiechnęła. – Ale jednak mało nas będzie – powtórzyła.

– A Druga i Trzecia? – zapytał Aktar.

No tak, bo były Trzy. Najmniejsza wataha na Równinach, zawsze złożona z trzech Jeźdźczyń. Podobno żadna nie dowodziła. Ale tamte dwie się zmieniały, jedna kiedyś zginęła, zdaje się, że utonęła w wezbranej rzece, i na jej miejsce przyszła nowa; raz i drugi któraś odeszła – i tak samo Dwie pozostałe dobrały sobie Trzecią. Tylko Ruda Ayana była od samego początku.

– Nie. Matra nie usiądzie obok żadnego mężczyzny. Kenita nie pójdzie pod niczyją komendę.

– Tak mi się zdawało – rzekł Aktar. – Czyli ani jedna?

– Jedna tak, Pierwsza.

– To już wiem.

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz – zażądała. – Połowy nie zrozumiałam.

Wenewet spojrział z wdzięcznością, bo i on nie wszystko zrozumiał, ale brakło mu odwagi, by przyznać się do tego.

– Żadne z nas nie zrozumie do końca – orzekł Aktar. – Ja to wam powtarzam jak kruk, którego nauczyli kilku słów. No, może nie aż tak, coś tam chyba rozumiem, tylko że...

Opowiedział jeszcze raz. Gdyby jego cesarska wysokość książę Ramez i piękna Kesa-Przyjęta mogli usłyszeć, co mówił, byliby zadowoleni. Dość wiernie przedstawił problem: od historii starego posągu zniszczonego niegdyś przez Alerów, po domysły związane z przebudzeniem Dawcy Mądrości.

– Szerń i Aler, Pasma i Wstęgi – zakończył. – Musimy porozumieć się ze Srebrnym Plemieniem, przekonać ich, że mamy wspólnego wroga, o ile rzeczywiście tak jest, bo może wcale nie. Mamy dowiedzieć się, gdzie on jest, ten wróg, i czy można go jakoś zniszczyć. – Wzruszył ramionami. – A na całym świecie żyje jeden człowiek, który chyba rozumie ich mowę. Stary, smętny i zapijaczony. Więc najpierw jedziemy po niego.

– Ale wojsko nie za bardzo nam pomoże?

– Tylko w ostateczności. Nawet na naradzie, na której wymyślono cały plan, większość najwyższych dowódców uważała, że konszachty z Alerami to obłąd. I to jest drugi powód, dla którego nikt nie chce mieszać do tej zabawy wojskowych. Niżsi oficerowie i prości żołnierze mogą uznać nas po prostu za zdrajców, bo pół biedy, jeśli tylko za szaleńców. Na pewno nie wszyscy, ale wielu tak. Gotowi nas zatrzymać, przesłuchiwać,

posyłać gdzieś gońców dla sprawdzenia, czy rzeczywiście jest tak, jak mówimy. Z Alerami można tylko mieczem i toporem, wiadomo. Ja chyba... chyba też tak zawsze uważałem. – Pokiwał głową. – Nikt nigdy z tymi stworami nie rozmawiał. Jak? I o czym?

– Coś wam powiem – rzekła Ayana i dotrzymała słowa, mianowicie zaczęła mówić i trwało to dosyć długo.

Wenewet nie wytrzymał i zaczął chichotać, ale i Aktar nie zdołał zachować powagi.

– Wystarczy – powiedział. – Wszyscy jesteśmy dorośli, Ayano. Ale ja chyba nie aż tak.

– Ja też nie, cio... Ayano – przyznał się Wenewet.

W Armekcie każdy dorosły człowiek mógł, a nawet powinien zwracać się do wszystkich w rodzinie po imieniu. Wenewet jeszcze nie przywykł i „Ayano” przychodziło mu z trudem. Zresztą zapominał.

Ostatecznie „ciotko”, tak jak „ojcze, matko”, też było dozwolone. Raz kiedyś nawet wypadało odezwać się w ten sposób, niby że: „Zawsze pamiętam, kim naprawdę dla mnie jesteś”.

– Porozmawiajmy z Renewem – rzekł Aktar, poważniejąc. – Nikomu niczego nie wyklepie, a jest mądry i doświadczony. Chcę wysłuchać, co powie. To na pewno będzie mniej ciekawe, Ayano, od tego, czym nas przed chwilą uraczyłaś, ale za to bardziej treściwe. Znajdź, synu, Renewa – poprosił.

Wenewet wstał od stołu, poszukał w sieni kapoty i wyszedł, a właściwie tylko otworzył drzwi na zewnątrz. Przejmujący wiatr przeniknął do szpiku kości; Wenewet zatrzasnął drzwi z powrotem, bo przyszło mu do głowy, że przed wyjściem na ten ziąb dopije resztkę gorącego wina z kubka. Chciał wrócić z sieni do wielkiej izby, ale usłyszał słowa:

– Od zawsze słyszę, że Wenewet powinien zostać Jeźdźcem i w ogóle każdy powinien zostać Jeźdźcem, ale kiedy chcę go zabrać na Równiny, to ty jesteś niezadowolona.

– A ja zawsze słyszałam, że najlepiej, gdyby nigdy nie wsiadł na konia – odparła złośliwie. – Łuk też mu schowałeś? Może znalazł?

Wenewet zatrzymał się w sieni.

– Twój ojciec przypłacił zdrowiem twoje nauki w Sar Soa – ciągnęła. – Mówiłeś, że zatyrał się na śmierć, bo pracował za siebie i za ciebie, a ty nie umiałeś skorzystać z tego, co ci dał. Teraz ty posłałeś chłopaka do Kirlanu i chyba wcale nieźle mu było w tej szkole. Ja już się prawie pogodziłam, że zostanie jakimś uczonym. – Prychnęła.

– Może i zostanie. Oby został. Ale musi wybrać, a im szybciej wybierze, tym lepiej. Nie może przez całe życie zastanawiać się, czy dobrze zrobił, odrzucając jedno albo drugie.

Wenewet cicho wycofał się do drzwi, otworzył je i zatrzasnął na powrót, tak jakby wrócił z dworu. Zaraz wkroczył do wielkiej izby.

– Renewa nie ma w stajni, poszukam go – powiedział, podchodząc do stołu. – Straszny ziąb, ale przypomniałem sobie o tym winie.

Wziął kubek i podniósł do ust.

– Zobaczysz, co będzie na Równinach – powiedziała kpiąco Ruda Ayana. – Ja chyba wiem, dlaczego ojciec chce cię teraz tam wlec. Zima to nie jest czas dla Jeźdźca. Wybije ci z głowy Równiny raz na zawsze.

Aktar skrzywił się i karcąco potrząsnął głową.

Wenewet uśmiechnął się, skrzywił tak jak ojciec, dopił wino i poszedł po Renewa.

Spakowali się do wieczora.

Wyruszyli następnego dnia rano.

Droga prowadziła przez Trzy Porty. Z ostatniego, położonego najdalej na południe stołecznego Kirlanu wiódł wprost do Sar Soa i dalej do Bany jeden z najlepszych armektańskich traktów. Była to droga bezpieczna i wygodna, usiana przydrożnymi zajazdami, licznymi miasteczkami i wioskami, w których łatwo było o nocleg. Właściwie najgorszy odcinek pokonali na samym początku, z Nateli do Kanazy. Coś w rodzaju gruntowej drogi łączyło to miasto z Rewinem na Północnej Granicy, ale właśnie tylko „coś w rodzaju”. W błocie i śniegu była to najwyżej dróżka-przewodniczka. Na północ od Kanazy brakowało wielkich miast, a tylko takie połączono gośćińcami z prawdziwego zdarzenia.



Na początku podróży mijali niewiele wiosek. Nie było ich jednak aż tak mało, by musieli nocować w polu albo w lesie. Chłopi bardzo chętnie udostępniali stodoły przejezdnym, bo był z tego jakiś grosz za nic.

Zimą Wielkie Równiny zamierały. Ayana przecież miała rację: to nie był czas dla Jeźdźca, a zresztą dla nikogo. Kupcy oczywiście handlowali przez cały rok, ale zimą nie zjeżdżali z głównych traktów. Ubywało podróżnych.

A słynni armektańscy przebiegacze stepów zapadali na leżach zimowych. Najczęściej w zaprzyjaźnionych wioskach, ale istniały też różne, znane tylko im miejsca, w których dało się przeczekać mrozy. Jakaś porzucona w głuchej kniei osada smolarzy. Albo szczątki zabudowań wioski, która miała powstać, lecz z nieznanых powodów nigdy nie powstała, wystarczyło jednak połatać najlepszą chałupę i komórkę, żeby można tam było przeżyć dwa, trzy miesiące. Na południe od Sar Soa zasiedlano czasem jaskinie w wapiennych skałkach, na wyżynach u stóp Szczytów Książęcych.

Ayana miała słuszość po wielokroć, bo Aktar rzeczywiście był rad, że pierwsza wyprawa jego syna wypadła akurat zimą. Miał nadzieję, choć nie przyznał tego przed Jeźdźczynią Równin, że naprawdę ta pierwsza włóczęga będzie zarazem ostatnią.

Ale zima odpowiadała mu także i dlatego, że nie musiał się bardzo śpieszyć. Wehfety Srebrnych Plemion niechętnie zjadały liście z drzew, zresztą tylko niektórych, źle trawiły, ale jednak był to dla nich pokarm. Tak samo jak trawa dla koni. Wojna na północy przygasła i było mało prawdopodobne, by gwałtownie rozgorzała w środku zimy. Długa podróż do Sar Soa, odnalezienie i pozyskanie starego setnika legii, zebranie odpowiedniego oddziałku, wreszcie powrót na daleką Północ... Setki mil; tygodnie i miesiące w drodze. Wiosną albo latem podróżowało się wygodniej i szybciej, ale musiałby liczyć każdy

dzień. Gdyby właśnie ścierały się armie, płonęły wioski, wrogie hordy forsowały rzeki – nie mógłby działać tak spokojnie, jak działał.

Zamierzał zmitrężyć dzień, może dwa. Trudno było oczekiwać, że znalazłszy się w Kirlanie, nie odwiedzi córek.

Wenewet zmartwił się, gdy wyszło na jaw, że właściwie niepotrzebnie wyprawił siostrę w drogę; gdyby poczekał na powrót ojca, pojechaliby do Kirlanu wszyscy razem. Ale tylko raz poruszył ten temat. Ojciec go wysłuchał, a potem powiedział:

„Postąpiłeś, jak postąpiłeś, a teraz posłuchaj: nigdy nie mów, że można było zrobić coś inaczej. Wszystko można zrobić inaczej, ale nie wiadomo, czy lepiej, bo tego się nie sprawdzi. Wyciągnij wnioski, nie powtarzaj błędów i to wszystko. Jeśli kiedyś postąpiłeś zgodnie z przekonaniem, to nie obwiniaj się o nic”.

Po czym wytłumaczył obszerniej:

„Po tygodniu, miesiącu albo roku masz wiedzę, której wcześniej nie miałeś, bo znasz skutki pójścia w prawo zamiast w lewo. Gdy ktoś przy tobie mówi o przeszłości, że zrobiłby coś lepiej od ciebie, nie słuchaj go. To głupiec. Nie był tobą ani na twoim miejscu. A gdyby był, to może zrobiłby to lepiej, może gorzej, nikt tego nigdy nie sprawdzi. Mądrzyć się po latach umie wielu”.

Wenewet nie był pewien, czy ojciec ma słuszość. Wyciąganie wniosków z błędnych decyzji wydawało się nierozzerwalnie związane z żalem, a przynajmniej niezadowoleniem, że zostały podjęte. Zamiast innych decyzji, przypuszczalnie lepszych.

A jednak to Aktar miał słuszość, tylko jego syn jeszcze o tym nie wiedział. Stary gawędziarz, a kiedyś historyk w Wielkiej Akademii, zaraz uśmiechnąłby się i powiedział: „Twój ojciec wybornie wytłumaczył ci, młody panie, co to są ahisteryczne rozważania”.

Byli już w Kirlanie.

Zostawili za sobą przedmieścia i teraz mijali jednakowe brunatno-czarne domy, trwające w wojskowym ordynku. Wlekli się, bo nie mogli inaczej; musieliby tratować przechodniów.

Wyjrzało na chwilę słońce i brunatna cegła poczerwieniała.

W ciągu minionego roku ulice w ogóle się nie zmieniły – wyglądało na to, że stolica imperium świetnie sobie radzi bez jego godności Weneweta. Ojciec słabo znał miasto, ciotka wcale, więc rola przewodnika przypadła najmłodszemu z całej trójki. Chciał poprowadzić do kamienicy, w której kiedyś mieszkał z Emirą, bo tam było najłatwiej o wieści, dokąd się przeprowadziła – o ile już zdążyła to zrobić. Ale ojciec miał inne zdanie.

„Najpierw do siedziby Trybunału” – powiedział. „Tam powiedzą, gdzie teraz mieszka ich najmłodsza tłumaczka, a ja zasięgnę wieści. Jest tu człowiek, który odpowiada za naszą misję i udzieli nam pomocy we wszystkim”.

„Myślałem, że stolicą Trybunału jest Donar?”

Trzy Porty – i trzy stolice. Siedzibą władz okręgu miejskiego była Kanaza; Kirlan był stolicą imperium; Donar siedzibą najwyższych urzędników armektańskiego Trybunału – bo bardzo ostentacyjnie, i we wszystkich prowincjach tak samo, odsuwano tę strzegącą prawa instytucję od wszelkich innych zwierzchności.

„W każdym wielkim mieście znajdziemy kogoś, kto odpowiada za naszą wyprawę” – wyjaśnił krótko Aktar. „To jest przecież Trybunał. Na północ od Sar Soa w każdym okręgu znajdzie się ktoś, kto będzie wiedział, kim jestem i co mam zrobić. A możliwe, że posłano nawet gońców do kilku mniejszych miast, w których możemy się znaleźć. Tak działa najpotężniejsza instytucja cesarstwa”.

„Najpotężniejsza jest armia”.

„Nie. Najbardziej poważana”.

Ayana tylko słuchała, nie biorąc udziału w rozmowie. Tej ani żadnej innej. Nie ukrywała, że w jej oczach miasto takie jak Kirlan – a wcześniej Kanaza i Donar – to coś koszmarnego. Przyjechała tu, bo musiała. Ale, choć bardzo chciała zobaczyć Emirę i Akeę, to równie gorąco pragnęła od razu potem wyjechać.

Wenewet oswoił się już ze świadomością, że jest synem Jeźdźca i siostrzeńcem półlegendarnej awanturnicy. Prawdę mówiąc... to chyba nie było nic nadzwyczajnego. Zwłaszcza jeśli nie mógł odnaleźć dawnych przyjaciół z Kirlanu, żeby opowiedzieć im o wszystkim.

Aktar do Trybunału poszedł sam, zostawiając syna i jego ciotkę w niedalekiej gospodzie. Bardzo blisko stąd było do wielkiej (podobno największej na świecie) miejskiej biblioteki, w której Wenewet spędził niejedną wieczór. Ale teraz tylko otworzył usta, po czym natychmiast je zamknął, napotkawszy spojrzenie Ayany, która raczej zamierzała się upić piwem, niż słuchać o bibliotekach. Cóż dopiero iść i oglądać.

Powszechnym zwyczajem oddali bagaże na przechowanie; każda miejska stajnia, a szczególnie przy gospodzie, zapewniała taką usługę. Nie mieli więc przy sobie juków ani żadnej broni, łuki i miecze zwracały uwagę, a były zupełnie zbędne na ulicach pierwszego miasta Szereru. Wenewet spędził tutaj trzy lata i tylko dwa razy zetknął się z bezprawiem: widział, jak straż miejska goniła jakiegoś rzezimieszka, a kiedy indziej był świadkiem naprawdę dużej bójki z okazji zawodów jeździeckich – tutaj mówiło się zwykle zadymka albo zadyma. Czasem jeszcze ktoś z kimś posprzeczał się przy piwie. Prawda: raz grasował jakiś morderca. Ostrzegano przed chodzeniem po zmroku.

Trzy lata?... Jego ciotce wystarczyło kilka chwil. Nie potrafił powiedzieć, z jakich powodów ani nawet kiedy właściwie

rozpętała karczemną – no, bo przecież właśnie taką – awanturę.

Izbę noclegową, zwaną zawsze wielką, miała każda oberża, a nawet piwiarnia; mniejsze izdebki dla podróżnych oferowano w dużych przydrożnych zajazdach, w miejskich oberżach niekoniecznie. „Wielkie izby” w miastach, przeważnie niezbyt obszerne, służyły nie tyle szukającym noclegu podróżnym, co raczej zwykłym pijakom, których warto było trzymać aż do późnej nocy, jeśli tylko mieli czym płacić, ale w zamian nie warto potem wypuszczać na uśpione ulice. Niejeden taki zalegał zaraz za progiem i rzygał, a potem zasypiał (to pierwsze jeszcze tolerowano, lecz drugie było przestępstwem, prawo zabraniało spać w nocy na ulicach). Jeśli tego nie czynił, to w zamian hałasował w towarzystwie kompanów, wabiąc strażników miejskich albo wojskowy patrol. Pijak miał wtedy kłopoty, miewał je i oberżysta, a jeszcze mógł stracić klienta, który potrafił pamiętać, gdzie na pewno nie warto się upić, bo potem nikt o niego nie zadba. Lepiej było za drobną opłatą kłaść takich na słomie, a rano nawet napoić wodą z kiszonych ogórków, co nic nie kosztowało, a rozrzewniało umierającego i napełniało jego serce wdzięcznością. Rodziło się przywiązanie do wspaniałej knajpy, gdzie chory człowiek traktowany był z troską i należyty szacunkiem.

Wenew nigdy się nie dowiedział, czego jego ciotka szukała w izbie noclegowej. Myślał, że wyszła na podwórze, by przysiąść nad kubelkiem za przepierzeniem z desek. Na zapleczach armektańskich jadłodajni i pijalni prawie zawsze wydzielano taki ką-t-wygódkę; oberżysta, który o to nie zadbał, miał naprawdę mnóstwo kłopotów ze sprzątnięciem.

Ktoś ją zaczepił, albo raczej to ona zaczepiła kogoś, zbyt ostro kwitując głupawą odzywkę z rodzaju tych, które w gospodach warto puścić mimo uszu. Jej zły humor – kazano jej przecież przebywać w wielkim mieście! – był tak widoczny, że Wenewet

nie przyjąłby zakładu, czy komuś najzwyczajniej nie przyłożyła. Być może zawołano coś do niej przez okno, więc wróciła z podwórza, wkroczyła do izby noclegowej i dała w papę zalotnikowi.

Ciotka miała już trzydzieści sześć lat i choć w siodle trzymała się o wiele lepiej niż siedemdziesięcioletnia starucha, to przecież właściwie niewiele była młodsza. Wenew najszczerzej sądził, że taka stara kobieta nie może zwrócić niczyjej uwagi. Nawet za młodu nie była chyba żadną piękną, a już teraz, w podeszłym wieku... Może jeszcze nie stała nad grobem (przecież sam opowiadał kiedyś, że w Armekcie ludzie długo żyją i raczej rzadko chorują), ale jednak nie było za czym się obejrzeć. Płaska jak deska, miała za wielki tyłek, a i z twarzy nic specjalnego. Komuś tam jednak widocznie piwsko zaćmiło wzrok.

Siedzący w głębi karczmy młody człowiek nie od razu zrozumiał, co oznacza narastające zamieszanie na podwórzu, z którego prowadziło wejście do szopy zwanej wielką izbą noclegową. A oznaczało ni mniej, ni więcej, tylko tyle, że Ruda Ayana demoluje budynek położony w odległości może trzech strzałów z łuku od pałacu Imperatory. Dopiero gdy sam gospodarz pospieszył na podwórze, Wenewet ruszył za nim, zresztą wespół z innymi gośćmi.

Pachołek, pomocnik oberżysty, próbował przytrzymać w drzwiach szopy kobietę z rozbitym nosem, która właśnie uznała, że dość tej szamotaniny, i wyrznęła go czołem w twarz. Pachoł wrzasnął i puścił ją, dołączając do grona krwawiących, bo trzeci – a może pierwszy? – rozkwaszony nos należał do podpitego łysola, którego z kolei trzymało dwóch kompanów. Wywlekli go chyba z izby noclegowej i teraz ciągnęli byle dalej, ale prześladowczyni pokonała pachołka i właśnie ruszyła w pościg.

Wenew nie miał pojęcia, co robić.

Jakiś zupełnie trzeźwy i porządnie odziany mężczyzna chwycił kobietę wpół, a był to człowiek naprawdę wysoki, do tego jeszcze brzuchaty – mógł ważyć dwa razy więcej niż ona. Szarpnęła się, lecz oderwał ją od ziemi, a wtedy nagle popatrzyła na opasujące ją przedramię o grubości łydki, zerknęła jeszcze w górę i napotkawszy spojrzenie mężczyzny, parsknęła krótkim śmiechem. Otarła rękawem krew z nosa i powiedziała coś całkiem spokojnie. Upewnił się. Potwierdziła.

Potrzymał ją jeszcze chwilę, a gdy prowadzony przez kompanów, mamroczący łysol zniknął za horyzontem, postawił na ziemi i puścił. Zaraz przywaliła mu pięścią w wielki brzuch, więc z powątpiewaniem pokiwał głową, uśmiechnął się i odwrócił. Nie trzasnęła go czołem, bo mogła najwyżej w łopatkę, więc oberwał jeszcze raz pięścią w plecy, ale się nie obejrzał, tylko odsuwając z drogi kilku gapiów, a w ich liczbie Wenewa, poszedł do swojego stołu, gdzie stygła kaszanka. Taka na miarę postury i wzrostu biesiadnika.

Gospodarz nie zamierzał posyłać po patrol; po co robić jeszcze więcej szumu? Zajście dobiegło końca, dwa rozbite nosy wystarczyło porządnie wysmarkać i przyłożyć mokrą szmatę do każdego. Nie do końca było jasne, kto i dlaczego wszczął bójkę, więc na wszelki wypadek oprócz mokrej szmaty wręczono obrażonej podróżnej dzbanek piwa na koszt jadłodajni. Nieco udobruchana wróciła z nim do stołu. Wenewet już tam siedział i pił swoje piwo jakby nigdy nic. Ale nieudolnie się maskował.

Dwie kobiety pijące grzane wino przy małym stole w kącie – może dziwki, ale niekoniecznie, bo wyglądały raczej na plotkujące mieszczki – pomachały do jego ciotki przyjaźnie i z uznaniem. Odmachnęła.

„Nie mów ojcu” – powiedziała i wygrzduliła pół dzbanka za jednym zamachem, a potem siedziała ponura i trzymała mokrą

szmatę przy nosie.

Współbiesiadnicy zerkali ku nim ciekawie, po pewnym czasie przestali.

Wbrew temu, co uważał Wenewet, jego starsza o dwadzieścia lat ciotka mogła się jeszcze podobać, w każdym razie podstarzałym mężczyznom, takim koło czterdziestki albo jeszcze bardziej wiekowym. Z twarzy raczej przeciętna – a spuchnięty nos niewiele tu poprawiał – miała niezwykle włosy: w pełnym świetle ciemnobrązowe, w lekko przyćmionym prawie czarne, w słońcu zapalające się miedzią. „Wielki tyłek” był właściwie w sam raz, a niewysoka sylwetka wcale zgrabna, chociaż rzeczywiście brakowało bodaj śladu piersi, tego jednak pod futrzanym zimowym kaftanem nie dało się poznać. No, ale niekoniecznie były to łakocie nęcące szesnastolatka, który wprawdzie, jak każdy mężczyzna w tym wieku, lubił dojrzałe kobiety, najwyżej jednak dwudziestopięcioletnie. „Dojrzałość” gdzieś się jednak kończyła, a za nią kroczyła starość.

Ba! Pewnie, że nie odmówiłby nawet takiej. Ale nie odmówiłby niczemu, co nie siedziało na drzewie, bo miał szesnaście lat.

Nie powiedział nic ojcu.

Ale choć miał tylko szesnaście lat, to zarazem jednak aż szesnaście. W każdym razie wystarczająco dużo, by zestawić legendę z rzeczywistością i dojść do przekonania, że z ciotką Ayą mogą być kłopoty. Nie wiedział na pewno, lecz sądził, że bardzo rzadko towarzyszyła ojcu w jego wyprawach, może nigdy; może teraz był pierwszy raz. Nie mogła, nie chciała albo istniały inne powody.

Wenewet, wprawdzie trochę na wyrost, umiał je chyba odgadnąć.

Emira, Akea i Sajla wyglądały tak, jak wyglądały, i Wenewet ze zdziwieniem spoglądał na ojca i ciotkę, którzy nie wiadomo, czego się spodziewali. Uświadomił sobie nagle, że tylko on naprawdę wie, co to jest stolica i jak tutaj żyją ludzie. Jak się zachowują, ubierają, o czym mówią. Łuczniczka i łucznik z Równin w ogóle tu nie pasowali.

Szczególnie Ayana. Aktar bywał w miastach, raz i drugi odwiedził córkę i łatwiej się teraz odnalazł.

Ale małej Akei nie poznał żaden z nich; to już chyba mniej zdziwiona była ciotka, która nie widziała jej od wielu miesięcy i łatwiej przyjęła zmianę. Przez ostatnie kilka tygodni dzieciak wydorósł co najmniej o rok. Wenewet pożegnał w Nateli dziewczynkę; w Kirlanie powitała go bardzo, bardzo młoda, ale już dziewczyna. Widać było ogromną różnicę.

Ayana wyściskała siostrzenice i rozdała przywiezione prezenty, a miała nawet dla Sajli: przepięknie rzeźbione z rogu przywieszki, bardzo modne w tym roku (skąd wiedziała? czy mówiło się o tym na Równinach?...). Następnie, zamiast się rozpogodzić, wpadła w najgorszy humor. Zamieniła tylko kilka słów, po czym wyniosła się do mniejszej izby, która służyła wszystkim trzem kobietom, bo także Sajli, za sypialnię. Poszła spać. Możliwe, że miało to związek z dwoma dzbankami wypitego piwa, bo mniej więcej tyle wyszło razem, o ile siostrzeniec dobrze policzył kufle.

Potem poszła spać Sajla, niedługo po niej Kea.

Aktar do późnej nocy rozmawiał ze swoją pierwszą córką. Wenewet odzywał się rzadko, raczej milczał i słuchał.

Znów coś odkrył. Dawno nie siedzieli tak we troje, a gdy kiedyś siedzieli, to... Zdawało się, że Emira jest po prostu najstarsza, dorosła, i dlatego ojciec inaczej z nią rozmawia.

Nie. Była najukochańsza. Wenewet tego wieczoru zrozumiał, że ojciec kocha Akeę i jego samego ponad życie – ale nie ponad

Emirę. Odwrotnie, to Emira była ważniejsza niż wszyscy i wszystko.

Aktar nie miał żony, w zamian odchowwał i wychował na kobietę pierwszą córkę, która była dumą i dziełem jego życia, a w przyszłości miała być podporą dla starzejącego się, samotnego mężczyzny. Już od dawna powierzał jej dom i wszystkie sprawy, gdy przyjeżdżała do Nateli. Teraz każdym słowem i spojrzeniem okazywał, że ufa jej, szanuje ją. I kocha.

Raz i drugi padło kilka słów, których Wenewet po prostu nie zrozumiał. O czym mówili? Na pewno mógł zapytać, ale bał się. Dotarło do niego, że Emira wie wszystko, ale to wszystko. Zupełnie. Aktar nie miał przed nią żadnych tajemnic. Od jak dawna?

Wenewet wciąż nie był gotów pytać o niektóre sprawy. A teraz po prostu nie chciał, bo każde z tych pytań odsłaniałoby przepaść niewiedzy, jaka oddzielała go od tamtych dwojga. Wolał dowiadywać się stopniowo, bo tak było znacznie bezpieczniej.

Na razie był trochę zazdrosny, że ojciec bardziej kocha Emirę.

ROZDZIAŁ 6



Najgodniejszym” lub „najgodniejszą” tytułowano w Armeckie tylko cesarza i cesarzową, wyjątkowo można było tak się zwrócić do najbardziej czcigodnej i posuniętej w latach osoby, której pozycja i zasługi nie budziły żadnych wątpliwości. Mógłby usłyszeć ten tytuł sędziwy uczonek – a najprędzej na swoim pogrzebie, gdyby jeszcze mógł słyszeć cokolwiek.

Większość tytułów pochodziła z Dartanu. Podbiwszy ten wielki kraj, Armekt sam z kolei został podbity przez jego sztukę, architekturę, a najbardziej właśnie tytuły, formy towarzyskie i tradycje rodowe. Minęły stulecia; niewielu już umiałoby powiedzieć, co przyszło skąd i dlaczego, z czym się wymieszało albo co pierwotnie znaczyło. „Wieczny pokój” w Wiecznym Cesarstwie podkopał armeckańską odrębność, wyjątkowość zrodzoną przed wiekami pod spojrzeniem Pani Wojny, Arilory. Wielcy wodzowie-wojownicy odeszli do przeszłości, najpierw stali się częścią historii, potem legend. Zastąpili ich (a może już tylko symbolizowali?) dowódcy na Północnej Granicy. Tu i ówdzie pojawiły się Domy – odłamy rodów nazywane tak na dartańską modłę. Nigdy nie przyjął się tytuł rycerza, w zamian coraz częściej armeckańskiego bogacza Czystej Krwi nazywano magnatem.

Jednak odwieczne tradycje i tym razem okazały się silniejsze. Synowie i córki Wielkich Równin nigdy tak skrupulatnie nie przestrzegali form, jak to czyniono w Złotym Dartanie; często

górze brał zdrowy rozsądek, dochodziło do głosu armektańskie umiłowanie prostoty, chciałoby się powiedzieć: akuratność. Nazwy, a także tytuły powinny po prostu pasować do realiów i oddawać istotę rzeczy.

Najbardziej było to widać tam, gdzie wszyscy zwracali spojrzenia, czyli na samej górze.

Cesarz lub cesarzowa – to było oczywiste: ten tytuł przysługiwał władcy lub władczyni Wiecznego Cesarstwa. Ale już współmałżonkom niekoniecznie, a właściwie to prawie nigdy. Bez wątpienia cesarzową była najgodniejsza Wasenewa, małżonka długo panującego Awenora; nikt nigdy nie nazywał jej inaczej, ale też nikt nie miał najmniejszej wątpliwości, że Wiecznym Cesarstwem rządzi nie władca, a para władców: wykute z marmuru małżeństwo, będące bez mała dla całego świata przykładem i wzorem tego, co potrafią wspólnymi siłami zdziałać przeznaczeni sobie mężczyzna i kobieta.

Ale już poprzedniczka najgodniejszej Wasenewy, żona poprzedniego cesarza, nosiła tylko tytuł Jej Cesarskiej Wysokości Księżnej Małżonki i tylko wyjątkowo ktoś ją nazywał cesarzową.

Ten sam tytuł, choć oczywiście w formie męskiej, przyjął N.R.M.Ramez. Ponadto gdy jego zawieszona przez wiele lat małżeństwo odzyskało ważność, skorzystał z okazji i zrezygnował z rodowych inicjałów przed imieniem, przyjmując w zamian imiona przodków żony: Askar, Sajlew, Nezetta. Był to gest o dużym znaczeniu, zwłaszcza uczyniony przez kogoś, kto wywodził się z rodu władców Sar Soa, najwspanialszego armektańskiego księstwa, jakie kiedykolwiek istniało.

Księżę Małżonek A.S.N.Ramez zawsze i nieomal ostentacyjnie trzymał się w cieniu cesarzowej, jednocześnie dając do zrozumienia, że nie odstępuje jej na krok, we wszystkim służąc

pomocą, radą i wsparciem. Był jednak człowiekiem odważnym i silnym, mającym na każdy temat własne zdanie i potrafiącym podejmować decyzje, czego dowiódł (niektórzy mówili: niestety) dotychczasowym życiem, a teraz dowodził nadal, bo nie był pochlebcą ani bezmyślnym wykonawcą poleceń swojej żony. Potrafił bardzo zdecydowanie przeciwstawić się władczyni Wiecznego Cesarstwa, i nie tylko w cztery oczy, bo także na posiedzeniu Rady, pokazać własne racje i skłonić ją do zmiany stanowiska. Inna sprawa, że gdy już podjęła decyzje – idące po jego myśli albo nie – natychmiast uznawał spór za niebyły i z największą dokładnością wykonywał wszystko, co postanowiła, świecąc innym wzorem i przykładem; był wówczas tylko pierwszym poddanym cesarzowej. Nigdy nie udawał, a nawet wręcz zaprzeczał temu, że rządzi cesarstwem razem z nią.

Powierzyła mu nadzór nad armią. Oficjalnie. Zwierzchnią władzą dla wszystkich wojsk imperium był cesarz lub cesarzowa. Lecz Werena przekazała tę władzę mężowi i odtąd mogła dowodzić siłami zbrojnymi tylko za jego pośrednictwem.

W ogóle pozbyła się wszystkiego, co jej zdaniem przeszkadzało w rządzeniu. Scedowała w dół całe mnóstwo swoich uprawnień i prawie do niczego się nie wtrącała. Sprawowała nadzór nad ludźmi, którzy działali z jej nadania, nie nad instytucjami.

Bardziej była najwyższą urzędniczką cesarstwa niż władczynią.

Najgodniejsza A.S.N.Werena wstała tego dnia jak zwykle – tę drugą porę doby nazywano w Armeckie „późnym rankiem” (dla Garyjczyka to by była raczej ósma klepsydra, ostatecznie ósma półpora; przecież dobę, inaczej niż na całym świecie, trzeba było zaczynać o północy, nie rano). Miała w sypialni okropny nieporządek i w ogóle była bałaganiarą, ale wstydziła się

i walczyła z tą niegodną władczyńską wadą, a przynajmniej pozwalała walczyć innym. Sypialnia jednak należała tylko do niej; służba prawie nie miała tu wstępu, przychodziła sprzątać jedynie wtedy, gdy naprawdę nie dało się inaczej. Cesarzowa zresztą w ogóle nie lubiła otaczać się służbą, a szczególnie z samego rana. Ubieranie, czesanie i wszystkie te straszne rzeczy mogły przecież poczekać. Najczęściej zaczynała dzień, figlarnie drapiąc w drzwi położonej po sąsiedzku mężowskiej sypialni. Ramez zawsze budził się wcześniej, ale i on nie był rannym ptaszkiem, lubił poleżeć w łóżku, rozbudzić się należycie. Porozmyślać lub chwilę poczytać.

Przyszedł zaraz. Zupełnie nago, tak jak spał.

– Pięćdziesiąt jeden lat – powiedziała, odwracając na chwilę spojrzenie od lustra, przed którym siedziała w takim samym stroju, jaki miał jej mąż. – Ciągłe muskularny, ciągle młody.



Schylił się i pocałował ją w policzek.

– Stara kobieta, tak, wiem. Już przecież czterdziestopięcioletnia.

Pokazała zwierciadło palcem.

– Dlaczego wszystkie księżniczki są piękne? – zapytała kpiąco. – Bo nikt nie ogląda ich rano. Potem mają na sobie suknie, pod którymi nie widać obwisłych piersi ani za krótkich nóg, wymyślono przecież koturny... Na szyi i w uszach ozdóbki. Wszyscy widzą piękną suknię i klejnoty. Niewolnica przez pół dnia układa włosy swojej pani, a druga przynosi barwiczki, których by wystarczyło do namalowania znaków na żaglach okrętu. A na pewno do zakrycia worków pod oczami. Daj mi pierwszą mieszczkę z pierwszego domu, do jakiego wejdiesz, a zrobimy z niej piękną księżniczkę. Naprawdę piękniejszą od tej tutaj.

Spojrzał w lustro. Miała rację i nie miała. Była niebrzydka kobietą. Ale piękną rzeczywiście nie.

A uchodziła za piękność.

Niemniej – jedno mógł jej wytknąć na pewno.

– Czy naprawdę „obwisłe piersi”, żono? No, nie powiedziałbym.

Chciał poprawić jej humor, lecz się nie udało. Posmutniała.

– Bo nigdy nie karmiłam dziecka. I na pewno już nigdy nie będę.

Nie mogli mieć dzieci. Adoptowali bratanka, prawo pozwalało. Ale to była adopcja polityczna; najstarszy brat Wereny był wspaniałym ojcem i młody książę nigdy nie opuścił jego domu. Rozwiązali problem następstwa tronu, tylko tyle. I uczynili pojednawczy gest wobec pominiętego przez starego cesarza pierworodnego syna – Imperator abdykował na rzecz córki, która była dopiero trzecia w kolejce do tronu.

Ramez od tyłu pocałował żonę w szyję, potem w ciemię: po mężowsku i po ojcowsku.

– Mam małą sprawę, ale wczoraj już nie chciałem ci zawracać głowy... Przysłali chłopaka z Trybunału, tam mam pismo. – Machnął ręką w stronę swojej sypialni. – Nieważne. Wszystko, co napisali, to że przyjechał Askar albo Aktar, ten Jeździec Trybunału, o którym ci mówiłem. Przekazali mu już wszystkie najświeższe wiadomości, ale oprócz tego mają pewien pomysł, możliwe, że niegłupi. Parę dni temu zwołałem naradę kilku dowódców i urzędników. Na jutro. Trybunał uważa, że ten człowiek powinien tam być.

– Chcą go wezwać na twoją naradę? A ty co uważasz? Dochowa tajemnic?

– Jakich?

– Wojsko zawsze ma tajemnice.

– Nie takie. Że wiosną będzie wojna, to tajemnica, którą zna każdy wieśniak w tym kraju, o mieszkańcach tego miasta nie wspomnę. A prawdę mówiąc, trochę jestem ciekaw tego Jeźdźca.

Zmarszczyła lekko brwi, przypominając sobie szczegóły rozmowy sprzed kilku tygodni.

– Naprawdę nie ma nikogo lepszego niż ten człowiek? Ten stary setnik, do którego jedzie, to w końcu poddany cesarstwa. Zachował stopień, czy tak? No, to dlaczego po prostu nie powołasz go z powrotem do legii? Co on ma do gadania? Poprowadzi układy z Alerami i już. Jak każdy oficer posłany do rozmów z wrogiem. Mógł zrezygnować ze stopnia i nie miałbyś wtedy nad nim wojskowej władzy. Nikogo nie wolno zmusić do zostania żołnierzem, ale jeśli nim jest i nie chce wykonywać rozkazów...

– Wiem, Wereno – napomniał pogodnie. – Jeśli będzie trzeba, to tak zrobię. Jeżeli Aktar niczego nie wskóra, to przyjdzie oficer

z garnizonu Sar Soa i po prostu wcieli setnika do wojska, odwołując ze stanu spoczynku. Ale zima dała nam trochę czasu, a ja jestem mężczyzną, nie kobietą – przypomniał. – Najpierw spróbuję po dobroci i łagodnie, a siłą dopiero potem.

Wzruszyła ramionami.

– Jak się jest słabym...

– ...to trzeba być bezwzględny – dopowiedział stare przysłowie. – Tak, pamiętam. Ale ja nie jestem słaby, Wereno. Wiem, co robię. Tym razem wiem.

Pokręciła głową.

– Wtedy też wiedziałeś. Zawsze wiedziałeś. Może gdybyś sprowokował tę wojnę Potęg nad Grombelardem, tak jak zamierzałeś, to dzisiaj dawno byłoby po wszystkim. Nic by się nie kłębiło na północy.

– Gdyby, gdyby... Nawet nasza lah'egri nie lubi takiego poprawiania przeszłości.

Był kolejnym w cesarstwie człowiekiem, który wiedział, co to ahistoryczność.

Werena uśmiechnęła się lekko, bo całkiem dobrze rozumiały się z Przyjętą. To, co zrażało do historyczki Szerni niemal wszystkich, którzy ją znali, spodobało się cesarzowej. O której wiele można było powiedzieć, lecz nie to, że jest przystępna.

Podczas Wielkiej Rady, gdy obie z Kesą raz i drugi jednocześnie popatrzyły badawczo i obie tak samo uniosły brwi, obyty i doświadczony mówca zacinał się, a po chwili już tylko mamrotał, próbując jak najszybciej skończyć wywód. W zbliżonym wieku, lecz z wyglądu zupełnie różne, blondynka i brunetka, powierniczka Szerni i władczyni Szereru – miały podobny sposób bycia. Czasem nawet trochę podobny sposób mówienia. „Czy powinnam, wasza godność, powtórzyć to, co już powiedziałam?...”

Werena bała się Szerni i nie kochała jej. Zupełnie jak Kesa-Przyjęta, szczerze obrażona na Pasma, których naturę tak dobrze poznała.

Doskonale się rozumiały i całkiem po prostu polubiły. Poza cesarzową matką i daleką dartańską królową Werena z żadną kobietą na świecie nie mogła się rozmówić jak z równą. Z Kesą tak. Szerń nie należała do świata; istoty przyjęte przez jej Pasma – też nie bardzo. Jedyna kobieta w gronie uczonych Szerni nie mogła być zestawiana z jakąkolwiek inną kobietą, tu nie było żadnego punktu odniesienia i cesarzowa od razu wzięła to pod uwagę.

Na żadnym polu nie rywalizowały. Nawet gdyby chciały, to nie mogły. Nie dało się porównywać ich znaczenia, wiedzy ani władzy, bo miały się do siebie całkiem nijak. I Werenie to odpowiadało.

Mogła z kimś normalnie porozmawiać.

Zadrzała; było trochę za zimno. Ramezowi przypomniała się rozmowa z Kesą w jej sypialni.

– Gdzie masz konopny worek?

– Co takiego?...

– Coś, co ochroni cię przed zimnem.

– Nie wiem. Może tam?... Dlaczego konopny worek?

Pogrzebał wśród jakichś dokumentów, przemieszanych na stole ze sztukami odzienia i pustymi pucharkami po winie, wyciągnął spod spodu puszyste futrzane okrycie, strzepnął i otulił nagie plecy żony.

– Zima – przypomniał. – Jesień była ciepła, ale się skończyła. Nie śpij nago, bo zachorujesz.

– Myślałam, że lubisz.

– Patrzyć, jak z czerwonym nosem pijesz ziółka? Nie.

Za dnia przynoszono im kosze z rozpalonymi w ogniu kamieniami, lecz w nocy sypialnie stygły. Mimo że były to

komnatki raczej niewielkie, właśnie łatwo dające się ogrzać.

– Tobie nigdy nie jest zimno.

– Armektańskiemu łucznikowi? Nigdy zimno i nigdy niewygodnie.

Żartował. Ale rzeczywiście należał do ludzi, którzy znacznie gorzej znosili letnie upały niż nawet największe chłody zimą. Naprawdę trzeba by nago wypędzić go na mróz, by się skrzywił. Zresztą zaraz potem natarłby się śniegiem i orzeźwił w ten sposób, pobudził krążenie krwi, bardzo zadowolony. I na koniec umyłby się albo i wykąpał w przeręblu.

Aż ścierpła jej skóra na samą myśl o czymś takim. Objęła ramiona dłońmi, przytrzymując futro.

– Trzeba by iść do drugiego pokoju, to tak daleko – powiedziała. – Ale muszę się ubrać. I wcale nie dlatego, że zimno, tylko żeby wziąć się do pracy. Muszę zaraz podyktować list. Do mojej królewskiej siostry.

– Jej godność Kesa...

– Dostała list od Gotaha i powiedziała nam, co napisał. Ale Baylay przecież też dostał list i to na ten muszę odpowiedzieć.

– Pokazał ci go?

– Akurat. Powiedział tylko to, co mu kazano. I wiesz równie dobrze jak ja, co to jest.

– Tak, ale o tym już rozmawialiśmy. Teraz zrozumiałem, że coś się zmieniło, że... może powiedział ci coś więcej.

– Akurat – powiedziała jeszcze raz.

Jego wysokość A.B.D.Baylay był w Kirlanie przedstawicielem królowej Dartanu.

– Przemyśl jeszcze tę odpowiedź. I nie spiesz się.

– Ty żartujesz?...

– Ezena zrobiła gest dobrej woli – rzekł spokojnie. – Docień to. Powiedziałem ci wczoraj, a dzisiaj powtarzam.

Popatrzyła tak, jak potrafiła tylko ona. Albo Kesa-Przyjęta.

Już wiedział, że nic nie wskóra.

Wskazała palcem gdzieś za siebie.

– Ściągamy na Północną Granicę wszystko, co możemy. Nasi żołnierze w śniegu pilnują tych alerskich obozów-nieobozów, wiosek-niewiosiek, a niektóre z nich pozakładano już na naszych ziemiach. Nic się z nich nie wylewa tylko z powodu zimy, ale prawdę mówiąc, może wylać się w każdej chwili. Gest dobrej woli? Jej królewska wysokość Ezena, moja wasalka i lenniczka, łaskawie daje do zrozumienia, że nie wyda mi jutro wojny. Czyli mogę zabrać z jej pogranicza kilka armektańskich legionów? Żeby skrwawić je na Północnej Granicy i oszczędzić jej tego trudu za rok, gdy już sami pobijemy Alerów?

– Wereno...

– Oślamy cały Szerer. Jej królewska wysokość nie chce walczyć z tymi okropnymi Alerami? Posłuchaj, to w takim razie może i my nie zechcemy? Ten twój Jeździec, Aktar. Niech wynegocjuje ze srebrnymi, że dajemy im wolną drogę aż do samego Dartanu. Oni chyba chcą tylko uciec jak najdalej, więc na pewno od razu się zgodzą. Może ich podwieziemy na okrętach?

– Wygadujesz głupstwa.

– Oczywiście. Bo żołnierze, którymi dowodzisz, jednak będą walczyć. Oślamy cały Szerer – powtórzyła. – A królowa Ezena pozwala mi się wzmocnić siłami moich własnych legionów. Nie uderzy jutro na Armekt, no tylko pomyśl! Przecież zaraz rozpłaczę się z wdzięczności.

– To, co pisze Gotah, jest prawdą. Ona nie może teraz posłać ci swoich chorągwi, bo będzie miała wojnę domową. A w najlepszym razie wypowiedzenie posłuszeństwa i próbę oderwania od Dartanu Zachodnich Wy...

– Naprawdę? O, jak bardzo współczuję mojej dartańskiej siostrze! Ale to nie ja zrobiłam ją królową, sama się zrobiła. I co

teraz? Ach, jak trudno jest panować nad krajem! Nie potrafi?

Ramez milczał.

– Nie potrafi? – powtórzyła z naciskiem. – Zaraz przyjmę do wiadomości jej abdykację. Pokojowe przyłączenie Dartanu do cesarstwa? Już, w tej chwili. Za tydzień w Rollaynie będzie siedział Książę Przedstawiciel Cesarzowej, i nawet wiem kto: mój najmłodszy brat, a twój szwagier, Ramezie, tak niemądrze oddany tej modliszce za męża. A wtedy Dartan, Pierwsza Prowincja Wiecznego Cesarstwa, zaraz poradzi sobie ze wszystkim: z rozruchami, z kaprysami rycerzy, ze Związkiem Portów Wschodnich... Zbuntowane Zachodnie Wybrzeża odpadną, trudno, zrobimy z tym porządek po wojnie. A teraz mają się tu stawić dartańskie chorągwie i zaciężni knechci, którzy wzmocnią załogi zamków i stanic.

Plotła głupstwa i świetnie o tym wiedziała. Mówiła mu po prostu to wszystko, co miałyby ochotę zawrzeć w liście do Ezeny. Tylko że, niestety, nie mogła.

Albo raczej: na szczęście nie mogła.

– Wystarczy, Wereno. Twoja duma...

– Dobrze powiedziałaś. Wystarczy.

ROZDZIAŁ 7



Nie istniało miasto bardziej armektańskie od Sar Soa. I w ogóle nie istniało nic bardziej armektańskiego.

Trzy Porty oraz Rina i Rapa zawsze żyły w cieniu Północnej Granicy, a wieczna wojna z plemionami Aleru wplotła się w całą ich historię. Armektańczycy z Północy skłonni byli spoglądać nieco z góry na pobratymców, którzy nigdy nie widzieli obcych i wrogich stworów. Lecz nie dotyczyło to miasta i w ogóle Księstwa Sar Soa, legendarnej ojczyzny wszystkich łuczników i jeźdźców, położonej w samym sercu Wielkich Równin. Gdy Szerń nadawała ludziom rozum, pierwsza świadoma myśl i pierwsze armektańskie słowo narodziły się tam, gdzie Sar Soa. Dopiero później *armen eini* – prawdziwi ludzie – rozeszli się na północ i południe, wschód i zachód, by utworzyć osobne plemiona, a wreszcie armektańskie księstwa i królestwa.

Stary mit. Czy ktoś go brał dosłownie? Raczej nie.

Lecz we wszystkich krainach Szereru, gdy ktoś powiedział „Armekt”, natychmiast odpowiadano mu „Sar Soa”. Nie Kirlan, nie starsza odeń Kanaza i nawet nie Tarwelar były symbolami Armektu. Wśród bezliku armektańskich historii, pieśni i legend wojennych połowa dotyczyła łuczników i jeźdźców Sar Soa.

Niespełna czterdziestoletni mężczyzna, barczysty, bardzo przystojny, choć nie po armektańsku (bo włosy nosił długie do ramion, raczej na modłę dartańską), dobrze odziany, wysłuchiwał właśnie kolejnej legendy o mieście i księstwie Sar

Soa. Odpoczywał w wielkiej izbie jednego z miejskich domów publicznych, co jakiś czas nienachalnie nagabywany przez uśmiechnięte niewolnice, na razie służące mu tylko winem, ale za dodatkową opłatą gotowe spełnić każdy kaprys. Dwaj biegli w swej sztuce gawędziarze bardzo składnie snuli opowieści: gdy jeden mówił, drugi wtórował mu na lutni, potem zamieniali się rolami.

Gorszące dla całego świata armektańskie domy publiczne (wymyślane, oczywiście, w Sar Soa) w czasach drożyzny bywały dotowane przez państwo tak jak chleb. Odwodziły mężczyzn, a czasem i kobiety od zdrady – nie każdy miał przecież w domu niewolną służbę spełniającą wszystkie polecenia. Dom publiczny zapewniał zaspokojenie potrzeb, pozwalał spełnić różne dziwaczne pomysły i zachcianki, ułatwiał dochowanie wierności przy rozstaniach, umożliwiał przetrwanie choroby męża albo żony. W Armekcie małżeństwa rozpadały się niemal tak często jak gdzie indziej, ale rzadziej z powodu niewierności, bo nikt nie musiał kraść tego, co bez trudu dało się kupić już za cenę posiłku w gospodzie.

Jeśli wziąć pod uwagę, że w Dartanie i Morskiej Prowincji rozwody były prawie nie do pomyślenia (bo zgodne z prawem, lecz nie obyczajem), trwałość armektańskich małżeństw, które bez żadnego zgorszenia dało się rozwiązać w jeden dzień, musiała budzić podziw.

Siedzący w wielkiej sali długowłosa mężczyzna przegrał kilka sztuk srebra w kości, opróżnił dwa kubki wina, nasłuchiwał się legend o Sar Soa. W małej salce obok pograł w piłkę z innym znudzonym gościem, a że obaj podbijali ją tak samo kiepsko, rozstali się zadowoleni. Do innych przyjemności nie za bardzo mu się spieszyło – raz dlatego, że jeszcze pamiętał wczorajsze; po wtóre czekał na kogoś.

Uchodził za Dartańczyka, choć w rzeczywistości był półkrwi Armektańczykiem, na dodatek wychowanym w Armekcie i ten właśnie kraj uważał za rodzimy. Niedawno jednak wrócił z Dartanu, gdzie przebywał przez wiele lat. Teraz łatwo barwił armektański język lekkim, doskonale tutaj znanym akcentem; prawdę mówiąc, wciąż nie bardzo umiał się go pozbyć. Ale wolał uchodzić właśnie za Dartańczyka i czynił to bez wysiłku.

Przed laty Jeździec Równin, potem poszukiwacz przygód, ścigany prawem rabuś (jednak nie morderca), następnie skazaniec zrywający ścięgna w kamieniołomach, potem znowu awanturnik, ale już nie banita... Wiódł niezwykle barwne życie, co najmniej godne życia młodszej siostry, nazywanej w tych stronach Pierwszą lub Jedną z Trzech, a częściej Rudą Ayaną.

Jego godność Wenewet-Ajan czekał na szwagra i siostrę, z którymi był umówiony.

Ale jeszcze nie teraz. Wyglądał ich przybycia najprędzej za dwa dni. Stawił się w Sar Soa o wiele za wcześniej; tak wyszło. Szybciej, niż się spodziewał, załatwił zaległe sprawy, a teraz już nic więcej do roboty nie miał. Gdyby mógł przewidzieć, że tak się ułoży, pojechałby z siostrą do Nateli. Zamiast tego nudził się w Sar Soa.

Ale nie za bardzo. Przyjechał, odpoczął, a potem odszukał starego żołnierza, z którym miał się porozumieć jego szwagier, pokręcił się przy nim, poobserwował. Trochę dlatego, że nie miał nic lepszego do roboty, a trochę dlatego, że wiedza o tym człowieku na pewno mogła się przydać. Robiąc swoje, odkrył, że setnik Rawat pilnowany jest nie tylko przez niego. Kręcili się jeszcze jacyś inni stróże, a od dwóch dni miał pewność, że to nie są szpicle Trybunału. Bo sam z kolei zlecił śledzenie tych ludzi i nie bawił się w głupstwa, tylko od razu najął koty, dzięki czemu błyskawicznie dowiedział się wszystkiego.

Sar Soa było miejscem bardzo lubianym przez kosmatych braci w rozumie – była to stolica ich świata. Z niejasnych dla ludzi powodów koty wielu miast i okolic unikały. W Morskiej Prowincji w ogóle nieobecne, na kontynencie lubiły grombelardzki Lond i Rahgar, kilka miast dartańskich, a w ich liczbie Złotą Rollaynę, w Armekcie zaś najbardziej Rapę, Kanazę i Donar, trochę mniej Kirlan. Na zachodzie i dalekim południu Armektu, szczególnie w Szczytach Książących, nie widywano ich prawie nigdy.

A w Sar Soa żyła chyba połowa wszystkich kotów Szereru.

Ta bardziej leniwa połowa.

Wszędzie tam, gdzie były codziennością, bez trudu utrzymywały się z drobnych płatnych zleceń, takich jak pilnowanie towaru na targowiskach i przekazywanie wiadomości. Bardzo cenione w wojsku, bo nie istnieli lepsi zwiadowcy, jeszcze bardziej pożądane były przez Trybunał, a raczej: byłyby pożądane, gdyby umiały wytrwać w codziennej nudnej pracy. Zazwyczaj nie umiały. Po trzech, czterech dniach koci szpieg był zupełnie bezwartościowy, bo już nie chciał być szpiegiem, teraz zamierzał odpoczywać albo zajmować się czymś innym. Słynna kocia cierpliwość dotyczyła niezłomnego, wytrwałego czuwania na posterunku. Przez dobę; przez tydzień już nie.

Naprawdę wytrwale potrafiły tylko jedno: nic nie robić. Trybunał wykorzystywałby je może do jednorazowych zadań, gdyby były gotowe złożyć przysięgę milczenia, lecz nie były. Zobowiązanie na całe życie? – jeszcze czego... Nie umiały kłamać i zawsze dotrzymywały słowa, ale najpierw musiały je dać, a dawały bardzo niechętnie. W każdej chwili więc mogło przyjść takiemu do głowy opowiedzenie komukolwiek, że śledził tego a tamtego przed tygodniem i takie a owakie tajemnice wykradł. Czemu nie? Skoro tak nudno i ciepło.

Ajan jednak nie był urzędnikiem Trybunału i nie wymagał przysięgi. Odżałował kilka sztuk srebra i dowiedział się wszystkiego, co go interesowało. Co prawda sporo się nałaził, zanim znalazł chętnych. Mogłoby się wydawać, że w miejscu, gdzie kotów jest mnóstwo, będzie raczej brakowało dla nich pracy. Tymczasem wprost przeciwnie: wielkie miasto przywykło, że ma koty, i w ogóle już nie umiało bez nich działać, więc rozpaprane i rozleniwione przyjmowały wyłącznie dobrze płatne, a do tego niemęczące prace. Albo chociaż takie, które wydawały się interesujące.

Ajan dowiedział się czegoś, jeszcze zanim zatrudnił swoje koty: otóż tego, że TAMCI tego nie zrobili. Nie pożądał rozgłosu, ale nie miał tajemnic, które w razie wyjścia na jaw mogłyby przysporzyć kłopotów – a tamci widocznie mieli, skoro nie zatrudnili zawsze prawdomównych, nieskładających żadnych przysięg zwiadowców i musieli polegać na niezgrabnych dwunożnych szpiegach.

Rzeczywiście tak było. Koty zobaczyły co trzeba, podsłuchały dwa razy więcej i poszły. Nie chciał ich trzymać, aż się znudzą, i nie próbował nająć nowych, bo znowu sporo musiałby się nabiegać, a to w końcu też zwracało uwagę.

Najważniejsze wiedział: szpicle nie tyle pilnowali starca, ile czekali na tych, którzy do niego przyjadą. Czyli na Aktara i Ayanę. Mieli o tym donieść komuś, kto mieszkał na przedmieściu. Nie znali tego człowieka i nie wiedzieli nic więcej; raczej sami zgadywali, o co chodzi.

Ajan nie był zdziwiony. Ktokolwiek najął tych trzech szpiegów, na pewno nie mówił im więcej, niż musiał.

Kto i co wiedział o misji Aktara? Misji wcale nie tajnej, ale jednak niewymagającej rozgłosu i niemającej znaczenia dla nikogo oprócz dowódców na Północnej Granicy, których mogły i musiały obchodzić planowane rozmowy z Alerami.

Przyszedł człowiek, na którego Ajan czekał. Najęty goniec. Nie było żadnego specjalnego powodu, dla którego musieliby się spotkać właśnie tutaj. Tylko jeden: piwa i gorzałki nie podawano, wino było drogie, ale za to nikt nie mógł się upić, bo pijaków z domów publicznych wypraszano – na wyszynku trunków zarabiałały inne miejsca, a tutaj przychodziło się nie po to, by zaraz zalać ryja, nie do tego służyły szacowne miejskie przybytki. Ajan nie chciał nic pisać, goniec miał przekazać wiadomość ustnie. Obaj potrzebowali więc spokoju.

Powiedział posłańcowi, kogo powinien wypatrywać na głównym trakcie, podał imiona Ayany i Aktara. Upewnił się, że posłaniec zrozumiał, gdzie tych dwoje powinno się stawić – bo to nie była ta gospoda, w której miał na nich czekać brat-szwagier. Przeprowadzka zakrawała na nadmiar ostrożności, ale Ajan nie mógł być pewien, czy nikt na Przedmieściu Stokrotek nie wypatruje tych dwojga przybyszów, żeby następnie ich śledzić. Na wszelki wypadek mieli więc wjechać do miasta z drugiej strony.

Goniec powtórzył wszystko jak trzeba; miał dobrą pamięć, tego wymagała jego praca. A ponieważ nie był kotem, musiał milczeć o wszystkim, co usłyszał, pod groźbą utraty certyfikatu wystawianego przez ratusz – i był to najmniejszy kłopot, który groził krzywoprzysięzcy.

Dodatkowa wiadomość, którą goniec miał powtórzyć słowo w słowo, brzmiała: „Ktoś go pilnuje. Nie ma niebezpieczeństwa”.

Kosztowało to wszystko, niestety, bardzo słono.

Ajan mógłby wyruszyć sam, lecz wolał mieć baczenie na setnika. Nie mógł pilnować go bez przerwy, ale w świetle tego, czego się dowiedział od kotów, nie sądził, by starcowi coś groziło. W każdym razie nie tutaj, nie w Sar Soa.

Bo podobno ten człowiek lubił podróżować. Lepiej, żeby teraz nigdzie się nie wybrał, nawet na krótką przejażdżkę za miasto.

Odprawiwszy gońca, Ajan dopił wino, zostawił na stole napiwek i wyszedł na zaśnieżoną ulicę, w sam środek przedpołudniowego gwaru. Właśnie wielki płat sypkiego śniegu zsunął się z dachu i spadł na kilku przechodniów. Rozbrzmiały przekleństwa i śmiechy, ludzie tupali, otrzepywali się z puchu.

Wiał przykry, mroźny wiatr.

o o o

Goniec podołał zadaniu, co nie było wcale oczywiste. Szczególnie zimą łatwo było minąć na trakcie poszukiwanych podróżnych. Mogli dłużej odpoczywać w przydrożnym zajęździe z powodu zmęczenia albo złej pogody. Mogli dołączyć do jakiejś większej grupy i nie zostać rozpoznani, bo futrzane czapki, kożuchy albo futra, rękawice wszystkich czyniły podobnymi. Mogli dla wygody dołączyć do kupieckiej karawany i drzemać na wozach, gdy uwiązane konie podążały z tyłu. Jeden z głównych bitych gościńców był miejscem ruchliwym. Istniało sto powodów, dla których umyślny posłaniec mógł nie wypełnić zadania.

Ten jednak wypełnił.

I przywiózł odpowiedź (za którą to usługę, oczywiście, Aktar musiał zapłacić osobno). Do wskazanej przez Ajana gospody dotarł list. Przywołany przez gospodarza gość wysupłał kilka miedziaków i odebrał pismo. Ołowiano-cynowym rysikiem, nazywanym gdzieniegdzie ołówkiem, najkrócej jak można ktoś naskrobał:

Nic nie rób, czekaj. Jest z nami Wenew. A. i A.

Przeczytawszy list, Ajan przeprowadził się z mniejszej izby do większej, bo nie wiedząc o siostrzeńcu, najął najpierw

trzyosobową. Teraz, niestety, musiał wziąć największą, jaka była (jeśli nie liczyć wielkiej wspólnej), bo aż dla sześciu ludzi, jednak wszystkie mniejsze były pozajmowane. Gospodarz z ogromną przyjemnością udostępnił najdroższą komnatę w swym pałacu; Ajan cieszył się trochę mniej, bo nie był przesadnie bogaty. Liczył, że Aktar mu odda. Ktoś chyba pokrywał koszty tej wyprawy?

Przyjechali następnego dnia o zmierzchu. Byliby wcześniej, ale na wszelki wypadek nadłożyli drogi, okrążyli Sar Soa i wjechali przez Bramę Południową. Żadnej bramy od dawna tam nie było, lecz wciąż tak nazywano miejsce, gdzie kończyło się przedmieście, a zaczynało prawdziwe miasto.

Ajan i Aktar nie widzieli się od kilkunastu lat.

Wenewet nie znał wuja wcale.

Oporządzili wierzchowce i konie zapasowe, zabrali bagaże, zażądali posiłku i grzanego piwa do izby. Zasiedli przy stole, nie brakowało światła... i wszyscy jednocześnie coś odkryli.

– Widziałem syna codziennie i dlatego... – powiedział zdziwiony Aktar. – Nie pomyślałem, nie zauważyłem...

– Do nikogo nie jesteś tak podobny – rzekła zaskoczona Ayana. – Do ojca, do m... do matki, ale najbardziej...

– Jakbym znowu zobaczył tego chłopca, którego Wiatr przygarnął... ile to? Dwadzieścia kilka lat temu! – dodał Aktar. – Ogromnie jesteście podobni.

Wenewet spoglądał na Wenewa; Wenew na Weneweta.

Uśmiechnięci, przyglądali się wszyscy wszystkim. Każdy do kogoś podobny, a jeden podobny do wszystkich.

– Rodzina – powiedział Wenewet-Ajan. – Miło, ale nie wiem, czy dobrze. Łatwo nas zapamiętać. I w razie czego trudno udać, że się w ogóle nie znamy.

– Nic na to nie poradzimy. Różnych najemników mogę mieć od ręki, Trybunał zapłaci – rzekł Aktar. – Ale znaleźć ludzi

naprawdę godnych zaufania trochę trudniej. Znalazłem, ale niestety podobnych do siebie. Nie wypełniamy żadnej tajnej misji, nie ukrywamy się, więc nasze, a właściwie wasze podobieństwo, bo ja jestem tylko podobny do syna, nie ma wielkiego znaczenia. Zjedzmy, bo mięso stygnie. – Wskazał gorącą wołowinę.

Zjedli, posłali najmłodszego po kolejny dzban piwa. Potem porozmawiali. Aktar po raz kolejny opowiedział o Szerni, Alerze i Alerach, zniszczonym posągu, starym żołnierzu... O wszystkim. Miał nadzieję, że to ostatni raz. Ajan miał wiele pytań, ale odłożył je na później. Powiedział o swoich poczynaniach w Sar Soa.

– Nie będziemy czekać – oznajmił Aktar po krótkim namyśle.
– Jeszcze dzisiaj wybiorę się do Trybunału. Niech coś zrobią z tymi opiekunami Rawata. A gdy zrobią, zaraz pójdziemy do niego. Chyba nie wszyscy. – Zmarszczył brwi i zastanowił się. – Kobieta nie, bo miał ich w życiu za dużo i nie wiadomo, co dziś myśli o kobietach.

Ayana wydeła lekko usta.

– Pójdziemy we dwóch z Wenewetem, młody człowiek wzbudza zaufanie – zdecydował Aktar. – Porozmawiamy i zobaczymy, co z tego wyniknie. Może chociaż uda się zaprosić go tutaj, miejsca nam nie brakuje. – Rozejrzał się po izbie, która była naprawdę większa, niż trzeba. – Mógłby zniknąć z... Gdzie on właściwie mieszka?

– W dość dużej kamienicy – wytłumaczył Ajan. – Chyba trochę kątem u starego żołnierza, kaleki, który dawno temu musiał porzucić wojsko. Ale wyszło mu na dobre, bo wziął się za handel i jest teraz zamożnym kupcem. I kamienicznikiem.

– Kątem u żołnierza? Skromnie jak na kogoś, kto miał dom, chyba jakieś pół wioski, sad...

– Nie ma nic. Izdebkę u dawnego podkomendnego. Prawie z niej nie wychodzi.

– Setnik łuczników konnych. Gwardzista.

– Pijak. Sześćdziesięcioparoletni starzec w kraju, gdzie nietrudno o siedemdziesięciolatków, o których byś powiedział najwyżej, że są nie pierwszej młodości.

Aktar pokiwał głową.

– Odpoczywajcie. Nie męcz ich za bardzo, Wen... Ajanie – rzekł, wskazując palcem dwoje towarzyszy. – Drogę mieliśmy naprawdę paskudną, niech pośpią. Masz tu srebro, dokup trochę zapasów. Pogrzebiesz w jukach i będziesz wiedział, czego trzeba. Ja idę do Trybunału.

o o o

Wieczne Cesarstwo nie trzymało się kupy, lecz Trybunał Imperialny miał się wcale dobrze. Kto wie czy nie lepiej niż kiedyś.

Z Dartanu i Grombelardu napłynęło mnóstwo urzędników. Uciekli bądź zostali wyproszeni, w każdym razie trafili do Armektu. Były wśród nich miernoty, ale także doskonali urzędnicy gończy, śledczy i nawet sędziowie. Doświadczeni ludzie znający różne kraje, rozmaite obyczaje, prawa lokalne. Od ładnych kilku lat armektański Trybunał mógł wśród nich wybierać a przebierać.

Był już wieczór, mimo to Aktar błyskawicznie załatwił swoją sprawę. Tak jak powiedział synowi, w każdym okręgowym mieście siedział ktoś, komu powierzono pieczę nad tą właśnie sprawą, ledwie więc pokazał swoje pisma – w tym jedno opatrzone pieczęcią Księcia Małzonka – a sprowadzono właściwego człowieka bez najmniejszej zwłoki, choć musiano posłać po niego do domu, z czego nie był zadowolony. Niemniej

przyszedł, popytał, krótko rozważył problem i oznajmił, że nim minie północ, dom setnika Rawata już nie będzie obserwowany. Doradził, by odwiedzić starca następnego dnia rano.

– Zatrzymanie podejrzanych ludzi, którzy śledzą spokojny dom, to żaden kłopot – wyjaśnił. – Zostaną więc zatrzymani.

– Wszyscy?

– Wystarczy jeden. Zaraz powie, gdzie są pozostali.

Wypadało uwierzyć.

Siedzieli w budynku Trybunału, ale nie w jakichś kazamatach albo sali sądowej, tylko w całkiem przyjemnej izdebce, urządzonej raczej nie przez urzędnika, a urzędniczkę: w dzbanuszkach na stole stał kolorowy bukietik ususzonych kwiatków, obok ładna, rzeźbiona szkatułka.

– Ale co dalej? – zapytał urzędnik. – Dotrzemy do człowieka, któremu mieli przekazać wiadomość o twoim przybyciu, panie. Jeśli będzie nieostrożny, to złapiemy go jeszcze tej nocy i zobaczymy, co powie. Ale, panie, działać można szybko bądź ostrożnie, a jedno i drugie razem udaje się bardzo rzadko. Ty więc decyduj, jak mam działać. Jeśli chcesz rozmówić się z setnikiem jutro, to zrobimy tak, jak powiedziałem, ale raczej skończy się na zatrzymaniu trzech szpicli i najwyżej tego czwartego, któremu mieli donieść. Bo wątpię, by ten czwarty działał zupełnie sam, prawie na pewno ktoś się dowie, że został złapany. Ten ktoś ucieknie i ostrzeże, kogo trzeba. Nie pozbędziesz się wrogów, o ile nimi są. Pozbędziesz się tylko kłopotu, ale nie wiadomo, na jak długo. Można więc zrobić inaczej: śledzić, sprawdzać, dociekać, iść po nitce do kłębka. To potrwa i też nie musi zakończyć się sukcesem, bo i nas ktoś może w trakcie takiej zabawy zauważyć.

– Skoro tak, to działajmy szybko. Znajdę sposób na zabranie stąd setnika Rawata. Gdzieś go schowam i będę miał czas na rozmowy.

– Porwiesz go? Przecież to od razu, panie, zakończy twoją misję.

– Nie wierzę. Nie będę musiał porywać. Ten człowiek potrafi coś, czego nie umie nikt inny na świecie i albo to jest dla niego ważne, albo nie. Jeśli ważne, to on już nie ma czasu na odkładanie ważnych spraw na kiedyś. A jeśli nieważne... Wtedy jeszcze spróbuję go kupić. Jeżeli i to nie podziała, to niech bierze się za niego wojsko. Ja nic więcej nie wskóram. Nie zawiozę go na Granicę w okratowanym furgonie.

Urzędnik pomyślał, pokiwał głową.

– Chyba wiesz, co mówisz. Tak, masz słusność. Więc zdecydowałeś, panie. Jutro rano dom nie będzie obserwowany, a jeżeli coś się nie uda, otrzymasz ode mnie wiadomość. Gdzie cię szukać?

Aktar wymienił nazwę gospody, a była bardzo wdzięczna: Strumyczek.

Zamienili jeszcze parę zdań i wkrótce się pożegnali.

Aktar wrócił do Strumyczka. Nikt nie spał, a Ajan właśnie zjawił się z zakupami. Towarzyszący mu kupiecki pacholek był objuczony jak muł.

– No i co? – zapytała Ayana.

Ajan dał pacholekowi parę miedzianych groszy i odprawił go. Zostali sami.

Aktar zdał sprawę z rozmowy.

– Radzić – zażądał. – Tak, już teraz. Wstaniemy bladym świtem, a nawet sporo wcześniej. Jakoś przywlecziemy tu setnika. A potem nie będzie kiedy się naradzić. Jeśli się z nim nie dogadam, to...

Wzruszył ramionami.

– Może jednak się dogadam. A wtedy im szybciej ruszymy, tym lepiej. Wątpię, żeby jego godność Rawat musiał pozalać jakieś sprawy, a poza tym... – Znowu wzruszył ramionami. – To

starzec, ale kiedyś był żołnierzem. I dowódcą jazdy, podobno bardzo dobrym. Jeśli nic z niego nie zostało, to dostanie od nas bułkę, kiełbasę i poczępie z powrotem do domu. Ale jeśli gdzieś w nim obudzi się ten żołnierz, to będzie gotów do drogi równie szybko jak my. Liczę na to – przyznał. – Może trzeba będzie mu coś przynieść, zostawić wiadomość właścicielowi domu. Nie wiem.

– Myślisz, że ruszymy już jutro? – zapytał Wenewet.

– Tak.

– I z powrotem w tym śniegu? – zapytała z kolei Ayana. – Kolejny miesiąc w drodze?

– A czego się spodziewałaś, Jeźdźczyni?

– Ten dziadek, może to i jest dowódca jazdy. Ale jednak dziadek. Wsadzimy go na konia i nie zlezie z niego przez miesiąc? Ile jest stąd do Rewinu?

– Trzysta pięćdziesiąt mil. A myślałaś, że jak go tam dowieziesz? Powietrzem?

– Morzem – powiedział Wenewet.

Trzy głowy zwróciły się ku niemu. Zmieszał się, ale tylko na chwilę.

– Ta droga naprawdę była trudna – usprawiedliwił się. – Może nie dla was, ale...

– Dla każdego – uciął Aktar. – Wymyśliłeś coś?

– Chyba tak, zastanawiałem się po drodze. Było zimno, ale przede wszystkim nudno. Poczekajcie.

Ruszył do drzwi.

– Piwo! – zawołała za nim Ayana. – Przynieś piwo!

Wrócił wkrótce z piwem i kawałkiem kredy. Szybko sprzątnął ze stołu, po czym z pamięci machnął na blacie wcale zgrabny zarys Armektu, a szczególnie zachodniego wybrzeża.

– Sar Soa, Bana, Trzy Porty. – Po kolei pokazał palcem. – Do Bany mamy stąd sto mil, potem z Kanazy do Rewinu tyle samo.

Reszta morzem. – Zatoczył dłonią łuk. – Jechalibyśmy najpierw w drugą stronę, a i tak oszczędzilibyśmy sobie sto pięćdziesiąt mil. To dziesięć dni jazdy w tym śniegu.

Przyglądali się rysunkowi.

Każdy kiedyś widział mapę Szereru. Chodzący od wioski do wioski wędrowni bakałarze uczyli dziatwę sztuki czytania, rzadziej pisania. Oraz, oczywiście, historii armektańskich podbojów. Bez mapy się nie dało. Oprócz wielkiego zwoju do nauki czytania bakałarze dźwigali coś, co nazywano mapą elementarną. Niezbyt dokładna, była za to niezmiernie interesująca, pokryta ciekawymi rysunkami – Ayana najbardziej zapamiętała wieloryby gdzieś na północy i przy jakichś dalekich wyspach. Mapy elementarne były, rzecz jasna, bardzo różne, rysowane przez różnych ludzi w różnych miejscach, ale zawsze według sprawdzonego wzoru: miały być duże, barwne i skłaniać dzieciaki do zadawania pytań. Pośrodku Armektu widniał narysowany mały konny łucznik, a w środku Dartanu rycerz w zbroi. Na morzach żaglowce. Malutkie miasteczka: białe dartańskie, czerwono-czarne armektańskie...

I to rzeczywiście zapadało w pamięć. Nierzadko na całe życie.

W swojej szkole Wenewet widział wiele map. A historia, której się uczył, to już nie była gawęda bakałarza, kierowana do grupki siedmiolatek z otwartymi gębami.

– Ale z Bany do Kanazy morzem?...

– To największy port w Armekcie – wytłumaczył Wenew. – No, może większy jest Tarwelar, nie wiem. Codziennie jakiś statek płynie z Bany do Trzech Portów, albo może nawet kilka statków. Piątka ludzi i pięć koni, bo luzaki sprzedamy w Banie, potem najwyżej gdzieś kupimy inne, przecież to tylko zapasowe. Bez koni od razu byśmy znaleźli statek, z końmi

gorzej, pewnie poczekamy kilka dni. Może nawet tydzień. Nie każdy statek przewiezie zwierzęta. Ale niektóre statki wożą.

– Opłaci się?

– Ale... znaczy: chodzi o to, ile będzie kosztować taka...

– Pytam o czas.

– Na czasie chyba nie zyskamy, może nawet stracimy kilka dni. Ale setnik Rawat przejedzie sto mil, przyzwyczai się trochę do podróży, a potem odpocznie na statku. A my też będziemy siedzieć w jakimś kącie i drzemać, zamiast jechać w mrozie i zawiei. Nie... nie wiem, czy to jest na pewno dobry pomysł. – Dopytywany Wenewet stracił pewność siebie.

– Na pewno wart rozważenia – rzekł Ajan. – Obijałem się w Dartanie po miastach portowych. Rzeczywiście, morskie podróże to rzecz zupełnie zwyczajna, nawet z końmi. Kto tylko mógł, wybierał statek, nawet jeśli miał stracić dzień albo dwa. Żegluga przybrzeżna jest bezpieczna, zawsze zdąży się gdzieś uciec przed burzą.

Wenewet spojrzał na wuja z wdzięcznością.

– Jest jeszcze coś – powiedział z namysłem Aktar. – Ktokolwiek będzie nas szukał albo ścigał, to chyba nie na drodze do Bany. To dokładnie w drugą stronę, niż powinniśmy jechać. Nie podobają mi się ci szpicle – przyznał. – W ogóle się nie domyślam, kto to może być i czego chce.

– Żeby na nas napaść, musieliby mieć cały oddział.

Aktar nic nie powiedział, Ayana po swoim wydeła wargi, ale Ajan pokręcił głową.

– Otóż tutaj kończą się legendy, Wenewecie – rzekł spokojnie. – Wszyscy umiemy strzelać z łuków, a nawet złapać za miecze. Ale trzech prawdziwych zabójców może zrobić z nami porządek, jeśli uda im się atak z zasadzki. Uwierz mi. Trzy dobrze wymierzone strzały i zostajesz na drodze sam z dziadkiem Rawatem.

– Jest zima – powiedziała Ayana. – Statki pływają zimą?

– Tak, ale jeżeli nastaną wielkie mrozy, to... nie wiem – przyznał się Wenewet. – Słyszałem, że czasem zamarzają porty. Dostyc rzadko. Gdy mieszkałem w Kirlanie, nigdy tak nie było.

Szererskie zimy, od Garry aż po północny Armekt, były zwykle łagodne, chociaż nierzadko śnieżne. I mokre; kilkudniowe odwilże nie należały do rzadkości. Mróz nie za bardzo dawał się we znaki, choć należałoby powiedzieć: zazwyczaj nie za bardzo, bo raz na kilkanaście lat przychodziła zima, którą potem długo pamiętano. Teraz tak nie było; ostatni miesiąc zapowiadał się ciepły, wypełniony odwilżą przeplecioną ze słabym mrozem.

– Jeśli nastaną naprawdę wielkie mrozy i zawieje, to będzie oznaczało tyle, że nie mamy szczęścia – skwitował Ajan. – Statki będą pływać albo nie będą, ale jadąc gościńcem, też możemy utknąć w jakiejś wsi.

– To prawda – potwierdził Aktar. – Nie będziemy się przedzierać przez zadymki, żeby z trudem pokonać cztery mile dziennie. Znajdowano już takich, którzy w śnieżycy zboczyli z gościńca. Opowiedz jeszcze o tych portach i statkach – zażądał, spoglądając na syna. – Tyle, ile wiesz.

– No... dobrze. – Wenewet mógłby mówić do rana, ale odgadł, o co chodzi ojcu. – Rzadko jest taki wiatr, żeby z Bany nie dało się wypłynąć na szlak handlowy. Tutaj nikt już nie pływa na kogach, a właściwie to już nigdzie nikt na tym nie pływa, chyba że jeszcze ma jakieś stare, bo nowych nikt nie buduje. Są wielkie holki handlowe, chyba gdzieś mówią na to „hogi”. Cięższe niż te wojenne Straży Morskiej, podobne do kog handlowych, ale mogą pływać pod wiatr. Ja mało wiem o statkach i żegludze, tyle co z historii morskich wojen – przyznał się. – Wiem o portach i handlu, ważne porty to są przeważnie bardzo duże miasta, a handel morski też jest

bardzo ważny. A jeszcze w Kirlanie ciągle biegaliśmy do portu, bo tam zawsze coś się działo. – Pokręcił głową, bo naraz beztroskie wyprawy chłopaka, którym był dwa i trzy lata temu, wydały mu się bardzo odległe. – Widzieliśmy statki, podróżnych, załadunki i rozładunki... I załogi ze wszystkich stron świata. Zawsze trafiła się okazja porozmawiać po dartańsku, a Emira namawiała, żebym rozmawiał z każdym napotkanym Dartańczykiem, bo szybciej i lepiej się nauczę języka.

Aktar skinął głową. Sam umiał mówić tylko po armektańsku. Ayana też, bo prawie nie pamiętała matki Dartanki. Jej starszy brat wyniósł język dartański z domu, potem prawie zapomniał, ale szybko sobie przypomniał, gdy trafił do Dartanu. Teraz równie poprawnie mówił w obu językach.

– Jak szybko pływają statki?

– Tak normalnie? Chyba jakieś trzydzieści, czterdzieści mil na dobę.

– Szybciej niż normalna podróż po gościńcu.

– Bo nie zatrzymują się na nocleg ani w ogóle na żaden odpoczynek. Ale może być przeciwny wiatr albo...

– Albo sprzyjający. Na gościńcu też można mieć pecha.

– Pewnie – przyznał Wenewet.

– Dobrze, Wenewie. Jeszcze to przemyślę, ale spodobał mi się twój pomysł. Możliwe, że zrobimy tak, jak radzisz.

– Przynieś jeszcze piwo, uczonej człowieku – powiedziała stojąca nieco z tyłu Ayana i zdrowo jej się odbiło.

Oddała pusty dzbanek.

Wenewet nie pamiętał, by wypił choć łyk. Właściwie nie pamiętał, żeby pił ktokolwiek.

O tej porze roku ranek był ciemny jak środek nocy. Jednakże właściciel kamienicy nie spał – czerstwy, jeszcze nie bardzo stary mężczyzna na drewnianym szczudle zamiast nogi.

– Jego godność Rawat na pewno już nie śpi – powiedział. – Ale o co chodzi? Wierzyciele?

Ogarnął niechętnym spojrzeniem stojących obok siebie ojca i syna.

– Nie. Może nawet odwrotnie.

– Odwrotnie?... Chyba nie dłużnicy?

– Setnik Rawat dowodził kiedyś na Północnej Granicy – powiedział otwarcie Aktar. – Możliwe, że kilka jego wspomnień będzie warte kilku sztuk srebra. Znowu szykuje się tam coś większego, może takiego jak kiedyś. Setnik Rawat dużo widział i może niejedno pamięta. Przydałby się jako doradca.

Gospodarz uniósł brwi.

– Skoro tak... Wiem, że coś się szykuje, każdy wie. Jego godność Rawat nie lubi mówić o wojsku. Ale ty nie jesteś wojskowym, wasza godność.

– Nie.

Po chwili namysłu kamienicznik skinął głową.

– Dobrze, idźcie. Schodami, a potem drzwi po lewej stronie.

Wkrótce stali w komnacie jego godności setnika D.L.Rawata.

Nieporządek, ubóstwo. Na szczęście nie brud i smród. Ale wyglądało to naprawdę niedobrze, a najgorzej wyglądał starzec, który ich wpuścił do siebie. Chyba nie miał prawa zejść po tych schodach i nie dostać ciężkiej zadyszki. Co gorsza, wyglądało na to, że zdążył już wypić śniadanie. Całkiem pewnie trzymał się na nogach, niemniej nawyk był niepokojący.

Rozsiadł się na pryczy-barłogu, wzniosł spojrzenie, ale chyba nie za bardzo był ciekaw, po co przyszli. Z siwą kilkudniową szczeciną na twarzy nie wyglądał zbyt schludnie. Krótkie, czarne niegdyś włosy też miał niemal całkiem posiwiałe.

Dawno temu mógł być postawnym mężczyzną, ale teraz był po prostu chuderlawym dziadkiem.

– Setnik łuczników konnych, honor-podsetnik Gwardii Armektańskiej – powiedział Aktar i przeszedł się po izdebce. – Dlaczego tak, wasza godność? – Zatoczył ręką, pokazując wnętrze. – Jeśli zbrzydły ci gonitwy po stepie, mogłeś siedzieć w jakimś mieście okręgowym i szkolić nowych żołnierzy albo nudzić się w dużym mieście obwodowym jako komendant garnizonu. Żołd raczej taki sobie, ale przynajmniej stały. Kwatery, odzienie, wyżywienie.

– A dlaczego cię to, panie, obchodzi?

Głos był znośny; kiedyś z pewnością bardzo mocny. Wenew z jakichś powodów oczekiwał słabej, zdartej chrypki.

– To mój syn Wenewet, a ja nazywam się Aktar. Jeszcze trzydzieści lat temu służyłeś w Legii Armektańskiej, wasza godność. Tu, w Sar Soa. Po Wielkiej Wojnie Granicznej nie od razu rzuciłeś wojsko.

– Rzeczywiście.

– Prawie każdy w Armekcie nazywa się Aktar – zażartował Aktar. – Kiedyś jeden dowodził Wiatrem, ale ty już, panie, nie byłeś wtedy żołnierzem. Więc to nie ty mnie goniłeś.

– Jeźdźcy Wiatru? O, coś pamiętam. Jesteśmy w Sar Soa, tutaj kocha się opowieści o Jeźdźcach. Nie trzeba być żołnierzem, żeby je znać.

– Więc słyszałeś o Wietrze.

– To była duża grupa.

– Zebrana z dwóch innych, które wcześniej jeździły po Równinach. Wilki Sar Soa się rozpadły, a Strzelcy to właściwie nie byli Jeźdźcy, tylko banda zbójów. Wyrznięliście ich, i bardzo dobrze. Czterech ostatnich wziąłem pod komendę, ale też z nich nie miałem pożytku. Tylko kłopot. Wykruszyli się, porozjeżdżali. Jednego musiałem zabić.

Wenewet przysłuchiwał się jeszcze bardziej uważnie niż starzec. Ten zaś nagle lekko się uśmiechnął.

– Tych bandytów Strzelców goniłem. No, nie sam, tylko moi żołnierze. – Kiwnął głową. – O, tak. Ale to już nie ja ich dopadłem. Przyszedłeś do mnie na wspominki, włóczęgo z Równin?

„Włóczęgo” nie zabrzmiało obraźliwie. Jeźdźcy Równin byli włóczęgami i za takich się uważali.

– Wiesz cokolwiek o świecie, wasza godność? Że mamy cesarzową, nie cesarza? Że szykuje się nowa wielka wojna na Północy?

– Coś tam wiem.

– Małżonek Najdostojniejszej Imperatory, Jego Cesarska Wysokość Książę Ramez wypatroszył kiedyś Grombelard. Jedni uważali go za pomyleńca, inni za nieudacznika. Rzuciła go żona, żył w niesławie. Minęły lata i wyszło, że miał rację.

Aktar zamilkł na chwilę, po czym podjął:

– Pewien setnik legii negocjował kiedyś z Alerami. Jedni uważali go za pomyleńca, a inni nawet za zdrajcę. Niewiele udało mu się w życiu, został zapomniany. Minęły lata i wyszło, że miał rację.

Starzec milczał.

– Ramez nie obraził się na świat – powiedział Aktar. – Świat jest taki, jaki jest, on nie myśli, bo nie ma rozumu, wasza godność. My tak. Ramez robi teraz to, co słuszne. A ty, Rawat? Tu masz list od jego wysokości Rameza, syna księżęcego rodu Sar Soa, a pod tym listem dopisano jeszcze dwa słowa. Nie czytałem, bo to zapieczętowany list do ciebie, ale mi powiedziano. Te dwa słowa to: *Zechciej, Panie*. Wiesz, kto je napisał? Cesarzowa.

Podał pismo. Starzec namyślał się krótko, a potem wyciągnął rękę.

– A może, setniku, pojeździmy jeszcze po Równinach: stary Jeździec i stary legionista? Może jeszcze się do czegoś przydamy? To mój chłopak, on tu będzie żył, kiedy nasze kości już spróchnieją.

Skinął na Weneweta i postąpił ku wyjściu.

– Przeczytaj w spokoju, wrócimy przed południem, z dodatkowym koniem pod siodłem. Będziesz spakowany, wasza godność, albo nie.

ROZDZIAŁ 8



Najgodniejsza A.S.N.Werena, dumna i często nieprzejednana, przychyliła się do rady męża i bez żadnych oporów zniżyła do prośby wobec starego, niesprawiedliwie zapomnianego żołnierza, własną ręką pisząc: *Zechciej, Panie*. Trochę inny był list – ten już tylko podyktowała – skierowany do dartańskiej królowej. Znacznie dłuższy, w istocie jednak treść też dałaby się sprowadzić do dwóch słów, które mogłyby brzmieć: *Leżeć, suko!*

Jej królewska wysokość Ezena swoim zwyczajem gryzła jabłko.

Bez owoców zaraz by umarła. Ci, którzy znali ją najlepiej, powściągali czasem uśmiechy, widząc, jak bardzo brakuje królowej jabłka albo gruszki, na przykład podczas przedłużającego się uroczystego posłuchania w Sali Tronowej.

Pótleżąc w wygodnym karle, z głową opartą o ścianę, wskazała Przyjętemu rozpieczętowany list na stole.

– Czytaj, panie. To od mojej „siostry”.

Gotah bez słowa wziął pismo. Stojąca przy drzwiach Anessa milczała; milczał także M.B.Yokes, stary dowódca przybocznego Hufca Królowej.

Chrupało jabłko.

Jej Królewska Wysokość K.B.I.Ezena

Królowa Dartanu

Księżna Zachodnich Wybrzeży

Pani Dobrego Znaku

w Rollaynie

Siostro!

Cieszę się, że jesteś w dobrym zdrowiu; i ja także.

Z radością witam dobre nowiny. Bez zastrzeżeń ufam Twemu zapewnieniu, że granica, której wspólnie strzeżemy, dla mnie południowo-wschodnia, dla Ciebie północno-zachodnia, jest bezpieczna. Obie bardzo potrzebujemy pilnujących tej granicy żołnierzy, bo muszą obronić Szerer przed tym, co mu zagraża.

Przebaczysz mi oszczędny, żołnierski język tego listu. Mamy przecież wojnę.

Z bezpiecznej granicy rozkazałam zabrać pięć legionów, skoro wiem, że są tam już niepotrzebne. Nie pytam, czy i Ty, Siostro, odeślesz z tej niezagrożonej granicy porównywalne siły, bo nie będą przecież stać tam bezużytecznie. Nie znam się na wojsku, ale ci, którzy się znają, zapewnili mnie, że to będzie na pewno dziesięć ciężkich chorągwi i dwa do trzech tysięcy pieszych knechtów z niezbędnymi taborami i zaopatrzeniem. Zechciej jak najszybciej skierować do mnie wodzów i oficerów, którzy uzgodnią z moimi dowódcami zasady wykorzystania tych wojsk, ich podległość, rozlokowanie, zasady współdziałania i wszystkie podobne sprawy. Doskonały trakt łączący nasze stolice na pewno ma wystarczającą przepustowość, by te siły stawiły się na Północnej Granicy jeszcze przed końcem zimy.

Obie ponosimy trudy rozpalającej się wojny, doradzono mi więc, by odciążyć, Siostro, Twoje Królestwo. Przychyliłam się do tej rady. Legia Armeckańska gotowa jest niezwłocznie przejąć nadzór nad Niskim Grombelardem, zwalniam więc Królestwo Dartanu z tej części powinności lennych zastrzeżonych w traktacie pokojowym i potwierdzonych przez Ciebie, Siostro, hołdem złożonym memu Ojcu i potwierdzonym przede mną. Zechciej wykorzystać wycofane z Grombelardu wojska według swojej woli i chęci.

Zechciej także, Ezeno, nadal rozkazywać mojemu przedstawicielowi u Twojego boku. Niezwłocznie na Twoje polecenie doniesie mi o wszystkim, co postanowiłaś.

Bądź zdrowa. Nie omieszkaj przekazać memu Bratu, a Twemu Małżonkowi, czułości od siostry z Kirlanu.

A.S.N. Werena

cesarzowa Wiecznego Cesarstwa

królowa Armektu i Garry

księżna Grombelardu Północnego

opiekunka Królestwa Dartanu

Gotah uniósł spojrzenie znad listu.

– Można jaśniej? – zapytała królowa, niedbale odrzucając ogryzek, który zaraz podniosła służebna niewolnica.

Władczyni Dartanu nigdy tak nie robiła; owszem, czasem rzuciła czymś w złości. Ale zbędny przedmiot, ogryzek lub pusty kielich, tylko wskazywała niewolnicy i lekkim skinieniem prosiła, by jej usłużono.

– Wasza wysokość...

– Dzisiaj wieczorem u mnie, na naradzie – przerwała. – Wielką Radę zwołuję pojutrze, dzisiaj tylko wąskie grono. Wodzowie, podskarbi, intendent i ty, wasza godność. I jeszcze Vasaneva. Wszyscy już znają ten list, byłeś ostatni.

Zapytała spojrzeniem: „Czy masz, panie, jakieś wątpliwości?”.

Nie miał żadnych. Lub dziesięć.

– Dziękuję.

Przyjęty skłonił się i wyszedł.

Wszyscy już znali list. Oczywiście.

Przemierzany przez Gotaha korytarz wiódł do pokoi królowej i jej królewskiego małżonka, jeszcze dalej znajdowały się pokoiki osobistej służby. Nikogo tutaj nie było, bo do tej najbardziej prywatnej i strzeżonej części pałacu prawie nikogo nie wpuszczano. Główny, wiecznie zatłoczony pałacowy

korytarz biegł równolegle, ale Gotah nie zdążył dotrzeć do drzwi łączących jeden z drugim. Strzegący wejścia halabardnik już ruszył, by je otworzyć przed Powiernikiem Królowej, ale zatrzymał się, spoglądając nad jego ramieniem. W tej samej chwili zabrzmiało:

– Wasza godność!

Anessa.

Przyjęty zwrócił się ku niej i zaczekał.

– Przecież będziesz dzisiaj na tej radzie, którą zwołała jej wysokość – stwierdził, nie zapytał. – O czym teraz mamy rozmawiać, Perło? Nie szkoda języka, skoro wszystko powtórzymy wieczorem?

– Może nie wszystko. Do wieczora zdążę zamienić kilka słów z jej wysokością. To ma być wąskie grono, ale jeśli jednak coś postanowi wobec wodzów i urzędników, to nie będzie się mogła wycofać.

– Wycofać? – zadrwił. – Jej wysokość zrobiła właśnie, co mogła, żeby wbić nam do głów... Dała ten list do czytania każdemu, kto umie czytać. Znasz list cesarzowej do królowej, żołnierzu? – zagadnął halabardnika.

Żołnierz był głuchy, a w każdym razie zachował kamienną twarz, posłuszny niemal niedostrzegalnemu gestowi Pierwszej Perły.

Z Przyjętego czasem wyłaziło dziecko – choć obraziłby się, gdyby mu to powiedziano.

A jednak powiedziała. Oględniej.

– Powściągnij niezadowolenie, Powierniku Królowej. Na razie to ty, panie, opowiadasz żołnierzowi o sprawach, których nie ma ochoty roztrząsać. Chodź ze mną.

Poszedł.

Perła miała komnatkę obok komnat jej królewskiej wysokości, ale mieszkała gdzie indziej, a tutaj tylko bywała.

Czasem pomieszkiwała i sypiała, bo zazwyczaj potrafiła odgadnąć, czy akurat powinna znajdować się blisko swojej pani i stawić choćby na kłaśnięcie w dłonie, razem ze służką biegnącą po ogryzek.

W tym prywatnym pokoju Anessy Gotah był pierwszy raz.

I zdziwił się, bo urządzono go wygodnie, ale skromnie. Inaczej niż pałac w pałacu, zamieszkiwany przez Perłę w prawym skrzydle.

Tam jednak królowa bywała bardzo rzadko. Tutaj, widocznie, częściej.

Perła pokazała gestem: „Siadaj”. Zupełnie jak przed miesiącem.

– W ogóle nie ma racji? – zapytała. – Królowa?

– Rozumiem, że jest urażona.

– Urażona?... Och, nie powiem ci, wasza godność, jaka jest. Może mógłby ci powiedzieć ten wartujący halabardnik, ale dopiero po służbie i dopiero po czwartym piwie. Cesarzowa Werena zechciała pominąć swego przedstawiciela, a raczej sprowadziła jego godność T.N.Heneta do roli gońca, mającego tylko doręczyć zapieczętowany list. Znaczy to tyle, że żadnego pola do dyskusji nie ma, skoro siedzący na tym dworze przedstawiciel Wiecznego Cesarstwa nawet nie wie, co jego władczyni napisała do swojej bratowej.

– Raczej wie. Na pewno dostał odpis tego listu.

– I królowa ma go o to zapytać? Czy pokazać list od najgodniejszej cesarzowej tak samo, jak pokazała tobie?

– Twoja pani, Anesso, dostała szansę zachowania dla siebie jego treści. Zamiast te...

– Że CO dostała?... Szansę?

Gotah zamilkł.

– Idąc za twoją radą, panie, królowa, najogłędniej jak to było możliwe, dała cesarzowej do zrozumienia, że oczekuje gestu,

który da jej do ręki argument w rozmowach prowadzonych tutaj, z dartańskimi stronnictwami i Domami. Oczekiwała bodaj napomknienia, że Armekt jest gotów zaakceptować pełną niezależność dartańskiego królestwa, może pod pewnymi warunkami, może jeszcze nie w tej chwili, ale... Mglistej zapowiedzi, bo nawet nie obietnicy. Zamiast tego jest brutalne, a właściwie trzeba by powiedzieć: bezczelne napomnienie o powinnościach lennych. Owszem: bezczelne, bo to Armekt musi się łąsić o wsparcie, nie Dartan. Mało tego, cesarzowa już nie tylko żąda od lenniczki wywiązania się z traktatowych zobowiązań. Ona wprost palcem wskazuje, jakie siły i skąd ma zabrać królowa Ezena, wylicza chorągwie, które mają wyruszyć. Na szczęście nie podała, które miasta mają je wystawić ani kto i z jakim żołdem ma stanąć na czele każdej. Może przyśle swoich oficerów?

– Niemniej dartańscy żołnierze w Niskim Grombelardzie są tam na żądanie Kirlanu. Cesarzowa godzi się na ich wycofanie i użycie gdzie indziej.

– Wasza godność! – powiedziała Perła i choć było widać, że naprawdę się powstrzymuje, to politowanie w jej głosie było gęste i gryzące niczym dym z mokrego drewna. – Osiem, dziewięć lat temu Armekt potrzebował w Niskim Grombelardzie kogokolwiek, bo po przegranej wojnie, a zwłaszcza po upadku Akali nie miał żadnej możliwości kontrolowania tej krainy, ani nawet zabezpieczenia własnych wsi i miasteczek na pograniczu. Teraz, po ośmiu latach, nie ma tam żadnych interesów. To Dartan zaprowadził porządek po obu stronach Gór Wąskich, zabezpieczył małe porty na wybrzeżu, uratował wioski przed górskimi zbójami i nadal je osłania, a one hodują owce i sprzedają nam wełnę. Mamy już ożywione kontakty handlowe z Niskim Grombelardem, a po naszej stronie granicy spokój. Odżywa Akala. Nie zabierzemy

stamtąd Pieszego Hufca Pogranicza, bo wszystko to runie w ciągu roku. Ani jeden armektański żołnierz nie przyjdzie tam pilnować czegokolwiek. Powiedziałam: czegokolwiek?... Raczej niczego, bo Armekt nie ma tam nic. Zapędzone w góry, nieliczne już i dogorywające w dziczy łapserdaki podniosą głowy, zaraz się rozmnożą i zaczną podskubywać, a potem łupić wioski. Czyje wioski? Armektańskie, wasza godność? Tam w każdej chałupie siedzi wieśniak z łukiem. Dobiorą się więc najpierw do grombelardzkich, a potem do naszych wiosek, naszych kupców i do miasteczek na wybrzeżu, które właśnie zaczynają rozkwitać dzięki kontaktom handlowym z Dartanem. Cesarzowa łaskawie oddała mojej królowej coś, czego nie można wziąć. Mam ci tłumaczyć takie sprawy, historyku Szerni?

– Historyk Szerni, Perło, właśnie tak. Historyk Szerni to nie znaczy: polityk Szereru.

– Ucz się, panie. Pora zostać tym politykiem. Przynajmniej na jakiś czas.

Nie obraził się.

– Chyba tak. Ale bardzo ciężko mi idzie – wyznał.

– O liście myślę to, co ty. Niepotrzebnie go pokazywała.

– Spaliła za sobą mosty. I przecież specjalnie, z pełnym wyrachowaniem. Trochę zbyt wiele osób będzie musiało udawać, że nigdy tego listu nie czytało. Swoją drogą, dawno nie widziałem jej wysokości w takim nastroju.

– O, nie widziałeś, jaka była, gdy to przeczytała... Przecież już ci mówiłam. Dobrze, że wcześniej odprawiła Heneta. To akurat dzięki staremu księciu Levinowi, który w Dobrym Znaku mówił jej: „Jeśli możesz, to nigdy nie przyjmuj nowin w obecności świadków”. Na szczęście zapamiętała. Ja uciekłam, a kocica wlaźła na kotarę – zakończyła Perła, tłumiąc śmiech.

Dotychczas spacerowała po komnatce, teraz stanęła, splotła dłonie za plecami i popatrzyła z ukosa: „Co ty na to?”.

– Jej godność Vasaneva? – nie dowierzał.

– Siedziała pod sufitem wczepiona pazurami. Nie żartuję.

Rzadko wymieniali uśmiešky i ploteczki. Prawie nigdy.

Nadal się nie lubili i gdy tylko nie byli razem, natychmiast myśleli o sobie z niechęcią – o ile w ogóle myśleli. Ale wykształcili nawyk odkładania uczuć na stronę. Spotykali się wcale często, rozmawiali jednak wyłącznie o sprawach kraju, a nawet kilku krajów. Obrażona dziwka i mądrała Szerni drzemali wtedy gdzieś w pałacu.

– Co mówić? – zapytał. – Dzisiaj, na tej radzie. Zanim jej królewska wysokość rąbnie na cały kraj, że zrywa traktat pokojowy z cesarstwem i nie odnowi hołdu lennego.

– Nic nie mów. Przede wszystkim nie wymądrzaj się, panie, nie strofuj jej i nie pouczaj – doradziła. – Och, przestań, wiem przecież, co jej czasem mówisz, kiedy nikt nie słyszy! – sarknęła. – „Dobry wujek Gotah”, ona wciąż tego potrzebuje i pamięta wszystko, co jej kiedykolwiek powiedziałaś. Nawet nie wiesz, jak często powołuje się na ciebie, panie, gdy rozmawia ze mną, z Yokesem, z Hayną i Vasanewą. Może jeszcze z Baylayem, gdy tu był. Ze wszystkimi, z którymi jest blisko.

Zaskoczyła go, bo naprawdę nie wiedział.

– Ale dzisiaj jej nie pouczaj – powtórzyła. – Wiem, że właściwie nigdy tego nie robisz wobec świadków, ale dzisiaj naprawdę nie wolno ci się zapomnieć. Pytaj ją.

– Pytać?...

– Niczego nie doradzaj, tylko pytaj. Albo opowiadaj. Zmuszaj do myślenia – wyjaśniła. – Na dziesięć decyzji, które podejmuje, może jedna jest podyktowana przez jakiś kaprys albo poryw serca, czy jak tam to pięknie nazwać. Cała reszta przez rozum. Wiesz o tym, więc tylko proszę, żebyś dziś wieczorem stale

o tym pamiętał. Pytaj ją, wasza godność. Wymyśl takie pytania, żeby musiała pomyśleć. Jest mądra, więc gdy to zrobi, to na pewno udzieli mądrej odpowiedzi. Wymyśl właściwe pytania.

o o o

Armektańskim zwyczajem – bo wiele dobrych rozwiązań przetrwało rozpad cesarstwa – trzy główne pory doby, czyli ranek, południe i wieczór, wybijane były w miastach przez heroldów; pierwotnie tym słowem nazywano ludzi zapowiadających walki na arenach. To także był obyczaj armektański: rozpowszechnianie wieści przez miejskich obwoływaczy, specjalnie dobranych ludzi o potężnych głosach. Na rynkach i placykach budowano niewielkie podwyższenia, skąd herold wykrzykiwał wszystko, co mu kazano. Wychodząc z ratusza, walił w gong i ogłaszał tym właściwą porę. Powtarzały to inne gongi w mieście – przywilej wybicia ogłoszonej przez ratusz pory dnia miał każdy i była to ulubiona zabawa dzieciaków, niewczesne żarty jednak karano surowo.

Odległy głos gongu oznajmił, że nastał wieczór. Narada u królowej rozpoczęła się bardzo punktualnie.

Za oknami sypał gęsty śnieg, nie było jednak mrozu. Oznaczało to zimne błoto i wodę na ulicach, a po porannym przymrozku połamane ręce i nogi kilkudziesięciu mieszkańców największego miasta Szereru.

Gotah zastanawiał się, czy naprawdę wszyscy obecni znali treść wiadomego listu. Trzej wodzowie: Yokes, Enewen i Vasanen – na pewno. Jeśli poznał jeden, to królowa nie mogła pominąć pozostałych; obraziliby się przecież natychmiast. Vasaneva, królewska złodziejka, naczelniczka wszystkich szpiegów i wywiadowców królestwa – znała bez wątpienia. Może jeszcze Hayna, Druga Perła królowej, ale Hayny nie było

na naradzie. Pierwsza gwardzistka i dowódczyni przybocznych straży zawsze wiedziała o wszystkim, ale nie mieszała się do niczego, trzeba by ją zmusić do przyjścia na taką radę. W zamian było zupełnie pewne, że jeszcze tej nocy usłyszy dokładny raport od swojej przyjaciółki Anessy. Przyjaźń między dwiema Perłami jednego Domu była osobliwością na miarę Szereru, ale mogła zaistnieć właśnie dlatego, że Druga Perła nie mieszała się nigdy do niczego, w ogóle z Anessą nie rywalizowała, życzyła sobie być wyłącznie gwardzistką królowej. Anessa zaś tylko raz spróbowała wmieszać się do tego – i od wielu lat z podkulonym ogonem udawała, że sprawy związane z bezpieczeństwem monarchini nie istnieją.

Uznały nawzajem swoje terytoria i żadna nie śmiała naruszyć ustalonych granic. Porozumiały się.

Kolejne miejsce przy stole zajmował podskarbi, człowiek starszy wiekiem, ale bardzo mądry, rzetelny, a przy tym po prostu ujmujący – królowa najzwyczajniej go lubiła. A jeszcze ceniła i szanowała, bo naprawdę znał się na tym, co robił, i trudno byłoby o kogoś lepszego. Czy dała mu ten list? Może tak. Ale niekoniecznie, bo on akurat by się nie obraził. Polityką i w ogóle wszystkim, co nie miało związku z jego stanowiskiem, zajmował się akurat tak jak Czarna Perła Hayna.

Intendenta nie było (chyba miał być wezwany intendent armii, bo Wielki Intendent Królestwa – niby po co?). Najniższy urzędem i znaczeniem w tym gronie, bez wątpienia przybyłby przed wszystkimi – lecz nie było go, a to oznaczało, że wbrew zapowiedzi jednak nie został zaproszony.

Brakowało jeszcze jednej osoby. Wroga.

Jego godność T.J.Seneres był przed laty przywódcą Stronnictwa Słusznej Sprawy, którego poczynania omal nie doprowadziły do klęski w wojnie z Armektem. Przeciągnięty na stronę Ezeny, albo może raczej: zmuszony do przejścia na jej

stronę, nigdy królowej tego upokorzenia nie przebaczył. Był najbardziej wpływowym człowiekiem w stolicy, bo odsunął na bok nawet księcia A.B.D.Baylaya, który od wielu lat bardziej zajmował się zewnętrzną polityką państwa niż knowaniami w Rollaynie, to zaś skazywało go z góry na przegraną.

Seneres mógł bardzo wiele, a Ezena go obłaskawiała, bo nie mogła wprost zaatakować. Gotah spróbował wyobrazić sobie, w jaki sposób ten dumny magnat przyjmie wieść o naradzie, na którą nie został zaproszony. Wielka Rada Królestwa miała określony skład i Seneres zajmował w niej należne miejsce – lecz poufna narada to było coś innego. Królowa właśnie powiedziała najgroźniejszemu z wewnętrznych przeciwników: a ty nie.

Prowokowała go?...

W ogóle nie wchodziło w rachubę, by nikt o tej małej naradzie nie usłyszał. Seneres musiał się dowiedzieć.

Z pięciu wodzów królestwa zabrakło więc dwóch: dowódcy floty (bo był zbędny i nieosiągalny, stale przebywał w Llapmie) oraz komendanta Pieszego Hufca Pogranicza. Właśnie Seneresa. Objął to zaszczytne, bardzo wysokie stanowisko, które go częściowo obezwładniło. Wszędzie mógłby knuć – a tu nie za bardzo. Dom T.J. był najmocniej ze wszystkich zainteresowany utrzymaniem porządku w Niskim Grombelardzie, bo pilnował tam własnych, brzęczących złotem spraw.

M.B.Yokes dowodził przybocznymi chorągwiami królowej, stary rycerz K.D.R.Vasanen Królewską Strażą Krajową, pilnującą porządku na ulicach i traktach. K.B.I.Enewen był wodzem bez wojska – naczelnym dowódcą wszystkich zbiorczych chorągwi rycerskich, gdyby zostały powołane pod broń. I w ogóle naczelnym wodzem wszystkich sił zbrojnych królestwa, lecz na razie to była właśnie Straż Krajowa (której dało się użyć tylko do patroli), Hufiec Pogranicza (którego nie

dało się ruszyć z Grombelardu) i przyboczne prywatne chorągwie królowej (którymi rządziła ona sama, za pośrednictwem Yokesa).

Wraz z Chorągwią Domu, będącą najświetniejszym znakiem królestwa i prawdopodobnie najlepszą ciężką jazdą świata, która wszakże pospołu ze strażą pałacową podlegała Haynie, całe przyboczne wojsko monarchini wywodziło się ze znakomitych oddziałów Dobrego Znak, dzięki którym Ezena wygrała wojnę z Armektem. Pierwotnie tych chorągwi było osiem: sześć ciężkich w Sztandarze Wielkim i Sztandarze Mniejszym oraz dwie lekkie – Straży Przedniej i Tylnej. Po wojnie dodano trzeci Sztandar: Królewski. Trzy należące do niego chorągwie składały się z ochotników służących przez dwa lata za żołd i składających Ezenie osobną przysięgę na wierność.

W wielkim Dartanie nie brakowało rycerzy, którzy przed imieniem nosili inicjały imion świętych przodków – ale to już było wszystko, co mogli nosić z dumą, bo dziadowskie szmaty na grzbietach ledwie trzymały się kupy. Ochotnicy, nawet jeśli mieli prawo do rycerskich pierścieni, musieli się pogodzić, że pod znakiem Sztandaru Królewskiego zwani będą tylko „żołnierzami”, ale nie było z tym kłopotu. Służba pod znakami królowej niebywale podnosiła prestiż tych zubożałych synów świętych rodów, a jeszcze – zupełnie po prostu – napełniała puste brzuchy zarówno im samym, jak i zostawionym w podupadłych sadybach rodzinom. Mało który mógł stawić się na porządnym koniu i z poczem, choćby tylko jednym giermkim lub kusznikiem, więc strzelców do tych chorągwi pozyskiwano z gminu, na podobnych zasadach jak rycerzy, chociaż niekoniecznie tylko na dwa lata; wielu z nich przedłużano kontrakty.

Królowa mogłaby wystawić więcej chorągwi, bo nie tylko zubożałe rycerstwo garnęło się do tej służby. Bardzo szybko kształtował się obyczaj, że syn rycerskiego Domu winien przesłużyć dwa lata u boku swojej królowej. Jednakże utrzymanie stałego wojska – i to takiego! – kosztowało fortunę. Każdy władca na świecie chciałby mieć na zawołanie niezliczone orężne oddziały, lecz żadnego nie było na to stać. Armie jawiły się najdroższymi zabawkami, jakie kiedykolwiek wymyślono.

Większość tych świetnie urodzonych, lecz ubogich rycerzy należało dozbroić, a pozyskiwanych z gminu pocztowych okryć i wyposażyć od początku do końca. Odchodzący ze służby wojownicy przekazywali następcom pożyczone wierzchowce, oręż i zbroje, niemniej... Gotah nie chciał w ogóle wiedzieć, ile kosztowało utrzymanie tych kilkunastu chorągwi, stale trwających u boku monarchini. Dokładała z własnej szkatuły. Przecież była jeszcze gwardia pałacowa, jeszcze potężna straż leśna strzegąca jej majątku i piechota – co prawda niezbyt liczna – pilnująca prywatnych wiosek i miasteczek K.B.I.Ezeny.

Na szczęście jej królewska wysokość była właścicielką Puszczy Bukowej, panią Dobrego Znaku. Najbogatszą kobietą Szereru.

Otrząsnąwszy się z zamyślenia, Przyjęty powiódł wzrokiem po komnacie. Trzej wodzowie stali z boku, pogrążeni w niegłośnej rozmowie. Podskarbi siedział blisko królowej, która rozmawiała przez ramię z pochyloną ku niej Pierwszą Perłą. Vasaneva leżała na stole – tej, jak zwykle, wolno było wszystko.

Najlepiej urodzona kocica Szereru, biała jak śnieg spadkobierczyni niezwyklej tradycji. Od pradawnych czasów koci ród Keyla.Nelos., wywodzący się od dwojga niezwyklej przodków, którzy kiedyś nocą ocalili króla, wyprowadzając go

z oblężonego obozu, służył prawowitym dartańskim monarchom. Jej godność K.N.Vasaneva pojawiła się w pałacu i zasiadła u boku ukoronowanej władczyni tak, jakby zawsze tam była. Jakby nie istniało dwieście lat, podczas których Dartan nie miał własnego władcy.

Otwarły się drzwi – ale nie wszedł przez nie zapowiedziany przed południem intendent. Przyjęty gotów był dać wyraz zdumieniu, lecz powstrzymał się w ostatniej chwili. Nie on jeden. Rozmowy umilkły, podskarbi wstał tak prędko, jak tylko pozwolił mu wiek; Gotah uczynił to samo.

Jego Królewska Wysokość Księżę Małżonek K.B.I.Awenor, najmłodszy z braci cesarzowej Wereny, był w stolicy Dartanu nikim. Królowa go nie kochała, a co gorsza – nie lubiła i nie poważała. Najlepiej urodzony mężczyzna Szereru, ojciec dwojga jej dzieci, które miały podtrzymać dynastię – i nikt więcej. Ten łagodny trzydziestopięcioletni mężczyzna nazywany był po cichu Księciem Zajączkiem. Pomijany, bez mała przepędzany z komnaty do komnaty. Być może marzyło mu się kiedyś pojednanie Armektu z Dartanem, żony z siostrą... Jeśli tak, to wart był litości. Już oficer pałacowych halabardników miał większy wpływ na królową; na pewno chętniej przychyliłaby ucha do prośby sumiennego żołnierza. Z mężem nie rozmawiała prawie wcale.

Nie wiadomo, kto musiałby przyjść na zwołaną przez nią poufną naradę, by wywarło to większe wrażenie. Chyba tylko cesarzowa Werena.

Gotah przeraził się. Jeśli wezwwała księcia Awenora, to tylko po to, by w jego osobie sponiewierać rządzącą Wiecznym Cesarstwem dynastię. Innego powodu nie potrafił sobie wyobrazić.

Zgadł. Zaczęła od razu.

Książę usiadł u jej prawego boku. Stojący pod ścianą dowódcy szybko podeszli do stołu i zajęli miejsca, Gotah i podskarbi także usiedli z powrotem. Wtedy powiedziała:

– Wszyscy znamy list od najgodniejszej.

Po czym podała go mężowi.

Bo tylko on jeden nie znał.

Nic się nie wydarzyło. Jeśli u boku małżonki książę udoskonalił jakąś sztukę, to było nią panowanie nad sobą.

Przeczytał. Zastanowił się krótko, złożył list i lekko skłoniwszy głowę, oddał go żonie. Można by bez trudu uwierzyć, że pozwoliła mu poznać przepis na pieczoną kaczkę z jabłkami.

Gotah rzadko dostrzegał (bo przecież był mężczyzną), co noszą na sobie kobiety; owszem, kiedyś zwrócił uwagę na niezwykłą suknię Pierwszej Perły. Teraz ponieważ zauważył, że królowa ma na sobie niewyszukaną domową szatkę, raczej sukienkę niż suknię, a włosy najzwyczajniej związane wstążką z tyłu głowy. Każdy przy tym stole zadbał o swój wygląd bardziej niż jej królewska wysokość, nikt nie pozwoliłby sobie na nadmierną swobodę.

Ona mogła.

Przyjęty posłuchał Anessy: nie chciał się wymądrzać, zamiast tego przygotował kilka pytań, które musiały dać do myślenia każdemu. Teraz nagle uświadomił sobie, a raczej tylko przeczuł, że ich nie zada. Ezena pozwalała sobą kierować, albo może raczej: pozwalała, by kierowano jej uwagę w tę, to znów inną stronę. Niekiedy jednak z największą łatwością wyrywała się z zaprzęgu i od tej chwili nikt nie mógł jej poskromić, czy choćby tylko skłonić do spojrzenia w pożądanym kierunku.

– Vasanevo, Zachodnie Wybrzeża. Tak krótko, jak potrafisz – zażądała.

Ryzykownie. Zażądać zwięzłości od kota?... Królewska złodziejka gotowa była odpowiedzieć swojej pani jednym słowem.

Jednakże użyła aż dwóch i tytułu:

– Nic nowego, wasza wysokość.

Mówiła wyraźniej niż większość kotów, ale jednak z tą znamioną kocią chrypką, która sprawiała, że niemal każdy człowiek miał ochotę odruchowo odkaszlnąć.

Oznaczało to, że krępy llapmański półwysep zajęty jest tym, co zwykle: zarabianiem niesłychanych pieniędzy. Jego stolica, największy port i drugie pod względem wielkości miasto świata, leżała na zbiegu niemal wszystkich morskich szlaków handlowych.

I w samej rzeczy: Zachodnie Wybrzeża od niepamiętnych czasów były raczej potęgą morską niż lądową. Llapma stanowiła nie tyle okno, ile wrota całego kontynentu, szeroko otwarte na Bezmiar Wschodni, Garrę i Wyspy, południowy Armekt aż po Banę. Kontrolowała też Morze Zamknięte. Stary Tarwelar i dartański Piękny Znak – Lida Aye – nie utrzymywały wielkich flot dalekomorskich, większość statków pływała tylko do Llapmy i z powrotem. Ciężko załadowane żaglowce ze wszystkich stron świata, zamiast tracić czas na „sadzawce” wtłoczonej między Armekt i Dartan, właśnie w Llapmie zrzucały część ładunku, przejmowanego następnie przez mniejsze statki obu portów Morza Zamkniętego.

Krótko mówiąc: kocica zaraportowała królowej, że Zachodnie Wybrzeża nadal mają wszystko gdzieś, a już na pewno miały tam armektańską wojenkę graniczną rozpalającą się na drugim końcu kontynentu. Bez widoków na uniezależnienie się od Dartanu Wybrzeża spozierały tylko w stronę Garry, awanturą na dalekiej Północnej Granicy zajęte o tyle, o ile mogła stać się sygnałem do kolejnego garyjskiego powstania. Wojna w tej

części świata utrudniłaby przecież handel i zmniejszyła spodziewane zyski.

– Południowy Dartan?

– Także nic, wasza wysokość.

Dziel i rządź. Południowy Dartan miał dwa własne rody staroksiążęce, wywodzące się z królewskich dynastii. Królowa Ezena od lat, właściwie od samego początku, rozgrywała ich ambicje na swoją korzyść. Za czasów Pierwszej Prowincji książęta nie mieli nic do gadania, byli artefaktami z przeszłości, czerpiącymi całe swoje znaczenie i siłę z historii, a właściwie już legend. I nie bardzo się odnaleźli w nowej rzeczywistości. Szanowane, lecz niemajątne Domy poza Złotymi Wzgórzami nie miały większego znaczenia. Zawsze mogły przysporzyć kłopotów, ale tylko popierając Llapmę przeciw Rollaynie bądź odwrotnie. Dla osiągnięcia jakiegoś własnego celu musiałyby połączyć siły – a to już był projekt polityczny wykraczający, jak dotąd, poza ich możliwości, a nawet wyobraźnię.

Zostawiony w spokoju Południowy Dartan raczej więc nie powinien przysporzyć kłopotów. Inaczej by było, gdyby rycerstwo ze Złotych Wzgórz wezwano nagle na wojnę. Jakąkolwiek wojnę, a już taką, która nie mogła przysporzyć sławy ani łupów?... Nic nie robić – południowi Dartańczycy umieli to jak nikt inny. Nawet pociągowe konie taborowe nie wyrwałyby z nicnierobienia synów tych świętych Domów.

Chcąc nie chcąc, poszliby na wojnę z Armektem. Ale na żadną inną. Może jakąś lokalną rodową wojenkę, gdyby Rollayna na to pozwalała. Porąbać sąsiada albo jeszcze lepiej: wziąć go do niewoli i zażądać okupu – o, to tak.

Królowa musiała wiedzieć, jak się mają sprawy na Wybrzeżach i na Złotych Wzgórzach. Wszyscy przy tym stole wiedzieli. Pytania, które zadała Vasanievie, i odpowiedzi tej

ostatniej, miały tylko skierować uwagę obecnych w pożądaną stronę.

Dotknęła rzeźbionego pucharka i Anessa, spełniająca tego wieczoru zadania zwykłej służebnej niewolnicy, natychmiast napełniła go winem. Okrążyła stół, przystając przy każdym, kto dotknął swojego naczynia.

– Yokesie – rzekła królowa, zwracając się do wodza swoich przybocznych chorągwi – jako jedyny z naszego grona znasz armektańską Północną Granicę, walczyłeś tam i dowodziłeś wojskami. Późnym latem i jesienią na Granicy trwała wojna, docierały wieści o starciach, a nawet bitwach. Teraz nic się nie dzieje.

– Jest zima, wasza królewska wysokość – przypomniał Yokes, po czym krótko wyjaśnił, najbardziej na użytek podskarbiego i Przyjętego, dlaczego zimą wojny zamierają. – W polu nie ma paszy dla zwierząt. Mówi się czasem o ciszy przed burzą. A to jest taka... cisza przed wiosną – zakończył.

Cisza przed wiosną, zima przed burzą... Przyjęty pomyślał, że Yokes potrafi ładnie się wysławić. Jeśli chce.

– Jesteś pewien?

– Czego, wasza wysokość?

– Tego, że moja cesarska siostra nie straciła głowy – cierpko wyjaśniła Ezena, uprzejmie uśmiechając się do męża. – Armektańscy żołnierze walczą na tej granicy od zawsze.

– Największa alerska armia, jaka kiedykolwiek tam była, została pobita trzydzieści pięć... nie, już trzydzieści sześć lat temu. Ponad dziesięć tysięcy srebrnych wojowników i drugie tyle złotych. Potem nadciągnęło więcej Złotych Plemion i do dziś można oglądać na Północnej Granicy miejsca nazywane polami kości, tyle bestii tam wymordowaliśmy. Jednak napływały kolejno, nie jednocześnie. Brałem udział w drugiej

połowie tej wojny i nigdy nie widziałem ich więcej jak tysiąc, może półtora tysiąca naraz.

– Rozumiem, że teraz jest więcej?

– Złoty nie wiemy ile. Doszło tam do jakichś dziwnych bitew, w których złoci byli chyba prowadzeni przez jakieś inne potwory. Złote Plemiona składają się ze zwierząt, złoci są niemal bezrozumni – przypomniał znowu. – Nie tworzą armii ani nawet oddziałów, najwyżej stada, które nazywamy sforami, bo działają prawie tak jak wilki albo dziczące psy. Teraz chyba było inaczej, złotymi coś kierowało. To były... prawie bitwy. Tak wynika z wieści, które do nas dotarły. Ale złoci pojawili się i odeszli. Nikt nie potrafi powiedzieć, czy wrócą.

– Ale jest to możliwe?

– Mogą się pojawić w każdej chwili. Srebrne Plemiona potrzebują trawy, a najlepiej liści z drzew dla swoich wehfetów. Złoci jedzą mięso, każde mięso. Nie potrzebują zapasów, bo po każdej potyczce mają co jeść, pożerają nawet trupy współbraci. A jeżeli muszą uciec z pola walki i porzucić „zdobycz”, to zabijają swoich rannych i ich pożrą. To zwierzęta – wytłumaczył raz jeszcze.

Gotah skrzywił się, ale nie zaprotestował. Złoci byli o wiele mądrzejsi od jakichkolwiek zwierząt; zwierzęta nie umiały używać ognia ani broni, choćby tak prymitywnej jak maczuga. Ale dla walczącego z nimi żołnierza to nie były istotne różnice.

– A Srebrne Plemiona?

– Otóż to, wasza wysokość. Raporty dowódców stanic na północy na pewno nie są przesadzone, a jeżeli nawet, to niewiele. Zestawione razem pokazują liczbę stu, a nawet dwustu tysięcy srebrnych, siedzących w byle jakich obozach, w ziemiankach i szałasach na granicy. Wydaje się, że musieli porzucić własne wioski i miasta, jeżeli w ogóle mają tam miasta. Na pewno głodują. Może ty, panie, wiesz lepiej – Yokes

zwrócił się do historyka Szerni – ale wydaje mi się, że przez kilkaset lat nie przyszło ich aż tylu. Największa dotąd wojna, Wielka Wojna Graniczna, to dziesięć tysięcy srebrnych – powtórzył. – Zazwyczaj to są tylko łupieżcze watahy liczące pięćdziesięciu do stu jeźdźców. Czasem większa gromada pieszych próbowała zdobyć jakąś stanicę.

– I co Armekt może temu przeciwstawić?

– Kilka tysięcy żołnierzy we Wschodnich i Zachodnich Okręgach Pogranicza. Proporcje są jak dwadzieścia, a może jak czterdzieści do jednego.

– Te Srebrne Plemiona na granicy nie składają się chyba z samych wojowników.

– Chyba nie. Ale my bardzo mało, królowo, wiemy o Alerach. Armekt od wieków najeżdżali wojownicy. Jednak w takim świecie, a to chyba nie jest przyjazny świat... Możliwe, wasza wysokość, że tam każde dziecko, kobieta i starzec umie trzymać broń i użyć jej w razie konieczności. Przynajmniej takiej broni, jak łuk. Jeśli dodać do tego złotych, którzy mogą wrócić w każdej chwili, a są sprawniejsi i groźniejsi niż kiedyś...

– Wszystko to już kiedyś słyszałam – przerwała. – Wszyscy słyszeliśmy. Mówisz więc, że nic się nie zmieniło?

– A co się mogło zmienić, wasza królewska wysokość?

– Armekt nie zatrzyma tych złotych i srebrnych armii?

– Samymi siłami pogranicza? W żadnym razie. To formacje staniczne przeznaczone do zwalczania podjazdów i rozrzucone na przestrzeni trzystu mil. Scalenie ich oznacza odsłonięcie całej granicy. Potrzebne są tam armie polowe, i to co najmniej trzy, działające w oparciu o twierdze Tor i Rewin. Jedną już chyba zebrano, około dziesięciu legionów, czyli kilkanaście tysięcy żołnierzy, w większości niedawno wyszkolonych. Jesienią Armektańczycy robili zaciągi, zdążyli wyszkolić toporników, łuczników raczej kiepsko. A jazdę zupełnie byle

jak, bo szkolenie jeźdźca trwa najdłużej. Jestem pewien, że ta zebrana pod Torem armia to wciąż jest jeden wielki obóz szkoleniowy, gdzie próbują dokończyć przemiany tysięcy uzbrojonych wieśniaków w żołnierzy.

– Jeśli Armekt przegra wojnę graniczną, to co się może wydarzyć?

Komendant M.B.Yokes nie był gadułą. Trochę już zmęczony, powiódł wzrokiem po obecnych, jakby pytał, czemu służy to wypytywanie. Przecież wszyscy już dawno słyszeli...

Dłużej zatrzymał spojrzenie na twarzy księcia Awenora – i chyba odkrył, do kogo przemawia. To samo i w tym samym momencie zrozumiał Gotah-Przyjęty.

Małżonek królowej nie był głupcem, przeciwnie. To znaczyło, że nawet odsunięty od wszystkich spraw państwowych wiedział i rozumiał niejedno. Ale jednak po raz pierwszy uczestniczył w podobnym zebraniu. I słuchał bardzo uważnie tego, co sławny dartański rycerz, a przed laty doświadczony żołnierz pogranicza, mówi o wojnie w jego kraju.

– Jeśli Armekt przegra na północy, wasza wysokość – powiedział K.B.I.Enewen, odzywając się za Yokesa – to zupełnie nie wiadomo, co się stanie. Nikt tego nie potrafi powiedzieć.

Dwaj pierwsi rycerze królowej, służący jej od samego początku, nigdy się nie lubili. Zawsze przecież rywalizowali. Enewen zabrał głos nie tyle po to, by pomóc zmęczonemu Yokesowi, ile raczej dla zaznaczenia swojej obecności przy stole. Też był doświadczonym wojownikiem i mógł mówić o wojnie.

Z jakichkolwiek powodów się odezwał, Yokes był mu wdzięczny.

– Łupieżcza banda rabowała wioskę, po czym uciekała ze zdobyczą – dokończył Enewen. – Co zrobią stutysięczne tłumy, gdy rozleją się po kraju, w którym nie będzie już wojska? Nikt tego nie wie. To jest dla nich obcy świat i obce niebo.

Gotah odchrząknął. Królowa spojrzała i lekko skinęła głową.

– Tak... – powiedział Przyjęty i odkaslnął raz jeszcze. – Tak. Jeśli oni uciekają... ale tego nie wiemy, bo na razie nikt ich chyba nie goni. Zatrzymali się na granicy.

– Jeśli chcą tam siedzieć, to niech siedzą – rzekł Enewen. – Widok niemiły, ale rozumiem, że to tylko widok. Jeśli będą tak siedzieć i siedzieć, to w końcu Armekt zbierze wystarczające siły, żeby ich wszystkich zepchnąć do morza, jednego albo drugiego. Musimy jednak założyć, że nie będą siedzieć.

– Czyli zechcą się osiedlić w Armekcie?

– Zechcą czy nie zechcą... Nikt im nie pozwoli.

K.D.R.Vasanen, trzeci z wodzów, łysy jak kolano stary rycerz, nie był dobrym mówcą i myślał powoli, ale prawidłowo. Dano mu chwilę czasu, więc przemyślał to, co powiedziano wcześniej, i teraz rzekł:

– Kto niby nie pozwoli? Powiedziano tu: co będzie, jak Armekt przegra na granicy. Czyli już nie będzie tam miał wojska. Jeśli się osiedlą na jakichś łąkach, to niech siedzą, będzie tak jak teraz. Aż się zbiorą takie siły, które ich wyrzucą. Ale jak coś ich będzie gonić, to się nie osiedlą. Pójdą dalej. Sto tysięcy, tak? A za nimi te Złote Plemiona?

Gotah znowu odchrząknął.

– Jeśli będą uciekać byle dalej, to mogą dojść nawet tutaj. Oni chyba... Powiedziałbym: oni na pewno nie wiedzą, gdzie się kończy ani jaki duży jest Szerer. Jak w ogóle wygląda świat.

Zaskoczył wszystkich. Zdziwiła się nawet królowa.

– Wytłumaczysz to, wasza godność?

– Tak. Od zawsze żyją na skrawku kontynentu, ich cały świat ma najwyżej dwieście na trzysta mil. Nie potrafią budować statków, może jakieś tratwy przybrzeżne albo łódki dłubanki. Nikt ich nigdy nie widział na morzu. W powietrzu, na szczęście, także nie. – Pozwolił sobie na mizerny żart. – Mogą myśleć

cokolwiek. Że cały Szerer po naszej stronie jest nie większy niż ich kraj.

Słuchano z najwyższą uwagą. Przyjęty powiedział coś, o czym rzeczywiście nikt dotąd nie pomyślał.

– Chyba tylko raz, jak słyszałem – ciągnął Gotah – jakaś srebrna zgraja przekradła się aż do Riny. Sto pięćdziesiąt mil od granicy. Dalej nigdy nie dotarli, bo wiadano by o tym na pewno i zostałyby w historii, albo chociaż w legendach, jakiś ślad po tym zdarzeniu. O potworach z obcego świata. To zbyt niezwykle, by mogło popaść w zapomnienie. Nie ma nic. Żadnych legend ani wzmianek w kronikach.

– Ale przecież mogą uważać, wasza godność, że odwrotnie, że Szerer w ogóle się nie kończy – zauważył rozsądnie podskarbi.

– Gdyby ich kraj był większy, to na pewno tak. Zresztą, może rzeczywiście tak uważają. Ale jednak... – Przyjęty uniósł palec na wysokość ucha; miał taki obyczaj, gdy próbował sformułować myśl. – Na północy mają morze, na wschodzie i zachodzie też jest morze... Właściwie wszędzie morze, nieskończone, przecież aż po horyzont. Chyba najłatwiej uwierzyć, że niedaleko na południe od Riny, do której zdołali dotrzeć, też jest tylko morze. Jeśli nawet ze swego kraju dostrzegają brzegi Grombelardu, to mają prawo sądzić, że to wyspa. Znają przecież wyspy u własnych wybrzeży. Nie zdziwiłbym się, gdyby byli przekonani, że świat to właśnie wielka wyspa podzielona na pół, otoczona nielicznymi mniejszymi wysepkami. A na tej wielkiej wyspie po jednej stronie my, po drugiej oni. Jeśli uciekają, to mogą chcieć dotrzeć... na kraj świata. Nieodległy, według ich wyobrażeń.

– Ale po co?

– Żeby uciec jak najdalej i osiedlić się jak najdalej. Świat pod naszym niebem zawsze był dla nich nieprzyjazny i wrogi, łupili pogranicza, ale nie chcieli naszego świata zdobyć, bo tu pod

każdym względem było gorzej niż u nich. Obce niebo, silniejszy wróg. Ale jeśli nagle ten świat stał się bardziej gościnny i lepszy od ich świata, to może zechcą go po prostu sobie wziąć. Dla własnego ocalenia wydrzeć właścicielom, czyli nam. Jeśli sądzą, że Szerer jest mały, to na pewno nie wierzą, że zamieszkują go miliony ludzi. Pogranicze nie jest gęsto zaludnione i nie daje pojęcia o Trzech Portach, Rollaynie, Złotych Wzgórzach... Ta sławetna wyprawa srebrnych wojowników pod Rinę mogła trochę zmienić ich wyobrażenia, ale jednak Rina to największe skupisko ludności, jakie w ogóle widzieli, a myślę, że nie obejrzeliby jej dokładnie. Przecież na ulice raczej nikt ich nie wpuścił. Nie wiadomo, czy w ogóle widzieli to miasto, choćby nawet z daleka, może natknęli się tylko na kilka miasteczek po drodze. Wiemy, że byli w tamtej okolicy, i niewiele więcej. Ja w każdym razie nic więcej nie wiem. Słyszałem, że jakimś cudem wataha Srebrnego Plemienia dotarła kiedyś aż pod Rinę, ale nie wiem, co to dokładnie znaczy. Czy nie ty mi o tym mówiłeś, Yokesie?

– Możliwe, bo i ja wiem właśnie tyle. To było kilkadziesiąt, a może sto lat temu. To tylko opowieść żołnierska, a nawet nie opowieść. Gdy jakaś zgraja zapuści się dalej niż zwykle, zaraz ktoś mówi: „Ba, podobno kiedyś doszli aż pod Rinę!”. I tyle o tym wiadomo. W ten sposób się dowiedziałem i tak potem sam powtarzałem.

– Mogą mieć i takie zamiary, że wytępią tu wszystko, co wrogie, i osiedlą się u nas, skoro u nich nie da się żyć. Na zawsze albo na trochę, może oni próbują tylko coś przeczekać, przecież tego nie wiemy – podsumował Przyjęty. – Mogą dotrzeć nawet do Morza Zamkniętego, paląc po drodze wszystko, bo trzydziestu żołnierzy w obwodowym miasteczku, zostawionych na tyłach dla pilnowania porządku, na pewno im nie

przeszkodzi. Jeśli nie zastąpią im drogi żadne wojska, to mogą dojść dokądkolwiek.

– Ale jakie wojska, mędrze Szerni? Przecież oni nie będą maszerować jedną stutysięczną armią, bo się nie wyżywią – rzekł Enewen. – Jakie wojska mogą zastąpić drogę stu tysiącom rozlanych po kraju podpalaczy, którzy nie mają dokąd wracać? Nie uciekną z powrotem do siebie, choćby nawet chcieli. Można ich co najwyżej gonić i wygniatać wszędzie, gdzie to możliwe. Wasza godność? – zagadnął uprzejmie Yokesa, szukając potwierdzenia.

Uzyskał je.

– Stukrotnie powiększona „wojenka” graniczna, jaką mają w Armekcie od zawsze – przyznał Yokes. – Posyłałem żołnierzy za jakimś zagonem kilkudziesięciu jeźdźców na wehfetach, teraz takich zagonów, pieszych i jezdnych, wyobrażam sobie nawet kilkadziesiąt. Sto? Wrócą jedne, wyruszą drugie. Jeśli armektańskie armie przegrają na północy i przepuszczą ich dalej, to właśnie tak może być. Kiedyś ich wreszcie wytępimy. Całego Szereru nie spalą i nie wymordują wszystkich ludzi, bo jest nas za dużo, więc to nie będzie wojna o przetrwanie świata. Ale o domy i życie setek tysięcy ludzi jak najbardziej.

– A na południe Armektu i Dartanu ruszy milion naszych uchodźców – uzupełnił Gotah. – Szerer może się po tym nie pozbierać. Nie w takim kształcie, jaki znamy. Głód, choroby... Gdy zabraknie żywności, w miastach może dojść do pogromów przybyszów uszczuplających zapasy, czasem z rozpaczą kradnących jedzenie. Takim przymusowym wędrówkom ludów zawsze towarzyszy chaos i występki, wszelka przemoc związana z walką o zasoby. Porzucanie dzieci i starców, chwywanie młodych mężczyzn i kobiet, nielegalne sprzedawanie ich w niewolę. Nie zapanuje nad tym wojsko, zajęte ściganiem wrogich watah.

Trzej dowódcy wymienili spojrzenia, po czym zgodnie pokiwali głowami. Następnie wszyscy siedzący przy stole zwrócili spojrzenia na królową. I zajmującego miejsce przy niej księcia Awenora.

– Więc nic nie ma znaczenia, nieprawdaż? – zapytała. – Natychmiast posyłam gońców, niech opowiedzą to wszystko w każdym dartańskim Domu, w każdej wiosce, a obwoływacze niech ogłoszą na ulicach miast. Zaraz wszyscy ruszą na wojnę na Północnej Granicy, nieprawdaż? O, na szczęście nie trzeba! – ucieszyła się, ujmując odłożony list. – Poślę zaraz mojej armektańskiej siostrze dziesięć zbiorczych chorągwi, tak jak rozkazała. A wtedy wszystkie te okropne przepowiednie się nie spełnią. Tak ma być?

Nikt się nie odezwał.

– Pytam! – rzuciła zimno. – Cesarzowa Wiecznego Cesarstwa wie, jak zapobiec katastrofie. Czy nie wie? Dziesięć siłą zebranych i posłanych na wojnę chorągwi wystarczy czy nie wystarczy?

– Wzrosną szanse, wasza wysokość – odważnie odpowiedział łysy rycerz; nie był pochlebcą, nigdy nie bał się nikogo i niczego. – To wojna, a każdą wojnę można wygrać lub przegrać. Lecz szanse są mniejsze albo większe. To mówi żołnierz.

– A polityk?

– Nie jestem.

– I ty też nie jesteś, wasza godność, ani ty... ani nawet ty, Vasanevo – wyliczała. – Ani...

Zamilkła.

– Nie nie. Ty przecież jesteś politykiem, Awenorze, a jeżeli nie jesteś, to będziesz. Zawsze chciałeś. Pojedziesz do Kirlanu – powiedziała.

Cisza trwała krócej, niż można się było spodziewać.

– Na twój rozkaz, wasza królewska wysokość – spokojnie odpowiedział książę Awenor i były to pierwsze słowa, jakie wyrzekł przy tym stole. – Z jaką misją?

– Z propozycją podziału Szereru na pół. Między Armekt i Królestwo Dartanu.

ROZDZIAŁ 9



Czas był dla przestrzeni pokarmem, żywiła się nim. Jeździec Równin łatwo o tym zapominał. Zwykle jechał znikąd donikąd, mógł gdzieś dotrzeć jutro lub za tydzień. Zwykły podróżny znacznie lepiej rozumiał, jak przestrzeń pożera czas.

Aktar dosyć dawno przyswoił sobie prawa rządzące czasem i przestrzenią, Ajan zaś przynajmniej zdawał sobie sprawę z ich istnienia. Dla młodego Weneweta wszystko było nowe, dla starego setnika odwrotnie, wszystko już znane i zwyczajne – pierwszego więc niejedno ciekawiło, drugiego nic nie obchodziło. Krótko mówiąc: obaj odnaleźli się w podróży, chociaż w inny sposób.

Najgorzej rzecz się miała z Ayaną.

Nie będąc Jeźdźcem i nie jeżdżąc po Równinach, Wenewet dowiedział się, kim naprawdę jest Jeździec i na czym polega jego życie. Podróż traktem od wioski do miasteczka i z miasteczka do następnej wioski była dla jego ciotki niezawinioną karą i niesłychaną mordęgą. Legendy można było wyrzucić. Jeździec Równin mianował się włóczęgą, kochał wolność i swobodę – przede wszystkim jednak był skończonym leniem i próżniakiem, który prawie nigdy niczego nie musiał, skoro zaś nie musiał, to nie robił. Ktoś taki jak Ruda Ayana na pewno mógł spędzić choćby tydzień, wylegując się pod wiosennym niebem na miękkiej murawie przy strumieniu i przypiekając mięso nad ogniskiem, gapiąc się na skubiącego

trawę konia, z rzadka leżąc – bo nawet nie idąc – po chrust do pobliskiego zagajnika.

Oto było wspaniałe życie.

Jedyna w gronie pięciorga podróżnych kobieta, z każdym dniem bardziej milcząca i obrażona, niczego w podróży się nie nauczyła, w mijanych miastach nie ujrzała niczego godnego uwagi i zaczęła dochodzić do siebie dopiero w najbardziej niezwykłym dla wiecznego włóczęgi miejscu: pod pokładem pełnomorskiego żaglowca, więc w więzieniu, z którego naprawdę nie dało się uciec przed odbyciem kary, czyli końcem podróży. Tam, okryta wilgotnymi pledami – bo dosuszenie czegokolwiek w słonej morskiej bryzie było niepodobieństwem – mogła przynajmniej spać i nic nie robić. Może brakowało ogniska, ale było za to w bród próżnowania.

Zupełnie, ale to zupełnie inaczej miała się sprawa z setnikiem. Aktar wiedział, co mówi, oznajmiając kiedyś: „To jest dowódca jazdy, który albo się obudzi, albo nie”. I jeszcze: „On już nie ma czasu na odkładanie czegoś na kiedyś”.

To też wyglądało inaczej niż w legendach, gdzie bohater, wrywany nagle z domowych pieleszy, koniecznie musiał się zżymać, bez końca dowodzić posłańcowi, że już nie, nigdy, przenigdy; przecież wspaniałe czyny są już za nim, teraz oto ma dom i rodzinę, nie może tego porzucić... Aż wreszcie zdarzało się coś, co zmuszało go (bardzo nieszczęśliwego) do podjęcia ostatniego wyzwania.

Tu inaczej. Okazało się, że stary pijak może przez pół życia obywać się bez wszystkiego: domu, rodziny, pieniędzy... Potrzebuje tylko jednego, a mianowicie celu. Nie miał go, bo to, co kiedyś uznał za najważniejsze, wszyscy inni uważali za szalone i niepotrzebne. Minąć musiało aż trzydzieści lat, nim przybył posłaniec z wezwaniem, zupełnie jak w starej sadze. A wtedy wiekowy konny łucznik, niegdyś naprawdę znamienity

oficer, zrobił to, co potrafił najlepiej: ogarnął rzecz jednym spojrzeniem, właśnie jak dowódca jazdy, który prawie nigdy nie miał czasu na rozważania „z jednej strony... ale z drugiej strony...”. Niezwłocznie podjął decyzję i bez żadnych wahań włączył się do boju, skoro wreszcie przyszła jego kolej. Wskazano mu cel dla szarży.

Kłopot był tylko z jednym: musiał mieć, niestety, gorzałkę. Aktar próbował go wziąć na przeczekanie, ale szybko się okazało, że u setnika Rawata zagładanie do kubka z trunkiem to od dawna przestało być przyzwyczajenie. Przerodziło się w konieczność – mógł nie jeść, ale pić musiał. Gotów był spaść z konia i umrzeć, tak go telepało; mógł się też w nocy powiesić albo uciec, żeby ukraść gdzieś wódkę. W końcu Aktar wręczył mu bukłak i już chwilę później Rawat był całkiem innym człowiekiem. Przetracony dziadyga zniknął, na grzbiecie konia siedział stary, podpity, ale ciągle jeszcze znakomity jeździec. Z chodzeniem radził sobie kiepsko; z jazdą w siodle zupełnie dobrze.

Rano zwykle wyglądał jako tako, w południe nadal nie najgorzej. Lecz zakończyć dzień musiał rzetelnie pijany.

Dało się wytrzymać, bo upijał się znośnie. Gadał zrozumiale, chociaż niewyraźnie, plątały mu się nogi, ale nie szukał zwady, nie zasypiał w pół słowa i nie miał niewydarzonych pijackich pomysłów. Czasem trochę sobie pośpiewał. No i trzeba go było trzymać z daleka od Ayany, bo wieczorem chętnie się z nim upijała i tak mu to przypadło do gustu, że już na szóstym czy siódmym postoju wołał świadków, by wymienić z nią listy małżeńskie. Taka żona byłaby w sam raz, nie te jędze, które... (tu mamrotał).

„Przypominasz mi kogoś, kogo znałem” – wyznał kiedyś z pijackim namaszczeniem. „Brzydsza była od ciebie, uuu... dużo. Ale najlepsza dowódczyni jazdy, jaka... I też wredna” –

zaznaczył. „Sławna bardzo. To miałem być ja, a nie ona” – wytłumaczył niezrozumiale i zamyślił się. „Zabili ją na wojnie, słyszałem, że w szarzy... Wszystko zawsze jej się udało, nawet to. Zawsze nawet”.

Podczas morskiej podróży Wenewet znalazł wreszcie dość spokoju i czasu, by sobie poukładać minione półtora miesiąca. Z niedowierzaniem kręcił głową, to znów tylko się uśmiechał do napływających myśli.

Historie, opowieści o wielkich wydarzeniach i niezwykłych czynach podobne były chyba do odzienia: z wierzchu gładkie, starannie wykończone, obrócone na lewą stronę pokazywały brzydkie szwy, pęczki nici. Wenewet zdawał sobie sprawę, że los kazał mu uczestniczyć w najbardziej niezwykłym przedsięwzięciu. Już za kilka lat przy ogniskach i w karczemnych izbach mogły być snute półbaśnie o grupce Jeźdźców, którzy w samym środku wojennej zawieruchy prowadzili dokądś człowieka, mającego wyjątkowy dar i związaną z tym darem doniosłą misję do spełnienia. Setki mil podróży lądem i morzem, narada w cesarskim pałacu, podczas której jego ojciec rozmawiał z małżonkiem władczyni imperium i kobietą będącą podobno Przyjętą. Później czatujący tajemniczy szpiedzy, może zabójcy, umyślny goniec przywożący ostrzeżenie, skryty wjazd do miasta przez południową bramę i równie skryty wyjazd w niezaplanowanym kierunku – a to przecież był zaledwie początek.

Rzeczywistość? – ból pleców od jazdy w siodle (czy wszystkich tak zawsze bolało?), konie człapiące po śniegu, każdy dzień podobny do drugiego.

Wiecznie podpity staruszek i marudna, też podpita kobieta; dwaj małomówni, nie za młodzi mężczyźni i trzeci – nieledwie chłopak, znudzony prawie na śmierć. Bohaterowie mający

doprowadzić do sojuszu dwóch światów. Kwiat tego, co zdołał wyłonić Szerer.

Legenda oglądana od podszewki.

Bajarz w knajpie prawil pół wieczoru – a oni jechali pół zimy. W opowieści dość długiej, by wypić dwa kufle piwa, działo się bardzo dużo; w podróży nie działo się nic. Trzeba było poświęcić dzień, by nakarmić piętnaście mil.

Hoga. Rzeczywiście tak właśnie nazywano podobne statki handlowe. Już nie koga, a jeszcze nie holk. Trzy maszty, ostatni z żaglem skośnym, pozwalały obrać kurs na wiatr, ale niezbyt ostro. To była jednak przede wszystkim pływająca ładownia – teraz niemal pusta i dlatego kapitan ich przyjął.

Ludzi zawsze dało się gdzieś upchnąć, lecz z końmi sprawa wyglądała gorzej. Dowódca żaglowca pomyślał, pocmokał, coś sobie policzył na palcach i palnął beczelnie wysoką opłatę za przewóz. Udało się trochę stargować. Skrzyknął swoich chłopców i pod kierunkiem okrętowego cieśli kazał im zmajstrować w ładowni ciasne zagrody dla koni, zbite z pustych beczek, skrzynek, jakichś belek, drągów i desek potrzebnych do naprawy okrętu, gdyby zaszła taka potrzeba. Nim minęło pół dnia, wprowadzono zwierzęta przez ogromną furkę ładunkową w burcie. Kapitan kilkakrotnie przypomniał, że nie bierze za ten ładunek żadnej odpowiedzialności.

„Przy spokojnym morzu powinno być dobrze” – orzekł. „Ale przy krótkiej bocznej fali bydłeta mogą połamać nogi, a mam pustą ładownię. Przy pełnej mocniej bym siedział w wodzie, a tak będziemy skakać jak dziwka na bosmanie” – wytłumaczył.

Rzeczywiście niewiele wiózł, drobiazgi niegodne stodoły, którą pływał. Ładunek dartańskich win zostawił w Banie, do macierzystego Donaru wracał prawie z niczym, zabrał trochę mieszanych towarów dla jakiegoś przedsiębiorstwa

kupieckiego: dwa wozy w częściach, len i kilka worków futer, osiem skrzyń z jakimiś kłopotami. Paskudny pusty rejs.

Armektańczycy nie stworzyli niczego, co byłoby choć podobne do Związku Portów Wschodnich na drugim wybrzeżu kontynentu. Wbrew nazwie do tej największej gildii morskiej, oprócz Seyenu i Nin Aye oraz wielu mniejszych miast wschodniodartańskich, należał także garyjski Dran, a na przeciwległym krańcu świata grombelardzki Lond. Głuche i ślepe na różnice języków i obyczajów, na zaszłości historyczne i bieżącą politykę wielkie porty zważały na dwie rzeczy: pierwszą było złoto, drugą srebro. Ostatecznie wystarczyła jedna z nich, byle w należytych proporcjach, a kolejność nie miała znaczenia. Przynależność do Związku prawie wykluczała takie przykre zdarzenie jak rejs Szlakiem Południowym z samym powietrzem w ładowni. Ba, wypłacano za to nawet niewysokie rekompensaty; kapitan nic nie zarobił, ale i nie dołożył. System frachtów i załadunków działał tam niczym dobrze utrzymane tryby młyna.

„Stary Foczor” z jakichś przyczyn pływał pod banderą dartańską, należał do Armektańczyka, załogę miał w dwóch trzecich garyjsko-wyspiarską. Nikt normalny nie umiał pojąć praw i reguł, jakimi się rządziły floty handlowe.

Marynarzy było, oczywiście, tak mało jak to tylko możliwe – no, bo przecież koszty. Na wojennych okrętach siedziało po stu morskich piechurów, a załoga oprócz żagli obsłużyć musiała działa, więc zebrane do kupy półtorej setki chłopów ledwie miało gdzie usiąść; ścisk był niesamowity. Na „Foczorze” nudziło się sześciu prywatnych żołnierzy i trzydziestu żeglarzy, licząc z dowództwem żaglowca. Na pokładzie na pierwszy rzut oka nigdy nie było żadnej wachty – zakapturzeni, opatuleni w natłuszczone płaszcze majtkowie mieli upatrzone jakieś

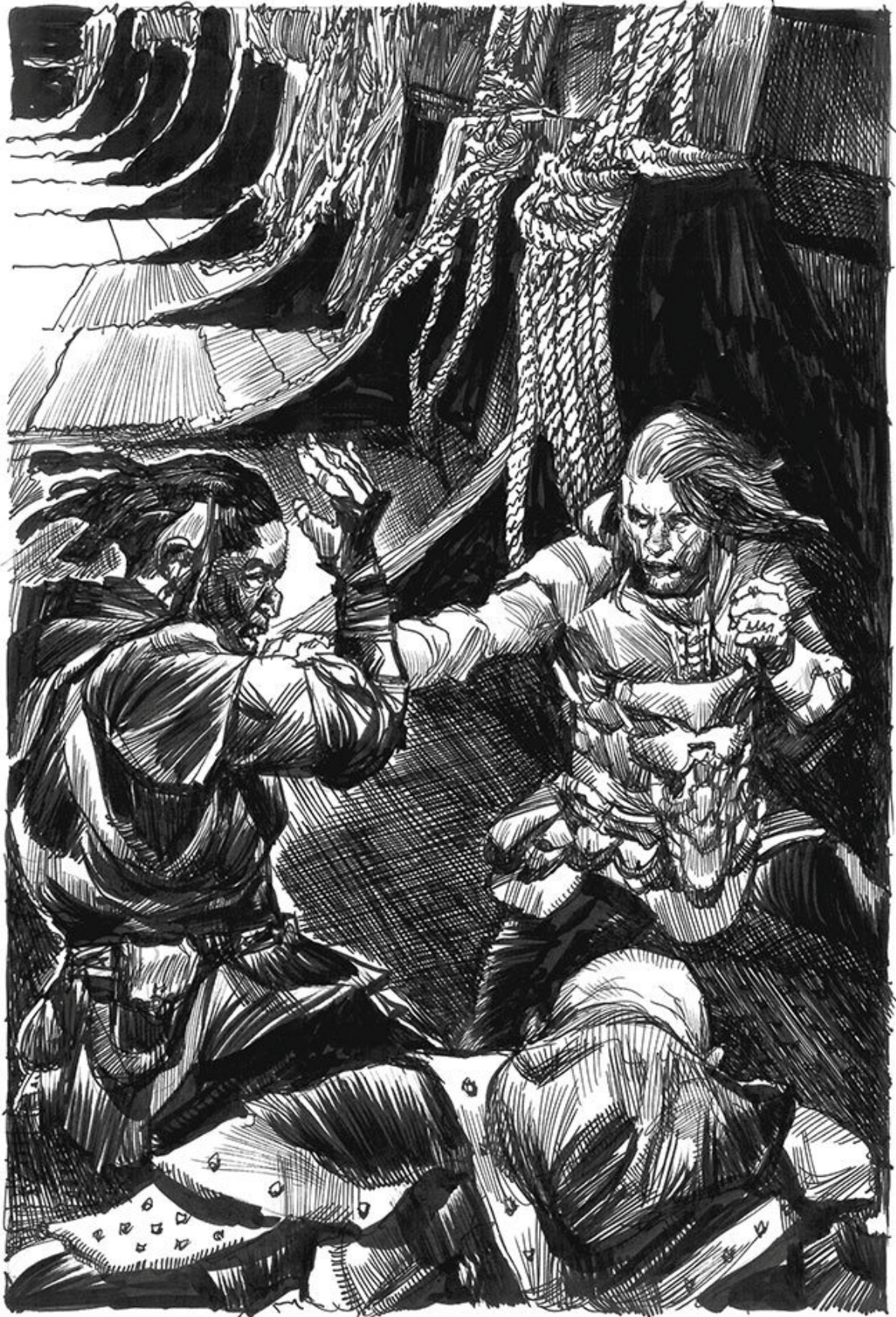
zakamarki, gdzie wiatr i lodowate bryzgi fal trochę mniej dawały się we znaki. Statek widmo.

Ci, którzy nie spali i nie mieli wachty, garnęli się do podróżnych. W wydzielonym kącie ładowni, gdzie stało obok siebie pięć koni i mieszkało pięcioro ludzi, było znacznie cieplej niż gdziekolwiek na całym żaglowcu. Trochę tylko śmierdziało końskim łajnem, jeśli nie sprzątnięto go w porę (mocz już od dawna nikt nie czuł).

Marynarze wkupywali się do towarzystwa, łamanym kinenem snując morskie opowieści, całkiem składnie wyrykując żeglarskie piosenki – to już przeważnie po garyjsku. Prawili o wszystkich portach świata, chętnie w zamian słuchali o Równinach. Tylko raz zaszło przykre nieporozumienie, gdy podpity majtek przyczepił się do Ajana, ten zaś wyrznął go w podbródek tak pięknie, że utrapieniec wylądował na grzbiecie z kopytami zadartymi na wręgę. Skoczył drugi, też trochę podpity, ale naprawdę wielki i Wenewet na dobre zmienił zdanie o swym wuju, który podciął dryblasowi nogi kopniakiem i posłał na wręgę zupełnie tak jak kompana. Zerwali się obaj i wielki wyciągnął nóż, ale wtedy z kąta rozbrzmiało:

„Dość, żołnierzu”.

Setnik chciał na pewno powiedzieć: żeglarzu, ale odruchowo użył słowa, do którego był przyzwyczajony.



„Wystarczy. Idź, i niech cię nie zobaczy twój dowódca, bo chyba wypiliśmy za dużo. Ja mogę, ty nie. Jazda na pokład. Wszystko”.

Ten człowiek miał kiedyś naprawdę mocny głos. Została z niego połowa, ale i to zupełnie wystarczyło. Niewiele brakowało, by Wenewet wyniósł się na pokład razem z marynarzami, tak nieodwołalnie to zabrzmiało... Stary dowódca jazdy wciąż potrafił wydać rozkaz, z którym nie było dyskusji.

Kilka chwil wystarczyło, by najmłodszy członek oddziałku dowiedział się czegoś ważnego o dwóch starszych towarzyszach.

Przez chwilę widział dziwny błysk w oczach wuja, gdy zwałisty majtek wyjął nóż. To nie był strach. Nie wiadomo, czy Ajan lubił – ale na pewno potrafił zabijać. Wenewet nie umiałby powiedzieć, skąd się wzięła ta pewność. A jednak ją uzyskał.

Poruszyło go to, ostatecznie dosyć błahe przecież, zdarzenie. Po raz setny zadał sobie sekretne pytanie: czy w razie konieczności będzie umiał napiąć łuk i wypuścić strzałę do człowieka?

Odwrócił głowę i napotkał spojrzenie Ayany. Chyba źle zrozumiała wyraz jego twarzy, a myśleli o tym samym, bo nagle powiedziała:

„Nigdy nikogo nie zabiłam. To znaczy właściwie nie wiem. Kiedyś jednego trafiłam z łuku w brzuch, rok później innego tak samo. Obaj przeżyli, ale...”.

Nie dokończyła.

Wenewet nie był wojownikiem, tyle jednak wiedział: strzała w brzuchu rokowała bardzo, bardzo źle. Mała dziurka w skórze niewiele mówiła o tym, co stało się wewnątrz. Paskudnie

wyglądające, rozległe rany od chłaśnięcia mieczem goiły się o niebo lepiej.

„Nie zabiłaś, siostrzyczko” – rzekł Ajan tak, jakby mógł to wiedzieć na pewno. „I jeżeli tylko będziesz mogła, to nadal żyj bez zabijania”.

Nic więcej na ten temat nie mówili.

o o o

Stracili jednego konia, poszedł do kotła. Załoga statku opchała się świeżą koniną, o niebo smaczniejszą od solonej wołowiny w beczkach.

Aktar z jesiennej wyprawy wrócił na Kamyku, wierzchowcu, którego prawie kochał. Ale Kamyk już od dawna nie był źrebakiem i właściciel nie miał serca natychmiast brać go na kolejną, tym razem zimową wyprawę. Renew i Kamyk – wierny sługa i wspaniały koń, obaj już niemłodzi, zostali na straży domu.

Aktar wziął innego wierzchowca. Po dwóch miesiącach był z niego zadowolony, już się trochę przywiązał, ale jeszcze nie tak, by pękło mu serce, gdy koń złamał nogę w ładowni i trzeba było go dobić.

Nikt tego nie powiedział, ale wszyscy pomyśleli to samo: na szczęście to nie był koń Ajana.

Pełnokrwisty dartańczyk ze Złotych Wzgórz musiał kosztować tyle, ile ich wszystkie pozostałe konie razem wzięte. I nie chodziło tylko o wartość.

„Dar” – powiedział Ajan zachwyconemu siostrzeńcowi, gdy ten po raz pierwszy oglądał rumaka. „Nigdy nie miałem aż tyle pieniędzy, żeby kupić takiego konia. Jest darem od kogoś i tak się nazywa: Dar”.

W porcie zeszli na ląd z czwórką koni.

Było ciepło i paskudnie. Padał gruby śnieg z deszczem.

W Donarze, jednym z największych miast Armektu, bez żadnego trudu można było nabyć zupełnie dowolnego wierzchowca. Wkrótce Aktar miał pod siodłem nowego, bardzo dzielnego – i nie taniego – ogiera. Dokupili jeszcze dwa trochę gorsze, ale nie szkapowate konie jako zapasowe i juczne. W miejsce tych, które sprzedali w Banie.

W Donarze, oddalonym zaledwie o dzień jazdy od stolicy, na pewno można było uzyskać najświeższe wieści o wszystkim. Aktar stawił się w siedzibie Trybunału. Nie dowiedział się niczego nowego, ale w zamian pozostawił krótki raport o tajemniczych szpiclach w Sar Soa. Niepotrzebnie, bo urzędnik, z którym rozmawiał, wiedział już o tych sprawach więcej od niego; imperialne sztafety kurierskie na traktach łączących wielkie miasta działały także i zimą... Pochwycono „tego czwartego” na przedmieściu, lecz wszyscy ci ludzie byli tylko narzędziami, niczego z nich nie wydobyto i wkrótce wypuszczono, bo dzięki temu mogli być przynajmniej śledzeni. W ciemnicy, na wikcie Trybunału, nie mieli żadnej wartości, kłopotliwi i bezużyteczni.

Kirlan leżał w odległości tylko dwudziestu paru mil – albo może aż dwudziestu paru mil. Aktar przez chwilę rozważał pomysł, by raz jeszcze odwiedzić córki i złożyć w pałacu raport o częściowym powodzeniu misji: pozyskaniu setnika Rawata. Zrezygnował. Nie miał żadnych nowych rozkazów (bo czekałyby w donarskim Trybunale) ani żadnych wieści, których nie mógłby przekazać do stolicy właśnie goniec Trybunału. Zresztą być może już przekazał. Dreptaliby w miejscu przez następne trzy, cztery dni. Strata czasu.

Zamiast do Kirlanu ruszyli więc w przeciwnym kierunku, od razu do Kanazy. Mokry, ale utwardzony gościniec, z którego wraz z odwilżą spływały resztki rozdeptanego przez konie

i rozjeżdżonego przez wozy śniegu, pozwolił im zatrzymać się na nocleg dopiero dwadzieścia mil za rogatkami Donaru; dużo pokłusowali, a nawet pogalopowali tego dnia. Następnego dnia mieli do pokonania półtorakroć tyle. Sporo. Aktar jednak chciał spróbować bardziej forsownego marszu, choćby po to, by się przekonać, na co stać jego oddziałek.

Dotarli na miejsce wcześniej, niż przewidywali. Ich najstarszy towarzysz musiał odczuć trudy takiej podróży, ale w ogóle się nie skarżył, a przysypiać w trakcie jazdy umiał bodaj lepiej niż ktokolwiek inny w tym gronie. Z niekłamaną przyjemnością puszczał konia galopem, by potem wrócić do stępa i znów drzemać.

Wiedzieli już, bo nie tał, że przed niespełna rokiem odbył podróż na pogranicze, wprawdzie wiosną, nie zimą. Do Sar Soa wrócił wczesnym latem. Urzędnicy Trybunału mieli prawdziwe wiadomości.

Przemierzył tę drogę sam, nie miał nawet żadnego pachołka do pomocy. Nie doceniali staruszka.

Po co jechał na Północną Granicę – na razie nie chciał powiedzieć. Mogło się wydawać, że to było... coś wstydlivego.

Zimą zbyt wcześnie robiło się ciemno, by życie w miastach zamierało po zmroku. Na ulicach Kanazy wciąż przebywało wielu mieszkańców. Po niedługim czasie przybysze zdali sobie sprawę, że musiało się wydarzyć coś bardzo niezwykłego. Ludzi było więcej, niż powinno, skupiali się w grupki, kłócili i rozmawiali. Na placach i placykach, gdzie widniały podesty miejskich obwoływaczy, zaczynały się zbierać tłumy. Nie zsiadając z konia, Aktar zaczepił jakiegoś mężczyznę i jął go wypytywać, ale właśnie niedaleki gong oznajmił porę wieczorną i krzykacz wlaź na swój podest.

Tłum zamilkł. Wysłuchano wieści i natychmiast na nowo rozbrzmiał gwar.

Aktar obejrzał się na swoich, ale nie powiedział ani słowa. Z trudem przepchnęli się przez tłum, pojechali ulicą, potem drugą – tutaj było tak pusto, że pokłusowali. Zatrzymali wreszcie wierzchowce, Aktar zeskoczył z siodła i zniknął w głębi okazałej kamienicy, będącej siedzibą Trybunału.

Wrócił wkrótce.

Żadne z czwórki nie tkwiło w siodle, bo dość już się nasiedzieli. Przerwali rozmowę.

– Zgadza się każde słowo, ale nie wiedzą nic więcej niż to, co usłyszeliśmy na rynku – powiedział. – Parę dni temu złoci roznieśli Armię Toru. Osiem tysięcy żołnierzy.

Rozłożył ręce i dodał:

– Chyba nie mamy czasu aż do wiosny.

ROZDZIAŁ 10



Jego królewska wysokość K.B.I.Awenor postawił przed swoim imieniem monogramy nie byle jakiego, bo najświetniejszego dartańskiego rodu, ale jednak znaczyło to tyle, że oddał swoją krew nowej dynastii, założonej przez małżonkę. Nie żałował, a nawet się tym chlubił. Oddałby znacznie więcej niż tylko inicjały imion swoich przodków, by dwa wielkie narody Szereru mogły żyć w pokoju i braterstwie.

Kto wie czy braterstwo było tylko mrzonką, może mogłoby się ziścić.

Braterstwo. Bo siostrzeństwo chyba nie mogło.

Trzej synowie starego Imperatora od zawsze uchodzili za nieudaczników, a najbardziej w oczach matki i ojca. Trzymani z dala od urzędów, nie mieli nic do gadania w ogromnym Wiecznym Cesarstwie. Lecz po wojnie z Dartanem ich rodzic, zmęczony długim panowaniem i trapiiony wyrzutami sumienia – bo obwiniał się o rozpad imperium – abdykował na rzecz tego dziecka, które miało cechy władcy: jedynej córki Wereny. I musiał coś dać jej braciom, zwłaszcza dwóm starszym, bo w kolejności do tronu obaj byli przed siostrą.

Gdyby sukcesję księżniczki Wereny zapisano w testamencie, zostałyby natychmiast obalony. Ale stary cesarz Awenor żył i nie był zniedołężniały, a jeszcze lepiej się miała cesarzowa matka Wasenewa. Trzydziestoosmioletnie panowanie tej pary przemieniło Wieczne Cesarstwo w nieomal prywatną

posiadłość małżeństwa – zrezygnowawszy z tytułów i insygniów władzy, Awenor i Wasenewa wciąż mieli znaczenie i wpływy, o jakich nikt inny nie mógł nawet śnić. A nie zamierzali stać z boku, wspierali córkę we wszystkim. Sprzeciwienie się ich woli było niepodobieństwem. Odsunięci od tronu księżęta nie zdołaliby nawet wykrztusić swoich żalów do końca, a już poczuliby kij – skoro nie w smak im była marchewka.

Księżę Askar wziął wicekrólewskie krzesło w Morskiej Prowincji, Askenez podobne w Grombelardzie. Najmłodszego Awenora, noszącego imię po ojcu, rzucono na pożarcie Ezenie.

Być może liczonego po cichu, że się tym kąskiem udławi. Albo chociaż tylko zaspokoi. Księżę był wcale smakowity: nieszczęśliwy wdowiec (krótkie pierwsze małżeństwo dowiodło jednak jego stateczności i odpowiedzialności), niestary i postawny mężczyzna, noszący przecież w żyłach najlepszą krew Szereru. Czarnowłosa dartańska vana nie mogła odmówić przyjęcia takiego dania.

Okazało się jednak wkrótce, że może przeżuć i wypluć. To, co miało poprawić stosunki między zwaśnionymi krajami, stało się kolejną przeszkodą na drodze do pojednania. Nigdy i wobec nikogo nie była tak niesprawiedliwa, jak wobec tego człowieka. Może najuczciwszego, a na pewno najłagodniejszego z czworga armektańskich księży.

Nie musiała go kochać, ale mogła szanować; ba! – chociaż udawać, że szanuje. Nie umiała albo nie chciała.

Starsi bracia mieli więcej szczęścia, chociaż z powierzonych obowiązków wywiązali się różnie. Młodszy Askenez potwierdził najgorsze opinie. Nie znał się na niczym, nie potrafił nic, choć uważał, że umie wszystko. Właśnie dlatego nie zamierzał uczyć się niczego. Uważany za miernotę, nie dorastał do bycia aż miernotą. Gdyby nie urodzenie, traktowano by go jak pluskwę.

Najstarszy Askar inaczej: zaskoczył, a nawet zdumiał wszystkich. Wcześniej powierzano mu jakieś funkcje i łatwe zadania – nigdy nie podołał. Zawsze potem trzymany z dala od stanowisk i jakiejkolwiek odpowiedzialności za cokolwiek, także nic nie umiał i niewiele wiedział, zupełnie jak młodszy brat, a przez całe życie byli nierozłączni i niezmiernie do siebie podobni. Lecz prawdziwe wyzwanie, przed którym go postawiono, wyzwoliło ambicję i upór, których nikt się nie spodziewał. Jeśli Morska Prowincja wciąż trzymała się kupy i była częścią cesarstwa, to wyłącznie dzięki Księciu Przedstawicielowi w Doronie. Uczył się szybko, dokładał starań, potrafił słuchać rad i stanął na wysokości zadania. Na pewno zrobił więcej, niż oczekiwano.

Nie umieli tego przewidzieć stary cesarz i cesarzowa. Nikt nie umiał. Gdyby można było odgadnąć, że władza nie zepsuje księcia do reszty, lecz wyzwoli nieprzeczuwane zdolności... Być może księżę Askar byłby lepszym władcą Wiecznego Cesarstwa niż trochę zbyt dumna, zbyt często nieprzejednana, ale zawsze doceniana, a tym samym rozpieszczona przez ojca i matkę Werena.

Jego Królewska Wysokość Księżę Małżonek K.B.I.Awenor stawił się w Kirlanie z szybkością, jakiej nie oczekiwała nawet jego żona. Pojechał jak łucznik Równin, bardziej „armektańska” ta podróż być nie mogła. Mąż jednej z władczyń świata i brat drugiej, z jednym zbrojnym sługą u boku, korzystał z rozstawnych koni przeznaczonych dla cesarskich kurierów. Nie mógł pędzić tak jak ci posłańcy, bo nikt nie mógł – kurier zmieniał konie, gnał, nie jedząc i nie śpiąc, potem oddawał pisma lub przekazywał wieści następnemu. Awenor był jeden, musiał jeść i spać, nie zamierzał też umrzeć z wyczerpania. Była zima – najpierw śnieżna i mroźna, potem mokra. Potrzebował jedenastu dni.

Wzruszyło go spotkanie z niewidzianymi od lat matką, ojcem i siostrą oraz – niespodzianka – bratem. Książę Askenez jeszcze jesienią przybył do Kirlanu na urodziny cesarzowej Wereny i trochę się zasiedział. Wyglądało na to, że niespieszno mu do pochmurnego Grombelardu, w którym zresztą prawie niczym nie rządził, bo po konflikcie, a może raczej wojnie z potężną namiestniczką Trybunału w Londzie, szczerze gardząca nim siostra odarła go z resztek władzy, przekazując w dół tyle, ile tylko się dało. Od roku już nawet nie mógł być tytułowany królewską wysokością. Siedział jak na wygnaniu – i taka była prawda.

Po podbiciu Kraju Gór przyłączono go do imperium pod nazwą Wielkiego Księstwa Grombelardu – bardzo, bardzo na wyrost i właściwie nie wiadomo dlaczego, prawdopodobnie tylko z przyczyn prestiżowych. Grombelard nigdy nie był nawet zlepkiem księstw; przed wiekami za miasta-księstwa mogły z trudem uchodzić górskie warownie rycerzy-rozbójników, które jednak nie tworzyły żadnej większej całości. Teraz, kilkanaście lat po rozpadzie Drugiej Prowincji, zdano sobie wreszcie sprawę z tego, że zachowanie przez cesarżową wielkoksiążęcego tytułu dla bezpańskiej kupy mokrych skał naraża ją po prostu na śmieszność. Ogłoszono kraniec półwyspu Księstwem Grombelardu Północnego ze stolicą w Londzie, resztę zaś, aż po Niski Grombelard, mianowano Wewnętrznyimi Rubieżami. Utrzymano dla tej przepięknej i praworządnej krainy szumną nazwę Drugiej Prowincji (tylko gdzie była Pierwsza? czy nadal w Dartanie?...), najbardziej chyba dlatego, że mocno wrosła w język. Wszystkie te posunięcia, sprowadzające się właściwie do zmian nazw na niektórych mapach, trochę podratowały reputację Kirlanu i samej Najdostojniejszej Imperatory. Niemniej nieszczęsny Askenez przestał być namiestnikiem wielkiej księżnej, któremu

przysługiwał tytuł królewskiej wysokości; odtąd mógł używać już tylko książęcego tytułu Przedstawiciela, co boleśnie zraniło jego miłość własną.

o o o

Po przybyciu śmiertelnie znużonego Awenora, a nastąpiło to wczesnym wieczorem, uradowana siostra (był jedynym bratem, którego naprawdę kochała) nie pozwoliła mu nic mówić ani o nic pytać. Gońcy wyprzedzili księcia, spodziewała się jego przyjazdu. Najpierw jednak zażądała, by odpoczął, odświeżył się gorącą kąpielą, spędził noc w nareszcie wygodnym łóżku.

Jedyną osobą, z którą książę porozmawiał tego dnia, bo z innymi tylko się przywitał, była matka. Stara cesarzowa bezceremonialnie odwiedziła syna w sypialni i wbrew rozkazom córki nie od razu pozwoliła mu odpocząć.

Rozmawiali dużo, ale ani słowem o wojnie i polityce.

Przed zaśnięciem książę zlecił jeszcze odszukanie jego wysokości A.B.D.Baylaya, przedstawiciela dartańskiej vany w stolicy Wiecznego Cesarstwa. Zażądał, by Baylay stawił się u niego wczesnym rankiem.

Tak się stało. Odbyli długą rozmowę.

Wkrótce po jej zakończeniu wyspany i umyty, przypominający już człowieka, a nie jakieś ubłocone zwierzę, Awenor stawił się w komnacie swego ojca, by w otoczeniu najbliższych zjeść po armektańsku proste, rodzinne śniadanie.

Oprócz dwojga starych władców do stołu siedli jeszcze Werena i jej małżonek oraz książę Askenez, bo było niepodobieństwem wykluczenie go z tego grona. Na szczęście w podróży do Kirlanu z powodu słabego zdrowia nie mogła mu towarzyszyć żona Rea. Na widok bratowej cesarzowa zawsze odwracała spojrzenie, starannie, lecz nie dość dobrze skrywając

odrazę, bo księżna Rea to była postać w sam raz na miarę Askeneza. Gorzej, bo u kobiety wszystko, co obrzydliwe, zwykle było lepiej widoczne. Mężczyzna, choćby najlepiej urodzony, zawsze jawił się trochę bydlęciem i więcej mu uchodziło.

Prywatne komnaty starego Imperatora (większość dzielił z małżonką) urządzone były całkiem wygodnie. Dwoje starych ludzi uważało, że pod koniec życia nie muszą już udawać jeźdźców i łuczników. Armektański rozsądek wziął górę nad wymogami tradycji, co było zgodne jak najbardziej z... najlepszą armektańską tradycją.

Nikt cesarskiej rodzinie nie posługiwał, a stroje domowników można by oględnie nazwać niedbałymi. Kolejny armektański obyczaj, nakazujący podkreślić: „Jesteś u siebie, gościu, w ogóle nas nie krępujesz, zachowujemy się tak swobodnie, jak zawsze”. Cesarzowa Werena miała niedosznurowaną dla wygody suknię, jej matka zaś takie włosy, z jakimi wstała z łóżka: chyba jeszcze nietknięte grzebieniem.

Prawdziwa córka Kraju Równin. Po długiej, bardzo długiej młodości postarzała się niemal z dnia na dzień, ale bez żadnych oznak zniedołężnienia. W wieku lat siedemdziesięciu jeden była ładną starą kobietą, z bujnymi, choć zupełnie białymi włosami, zębami w ustach i niezmętniałymi oczami.

Jej tak samo siwowłosy, ponadto siwobrody małżonek, nieco starszy od żony, nieznacznie przygarbiony, a zawsze niewysoki – cesarzowa na koturnach była wyższa od niego – prezentował się tak samo dobrze: czerstwo i zdrowo. Wyglądało na to, że oboje mogą dożyć choćby i dziewięćdziesiątki.

Jedząc, rozmawiali – znowu o prywatnych, nie państwowych sprawach. Wreszcie jednak zaczęli i o tym.

– Znam już najświeższe wieści, Wasenewo – zagaił młodszy z Awenorów, zwracając się do matki. – Wiem, że wczoraj chciałaś oszczędzić mi tego.

– Nie tobie, lecz sobie – odparła z lekką ironią. – Chciałam nacieszyć się synem.

– Co tam właściwie zaszło? Na północy.

– Wciąż nie mam pełnego raportu – odrzekł Ramez. – Ktokolwiek tam teraz dowodzi, przyśle dokładną relację, ale dotąd jeszcze nie przysłał. Przyjechali gońcy. Wiarygodni, ale raczej przypadkowi, powysyłani przez niższych dowódców, którzy też nie bardzo wiedzą, co się właściwie stało. Nie mam dotąd raportu ani z Armii Toru, ani z samej twierdzy.

– Co zostało na północy?

– Linia stanic, prawie nietknięta. I, oczywiście, obie warownie. A poza tym nic. Prawie nic.

– Nic?

– Do wiosny chcieliśmy mieć trzy armie: Armie Toru, Armie Rewinu i Armie Odwodową – wyjaśnił stary cesarz. – Realnie mogły być gotowe te dwie pierwsze i Odwodowa w organizacji. Armia Toru właśnie przepadła, nie wiadomo, co z niej zostało. Tutaj, pod Kirlanem, stoi tylko Żelazny Legion, pomyślany jako załączek Armii Odwodowej. Pod Rewinem są trzy legiony, miało dołączyć do nich pięć kolejnych, wycofanych z dartańskiej granicy dzięki uprzejmości twej małżonki, synu.

– Ty wiesz lepiej niż ktokolwiek – zauważyła cesarzowa matka – na ile królowa Ezena była szczerą, dając do zrozumienia, że nie skorzysta z odsłonięcia granicy.

Mąż dartańskiej vany odchylił się na oparcie krzesła.

– Wiem nie lepiej, lecz gorzej niż ktokolwiek, matko. A ty wiesz, że tak jest, więc niepotrzebnie mnie dręczysz.

– Zupełnie nic? – zapytała. – Przez... ile to już lat? Naprawdę nie znalazłeś sposobu, by uzyskać wpływ na cokolwiek?

Był jedynym synem, którego lubiła. Pozostałych tylko kochała.

Ale nie považwała żadnego. Od jakiegoś czasu uważnie i z rosnącą przychylnością przyglądała się poczynaniom najstarszego. Jednakże Morska Prowincja była tak daleko!... A w najmłodszym synu ceniła prawość i uczciwość. Lecz zżymała się, widząc nieporadność.

– Nie znalazłem – uciał. – Ja...

Urwał. Po czym nagle zdał sobie sprawę, że jeżeli w tym gronie nie zdobędzie się na szczerość, to nigdy sobie na nią nie pozwoli.

– Najgorsza żona. Powinienem już dziesięć razy oddać jej list rozwodowy i zrobiłbym to nawet wbrew dobru całego świata. Ale to także moja królowa i... wspaniała królowa. Podziwiam moją królową – oznajmił, patrząc w oczy siostrze. – Kobiety nie znoszę, a królową podziwiam. O czymkolwiek będziemy rozmawiać, pamiętaj, najgodniejsza, że lojalny będę wobec niej. Nie ciebie.

– Godne uznania – rzekł kpiąco Askenez, lecz obok tej kpiny zabrzmiało coś w rodzaju zazdrości.

Przysłuchujący się Ramez – jedyny spowinowacony, nie spokrewniony z całą resztą przy stole – dostrzegł tę prawie nieuchwytną, śmieszoną zazdrość i wiedział, skąd się wzięła. Można było takiego człowieka jak młodszy z Awenorów mieć za naiwnego głupca, ale to była naiwność i głupota, na którą niewiele stać. Coś jak szczerą poczciwość, dobre serce człowieka, który próbuje z pożaru uratować psa. Niemądre – ale czy na pewno każdy potrafi wskoczyć w ogień? Z jakiegokolwiek powodu.

– Jeśli nawet – powiedziała Werena, puszczając mimo uszu uwagę Askeneza – to przynajmniej mam pewność, że nie będziesz mnie okłamywał. Być może coś zataisz, ale to nie to samo. Nie podjąłbyś się żadnej nieszlachetnej, w twoim rozumieniu, misji.

– Nie jest nieszlachetna. Jest niewdzięczna i trudna.

Zrobiła lekki gest, jakby wskazując wszystkich siedzących wokół. „W tym gronie...” – zdawała się mówić.

Jednakże nie rozkazała po prostu: „Mów”. Udała, że to proponuje, ale chyba wszyscy, nie wyłączając nawet Askeneza, zrozumieli, że to tylko gest. Wobec ojca, matki i męża musiała uprzejmie udać, że ufa im całkowicie i nie chce mieć tajemnic.

Rzeczywiście. Nie było wątpliwości, że wkrótce przyjdzie do nich po radę. Ale jednak posłanie od lenniczki z dalekiej Rollayny powinno najpierw dotrzeć tylko do niej.

– Nie, siostrze. Musimy zostać sami – odpowiedział Awenor. – To, co powiem, zechcesz następnie powtórzyć komukolwiek, a na pewno powtórzysz ojcu, matce, mężowi i bratu. Ale ja tego zrobić nie mogę. Jestem posłańcem jej wysokości K.B.I.Ezeny, noszę tytuł Powiernika Królowej, który mi nadano, by sobie ze mnie zadrwić. A jednak dzisiaj po raz pierwszy ten tytuł znaczy to, co znaczy.

– W takim razie zostań ze mną przy tym stole, gdy już zjemy.

– Właśnie zjedliśmy – powiedział stary cesarz, wstając, a był w swojej własnej komnacie, więc także i z tego powodu pełnił honory gospodarza. – Ogromnie jestem ciekaw, Awenorze, jakie sprawy powierzyła ci moja... synowa. – Do królowej Ezeny to słowo w ogóle nie pasowało i użył go chyba pierwszy raz. – Im szybciej stąd wyjdę, tym prędzej się dowiem – dorzucił z humorem.

– Ależ właśnie tak – potwierdziła z uśmiechem Wasenewa.

Zięć i starszy z synów natychmiast ułatwili jej wyjście zza stołu.

Werena nie musiała, ale wstała z krzesła. Awenor stał już od dawna; od chwili gdy zrobił to ojciec.

– Wasza cesarska wysokość.

– Najgodniejsza.

– Ojczy, matko – odpowiedziała.

Bratu i mężowi tylko skinęła. Gdy wyszli, usiadła z powrotem i pozwoliła Awenorowi. Nie skorzystał.

– Mogę chodzić? – zapytał.

– Przecież się nie obrażę.

Płaski stopień przecinał komnatę, łącząc obie ściany. W dartańskim pałacu takich stopni nie było. Księżę nawet nie próbował ukryć przyjemności, jaką mu sprawiło chodzenie po tym stopniu.

– Nie wiem, jak powiedzieć, siostrzyczko – rzekł, przystając. – Nie chcę się użalać. Ale po raz pierwszy od lat zjadłem dzisiaj posiłek w gronie ludzi, dla których znacę cokolwiek. Męcę się tam – przyznał. – Ale wrócę. I może jeszcze kiedyś... kto wie. Synów mi nie odbierze i uczciwie muszę powiedzieć: nie próbuje. Nie przeszkadzamy sobie w wychowywaniu ich. Ona przygotowuje władcę i następcę tronu, ja człowieka. Może uda się połączyć jedno z drugim?

Nie powiedziała, co myśli.

– A my? – zagadnęła nieoczekiwanie. – Ezena i Werena? Jesteśmy kobietami, ludźmi czy tylko władczyniami?

– Zdziwiłabyś się, siostrzo, jak pochlebnią mam opinię na wasz temat. W każdym z tych wcieleń mogłybyście być o wiele gorsze. Moja żona jest potworem tylko dla mnie, dla poddanych nie. Chyba lepiej tak niż odwrotnie?

Zaśmiała się.

– Czy kiedykolwiek powiedziałaś komuś coś przykrego?

– Zaraz powiem, niestety.

– Nieprawda. Przekażesz tylko czyjeś słowa, a to duża różnica.

Skinął głową.

– Jak do tego doszło? – zapytał. – Pozwoliła mi przeczytać list od ciebie. To nie było...

– Nie oceniaj – przerwała. – Rozmówimy się, potem spotkaj się ze szwagrem i ponarzekacie sobie. Widzę, że się łatwo zrozumiecie, choć gdy wyjeżdżałeś do Rollayny, nawet jeszcze nie był moim mężem.

– Był nim stale. Musiałaś zawiesić małżeństwo, więc je zawiesiłaś, ale nie przestałaś go kochać nawet na jeden dzień. Zawsze wam zazdrościłem. Wasza wysokość – zmienił nagle temat, jakby chciał uciec z trochę zbyt niepewnego gruntu, na który się właśnie zapaścił – otrzymasz od swojej lenniczki trochę piechoty, da się nią wzmocnić, a częściowo zastąpić załogi zamków i stanic, użyć do eskorty taborów. To tylko kwestia pieniędzy, właściwie nawet niedużych, i ogłoszenia zaciągu. Jeśli nie wzrosną podatki i daniny, a nie wzrosną, to nikt w Dartanie nawet nie wzruszy ramionami, jeśli tu przymaszeruje kilka tysięcy zaciężnych knechtów i kuszników. Nikogo to nie obejdzie. Ktoś wyrazi zdziwienie, dlaczego królowa niepotrzebnie pomaga Armektowi. Ktoś jej to wytknie, próbując upiec jakąś własną pieczeń. To wszystko.

– To ta dobra wiadomość. Teraz złe.

– Nie dostaniesz niczego więcej.

– Słucham?

– Nie dostaniesz niczego więcej, najgodniejsza – powtórzył nieustraszenie. – Ani teraz, ani nigdy. Chyba że weźmiesz sobie sama.

– Co to znaczy?

– Możesz zabrać wszystkich żołnierzy i okręty z Morskiej Prowincji. Dartan przejmie ją od Wiecznego Cesarstwa, utrzyma i... zatrzyma. Nie wybuchnie żadna rebelia, a jeżeli jednak do niej dojdzie, to nie będzie zmartwieniem Armektu.

Milczała.

Awenor znał siostrę od zawsze, ale jako cesarzową bardzo krótko. Teraz przez chwilę nie był pewien, czy rzuci w okno

półmiskiem, czy też raczej zmiecie całą zastawę ze stołu.

– To nie wszystko, wasza wysokość.

Jeśli chciał ją zabić, to szedł właściwą drogą. Była blada tak bardzo, że gdyby miała porządnie zasznurowaną suknię, to chybaby zemdląła.

– Jej królewska wysokość Ezena nie odnowi hołdu lennego. Oczekuje, że zechcesz, najgodniejsza, zwolnić ją z tego obowiązku i uznać pełną niezależność bratniego Imperium Dartanu. Dartkańskie wojska będą stać na straży interesów Wiecznego Cesarstwa w Grombelardzie tak długo, jak tego zażadasz, po czym przekażą Niski Grombelard oddziałom Legii Armektańskiej. Dartan nie będzie sobie rościł żadnych praw do tego kraju i mimo udzielonego ci wsparcia nie wysunie też żadnych roszczeń do armektańskich zdobyczy na północy, czyli do terytorium Aleru, o ile, oczywiście, będzie tam można zająć jakieś ziemie. Wszystko to zostanie potwierdzone traktatem o wieczystym przymierzu.

Werena milczała nadal. Gdy w końcu sięgnęła po wino, wyraźnie zadrżała jej ręka.

– Wiedziała, kogo przysłać – powiedziała po wypiciu kilku łyków. – Szanuję, a nawet lubię jego wysokość A.B.D.Baylaya. Ale gdyby on z tym przyszedł do mnie... Nie wiem, czy zdążyłabym odwołać strażę. Bo najpierw bym kazała go zarębać.

– Wasza cesarska wysokość...

– Dziesięć lat temu była nikiem. Rzeczą, niewolnicą. Dzisiaj chce być... bo dobrze usłyszałam? Chce być cesarzową Południa. A ja mam być cesarzową Północy. Z jej nadania? Czy za przyzwoleniem?

– Wasza...

– Przestań. Teraz już możesz „siostro” albo „Wereno”.

– Jeszcze nie. Powiedziałem wszystko, ale teraz muszę wysłuchać odpowiedzi. Także pytań, jeśli będziesz je miała, a to nie jest zadanie twego brata. To zadanie posła i przedstawiciela jej królewskiej wysokości Ezeny – wypowiedział ostatnie zdanie po dartańsku, jakby bardzo chciał coś podkreślić.

A może tylko przypomnieć to, co wcześniej powiedział przy stole. O tym, komu jest winien lojalność.

– Nie zamierzam o nic pytać. I nie będzie żadnej odpowiedzi.

– Będzie, wasza wysokość. Będzie, bo musi być. Jest mi łatwiej – powiedział z niewesołym uśmiechem – bo od lat myślę o tobie jako o władczyni Wiecznego Cesarstwa, a ty o mnie tylko jak o bracie. Ja pamiętam, przed kim stoję, najgodniejsza, i pamiętam, jako kto stoję. A ty chcesz rozmawiać z bratem. Powiem: możesz, ale nie o tym.

Zamilkł na krótką chwilę.

– Nie rozmawiasz ze mną, tylko z nią. Tu i teraz. Wasza cesarska wysokość, mam wszelkie pełnomocnictwa. Jako przedstawiciel królowej Dartanu mogę zdecydować o wszystkim w jej imieniu. Pozostawiła mi niczym nieograniczoną swobodę. Mogę zażądać z Rollayny dodatkowych instrukcji, lecz nie muszę.

– Nie rozumiem?...

– Powiedziała mi, czego chce, i rozkazała osiągnąć cel. Ale w jej imieniu mogę powiedzieć, obiecać i podpisać cokolwiek, a ona tego dotrzyma. Powtórzę: cokolwiek to będzie, cesarzowo. Mogę zaraz przedstawić drugie tyle żądań albo ustąpić ze wszystkich. Cokolwiek tu postanowię, moja królewska małżonka uzna to za własną decyzję. I za to mogę ręczyć. Tak będzie.

– Ale to przecież znaczy...

Nie dokończyła.

– Tak, to znaczy, że zrobiła ze mnie niewolnika, obdarzając bezgranicznym zaufaniem. Nie mogła związać mnie mocniej. Na użytek tych rozmów przekazała mi całą swoją władzę. Ale nie zmusiła mnie do przyjęcia tej misji i odpowiedzialności. Zgodziłem się dobrowolnie.

– Dlaczego?

– Bo uważam, że moja żona ma słuszość. Uważam jej propozycję za bardzo rozsądną, Wereno. Upokarzającą dla ciebie, dla Armektu, a jednak bardzo rozsądną. Zmieniającą porządek świata... i po raz trzeci to powiem: mimo wszystko rozsądną, siostrzo. A teraz już pozwól, że znowu jednak: cesarzowo.

Odchyłona na oparcie krzesła, na chwilę przymknęła oczy.

– Jeszcze nie pozwolę, bo...

Znowu nie dokończyła. Patrzyła na brata. Nie, nie brata. Powiernika Królowej Dartanu.

Zrozumiała, że zostanie nim do końca, bo po prostu nie mógł inaczej. Awenor... Każdy, ale nie on. Czuła pomieszaną z gniewem gorycz, że podjął się tej misji, takiej misji. Ale podjął się i teraz mogła być pewna, że nie sprzeniewierzy się zadaniu, które mu zlecono. Rozmowa byłaby znacznie łatwiejsza, gdyby sama królowa Ezena stawiała się w tym pałacu. Bo dla byle kaprysu mogłaby ustąpić, zrezygnować, wymyślić coś nowego. Jej wysłannik nie. Reprezentował racje – ale nie mógł reprezentować kapryków. I na pewno nie mógł pozwolić sobie na własne.

– Dobrze, książę – powiedziała. – Zadam pytania, uzyskam odpowiedzi, potem powiem, co postanowiłam. Na razie zrozumiałam, że Szerer będzie walczył z Alerami do ostatniej kropli armektańskiej krwi. Właśnie tyle oznacza „rozsądna propozycja” twojej królowej, mój książę. Ale nie jesteś głupcem i wydaje mi się, że o tym wiesz.

Tego dnia pałac cesarski nie oglądał władczyni. Nie opuściła swoich komnat, z nikim się nie rozmówiła, kazała odwołać wszystko, co miała zaplanowane. Odłożyła wszelkie zajęcia.

Z matką, ojcem i mężem zobaczyła się dopiero wieczorem.

Potrzebowała rady, a jeszcze bardziej rozmowy. Ale chciała mieć już własne przemyślenia i postanowienia. Z niektórych, być może, mogła się wycofać.

Jednakże chciała je mieć.

Przedstawiła ofertę dartańskiej monarchini – trzeba by powiedzieć: żądania – a słuchało jej troje byłych władców. Troje ludzi, którzy nie potrzebowali wiele czasu, by przetrwać podobne wieści.

– Królowa Ezena dobrze to wymyśliła – powiedziała cesarzowa matka. – Przejęcie Garry otworzyłoby ogromne możliwości przed Zachodnimi Wybrzeżami, skierowało ich apetyty w stronę Wysp Barrierowych, na które od zawsze tam mają ochotę. Kiedyś to była część Wielkiego Księstwa Zachodnich Wybrzeży – przypomniawszy. – Teraz Wybrzeża chętnie połknęłyby te wyspy i udławiły się nimi. Gdyby królowa Ezena rozciągnęła swoje panowanie na Garrę, to Wybrzeża raz na zawsze mogłyby zapomnieć o niezależności między garyjskim młotem a dartańskim kowadłem. Dartan zyskałby ogromne terytorium zamorskie i za jednym zamachem załatwił sprawę wiecznych roszczeń Zachodnich Wybrzeży.

Werena skinęła głową.

– Ale ja tego nie zaakceptuję i nie będę rozmawiała w ten sposób – powiedziała. – Z nikim. A już na pewno nie z wiarołomczynią, wasalką Wiecznego Cesarstwa, która przy pierwszej sposobności chce złamać złożoną przysięgę.

Stary cesarz wydawał się naprawdę stary.

– To ja, Wereno, przyjąłem od niej tę przysięgę. Przyjąłem z ulgą i z wdzięcznością. Regentka Dartanu, bo wtedy jeszcze nie królowa, wykonała gest, który pozwolił mi zachować twarz po przegranej wojnie i uratował honor tysięcy pokonanych żołnierzy. A potem, już jako królowa, złożyła mi hołd, tak jak zapowiedziała.

– Zrobiła to, co musiała zrobić.

– Nie, Wereno. Mogła palić armektańskie wioski i miasta tak długo, aż poprosiłbym o pokój na dowolnych warunkach.

– Ojciec, nigdy cię nie oceniałam.

– Może więc pora na to?

– Nie zawarłabym tego pokoju. Nawet gdyby dartańskie chorągwie dotarły do samego Kirlanu, a za nimi cały kraj stał w ogniu.

Skinął głową.

– Tak, najgodniejsza – powiedział. – Wiem. Dlatego abdykowałem i dlatego to ty rządysz dzisiaj Wiecznym Cesarstwem.

– Kilka tysięcy żołnierzy – powiedział Ramez, kierując rozmowę w inną stronę. – Dwie trzecie z tego to piechota morska na pokładach okrętów. Lądowe siły Morskiej Prowincji to dwa, trzy tysiące żołnierzy. Garść.

Cesarzowa milczała przez chwilę.

– Czy ty to w ogóle rozważasz? – zapytała.

– Rozważa, bo zrobiłaś go wodzem wszystkich wojsk imperium – powiedziała chłodno Wasenewa. – Powiedział ci, co tam masz, i zaraz jeszcze powie, czy można to w ogóle stamtąd zabrać. A ty wtedy podejmiesz decyzję.

Nie przepadała za zięciem, więc tym większe wywarło wrażenie, że stanęła w jego obronie. Więcej: ogłędnie skarciła córkę.

– Od ostatniego powstania minęło półtorej dekady – ciągnął Ramez, jakby nie usłyszał żadnej z kobiet. – I przez te półtorej dekady nie udało się doprowadzić Legii Garyjskiej do porządku. Nawet nie podam dokładnych liczb, bo wszystko tam jest tymczasowe i prowizoryczne. Nie ma chyba ani jednego garnizonu o kompletnych stanach i dużej wartości bojowej. Rozpadł się Grombelard, mieliśmy wojnę z Dartanem. Po zakończeniu tej ostatniej odtwarzaliśmy Legię Armecką, nie Garyjską. W imperialnej szkatule stale brakowało i nadal brakuje pieniędzy na wydatki garyjskie, a własnych dochodów ta prowincja nie ma, bo... od lat wszystko zabiera Armeck i odrzuca z powrotem ochłapy. Niedojedzone resztki. Wprawdzie kilka lat temu twój brat pozyskał nadzwyczajne środki, ale i tego nie wystarczyło na pokrycie wszystkich wydatków. Odtwarzano nie tylko armię. Powstanie niemal unicestwiło Trybunał Imperialny, ogromne środki pochłonęła odbudowa stolicy, musieliśmy wykupić wioski, którym obiecaliśmy wolność w zamian za poparcie imperium. Spłacaliśmy też najpilniejsze długi.

– Wiem, że nic tam dobrze nie wygląda.

– To z kolei za dużo powiedziane. Znośnie wyglądają obie Floty, Główna i Rezerwowa.

– Doprawdy? Zaledwie kilka miesięcy temu nieuznawane przez nikogo pirackie księstwo zatopiło najlepsze okręty.

– Sześć. Tak, to duża strata, ale jednak najbardziej ucierpiał nasz prestiż. Prawdę mówiąc, sami szukaliśmy guza. W dowództwie flot wpadli na pomysł, że warto by rozwiązać dokuczliwy problem tego pirackiego niby-księstwa. Wojenny fortel się nie udał i dostaliśmy w... po nosie, wasza cesarska wysokość.

Mógł powiedzieć więcej, ale nie powiedział. Przebieg tej morskiej bitwy, niemającej żadnego znaczenia w skali Szereru,

był niepokojący co się zowie. Wyglądało na to, że okręty straży morskich należałoby dozbroić i przezbroid. Jednakże w nadchodzących wojnach floty miały znaczenie drugorzędne. Wydatki na setki niebywale kosztownych spiżowych dział (nawet gdyby istniały ludwisarnie zdolne podołać wyzwaniu) w żaden sposób nie mogły być rozważane poważnie wobec palących potrzeb wojsk lądowych, na których miał spocząć cały ciężar zmagania.

– Na mocy traktatu pokojowego – podjął – Dartan przekazał nam wszystkie okręty Straży Morskiej. Imperialne, więc łaski nie robił. Wycofaliśmy je do armektańskich, ale przede wszystkim garyjskich i wyspiarskich portów. Morskie siły prowincji są liczne, choć o bardzo nierównej wartości. Należałoby przeprowadzić reorganizację, zebrać najlepsze żaglowce i załogi w jednej flocie. Teraz tego zrobić nie możemy, bo w każdym morskim rejonie potrzebne jest chociaż kilka okrętów, na których można polegać. Gdybyśmy jednak wycofali się stamtąd...

Nie dokończył.

– Słucham dalej.

– Ta prowincja gnije, Wereno. Nie odbudują jej żadne pieniądze i nie utrzymają żadne wojska. Nie takie, jakie można tam skierować. Od kilkunastu lat nad tą prowincją w powietrzu wisi wojna, wszyscy jej bez przerwy wyglądają. Nie udało nam się poprawić nastrojów garyjskiej i wyspiarskiej ludności, przełamać czy choćby uspić wrogości elit, nie odzyskaliśmy zaufania kupców. Wieczne Cesarstwo kiedyś mogło być tam nielubiane, często nienawidzone, ale jednak zapewniało porządek. Poczucie pewności. Po ostatniej rebelii nie udało się tego odbudować. Prawie nikt tam nie kupuje domów, wiosek, nie inwestuje w nic więcej, niż naprawdę musi. Ubywa ludzi. Tych, którzy uciekli na kontynent, można liczyć w dziesiątkach

tysięcy, teraz odpływ jest mniejszy, ale wciąż się sączy strumyczek. Tylko w jednym kierunku.

– Słyszałam o tym. Wiem.

– Więc tylko przypominam.

– W takim razie, czy dobrze mi się zdaje, że dartańska królowa pozwala mi wycofać stamtąd prawie bezwartościowe siły? Floty do wojny z Alerami nie potrzebuję. A Legia Garyjska nie ma żadnej wartości, zresztą choćby nawet i miała, to są dwa tysiące żołnierzy. Mam jej oddać darmo wielkie morskie państwo, nie zyskując niczego w zamian.

– Ależ, Wereno – zaprotestowała cesarzowa matka. – Trzy rzeczy. Po pierwsze jednak trochę wojska, po drugie spokój, po trzecie pieniądze, ogromne pieniądze. Przejęcie takiej prowincji to przecież zadanie na całe lata, na razie można mówić tylko o złuzowaniu wojskowych garnizonów. Kilkudziesięciu, a może stu wojskowych intendentów spisywać będzie i wyceniać przekazywane budynki, koszary, wojskowe nabrzeża w portach, całe mienie Wiecznego Cesarstwa. Dartan zechce wziąć na swój żołd naszych oficerów i bardzo wielu żołnierzy, którzy tam zostaną, żeby przekazywać obowiązki swym dartańskim odpowiednikom, wdrażać ich do służby, zaznajamiać z miejscowymi warunkami. Dartan jeszcze za dziesięć lat będzie skupywał imperialne wioski garyjskie, o ile zechcesz je sprzedać, bo może postanowisz nie sprzedawać. Odpowiedz swej dartańskiej siostrze „tak”, a jutro rozpiszesz pobór i za pół roku będziesz miała kilkanaście nowych, już dobrze wyszkolonych legionów, wystawionych za dartańskie pieniądze. Druga możliwość jest taka, że późnym latem wybuchnie rebelia, bo tym razem wybuchnie na pewno, niech tam tylko posłyszają wieści o tym, co spotkało Armię Toru. Więc wybuchnie rebelia, a wtedy cesarstwo straci wszystko, co ma

w Morskiej Prowincji, nie zyskując nawet sztuki srebra. Nowy król Garry nie odkupi od ciebie koszar Legii Garyjskiej.

– Nie wierzę własnym uszom. Ty, matko? Właśnie ty doradzasz mi sprzedaż ostatniej prowincji cesarstwa?

– Ależ nie doradzam. Powiedziałaś: „Mam oddać darmo wielkie państwo”, a teraz już mówisz: „Sprzedać”. Czyżbym na coś zwróciła ci uwagę?

Przez chwilę wymieniały spojrzenia.

– Ojczy?

– Nie, Wereno. Niczego ode mnie nie usłyszysz. Gdybym umiał podejmować właściwe decyzje, tobym nadal siedział na tronie. Byłem dobrym gospodarzem i wiem o tym, ale bardzo złym wojownikiem, a przecież rozmawiamy o wojnie.

– Trzy osoby na całym świecie, wobec których mogę przyznać się do wahań – powiedziała gorzko. – Nie pomożesz mi?

– Pomogę. Powiedz, co mam zrobić, a ja to natychmiast zrobię, jeśli tylko siły mi pozwolą. Ale musisz mi objawić swoją wolę, wasza cesarska wysokość.

Zwróciła się do Rameza.

– Kilkanaście legionów za pół roku?... Potrzebne są dzisiaj.

– Tak. Ale za pół roku pomyślisz: „Gdybym pół roku temu ogłosiła pobór, już bym miała dwanaście legionów”. I jeszcze jedno. Legię Garyjską tworzą bezwartościowe oddziały i naprawić jej nie można. Ale można rozwiązać, gdy nie będzie potrzebna, żołnierzy zaś wcielić do Legii Armekańskiej. Ci sami ludzie, którzy tam nie potrafią nawet patrolować ulic, otoczeni przez niezdemoralizowanych kolegów niemal błyskawicznie odzyskują wartość.

Cesarzowa milczała.

– Jestem Armektanką – powiedziała wreszcie. – Mogę stracić cesarstwo na wojnie, ale go nie prehandluję. Jeśli Ezena chce

mieć własne imperium, to niech je sobie zdobędzie. Jutro wyrzucę stąd Awenora, wróci z niczym do swojej królowej.

– Zrozumiałem, że wolno mu podjąć każdą decyzję? – rzekł cesarz.

– Ale nie taką.

– Co postanowiłaś?

– Może oddam Garrę Garyjczykom.

Zaległa cisza.

– W jaki sposób?

– Nie wiem, ojczcie. Ale ty będziesz wiedział. Nikt lepiej od ciebie nie poprowadzi przygotowań do... – zawahała się – czegoś takiego. Wiesz wszystko o wszystkim, przynajmniej jeśli chodzi o imperium.

To nie było pochlebstwo. Naprawdę tak uważała.

– Dasz im coś, co mogą sami wziąć?

– Tak. Tego nauczyłam się od razu, jeszcze zanim ustąpiłeś mi miejsca. Rozdawać to, co nie moje i czego nie mogę mieć. Albo to, co i tak muszę stracić. Rozdałeś moim braciom Garrę i Grombelard.

Wasenewa parsknęła śmiechem. Zachowała młody, silny głos i śmiech dziewczyny – także tutaj armektańska krew zrobiła swoje.

– Znakomicie – orzekła bez cienia dezaprobaty.

– Rozwiążemy Legię Garyjską, tak jak mówi Ramez, i zasilimy tymi żołnierzami armektańskie legiony – powiedziała Werena. – Ponadto odzyskam dwie floty. Nie potrzebuję ich przeciw Alerom. Ale nie będą stały beczynnie na kotwicy, bo zaraz mogę im kazać potopić wszystko, co pływa pod dartańską flagą. W obliczu garyjskiej rebelii nie mogłam tego zrobić, a jeszcze bardziej nie będę mogła z Garrą przejętą przez Dartan. Ale po wyjściu z Morskiej Prowincji? To jest moja „propozycja” dla

Dartanu, zobaczymy, co odpowie mi bratowa. Nie wierzę, że mój nieszczęsny brat zechce rozstrzygnąć takie „negocjacje”.

– Wypowiesz jej wojnę?

– Zablokuję porty. Tak, wypowiem wojnę. Tylko handlową i tylko na morzu, ale to wystarczy.

– Dartan ma już całkiem silną flotę – zauważył Ramez.

– Nie taką, która zrównoważy nasze dwie, a nawet trzy, bo mogę posłać jeszcze Wielką Flotę z Trzech Portów. Ezena zbudowała siły morskie gotowe stawić czoło naszym, jeśli będą zajęte pilnowaniem Garry albo skrwawią się w walce z rebelią.

Zmarszczył brwi i policzył. Miała rację.

– Ale floty to nie tylko okręty. Potrzebne są porty. Nie utrzymasz na morzu okrętów, jeśli nie będą miały gdzie zawinąć dla uzupełnienia zapasów żywności i słodkiej wody. Na południu być może problem da się rozwiązać. Powiedzmy, że wdzięczni Garyjczycy pozwolą nam zawijać do Dranu albo do Talanty na Wyspach Barrierowych. Ale na wschodzie nie mamy niczego. Dopiero Lond. A Lond na dodatek...

– Słucham.

– Należy do Związku Portów Wschodnich. Straci krocie.

– Albo zyska. Będzie jedynym dostępnym wielkim portem w całej wschodniej części kontynentu. To otwiera różne możliwości i kupcy na pewno je dostrzegą.

– Nie przeceniałbym tych możliwości. To sam koniec świata. Lond ma znaczenie lokalne, jest przede wszystkim portem przeładunkowym. Rina i Rapa stracą część obrotów. Co będą ładować i wyładowywać w Londzie? Dartańskie wina chyba już nie. Twoja wojna handlowa uderzy w dwa miasta, które mają być zapleczem wojny z Alerami na wschodzie.

– A co ty sądzisz, matko?

Cesarz i Ramez wymienili spojrzenia. Wasenewa, jeśli się na czymś nie znała, to na morzu.

- O handlu?
- Bardziej o blokadzie portów dartańskich.
- W Niskim Grombelardzie jest kilka miasteczek nadmorskich. Nie wiem, czy takie małe przystanie mogą zaopatrzyć wojenne eskadry. To kraj kontrolowany przez dartańskie wojsko pograniczne. Człowiek, który dowodzi tym wojskiem... Powiem tak: nie sprzyja królowej.
- Nie sprzyja królowej? Ale zaopatrywanie wrogich okrętów to nie jest żadne niesprzyjanie, tylko zdrada.
- Grombelard wciąż jest częścią Wiecznego Cesarstwa. Obsadźmy te porty Legią Grombelardzką.
- Legia Grombelardzka nie istnieje. Prawie.
- Odtwórz ją. Nie musi być silna, wystarczy, jeśli przypilnuje kilku portowych miasteczek. Podziękujemy Dartańczykom za patrolowanie Niskiego Grombelardu. – Spojrzała na córkę. – Przecież już podziękowałaś królowej Ezenie, że zechciała pilnować porządku w tym kraju? Zwolniłaś jej wojska.
- Tak.
- Ta blokada morska to nie jest coś, co przyszło ci do głowy właśnie teraz – zauważył Ramez, spoglądając na żonę.
- Nie.
- A jeśli Dartańczycy nie przekażą nam grombelardzkich portów?
- Czyli wypowiedzą wojnę?
- No dobrze, ale co zamierzasz osiągnąć?
- Ramezie, Llapma i Związek Portów Wschodnich to potęgi handlowe. Zwłaszcza Związek to prawdziwe mocarstwo, co z tego, że bez terytorium i bez koronowanych władców? Koniec handlu morskiego oznacza ogromne kłopoty dla zrzeszonych w nim portowych miast i ruinę dla wielu dartańskich Domów. Jeśli zamknę Dartan w lądowych granicach, to królowa Ezena będzie miała do czynienia ze swoimi poddanymi, nie ze mną.

Czym mi odpowie? Czy naprawdę rozpocznie zbrojne działania na lądzie?

– Jesteś zupełnie pewna, że tego nie zrobi? Wymyśliłaś sobie światową wojnę, gdzie wszyscy będą się bili ze wszystkimi.

– Ramezie, wojna to jest coś takiego, gdzie ścierają się różne wojska, a na końcu zwycięża Armekt.

– Dziesięć lat temu tak nie było.

– Bo Imperatorowi zrobiło się żal wsi i dlatego teraz muszą płonąć kraje. Nie dokończono tej wojny, ona trwa, mamy tylko zawieszenie broni. Pozwoliłeś mi dzisiaj, bym cię oceniła, Awenorze – zwróciła się z powagą do ojca.

– Nie gniewam się, Wereno. Smutno mi.

– On to wiedział, zanim oddał ci tron – rzekła cesarzowa matka. – Że jest zbyt łagodny. Świat nie przebaczy mu tego.

– Chyba słusznie. Dwieście lat pokoju to choroba, którą trzeba leczyć. Czasem należy wzniecić wojnę, bo inaczej wszyscy zapomną, co to jest.

– Ale to nie będzie zwykła wojna. Chcesz podpalić świat? – zapytał znowu Ramez.

– Tu i tam. Co się robi, gdy płonie step?

– Wypala się trawę na drodze ognia – przyznał. – Ale wojna nie jest pożarem, przecież tylko bawimy się słowami.

– Wieczny pokój w Wiecznym Cesarstwie przestał się światu podobać.

– Proponujesz w zamian wieczną wojnę?

– Wieczną nie.

– Wojna z Armektem to jedyna, na jaką Dartan gotów byłby pójść choćby zaraz. Myślałem, że tego właśnie chcemy uniknąć.

– Unikniemy.

– Nie mam takiej pewności.

Werena popatrzyła z namysłem. Mogła się z mężem nie zgadzać, ale brała pod uwagę jego zdanie.

– Dobrze. Jeśli masz słuszość i jednak wybuchnie, poprowadzisz ją?

– Kilka – poprawił. – Mówimy o kilku wojnach. Oczywiście, że poprowadzę, jeśli tak postanowisz. Jestem księciem Sar Soa, Wereno, i nie boję się żadnej wojny. Biliśmy się już jednocześnie na wszystkich granicach. Jestem przeciwny twoim planom, ale nie umiem zaproponować nic lepszego. Jeśli rozkażesz, zawrócę te pięć legionów i przesunę jak najbliżej Rollayny.

– Nie będzie takiej potrzeby. A co powiesz ty, matko?

– Pytasz, czy mogę coś wskórać w Dartanie? Mogę, ale dopiero po rozpoczęciu tej morskiej wojny, o której przed chwilą mówiłaś. Na razie królowa Ezena ma o wiele mocniejszą pozycję, niż sama sądzi. Południowy Dartan i Zachodnie Wybrzeża na pewno są gotowe grymasić i ociągać się z wypełnieniem jej woli, ale wojny domowej nie rozpętają.

– Chwalisz ją?

– Oczywiście. Nie bądź dzieckiem, Wereno. To najbogatsza kobieta Szereru, której nie zależy na bogactwie, bo wyznaczyła sobie inny cel. Żyje skromniej niż niejeden z jej poddanych. Większość ludzi dzierżących władzę ma ją także dla złota, albo nawet przede wszystkim dla złota. Królowa Ezena nie gustuje w wystawnych przyjęciach, nie olśniewa poddanych, organizując łowy, na których ubija się tysiące sztuk zwierzyny, nie pokazuje się codziennie w nowej sukni obsypanej brylantami. Nie wznosi też we wszystkich krainach Dartanu wspaniałych rezydencji. Nie otoczyła się setką hodowlanych Pereł i nie kupuje do swych stadnin najdroższych koni na świecie. Przeciwnie: z własnej szkatuły dokłada do państwa, którym rządzi. Utrzymuje największe prywatne wojsko, jakie widział Szerer, lecz oddała je w służbę królestwa.

– Czy ja żyję inaczej niż ona? Czy za czasów ojca...

– W Armeckie tak było zawsze, a w Dartanie nigdy. Prawie nigdy. Król korzystał z zasobów królestwa i kosztem królestwa budował potęgę swego rodu, nie odwrotnie.

Cesarzowa znowu chciała coś powiedzieć, ale matka zrobiła drobny gest: „Zaczekaj”.

– Jeśli zablokujesz morski handel w Dartanie, to otworzy się możliwość podburzenia Żółtych Wzgórz i Zachodnich Wybrzeży do buntu. Widziałabym duże szanse na oderwanie ich od Dartanu. Każdy dzień handlowego zastoju będzie przynosił ogromne straty, a lądowe zmagania mogą potrwać długo, nawet kilka lat. Mogłabyś udzielić gwarancji Llapmie i Semenie, i przyczynić się do utworzenia dwóch nowych dartańskich państw.

– Wiem, o czym mówisz.

– Tak, i chciałaś to ode mnie usłyszeć. Zamierzałaś odebrać tron królowej Ezenie? Wiem, że nie.

– Oczywiście, że nie.

– Jest ktoś, kto chętnie wyciągnąłby rękę po jej koronę. Ale ten człowiek to pętak – powiedziała lekko Wasenewa. – Można by go poprzeć, żeby przyspieszyć koniec wojny, ale nie utrzymałby się na tronie nawet przez trzy miesiące. Wszystko, co ma, to zapiekła stara nienawiść do królowej i wysokie mniemanie o sobie. Wspominałam o nim dzisiaj, jest wodzem wojsk w Niskim Grombelardzie.

– Nie zamierzam wskrzeszać Pierwszej Prowincji imperium. Jeszcze niedawno chciałam tylko odbudować armię i rozwiązać problem Garry, choćby nawet „rozwiązanie problemu” oznaczało jej utratę. Jeśli nie mamy Dartanu, to Garra jest nam niepotrzebna, większy z niej kłopot niż pożytek.

– Rzeczywiście.

– Potem chciałam zmusić Ezenę do uznania tego, co tak ceni: czyjejs niezależności. Nie chcę odbierać jej państwa, chcę tylko

osłabić nieprzyjazne mocarstwo.

– O tym już rozmawialiśmy. Wielokrotnie.

– Tak. Przyspieszam więc tylko to, co nieuniknione i co chciałam zrobić za kilka lat. Wojna z Dartanem jest potrzebna, bo tam muszą być dwa, a może nawet trzy państwa, wszystkie uznane przez nas, tak jak powiedziałaś. Trzy państwa mające własne dynastie i własne interesy.

– Skłócone?

– Teraz ty chcesz usłyszeć, matko, coś, o czym wiesz? Niekoniecznie skłócone. I tak samo niekoniecznie zwasalizowane przez Kirlan. Ale ktoś musi pilnować porządku w Szererze i Armekt dobrze to robił przez dwieście lat. Dwa imperia? Prędzej oddam Alerom Armekt aż po Rinę i niech się tam urządzają. Rapa zupełnie wystarczy do kontroli nad Morzem Środkowym. Przecież to tylko na trochę. Prędzej czy później odzyskamy wszystko.

– Dobrze – oceniła spokojnie Wasenewa. – Wyjdźmy więc z Morskiej Prowincji, tak jak powiedziałaś, a ty, synu, zajmij się tylko wojną na północy – zwróciła się do Rameza. – Wygraj ją lub rozciągnij na lata i nie zaprzataj sobie głowy niczym więcej. Nie zatrzymuj marszu tych pięciu legionów, bo bardzo ci się przydadzą, a na dartańskiej granicy ich nie chcemy. W Dartanie muszą mieć pewność, że ze strony lądowych sił Armektu naprawdę nic im nie zagraża. Wierzę w rozsądek Ezeny – podsumowała. – Na pewno zrozumie, że morska blokada w bardzo krótkim czasie doprowadzi do wojny domowej, a w najlepszym razie do wojny z Armektem, którą będzie musiała toczyć samymi siłami Dartanu Północnego. I z niesłabnącą groźbą wybuchu rebelii za plecami.

– Zwołam Wielką Radę na jutro. Ojczy, jesteś pewien? Oddajemy... pokojowo wyzwalamy zamorskie królestwo, od półtora wieku będące prowincją imperium. Nikt nie robił

czegoś takiego, nie masz żadnych wzorów, na których mógłbyś się oprzeć.

– Zajmę się tym, Wereno. Podołam. Nie nadaję się do wojny, ale pokój... to chyba co innego. Przez pół życia myślałem o wykonaniu wobec tego kraju przyjaznego gestu, Kiedyś, bardzo dawno, zawiniliśmy wobec nich. Pozwalasz mi spełnić marzenia.

– Skoro tak. Koniec odprawy – powiedziała niemal wesoło. – Ty, ojczyźnie, pokój za morzem; ty, matko, wojna domowa w Dartanie, o ile do niej dojdzie. Ty, Ramezie... może niepisany rozejm z Alerami, bij się z nimi, tylko jeśli musisz, zachowuj wojska i ocal ludność. Trzy niemożliwe zadania, a ja będę władać i wyrażać niezadowolenie, gdy coś pójdzie nie po mojej myśli. Jutro Wielka Rada.

– Kiedy rozmówisz się z bratem?

Cesarzowa przygasła.

– Żal mi go. Jutro rano.

– Co mu powiesz? Raz w życiu uwierzył, że jest potrzebny.

– Okazało się inaczej. Powiem mu wszystko. Niech przekaże to swojej królowej, a ja ostatni raz poczekam na odpowiedź. Bardzo chciałabym zobaczyć tutaj sojusznicze chorągwie dartańskie, a wycofane z Garry floty pokazać Zachodnim Wybrzeżom. Na wypadek gdyby Wybrzeża chciały sprawić jakąś przykrość mojej dartańskiej siostrze. Ale ona już sobie wymyśliła własne imperium, a skoro raz wymyśliła, to na pewno nie zrezygnuje. Mimo to zapytam ją ostatni raz i zażądam natychmiastowej odpowiedzi.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli, lecz najkrócej stara cesarzowa.

– Bardzo dobrze – orzekła. – Tak zrób.

ROZDZIAŁ 11



*Jego Godność Gotah-lah'agar
Powiernik Królowej
w Rollaynie*

Gotahu!

Otrzymałam Twój list i rozumiem, dlaczego nie mogłeś mi napisać, na czym polega misja Jego Królewskiej Wysokości K.B.I.Awenora. Zgadza się, taki list posłany za plecami Królowej byłby nieledwie zdradą stanu, a każda tajemnica może wyjść na jaw, los przecież lubi płatać figle.

Niczego nie wskóramy, jeśli obie Władczynie stracą do nas zaufanie.

Ja jednak jestem w zupełnie innym położeniu. Otóż Najgodniejsza nie tylko pozwoliła, ale wręcz nalegała, bym posłała do Ciebie list, który dotrze przed powrotem Księcia Awenora do Rollayny. W Jej i moich oczach jesteś ostatnią nadzieją na odmianę biegu wydarzeń. Wpłyn na Królową Ezenę, użyj wszystkich sposobów, by zrozumiała, że więcej rozmów z Kirlanem nie będzie. Że to nie jest próba zastraszenia, lecz w najbardziej poufny sposób przekazane ostrzeżenie. O powziętych decyzjach wie mniej niż dziesięć osób, liczę także nas oboje. Cesarzowa wysłuchała moich błagań i odwołała Wielką Radę, która była już postanowiona. Gdyby się zebrała, byłoby już chyba niemożliwe wycofanie się z postanowień, nie mówiąc o zachowaniu tajemnicy. To kilkadziesiąt osób.

Gotahu, kiedyś powtórzę Ci każde słowo tej rozmowy, ale teraz chcę tylko pokazać, jak wyglądała, więc napiszę: klęczałam przed Nią i krzyczałam na Nią, potem nie pozwoliłam wyjść z komnaty i zakryłam Jej usta ręką, gdy chciała wezwać służbę albo strażę. Zobaczyłam wtedy Jej oczy i byłam pewna, że każe mnie stracić.

Gotahu, JA BYŁAM PEWNA. Wtedy tak. Wiem, że tego by nie zrobiła, ale wtedy...

A jednak ostatecznie nie wezwała straży, wysłuchała mnie jeszcze raz.

Wiem przecież, że znasz Cesarzową Werenę z grombelardzkich czasów, ale chyba nigdy nie widziałeś Jej w gniewie. To nie jest człowiek, którego dartańska przybłęda, choćby nawet Przyjęta, może pochwycić i siłą trzymać na progu komnaty. Właściwie nie rozumiem, dlaczego nie kazała mnie pojmać, a następnie osadzić w ciemnicy, albo chociaż odstawić na rogatki miasta.

Wiesz, z czym Książę Awenor przyjechał do swej Siostry i jak szerokie były pełnomocnictwa, których mu udzieliła małżonka. Pozwolono mu przebywać w pałacu dwa dni. Właśnie wraca, a mój list niewiele go wyprzedzi. Oto, jaką odpowiedź wiezie dla Królowej Dartanu.

Armektańska obecność w Morskiej Prowincji...

Trzymający w ręku rozpieczętowany list od żony, coraz bardziej zaniepokojony, a potem wręcz wystraszony Gotah przebiegł wzrokiem kilka następnych linijek, po czym musiał usiąść. Nie miał kłopotów z sercem i nie miewał ataków duszności. Chyba tylko dlatego jeszcze żył, bo w jednej chwili zarazem poczerwieniał i posiniał na twarzy. Dotarło do niego, że jego piękna małżonka nie upiła się po raz pierwszy w życiu; że być może naprawdę klęczała przed Wereną, a następnie szarpała się z nią w drzwiach.

Wypił dwa łyki wody i czytał dalej, aż doczytał prawie do końca. Znowu przerwał i znowu się napił, lecz tym razem wina. Pooddychał; popatrzył w okno. Zostało tylko kilkanaście linijek:

Gotahu, Cesarzowa Werena miała wybór: na jednej szali koniec kłopotów z Morską Prowincją, do dyspozycji ściągnięte stamtąd siły lądowe i morskie, kilkutyśięczny kontyngent knechtów wysłany z Dartanu jako wsparcie dla Legii Armektańskiej, płynące do Armektu ogromne pieniądze i związane z tym możliwości. Na drugiej szali położyła tylko garść zabranego z Garry wojska, a w tle tego „zysku” wskrzeszenie nieprzyjaznego królestwa, wojnę domową w Dartanie, rozpaczliwą obronę Północnej Granicy, gdzie, jak zapewne już wiesz, bo wieści rozchodzą się szybko, została właśnie zniszczona jedyna zebrana dotąd armia Armektu.

Wybrała to drugie. Czy uwierzysz?

Wiedziałam, jacy są, bo uczono mnie tego. Ale tylko wiedziałam, natomiast teraz ich znam. Mieszkam wśród nich od kilku miesięcy. Jestem przerażona i oszołomiona, ale nie zdziwiona.

To są Armektańczycy, synowie i córki Wojny-Arilory. Nieskorzy do przemocy, chlubiący się powściągliwością i łagodnością, która tu jest uważana za najznamienitszą z męskich cnót. Sławiący odwagę wrogów, oszczędzający rannych i jeńców, najbardziej wyrozumiali i wspańiałomyślni wojownicy Szereru – ale tylko wobec pokonanych. Przemoc człowieka wobec drugiego jest dla nich przykrą koniecznością. Wojna plemion lub królestw – zwykłym sposobem rozstrzygania sporu. Przypomnij o tym Królowej Ezenie tak oględnie, jak potrafisz.

Znam je obie: Królową i Cesarzową. To jest wojna dumy i ambicji z nieustępliwością i dumą. Gdyby było możliwe ich spotkanie, rozmowa... Jestem zupełnie pewna, że jedna udusiłaby

drugą, ale prędzej wyszłyby z komnaty, trzymając się za ręce. To są siostry i tak się do siebie zwracają, tylko nie wiedzą, że to prawda.

Decyzje podjęto, ale nie ogłoszono, zapobiegłam zebraniu Wielkiej Rady. Wszystko jeszcze można uznać za niebyłe. Nadzieja w Tobie.

Bądź zdrów. Kocham Cię bardzo.

Kesa

Gotah długo, bardzo długo siedział i patrzył w okno, obracając w głowie sto myśli, którymi z nikim nie mógł się podzielić.

Nie przed powrotem księcia Awenora.



Część druga

Tor i Rewin

PROLOG



Ogołoczone z liści gałęzie Nadrośliny nie broniły dostępu słonecznym promieniom, przepuszczały także płatki śniegu. Jednakże nieśmiertelny, żywy przez cały rok kożuch pokrywający ziemię chyba wydzieliał ciepło. Na dnie świata śnieg szybko topniał i potrzebne były duże mrozy, by utrzymał się trochę dłużej. Wszędzie za to leżały liście, mokre i gnijące, ale mogło się wydawać, że pokrywający ziemię brunatnozielony mech pochłania je, może się nimi odżywia. Jeśli wziąć pod uwagę rozmiary Nadrośliny, warstwa liści na ziemi powinna być znacznie grubsza.

Kolczaste zagajniki trwały nieporuszenie, obojętne na pory roku, niewrażliwe na wiatr, który zimą łatwiej przenikał pod ażurowy dach świata.

Daleko na północnym wschodzie zagajników było niewiele, Mchokrywa zaś wydawała się cieńsza – w bardzo licznych miejscach odsłaniała ziemię; tu i tam nie było jej wcale. Straszyły ugory niepokryte żadną roślinnością. Coraz cieńsze wydawały się także korzenie-pnie Nadrośliny, a odstępy między nimi większe.

Wygląd świata się zmieniał.

Karłowaty kolczasty zagajnik sąsiadował z rachitycznym drzewkiem, trochę podobnym do sosny spod nieba Szerni. Iglastym, zielonym – teraz, zimą.

Na południowej granicy Aleru takich miejsc było więcej. Alerska Mchokrywa sąsiadowała ze zwykłym mchem,

przeplatała się roślinność dwóch światów: im dalej ku południu, tym bardziej ta alerska karłała, ustępując miejsca coraz bujniejszym drzewom, krzewom i wszelkim chwastom Szereru.

Na północnym wschodzie wyglądało to podobnie, ale nie tak samo. Rośliny alerskiego świata znikwały na koniec zupełnie, ale te obce, zajmujące ich miejsce, nigdzie nie zyskiwały swoich pełnych wymiarów ani kształtów. Sosny były trochę niższe, dęby nie tak potężne, trawa rzadsza. Wydawało się jednak oczywiste, że rośliny Szerni mogą radzić sobie bez niej – podczas gdy alerskie nie potrafią przetrwać bez swojej opiekuńczej Potęgi. Obecność Wstęg Aleru była chyba dla szererskiego życia szkodliwa, przeważnie nawet zabójcza, ale sama nieobecność Szerni – nie.

Niektórych roślin zza granicy nie potrafiły poskromić nawet czyste treści Aleru. Dla grochu chyba nic nie było zabójcze. Nie wiadomo jak tam zawleczony, zdziczały i byle jaki, umiał rozplenić się nawet w cieniu kolczastych zagajników. Doskonale też czuły się niektóre chwasty, a najlepiej chyba pokrzywy, wcale chętnie zjadane przez wehfety.

Wielki półwysep na północno-wschodnim krańcu kontynentu nosił nazwę Ziemi Niczyjej. Z niewiadomych powodów nad częścią tego obszaru nigdy nie rozpostarły się ani Pasma Szerni, ani Wstęgi Aleru.

Ten półwysep był wszystkim, co pozostało ze świata Srebrnych Plemion.

Gorzej, bo przecież do ich świata właściwie nigdy nie należał. Był w istocie ziemią niczyją – nieprzyjaznym, ale już jedynym i ostatnim nadającym się do zamieszkania miejscem.

Na północ od Gór Dzielących aż po brzeg oceanu przemieszczały się, pod bezlistnymi konarami Nadrośliny, oszalałe, a mimo to bardziej metodyczne i skuteczniejsze niż

kiedykolwiek dotąd, sfory Złotych Plemion. Półzwierzęta polujące dotychczas na srebrnych wojowników tak jak na każde inne mięso, teraz nie zmieniały zamiarów z byle powodu, rzadziej wszczynały bratobójcze walki, a co najgorsze – nauczyły się cierpliwości. Nie zdobyły dotąd szturmem żadnej dużej sadyby szehich, lecz umiały już otoczyć je i czekać.

Zgromadzone na zimę zapasy, a później plony z ogrodów i pól wewnątrz palisady nie mogły wystarczyć do wyżywienia wsi. O każdej porze roku, ale szczególnie wiosną, koniecznym uzupełnieniem, a nawet podstawą wyżywienia był wszechobecny gruby mech. Ugotowany dał się jeść, chociaż było to jadlo niemające smaku i mało wartościowe.

Dostępne jednak w każdej ilości.

Bez mchu wewnętrzne uprawy wiosek mogły wyżywić najwyżej jedną trzecią mieszkańców. I musiały paść wszystkie hodowlane zwierzęta: znacznie mniejsze od wehfetów, ale trochę do nich podobne ogoniaste czworonogi, na wolności tak szybkie i skoczne, że zdołały przetrwać w tym drapieżnym świecie.

Jadły wyłącznie mech.

Podniebne wędrówki były trudne, a czasem niemożliwe. Z każdej osady szehich strzelał ku zielonemu sklepieniu korzeń-pień, po którym można było się wspiąć. Jednakże szlaki po konarach Nadrośliny nierzadko wiodły donikąd – trzeba by budować mosty lub specjalne drogi łączące konary. I znów: było to trudne, a czasem niewykonalne.

Niemniej każda osada miała przynajmniej jedną podniebną drogę wiodącą poza mury wioski, do jakiegoś korzenia, po którym dało się zejść na ziemię.

Hestsy strzegące wiosek były zbyt głupie, by rozpoznać nadziemne ścieżki szehich i zastawiać pułapki przy zapasowych wyjściach z osad.

Każdego dnia z wiosek wyruszały wyprawy po jedzenie. Próbowano schodzić na ziemię tuż przed zmierzchem, pozyskiwać mech w nocy i z nastaniem świtu natychmiast wracać na górę. W nocnych ciemnościach wspinaczka była niemożliwa.

Wiele takich wypraw przepadało, gdy wróg odciął dostęp do zbawczego pnia. Inne wracały poszarpane. Prowadzone przez stfalsfdich złote sfory potrafiły przemieszczać się nocami.

Dzikie zgraje przebiegały kraj w tę i nazad, szukając wroga lub żeru. Te kontrolowane przez stfalsfdich schodziły sobie z drogi, inne staczały bratobójcze walki, przerywane czasem w połowie, gdy zwycięzcy i pokonani odkrywali naraz, że na ziemi leży już dość jadła dla wszystkich. Wleczono trupy do legowisk, gdzie siedziały samice z młodymi, a połączone gromady koczowały na pobojuwisku tak długo, aż znów zabrakło jedzenia.

Zdobycie pożywienia nigdy nie było łatwe. Szehi potrafili się bronić; to nie były bezkarne polowania, wszelka zwierzyna zaś dawno wykształciła jedną z dwóch umiejętności: ukrycia się lub skutecznej ucieczki. Istniało też kilka rodzajów stworzeń, przed którymi zarówno hestsy, jak i shehi musieli się mieć na baczności.

Wyglądało na to, że oblegające wioski potwory nie odejdą nigdy. Kopały jamy mieszkalne, ściągały potrzebne na opał gałęzie – bo przyniesiono też, pieczołowicie gdzieś przechowywany, ogień. Od czasu do czasu próbowano podpalić zewnętrzną palisadę, ale wiecznie wilgotne od topniejącego śniegu pale nie chciały przyjmować ognia, obrońcy zaś, wciąż liczni, potrafili odpędzić napastników za pomocą strzał z łuków, a następnie zdusić płomień.

Kiedyś jednak podpalenie musiało się udać. Pozostałby tylko wewnętrzny krąg umocnień, broniący zabudowań, lecz nie pól.

Większość Srebrnych Plemion wybrała ucieczkę i tułaczkę, nie mogąc marzyć o przetrwaniu oblężenia – to mogło się udać (jeśli było w ogóle możliwe) tylko największym, mającym największe pola i dobre plony osadom. Ziemia nie wszędzie rodziła tak samo, a szererskie rośliny nie wszędzie się dobrze przyjmowały.

Silnych wsi, które mogły podjąć wyzwanie, było nie więcej niż jedna na sześć albo siedem. A najmniejsze zniknęły z powierzchni ziemi, były to zakładane w gąszczu sadyby żyjące wyłącznie ze zbieractwa i łowiectwa. Ich mieszkańcy od razu uciekli, gdy tylko stało się jasne, że hestsy potrafią oblegać. Szehi, którzy tego nie zrobili, właśnie konali z głodu w obrębie swoich palisad.

Na południowe pogranicze i daleki północno-wschodni półwysep sfory hestsów zapuszczały się niechętnie, a już na tereny pod Pasmami Szerni tylko wyjątkowo. Zagony Żółtych Plemion, od wieków ścigane przez armektańskich żołnierzy – to były rozhukane gromady bezmyślnie ścigające jakieś zwierzę lub idące tropem srebrnych wojowników, potem ogłupiałe i zabłąkane, rzucające się wściekle na cokolwiek i pospiesznie wracające do siebie, gdy tylko odnalazły kierunek.

Inaczej na Ziemi Niczyjej. Nie było Szerni, więc hests nie uciekał stamtąd od razu, niemniej długotrwałe obleganie sadyb Srebrnych Plemion nie wchodziło w rachubę. Zbyt szybko narastało zniechęcenie ożenione z drażliwością, która stawała się przyczyną bratobójczych walk.

Ale i Srebrne Plemiona czuły się tam niedobrze. Puste niebo nad głowami nie wysysało sił, tak jak to się działo pod Pasmami Szerni. Ale jednak było niebem... właśnie pustym.

Chyba bardzo podobnie czuli się ludzie, próbujący zasiedlić Vakar, wielką i piękną wyspę za Morzem Eniwetty, gdzie tak samo nie było Wstęg Aleru ani Pasm Szerni. Owszem

powiadano, że tysiące lat temu Aler, płynąc nad Bezmiarami, przemieścił się nad Vakarem, lądem dla niego zbyt małym, i zgubił tam jakieś okruchy, odrobinę treści swoich Wstęp. Prawie niewyczuwalną, niemniej...

Wiele razy próbowano ujarzmić tę krainę. To był przecież olbrzymi, dwustumilowy kawał lądu z przebogatymi lasami, pięknymi rzekami i górami. Budowano wioski, raz nawet powstało miasteczko z wygodną przystanią. Wszystko na nic. Najpierw niewiele się działo, lecz po roku albo dwóch latach w osadnikach narastała tęsknota, potem nieodparta nostalgia... Wracano na kontynent.

Chyba nikt nigdy nie wytrzymał tam dłużej niż pięć lat. Na Vakarze nie chciało się żyć, wszystko bladło, urodziny dziecka nie cieszyły, potrawy nie smakowały, śmierć bliskiej osoby nie za bardzo smuciła. Ludzie siedzieli, gapili się, łazili – coraz częściej, coraz dłużej, coraz bardziej bez sensu i bez celu. Jednych dotykało to szybciej, innych wolniej; tych bardziej, a tamtych mniej. Lecz na koniec dotyczyło wszystkich.

Możliwe, że gdyby osadnikom nie dano żadnego wyboru, to z czasem by przywykli, niekoniecznie przecież w pierwszym, bo może dopiero drugim lub czwartym pokoleniu. Mieli jednak wybór – więc wracali.

Srebrni Alerowie na Ziemi Niczyjej wyboru, niestety, nie mieli. Próbowali przetrwać na niegościnniej ziemi do czasu, aż odmieni się los. Na dobre albo na złe.

Ci na południowej granicy wybrali inaczej. Nie wszyscy zresztą mogli wybierać. Z zachodniego wybrzeża do Ziemi Niczyjej wiodła zbyt długa droga i niewielu odważyło się ją odbyć; jeszcze mniej dotarło do celu. Na południowej granicy, w dość szerokim pasie niczyjego nieba, dało się wytrzymać i obronić przed nielicznymi sforami, które tam przybiegały.

Stare góry obfitowały w niezliczone jaskinie, mogące służyć za schronienie.

Lecz w istocie shehi, prawie nieznający mrozów i śniegu, nie wiedzieli, na co się porywają. Kilkudniowy wypad dobrze wyposażonej grupki jeźdźców na zaśnieżone stopy Armektu niewiele miał wspólnego z przetrwaniem całego plemienia u stóp gór. Czas zatarł pamięć o stoczonych przed laty wojnie, podczas której zresztą pod obcym niebem walczyli i bytowali sami wojownicy. Teraz, gdyby zima była wyjątkowo łagodna... Lecz nie była. Nie różniła się od zwykłej na tym obszarze zimy, słabo mroźnej, lecz jednak śnieżnej na początku i cieplejszej, ale za to mokrej pod koniec. Na dziesięć zim osiem tak tu wyglądało.

Na szczęście chłód dało się pokonać, a przynajmniej złagodzić ogniem. Stoki i podnóża gór były zalesione, więc opału nie brakowało. Kopano ziemianki i klecono szałas.

Wydawało się, że pośród niewygód i w chłodzie, przejadając resztki zabranych z porzuconych wiosek zapasów, uda się przeczekać do wiosny, wiosną zaś zdobyć choć kęs wrogiego kraju, uratować szerserskie zasiewy, zdobyć stada, wprowadzić wehfety do lasów, w których dzięki nielubianym i z trudem połykanym liściom mogły jednak nie umrzeć z głodu. Dałoby się uciec od hestsów i bronić się przed ludźmi, aż czas przyniesie odmianę.

Plemiona shehich znały możliwości ludzi, bo ujrzały je w wojnie stoczonych tak dawno i niedawno zarazem. To nie ludzie, lecz Złote Plemiona udaremniły misję Srebrnych Plemion, wojsko armektańskie tylko przechyliło szalę. W oczach shehich ludzie byli silni, ale bardzo nieliczni. Najgorszym dotąd wrogiem jawił się ich świat, nie wojska.

Teraz jednak ten świat stał się jedynym miejscem, w którym istniała szansa na przetrwanie. Lecz dopiero na wiosnę.

Tymczasem najbezpieczniejszym schronieniem wydawały się kotliny i podnóża granicznych Gór Dzielących, od barwy skał niekiedy zwanych Białymi.

I rzeczywiście było tam bezpiecznie. Lecz do czasu.

Nadeszli złoci, a co gorsza – przyszli z nimi stfalsfdi: Żywa Śmierć.

Unicestwione zostały cztery tymczasowe sadyby. Uchodźcy tułali się po górach, próbując dotrzeć do innych obozowisk albo tylko ukrywając się, uciekając. Dwie inne, skazane na zagładę górskie „wioski” walczyły już tylko o czas. Było jasne, że samym uporem i orężem nie da się pokonać tego mrowia, niewolniczo posłusznego woli stfalsfdich. Płynące wzdłuż górskiego łańcucha sfory gotowe były po kolei zniszczyć nawet wszystkie obozowiska shehich. Rysowała się jednak szansa obrócenia klęski w zwycięstwo, a może tylko nadania sensu ofierze.

Musiała w to wierzyć młoda shehite, otoczona tłumem jeźdźców na wehfetach. Niewielu z nich miało szansę przeżyć nadchodzącą walkę, ale w kotlinach i na zboczach gór pozostały ich wioski. Siedząc w nich, zginęliby wszyscy, podczas gdy tę szaleńczą szarżę w dół stoku niektórzy mogli przetrwać. I ocalić dziesiątki tysięcy.

Na tym stoku nie utrzymałby się żaden koń i miałyby z tym trudności nawet pieszy człowiek. Lecz zaopatrzone w dodatkowe stawy szerokie łapy wehfetów sprostały zadaniu. Wydłużające się, to znów skracające, blokowane w niektórych miejscach, a w innych uruchamiane kończyny pozwalały dokazywać rzeczy niemożliwych. Wiedzione instynktem zwierzęta wyglądały wprost niesamowicie, mknąc na łapach, z których ta, to znów inna była dłuższa bądź krótsza, każda inaczej się zginała albo w innym miejscu prostowała, a wszystko to się działo z pominięciem rozumu i woli,

wyłącznie za sprawą odruchów i instynktu. Oko za tym nie nadążało.

W dole kłębił się na śniegu wielotysięczny tłum złotych, gotów do kolejnego i ostatniego już szturm w górę stoku, gdzie w jaskiniach na stromym zboczu od kilku dni broniły się resztki osaczonego Srebrnego Plemienia. Prawie wszyscy już tam byli ranni, a żyła najwyżej połowa. Setki rudych trupów zaścielały górskie zbocze – Srebrne Plemię broniło się, ciskając i staczając w dół skalne okruchy. Dostępność i obfitość pocisków pozwoliła na długą obronę.

Gromada jeźdźców na wehfetach bardziej przypominała bezwładną lawinę niż ćwierćtysięczny oddział wojowników. W ogóle nie wiedzieli, co się może zdarzyć, bo nigdy nie brali udziału w takim boju. Mieli broń, której mogli użyć z bardzo niepewnym skutkiem, a co gorsza, mogli jej użyć tylko raz. Musieli więc mieć pewność – niezachwianą pewność – że cel został właściwie wybrany.

Jeszcze mogli się zatrzymać, zawrócić. I byli gotowi to zrobić, gdyby nie zyskali pewności.

Lecz zyskali. Do boju przeciw nim ruszały kolejne gromady złotych, mknąc pod górę nie tak sprawnie jak wehfety, ale jednak szybko, bo braki w zręczności hestsy nadrabiały siłą. Doniesienia się potwierdziły: to była właściwa sfora. Ta sfora. Otaczająca stfalsfdich Sfora Śmierci.

Skrzeczając, wehfety zderzały się ze złotymi, przewracały, toczyły w dół stoku, zrzucając i przygniatając jeźdźców. Ryczały ponabijane na włócznie i szpikowane strzałami z łuków potwory, krzyczeli pochwyceni i miażdżeni w ramionach hestsów wojownicy. Lecz wyżej na stoku strzeżona przez kilku najlepszych jeźdźców wojownicza zdołała osadzić swoje zwierzę w miejscu. W dolinę stoczył się krzyk, kilkakrotnie już słyszany pod Wstęgami Aleru, ale jeszcze nigdy tutaj, pod

niczym niebem. Nie miał, nie mógł mieć podobnej siły, bo był tylko symbolem treści Wstęg, odwoływał się do ich cienia, nie istoty. Ale młoda shehite wiedziała o tym, więc zamiast mocy niszczenia użyła tylko mocy zniewalania. Odsłonięta przez idące do boju rude sfory, szeroka ława stfalsfdich znieruchomiała, po czym nagle ruszyła znowu, ale już w innym kierunku. Zaraz zmienił się także jej szyk: to już była tylko gromada, potem bezładny tłum mknący ku przełęczy.

Obraz boju zmienił się w mgnieniu oka – siedzący na wehfetach srebrni wojownicy nie mieli już przed sobą przeciwnika. Tysiące rudych stworów przewalały się po zboczach, pędziły śladem ogłuszonych, zniewolonych przez potęgę Wstęg stfalsfdich, wyprzedzały, mknęły dalej. Nieliczne poranione, oszalałe ze wściekłości, głuche na każdy zew rude stwory walczyły jeszcze ze srebrnymi jeźdźcami, ale była ich najwyżej setka. Cała reszta pędziła ku przełęczy. Wkrótce miały nadciągnąć następne gromady, tysiące i dziesiątki tysięcy hestsów. Wszystkie Złote Plemiona oddalone o dzień, albo nawet o dwa dni marszu musiały być posłuszne nowemu wezwaniu, miały więc ruszyć po śladach czołowych gromad i potoczyć się dalej, jeszcze dalej...

Na południe, do świata ludzi.

W górę stoku spieszeni jeźdźcy z wielkim trudem nieśli ciało młodej wojowniczkii, na ich twarzach zaś malował się wyraz najgłębszego smutku.

Shehi nie płakali, bo nic, co żyło pod niebem Aleru, nie było zdolne do płaczu. To nie należało do ich świata.

ROZDZIAŁ 1



Rozrzuconej na zimowych leżach Armii Toru nie udało się skupić do bitwy. Jak na ironię – to złamanie jednej z najważniejszych reguł sztuki wojennej, zazwyczaj niefortunne, uchroniło wojsko od zagłady. Wobec przewagi, jaką dysponował wróg, nawet dwakroć liczniejsze siły musiałyby ponieść klęskę. Rozproszone oddziały doznały dotkliwych strat, doszło do wielu potyczek i dwóch większych bitew, w wyniku których armia przestała istnieć jako całość, wciąż jednak istnieli żołnierze. Ocalono niemal wszystkie zapasy i materiały wojenne składowane w Torze; porzucono w zamian niestety cały tabor, bo setek wozów i tysięcy zwierząt nie dało się trzymać w warowni.

Ścisk w obrębie murów panował niesłychany, mieszkało wszędzie, nawet w piwnicach i basztach, i tylko zimowe chłody zapobiegły wybuchowi zarazy – przecież żadne wygodki i latryny nie mogły podołać zadaniu. Ale znów: przewrotność losu wojennego sprawiła, że oblężonym nie groziło widmo głodu, właśnie dzięki nadzwyczajnym, zgromadzonym dla polowej armii zapasom.

Gorzej wyglądała sprawa z wodą. Śnieg na razie rozwiązywał problem, ale niemal od razu każdą beczkę, każdą kadź i każdy zbędny ceber ustawiono do łapania śniegu, deszczu, a zresztą czegokolwiek, co padało z nieba – ostatecznie mógłby być i grad. Robiono zapasy. Wydawało się więcej niż pewne, że dwie zamkowe studnie nie nastarczą wody.

Przyzamkowa osada służebna była niestety stracona. Inaczej niż w Rewinie, nigdy jej nie opasano osobnym murem. Młodszy od Rewinu Tor rozrósł się już po zawarciu pokoju ze zwycięskim Królestwem Trzech Portów, które wspólnie z Wielkim Księstwem Riny i Rapy utworzyły pierwsze Królestwo Armektu; rozbudowywanie i poprawianie warowni w środku tego królestwa uznano za niecelowe.

Złoci Alerowie nie umieli zdobywać zamków i stanic, nie umieli nawet strzelać z niczego, więc porządki w twierdzy zaprowadzono przedziwne, bo prawie wcale nie obsadzono baszt i murów, które samym swym istnieniem zabezpieczały przed wrogiem, za to każdy skrawek miejsca przeznaczono do użytku ludzi, których było ponad siedem tysięcy. Składała się na tę liczbę załoga, ocalali z pogromu żołnierze z rozbitych bądź wycofanych oddziałów, wielu ludzi z armijnego zaplecza, mieszkańcy przyfortecznej osady służebnej i kilkuset uchodźców z innych wsi.



W stajni trzymano wierzchowce fortecznej jazdy oraz znakomite zwierzęta kilkunastu gońców. Oprócz tego, wbrew zdrowemu rozsądkowi, znaleziono miejsce dla półtorej setki innych koni, bo dwa zwarte oddziały armektańskich łuczników gotowe były wyrąbać drogę dla tych zwierząt i rzeczywiście niewiele brakowało, a przed bramą zamku doszłoby do bratobójczych starć. Zapobieżono im w ostatniej chwili.

Były to wierzchowce dartańskie. Wszystkie inne zwierzęta, głównie taborowe, zebrane w wielkie tabuny, wywiedziono w stepy. Prowadzone przez konnych łuczników (bo lekkiej jazdy, formacji zdolnej do ucieczki przed wrogiem, nie zatrzymano, a wręcz wyprawiono z zatłoczonego zamku), te tabuny mogły dotrzeć w bezpieczne miejsce, a wreszcie na dalekie tyły albo, co niestety bardziej prawdopodobne, posłużyć sformom złotych Alerów za niezwykle smaczne pożywienie. Lecz nie było innej możliwości ocalenia tych zwierząt, podjęto więc ryzyko.

o o o

We wspaniałej armektańskiej maszynie wojennej, podziwianej przez podbite ludy Szereru, nie wszystkie tryby kręciły się tak samo dobrze. Przypominała o sobie odwieczna reguła: coś za coś. Jednolicie uzbrojone i zorganizowane oddziały można było dowolnie zestawiać i wymieniać między legionami, wszędzie obowiązywały takie same insygnia i komendy. W zamian nie istniały lub prawie nie istniały bojowe tradycje oddziałów. Była to jedna wielka armia, zwarta i sprawna jako całość albo dowolnie dzielona na tak samo działające części, w której jednak żaden legion nie miał własnych oznaczeń, sztandarów

ani tradycji, a zresztą nawet nazwy, bo numery i miana nadawano doraźnie.

Sporo tu zmieniała przegrana – lecz przegrana chwalebnie – wojna z rycerskim Dartanem.

Dartańskie rody miały swoje tradycje, a chorągwie miały własne znaki. Były nazwy, które coś oznaczały: Chorągiew Seyeńska utwierdzała na polach bitew chwałę swego wspaniałego miasta, Chorągiew Trzeciej Szarzy przejęła pamięć i tradycje chorągwi sprzed wieków, wsławionej w wewnętrznych wojnach o koronę, a później w pierwszej wojnie dartańskiej, po której nastąpiły czasy Złotej Prowincji. Świeżą sławą obrosły żołnierskie – bo tylko wyposażone na wzór rycerskich – chorągwie księżnej Ezeny, pani Dobrego Znak: Szara, Czarna Przyboczna, Trzech Sióstr i Pierwszego Śniegu, Błękitna i Stu Róż, a wreszcie pierwsza ze wszystkich, najświetniejsza Chorągiew Domu.

Po tej wojnie Legia Armektańska czegoś się wreszcie nauczyła. Nadal nadawano tymczasowe nazwy i numery, wymieniano między legionami półsetki i kliny, lecz niektórym oddziałom pozwolono zachować miana zdobyte w walce lub tymczasowo nadane wcześniej, pod którymi się następnie wsławiły.

Kiedyś pod Kirlanem trzymano elitarny półlegion gwardyjski. Podczas wojny rozwinięty do pełnego legionu, takim już pozostał, a był chyba najdziwniejszym legionem imperialnym: oprócz półlegionu Gwardii Armektańskiej w jego skład wchodził jeszcze półlegion halabardników, wywodzących się z dawnej straży przybocznej dartańskiego Księcia Przedstawiciela w Rollaynie, wreszcie trzeci półlegion, w czerwonych tunikach zostawionych na pamiątkę po Legii Dartańskiej – wojsku Pierwszej Prowincji Cesarstwa.

Legion zachował część zdobytego w boju miana „żelaznej ariergardy”. Nazywano go teraz Żelaznym.

Były jeszcze legiony: Konny, Północny, Zachodni, 1 i 2 Wschodni (oba w czerwonych tunikach), a w ich składzie czarny Półlegion Akalski. Wszystkie pamiętające wojnę armektańsko-dartańską i wciąż mające w szeregach wielu weteranów.

Lecz w rozpoczynającej się nowej wojnie pierwsze sławne miano, jakie wypłynęło, było mianem oddziału dartańskiego.

Niespełna trzystu dwudziestu jeźdźców, skrzykniętych z całego kraju i posłanych do Armektu jako symboliczne wypełnienie traktatowych zobowiązań, przydzielono do Armii Toru – tam zaś armektańska Niepojęta Arilora od razu pozwoliła im potwierdzić pyszną, zaiste po dartańsku pompatyczną nazwę, którą sobie przybrali. Przeważnie niebogaci, okryci niekompletnymi zbrojami ochotnicy na koniach, z których wiele miało się do rycerskich rumaków akurat tak, jak wiejski kundel do wilka, przed wyruszeniem na wojenną awanturę mianowali się Chorągwią Chwały Dartanu.

Potwierdzili tę nazwę w pierwszym boju.

Dwie kolumny imperialnych łuczników, które były gotowe użyć broni przeciw innym armektańskim żołnierzom, byle wprowadzić do twierdzy półtorej setki koni, zawdzięczały tym jeźdźcom przetrwanie. Niekarna, niemogąca utrzymać szyku „grotu” chorągiew, bardziej kupą niż w jakimś ordynku, w brawurowej szarży wypadła zza pleców piechurów i rozniosła na kopytach i kopiach, następnie zaś rozpedziła może tysiąc złotych Alerów, tracąc wielu rycerzy, dwakroć więcej strzelców-pocztowych i połowę ciężko poranionych lub zabitych koni.

Dwustu pięćdziesięciu lekkozbrojnych łuczników nie miałyby w tym starciu żadnych szans, a nie mogło uciec przed znacznie

szybszą od nich złotą sforą. Dartańczycy zawrócili na ratunek i ocalili tym żołnierzom życie, płacąc setką zabitych i rannych – z tych ostatnich niejeden jeszcze miał umrzeć lub do końca życia pozostać kaleką.

Nikt już nigdy się nie śmiał z cudacznym starym kirysów, przestarzałym hełmów i nie najlepszym koników, a już najmniej z nazwy Chorągwi Chwały Dartanu.

Dwaj rycerze powalili w tym boju coś jeszcze – coś, o czym już krążyły żołnierskie opowieści, a o czym wiadano, że jest zupełnie odporne na strzały łuczników, włócznie lekkiej jazdy, a nawet mało wrażliwe na topory ciężkiej piechoty. Rycerze Chwały Dartanu zabili – a może raczej: zniszczyli? – dwóch kamiennych Alerów. Poparta masą rozpędzonego konia i jeźdźca ciężka kopia sprostała wyzwaniu, jakiemu nie mógł podołać słabszy oręż. Jednego z powalonych potworów do reszty roztrzaskali korbaczami i toporami inni ciężkozbrojni.

Oddziały rozbitej Armii Toru wciąż przedzierały się do twierdzy, staczały na śnieżnych polach potyczki z rozlanymi po kraju sforami, szukały schronienia w lasach. Pojedynczy żołnierze błakali się po bezdrożach, ukrywali w opuszczonych wiejskich chałupach. Dołączali do większych oddziałów, skupiali się w grupy i grupki, zamarzali, głodowali, byli tropieni, ścigani i masakrowani przez rude półzwierzęta, które mogły wyłonić się zewsząd, bo wszędzie było ich pełno.

Z samej twierdzy wyprawiono cztery pary gońców na najlepszych koniach. Ci ludzie mieli tylko jedno zadanie: przedrzeć się w kierunku Riny, do pierwszych bezpiecznych, jeszcze niezaatakowanych miast i miasteczek obwodowych, by stamtąd dostarczyć raporty do Trzech Portów, a zresztą dokądkolwiek. Bez taborów i bez koni to, co nazywano niedawno Armią Toru, nie miało prawie żadnej wartości, był to tylko tłum uzbrojonych ludzi. Jednak żywych ludzi,

wyszkolonych i gotowych z powrotem stanąć w szeregach. Należało ich uwolnić z pułapki, wycofać i zreorganizować – wszystko to było trudne, lecz chyba wykonalne.

Alerowie najwyraźniej nie zamierzali prowadzić regularnego oblężenia. Nie otoczono Toru zwartym kręgiem i nie odcięto od świata. Tu i tam koczowały jakieś sfory, odchodziły, przychodziły inne – niektóre ogromne, inne małe.

Nie wiedziano, co o tym myśleć. Do stolicy Okręgów Wschodnich Pogranicza dawno już dotarły wieści z Rewinu, że Złote Plemiona nauczyły się tworzyć armie, a przynajmniej coś podobnego do armii, że walczą mądrzej niż kiedyś; że są zdolne do wdrażania prostych, ale jednak sensownych planów. Lecz pod Torem nie było tego widać. Zza granicy wypadły i przemierzyły kilkadziesiąt mil dzikim pędem zajadłe, niesłychanie liczne gromady, które zmiotły wszystko, co znalazło się na ich drodze – ale tylko tyle. Impet wyraźnie wygasał, żadnych armii, a cóż dopiero planów wojennych lub niechby tylko bitewnych, nie było ani śladu. Coraz bardziej rozdrażnione, ale równie często zniechęcone, wyraźnie wyczerpane i zagubione sfory włóczyły się po kraju i chyba nie wiedziały, co robić.

Udało im się zdobyć ogień, zapewne z niedogaszzonego paleniska w jakiejś wsi. Tu i tam zapłonęły ogniska, podtrzymywane z wielką pieczołowitością. Stwory próbowały ryć jamy w skamieniałej od mrozu ziemi. Zamarzały na śniegu, wszczynały bratobójcze boje, pożerały świeże trupy towarzyszy.

Lecz nie wszystkie stada zaległy w prymitywnych obozowiskach, wiele grup się przemieszczało i wszędzie było ich pełno, a każdy z rudych potworów potrafił się poruszać niemal tak szybko jak koń.

Z wysłanych przez komendanta Toru gońców przedarło się czterech – jeden poważnie ranny, wkrótce skonał. Lecz

w Miejskim Okręgu Riny wojny na razie nie było, a jeśli nawet nadciągała, to niespiesznie. Wyczerpani wojskowi jeźdźcy mogli odpocząć, zamiast nich popędzili traktem do stolicy cesarscy kurierzy, wiozący bezcenne raporty.

o o o

Setnik Rawat nie chciał mieć tajemnic. Więcej: wiedział, że nie wolno mu ich mieć. Inne owszem, ale nie te.

A jednak przemógł się z trudem.

Nosił swoją wiedzę od kilkudziesięciu lat i była to wiedza wyśmiewana. Nawet teraz oczekiwano od niego różnych rzeczy, ale chyba jednak nie tego, że będzie opowiadał o... snach.

Na drugim postoju za Kanazą wybrał sobie do rozmowy Ajana. Miał wrażenie, że ten człowiek najwięcej w życiu widział, poznał różne kraje, wiódł życie barwne, ale chyba nie zbrodnicze, chociaż jakoś jednak występne, skoro był skazańcem w kamieniołomach. Jednakże właśnie zesłanie do kamieniołomów wystawiało mu znośne świadectwo, bo surowe prawo imperium nie traktowało zbrodniarzy tak łagodnie; zbrodniarzy wieszano. Mógł być złodziejem, oszustem, ale mordercą raczej nie. Kim był jeszcze? Kiedyś Jeźdźcem Równin, później najemnikiem. Wiedział coś o morzach i portach, kilkakrotnie wspomniał o Nin Aye, ogromnym mieście, które dobrze znał. Rawat liczył, że ten człowiek najpierw pomyśli, zanim lekceważąco wzruszy ramionami.

I miał słuszność.

– Byłem i chyba nadal jestem żołnierzem – rzekł późnym wieczorem, a trzymał się, jak na tę porę, wyjątkowo trzeźwo, choć kubek z gorzałką dzierżył jak najbardziej. – Nie umiem przemawiać do zgromadzeń, zaraz bym urządził odprawę. Wysłuchaj mnie, panie, a potem wszystko przemyśl i powtórz

rano naszym towarzyszom. Będą mieli pytania, to odpowiem. Ale niech usłyszą najpierw od ciebie. Ja już dość się napatrzyłem na miny ludzi, którzy słuchają gadania pomyleńca.

Zajmowali obszerną szopę udostępnioną przez wieśniaków. Niewiele było w niej siana i chyba tylko dlatego przyniesiono im prawdziwą latarnię. Przeważnie w takich w miejscach wystrzegano się jakiegokolwiek, nawet dobrze zabezpieczonego ognia.

Tak czy owak, jedna zawieszona na belce latarnia dawała niewiele światła. Dość, by trafić do drzwi, gdyby ktoś koniecznie musiał wyjść za potrzebą.

Setnik wybrał sobie miejsce do spania z dala od innych. Przywołał Ajana, gdy już wszyscy układali się do snu. Poprosił o bukłak z wódką (był stary i miał przywileje), a gdy Ajan go przyniósł, wskazał miejsce: „Usiądź”.

W ten sposób zaczęli rozmowę.

– Trzydzieści parę lat temu porozumiałem się z alerskim srebrnym wojownikiem, ale to była „rozmowa”, którą i ty byś, panie, przeprowadził. Najbardziej pracowały przy niej ręce, język prawie wcale. Kilka miesięcy później znałem ich mowę na tyle, że prawie wszystko rozumiałem, choć niewiele słów potrafiłem wymówić. To nie jest język dla człowieka, ale znam go. Już tłumaczę skąd. Otóż, panie, wszystko mi się przyśniło. Miałem sny. I to takie, z których pamiętałem każde słowo.

Zamilkł, jakby czekał. Ale się nie doczekał. W mroku twarz rozmówcy była niewidoczna, a Ajan nic nie powiedział.

– Spotkałeś się kiedyś, panie, z czymkolwiek, co miało związek z Szernią albo innymi cudami porozwieszanymi nad światem? – zapytał setnik.

– Widziałem Listki Szczęścia, Porzucone Przedmioty. Ale znam się na tym tak świetnie, wasza godność, że to równie

dobrze mogły być pomalowane kamyki na łańcuszkach. I jeszcze... Ale to żeglarska legenda.

– O czym?

– O przeklętym żaglowcu i przeklętej księżniczce piratów. Żaglowiec był prawdziwy, piraci też. Księżniczki ani żadnych cudów nie widziałem, a o Szerni wiem to, co każdy. Że jest.

– Przeżyłem prawie tyle lat, ile ty masz, panie, zanim... Bo nie masz chyba jeszcze czterdziestu? W twoim wieku wiedziałem o Potęgach nad światem właśnie tyle samo. Właściwie nadal wiem niewiele więcej. Ale za to wiem bardzo dużo o świecie po drugiej stronie granicy. Chyba więcej, niż gdybym tam był.

Odkasznął i napił się wódki. Ajan też, ponieważ jednak nie miał kubka, pociągnął prosto z bukłaka.

– Przez trzydzieści lat nic się nie działo – podjął starzec. – A od jakiegoś czasu... To wróciło, bardzo niewyraźne. Może trzy, cztery lata temu. A przed rokiem pojechałem na Północną Granicę, bo chciałem się dowiedzieć... I dobrze zgadłem. Każdego dnia było tak, jakbym słyszał lepiej, a na samej granicy... Byłem w jednej ze stanic. Spałem całą dobę, a gdy się obudziłem, to nieprędko wiedziałem, gdzie w ogóle jestem. To jest... to bywa takie wyraźne. Ostatniej nocy na statku śniłem znowu.

Jeszcze raz pociągnął z kubka. Zwykle wysławiał się krótko, treściwie. Teraz trochę się plątał, wyraźnie brakowało mu słów.

– Posłuchaj, panie, zanim uznasz mnie za pomyleńca, który z własnych snów uczy się obcych języków. Opowiem ci dość dokładnie, dlaczego i w jakiej liczbie złoci wtargnęli na nasze ziemie, co sprawiło, że gnali tak szybko, że gońcy ze stanic nie zdążyli w porę ostrzec Armii Toru. Myślę, że już za kilka dni potwierdzi się wiele z tego, co zaraz ci powiem. Słuchasz, żoł...

Uśmiechnął się i było to słychać w głosie:

– Słuchasz, panie, czy idziesz spać?

– Słucham, setniku. Cesarzowa i jej małżonek nie pisali do pomyleńca.

– Oby tylko wystarczyło nam wódki.

Rozmawiali do północy. Nawet dłużej.

Setnik zasnął zupełnie pijany, Ajan nieźle podpity.

Rano jednak podniósł się pierwszy, na dworze było jeszcze szaro. Doglądnął koni. Miały dość siana, ale należało je napoić. Wziął ceber, pożyczony minionego dnia, przyniósł wodę ze studni.

Nie budził starca, w zamian dotrzymał słowa: zebrał troje towarzyszy i przy porannym posiłku opowiedział im wszystko. Tak dokładnie, jak umiał.

Wymienili uwagi. To i owo powtórzył, odpowiedział na kilka pytań.

– A co na to nasz uczonec? – Aktar nie pozwolił milczeć synowi.

Wenewet nie spieszył się. Morska podróż to był dobry pomysł, wkupił się nim w łaski dowódcy oddziału. Aktar... tak, oczywiście miał go za dorosłego, ale to znaczyło, że nie spodziewa się po synu żadnych kłopotów. Okazało się, że może mieć pomoc; że najmłodszy członek oddziału jest pożyteczny. Teraz dowódca skrzętnie skrywał zadowolenie, nawet dumę.

Nie dość skrzętnie. Ojcowie bywali zabawni.

– Sam mówiłeś, Aktarze, że za setnikiem świadczy ktoś taki, jak tysięczniczka Agatra. Trzeba mu wierzyć, bo inaczej cała ta wyprawa nie ma sensu. To jasne, że zdobył swoją wiedzę w jakiś dziwny sposób, bo jak miał ją zdobyć? W szkole? Wierzmy mu.

Aktar skinął głową.

Było trochę ciemno, światło dzienne wpadało tylko przez różne szczeliny. Można by otworzyć drzwi, wtedy zrobiłoby się

widno. Ale i zimno. Odwilż trwała w najlepsze, niemniej zima była jednak zimą.

Ayana wciąż czuła głód. Zabrała bratu nadgryziony ser. Ajan wyraźnie nie miał apetytu. Prawdę mówiąc, trochę śmierdział wódką. Prawie nigdy nie pił, chyba że w mroźny dzień na rozgrzewkę.

Teraz rozważał coś w myślach i pozwolił ograbić się z sera, a potem także i chleba.

– Oni mają kogoś... Srebrni Alerowie, mówiłem wam o tej dziwnej bitwie w górach – wytłumaczył. – Mają kogoś, kto potrafi robić jakieś cuda. No, ta wojowniczką. Tego nie zrozumiałem.

– Tak jak u nas Przyjęci?

– Przyjęci. Tak, i przekłeta piracka księżniczka, a jej największe cuda były z przodu i takie – pokazał rękami, a Ayana wydeła usta. – Każdy jak moja głowa, o tych cudach nasłuchałem się najwięcej. Przyjęci mogą nie wiadomo co, tylko że nikt nigdy tego nie widział – podsumował rozsądnie. – Przegrywane są wielkie wojny, rozpada się imperium, Grombelardem rządzą bandy jakichś zbójów, tu była już jedna wojna na granicy... A Przyjętych ani widu, ani słyhu. To znaczy: oni są, to akurat wiadomo. Tylko te ich cuda...

– Rozmawiałem z jedną z nich – rzekł Aktar, głęboko zamyślony. – Możesz mieć dużo racji. Właściwie wszystko, co mówiła, znaczyło tyle samo: „Do niczego się nie przydam”. To chyba naprawdę są bajki, że oni mogą sprawiać nie wiadomo co. Cały czas powtarzała: „Jestem tylko historyczką Szerni”. Zbudź, synu, setnika. Dobrze zgadł, że będziemy mieli trochę pytań. Ja w każdym razie mam.

Wenewet zbudził starca i zostawił mu nieco czasu na zajęcie się wszystkim, co koniecznie trzeba zrobić rano. Potem przyniósł kubek z wodą, trochę chleba, wędzonki i sera do

wyboru. Poczekali, aż setnik zaspokoi poranny głód. W odróżnieniu od Ajana miał zupełnie normalny apetyt.

– Wasza godność, w Rewinie dadzą nam rozkazy dla dowódców stanic – rzekł Aktar. – Żołnierze chętnie albo niechętnie pokażą nam jakiś obóz srebrnych Alerów, nawet odprowadzą w pobliże. A potem będą patrzeć z daleka, jak próbujemy rozpocząć rozmowy, i będą się zakładać, czy zdołają odzyskać nasze trupy. Tak to sobie z grubsza wyobrażam.

– Ale myślisz to, co wszyscy, panie. Że nikt nigdy nie dogadywał się z Alerem, ta historia Rawata to jakieś wyjątkowe zdarzenie. A, nieprawda – powiedział setnik.

– Nie było wyjątkowe?

– Było i nie było. Ja też myślałem kiedyś... Jeszcze dzisiaj pamiętam, co powiedziałem żołnierzowi, którego wtedy miałem przy sobie. „Nikt z nimi nigdy nie rozmawiał, umiemy ich tylko zabijać”. A, nieprawda – powtórzył.

Powiódł spojrzeniem.

– Jeśli dobrze poszukać, wczytać się w stare dzienniki stanicznych garnizonów... Zdarzało się negocjować, przeważnie przypadkiem. Nikt tego nie planował, ktoś coś po prostu zrobił – wytłumaczył. – W jakiejś wiosce coś z nimi kiedyś wymieniono, żaden handel, chyba tylko zwykła wymiana czegoś na coś. Kiedy indziej dogadał się z nimi dowódca oddziału, oddał im kilku rannych, a oni w zamian odeszli, chociaż byli silniejsi. Ale dotrzymani układu, a mogli nie dotrzymać po odzyskaniu rannych. Wcale nie byłem pierwszy, który z nimi się porozumiał.

– Często się zdarzało?

– Prawie nigdy. Rzadko. Ale nie wiem, jak rzadko, może było tego więcej i gdyby ktoś naprawdę umiał szukać takich historii, i poświęcił temu dość czasu, to znalazłby więcej. Ja poświęciłem tyle, ile mogłem. Chociaż... Pewnie mogłem poświęcić jeszcze

trochę. Ale miałem dosyć tego wszystkiego. Myślałem, że mam dosyć raz na zawsze. Aż tu parę lat temu znów zaczęło mi się coś majaczyć. Ledwo, ledwo. Rano zwykle prawie nic nie pamiętałem. Tylko tyle, że mi się śniło.

– Wasza godność, miesiąc temu rozmawiałem w Kirlanie z Przyjętą.

Setnik się zdziwił.

– Przyjęta? Myślałem, że oni wszyscy to mężczyźni.

– Tego już nie wytłumaczę. Ale była na naradzie u księcia małżonka cesarzowej. Myślę, że on wie, kogo zaprasza.

– Na pewno.

– Czy twoja wiedza, wasza godność, nie powinna do niej dotrzeć? Może mogłaby więcej zrozumieć, wytłumaczyć?

– Może tak. Czytałem kiedyś list od Przyjętego, napisał do dowódcy Okręgów Wschodnich. Szkoda, że powiedziałaś mi o tej Przyjętej dopiero teraz. Nie wiedziałem, że mają Przyjętą. Z Donaru blisko do Kirlanu, mogłem jej coś posłać.

– Co takiego?

Setnik wskazał palcem swoją sakwę juczną.

– Zechciej, chłopcze...

Wenewet przyniósł sakwę. Stary żołnierz pogrzebał w niej i wyjął owinięty skórą pakunek. Rozwinął. W środku był zwykły cynowy dzbanek z pokrywką.

– Bałem się wilgoci – wyjaśnił Rawat, pozwalając zajrzeć pod pokrywkę; w środku znajdował się zwinięty w rulon plik kart. – Tu jest wszystko, co wiem o Alerach. Oprócz tego, co mi się śniło na statku. Mam przybory, mogę parę słów dopisać.

– W takim razie nadłożymy trochę drogi i skęcimy do Wezu – postanowił Aktar po krótkim namyśle. – Aż kusłoby zajrzeć do domu. Z Wezu Trybunał albo wojsko prześle to z powrotem do stolicy. Tylko, setniku... Te zapiski mogą mieć dużą wartość.

Jeśli umrzesz lub zginiesz, a one gdzieś przepadną... – wyjaśnił bez ogródek.

– Wojny tutaj nie ma, zbójów na drogach chyba też nie, więc raczej nie przepadną. Drugi taki plik zostawiłem w domu, pod opieką gospodarza. Miałem naprawdę dużo czasu na pisanie, a zresztą na wszystko. Tamto pokreślone, pomazane. Będzie z dziesięć lat, jak przepisałem porządnie, i ten plik mam tutaj. Ale tamto ciągle leży w domu.

– Jeśli tak, to...

Zawahał się.

– Gdy usłyszeliśmy o zniszczeniu Armii Toru, nie przejąłeś się zbyt, panie. A zdaje się, że możesz wyjaśnić, dlaczego Złote Plemiona weszły do Armektu.

– Dla dowódcy Armii Toru, ktokolwiek nim teraz jest, to bezwartościowa wiedza. A tutaj wkrótce spłyną meldunki i raporty, i będą wiedzieli, co robić. Gdybym wiedział o tej Przyjętej, o ile w ogóle nadal jest w Kirlanie, bo była, mówisz, miesiąc temu, tak? No, ale gdybym wiedział, tobym pewnie jej posłał te zapiski razem z tym, co chcę dopisać teraz. Ona przynajmniej może mi uwierzyć.

– Jednak o tych złotych Alerach, którzy uderzyli na...

– Miałem w Donarze pobiec do komendantury garnizonu i opowiedzieć, co mi się śniło?

Popatrzyli po sobie.

– „Żołnierzu, melduj mnie u komendanta” – rzekł Wenewet, dość udatnie naśladowując sposób mówienia starca. – „Komendancie, śniło mi się, że wasze wojska... Bo ja mam takie sny, zapytaj cesarzową!”

Uśmiechnęli się wszyscy, Rawat też.

– Właśnie tak – skwitował. – Już się trochę, panie, przyzwyczałeś do swojej dziwnej misji, a nawet do mnie – dorzucił, patrząc na Aktara. – Na własne oczy widziałeś

prawdziwą, żywą Przyjętą. Ale prawda jest taka, że do kogokolwiek pójdziesz i opowiesz o tym, co robisz, to ten ktoś popuka się w czoło. Napijmy się teraz i daj mi naskrobać parę słów na ostatniej z tych kart. Tutaj nie kapie na głowę, a jak pochucham w palce, to może utrzymam pióro.

– Ja napiszę – powiedział Wenewet. – Ty mi, panie, tylko podyktuj.

ROZDZIAŁ 2



Armektańskich dowódców starano się nie przeciążać obowiązkami, dlatego starannie rozdzielano funkcje. Kto inny był dowódcą Wojskowych Okręgów Zachodnich Pogranicza, ktoś inny komendantem Rewinu. Potrzebny był jeszcze osobny nadtyśnięcznik-komendant formowanej armii polowej.

Niestary jako mężczyzna, a jak na nadtyśnięcznika wręcz młody, bo niespełna pięćdziesięcioletni W.Aronet, sławny dowódca Legii Armektańskiej, został... zdegradowany. Był sprawdzonym dowódcą polowym, odebrano mu więc dowództwo Okręgów Zachodnich Pogranicza, bo tutaj potrzebny – i wystarczający – wydawał się sprawny zarządca, trochę kwatermistrz i intendent, a ostatecznie strateg. Wbrew pozorom łatwiej było o takiego niż o kogoś, kto zrobi właściwy użytek z powierzonych mu legionów, postawionych naprzeciw alerskiego mrowia. Aronet przeszedł więc pod rozkazy nowo mianowanego komendanta Okręgów Zachodnich, też weterana wojny armektańsko-dartańskiej, jednak ustępującego mu w starszeństwie. Jego godność Owen, doświadczony żołnierz, dowodził jednym z legionów Armii Zachodniej pod komendą L.K.Caronena, znakomitego wodza, którego teraz bardzo brakowało. Posunięty w latach, lecz jeszcze nie sędziwy, zmarł przed dwoma laty na chorobę płuc, a byłby wymarzoną kandydatem na stanowisko komendanta Okręgów Zachodnich.

Niestety.

Przysłany do Rewinu Owen został nadtyśięcznikiem dopiero po wojnie, podczas gdy Aronet awansował jeszcze w trakcie zmagañ, choć trwało juź wtedy nieformalne zawieszenie broni. Dołożono jednak wszelkich starañ, by między Aronetem i Owenem, którzy zresztą dobrze się znali i nigdy nie byli wrogami, nie doszło do zadrażnień. Aroneta wprost zapytano (uprzejmość zgoła niewojskowa), czy zechce przejść pod rozkazy młodszeo stażem dowódcy.

Aronet szczerze chciał. Podczas pokoju gotów był sprawować dowolną, a najlepiej niemęczącą i dobrze płatną funkcję, w czasie wojny jednak widział się w polu i nie ukrywał tego. Współpraca z nowym dowódcą Wojskowych Okręgów Zachodnich nie zaczęła się więc od zgrzytów.

I trwała w najlepsze. Na razie więcej roboty miał Owen, Aronet bowiem dowodził trzema legionami ze szczątkowym taborem i niekompletnymi służbami, która to „armia” mogła działać wyłącznie w oparciu o twierdzę, bo bez zapasów w polu umarłaby z głodu. Owen musiał pozyskać i ściągnąć oddziały, zadbać o kwatery i zaopatrzenie, Aronet tylko organizował i zgrywał w całość to, co dostał. W wolnych chwilach chętnie więc pomagał nowemu komendantowi Okręgów, doradzając i wprowadzając go w sprawy, które jeszcze niedawno były jego sprawami, wieczorami zaś mógł roztrząsać szyki i taktyki, rozważać sposoby walki z wrogiem, które wcale nie były oczywiste, bo doświadczenia z podjazdowych wojenek, jakie toczono tu od zawsze, miały się całkiem nijak do działań wielotysięcznych armii.

Ze stoczonej przed trzema, prawie juź czterema dekadami wojny dało się wywnioskować mniej więcej tyle, że mieszane wojsko armektańskie, złożone z konnych i pieszych łuczników, a wsparte przez tarczowników, jest w polu mniej więcej równorzędnym przeciwnikiem dla dwakroć liczniejszej armii

srebrnych jeźdźców. Ze swoimi trzema silnymi legionami mógł więc nadtyśicznik Aronet pokusić się o pobicie ośmiu, niechby dziesięciu tysięcy wrogich wojowników.

Stało przed nim pięć lub sześć razy tyle, a w ogóle nie dało się policzyć złotych stworów, tym bardziej zaś oszacować ich bojowej wartości.

Krótko mówiąc, na widok scalonych choćby w połowie sił alerskich nadtyśicznik na razie mógł tylko uciekać. I miał szansę uczynić to skutecznie, bo twierdza była tuż.

Budynki mieszkalne dla napływających żołnierzy – dość prymitywne, obliczone na jedną zimę i pomyślane tak, by użyte do budowy drewno dało się łatwo odzyskać – sklecono i postawiono pod zewnętrznymi murami warowni, niejako powiększając osadę służebną. Przewidziano miejsca na paleniska. Żołnierzom w tych kwaterach było niezbyt wygodnie, ale wystarczająco ciepło.

Mimo pewnych już wieści o rozbiciu Armii Toru Aronet, gdy dokonywał pierwszego przeglądu swego wojska, był dobrej myśli. Z dartańskiego pogranicza maszerowały wyszkolone i przygotowane do walki legiony z kompletnymi taborami i służbami, mające dołączyć do tych, które już stały pod Rewinem. A on miał zaś pod komendą siły wyjątkowe, przede wszystkim dlatego, że już je kiedyś prowadził. Dwa z trzech legionów to były „czerwone” Legiony Wschodnie. Niektórzy z tych żołnierzy odbyli kiedyś sławną kampanię pod komendą nadtyśiczniczki Terezy, a po jej śmierci – tyśicznika W.Aroneta we własnej osobie. Niektórych nawet poznawał.

Mało tego, obiecano mu coś jeszcze, mianowicie najlepszy legion, jaki miało Wieczne Cesarstwo. Zrezygnowano z organizacji Armii Odwodowej, skutkiem tego miał dostać pod komendę gwardyjski Żelazny Legion, dowodzony przez jedną z najsłynniejszych żołnerek Szereru: tyśiczniczkę Żelazną

Agatrę. Znali się i szanowali, chociaż niezbyt lubili (tysięczniczkę trudno było lubić). Ona też walczyła pod jego komendą.

Razem dziewięć legionów, do których powinien wkrótce dołączyć dziesiąty, sformowany właśnie w okręgu Kanazy i jeszcze niedoszkolony, ale dobrze wyposażony i silny liczebnie. Armia Rewinu miała liczyć trzynaście tysięcy żołnierzy, w tym cztery tysiące jeźdźców, pięć tysięcy łuczników pieszych, trzy tysiące ciężkiej piechoty i tysiąc konnych piechurów.

Ta ostatnia formacja wywodziła swój rodowód z wojny armecktańsko-dartańskiej. Licznych żołnierzy, patrolujących konno gościńce Pierwszej Prowincji, nie dało się użyć w boju jako jazdy – nie byli szkoleni do walki tego rodzaju, nie znali komend i nie opanowali manewrów lekkiej konnicy. Pozostali piechotą, lecz szczególnego rodzaju, bo przemieszczającą się w siodłach, więc mogącą dotrzymać kroku jeździe. Zapisali chlubną kartę, odznaczyli się jednak raczej poświęceniem i odwagą niż skutecznością. Niedozbrojeni i niedoszkoleni, po wojnie wszyscy otrzymali kusze i przeszli odpowiednią szkołę ciężkiej piechoty strzelczej, bo w imperialnych wojskach kusznicy, lepiej opancerzeni od łuczników i szkoleni także do walki wręcz (ich broń miała zbyt małą szybkostrzelność, by mogli zawsze utrzymać wroga na dystans) zaliczani byli do ciężkiej piechoty. Wyszła z tego formacja bez mała elitarna, a w każdym razie niezwykle wszechstronna: „zapchajdziury” stały się oddziałami dobrze wyćwiczonych, błyskawicznie przemieszczających się kuszników, którzy w razie potrzeby mogli porzucić swe kusze, dobyć mieczy i powyrywać z ziemi osłaniające ich pawęże, by ruszyć do bezpośredniego boju. Mało tego: podczas ćwiczeń żyli się ze swoimi wierzchowcami, udoskonalili umiejętności jeździeckie i od biedy dało się ich

użyć nawet jako średniej jazdy, opancerzonej lepiej niż łucznicy konni, choć niepotrafiącej strzelać w ruchu.

Nie była to wina broni – żołnierze używali lekkich samostrzałów, takich jak pocztowi w dartańskich chorągwiach rycerskich – lecz braku koncepcji użycia kuszników konnych. W ciężkich chorągwiach dartańskich pocztowi tylko wypełniali wnętrze szyku. Osłonięci zbrojami kopijników, tuż przed zderzeniem z wrogiem mieli posiać bełtami zamieszanie w szeregach przeciwnika, a potem włączyć się do walki wręcz. Tymczasem w rękach konnych piechurów wolnostrzelna broń była zawadą. Daleki ostrzał prowadzony z grzbietu wierzchowca rozczarowywał, a bliski nie zostawiał dość czasu na sięgnięcie po miecze i zawieszony przy kulbakach pawężowe tarcze. Konny łucznik w galopie też nie strzelał zbyt celnie, ale mógł wypuścić dziesięć strzał w tym samym czasie, którego konni kusznicy potrzebowali na posłanie jednego bełtu.

Zrezygnowano z trudnego szkolenia, którego efekty na pewno nie mogły być proporcjonalne do wysiłku. Na okazję walki konnej, zawsze traktowanej jako ostateczność lub konieczność, piechurzy wozili przy siodłach dodatkowe miecze, znacznie dłuższe i mniej wygodne od solidnych mieczy piechoty, ale bardziej przydatne w boju konnym – te miecze to też była pamiątka po minionej wojnie, kiedy niedozbrojeni legioniści korzystali ze zdobycznego oręża dartańskiego. Ostrzał z siodła przewidziano tylko w jednym wypadku: wycofania się własnego lub bratniej formacji. Oddział miał osłonić odwrót deszczem bełtów i natychmiast zapomnieć o kuszach.

Nadtysięcznik Aronet z ogromnym zadowoleniem oglądał kolumny tych dobrze uzbrojonych i opancerzonych konnych piechurów, których zapamiętał jako bezradnych kiepskich jeźdźców, próbujących związać wroga rozpaczliwą walką do

chwili, gdy przybędzie wsparcie. Miał ich teraz siedmiuset, a w legionie Agatry było jeszcze dwustu.

Dokonując przeglądu dwóch Legionów Wschodnich, nadtyśięcznik po raz drugi ugrzązł we wspomnieniach, bo ujrzał kolejną formację zrodzoną w pamiętnej wojnie: oszczepników. Ich niezwykłą broń, przeznaczoną wyłącznie do rzucania, nazwano kiedyś „derenetem” od imienia kociego zwiadowcy, który podsunął pomysł na dozbrojenie wycofanych z Dartanu oddziałów. Teraz byli średnią piechotą, formalnie zaliczaną do ciężkiej, bo wyposażono ich i wyszkolono przede wszystkim do walki wręcz. Trochę lżej opancerzeni, z nieco mniejszymi tarczami i otwartymi hełmami, nie mieli jednak toporów, tylko po trzy oszczepy, z których dwa były derenetami, trzeci zaś, bardziej solidny, służył do boju twarzą w twarz. Ta piechota miała wspierać toporników, ciskając swą broń nad ich głowami, później zaś stając do walki bezpośredniej – w miarę możliwości bodąc oszczepami zza pleców większych i lepiej opancerzonych braci.

W czerwonych szeregach jeden półlegion nosił czarne tuniki na pamiątkę bitnego Legionu Akalskiego, stanowiącego niegdyś rdzeń Armii Wschodniej. Akala, miasto na Potrójnym Pograniczu, gdzie stykały się Armekt, Dartan i Grombelard, miała wówczas niezwykły status „miasta wolnego”, nienależącego do żadnej prowincji, i stąd wzięła się odrębna barwa tunik żołnierzy. Zachowano wszystkie trzy formacje: teraz już nie legion, a tylko Półlegion Akalski, miał w swym składzie kolumnę jazdy, drugą tarczowników i trzecią pieszych łuczników.

Ostatni legion pod rozkazami Aroneta był zwykłym niebieskim legionem armektańskim, ale przyzwoicie wyćwiczonym i już teraz chlubiącym się tymczasowym – ale może, z czasem, stałym mianem? – 1 Legionu Granicznego.

Kolejne, te nadchodzące z dartańskiego pogranicza, miały otrzymać wyższe, już nie tak zaszczytne numery.

Na sam koniec świeżo upieczonego nadtysięcznika-komendanta czekała jeszcze jedna, wojskowa i osobista zarazem niespodzianka: przy mieszkalnym wozie dowódcy armii zameldował się kartograf – zwykły wojskowy urzędnik, mający taki status jak pisarze, lecz zarazem najbliższy towarzysz doli i niedoli każdego polowego dowódcy.

Był to kartograf Terezy, a potem jego, Aroneta. Kolejny weteran wojny dartańskiej. Niesłychany leń, która to zaleta kazała mu dokonywać niezliczonych, pożytecznych a ułatwiających pracę wynalazków, między innymi tablicy na stojaku, pozwalającej podczas polowych odpraw wykreślać mapy kredą, co było o niebo lepszym rozwiązaniem od mazania i niszczenia, a następnie przerysowywania cennych kart.

„Ja już nie jestem... nie byłem w wojsku, wasza godność” – rzekł zmieszany kartograf, bo dowódca go po prostu uściskał. „Mieszkam teraz w Kanazie i zgłosiłem się. Usłyszałem, że będziesz tu dowodził, panie. Nie w twierdzy, tylko w polu”.

„Jakim cudem cię przydzielili właśnie tutaj?”

„A gdzie mieli...? Żadnym cudem. Powiedziałem, wasza godność, że tutaj albo nigdzie. Zapytali, gdzie i kiedy służyłem przy wojsku. Powiedziałem i... ledwie zdążyłem pobiec do domu po rzeczy. Żona jęzda wszystko mi przygotowała, a tak szybko, że... Wasza godność rozumie, ona myśli, że ja już nie wrócę z tej wojny i wreszcie weźmie sobie młodszego. Listu rozwodowego mi nie dała, bo zaraz bym wygnał ją z domu, ale jak jej po mnie zostanie ciepły kątek? To dwa dni, a na moim zydelku przy oknie już ktoś będzie siedział, wasza godność. I wiem który: ten nosaty od rymarza z dołu”.

Nadtysięcznik od razu kazał przydzielić pachółka-pomocnika i posłał kartografa – już jako głównego kartografa armii – do

jego odpowiednika przy komendancie Rewinu po wszystkie potrzebne mapy. Miał przygotowany komplet w swoim wozie, ale był pewien, że stary wyga wypatrzy jeszcze coś, co się przyda, przerysuje i dołączy do swych zbiorów.

Trudną sztukę wykreślenia map Armekt przejął od Garyjczyków, żeglarzy, którym pośród niezliczonych cieśnin, prądów, podwodnych skał i mielizn nie wystarczały byle szkice. Tam, mając kiepską mapę, nie błędziło się w stepie. Szło się na dno. Nowa sztuka, mająca dotąd zastosowanie przede wszystkim na morzach, rozwinęła się niesłychanie, odkąd łaskawym okiem zerknęło na nią armektańskie wojsko. Armia – taka armia: stała, nie skrzyknięta na jedną kampanię – miała możliwości i środki. W ciągu niewielu lat prymitywne mapki, pośród których trudno było znaleźć dwie takie same, przemieniły się w kartograficzne dzieła, na których oznaczona była większość dróg, poważniejsze przeszkody terenowe, rzeki na wszystkich tych odcinkach, gdzie istniały mosty, promy albo brody, ponadto okręgowe i obwodowe miasta, a nawet niektóre wioski. Wkrótce oprócz wojskowego znaleziono dla map także inne zastosowania – powstały chociażby słynne mapy elementarne, służące pomocą w nauce. Były też mapy kupieckie.

Od tego pierwszego przeglądu oddziałów minął tydzień. Aronet każdego wieczora zwoływał odprawy, które były tak nazywane z braku lepszego określenia. Bardziej narady, rozważania, rozmowy. Nieomal pogawędki przy winku. Przyjść mógł bez mała każdy, kto miał jakiś pomysł na cokolwiek. Rygor wojskowej tajemnicy nie obowiązywał. Szpieg Alerów na pewno nie mógł się zakraść do zamku, by następnie donieść swoim o planach kampanii, nowych pomysłach taktycznych albo nowej broni przeciwnika.

Dwa dni wcześniej wywleczono stare alerskie truchło, które kiedyś z takim niedowierzaniem oglądała piękna Kesa-Przyjęta. Aronet wciąż jeszcze na wspomnienie tego uśmiechał się pod nosem. Szczerze nie lubił tej kobiety. Ale prawda była taka, że każdy, kto popatrzył po raz pierwszy, nie bardzo był pewien, co ogląda.

Gdyby szalonemu rzeźbiarzowi, który nigdy nie widział jeźdźca, pozwolono przez krótką chwilę oglądać konnego łucznika (a może srebrnego Alera na wehfecie?), mknącego we mgle albo śnieżnej zadymce – to wykułby zapewne coś takiego. Stwora na czterech nogach z dziwacznym garbem wyrastającym z grzbietu, blisko końskiego – czy takiego?... – łba; ten garb i łeb złączone były w jedną całość. Pusta w środku kamienna skorupa zawierała jakieś mięso, ale chyba do niczego niesłużące, z niczym tam niepołączone. Resztę wolnych przestrzeni wypełniał jasnożółty pył, nieledwie kurz. Wstrętne wnętrza w „zabitym” potworze pracowały, coś tam tętniło niczym serce. Zostały resztki mózgu i oczu w kamiennej szczelinie – jedno i drugie martwe, wkrótce zgniło. Z porąbanego toporami kadłuba wysypał się i rozwiął niemal cały „kurz”. To on chyba „ożywił” tę istotę – o ile rzeczywiście istotę, nie rzecz. Uruchamiał i spajał kamienne, nieobleczone żadną skórą stawy nóg, które po „śmierci” Alera rozsypały się na kawałki, bo scalała je wyłącznie jakaś dziwna „magia”, „siła” albo „moc”.

Rozmawiając o tym „czymś”, zaznaczało się mocniej bądź akcentowało niemal co drugie słowo, by podkreślić jego umowność. Ręce same się unosiły do bezradnych, nieokreślonych gestów. „Istota”, „śmierć”, „żywe” – to wszystko nie pasowało.

Poza mózgiem i oczami mięso w roztrzaskanym kamiennym kadłubie nie uległo zepsuciu. Wciąż coś tam tętniło... Resztki

żółtego pyłu podtrzymywały chyba tę resztkę życia, choć nie mogły już uruchomić całości.

Sprowadzeni z Trzech Portów uczeni pomogli tylko trochę. Wykluczyli, by zabitej istocie potrzebne było jakiegokolwiek pożywienie. We wnętrzościach nie było żołądka, a w kamiennej powłoce żadnych otworów, które mogłyby służyć do przyjęcia pokarmu i wydalenia resztek. „Rzecz” nie musiała także oddychać, bo nie było płuc ani niczego, co jakkolwiek mogłoby je zastąpić. Mózg, trudno dostępny, nieosiągalny dla pocisków, z niczym niepołączony, zawiadywał chyba tylko oczami. Zbyt późno sprowadzono „rzeczoznawców” – żołnierzy, którzy walczyli z Alerami i oglądali trupy. Zgniły, zjedzony przez robaki strzęp niczego już nie przypominał, legioniści byli bezradni, choć ten i ów topornik widział mózg zabitego wroga. Ten tutaj nie był chyba mózgiem srebrnego wojownika. Zbyt mały. Należał do złotego Alera albo do jakiegoś zwierzęcia. Ale równie dobrze mógł być przecież mózgiem stworzonym specjalnie dla nowej istoty.

Nie wiadomo dlaczego, wszystkim wydawało się, że nie. Że te oczy i ten mózg zostały skądś wyrwane, ukradzione.

Jasnowłosa Przyjęta umiała powiedzieć niewiele więcej. Na dodatek mniej zrozumiale.

„Chyba znałam kiedyś kogoś...” – zaczęła i urwała. „Widziałam coś podobnego” – dokończyła po chwili, ale to nie były właściwe słowa, bo zaraz zrobiła taki gest, jakby mówiła: nie, nieważne.

„To... chyba mogłoby działać pod Wstęgami Aleru” – powiedziała jeszcze. „Tutaj, u nas, na pewno nie powinno. Ten »kurz« jest uśpiony, bo gdyby tak nie było, to mielibyście właśnie pokaz »magii«”. Piękna pani uśmiechnęła się blado. „Rozniosłabym to na kawałki, może razem z całą tą izbą, i nawet bym nie wiedziała, w jaki sposób. Ale właśnie o to

chodzi, że uśpiona treść nie może nic, ja jej nawet nie zauważam, domyślam się tylko, że tam jest. Szerń się nie domyśla, bo nie jest do tego zdolna, ona tylko coś dostrzega albo nie. Uśpiona treść nie może nic” – powtórzyła. „Chyba. To tutaj nie powinno w ogóle działać, a jeżeliby zadziało, to od razu powinien uderzyć w to piorun. Najdosłowniej, bo pod Pasmami Szerni byłoby to coś takiego, jak płonący patyk wrzucony do wody, to musiałyby natychmiast zostać zniszczone, ugaszone. Pokory”. Znowu się uśmiechnęła, jakby wspominając coś, co kiedyś usłyszała. „Jestem Przyjętą, a to znaczy, że rozumiem Szerń, ona to potwierdziła. Ale rozumiem ją intuicyjnie, tak jak wszyscy Przyjęci. Duszą, a rozumem tylko trochę. Mało wiemy o tych... o takich Potęgach. Rozumiemy je, a zarazem nie wiemy, jak działają”.

Nie uzyskawszy pomocy od uczonych ani od Przyjętej, Aronet zabrał się do rzeczy po wojskowemu. Rozkazał ulepić z gliny, jak najwierniej odtworzyć zabita żywą rzecz. Od razu się dowiedział, dlaczego kadłub „konia” był nieomal kamiennym monolitem, a garb z przodu zupełnie pusty, wydrążony. To inaczej nie mogło utrzymać równowagi. Jakoś w końcu ustawił glinianą podobiznę potwora i zyskał niejaki pojęcie, czego sięgnie pieszy żołnierz toporem, w co zaś powinien godzić włócznią jeździec. Resztki kamiennego kadłuba bardzo sumiennie rąbał, kłuł, kazał grzmocić młotami, strzelał ze wszystkiego, co wyrzucało pociski.

Nie, najpierw nie ze wszystkiego. To i owo kazał sprowadzić.

Na murach Rewinu stało kilka starych i niewymienianych na nowsze bombard, z których jak dotąd nikt nigdy nie wypalił w innym celu niż na wiwat. Ostrzału z tego nie warto było nawet próbować. Wyrzucona z działa kula musiała rozwalić Alera na kawałki, tylko nikt nie miał żadnego pomysłu, jak trafić w podobny cel. Z okrętu w okręt – no, to jeszcze. Tutaj,

gdyby ustawił bombardę, a dwieście kroków dalej nieruchomego Alera, to może przed zmierzchem zdołałby go trafić, o ile oddałby pierwszy strzał o świcie. Groźny wynalazek, jakim był proch, w walkach toczonych na lądzie nie miał żadnego znaczenia i przysparzał tylko kłopotów. Przez dwieście lat w Wiecznym Cesarstwie nie było żadnych wojen, zmagano się tylko ze zbójami w górach i piratami na morzach, czasem z garyjskimi powstańcami, a tutaj, na północy, z Alerami. Przede wszystkim nie oblegano żadnych twierdz – to zaś było jedyne zastosowanie, jakie udało się wymyślić dla dział. Okręty na morzach tłukły z tego do siebie, demolowały osprzęt, kasztele i kadłuby, a fruujące w powietrzu szczątki desek zmiatały z pokładu ludzi. Lecz tu, pośród stepów i lasów, wielka żelazna rura, za którą należało wlec beczułkę prochu i specjalne pociski, a jeszcze chronić wszystko przed deszczem i wilgocią, nie przydawała się do niczego.

W niedalekiej przyszłości... kto wie? Podobno w Dartanie odnawiano tu i ówdzie stare mury miejskie, chyba nawet wskrzeszono ruiny jakiejś twierdzy, strzegącej przeprawy przez rzekę. Zdaje się, że zaczęto odlewać działa z brązu, przechyliły szalę w morskiej bitwie. Ognista broń mogła kiedyś dostać drugą szansę.

Jednakże oprócz wielkiej broni ognistej była jeszcze mała. Również kłopotliwa i trochę zapomniana, albowiem mogła sprawić niewiele więcej niż kusza. Niemniej pocisk z rusznicy miał bardzo dużą siłę i Aronet nakazał sprowadzenie kilku zapomnianych sztuk tej broni z arsenału w Kirlanie.

Próby wypadły obiecująco, kula z rusznicy przebijała kamienną skorupę, udawało się to także przy użyciu napinanych lewarami i korbami, a więc najmocniejszych ręcznych kusz. W rękach potężnego i silnego mężczyzny –

a takich w oddziałach tarczowników nie brakowało – sprawdzała się też najcięższa broń obuchowa.

Zawiódł natomiast długi łuk, oręż zakazany od czasu wojny garyjskiej, właściwie nie wiadomo dlaczego. Legia Armektańska po podbiciu Dartanu nie potrzebowała takich łuków; przeciw słabo opancerzonym przeciwnikom świetnie sprawdzały się te, których używano od stuleci. Mniejsze, a przez to wygodniejsze, tańsze. Długich łuków zakazano chyba na złość Garyjczykom. Gdzieś tam jakieś się poniewierały, zwykle zawieszane na ścianie jako zdobycz wojenna prapradziadka.

Aronet pozyskał dwa długie łuki, z których jeden – własność samego małżonka cesarzowej – znakomicie zachowany, czasem nawet używany dla rozrywki, niewiele stracił ze swojej wartości.

Był słabszy od kuszy, co tu dużo gadać, a wymagał nie lada mięśni. Mało która łuczniczka miałaby z niego pożytek, a i nie każdy mężczyzna. Niebędący młodzieńcem i trochę już sflaczały nadtyśnięcznik nie bardzo sobie postrzelał, choć kiedyś był znośnym łucznikiem.

Tromtadrackie historie Garyjczyków o spustoszeniach czynionych w szeregach ciężkiej jazdy, gdy toczyli jeszcze wewnętrzne wojny na swej wyspie, na pewno były prawdziwe, ale to nie siła broni, tylko taktyka jej użycia dziesiątkowała ciężką konnicę. Masowe użycie łuków – każdego łuku – skutkowało ranami, a nawet śmiercią lżej okrytych pocztowych, a tych w każdej chorągwi było dwa, trzy razy więcej niż rycerzy. Przede wszystkim wytrącano z walki wierzchowce. Pierzaste pociski rzadko zabijały, lecz posyłane w chmurach liczących tysiące grotów wprowadzały chaos, ranę, mieszały szyki, deprymowały wojowników, okrywanych kolejnymi ulewami. Owszem, przy którymś trafieniu z długiego łuku poddawał się słabszy rycerski napierśnik (przy strzelaniu ze zwykłego łuku

nigdy; przy strzelaniu z kuszy prawie zawsze), ale jakie to miało znaczenie? W pojedynczym boju może i decydujące, lecz w starciu legionu z chorągwią prawie żadne.

Wytwarzanie tych „katapult” i strzał do nich, a następnie szkolenie żołnierzy i kierowanie ich na północ w celu upolowania kamiennego Alera nie miało sensu. Można było pomyśleć o takich oddziałach do użycia w Dartanie. Ale lepiej się chyba sprawdzały mieszane szyki łuczników i kuszników. Pierwsi wprowadzali zamieszanie, posyłali strzałę za strzałą – drudzy z małej odległości „sprząтали” najcięższych jeźdźców, stale osłaniani przez szybko napinających łuki towarzyszy. I taką taktykę walki strzelczej zatwierdzono, a następnie wprowadzono do szkoleń.

Łuk, kusza, rusznica i topór. Krótko mówiąc, nad tysięcznik Aronet poczynił własne badania. Nadal nie miał pojęcia – tak jak uczeni i Przyjęta – w jaki sposób działa kamienny Aler. Ale w zamian dość dobrze już wiedział, co zrobić, żeby nie działał.

Kłopot polegał na tym, że niewielka dziurka w ciele człowieka mogła wyeliminować go z walki, Alera natomiast należało porozbijać, wysypać wszystko, co w środku, i rozmieść na cztery wiatry. Mówiąc najogólniej: wystarczył podobny oręż, jakiego używano do pokonania rycerskiej zbroi płytowej, ale na broni dystansowej nie warto było polegać. Pogruchotać kamienny pancerz tam, gdzie był pusty w środku, wyrębać w nim wielkie dziury toporami dało się jak najbardziej, natomiast bełtami z kusz i kulami z rusznic można go było tylko przebijać.

o o o

O przybyciu do Rewinu małej grupki jeźdźców Aronet nawet by się nie dowiedział – codziennie przyjeżdżało do twierdzy bądź

z niej wyjeżdżało wielu ludzi. Jeszcze więcej trafiało do przyfortecznej wioski, będącej bez mała miasteczkiem. Jednak tego dnia po wieczornej odprawie stawił się przed nadtysięcznikiem sam Namiestnik Sędziego Trybunału, najwyższy znaczeniem urzędnik tej instytucji w Rewinie.

Trybunał nie kochał wojska, a wojsko nie kochało Trybunału. Jednakże w wielu, bardzo wielu sprawach te dwie największe instytucje cesarstwa były na siebie skazane. Urzędnicy tropili złoczyńców – ale to wojsko ich ścigało. Żołnierze chwyтали obwiesiów – lecz sądzili ich urzędnicy. Wojskowy dowódca garnizonu mógł posłać oddział legionistów, ale najpierw musiał wiedzieć, gdzie i po co. To akurat wiedzieli urzędnicy – oni jednak nie mieli kogo posłać.

Było tak zawsze i miało chyba zostać po wiek wieków.

Namiestnik musiał mieć bardzo ważny powód, skoro osobiście stawił się przed nadtysięcznikiem.

Rzeczywiście miał. Powód nie tyle nawet ważny, ile niezwykły.

Aronet nieufnie, potem z zaciekawieniem, a wreszcie niedowierzaniem wysłuchał przedstawionej historii. Powiedziano mu na samym początku, że stoi za tą sprawą nie kto inny, jak Jego Cesarska Wysokość Księżę Małżonek Ramez, i tylko dlatego wysłuchał do końca, ani słowem nie przerywając. Potem wysłuchał jeszcze... no tak, właściwie rozkazu przekazanego mu najuprzejmiej przez jego dostojność namiestnika, a był to rozkaz komendanta Wojskowych Okręgów Zachodnich: rankiem trzej najwyżsi rangą dowódcy – bo także komendant zamku – a oprócz nich urzędnicy Trybunału, mieli odbyć naradę z wypełniającymi niezwykłą misję ludźmi, którzy właśnie zawitali do Rewinu.

Nadtysięcznik zaczął się zastanawiać, czy na pewno toczy wojnę, a jeżeli tak, to według jakich reguł. Być może, zamiast

sprawdzać skuteczność rusznic i łuków, powinien opracować nowe zasady szkolenia. Ustawwszy wojsko przed Alerami, wydałby rozkaz, a wówczas żołnierze pokłoniliby się wszyscy jednocześnie, klasnęli, na komendę postąpili dwa kroki w lewo, trzy w prawo – wreszcie obrót na pięcie i podskok. To mogło wyrzeć wrażenie.

ROZDZIAŁ 3



Przyniesiony przez księcia Rameza cynowy dzbanek, wkleśnięty tu i ówdzie, wydawał się nedorzeczny nawet w rękach Armektańczyka. Małżonek cesarzowej raczej nie trzymał w tym zacnym naczyniu wina, którym mógłby się pokrzepić na pałacowym korytarzu.

Przyjęta zapytała spojrzeniem, ale wcześniej powitała gościa:

– Księżę.

Odezwała się, więc on też mógł przemówić.

– Dostarczono to do pałacu. Trybunał – wyjaśnił jak najzwężlej. – Dla mnie, a bardziej dla jej godności Kesy-Przyjętej, tak kazano powiedzieć posłańcowi i tyle wynika z listu. – Podał maleńki zwoik.

Rozwinęła i przeczytała:

Jego Cesarska Wysokość A.S.N.Ramez

Jej Godność Kesa-Przyjęta

w Kirlanie

Wasza Wysokość!

Wasza Godność!

Nie wiedziałem, że powinienem to posłać, zrozumiałem teraz. Ten plik kart zawiera całą moją wiedzę o Plemionach Aleru i ich świecie. Jeśli ja sam do niczego się nie przydam, choć dołożę starań, by było inaczej, to może chociaż przydadzą się te zapiski.

Z najwyższym szacunkiem

z Wezu D.L.Rawat

*niegdyś: setnik Legii Armektańskiej
honor-podsetnik Gwardii Armektańskiej*

Ramez podał wydobyty z dzbanka, wcale okazały plik kart. Pokryte były równym, bardzo czytelnym, iście wojskowym pismem.

– Kimkolwiek jest teraz ten człowiek – powiedział, bo zdążył już to i owo przemyśleć – wojsko nadal nie jest mu obojętne. Ten podpis. Nie złożył go ktoś, kto nienawidzi swojej przeszłości.

– To prawda – odparła, powoli wertując stronicę. – Przeczytałeś już?

– Tylko zerknąłem.

– Kto pierwszy?

– Ty, pani.

– W takim razie przyjdź wieczorem, książę. Chyba zdążę. A to co?...

Przeglądała kilka ostatnich kart.

– Ich język. Kilkaset słów, może koło tysiąca. I kilka wskazówek dotyczących... O, to słowo wymówione na końcu oznacza u nich czas przeszły.

– Nie do wiary. Powinnaś zdążyć do wieczora – powtórzyła.
– Może zresztą nawet nie doczytam, jeśli to jakiś bełkot.

Wziął odłożony przez kobietę mały zwoik i uniósł znacząco.

– Nie sądzę.

– Tak, to prawda. Żaden szaleniec nie użyje tylko trzech zdań. I to tak treściwych.

Pożegnali się i ponownie spotkali wieczorem. A raczej późnym wieczorem.

Jego cesarska wysokość odwiedzał piękną Przyjętą w jej komnatach tak często, że małżonka miałaby powody do zazdrości. Jakimś cudem nie było plotek na ten temat, choć

każdy dwór aż dyszał z żądzą rozpowszechniania podobnych historii. Chociaż, czy na pewno cud?... Małżeństwo Rameza i Wereny było małżeństwem trudnym, a mimo to odpornym na przeciwności. Kobieta, która przez wiele długich lat nie zdecydowała się na definitywny rozwód, i mężczyzna, który tak samo długo czekał, aż żona zechce przyjąć go z powrotem, nie byli wdzięcznym tematem do plotek. Nie mogli mieć dzieci, chociaż ich pragnęli, mimo to wciąż byli razem – wiele małżeństw nie wytrzymało takiej próby.

No i było coś jeszcze, co gasiło plotki: otóż pośród licznych zalet jednej cesarzowa nie miała na pewno, a mianowicie wyrozumiałości. Chyba wszystkie jej zapasy przeznaczyła kiedyś dla męża i teraz należało wątpić, czy zdemaskowany plotkarz zatrzymałby się na masywnych wierzejach pałacu. Wolno sądzić, że raczej rozbiłby je i leciał dalej, kopnięty z rozkazu najgodniejszej przez największego gwardzistę.

Była w tym podobna do matki, która smakowite ploteczki traktowała zupełnie tak samo, jak inne kobiece rozrywki – z kompletnym niezrozumieniem. I obie tak samo nie znały się na żartach.

Bardzo rzadko, ale jednak zdarzało się zobaczyć jej cesarską wysokość z łukiem w ręku; potrafiła strzelać wcale dobrze i raz na parę miesięcy bawiła się, biorąc udział w ćwiczeniach pałacowych gwardzistów, zachwyconych jej obecnością. Tradycyjnie raz w tygodniu zapraszała wybranych domowników na wieczorne gry towarzyskie, ale to chyba dlatego, że nie było prostszego sposobu zadośćuczynienia obowiązkowi gospodyni, właścicielki pałacu, w którym wszyscy oprócz jej rodziny byli tylko mieszkańcami albo gośćmi.

Muzyki nie lubiła; tańczyć nie potrafiła – to akurat nie bardzo po armektańsku. Taniec mniej, ale muzykę w Armekcie ceniono, choć nigdy się nie wspięła na wyżyny takie, jak

w Dartanie. Owszem, w Szererze mówiło się czasem „grombelardzka muzyka”, i to oznaczało: coś nie do wysłuchania. W najlepszym wypadku miało postać rytmicznego walenia w bęben; prastara zbójecka śpiewka *Prawo gór* uchodziła za grombelardzki wykwit w tej dziedzinie, dało się ją od biedy zanucić. Armektańska muzyka stała wyżej.

Gdy szło o rozrywki, Kesa-Przyjęta nie przypominała cesarzowej. Hodowlana Perła nawet teraz, po tylu latach, potrafiłaby dotknąć strun harfy, taniec zaś po prostu kochała i podczas pobytu w Kirlanie nic nie sprawiło jej większej przyjemności niż przetańczone pół nocy. Tylko raz trafiła się okazja, urodziny starego cesarza; wydano ucztę, później zaś mały bal.

Kilka miesięcy wcześniej, w zimnych salach Rewinu, przyjęła księcia Rameza otulona swoim futrem z granatowych lisów (co prawda pod tym futrem miała bardzo niewiele). Teraz, w całkiem ciepłych wnętrzach – bo odkąd zelżały mrozy, ogrzewanie komnat wystarczało – ubrana była w domową szatkę, która wprawdzie niczego nie odsłaniała, lecz podkreślała nieprawdopodobnie długie nogi, jeszcze dłuższe dzięki niebotycznie unoszącym pięty koturnom, z którymi piękność nie rozstawiała się chyba nawet w łóżku. Gdyby jej nie wyzwolono, wciąż mogłaby pełnić honory Perły Domu. Może nie Pierwszej Perły, niemniej...

– Przeczytałam – rzekła, wskazując gościowi miejsce gestem, którego nie powstydzilaby się Anessa, pół tysiąca mil dalej rozmawiająca z jej mężem. – Mówisz, książę, że rzuciłeś okiem?

– Tylko z ciekawości. Ale tak, przestałem czytać dopiero, gdy wybili południe, to mnie oprzytomniło – przyznał się. – Wiem już z grubsza, co to jest. Resztę usłyszę od ciebie, Przyjęta, a w wolnej chwili doczytam.

– Niewiarygodne. Tak, to niewiarygodne. – Pokazała plik kart na stole. – Jeśli tego nie zmyślił, a oboje...

– ...jesteśmy pewni, że nie... – powiedział razem z nią, tworząc chór dwóch głosów.

Uśmiechnęła się i znowu spoważniała.

– Każ to powielić – rozkazała i aż powściągnął uśmiech, tak nieodwołalnie to zabrzmiało. – I niech ktoś mądry już się uczy tych słów. Najwyżej nauczy się na próżno. Ale może nie.

Niczego nie zauważyła. Ani tego, że komenderuje małżonkiem cesarzowej, ani tego, że to dostrzegł i nie zareagował nawet żartem.

– Niewiarygodne – powtórzyła. – Są tak podobni do nas. Przez stulecia i tysiąclecia żyjemy obok siebie, a umiemy tylko jedno: mordować się nawzajem. Nasze koty – wyciągnęła rękę w stronę okna, jakby tam właśnie unosiły się w powietrzu – koty, z którymi żyjemy w jednych miastach, są bardziej obce niż oni. A sępy? – Zaśmiała się krótko.

– Sępy zabijaliśmy tak samo jak srebrnych Alerów – zauważył.

– Tak, a otrzymały rozum od Szerni. Trzy rozumne gatunki Szereru mniej mają ze sobą wspólnego niż my ze Srebrnymi Plemionami. Niewiarygodne – powtórzyła jeszcze raz.

Pokręciła głową.

– Szehi – powiedziała starannie. – Rawat pisze, że większości ich słów człowiek nie zdoła wymówić, a gdy próbuje, to oni z trudem mogą zrozumieć, tak bardzo je zniekształcamy. Ale: shehi? Tak się sami nazywają, to takie proste i krótkie słowo. Najważniejsze. Nie znaleźliśmy go. Nie poznaliśmy przez tyle wieków! Nie wiem, jak to możliwe.

– Pomogę.

Popatrzyła pytająco.

– Wprawdzie bardzo dawno temu, ale jednak byłem na Północnej Granicy i widziałem srebrnych Alerów. Z daleka. Ledwie ich dostrzegalem, a czułem obcość, wrogość. Mówisz, że jesteśmy do nich podobni, wasza godność? Wydaje mi się, że Szerń i Aler też są do siebie podobne.

Zastanowiła się.

– Nawet takie same. Powinny być takie same, to bliźniacze Potęgi, przynajmniej według naszych wyobrażeń. – Skinęła głową. – Tak, pomogłeś, książę. Już wiem.

Dawno nauczył się doceniać szybkość, z jaką myślała.

Bliźniacze Potęgi były Potęgami wrogimi. Jedna sprawna, a druga okaleczona, uszkodzona. Niepotrzebnie znalazły się w jednym miejscu i czasie.

Podobni do siebie ludzie i Alerowie byli odbiciem tych Potęg, które nadały im rozum. Nie było dla nich współistnienia w jednym miejscu i czasie.

– Wierzysz, wasza godność, że on to przełamał? – zapytał, myśląc o Rawacie.

– Podobno już kiedyś przełamał. Tak, wierzę.

Usiadła na wygodnym krześle z poręczami, wyciągnęła nogi i skrzyżowała w kostkach. Książę Ramez bardzo kochał żonę, ale był nieośleplym normalnym mężczyzną, nie alerskim wytworem z kamienia. Uznał, że grombelardzki półwysep nie jest i w połowie tak długi, jak te nogi.

Przysłoniła na chwilę oczy dłonią, pocierając palcami powieki.

Do komnatki zajrzała służebna niewolnica, pragnąca być może sprawdzić, czy jej pani niczego nie potrzebuje. Przyjęta dostrzegła ją i odprawiła krótkim, choć karzącym gestem. Dziwna rzecz: Ramez dawno zauważył, że największą pogardę dla tchórzostwa okazują tchórze, matki są bezduszne wobec innych matek, niewolnice szczególnie surowe dla niewolnic.

Piękna Kesa i tak mogła uchodzić za wzór łagodności i umiaru. W podróży towarzyszył jej wolny pacholek i zbrojna przyboczna niewolnica. Tu, w pałacu, przydzielono jej jeszcze dwie do drobnych posług. Przyjęta była wobec nich łagodna, nawet opiekuńcza, ale jednak niezręczności i zaniedbań nie puszczala płazem. Wymierzyła już kilka drobnych kar.

– Nie potrafię tego zrozumieć – powiedziała bezradnie. – Napatrzył się kiedyś na kamienną szkatułę, bo tym przecież był alerski posąg na pograniczu, i od samego patrzenia zaczął śnić. Nauczył się ich języka. Nic STAMTĄD nie powinno TUTAJ działać – zaznaczyła mocno dwa słowa. – A przenika i działa. Nawet w Sar Soa, a więc... ile? Czteryście mil od granicy? Słabe i niewyraźne, ale jego sny wróciły. Już to jedno każe mi wierzyć we wszystko, co napisał. Śnił cztery lub pięć lat temu, to pokrywa się przecież z wybuchem Drugiej Wojny Potęg. Sprovokowanej, jak przypuszczamy, przebudzeniem Dawcy Mądrości. Stary setnik Legii Armeckańskiej, nieodróżniający Wstęgi od tasiemki – znów wyciągnęła rękę w stronę okna – potwierdza domysły Przyjętych. Nie wierzyć mu?... – Zawiesiła głos.

Westchnęła.

– Wtedy Alerowie postanowili rozwiązać to wszystko po całym naszym świecie, a w każdym razie rozsypać, rozrzucić na cztery strony świata, żeby nie mogło się obudzić i zebrać. Pod Pasmami Szerni nie miałyby prawa, a gdyby jednak się obudziło, toby wyparowało jak drobinki wody rozpylone nad ogniem. Nawet nie byłoby wojny. To oznacza, że srebrni Alerowie... że szehi mieli wtedy taką wiedzę, jak ja. A raczej jak my: Przyjęci. I mylili się, bo to coś, jakimś cudem, działa! Działa w uśpieniu.

Zmarszczył brwi.

– Jak Alerowie – powiedział zamyślony. – Jak... szehi.

Ona także zmarszczyła brwi.

– Tak – powiedziała po krótkiej chwili, mierząc w rozmówcę wskazującymi palcem, aż zalśnił długi, przepięknie zaokrąglony paznokieć; ani mowy, by sama wiązała sobie suknie, nawet te sznurowane z boków albo z przodu. – I chyba naprawdę tak!

Po raz drugi uzmysłowił sobie, jak trudno za nią nadażyć. Jeszcze nie zdążył obrócić w myślach tego, co mu przyszło do głowy...

– Oddziałujemy na Pasma. Wymuszamy na nich różne rzeczy – powiedziała, wstając, a następnie idąc ku drzwiom i z powrotem. – Pęknięcia Szerni, a raczej Złamania Praw Całości. Jeżeli tysiące, miliony rozumnych istot czegoś pragną albo coś sobie wyobrażają... To nie musi być przecież umówione i uzgodnione, po prostu wynika z ludzkich wyobrażeń o czymś... – mówiła trochę chaotycznie. – Potrafimy wymusić to na Pasmach. Wychodzą naprzeciw naszym wyobrażeniom o czymś, spełniają nasze życzenia. Jak Formuły Porzuconych Przedmiotów, bo chcieliśmy wierzyć w „zaklęcia”. Demolujemy Pasma, stale na nie oddziałujemy. Ale Szerń potrafi wrócić do równowagi. A Aler nie.

– Wiem, Keso, czym jest Złamanie Praw – rzekł oględnie.

Bo teraz to ona trochę zapomniała, z kim rozmawia. Z kimś Nieprzyjętym, ale jednak mającym dużą wiedzę o Szerni.

– Wyobrażali sobie, że „sen” ich Pana Mądrości jest taki jak ich, podobny! – Zatrzymała się przed nim. – Nie mogli inaczej, oni przecież nie znają innego snu! A oni potrafią działać we śnie, mogą przecież... Wymusili to na Alerze, trwale zniekształcili jego nie-czuwającą, ale świadomą część: Pana Mądrości. Tak mogło być, to prawdopodobne. Uspiony na tyle, że nie umie go dostrzec Szerń, a zarazem wystarczająco aktywny, by poruszyć kamienną figurę, do tego przecież trzeba tak bardzo, bardzo niewiele. To nie wyjaśnia wszystkiego, ale...

Ja... nie wiem, wasza księżęca wysokość, czy na pewno zostałeś odrzucony – oznajmiła nagle. – Bardzo dużo tej intuicji. Bardzo dobrze rozumiesz...

– Nie, wasza godność. Nie jestem Przyjętym. Za mało wiem o Szerni, by nim być, ale dosyć, by wiedzieć, że nie jestem.

Przestąpiła z nogi na nogę, uwydatniając biodro, na którym oparła rękę. Zawsze mu się zdawało, że nie lubi zbyt szczupłych kobiet; mogłaby być odrobinę pełniejsza.

Albo nie. Nie, lepiej nie.

Skinęła głową.

– Rzeczywiście. Przebacz, księżę. Jestem...

– ...trochę zbyt urodziwa – wszedł w słowo. – Usiądź, wasza godność, bardzo proszę. I teraz to ty mi przebacz.

Uniosła królewskie brwi i lekko drgnęły jej nozdrza. No, teraz to się doigrał. „Urodziwa” to było zdawkowe; była skończoną pięknnością.

– Dobrze, siadam – powiedziała, tłumiąc śmiech.

Nie pomogło. Przecież zaraz skrzyżowała wyciągnięte nogi w kostkach; póleżała.

Dartańska Perła. Ze wszystkim, co potrzebne. Za złoto wyłożone na zakup „czegoś takiego” biedak mógłby przeżyć... no, przynajmniej sto lat.

Jednak ta krótka, trochę żartobliwa wymiana zdań pozwoliła im uporządkować rozmowę.

– Widział go. Setnik widział Pana Mądrości. Nie kiedyś, nie ten kamienny posąg. Widział teraz, wyśnił. To ten ogromny lej w ziemi, a raczej to, co na dnie. Starał się to opisać, ale nie bardzo mu wyszło i wcale się nie dziwię. Niektórzy wśród nich, wśród szechich, są obdarzeni darem... Mają dar – poprawiła niezręczną wypowiedź. – To Przyjęci, jakkolwiek się zwą. Tak uważam. Powinnam tam jechać.

– Na Granicę?

- Tak, za setnikiem Rawatem.
- Wasza godność...
- Posłuż mi jako tłumacz. Jeśli shehi sprowadzą któregoś...
- Wasza godność – powtórzył bardziej stanowczo.

Zamilkła.

– Setnik Rawat i Jeźdźcy, którzy mu towarzyszą, to oddziałek trupów – powiedział sucho, a nawet szorstko Ramez, bo uznał, że snującą plany Przyjętą trzeba sprowadzić na ziemię. – Próbujemy negocjacji ze srebrnymi Alerami, bo warto spróbować wszystkiego i nie zaniedbać niczego. Ale szanse tej garstki ludzi na wyjście cało z opresji, a cóż dopiero na wypełnienie misji, są niewielkie. Tam trwa wojna, wasza godność. Dopadnie ich sfora złotych, a jeżeli nie, to oddział srebrnych może wystrzelać z łuków, niech tylko setnik czy któryś z jego towarzyszy potknie się albo kichnie – tłumaczył. – Poleciałem przydzielić im oddział, ale to tylko asysta na wypadek spotkania dziesięciu zabłąkanych złotych. Srebrni mogą tam skupić dowolne siły i nie przyjdą porozmawiać o odwilży, tylko pójdą do szarży, bo tak robią od tysiąca lat na widok ludzi. Rawat będzie wtedy wołał do nich czy wymachiwał białą szmatą? A eskortująca go jazda poczeka w miejscu na śmierć? Tam trwa wojna!

Skąpym gestem rozłożył ręce, właściwie tylko dłonie.

– Jaki oddział miałby zapewnić mu bezpieczeństwo? Złoci pobili właśnie Armię Toru. Naprzeciw Zachodnich Okręgów, tam gdzie pojechał setnik, stoi pięćdziesiąt, a może sto tysięcy srebrnych. Nie poślę do eskorty Rawata całej Armii Rewinu. Gdzie chcesz jechać, piękna, wiotka Keso? Mam pożyczyć ci zbroję, wasza godność?

Podziałało. Oprzytomniała.

– O, patrzcie: rozsądny mężczyzna – powiedziała, ale bez kpiny. – Masz rację, książę. Co robimy?

– Czekamy, Przyjęta. Jeśli nasi wysłannicy coś wskórają, nawiążą jakimś cudem rozmowy z Alerami, to dadzą nam znać. Wtedy pomyślimy, co dalej. Dopiero wtedy zaczniemy prawdziwe rozmowy, negocjacje. O ile znajdzie się pole do rozmów. Przecież dotąd w ogóle nie wiemy, czego oni się boją, czego chcą, co zamierzają. Mamy tylko podejrzenia i domysły.

o o o

Niezwykłe zapiski i karkołomne misje oraz związane z tym wieczorne rozmowy z urodziwą lah'egri to niestety nie było wszystko, co zaprzętało małżonka cesarzowej. Prawdę mówiąc, traktował te sprawy po macoszemu. Pozwalały raczej oderwać się od tego, co najważniejsze i najtrudniejsze, były... no tak: bez mała odpoczynkiem.

Dotarły pierwsze pełne raporty od nadtyśnięcznika-komendanta Armii Toru, uzupełnione przez komendanta twierdzy, raportowali także pomniejsi dowódcy, niemający kontaktu z bezpośrednimi przełożonymi. Wyłaniał się obraz raczej rozpędzonej niż zniszczonej, a teraz także częściowo osaczonej armii, którą trzeba było pozbierać, uwolnić z pułapki i zorganizować na nowo. Nic prostszego, jednakże pod warunkiem, że złoci Alerowie pójdą sobie tak samo, jak przyszli. Nie zanosilo się.

Pozostawało więc zorganizowanie karnej wyprawy, która wyniszczyłaby rozproszone stada wroga – ruchliwej małej armii, czyli armii konnej. Dość lekkiej, by mogła doścignąć słabszego przeciwnika i zdołała się uchylić od walki z silniejszym. Alerowie rozbiegli się po stepach i lasach Wojskowego Okręgu Alkawy, ale wiadomo już było, że potrafią skupić się w armię. Czy na zawołanie? Może tylko od czasu do czasu? Od czego to zależało?

Szykowała się dziwna wojna, toczona według praw i reguł, które dopiero miały zostać poznane i ustalone. W gruncie rzeczy spodziewano się, że tak będzie. Ale „spodziewać się” nie znaczyło „przewidzieć wszystko”.

Ramez każdego dnia połowę czasu poświęcał na odprawy ze swoimi wojskowymi. Drugie tyle zabierało dyktowanie rozkazów, odbieranie raportów i meldunków, narady z urzędnikami cesarstwa, od Strażnika Skarbu poczynając, na Imperialnym Intendencie i Wielkim Koniuszem kończąc. Pałacowa brama w ogóle się nie zamykała, bo nieustannie wyjeżdżali przez nią gońcy wiozący rozkazy do wójtów miast, do wojskowych komendantów okręgów i obwodów. Wyznaczano punkty zborne dla oddziałów i rozproszonych żołnierzy spływających spod Toru w głąb Okręgu Riny. Byli i tacy, którym udało się sforsować Lawię i przybywali pod Rewin, położony pięćdziesiąt cztery mile od Toru.

Siedzącemu w miejskiej bibliotece mieszczuchowi, gapiącemu się na zawieszoną na ścianie wielką mapę Szereru, wszystko wydawało się proste: czemuż ci żołnierze nie zbiorą się tutaj a tutaj? Dlaczego mieliby iść w stronę morza albo w stronę Toru, skoro wiadomo, że tam jest wróg?

Wiadomo – ale komu? Co wiedział podsetnik łuczników, który wywiódł z zaatakowanej wioski, gdzie kwaterował półlegion, siedemnastu ludzi, w tym połowę rannych, i połączył się z drugim takim oddziałem, a potem zebrał jeszcze pięciu żołnierzy i trzydziestu chłopskich uchodźców z dziećmi? Nie miał rozkazów ani żadnych zapasów, a punktem zbornym dla armii był właśnie Tor. Nikt temu oficerowi nie powiedział, kto i gdzie oraz z jakim skutkiem został zaatakowany, a pozyskane wieści były niepełne i sprzeczne. Przerażeni uciekinierzy donosili o zagładzie całej armii. Aż naraz odnajdywano dwóch innych, którzy wprawdzie z powodu ran

i po utracie wierzchowców zostali na placu boju, niemniej meldowali wcale chwacko, że ich konna kolumna odparła zgraję wroga i ruszyła dalej, na odsiecz bratnim oddziałom w innej wiosce, choć nie było żadnej pewności, czy i tamte zaatakowano. „Aleśmy im dali, podsetniku!”

Słuchający takich doniesień oficer zachodził w głowę, czy pociągnąć w kierunku Toru, gdzie być może skupiało się wojsko, a potrzebny był każdy żołnierz – czy też raczej, zamiast działać po omacku, przezornie dać drapaką, zostawiając walczących (czy rzeczywiście?) towarzyszy samym sobie, ale w zamian wyprowadzając w bezpieczne miejsce zarówno bezbronnych wieśniaków, jak i zbiorczy oddział, którym dowodził. A może najlepiej nic nie robić, tylko czekać w miejscu na nowe wieści, albo i jakieś rozkazy. W końcu ktoś chyba pamięta, że tu stał półlegion piechoty?

Ilu takich podsetników i pojedynczych żołnierzy snuło podobne rozważania? Ilu podejmowało takie, a ilu inne decyzje?

Podczas nieoczekiwanej, dzikiej ofensywy złotych – bo przecież ofensywy, nie jakiegoś wypadu – całkowicie zawiodło rozpoznanie i ubezpieczenia. Trudno było jednak obarczać kogoś winą. Różne rzeczy widywano na Północnej Granicy, ale nieprzytomnej szarzy kilkudziesięciu tysięcy potworów na głębokość sześćdziesięciu do siedemdziesięciu mil nie przewidywał nikt. Sześć, a niechby szesnaście mil w głąb Armektu – tak, to się zdarzało. Lecz sześćdziesiąt mil zimą, po śniegu? Tor i okoliczne wioski były przecież bezpiecznym zapleczem, odgrodzonym od Aleru pasem stanic.

Teraz po tym zapleczu tułali się tropieni i mordowani przez sfory wieśniacy i żołnierze, niewiedzący, co robić ani dokąd iść. Natychmiast należało skierować tam odwody, oczyścić kraj z wroga i zaprowadzić ład.

Ale jak?

Ramez potrzebował co najmniej jednego, a najlepiej dwóch konnych legionów, wiodących odpowiednią liczbę zwierząt jucznych. Legionów, które mogłyby przemierzać zaśnieżone stopy, niszczyć rozproszone siły wroga, słać na wszystkie strony dziesiątki patroli przeczesujących kraj i przekazujących rozkazy wszystkim napotkanym dowódcom.

Nie miał tych legionów. Pod Rinę coraz liczniej ścigały kliny i kolumny łuczników konnych, często prowadzących zapasowe i taborowe zwierzęta. Bardzo wielu dowódcom, uwolnionym od piechoty i towarzyszących jej wozów, udało się wymknąć na południe, a niektórzy przywiedli tabuny, ba! nawet stada, bo podobno przygnano dwieście krów. Ale stworzenie armii z tych odzyskanych żołnierzy musiało potrwać; nic nie chciało się zrobić samo bez rozkazów, służb i zapasów, bez piramidy dowodzenia... Kto miał żywić w jakiejś wsi pod Riną trzystu wymęczonych jeźdźców i pół tysiąca koni? Przecież to zżerało kilka wozów jadła i furazu dziennie, i nie mogło kwaterować na śniegu! Mieli wpędzić te zwierzęta na ulice Riny? Czteryście koni i sześćdziesiąt mułów?

Pojawili się też pierwsi uchodźcy. Alerowie spustoszyli kilka wsi, co najmniej dwie puścili z dymem. Mieszkańcy innych nie czekali, wielu od razu wzięło nogi za pas. Tymi ludźmi też ktoś musiał się zająć, nie mogli umierać na poboczach dróg.

Naczelny wódz wojsk imperium w żaden sposób nie mógł kierować tym z Kirlanu. Zresztą nie chciał, bo to nie była robota dla kogoś, kto musiał myśleć o wojskach grombelardzkich, garyjskich, wszystkich armektańskich, gdziekolwiek były i cokolwiek robiły. Nie do niego należało zestawianie klinów w kolumny, a kolumn w półlegiony i liczenie, czy wystarczy jucznych mułów. Wydał ogólne rozkazy i mianował dowódców odpowiedzialnych za ich wykonanie, przede wszystkim wodza

nowo formowanej Armii Lekkiej w Rinie, sam zaś zajął się tylko tym, czego nie mógł zrobić nikt inny.

Imperialne sztafety kurierskie od razu zostały wyłączone z przekazywania jakichkolwiek i czyichkolwiek poleceń, bo nie podołałyby zadaniu. Traktem łączącym Trzy Porty z Riną nieustannie płynął w obie strony strumień zwykłych gońców, którzy mieli konie na zmianę, ale musieli dotrzeć do celu sami. Imperialni kurierzy przekazywali wyłącznie rozkazy i wieści najistotniejsze, takie, które naprawdę nie mogły czekać. Zaledwie kilku osobom pozostawiono prawo dysponowania sztafetami, każdy inny urzędnik lub dowódca został pouczony, że „wieść najwyższej wagi” zechce najstaranniej ocenić, nim ją powierzy sztafetom na własną odpowiedzialność. Na skutek tych zarządzeń Kirlan w każdej chwili miał do dyspozycji nieumierających z wyczerpania jeźdźców i niezajeżdżone konie kurierskie, których można było użyć w razie konieczności lub rzeczywistej potrzeby. Ale kosztem tempa załatwiania mniej pilnych spraw.

Kłopot w tym, że pilne było wszystko.

Do decyzji, które osobiście musiał podjąć jego cesarska wysokość Ramez, należała i ta, co począć z łańcuchem stanic na północy. Były bezcenne jako punkty obserwacyjne i oparcie dla działających w ich rejonach oddziałów. Jednakże odcięcie od zaplecza musiało je skazać na zagładę. Srebrne Plemiona obecne u stóp Gór Dzielących i w samych Górach potrafiły zdobywać umocnienia, a zresztą już sama obecność złotych sfor musiała uniemożliwić dostarczenie tym placówkom uzupełnień i zaopatrzenia.

Razem kilka tysięcy żołnierzy.

W Okręgach Zachodnich na razie nic się nie działo. We wschodnim Wojskowym Okręgu Halu, dotykającym Wód Środkowych, także nic, ale tam w ogóle rzadko coś się działo, bo

zasilana kolejnymi dopływami Lezena w średnim i dolnym biegu była trudna do sforsowania. W tym okręgu, najslabszym ze wszystkich, poza Halem właściwie nie istniały stacje obwodowe. Raczej silne wartownicze placówki, nic więcej. Należało je pozostawić, a w najgorszym razie – surowe prawo wojny – odżalować.

Problemem był więc właściwie tylko okręg Alkawy, zalany przez złote sfory, oparty na północy o graniczną Lezenę, od zachodu zaś jej matkę Lawię, bo Lezena była jej ramieniem, odpływem, jak mówiono potocznie. Piękna królowa północnoarmektańskich rzek, zrodzona w Górach Dzielących (u ich podnóża rozstawała się z Lezeną) i płynąca najpierw na południe, a potem ku wschodowi, dała życie Rinie, która położona nad jej głębokim nurtem była portem morskim, choć leżała prawie trzydzieści mil od wybrzeża.

Załogi położonych nad Lezeną stanic dałoby się bezpiecznie wycofać drogą wodną aż do Halu, gdzie duża przystań umożliwia sprawny rozładunek ludzi, koni i wszelkiego dobra, albo nawet do samych Wód Środkowych, gdzie w ostatniej stnicy okręgu istniał mały, ale przyzwoity rzeczno-morski port. Dopóty jednak, dopóki istniała szansa odbicia okręgu Alkawy i okolic Toru, czyli oczyszczenia ich ze Złotych Plemion, byłaby to decyzja przedwczesna.

Ramez miał jednak złe przeczucia. Wobec tego, co się działo na granicy z Alerem, bardzo mu się nie podobał ażurowy łańcuszek drewnianych placówek, obsadzonych zazwyczaj przez kilkuset, wyjątkowo aż pół tysiąca ludzi – tyle liczyły tylko Alkawa i Siostra Rewinu, jedna z głównych stanic Okręgów Zachodnich (Rewin miał jeszcze Córkę i Żonę, tę ostatnią, oczywiście, jak najdalej – budowniczym tych trzech stanic, wzniesionych prawie jednocześnie, dopisało poczucie humoru).

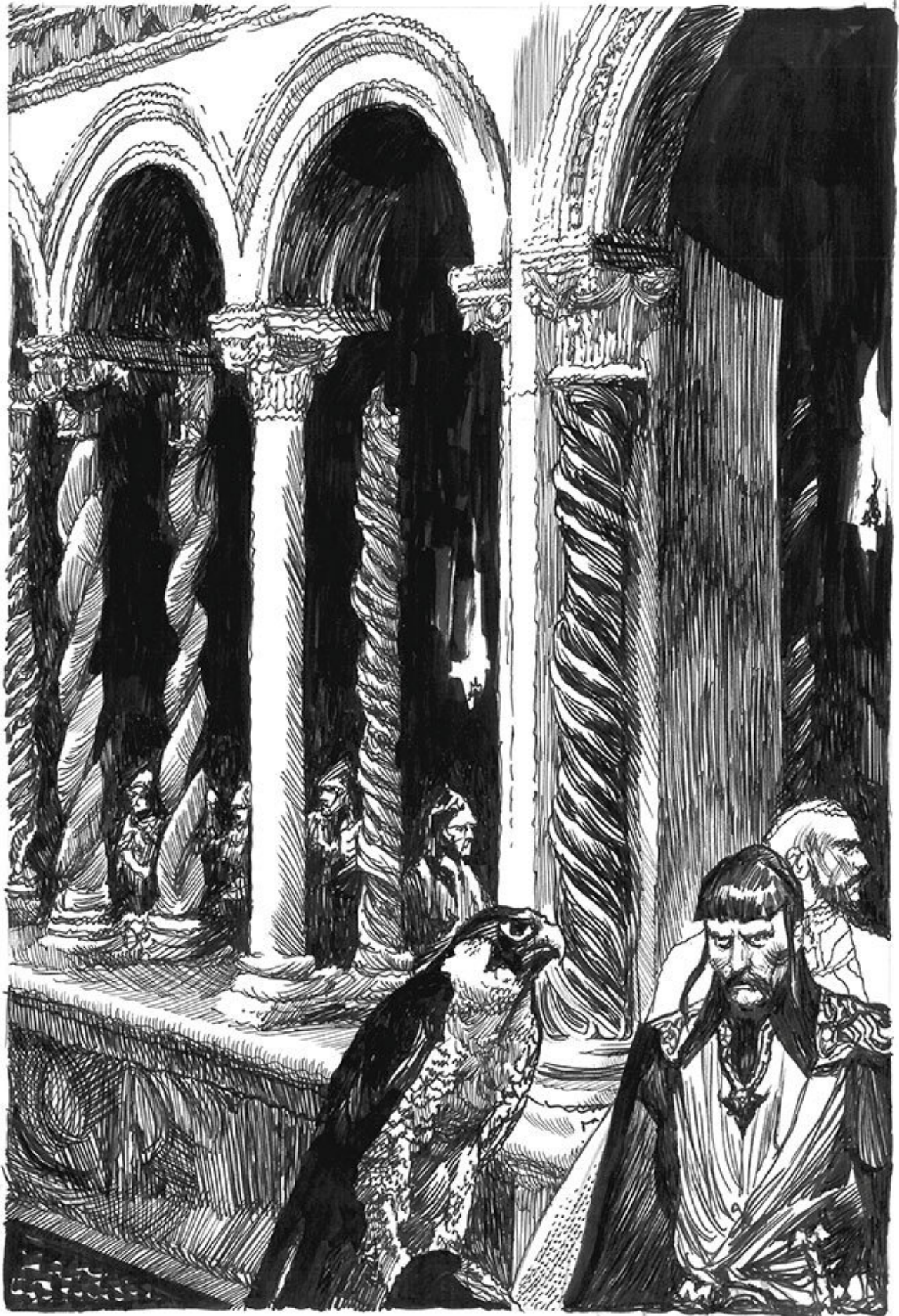
Nie mógł podjąć decyzji o porzuceniu stanic, opierając się na przeczeniach.

Czekał na wieści z Dartanu. Gdyby się okazało, że Armekt nie uzyska żadnych posiłków od wiernej i lojalnej wasalki, los stanic byłby przesądzony. Nie mogąc marzyć o utrzymaniu granicy, musiałby wciągnąć wroga w wojnę prowadzoną w oparciu o Tor i Rewin. Blokowanie tych twierdz musiało zaangażować znaczne siły Alerów; mądrze manewrujący wojskami dowódca mógłby wydawać kolejne bitwy Srebrnym i Złotym Plemionom, niszczyć odosobnione zgrupowania nieprzyjaciela. Graniczny kordon do niczego by się w takiej wojnie nie przydał – w zamian wycofane załogi porzuconych stanic mogły być cennym źródłem odwodów i uzupełnień.

Na razie nie zamierzał rezygnować ze stanic, ale mógł je dodatkowo zaopatrzyć, póki jeszcze miał na to czas. Szczególnie Okręgi Zachodnie, bo na wschodzie spustoszony Okręg Alkawy był akurat mniej narażony na kompletne odcięcie od posiłków. Z pewnym trudem, bo płynąc pod prąd, dało się jednak to i owo dowieźć do tych stanic drogą wodną. Nigdy dotąd Alerowie nie zdradzili, że potrafią budować wojenne flotylle rzeczne, mogli najwyżej uprzykrzać się z brzegu za pomocą swoich kiepskich łuków – i czasem się uprzykrzali, więc wynaleziono kilka prostych środków zaradczych.

Przedpołudniem następnego dnia po rozmowie z Przyjętą Ramez zdążył głównym korytarzem pałacu w asyście dwóch tysięczników legii, już spóźniony na odprawę, bo poranne przeglądanie listów i pism wszelkiego rodzaju (od tego zaczynał każdy dzień) pochłonęło go trochę za bardzo. Dom monarchini, zawsze pełen gości, petentów, domowników i służby, był ostatnio zatłoczony jeszcze bardziej, z oczywistych powodów. Zwykle zarządzanie Wiecznym Cesarstwem nie wymagało

nadzwyczajnej krzątaniny. Dawno już jednak zapomniano, co to jest zwykłe zarządzanie.



Najwyższych dostojników imperium, przemierzających korytarze tej ogromnej budowli, poprzedzali zazwyczaj żołnierze Gwardii Cesarskiej, bo ktoś musiał torować drogę. Starym obyczajem wysocy rangą dowódcy zawsze chodzili bez asysty. Tutaj, w sercu Wiecznego Cesarstwa, sama wojskowa tunika oficera miała otwierać drogę.

I tak było.

Od pewnego czasu książę Ramez też paradował w narzucie o wojskowym kroju. Białej narzucie, a więc takiej, jakie nosili tysięcznicy i nad tysięcznicy. Nie miał żadnych oznaczeń stopnia, bo nie miałby czym się pochwalić – oszedł z wojska w stopniu podsetnika pieszych łuczników, osiągnąwszy w armii tylko tyle, ile koniecznie powinien osiągnąć syn świetnego armeckańskiego rodu. Ale nie miał także na tunice armeckańskich gwiazd czteroramiennych, bo przysługiwały tylko żołnierzom, Ramez zaś do służby nie wrócił. Mianowany przez małżonkę naczelnym wodzem wszystkich wojsk imperium, jako niewojskowy musiał uzyskać na to zgodę swych żołnierzy... I nie było w całym imperium ani jednego, choćby najmniejszego garnizonu, w którym swego czasu nie odczytano by na porannym apelu listu władczyni Wiecznego Cesarstwa, która pytała wojowników, czy zechcą przyjąć zwierzchnictwo jej namiestnika, i prosiła ich o wyrażenie zgody.

Czcza formalność, zapewne. Skrupulatnie tego jednak przestrzegano.

W rzeczywistości wystarczyłaby zgoda kilku najwyższych dowódców. To oni słuchali rozkazów Rameza i przekazywali je w dół już jako własne, a ich podkomendni nie mieli wtedy nic do gadania. Jednak rozszerzenie starego prawa na wszystkich żołnierzy pozwalało im nie tylko poczuć się docenionymi, ale i uprawniało małżonka cesarzowej do wydania bezpośredniego

rozkazu najmarniejszemu łucznikowi przy taborach; nie musiał czynić tego wyłącznie za pośrednictwem jego przełożonych.

Wojna nie była dziedziną jak każda inna. Była dziedziną Arilory. Ten, kto dobrowolnie wstępował na jej służbę, zyskiwał niezbywalne prawa i przywileje.

Trzej idący mężczyźni w tunikach nie musieli być poprzedzani przez żołnierzy torujących drogę. Uciekano na boki, i to jeszcze zanim dostrzeżono, że jednym z idących jest sam Książę Małzonek.

Skęcili w boczny korytarz, na którego końcu widniały duże drzwi Sali Odpraw, Zebrań albo Narad, bo miała przynajmniej trzy miana. W tej samej komnacie postanowiono kiedyś o przystąpieniu do wojny z Dartanem.

Wszyscy już czekali. Wojskowi za krzesłami wokół stołu, dwaj pisarze przy pulpitach, każdy przy innym oknie. Pod ścianą służący przy wojsku pacholek, gotów dopełnić opróżniony kubek winem albo miodem.

Książę usiadł, usiedli wszyscy. Osiem osób.

Jedynym tu niewojskowym i niezwiązanym z wojskiem – w każdym razie nie z wojskiem armektańskim – był szwagier Rameza, książę Askenez. Wciąż jeszcze siedział w pałacu i ani myślał wyjeżdżać.

Pierwszy raz brał udział w odprawie.

Bardzo szybko się dowiedział, po co go wezwano. Odebrawszy od dowódców zwykłe meldunki, Ramez od razu zwrócił się do szwagra:

– Czym, wasza wysokość, dysponujesz w Grombelardzie?

Spowinowaceni, byli oczywiście po imieniu. Lecz wojskowa odprawa rządziła się swoimi zasadami. Ramez był po imieniu, przynajmniej w jedną stronę, ze wszystkimi zebranymi przy stole.

Askenez, o dziwo, zrozumiał, o co go pytają, i nie zaczął wyliczać win składowanych w swoich piwnicach.

– Niepełną flotyllą straży morskiej w Londzie i eskadrą w Gehu, przekazaną z armektańskiej Flotylli Wód Środkowych. Mam jeszcze sześciuset żołnierzy Legii Grombelardzkiej, wciąż ponad etat. – To ostatnie powiedział z wyrzutem, bo Kirlan od lat mu obiecywał dodatkowe środki na utrzymanie ponadetatowych żołnierzy; jakoś nigdy nie wpłynęły do skrzynki Londu. – Nie liczę małych garnizonów w miasteczkach. To jeszcze ze dwustu żołnierzy, rozsianych po całym okręgu. Po całym księstwie – poprawił z przekąsem.

Po rozpadzie Drugiej Prowincji wszystko, co zostało z Legii Grombelardzkiej, ściągnięto do Londu, który jako miasto portowe, właściwie wcale nie powinien być patrolowany przez żołnierzy sił lądowych, zajmowała się tym straż morską.

– Kupcy pływający Szlakiem Północnym donoszą – rzekł Ramez – że na Ziemi Niczyjej widać liczne dymy, a na samym wybrzeżu osady, których kiedyś nie było. To po sąsiedzku z twoją prowincją, książę. Wiesz coś o tym?

– Niewiele. Potwierdzam to, co powiedziałaś, wasza cesarska wysokość.

Znów z przekąsem. Prawie nieuchwytnym, ale jednak.

– Wasza wysokość, zechciej natychmiast rozpiścić pobór. Oczekuję legionu Legii Grombelardzkiej. Niskoetatowego, o stanach wyjściowych. Dwie trzecie tych żołnierzy, słyszę, masz. Przejmę ich na żołd armektański i zwrócę, gdy nie będą już potrzebni.

Askenez zaniemówił. Chciał mieć środki na utrzymanie żołnierzy – ale chciał mieć też tych żołnierzy. Grombelard miał zostać ogołocony z choćby symbolicznych sił lądowych, jeśli nie liczyć owych wymienionych wcześniej kilkuset legionistów, pełniących patrolową służbę na ulicach miasteczek.

– Góry nie są spokojne, wasza wysokość. Potrzebuję żołnierzy na wypadek jakiejś awantury. Dochodzi czasem do napadów na wioski, raz nawet na małe miasto. Muszę mieć żołnierzy do ścigania zbójów.

– Rozpisz pobór – powtórzył Ramez. – Zarekrutuj tylu, ilu trzeba, chętnych na pewno znajdziesz. Zluzuj tymi rekrutami garnizony najspokojniejszych miasteczek, będą szkolić się i patrolować jednocześnie pod okiem paru doświadczonych kolegów. To tylko rada – zastrzegł. – Stwórz sobie w Londzie takie wojsko, jakiego ci trzeba, choćby i trzy legiony, ja proszę tylko o jeden. Oczywiście te trzy legiony to już na koszt twojej prowincji, Przedstawicielu Cesarzowej w Londzie. – Przypomniał delikatnie szwagrowi, że nie jest udzielnym władcą zaprzyjaźnionego mocarstwa, a tylko urzędnikiem Imperatory. – Oczekuję, że do końca zimy wystawisz do mojej dyspozycji Legion Grombelardzki, taką nazwę proponuję, ale może być jakakolwiek. Tak, wiem, połowa tych żołnierzy to będą w ogóle nieprzeszkoleni rekruci, ale to już moje zmartwienie. Dwie trzecie stanu kusznicy, reszta tarczownicy. Wystarczy klin jazdy w odwodowej kolumnie tysięcznika legionu i dziesiątka przy każdym półlegionie. Wiem, że z konnicą będziesz miał kłopot, wasza wysokość, ale legion musi mieć chociaż garść jeźdźców do zadań rozpoznawczych. Nie przydzielę jazdy armektańskiej, bo chcę, żeby jeźdźcy grombelardzkiego legionu mówili po grombelardzku. A, i jeszcze... Jeśli zdołasz dodać tym siłom kilku kocich zwiadowców, będę rad.

– Mają działać w Armekcie? Przecież...

– Będą działać tam, gdzie ich pošlesz z mojego rozkazu.

– Musiałbym natychmiast wrócić do Londu. Uważam...

– Wydaje mi się, że tak. – W spojrzeniu Rameza dało się wyczytać: „Powinieneś tam siedzieć od dawna”.

Askenez chciał powiedzieć coś jeszcze; małżonek cesarzowej nie pozwolił.

– To był pierwszy rozkaz, książę, nie ostatni. Oczekuję rozpoznania na Ziemi Niczyjej, siłami straży morskiej, a zresztą jakimikolwiek, pozostawiam to twojej decyzji. Chcę wiedzieć, kto tam uciekł: tylko ich kobiety, dzieci i starcy czy wojownicy też. Jeśli trzeba, rozpoznaj bojem.

Do końca odprawy Askenez nie odezwał się nawet słowem.

A odprawa trwała i trwała. Ramez przedstawił swoje wstępne decyzje dotyczące stanic na granicy, wyjawiał też, dlaczego podjął takie, a nie inne. Pozwolił na dyskusję, wysłuchał propozycji, w tym najśmielszej, mianowicie natychmiastowego wycofania sił granicznych i sformowania z nich kilku pełnowartościowych legionów. Tę odrzucił od razu.

– Nie dostaną taborów, tysięczniku – rzekł krótko. – Masz prawo tego nie wiedzieć, więc wyjaśniam: wyposażenie trzech armii, które planowaliśmy, w wystarczające tabory, od początku było dużym wyzwaniem. Armii Odwodowej już raczej nie będzie, ale to, co było przeznaczone dla niej, zostanie odtwarzana Armia Toru, która chyba straciła wszystkie wozy i większość jucznych zwierząt. Możemy wycofanymi ze stanic żołnierzami wypełniać luki w szeregach, uzupełniać straty bojowe, ostatecznie przyłączyć gdzieś dodatkowy półlegion, ale samodzielnej armii nie stworzymy, bo byłaby to armia bez zaplecza.

– Pozyskamy wozy od kupców, wasza wysokość. Wielu zgłasza się dobrowolnie, inni będą musieli przyjąć kwity.

– Ich wozy to ostateczność. Ciągną je konie, woły, nawet osły, trudno oszacować ich nośność i wytrzymałość, każdy wóz ma koła innej wielkości, co bardzo utrudnia wymianę i naprawę, a nikt ich nie budował do wielomilowych przemarszów po bezdrożach. Po traktach jakoś się toczą, na wertepach wiele się

rozleci. Marny tabor osłabia i spowalnia armię, a przyjdzie nam walczyć z wyjątkowo szybkim i zaradnym w terenie wrogiem, to nie ciężkie hufce dartańskie. Tego już nie powinienem tłumaczyć. W każdym razie żadnemu wojskowemu.

Tysięcznik przełknął nauczkę – tym łatwiej, że małżonek cesarzowej podziękował mu jak każdemu, bo doceniał zarówno odwagę, jak i samodzielne myślenie.

Narada dobiegła końca, Ramez zwolnił wszystkich, także pisarzy i pacholka. Nie wyniósł się tylko Askenez.

– Jeszcze dwa słowa, Ramezie – rzekł, gdy zostali sami.

– Słucham, bracie.

– Powinieneś wiedzieć lepiej niż ktokolwiek, jak wygląda szkatuła Grombelardu. Ta prowincja nigdy nie była bogata. Teraz żądasz...

– Rzeczywiście wiem – przerwał Ramez. – Czy możliwe, że lepiej niż ty?

Askenez zamilkł.

– Utrzymanie „orlich gniazd” w Ciężkich Górach było kosztowne – rzekł Ramez – bo to były wielkie miasta tylko z nazwy. Rzemiosło i handel zaledwie pokrywały ich własne potrzeby, a żołnierzy Legii Grombelardzkiej utrzymywał Armekt. I Lond. To, co zostało z Drugiej Prowincji, czyli Księstwo Grombelardu Północnego jest po prostu bogate, Askenezie. Nie wiedziałeś? Twoje wioski rybackie dostarczają dwa razy więcej ryb, niż trzeba, a jeśli podwyższysz daniny, to nawet nie mrugną okiem, bo są w stanie podwoić połowy, przynajmniej przez jakiś czas. Macie łowiska wielorybów i ptasie guano kupowane przez cały Szerer. I dobrą wełnę, niewiele gorszą od niskogrombelardzkiej. A twoja stolica, Lond, to jedyny wielki port na północy. Mówić dalej?

Askenez milczał. Mimo to Ramez dopowiedział:

– Wszystkie statki schodzące ze Szlaku Północnego na Południowy i odwrotnie przeładowują towary w twoim Londzie. Prawie wszystko, co płynie z Wód Środkowych albo na Wody Środkowe, też zawija do Londu. Nie wiesz, co robić z pieniędzmi.

– Zniszczyłeś tę prowincję i pozostawiłeś mi ruinę. Zniszczyłeś ją rozmyślnie, w imię jakichś baśni. Teraz...

– Już mnie za to oceniono i zrobił to ktoś stojący wyżej od ciebie, mój bracie. – Ramez przerwał mu po raz drugi. – Najpierw twój ojciec, potem twoja siostra. Najpierw cesarz, potem cesarzowa Wiecznego Cesarstwa. Nie wystarczy?

– Nie zdołam wystawić dla ciebie tego legionu. Będą kłopoty z rekrutacją, a jeszcze większe z wystawieniem taboru. Sam mówiłeś, jakie to trudne. To żołnierze miejscy, niemający wozów, mułów ani żadnego zaplecza, bo wszystko to zapewnia im miasto. Przewiduję problemy.

– Pokonaj je, rozwiąż. Tabor... Wystarczy, jeśli będzie szczątkowy. Możliwe, że twój legion zluzuje żołnierzy w kilku małych miastach, nic więcej ci na razie nie powiem. Odebrałeś rozkazy, księżę, jesteś dowódcą wojsk grombelardzkich, ja dowódcą wszystkich wojsk imperium. Wykonać.

– Mam wystawiać dla ciebie wojska, ty w tym czasie zrujnujesz Armekt, knując z Przyjętą tak, jak kiedyś knułeś z Przyjętymi w Grombelardzie?

Ramez milczał, patrząc uważnie. Askenez ugryzł się w język. Poniewczasie.

– A co wiesz o tym knuciu z Przyjętymi, Askenezie? Jestem pewien, że nic ci nie mówiłem. Kto więc ci powiedział? Siostra, ojciec, matka czy Przyjęta?

– Dobrze, wydam rozkazy. Jeszcze dzisiaj wyślę pismo do Rapy. Wolalbym do Riny, ale tych kurierów nie wolno używać, nieprawdaż?

– To jedna droga, rozchodzi się do dwóch miast... Kto ci powiedział o knuciu z Przyjętymi i co o tym w ogóle wiesz?

– Nic nie wiem. Zawsze coś knujesz.

– Knulem raz w życiu. Pytam cię po raz trzeci.

– A ja ci nie muszę odpowiadać, szwagrze, bo winien ci jestem posłuszeństwo jako dowódca Legii Grombelardzkiej. Tylko takie.

– Poproszę więc najgodniejszą, by zadała ci to pytanie. Zechciej tutaj poczekać. Uznaj, że zwołałem właśnie nową odprawę i wydaję ci wojskowy rozkaz: siedź tutaj. Wrócę tak szybko, jak tylko będę mógł. Poproszę cesarzową, by zechciała na chwilę oderwać się od innych spraw.

Askenez poczerwieniał na twarzy.

Ramez wiedział dlaczego. Zawsze był wobec swego „brata” grzeczny, szanując płynącą w jego żyłach krew.

A Werena nie. Pompowany przez serce Askeneza płyn uważała za czerwone pomyje i gotowa byłaby kiedyś surowo zapytać matkę, od kogo ta ciecz pochodzi i jak się dostała do środka.

Małżonkowi cesarzowej doniesiono o dziwnych ludziach obserwujących setnika Rawata w Sar Soa. Nie miał nawet cienia podejrzeń co do ich tożsamości; nic nie przychodziło mu do głowy. Aż do teraz.

Siedzący przed nim dureń mógł wymyślić cokolwiek. Właśnie intrygę tej miary. Tylko po to, by zaszkodzić szwagrowi, a tym samym znienawidzonej młodszej siostrze. O, tak. Do Askeneza to by pasowało.

– Nie mam nic do powiedzenia – rzekł grombelardzki Przedstawiciel. – Ani tobie, ani nikomu. Zaraz każę napisać rozkaz i poślę go do Rapy.

– Nie, Askenezie, żadnych gońców i żadnych rozkazów w listach. Zasiedziałeś się tutaj, a sprawy najwyższej wagi, które

dzisiaj omówiliśmy, wymagają twojej obecności w Londzie. Oczekuję, że wyruszysz jutro rano i stawisz się tam najpóźniej za dwa tygodnie. Zorganizujesz legion, o który cię poprosiłem. Przemów jedno słowo – Ramez ostrzegawczo uniósł palec, nie tając, że ten gest to pogróżka – a pobiegnę na skargę nie tylko do twojej siostry, ale jeszcze matki i ojca. Powiem: „Matko, Askenez mnie nie słucha!”. I zapytam, czy to ona opowiedziała ci o moich knowaniach.

Askenez, wciąż czerwony na twarzy, wstał po chwili i skierował się ku drzwiom.

– Zorganizuj mi ten legion szybko i sprawnie – powiedział jeszcze do jego pleców Ramez – bo nie tylko będę skarżył, ale jeszcze zmyślę drugie tyle. A uwierzą mi we wszystko, co o tobie powiem.

ROZDZIAŁ 4



Aktar, Ajan, Ayana – rzekł Wenewet. – Trzy imiona na A.

– Jedno to przydomek – przypomniał Ajan.

– W Armeckie wszyscy mają imiona na A – orzekł Rawat, dopił wódkę i chciał z namysłem dotknąć palcem nasady nosa, ale nie trafił i omal nie postradał oka. – Trzej synowie Imperatora... – Poklepał znacząco stół i wskazał środkową deskę blatu. – Weźmy trzej. Cały Armekt też jest na A. I Sar Soa.

– Sar Soa?...

– No: sAr soA.

– To nie jest na A.

– Ale się liczy. Wszyscy mają na A. Askar, Aktar...

– Nie tak znowu wszyscy.

– Wszyscy mają Aktar, Askar, Awenor... A jak nie mają Awenor, to i tak mają na A. A jak nie mają na A, to i tak mają na A.

– Ale moje i twoje imię, wasza godność? – zapytał Wenewet.

– Twoje?... Wenew to nie; to na E. A Arwat też jest na A.

– Rawat.

– Może i rAwat – powiedział setnik i zasnął.

Następnego dnia mieli opuścić Rewin, a raczej jego gościnne podgrodzie, i w asyście klina konnych łuczników ruszyć przez bezdroża na północ.

Tymczasem zajmowali wygodną izbę w najlepszej oberży. W przytulonym do twierdzy miasteczku znaleźli wszystko, co

potrzebne, między innymi ten zajazd. Nazywał się Pod Dziadkiem – chyba specjalnie dla śmiechu, bo przecież mógłby U Dziadka. Właściciel jednak, jowialny, rubaszny wielkolud, musiał być podobny do ojca, po którym odziedziczył wielki drewniany budynek – niegdyś skład – przerobiony na oberżę. Nie zmienił niczego, a przede wszystkim zostawił nazwę i szyld: wycięty z blachy, udatnie wyobrażał sylwetkę przykucniętego człowieczka z długą brodą.

Był już późny wieczór, ale jeszcze nie kładli się spać. Poza setnikiem, ale to nie było nic nadzwyczajnego.

Ajan i Aktar bez większego wysiłku podnieśli staruszkę z krzesła i położyli na łóżku.

Mieli jeszcze do wypicia we dwóch całe mnóstwo wódki. Wenewet raczył się piwem i był już solidnie podchmielony, chociaż nie aż tak, jak w niemowlęctwie – gówniarzowi dawało się do ssania szmatkę nasyoną słodkim winem lub rozcieńczonym miodem, bo wtedy szczył zamykał rozprutą gębę i zasypiał. Ayana nie miała mocnej głowy (może była spokojnym dzieciakiem i nie przeszła odpowiedniej zaprawy), wyglądało więc na to, że następny kubek zupełnie jej wystarczy.

– Idźcie spać – powiedział Aktar. – Ostatnią noc pod dachem zawsze trzeba dobrze wykorzystać.

Powtórzył to jeszcze kilkakrotnie, zanim odkryli w jego słowach mądrość.

Aktar i Ajan zostali przy stole we dwóch. Do upicia się mieli daleko, ale do trzeźwości tyle samo.

– Nie wiem, czy dobrze się stało – rzekł Aktar, wskazując niebieską tunikę z czteroramiennymi armektańskimi gwiazdami, zawieszoną na kołku wbitym w ścianę. Wycinane w trójkąt, białe obszycia setnika odgradzone były od reszty szarymi paskami honor-gwardzisty.

Rawata przywrócono do służby.

Tak zdecydował komendant Okręgów Zachodnich, przy wyraźnym sprzeciwie dowódcy Armii Rewinu. Podsetnik konnych łuczników, przydanych do asysty, miał dowodzić swoimi żołnierzami. A Rawat – tym podsetnikiem.

– Na odprawie niestety był trzeźwy. No, niemal całkiem – powiedział Ajan. – W ogóle nie śmierdział.

Każdy pijak miał sto sposobów na nieśmierdzenie gorzałką. Czasem trzeba było uchodzić za trzeźwego. Najprostszy sposób, czyli bycie trzeźwym, nie wchodził przecież w rachubę.

Pijany żołnierz na służbie zwiastował nieliczne kłopoty. A co dopiero oficer. Podwładny miał prawo odmówić wykonania rozkazów takiego.

– Ale co miałem zrobić? – zapytał Aktar. – Powiedzieć: „Nad tysięczniku, przecież to ochlajmorda”?

Przez jakiś czas pili w milczeniu.

– Ale on wie, co robi – mruknął Ajan. – I to chyba lepiej niż my. Ta tarcza...

– Relfs. Zapamiętałem.

Wojownicy Srebrnych Plemion używali plecionych, obciągniętych skórą tarcz. Wspaniale malowane, były pożądany przez żołnierzy łupem. Na ścianach zamkowych komnat wisiał cały zbiór. Rawat zażądał dwóch takich tarcz.

„Przywiązana do żerdzi jest tym, czym u nas biała flaga posła” – wyjaśnił. „Trzeba ją zakryć do połowy płótnem, a najlepiej skórą, bo oni tak robią”.

Po czym dodał:

„Ich kobiety je malują. Jeśli tarcza zostanie zniszczona, w domu czeka druga. Nie znają pisma, ale te obrazki opowiadają ich dzieje. W wioskach mają specjalne izby o ścianach pokrytych setkami takich malunków. Potrafią namalować każdą historię szybciej, niż my opisujemy”.

Przez pół minionego dnia włóczyli się po osadzie – chociaż raczej naprawdę: miasteczku. Niektórzy mieszkańcy uprawiali jakieś poletka, hodowano trochę zwierząt, jednak większość domów zamieszkiwali rzemieślnicy pracujący na potrzeby twierdzy i w ogóle wojska, pomniejsi wojskowi urzędnicy i kto tylko. Jacyś włóczędzy, zonglerzy, całe mnóstwo dziewczuch do wiadomo czego, drobni kupcy i sklepikarze, a wszyscy, rzecz jasna, z rodzinami. Były karczmy i nawet wielki budynek z niezliczonymi ławami otaczającymi podesty do zawodów zapaśniczych, słowem: wszystko, co mogło się podobać żołnierzom. Całe to zbiorowisko domów, szop, stajni i składów otoczono – już bardzo dawno – osobnym murem i zwano najczęściej niskim zamkiem.

Oczywiście mur nie obejmował wszystkiego. Kiedyś tak, potem już nie. W miarę upływu lat różne chałupy oblepiły go także z zewnątrz, a teraz dodatkowo przytuliły się doń tymczasowe budynki mieszkalne dla żołnierzy nowo formowanej armii.

Przywrócony do służby setnik otrzymał mundurową tunikę i normalny przydział kłamotoów. Intendent Rewinu niezwłocznie kazał wydać mu wszystko, co wojsko dawało oficerom. Rawat nie wziął tylko kolczugi i szybko okazało się dlaczego.

„To już dla mnie za ciężkie” – wytłumaczył w izbie, gdzie złożono jego przyniesione z twierdzy dobro. „Ale dobrze, że zapytałeś, młodzieńcze. Teraz tak samo zapytaj ojca, czy Trybunał Imperialny dał mu jakieś srebro na specjalne wydatki. Idziemy na zakupy”.

Trybunał rzeczywiście dał srebro, a nawet trochę złota (ale o tym nikt nie musiał wiedzieć). Odwiedzili kilka kupieckich kramów i zbrojmistrza. Rawat z dużą znajomością rzeczy wybrał dla siebie kolczącą koszulkę, znacznie krótszą i lżejszą od

wojskowej, za to sporo droższą. Rad nierad, oprócz srebra Aktar wyciągnął i złoto.

„Będzie w sam raz” – ocenił Rawat. „Nie nałożę mundurowej tuniki na barchan. Teraz wy. Musicie mieć broń”.

Wszyscy mieli łuki i miecze. Zdziwiony Wenewet chciał pytać, ale wstrzymał się, bo jego ojciec tylko domyślnie skinął głową.

Wkrótce nieśli cztery lekkie włócznie, takie jakich używała armektańska jazda, choć bez wybitej na grocie cechy jakościowej Legii Armektańskiej. Do tego skórzane tuleje będące uzupełnieniem rzędów końskich.

„Chciałem o to zapytać, setniku” – rzekł Aktar, całkiem sprawnie obracając w rękę jesionową broń. „Nigdy nie miałem do czynienia z Alerami”.

„To najlepsze na jednych i drugich” – krótko wyjaśnił starzec.

Jeźdźcy Równin rzadko wozili włócznie, ale zdarzało się. Aktar radził sobie całkiem przyzwoicie, Ajan i jego siostra wiedzieli przynajmniej, jak trzymać. Wenewet nie za bardzo, no ale... Ostatecznie mógł toto mieć; nie on dźwigał, tylko koń, a bardzo ciężkie nie było.

Rawat dostał włócznie z wojskowego przydziału, oficerską. Od żołnierskiej różniła się tym, że na drzewcu poniżej grotu umocowano dwa metalowe zaczepy do proporczyka: niebieskiego, trójkątnego znaku setnika lekkiej jazdy. Używano go nie za często. Stu, najwyżej stu pięćdziesięciu ludzi zazwyczaj i bez proporczyka wiedziało, gdzie jest ich dowódca.

Stary żołnierz dostrzegł krótkie wahanie najmłodszego członka oddziału, bo powiedział:

„Pokazałbym ci, co z tym można robić, ale nie bez konia. Zahaczę o ziemię”.

„Zrobi się, setniku” – nieoczekiwanie rzekł Ajan i przykucnął. „Widziałem to w robocie, niech młody człowiek też popatrzy”.

Rozbawiony Aktar pomógł równie ucieszonemu starcowi dosiąć wierzchowca „na barana”. Przechodnie przystawali, zrobili trochę miejsca w uliczce. Tu i tam zabrzmiały śmiechy, ale wkrótce potem pochwalne okrzyki – miejscowi widywali ćwiczących żołnierzy, jednak wiek tego tu jeźdźca nakazywał specjalny szacunek. Lekka broń obracała się w ręku z dużą szybkością, można nią było wymierzać pchnięcia we wszystkich kierunkach, także w dół i do tyłu. Rawat nie przyniósł sobie wstydu.

Krótki pokaz wywarł wrażenie na Wenewie.

„Już nie te lata i nie te oczy” – rzekł setnik, gdy znów znalazł się na ziemi. „Z włócznią pół biedy, ale z łuku...”

Skrzywił się i tylko machnął ręką.

Tak czy owak Wenewet zdał sobie sprawę, że nie zbliżyłby się do tego dziadka na długość swojego miecza.

Teraz, w nocy, Ajan przypomniał Aktarowi o popołudniowym popisie w uliczce. Dolał wódki do kubków.

– Gdyby tylko nie chlał na okrągło, to nie jest z nim tak źle.

– Rzeczywiście trochę się ogarnął. Nie widziałeś go w jego izbie w Sar Soa. Miał na dupie jakieś straszne gacie, myślałem, że nie zejdzie po schodach.

– Jakoś zszedł.

– Nie bardzo daje radę dosiąć konia. Trzeba mu pomagać.

– Ale jak już dosiądzie, to siedzi. Przyglądałem mu się przez pół drogi. Kiedy patrzysz z tyłu, tobyś nie powiedział, że się różni od Weneweta. Obaj szczupli, nie za wysocy, a plecy prawie tak samo proste. Nogi ma słabe, ale w siodle potrzebuje tylko pięt i kolan.

– Uda też by się przydały.

– Wystarczają, lekki jest. Radzi sobie. Zresztą widać, jak zbiera zwierzę. Jeśli drzemie, to się budzi na każdym zakręcie

drogi. To kiedyś musiał być naprawdę świetny jeździec. Może nawet nie gorszy od ciebie.

– Ale sika trzydzieści razy dziennie.

– Wie przynajmniej, że mu się chce.

– Dobrze i to.

– Do Kanazy jechaliśmy galopem. Zlazł na ziemię zupełnie żywy.

– Dobrze i to – powtórzył Aktar.

– Jeśli trzeba będzie łązić gdzieś piechotą, no to tak, wtedy będzie problem.

– Żaden z nas nie jest mocnym piechurem.

– To też prawda.

Aktar zamyślił się.

– Niepotrzebnie zabrałem Weneweta – powiedział. – Jakoś mi się zdawało...

Pokręcił głową i dodał:

– Mówi się: stary a głupi. Na razie to była podróż, nie wyprawa. A teraz to nie będzie przejażdżka po stepie. Jakoś mi się zdawało... – powiedział raz jeszcze i urwał w tym samym miejscu.

– Przecież nie odeślesz go do domu – zauważył Ajan.

– Dlaczego?

– Bo cię nie posłucha i dowiesz się, że naprawdę jest mężczyzną. Będziecie się przekrzykiwać? A potem ty będziesz jechał obrażony na czele, on na końcu?

Aktar wypił wódkę, porozmyślał.

Napili się jeszcze.

– No, to chodźmy spać.

Spakowali rano resztę podręcznych rzeczy i objuczeni nimi poszli do stajni.

Ajan ruszył w przeciwnym kierunku. Przed bramą zamku czekał oddział jazdy. Ajan wziął od żołnierzy dwa nieobjuczone konie i poprowadził w uliczki uśpionego jeszcze miasteczka, gdzie czekali jego towarzysze. Też trzymali juczne. Zabrano tych zwierząt więcej niż zazwyczaj, bo zimowy step nie mógł nakarmić wierzchowców, trzeba więc było wieźć znaczny zapas sypczy. Oprócz tego czekał inny ładunek. Minionego dnia zakończyli zakupy, nabywając kilka worków kaszy i grochu.

„Srebrni siedzą w tych górach od początku zimy” – wytłumaczył Rawat. „Cokolwiek ze sobą zabrali i jakkolwiek oszczędzali, głodują. Na pewno nie zaszkodzi, jeśli damy im trochę jedzenia. Od czegoś trzeba zacząć”.

„Jedzą to?”

„Groch i kaszę? Tak. Groch nawet uprawiają, dobrze u nich rośnie. Gorzej z mięsem. Chyba mogą jeść, ale bardzo im nie smakuje i mają po nim sraczkę, a niektórzy rzygają. He...” – powiedział jeszcze i zamyślił się.

„Co: he?”

„Bo wiecie, co u nas najbardziej lubią ich wehfety? Pokrzywy. Przepadają za nimi”.

„No, pokrzyw chyba nigdzie nie kupimy”.

Odebrali ciężkie, przygotowane przez kupieckiego pachółka worki i objuczyli konie. Potem zajechali przed bramę.

Przydzielono im pełny, lecz niesamodzielny klin jazdy – brakowało gońca i służb. Funkcje koniowodnych mieli pełnić wyznaczeni żołnierze, musieli ponadto sami zadbać o swoje posiłki, bo kucharza-intendenta też nie było.

Młody podsetnik oddał Rawatowi honory, w żaden sposób nie okazując, co myśli o przejściu pod komendę sędziwego,

nieoglądanego nigdy oficera. Setnik zarządził wymarsz i z powrotem przekazał dowodzenie.

Pojechali kawałek drogą, potem skręcili na północ.

Wciąż było bardzo ciepło. Większość śniegu zniknęła, tylko w zagłębieniach terenu zalegało jeszcze trochę bieli. Prawie nigdzie nie było błota, najwyżej wilgotna ziemia, na szczytach garbów trochę już przesuszona wiatrem, bo od kilku dni nie padało. Zagadnięty przez Rawata młody oficer zapewnił, że ma w oddziale kilku żołnierzy bardzo dobrze znających teren. To zawsze miało duże, ale podczas mrozów trochę mniejsze znaczenie, bo zamrożone rzeki dało się sforsować prawie wszędzie. Gdy lód znikał lub stawał się słaby, niepodobna było swobodnie podróżować bez znajomości brodów albo przepraw promowych w jakichś wioskach, zwłaszcza że po odwilży rzeki wzbierały.

Mostów w tej części Armektu nie było wcale. Najwyżej kładki nad strumieniami i rzeczkami w pobliżu wsi, budowane raczej dla wygody niż z rzeczywistej potrzeby, bo takie przeszkody wodne dało się sforsować niemal w każdym miejscu. Przerzucenie mostu nad większą rzeką to już było wyzwanie. Zbyt kosztowne i pracochłonne w słabo zaludnionym, pozbawionym miast kraju. Wystarczały łodzie lub promy tu i tam.

Na razie nie forsowali żadnych rzek. Po prawej stronie mieli las, ominęli go, zostawiając po lewej ręce, potem zobaczyli kolejny przed sobą. Nim nadeszło południe, ten także został z tyłu. Przed oddziałem otwierała się rozległa równina. Gdzieś na jej końcu majaczyło samotne drzewo.

Rawat przywołał podsetnika i wydał mu kilka poleceń. Wkrótce klin się zatrzymał, ustawiony w trójszeregu: trzy dziesiątki jedna za drugą. Na końcu szyku stanęła czwórka

Jeźdźców. Na prośbę starego towarzysza przejęli od legionistów wszystkie konie juczne.

Setnik zajechał przed czoło szyku i zatrzymał konia obok młodszego oficera. Miał w ręku swoją włócznię, do której przypiął proporczyk.

Kiedyś dysponował bardzo mocnym głosem, teraz jeszcze wystarczającym.

– Łucznicy! – pół powiedział, a pół zawołał.

To było więcej i pochlebniej, niż gdyby się zwrócił: „Jeźdźcy!”.

Że są jeźdźcami, to było widać. Że łucznikami – jeszcze mu nie dowiedli.

A symbolem Armektu był łuk. Najlepiej: łuk i koń, lecz najpierw jednak łuk. Pieszy łucznik w oczach Pani Arilory wart był tyle, ile jego konny towarzysz.

– Macie swojego dowódcę i nie ja będę was prowadził do szarży! Ale wyroki wojny są nieznane! Jeśli kiedyś zabraknie waszego podsetnika, będę was prowadził zamiast niego! Uwaga w szyku!

– Tak, panie! – zabrzmiały trzy głosy dziesiętników.

– Klin!

– Tak, panie!

Młody podsetnik odjechał na bok, dołączając do czwórki niezołnierzy.

Dowódcy jazdy wydawali komendy za pomocą kościanych świstawek, czasem powtarzano rozkaz sygnałem proporca. Rawat użył jednego i drugiego:

„Stępa-klusem-marsz!”.

Nim przebrzmiał ostatni ostry gwizd, klin ruszył stępa i w ustalonym czasie przeszedł do klusa. Oddalał się z Rawatem na czele. Zwiększyły się odstęp między liniami.

Znów rozbrzmiała świstawka; furkotu proporczyka już nie było słychać – za daleko.

Oddział poszedł wyciągniętym kłusem. Bez łamania linii trzy dziesiątki zataczały łagodny łuk w lewo. Odległość rosła, coraz słabiej było słyszeć świstawkę.

Na równinie trzydziestu bardzo dobrze wyszkolonych i pewnie prowadzonych jeźdźców pokazywało, w jaki sposób Armekt podbił Szerer.

Prowadząca dziesiątka parła prosto naprzód, druga i trzecia rozeszły się na boki, utworzyły podwójnie długą linię. Żołnierze równali, skrócili kłus. Zmieszali się nieco, na skrzydłach prowadzącej dziesiątki tworząc dwie zwarte grupy, gdzie trójki szły nie obok siebie, lecz jedna za drugą, podobnie zmieniała szyk linia w środku. Znow równali. Cały klin poszedł w prawo, zawracając linią idących obok siebie dziesiątek bez zmiany szyku. Bardzo trudny manewr: trzy oddziały – trzy tempa. Prawa dziesiątka skróciła, lewa bardzo wydłużyła kłus. Obszerny, wielki łuk, lecz miejsca nie brakowało. Dokończyli manewr; żołnierze sprawnie równali. Naprawdę bardzo sprawnie. Żaden konny oddział w ruchu nie mógł utrzymać doskonałego porządku i właśnie dlatego ogromnie się liczyło wyszkolenie pojedynczego jeźdźcy, który musiał równać szybko – i mądrze.

Jeszcze jeden obszerny łuk – zawracali. Setnik znowu prowadził.

Bardzo mocny, trzytaktowy gwizd, a potem jeszcze jeden, urwany w najwyższym punkcie: „Galop-szarża! Cwał!”.

Bardzo szczególny był okrągły ruch wykonywany ramieniem przez idącego w szyku jeźdźcy: wyciągniętą z tulei włócznię należało przełożyć nad głowę i skierować przed siebie w taki sposób, by nie zranić żadnego z towarzyszy.

Dziesiątnicy i dowodzący oficer wsiąkli w odstępy między dziesiątkami. Z nastawionymi grotami włóczni klin galopem

szedł prosto na grupkę pozostawioną pod lasem. Dudniła pod kopytami ziemia.

Dwa takty (kłus); potem powolne fuknięcia, bo prawie nie gwizdy (stępa). I ostry, bardzo krótki rozkaz: „Stój!”, poparty gwałtownym opuszczeniem proporca.

Trójki równały w dziesiątkach, dziesiątki do siebie. Parskały zadowolone, rozgrzane biegiem wierzchowce.

Stary człowiek przed czołem oddziału poderwał konia, okręcił go w miejscu na zadnich nogach i podziękował żołnierzom, wznosząc furkoczący proporzeczek. Podjechał do podsetnika, który ruszył mu na spotkanie.

– To dobry oddział... wasza godność – powiedział, nie kryjąc lekkiej zadyszki; dowodzenie z oficerską świstawką w zębach nie pozwalało na swobodny oddech.

– Tak, setniku.

– Są twoi – rzekł Rawat nieregulaminowo.

Młody jeździec uśmiechnął się i tak samo odpowiedział:

– Przejąłem.

Rawat wskazał dalekie samotne drzewo na równinie.

– Podsetniku – powiedział – jeśli pošlesz trzech żołnierzy do koni jucznych... Ja też mam oddział jeźdźców.

Oficer zapytał spojrzeniem. Po krótkiej chwili zrozumiał i uśmiechnął się jeszcze raz. Ścisnął kolanami końskie boki i zajechał przed szyk żołnierzy. Rawat pokłusował do swej grupki.

– Dołączyć do szyku – rzekł zupełnie bezceremonialnie. – Pokazali wam? No, to teraz wy. Tamto drzewo.

Popatrzyli po sobie i się uśmiechnęli.

Trzydziestu kilku jeźdźców rozciągnęło się w długą linię. Trzej wyznaczeni żołnierze pokłusowali po zwierzęta juczne.

Podsetnik dał znak – i ruszyli.

Zachmurzone niebo tylko czasem przepuszczało słońce, migotały wtedy dogorywające w załamaniach gruntu płyty śniegu, strzelały ostrymi błyskami hełmy konnych łuczników. Linia bardzo szybko rozpadła się, porozrywała. Żołnierze mieli pod siodłami dobre wierzchowce, Jeźdźcy Równin takie same lub niewiele lepsze. Wszystko dzielne, niewybredne armektańskie stepowce – poza jednym.

Może gdyby do klina przydzielono gońca, jego dartański wierzchowiec – bo takich przeważnie dosiadali – mógłby stanąć w szranki z Darem Ajana. Żaden inny z pędzących po stepie wierzchowców nie był w stanie nawiązać walki z tym ogierem dosiadanym przez świetnego jeźdźca.

Świetnymi jeźdźcami byli tu zresztą wszyscy. Ale wystarczyło ćwierć mili, by stało się jasne, kto będzie czekał pod drzewem.

Za wysuniętym daleko do przodu, mknącym jak orzeł, nie jak koń Darem pędził kolejny jeździec, potem jeszcze dwoje – żołnierz i kobieta, oboje lekko uniesieni w mocno skróconych na kurierską modłę strzemionach. Tuż za nimi następni dwaj żołnierze, wreszcie małe grupy i grupki. I w takiej kolejności dotarli do samotnego dębu.

Ajan na Darze, Aktar, Ayana równo z konnym łucznikiem, jeszcze dwóch świetnych jeźdźców na znakomitych koniach i dopiero za nimi w grupkach cała reszta, a wśród nich Wenewet i dwaj oficerowie. Parskały i tupały wierzchowce, rozbrzmiewały pochwalne okrzyki, ktoś się złościł i usprawiedliwiał, a inny go wyśmiewał. Wyciągniętym kłusem nadciągali żołnierze wiodący zwierzęta juczne.

– Poo-stój!

Jeźdźcy zsiadali z koni. Niektórzy podchodzili do pełnokrwistego ogiera z dartańskich Żółtych Wzgórz, pytali jego właściciela, słuchali odpowiedzi, dorzucali jakieś uwagi. Zajęto się wierzchowcami, sprawnie zorganizowano biwak. Rozpalono

ogniska, w trzech kociołkach roztapiano śnieg z niedalekiego zagłębienia.

Z ogromnym uznaniem spoglądano na czterdziestokilkuletniego jeźdźca, który jako drugi stawiał się pod dębem na swoim bardzo dobrym, ale nie olśniewającym stepowcu, i na niedużą kobietę, prowadzącą konia tak jak mała który z otaczających ją mężczyzn. No, ale ona naprawdę miała pod siodłem nie byle co. Po Darze to było niewątpliwie najlepsze ze wszystkich zwierząt.

Nikt się specjalnie nie złościł i nie zżymał, bo przecież urządzili tylko zabawę, nie zawody. Konie były obciążone nierówno, nie sprawdzono i nie oznaczono drogi, skutkiem tego kilku jeźdźców na samym końcu linii musiało pokonać dość rozległy garb, a ich towarzysze z drugiej strony omal nie ugrzęźli w wielkim płacie śniegu na podmokłej ziemi.

Wenewet przełknął porażkę. Na szczęście nie przyjechał ostatni, choć doprawdy niewiele brakowało.

Ajan na Darze, to wiadomo. Ojciec – najlepszy jeździec, jakiego znał. Ale Ayana? I dwudziestu kilku żołnierzy, w tym obaj oficerowie?... Dziadek Rawat?

– Ośmiu ostatnich! – zawołał właśnie jeden z dziesiętników, odebrawszy rozkaz od dowódcy. – Warta dzisiaj w nocy! Pierwsza szóstka zwolniona z wart przez cztery dni!

Żołnierze niezwłocznie jęli toczyć spór, ustalając siedmiu ostatnich (bo ten ósmy, młody bez wojskowej tuniki, był dosyć oczywisty). Pierwszą szóstkę wyłoniono znacznie łatwiej. Rozbawiona Ayana tłumaczyła coś łucznikowi, z którym przyjechała ramię w ramię. Zamaszyście klepnęła go w tyłek, a właściwie złapała pełną garścią. Ucieszony chciał jej oddać, ale się zmitygował. Wzruszyła ramionami, wydeła usta i wystawiła biodro. Plasnął uradowany i też sobie capnął, przytrzymał, więc przestała się gniewać.

Aktar podszedł do syna i lekko uściskał mu ramię.

– Najmłodszy dostanie najgorszą, psią wartę – powiedział z ojcowską troską. – Jeśli zaśniesz, to wyrzeknę się ciebie.

Wenewet uśmiechnął się. Albo skrzywił.

Jeźdźcy znali pieśni żołnierzy, żołnierze niektóre piosenki Jeźdźców Równin i po zwinięciu krótkiego biwaku do wieczora sporo ich zaśpiewano w marszu. Dzień był ciepły, a nawet za ciepły. Nieprzemoczone dotąd krótkie kożuszki jazdy trzeba było porozpinać, o rękawicach nikt nie pamiętał. Potem, już wieczorem, przy ognisku na nocnym biwaku, nacięto jedliny i każdy miał sucho, chociaż trochę kłująco pod siedzeniem. Średni w latach, ale bardzo postawny żołnierz zażartował z podświetlonych na czerwono włosów Ayany i opowiedział krótką, trochę złośliwą historyjkę o Pierwszej z Trzech, rudej Jeźdźczyni Równin.

Więc też sobie zażartowała i został z otwartą gębą. Obejrzał się na przechodzącego Ajana, jakby pytał, czy to naprawdę; ten tylko rozłożył ręce i pokiwał głową z rozpaczą.

Niewiele później niemal wszyscy siedzieli przy tym ogniu co ona. Dzika galopada do samotnego drzewa zdziałała cuda: okazało się, że uwolniona od miast, gościńców, chłopskich szop i przydrożnych gospód Ruda Ayana nie musi od razu się upić, w zamian ma ochotę i umie opowiadać. Krótkie, zabawne, bardzo często świńskie historie. Te zresztą podobały się najbardziej.

Pewnego dnia Trzy rozłożyły się biwakiem na dzikiej polance w lesie. Był niesamowity upał i zasnęły w cieniu – całkiem nago, bo przecież ten skwar. Gdy się obudziły, czekał na nie, położony obok bagaży, ustrzelony z łuku dorodny głuszc, a każda z Trzech miała wetknięte we włosy piękne pióro. Nie, nie w te włosy... Tamte. Na polankę zbłądził jakiś myśliwy, może nawet było ich dwóch. W każdym razie umieli cicho chodzić. A,

i jeszcze... Na kawałku kory położonym obok Drugiej naskrobano: *Jak będzie syn, daj mu Askar.*

Żołnierze ryczeli ze śmiechu.

Nie bała się zakpić z siebie, a przy tym język miała ostry jak nóż. Na niejedną uwagę odpowiedziała tak, że słuchacze pokładali się na ziemi, a porażony kpina nieszczęśnik mógł tylko kląć pod nosem, by na koniec zarechotać ze wszystkimi – bo co innego niby mógł zrobić?

Nieduży, szczupły łucznik z odstającymi uszami wziął do ręki mokrą i nadgniłą, wielką jak pięść szyszkę i podał Jeźdźcy.

– Coś ci wypadło – rzekł z troską.

– O... – powiedziała, wzięła szyszkę i zaczęła gdzieś utykać pod spódnicą.

Rozrechetani wojacy niemal się popłakali. Wzięła wór z wodą, odkorkowała i podała żartownisiowi.

– Weź na spacer swoją dziewczynę – poradziła, wskazując niezbyt duży otwór.

Ooo, he, he...

Siedzący przy osobnym ogienku, nieprzeszkadzający żołnierzom dziesiątnicy, oficerowie i starszyzna Jeźdźców wymienili lekkie uśmiechy.

– Chyba dobrze – powiedział Ajan, a Aktar i podsetnik skinęli głowami.

Setnik drzemał bądź udawał, że drzemie. Zdążył gdzieś ukradkiem napić się wódki. I chyba nie mógł się doczekać, kiedy wreszcie wszyscy pójda spać.

Szczególnie kobiety znały wiele sposobów na ukrycie swej skłonności przed światem, czasem nawet przed najbliższą rodziną. Ale i mężczyźni potrafili. Rawat pociągnął raz z wora bardzo ostentacyjnie, oczywiście tylko dla rozgrzewki. I teraz spokojnie śmierdział sobie wódką, a dopóki nie bełkotał i się nie przewracał, nikt nie wiedział, ile ma jej w brzuchu.

Ciągle jeszcze byli na tyłach, pod opieką potężnego Rewinu. Dalej na północy już miało nie być takich ognisk – dało się je dostrzec z daleka, a zapach dymu snuł się po stepie. Gorącą zupę zastąpić miała też rozgrzewająca, ale raczej skąpo wydzielana i nie tak smakowicie pachnąca gorzałka.

Doświadczony stary oficer i młody nieobrażalski podsetnik przełamali po południu pierwsze lody. Teraz, przy żołnierskim ognisku, spływały z nurtem obozowych końskich żartów ostatnie kry. W mundurowych tunikach i bez nich, wszyscy ci biwakujący pod lasem ludzie byli jeźdźcami, łucznikami... I Armektańczykami.

Niepojęta Pani Arilora takich kochała najbardziej i już wkrótce prawie wszystkich miała zabrać do siebie. Do zaklętego w obozowych opowieściach, wiecznego i najpiękniejszego świata wojennej chwały.

ROZDZIAŁ 5



W klinach jazdy kobiety zdarzały się tylko wyjątkowo. Z grubsza biorąc, na dziesięć przyjętych do wojska najwyżej jedna trafiała do konnicy albo toporników (zdarzało się, a jakże), osiem zostawało pieszymi łuczniczkami, jedną kierowano do służby kurierskiej. Jeśli już jakaś potrafiła jeździć konno, to tam właśnie było jej miejsce. U gońca niewielka waga ciała stanowiła tylko zaletę; u konnej łuczniczki, ruszającej do szarży z włócznią w ręku – niekoniecznie.

Ochotników pragnących służyć w legii nigdy nie brakowało; w kandydatach do lekkiej i ciężkiej piechoty można było dowolnie przebierać. Z konnicą trochę gorzej. W Armekcie, tej ojczyźnie jeźdźców... większość ludzi nie umiała jeździć konno. Czasy koczowniczych plemion należały do odległej przeszłości, teraz w spokojnej wiosce, z której wybierano rekruta, nikt nie miał konia. To było drogie zwierzę, a do orki wystarczył wół. W strzelaniu z łuku mógł ćwiczyć się każdy i każda, w jeździectwie prawie nikt. Tu nie wystarczały same dobre chęci.

Łuczników konnych, inaczej niż żołnierzy pozostałych formacji, pozyskiwano raczej z grona mieszczan, nie chłopów. Syn kupca mógł być całkiem dobrym jeźdźcem, który z ojcowską karawaną przemierzył cały Armekt, o ile nie cały świat. Mieszkający w mieście rzemieślnik, sklepikarz albo karczmarz, a także drobny urzędnik, miał z kolei dostęp do

miejskiej stajni, skąd za umiarkowaną opłatą mógł wypożyczyć konia i odwiedzić mieszkającą w drugim mieście siostrę, załatwić jakiś interes – opłacało się więc poznać, choćby jako tako, sztukę jazdy wierzchem.

Trochę rekrutów dostarczały też domy Czystej Krwi, lecz ci jeźdźcy zazwyczaj niedługo wypełniali szeregi, szybko awansowali, bo do wojska szli z myślą o prawdziwej karierze i już trochę byli do niej przygotowani. Dobrze czytający i piszący, znający nieco historię, szczególnie tę wojenną, czasem już nawet mający pojęcie o wojskowych regulaminach, podsuwanych w domu przez ojca bądź stryja... Jeżeli nie byli kompletnymi idiotami bądź awanturnikami, odsługiwali wymagany staż, po czym kierowano ich na egzaminy.

Jeśli jednak wśród wszystkich tych jeżdżących konno ludzi trafiła się jakaś kobieta, córka kupca lub starego żołnierza, to najczęściej zostawała kurierką. Był to zresztą bardzo pożądaný rodzaj służby – zawsze u boku dowódców, poza systemem wart i patroli, a więc z mnóstwem wolnego czasu i okazją do podszlifowania takich umiejętności jak pisanie i czytanie. Od służby kurierskiej wiodła dość prosta droga do patentu oficerskiego. Dziewczyna-jeździec bardzo rzadko zatrzymywała się w połowie tej drogi.

I tak już było do samego końca. Jeśli w gronie najwyższych dowódców imperium trafiła się jakaś kobieta, to prawie na pewno zaczynała służbę jako kurierka. Potem krótko była dziesiętniczką lekkiej piechoty, ale wszyscy wiedzieli, że to już jest w połowie „jej godność podsetniczka”, która odbywa konieczny staż funkcyjnej i jeśli tylko kompletnie się nie zbłąźni...

Żelazna Agatra stanowiła wyjątek. Najsławniejsza żyjąca tysięczniczka Wiecznego Cesarstwa wywodziła się z lekkiej piechoty.

Obok setnika Rawata była drugą i zarazem jedyną oprócz niego osobą w Szererze nawiedzaną przez przekłete sny alerskie.

Nigdy nie były takie, o jakich opowiadał jej dawny dowódca. Agatra miewała koszmary, od których kiedyś niemal popadła w obłąd. Zdarzały się też majaki wróżebne, ale zawsze związane z nieszczęściem lub chociaż przykrym zdarzeniem.

Teraz, po trzydziestu latach, sny wróciły i towarzyszyły jej już czwarty rok. Na szczęście nie takie jak kiedyś. Nie zdarzały się każdej nocy, najwyżej co kilka dni, a rano pamiętała tylko tyle, że znów śniło jej się coś o Alerze. Nie zrywała się z wrzaskiem, nie płakała z przerażenia na widok potworności, nie miewała kłopotów z zaśnięciem. Można z tym było żyć. Gdyby nie okropne wspomnienia i obawa, że koszmary znów się nasilą, że wrócą takie jak kiedyś – nie byłoby o czym mówić. Sny jak sny.

Aż wezwano ją do pałacu. Jego Cesarska Wysokość Książę Ramez życzył sobie wiedzieć o wszystkim, co zdarzyło się w Wielkiej Wojnie Granicznej z Alerem. Wiedział o smoczym posągu, wypytywał o jej wspomnienia i o setnika Rawata.

Nie napomknęła o swoich snach nawet słowem, potwierdziła tylko, że kiedyś miewała koszmary. Zapytana wprost, czy śniła jeszcze potem, zaprzeczyła. Skłamała.

Niewiele brakowało, by alerskie widziadła przekreśliły przed laty jej wojskową karierę – wtedy jeszcze po prostu służbę, bo drogę do kariery oficerskiej otworzyło przed nią dopiero zaliczenie do gwardii w uznaniu żołnierskich zasług. Doświadczona legionistka szybko została dziesiątniczką, a potem podsetniczką pieszych łuczników.

Nie zamierzała oddać przekłętym Wstęgom Aleru już nawet jednej doby swego życia. Gdyby koszmary wróciły z taką siłą jak kiedyś... zamierzała się po prostu powiesić. Tak, z powodu snów; takie były. Budziła się przerażona, śniąc o tamtych snach.

Męża nie bardzo kochała, dzieci już odchowala, miała blisko sześćdziesiąt lat. Nie mogło być mowy o tym, by zgodziła się spędzić resztkę życia jako obłąkana starucha, półprzytomnie wyjąca każdej nocy i robiąca ze strachu pod siebie.

Żelazna Agatra kochała wojnę-Arilorę, kochała swoją zasłużoną sławę, kochała Armekt i Wieczne Cesarstwo, i nie zamierzała utopić tych miłości w opętańczych skowytach i skrzekach, które pochłonęłyby wszystko. Zostawiłaby po sobie nie wojenną legendę, lecz wspomnienie śniącej o Alerze wariatki, bo to byłoby przecież ciekawsze niż wszystko inne w jej życiu.

Jakiś uczony historyk-Przyjęty gotów byłby dociekać nie tego, jakie wydała rozkazy, osłaniając odwrót Armii Wschodniej, tylko czego dokładnie dotyczył sen, od którego w stancy nad Lezeną poroniła. I jeszcze ten drugi, ciekawszy, gdy połamała paznokcie, skowycząc i drapiąc ścianę, a rzadkie gówno ciekło jej po nogach.

Mdliło ją. Bała się, że na Północnej Granicy sny nabiorą wyrazistości, wrócą z dawną siłą. Z drugiej strony jednak...

Nikt nie łaknął tej wojny tak jak ona. Była żołnierką, tysięczniczką Gwardii Armektańskiej. Bić się mogła z każdym i wszędzie. Lecz alerskiego pomiotu spod śmierzących Wstęp nienawidziła jak niczego na świecie. I marzyła, że gdy wojna się skończy, to na północnych rubieżach kontynentu nie będzie już niczego, nawet chwastów i drzew. Bo słyszała, że Szerń rozniosła Aler w Drugiej Wojnie Potęg i być może jeszcze za życia tego pokolenia nad Szererem będą już tylko Pasma Szerni.

Nie lubiła Szerni, tej niezrozumiałej, podobno całkiem martwej, wiszącej nad światem siły. Nikt jej chyba nie lubił. Ale gdy usłyszała o Drugiej Wojnie Potęg, zobaczyła w tych martwych Pasmach samą siebie i prawie je pokochała.

Szerń na górze, żołnierze na dole. Należało posprzątać świat.

Nie mogła się doczekać, kiedy zacznie.

Tysięczniczka gwardii Agatra jeden jedyny raz w życiu dopuściła się nielojalności, prawie zdrady. Nie wobec Wiecznego Cesarstwa, tylko wobec zaślepionych ludzi, snujących szalone plany. Myśl o jakichś układach, a może i przymierzu z Alerami nie mogła zaświtać w zdrowym mózgu.

Agatra użyła starych znajomości i wpływów. Przed dekadą, jeszcze jako nadsetniczka legii, była zarazem wysoko postawioną tajną emisariuszką Trybunału. Teraz odszukała kilku ludzi, odbyła kilka rozmów...

I przestraszyła się. Zrozumiała, że jakkolwiek chore są rojenia o przymierzu z Alerem, to niewiele wskazuje na to, żeby coś z nich wynikło. W zamian, znów otarłszy się o Trybunał, przypomniawszy sobie, co to za instytucja. W to nie dało się wdepnąć, a potem wyjść jak gdyby nigdy nic. Teraz tylko dotknęła i...

I już było niestety za późno.

Ktoś coś komuś powiedział, tamten przekazał dalej. Minął tydzień i stała przed księciem Askenezem. To była długa rozmowa, a po jej zakończeniu tysięczniczka Agatra wiedziała, że dowódczyni gotowa wmieszać się w plany naczelnego wodza wszystkich wojsk imperium... och, nie ma się czego obawiać. Nikt nie postawi tak sławnej żołnierce żadnego poważnego zarzutu. Zasłużona, niemłoda, na pewno zechce odpoczywać w stolicy, zamiast galopować daleko na północy na czele najlepszego legionu cesarstwa. Odpoczynek: godziwa nagroda za lata ciężkiej służby. Bo czyż nie?

Była intrygantką akurat tej miary, co jego wysokość Askenez. Chociaż, jeśli się chwilę zastanowić, to trochę lepszą. Zdała sobie sprawę z tego, że musi choć dla pozorów uknuć spisek, zrobić cokolwiek. Akurat tyle, by mieć coś na brata cesarzowej. Teraz była tylko półzdrajczynią w rękach szantażysty. Ulegając

jego żądaniom, mogła zmienić układ sił: sprawić, by tkwili w tym razem i nawzajem mieli się w garści.

Tak zrobiła i udało się. Ofermy w Sar Soa niczego nie wskórały (bo zrobiła co mogła, by tak właśnie było), a wszystko poszło nawet o wiele lepiej, niż oczekiwała. Ci wysłani do Rawata Jeźdźcy mieli głowy na karkach, sami odkryli szpicli i nasłali na nich Trybunał. Teraz tylko od niej zależało, czy urzędnicy dowiedzą się więcej. W każdej chwili mogła im posłać złożony z kilku słów list, po przeczytaniu którego zaraz zdołaliby odnaleźć brakujące ogniwa łańcucha. I dotrzeć do przekonanego o swym sprycie, a w istocie głupiego Askeneza.

Więc postanowiła po prostu powiedzieć mu o tym. Że jeśli pójdzie na dno, to nie sama.

Już na początku rozmowy wyszło na jaw, że książę idiota nie wyciągnął żadnych wniosków z tego, co się wydarzyło w Sar Soa, i nie odwołał reszty najemników. Nie dotarło dotąd do niego, że już nie ma władzy nad tysięczniczką Agatrą, albo raczej: ma jej akurat tyle, ile ona nad nim. Więc się nie krył.

Słuchając go, przybladła, bo sprawy stały naprawdę niedobrze.

Askeneza znała od dawna, a Askenez ją. Bywała na dworze. Już dawno, bo jeszcze jako nadsetniczka legii i setniczka Gwardii Armekańskiej, faworytka i pupilka starej cesarzowej. Bywała na dworze już wtedy, gdy jego książęca wysokość Askenez nie piastował przedstawicielstwa w Grombelardzie.

A teraz? Nie była honor-tysięczniczką, lecz czynną dowódczynią gwardyjskiego legionu; starszeństwo przed nią miał jeden człowiek w całym Wiecznym Cesarstwie, tysięcznik-komendant Flotyli Gwardii Morskiej. Każdy inny dowódca musiał prosić, by przeszła pod jego komendę, bo w imperium nie było ani jednego nadtysięcznika gwardii. Dla Askeneza nie miała najmniejszego respektu. Owszem, wpakowała się

w tarapaty, ale przez własną głupotę podsyconą starą, graniczącą z obłędem nienawiścią. Askenez uzyskał nad nią odrobinę władzy, bo sama się o to prosiła. Ale to, kim był, nie miało najmniejszego znaczenia. Osiągnęła w cesarstwie pozycję pozwalającą jej bez uniżoności rozmawiać z samą cesarzową.

„Jesteś durniem, książe, i nie wiesz, kiedy przestać” – powiedziała. „Nie powiodło im się w Sar Soa, bo miało się nie powieść. Jeźdźcy poradzili sobie sami, ale gdyby tak się nie stało, to mój wysłannik zdemaskowałby szpicli przed Trybunałem właśnie tak, jak oni to zrobili, tylko najpierw by ostrzegł tego na przedmieściu. Ten spisek, wasza wysokość, był spiskiem idioty. W jaki sposób zamierzałeś, mając Rawata, zaszkodzić małżonkowi cesarzowej? Kto by uwierzył w te brednie, że książe Ramez gotów jest znów bawić się Szernią tak jak w Grombelardzie? To spisek idioty” – powtórzyła.

Przyglądał się oniemiały.

„Zapominasz się, tysięczniczko” – rzekł wreszcie. „Byłem...”

„Teraz już ich nie odwołamy, bo są nie wiadomo gdzie. Porwanie setnika, tak jak sobie życzyłeś, nie mogło się udać, nikt by się tego nie podjął. Nie odwołałeś ich, mówisz? To mordercy. Było mi wszystko jedno, co zlecam, bo i tak się miało nie udać. Skrytobójców mogłam wyszukać i zrobiłam to. Porywaczy szukałabym do dziś. A to znaczy, że dawno byś mi narobił kłopotów, przekonany, że zwlekam celowo”.

Kłamała, ale on o tym nie wiedział. Starego pijaka dałoby się porwać, jednakże tylko przed spotkaniem z czwórką Jeźdźców Równin. Skomplikowała wszystko bardziej, bo potrzebowała dodatkowych ogniw w tym wiodącym do Askeneza łańcuchu.

Porwanie pięciorga ludzi rzeczywiście już było niemożliwe bez użycia licznego oddziału, więc zleciła to, co zleciła. Bo i tak się miało nie udać.

„Nie posłałeś im mojego listu, książe?”

„Mam go tutaj” – rzekł z krzywym uśmiechem. „I jeżeli cokolwiek się zdarzy...”

„To możesz go użyć, książę, tak jak ci się podoba. Złam pieczęć i przeczytaj. *Zadanie odwołane*, tyle tam napisano, a jak dobrze obejrzysz pieczęć, to zobaczysz, ile jest warta. Jedyne list, z którego coś wynika, dostał człowiek, którego nie znasz. Ten, który najął morderców. List, z którego wynika, że ty go pisałeś, książę. Na pewno już dawno zniszczony, ale ten, kto go czytał, zna treść. I wyjawi ją śledczemu Trybunału tak głośno, że sklepienie piwnicy będzie drżało. Zechcesz sprawdzić?”

Askenez milczał. Chyba musiał poukładać wszystko w głowie.

„Nie odwołałem ich” – rzekł na koniec. „Twoich morderców”.

„Już słyszałam. Moich? TWOICH morderców, książę. Jeśli znajdą okazję, żeby gdzieś wpakować Rawatowi strzałę... A na pewno bardzo tego chcą, bo wzięli dotąd tylko sutą zaliczkę”.

„Jest człowiek, który opowiedział mi o tobie. Że wypytywałaś o Rawata”.

„I jest człowiek, którego nie znasz, ten, który czytał list wskazujący na ciebie, książę. Bez sfałszowanego podpisu, w taką głupotę nikt by nie uwierzył. Nie było tam żadnego podpisu”.

„Co w tym liście może na mnie wskazywać?”

„Przecież ci, książę, nie powiem. Chcesz, to sprawdź”.

Milczał i myślał.

„Nie wierzę, by ktoś nasłał morderców na setnika Rawata” – rzekł na koniec. „W ogóle nic o tym nie wiem”.

Skinęła głową.

„Ani ja”.

„Na pewno im się nie uda, już zrezygnowali. Stracili go z oczu. Albo zostaną zabici przy próbie...”

„Byle nie zostali złapani”.

„Tak, bo wtedy...”

Skinęła głową.

„Wtedy, wasza wysokość, zobaczymy, który człowiek jest bardziej wiarygodny: twój czy mój”.

„Nic o niczym nie wiem”.

„Ani ja”.

Od tej rozmowy minęło sporo czasu. Tysięczniczka nadal miewała sny o Alerach, ale znacznie gorsze były te o zdradzie. Na razie, na szczęście, półzdradzie, której się dopuściła.

Przestraszona podstarzała kobieta, która nie bała się nikogo i niczego tak, jak powrotu do przeszłości. Powrotu do ohydnych, odbierających rozum snów o świecie, którego nienawidziła.

Ten świat kiedyś zrobił z niej wariatkę i niemal zniszczył życie, a teraz nienawiść do niego mogła z niej uczynić zdrajczynię i morderczynię.

Mogła tylko wierzyć w Ariloreę, Los Wojenny, który zawsze miał jakiś okruch dla jej dawnego dowódcy Rawata.

Dla niej też. Nawet dużo więcej niż okruch.

Jej legion lada dzień miał odebrać rozkazy do wymarszu. Pod stolicą Okręgów Zachodnich formowano Armię Rewinu. Nadtysięcznikiem-komendantem tej armii mianowano jej dawnego dowódcę, któremu ufała jako żołnierzowi i pod którego komendą chciała służyć. Wojna, najpotężniejszy z bytów, miała unieważnić wszystkie małe sprawy. Knowania, niesnaski, nawet politykę. Agatra naprawdę w to wierzyła.

Zdążyła o tym pomyśleć – i stawiała się przed nią legionowa kurierka. Nie przyniosła żadnego pisma. Wiele wieści i rozkazów przekazywano ustnie, zwłaszcza jeśli nie były pilne i nie miały nadmiernej wagi.

– Wasza godność, jutro wymarsz – powiedziała dziewczyna. – Rozkazy w komendanturze.

Agatra podziękowała.

– Mam zaczekać przed domem, wasza godność? Wzięłam luzaka pod siodłem.

– Tak.

Dziewczyna wyszła.

Tysięczniczka miała na sobie zwykły strój domowy i uśmiechnęła się. Nie była piękną kobietą. Zawsze za chuda, o wąskiej i podobno zbyt surowej twarzy. W kolczudze i wojskowej tunice czuła się najlepiej. Tunikę nosiła często; kolczugę – tutaj, w stolicy – bardzo rzadko, a już miecz przy boku zupełnie wyjątkowo.

Uśmiechnęła się jeszcze raz.

W drugim pokoju mąż, urzędnik miejski średniej rangi, tłumaczył coś synowi, dwudziestoletniemu człowiekowi, którego sobie upatrzył na podobne stanowisko i łatwo dopiął swego – syn został zatrudniony w ratuszu. Podobni do siebie pod każdym względem. Nigdy nie miała nadziei, że któreś z jej dzieci zostanie żołnierzem imperium.

Córka już wyszła za mąż za bogatego bławatnika. Chyba chciała w życiu zupełnie nic nie robić. Siostra właśnie ruszała w jej ślady.

Czasem się zastanawiała, czy na pewno to ona jest matką całej trójki. Bardzo często nie było jej w domu... Nie wiadomo, z kim sypiał ich ojciec.

Która urodziła mu te dzieci?...

Pochyleni nad stołem, zostawili dokumenty i wyprostowali się, gdy weszła.

– Jutro wymarsz legionu – powiedziała, bo nie było to objęte wojskową tajemnicą. – Przygotujcie mi rzeczy.

– Tak, Agatro.

– Jeśli zostały jakieś sprawy, które powinnam jeszcze rozstrzygnąć, przedstawcie mi je dzisiaj wieczorem. Późnym

wieczorem – uściśliła. – Wrócę na noc do domu. Nie czekajcie z posiłkiem, zjem u siebie w garnizonie.

– Tak, Agatro.

– Nie zapomnijcie o niczym, bo z wojny wrócę najprędzej za rok. Przez ten czas musicie sami sobie radzić i lepiej, żebym po powrocie była zadowolona. Nie zamierzam zginąć – ostrzegła.

Poszła dalej do swojego pokoju. Szybko przebrała się w wojskowe rzeczy i wkrótce była przed domem. Kurierka czekała, trzymając wodze dwóch koni. Chwilę później jechały ulicą.

Gwardyjski Żelazny Legion kwaterował za Białym Przedmieściem – z nikomu nieznanym powodów mieszkańcy od zawsze malowali tutaj konstrukcyjne belki swoich domów nie na czarno, jak wszędzie, lecz na biało. Przedmieścia stolicy stale się rozrastały i żołnierskie budynki, stojące kiedyś zupełnie osobno, lada rok miały zostać wchłonięte, tworząc miasteczko w mieście.

Ktoś niezwiązany z wojskiem rzadko zdawał sobie sprawę, jak ogromnej przestrzeni potrzebuje jeden tylko legion o pełnych stanach wojennych i z połowym zapleczem. Dziesięć dużych budynków mieszkalnych dla stu, stu pięćdziesięciu żołnierzy każdy, kilka mniejszych dla szkolonych rekrutów, jeszcze kilka podobnych dla legionowych służb: rzemieślników, woźniców, mulników, medyków i urzędników. Ponadto budynki gospodarcze i składy, stajnie i wozownie, łaźnia-umywalnia, arsenał, komendantura, ogromna żołnierska stołówka przy równie obszernej kuchni – wszystko to zgrupowane wokół placu, na którym mogło stanąć do apelu półtora tysiąca ludzi. Kiedyś kwaterował tu półlegion, teraz wysokoetatowy legion, w którym wiele klinów rozwinięto do półsetek. Dostawiono liczne budynki, inne rozbudowano.

Miasto. Większe i ludniejsze od niejednego obwodowego.

Dyżurni legioniści zajęli się jej koniem. Zarządziła odprawę, więc inni natychmiast pobiegli po oficerów. Zanim się stawili, zdążyła przeczytać nadesłane z pałacu rozkazy. Bardzo zwięzłe, bo wszystko, łącznie z marszrutą, ustalone zostało wcześniej. To, co miała teraz przed sobą, sprowadzało się właściwie do: „Wykonać”.

Odprawa wszystkich oficerów legionu to było niemałe zgromadzenie. Ponad pół setki ludzi w mundurowych tunikach, do tego wszyscy niewojskowi pełniący jakieś funkcje w zapleczu i służbach. Istny wiec. Zarządzała takie odprawy, nazywane pełnymi, zupełnie wyjątkowo.

– Urlopy i wyjścia są wstrzymane od tygodnia, więc stan legionu kompletny – powiedziała. – Czy o czymś nie wiem?

– Tak, pani.

– Słucham.

Setnik krótko zameldował o żołnierzu, którego urlopował w drodze wyjątku. Na przedmieściu Donaru właśnie przyszło na świat jego dziecko.

– Dołączy w marszu. To wszystko?

Już nikt o niczym nie zameldował.

– Legion odebrał rozkazy do wymarszu. Żadnych zmian, porządek ustalony, wymarsz jutro rano. Pytania?

Nie było.

Oparła się pośladkami o stół, właściwie półprzysiadła. Zabębniła palcami o krawędź blatu. Otaczał ją zwarty krąg ludzi, prawie tłum.

– Nie umiem przemawiać i wszyscy o tym wiedzą. Ruszamy na wojnę. Niektórzy z was służyli na Północy tak jak ja. Niektórzy byli w Dartanie pod moją lub inną komendą. To różne wojny i różni wrogowie. Dartan powinien być częścią Wiecznego Cesarstwa i źle się stało, że nie jest. Ale Dartańczycy mieli swoje racje i trzeba je uznać. Nie podzielać. Uznać. Aler

i Alerowie nie mają żadnych racji. Dawno temu ukradli nam część naszego świata i teraz idziemy ją odebrać. Przeklęte alerskie siły osłabły. Jest możliwe, że po raz pierwszy zdołamy nie tylko wyrzucić hordy z naszej ziemi, ale przenieść wojnę za granicę. Tu, na dole, mamy zrobić to, co nad niebem zrobiła Szerń: zniszczyć wroga. Nie idziemy po to, by pokonać wojska przeciwnika i zawrzeć pokój. Nie przyłączymy tego kraju do Wiecznego Cesarstwa, armektańscy żołnierze nie będą patrolować alerskich gościńców i wiosek, a w alerskich miastach, o ile takie mają, nie będzie cesarskich urzędników.

Urwała na moment i powiodła spojrzeniem po twarzach.

– Nie idziemy ich pokonać, lecz wytepić. Nie będzie rozmów, układów, zawiesznień broni ani wymiany jeńców. Nikt się nikomu nie podda. Przypomnijcie o tym żołnierzom. Apel o zwykłej porze, pełny rynsztunek. Do oddziałów.

Czasu do apelu zostało niewiele, ale była pewna, że jej gwardziści zdążą. „Pełny rynsztunek” oznaczał zbroje dla ciężkiej piechoty, dla jazdy zaś konie pod siodłem. Jak zwykle wymigała się lekka piechota, bo musieli raptem zabrać dodatkowo swoje kołczany i łuki.

Chciała dokonać ostatniego pobieżnego przeglądu oddziałów. Nazajutrz posiłek dla żołnierzy miał być wydany przed apelem, więc odwrotnie niż zazwyczaj, po apelu zaś od razu wymarsz. Nie oszczędzała swych gwardzistów, ale też nie musiała niepotrzebnie ich męczyć. Mijało się z celem zejście z placu apelowego na posiłek, by potem od nowa stawać w szyku do wymarszu.

Teraz mogła po raz ostatni upewnić się, czy legion jest gotów. Drobne niedociągnięcia można było jeszcze usunąć tej nocy.

Wkrótce w asyście zastępcy i trzech nadsetników-komendantów niespiesznie szła wzdłuż szyku ustawionych w podkowę oddziałów. Trzy półlegiony, każdy na jednym boku

kwadratu. Z czwartej strony domykał ten kwadrat równy szyk nieżołnierzy – ludzi służących przy wojsku, bez których legion w ciągu tygodnia przemieniłby się w tłum głodnych i zdemoralizowanych maruderów, porzucających broń i opuszczających szeregi dla zdobycia lada jakiego kęsa strawy.

Drugi półlegion, oflankowany przez dwa pozostałe i stojący naprzeciw służb, składał się wyłącznie z piechoty i zajmował mniej miejsca niż pierwszy i drugi. Halabardnicy gwardii.

Nikt nie miał prawa wiedzieć, że dowódczyni żywiła do tej formacji szczególną słabość. Rzecz o tyle niezwykła, że będąca kobietą komendantka legionu dość jawnie faworyzowała żołnierki. Gwardzistki pod jej rozkazami miały naprawdę dobrze i jeśli żołnierze Żelaznego na cokolwiek sarkali, to na to. Słabo skrywane przywileje dla kobiet.

A w ulubionym półlegionie halabardników nie było ani jednej.

Naprawdę szczególna formacja. Niegdyś straż pałacowa dartańskiego Księcia Przedstawiciela Cesarzowej, szkolona przede wszystkim do parad. Olbrzymie chłopcy w pełnych zbrojach płytowych, bo w Gwardii Dartańskiej liczyła się prezencja, nie zasługi. Dobierano ich ze względu na wzrost i posturę. Wyśmiewani „tupacze” weszli do wojny i... okazało się, że miesiące paradnego tupania owocują na bitewnych polach równym jak stalowa sztaba szykiem, zdolnością do błyskawicznych zwrotów, a potężne mięśnie i wzrost na pewno nie przeszkadzają w dźwiganiu blach. Za tymi stawiającymi wielkie kroki żołnierzami wprost trudno było nadażyć, miała z tym kłopoty nawet lekka piechota. Przez całą wojnę halabardnicy łamali szyki ciężkiej jazdy dartańskiej, osłaniali lżej zbrojnych towarzyszy, byli główną siłą przełamującą Armię Wschodniej. W marszu nieśli rannych, pchali wozy na zabłoconych drogach i wtaczali je na wzniesienia, oprócz oręża

targali zapasy, gdy brakło jucznych zwierząt. Byli roboczymi końmi armii.

Trzystu „malowanych wojaków” szkolonych do wart i parad.

Teraz było ich trochę więcej, bo trzy kliny rozwinięto do półsetek i przydano rezerwową półsetkę dowódcy półlegionu.

Ale nadal do tej gwardyjskiej formacji – rzecz zupełnie w Legii Armektańskiej wyjątkowa – dobierano żołnierzy ze względu na krzepę i wzrost. Większość tych halabardników nie trafiła do gwardii za zasługi na bitewnych polach i choć ich półlegion zwał się gwardyjskim, byli tylko legionistami noszącymi w służbie garnizonowej jednolicie niebieskie tuniki, nie w połowie szare jak gwardziści.



Kolejne odstępstwo: najstarsi, wywodzący się z Dartanu weterani zachowali prawo do swej starej barwy, mundurowe narzuty mieli więc szaro-czerwone. Do boju nie nosili tunik na zbrojach, lecz na placu apelowym półlegion jawił się jako trójbarwna zbieranina.

Tak zostało. Czerwonej barwy zresztą było coraz mniej. Żołnierze wykruszali się w sposób naturalny, z różnych powodów musieli odejść ze służby. Coraz więcej było tunik niebieskich, a po tej wojnie – tysięczniczka wierzyła – wiele z nich miało zostać wzbogaconych o szarą barwę gwardyjską.

W rzeczywistości jednak nikt nie wiedział, jak ta świetna przeciw jeździe piechota sprawdzi się w bojach z Alerami. Czy sprostą niekończącym się przemarszom po lasach i stepach.

Dwa pozostałe półlegiony, ciężki pieszo-konny i zwyczajny gwardyjski, również prezentowały się świetnie. W pierwszym oprócz konnej piechoty byli tylko czerwoni topornicy i kusznicy; w niebiesko-szarym gwardyjskim – łucznicy, topornicy i jazda.

Tysięczniczka przemierzyła wnętrze podkowy, obejrzała swój legion. Nawet rzemieślnicy, wozacy i urzędnicy z zaplecza, w jednolicie niebieskich tunikach bez srebrnych gwiazd, prezentowali się bardzo dobrze. Nie brakowało nikogo i niczego.

Mogła ruszać na wojnę.

ROZDZIAŁ 6



Na dworze w Rollaynie przywrócono prastary obyczaj, w myśl którego sprawy królestwa załatwiane były przez władców w parzyste dni tygodnia. Nie znaczyło to oczywiście, że w dni nieparzyste pałac zamierał, zamykany na cztery spusty. Pracowali tam wszyscy, były to jednak raczej poufne narady, półprywatne spotkania i rozmowy.

Jednakże to nie wtedy można było oglądać jej królewską wysokość w całym majestacie. Wielkie Posłuchania – o, to owszem, było na co popatrzeć! Szumna nazwa oznaczała co prawda najmniej ważny ze stałych obowiązków monarchini. Przez całe przedpołudnie przyjmowała poddanych, a mógł się zjawić każdy. Inna sprawa, że na dostąpienie tego zaszczytu można było czekać nawet rok, bo kolejka chętnych nierzadko przekraczała tysiąc osób.

Najskromniejszy z miejskich sprzedawców wody; najmarniejszy zrujnowany kupiec z zabitej dechami dziury, szczerbata przekupka i najgłupszy ze stołecznych krawców – każda z tych osób, wprowadzona do Mniejszej Sali Tronowej (bo była jeszcze Sala Wielka, w której dało się zgromadzić kilka setek ludzi), podziwiać mogła siedzącą na tronie królową, która wyglądała po prostu jak z baśni. W olbrzymiej czerwonej sukni z brokatu, w szczerozłotej koronie na skroniach, na olbrzymim krześle stojącym na podwyższeniu, ta wysoka i postawna kobieta wydawała się dwakroć wyższa, większa – przepotężna.

I bywało, że nieszczęśnik, który od wielu miesięcy wyglądał nadejścia wyznaczonego dnia, uczył się przemowy na pamięć, miał przemyślany każdy ruch i gest, zapominał języka w gębie. Towarzyszący królowej urzędnik zwykł był wtedy łagodnie zachęcać strwożonego petenta, czasem zażartował uprzejmie i zazwyczaj to odnosiło skutek.

Zdarzało się jednak i tak (na szczęście bardzo rzadko), że nie pomagało nic. Ogrom sali, majestat władczyni, stojący pod ścianami wielcy żołnierze w zbrojach, urzędnicy, uważni pisarze przy pulpitych, gotowi notować każde słowo, sto świec wspomagających padające z okien światło dnia – wszystko to sprawiało, że mały człowiek przychodzący ze swoją małą sprawą czuł się naraz tak śmieszny, tak żałosny i godny litości, że klękał – choć wymagano tylko pokłonu – mamrotał pod nosem przeprosiny i podziękowania, nie słyszał nagabywań królewskich urzędników, wreszcie oddalał się tyłem, po równo zdruzgotany i oszołomiony. Przerażony własnym zuchwalstwem i uszczęśliwiony, że żyje. Potem, doszedłszy do siebie, nierzadko całymi latami żałował, iż zabrakło mu śmiałości w tej najważniejszej i największej chwili życia.

Co gorsza, przeważnie naprawdę miał czego żałować. Sprawy tych dwudziestu lub dwudziestu pięciu małych ludzi, przyjmowanych raz w tygodniu przed południem, rozpatrywane były z największą wnikliwością. O niektórych z nich królowa zapominała, jeszcze zanim wyszła z Sali Tronowej, a o całej reszcie po obiedzie, ale skrupulatnie zanotowane przez pisarzy kierowane były następnie do specjalnie wyznaczonych urzędników. Przywiązywano do tych małych próśb i skarg ogromną wagę.

Nikogo oczywiście nie obchodziło, jakim utrapieniem dla matki sześciorga dzieci byli ich czterej ojcowie, niepłacący miedziaka na życie. Takich matek mieszkało w królestwie

dziesięć lub dwadzieścia tysięcy, a powietrze było gęste od bocianów przynoszących im kolejne pociechy. Jednakże ogromne znaczenie miała fama idąca w lud. Z załatwienia jednej śmiesznej sprawy nic nie wynikało, lecz tysiąc spraw przekładał się na milion kochających swą królową poddanych. Prawie każdy słyszał o kimś, ba! czasem nawet znał kogoś, kogo sprawiedliwa, będąca matką dla poddanych vana uwolniła od ciężaru nienależnie naliczonego podatku, wsparła dobrym słowem w nieszczęściu, kazała wypłacić zapomogę w wysokości dwóch królewskich dukatów, potwierdziła prawo do zajmowania izdebki na poddaszu. Takie opowieści szły w lud – i lud kochał wspaniałą królową.

Ezena kiedyś zdała sobie sprawę, jak wielką siłą dysponują te niezauważane, zapomniane masy. W rycerskim Dartanie nigdy się nie liczyły, aż nastąpiła Pierwsza Prowincja i... rządzący krajem najeźdźcy przez dwa wieki uczyli ludzi, co to naród. Aż dopięli swego; nauczili.

Dwa razy w roku monarchini wychodziła do ludu: w każdą rocznicę koronacji oraz w Święto Stolicy, był to pierwszy dzień lata. Przed wiekami rzekomo właśnie pierwszego dnia lata wykuto klucz do Bramy Królewskiej, ostatniej bramy miasta. Przez te dwa świąteczne dni vana przebywała wśród swych poddanych na ulicach. Druga Perła, dowódczyni królewskich straży, nienawidziła tych świąt. Zwłaszcza że jej pani miewała niezwykle pomysły. Potrafiła zatańczyć na placu z mieszczaninem, podtrzymując jedną ręką spódnicę, której skraj już zdążył napić się wody z kałuży.

Ale wiedziała, co robi, bo przez następny tydzień ćwierćmilionowe miasto mówiło tylko o tym. A przez resztę tygodni w roku dało się słyszeć opowieści o zamaskowanej pięknej pani, którą czasem widywano na rynkach

i targowiskach, gdy pytała napotkanych ludzi o to, jak im się wiedzie...

Wielkie Posłuchanie dobiegało końca. Śmiertelnie znudzona i spragniona gruszki królowa próbowała nie wiercić się na tronie. Szczerze potrafiła się przejąć niektórymi troskami poddanych; bywało, że osobiście o coś dopytała. Tego dnia jednak naprawdę zawracano jej głowę, aż wreszcie ostatni petent okazał się tym wyjątkowym, który za żadne skarby nie potrafił wykrztusić z siebie, po co w ogóle żyje. Może gdyby wszedł jako pierwszy?... Ale czekał w przedpokojach przez pół dnia i zdążył przemyśleć, kim jest, z czym przyszedł i co tu właściwie robi.

Kłaniając się i dziękując, mały pokurczony chłopina cofał się ku drzwiom.

– O, nie nie – powiedziała jej królewska wysokość, choć przed chwilą marzyła tylko o tym, by wydukał swoje i poszedł, i pozwolił jej wreszcie wstać z tego przeklętego krzesła z poręczami. – W tej chwili tu wracaj, człowieku. Kto ty jesteś? Poddany?

– Podada...dadany... – wybełkotał przerażony nieszczęśnik.

– Witaj, poddany. A ja jestem twoja królowa. Masz jakieś imię?

Urzędnik chciał odpowiedzieć, wyręczając mdlejącego petenta (miał najstaranniej zapisane, kto i z czym z grubsza przychodzi), ale zamknęła mu usta jednym skinieniem palca.

Małeńki pośrodku wielkiej sali człowieczek znowu coś wybełkotał. „Wasza wysokość” dało się zrozumieć, imienia jednak ni w ząb.

– A ja mam na imię Ezena – palnęła na całą komnatę; wydawała się w swej sukni dwa razy większa i silniejsza od stojącego za jej plecami halabardnika w zbroi. – Wstydzisz się powiedzieć, z czym przyszedłeś? Tutaj! – Pokazała palcem tak,

jakby miał jej usiąść na kolanach. – Stań tutaj i powiedz mi na ucho: Ezeno, mam taki problem. Co za człowiek.

Pisarze, zawsze o twarzach jak wykutych z kamienia, uciekali gdzieś spojrzeniami, ale jeden miał wyraźnie rozszerzone nozdrza, gotów chyba zaraz parsknąć śmiechem i pogrzebać swoją karierę na królewskim dworze. Prowadzący posłuchanie urzędnik też wyglądał nietęgo. Wizja roztrzęsionego chuderlaka w miejskim przyodziewku, naszeptującego monarchini do ucha: „Widzisz, Ezeno, ja otóż...”, miała jeszcze przed nastaniem wieczoru odbić się od wszystkich ścian pałacu.

Jeśli chciała go ośmielić, to nie bardzo jej się udało. Znalazła, owszem, doskonały sposób, by się wykopyrtnął i skonał.

Przyboczny urzędnik skłonił się i wskazał jej sam dół trzymanego w ręku arkusza, gdzie było wymienione imię biedaka wraz z dopiskiem: *Sprawa rodzinna*.

– Chodź tutaj – powiedziała łagodniej. – No chodź, przecież cię nie zjem.

Czyżby to było oczywiste? A ta czerwona suknia?...

Roztrzęsiony poddany zbliżył się i drżącą ręką podał mały zwoik. Ledwie go ujęła, natychmiast się wycofał. Rozwinęła, przeczytała. Bardzo ładnie ktoś to wykaligrafował, raczej nie ten nieszczęśnik tutaj. A na przepiękny papier pójść musiały wszystkie oszczędności, ona sama posyłała listy na gorszym.

Nie zmieniła wyrazu twarzy.

Halabardnik w zbroi stał za jej lewym ramieniem, Czarna Perła za prawym. Podczas oficjalnych audiencji i posłuchań Hayna dość często pełniła rolę osobistej gwardzistki królowej.

– Jeśli się uśmiechniesz... – ostrzegła monarchini, tylko trochę odwracając głowę w bok. Mówiła po armektańsku, choć cichej wymiany zdań jej poddany na pewno nie mógł słyszeć. – Żona go bije. Od dwóch lat próbuje wręczyć jej list rozwodowy, do tego trzeba świadków albo stawiennictwa obojga w ratuszu. Nie

jest w stanie się rozwieść z jędzą. A gdziekolwiek pójdzie na skargę, tam go wyśmiewają.

Hayna nawet nie mrugnęła okiem.

– To ostatni? – upewniła się królowa, spoglądając na swojego urzędnika.

– Tak, wasza królewska...

– Jesteś zdecydowany? – zapytała z kolei biednego chłopinę przed sobą. – Masz gdzieś przygotowany... przygotowane to pismo, które chcesz oddać... tej osobie?

– Tak... tak, wasza królewska...

Nic nie było słyhać. Dało się odczytać tylko z ruchu ust. To naprawdę nie był bohater.

Ale z drugiej strony: ilu takich małych, drobnych mężczyzn brało prawdziwe cięgi od niebacznie poślubionych wielkich babochłopów? Nikt poważnie nie traktował bitego przez żonę męża, choćby przyszedł z pękniętym zębem, rozbitą głową i złamaną szczęką. Skatowana kobieta przynajmniej wzbudzała litość. Pobity przez kobietę mężczyzna – tylko śmiech. A patrzyły na to jego dzieci.

– Idź z nim – powiedziała nieoczekiwanie Ezena i obejrzała się przez ramię na swoją pierwszą gwardzistkę. – Odda list rozwodowy swojej połowicy, wystąpisz w moim imieniu, więc świadkiem jego rozwodu będzie królowa Dartanu... Powinno wystarczyć. Gdyby baba uważała, że to mało, to jej przyłoż od serca. I ode mnie. A, i zapamiętaj, jaką miała minę, bo mi dokładnie opowiesz.

Perła skinęła głową i zeszła po dwóch stopniach z podwyższenia, na którym stał tron. Wzrostu trochę więcej niż średniego, znakomicie zbudowana. Gdy wartowała za plecami królowej, rzadko wkładała suknię. Przeważnie, tak jak teraz, miała świetną krótką kolczugę pod czerwoną narzutą, czarną spódnicę spiętą dwoma pasami na krzyż; przy jednym z nich

wisiał miecz. Wyglądała jak ucieleśnienie armektańskiego Losu Wojennego.

– Chodźmy – powiedziała po prostu, a pomimo niemal skrytej pod włosami małej blizny na skraju policzka była zapewne najpiękniejszą kobietą, z jaką ten człowiek rozmawiał kiedykolwiek. – Jestem niewolnicą królowej, a więc w tej sprawie nią, bo tak postanowiła. Królowa zaświadczy o ważności tego, co zrobisz, moją ręką kładąc podpis na tym liście.

Ujęła mężczyznę pod ramię i trochę wyprowadziła, a trochę wywlokła z sali, co było trudne o tyle, że bez przerwy mówił coś bezgłośnie, a do tego próbował się kłaniać.

W Dartanie małżeństwa i rozwody to nie była taka prosta sprawa jak w Armeckie. Utrzymano imperialny obowiązek spisywania listów małżeńskich, było to prawo, które mocno wrosło i okrzepło przez dwa wieki. Oprócz tego jednak składano przysięgi, powoływano się na pamięć przodków. Małżeństwo właściwie było nierozzerwalne, ale tylko zwyczajowo. Według prawa ten człowiek miał zaraz odzyskać wolność. A złamane przez niego przysięgi to już był jego kłopot, jego wstyd... i problem następnej żony, gdyby znalazł chętną i też chciał jej coś przysięgać. Nikt nie musiał. Wolno było ograniczyć się do listu małżeńskiego.

Drzwi zamknięto. Ezena odetchnęła głęboko, zdjęła ze skroni koronę i przez chwilę chyba walczyła z pokusą upuszczenia jej na posadzkę obok tronu. Drugą rękę wyciągnęła do gwardzisty wspartego na halabardzie.

– Pomóż, żołnierzu, bo ścierpły mi nogi – powiedziała. – I domyśl się, co jeszcze, bo nie powiem.

Pałacowy gwardzista bez namysłu i najmniejszego wahania oddał halabardę koledze, który oderwał się od ściany i postąpił

kilka kroków ku niemu, po czym usłużył monarchini, jakby właśnie do tego był szkolony.

Wsparta na żelaznym ramieniu gwardzisty, królowa przestąpiła z nogi na nogę, bo naprawdę ledwie czuła, na czym stoi, po chwili podziękowała skinieniem i wciąż z koroną w ręku opuściła salę małymi drzwiami za tronem.

Pisarze składali swe pulpity.

Na korytarzu za małymi drzwiami już czekał urzędnik, krok dalej niewolnik i dworzanin. Dzień parzysty; dzisiaj się pracowało.

– Wasza wysokość.

– Pani...

– Wasza królewska wy...

– Po obiedzie mam osądzić tych dwóch, tak, pamiętam. A ty... tak, poproś księcia Levina, by zechciał zaraz towarzyszyć matce.

Niewolnik skłonił się i odszedł. Młody książę Levin miał asystować przy pożegnaniu dwóch wiernych żołnierzy, zmuszonych odejść ze służby: jeden z powodu wieku, drugi starej rany, która po latach wciąż dawała o sobie znać. Yokes bardzo prosił i nalegał, by takie sprawy zawsze załatwiała osobiście przed frontem chorągwi, bo to ogromnie podnosiło morale jej przybocznego wojska. Była to króciutka uroczystość, w sam raz na siły i cierpliwość pięciolatka, który musiał przecież powoli się dowiadywać, na czym polega bycie królem.

– A ty? – zapytała dworzanina, obracając w rękach koronę.

– Wrócił Jego Królewska Wysokość Książę Małżonek, pani.

Skinęła głową. Oczekiwała powrotu Awenora już wczoraj wieczorem.

– To najważniejsze. Ale...

Przygryzła paznokcie. Nie miała czasu. W ogóle. Od razu po obiedzie: sąd. To był śmiertelnie poważny obowiązek; tego nie

mogła przełożyć. A wiedziała, że wysłuchanie stron, ostatnie rozważenie racji i wydanie wyroku z reguły pochłaniają więcej czasu, niż zaplanowano. Mogło się łatwo zdarzyć, że nie zje kolacji i położy się do łóżka z zimnym udkiem kurczaka w ręku. Do północy? – też nie byłaby wcale zdziwiona; kiedyś sprawa przeciągnęła się do rana.

– Obiad do mojej komnaty, zjemy we dwoje, tylko ja i jego królewska wysokość – zdecydowała. – A w jadalni Pierwsza Perła zastąpi mnie przy stole, gościom niech powie cokolwiek.

– Tak, pani.

Poszła dalej, i to szybko, bo... musiała na stronę. Ale wyglądało, że nic z tego: już biegł ku niej następny dworzanin.

Może za zakrętem korytarza?... Pod spódnicą tej sukni chyba nie byłoby widać, potem odeszłaby prędko i udała, że to nie ona.

o o o

Seva była jej osobistą niewolnicą od zawsze. Dziewczyna do codziennych posług, po dekadzie wiedziała o wszystkich, nawet najdrobniejszych nawykach, zwyczajach i upodobaniach swojej pani. Zapytana umiałaby powiedzieć, na którym boku królowa zwykle zasypia i na którym leży, gdy się budzi. Czy, gdy się zaczyta, dłubie czasem paznokciem w zębach albo w uchu. Nawet Anessa nie wiedziała o niektórych malutkich, a czasem wstydliwych sprawach.

Pozycja takiej służki jak Seva jawiła się w hierarchii prawie żadna, niżej stały już tylko niewolnice do prac. Ale ważne było przecież nie tyle, co się robi – ile przy kim.

Teraz niewidzialna i bezszelestna Seva wypełniała obowiązki, którym mógłby poddać ktokolwiek: donosiła

potrawy, zmieniała nakrycia i nalewała wina do pucharków dwojga ludzi.

– Nie jestem głupia, nawet jeśli tak sądzisz – powiedziała Ezena do męża. – Wróciłeś szybciej, niż pojechałeś. To oznacza, że nie było żadnych rozmów i żadnych negocjacji. Po prostu cię wyrzuciła. Czy tak?

Nigdy nie uważał jej za głupią. I nie dał najmniejszego powodu do takich domniemań.

Bardzo mało czasu minęło od chwili, gdy podczas posłuchania w Mniejszej Sali Tronowej królowa pochyliła się nad maltretowanym przez żonę nieszczęśnikiem. W ogóle nie dostrzegała, że wobec swego małżonka jest taka sama jak tamta.

Awenor był mężczyzną zdrowym i niestarym, ale spędził w zimowej podróży ponad trzy tygodnie, z krótką trzydniową przerwą w Kirlanie. Wystarczyło czasu na kąpiel, kilka normalnych posiłków i sen w wygodnym łóżku. Wyglądał na naprawdę zmęczonego, a na krzesło przy stole przesiadł się właściwie prosto z siodła, ledwie dotykając przy tym ziemi. Zdążył zmienić obuwie i wierzchnie okrycie, umył ręce i twarz.

– Byłem pewien, że się rozgniewa – odpowiedział. – Ale byłem pewien i tego, że potem gniew jej minie, zaczniesz rozważać moje słowa. Że zapyta o jakiś szczegół. Gdy ktoś postąpi choć pół kroku, to już dokądś idzie, można mu towarzyszyć, podjąć... spacer. Choćby powolny, choćby trochę w lewo, potem w prawo...

– Zupełnie nic? Nawet pół kroku?

– Stała w miejscu jak posąg. Mówiłem do posągu.

– To twoja siostra. Gdybyś choć trochę się postarał...

– Nie zrzucaj mi złej woli. Twoje zamiary pochwalam, a w każdym razie mam za bardzo rozsądne. Ani przez chwilę nie działałem wbrew sobie. Chciałem tego co ty.

– Ale nie powiedziałaś jej tego?
– Oczywiście, że powiedziałem i powtórzyłem kilka razy.
– I naprawdę o nic nie zapytała? Przecież było chyba zupełnie jasne, że wytarguje ode mnie... no, właściwie cokolwiek. Pojechałeś ty, nie kto inny. Wyższego znaczeniem posła wysłać do niej nie mogłam, bo nikogo takiego nie ma. Powiedziałaś jej, że zaakceptuję wszystko, co w moim imieniu postanowisz?

Pokiwał głową.

– Nie traktuj tego najdosłowniej. Zapytała o wiele rzeczy, ale to były wyłącznie pytania w rodzaju: „Czy dobrze rozumiem, że...”. Nie padło ani jedno, będące choćby zamaskowaną propozycją, targiem: „A jeżeli się na to nie zgodzę, to co wówczas?”. Nie, Ezeno.

– A więc znowu mnie obraziła. Wysłałam do niej własnego męża. To, jak cię potraktowała...

– Jako człowieka i brata bardzo ciepło.

– Nie pojechałeś do siostry w odwiedziny.

– Musisz to usłyszeć? Tak, potraktowała mnie jak gońca, nie jak twojego przedstawiciela.

– W trakcie każdej rozmowy można...

– Próbowałem jej pokazać, że czekam na kontrpropozycje. Zawieszałem głos, nie kończyłem zdania, czekałem. W pewnej chwili zacząłem być śmieszny. Występowałem w twoim imieniu, nie mogłem się targować sam ze sobą, a właściwie z tobą. Miałem się oburzać i wyśmiewać twoje propozycje, przedstawiając na ich miejsce inne?

– Nic z jej strony?

– Jeszcze raz ci mówię: nic. Byłem kupcem, od którego nie zamierzała nic kupić. Nie interesował jej mój towar, tak jak ciebie nie interesowałby wtoczony tutaj wózek nieświeżych ryb. Obraziła się, widząc, co przyniosłem, tak jak ty byś się obraziła,

widząc zepsute ryby. Mogłabyś pewnie zapytać: „Czy naprawdę, człowieku, mi to oferujesz?”. Ale targowałabyś się, gdyby oględnie dał do zrozumienia, że może obniżyć cenę?

Po bardzo krótkiej chwili skinęła głową.

– Obraziłabym się jeszcze bardziej – przyznała. – Dlaczego tak?

Zrozumiał pytanie.

– Ja też... tak, zbyt długo już tutaj mieszkam – powiedział, nie kryjąc smutku. – Oni tam od kilku miesięcy mają wojnę. Zapomniałem, co to Armekt w czasie wojny.

– A czym jest Armekt w czasie wojny?

– Armią albo obozem wojskowym, Ezeno. Nie ma cesarzowej Wereny, jest jakaś komendantka sił zbrojnych, której możesz zaproponować wsparcie, ostatecznie zapewnić o neutralności. Wszystko inne stawia cię po stronie wroga.

Już dawno nauczyła się rozmawiać i jeść jednocześnie. Bez tej umiejętności chodziłaby stale głodna albo nie zdążyła załatwić wielu spraw.

Awenor prawie nie jadł. Nie miał apetytu bądź jeszcze się nie nauczył wykorzystywania wolnego czasu w trakcie posiłku. Prawdę mówiąc, nie musiał, bo nigdy nie załatwiał ważnych spraw.

Właściwie to żadnych spraw.

– Powiedziała mi, że może stracić imperium na wojnie, ale go nie przehandluje – dorzucił jeszcze. – Prawie słowo w słowo.

– Przejęcie Garry...

– Ezeno.

Prawie nigdy jej nie przerywał. Ale też prawie nigdy nic nie mówił. Uprzytomniła sobie, że jeśli w ogóle rozmawiają, to najwyżej – rzadko – o synach. Ostatni raz to było... przed pół rokiem?...

– Gdybyś jej powiedziała: „Siostro, po wojnie Dartan mógłby przejąć Morską Prowincję. Teraz wspólnie ją utrzymajmy, a oto moje chorągwie, które wesprą cię na północy”, podziękowałyby ci i najwnikliwiej rozważyła propozycję. W kilka miesięcy po wojnie być może by ją przyjęła. Dlaczego? Bo po oderwaniu Dartanu od imperium Armekt ma z Garrą tylko kłopot. Zatrzymałaby Wyspy Przybrzeżne, potargowała się o Wyspy Końca, a silna flotylla w dobrym porcie na Wyspach Okrągłych zabezpieczyłaby południowo-zachodnie wybrzeża Armektu. Reszta to zmartwienie Dartanu.

– Wiem. I właśnie dlatego...

– Nie każ mi tłumaczyć od początku. Werena nie przehandluje imperium. Armekt wygra wojnę na północy, a rozmowy z tobą rozpocznie, gdy już niczego nie będzie potrzebował. Armekt nikogo nie będzie błagał o pomoc ani tej pomocy kupował. Żąda wypełnienia zobowiązań, wiarołomczynię ukarze. Tak to jest postrzegane w Kirlanie.

– Odważnie jak na kraj, który nie potrafił się rozprawić z górskimi rzezimieszkami i boi się rebelii na dziesięć razy mniejszej od niego wyspie. Już nie przypomnę o wojnie, którą przegrał tutaj.

– Owszem. Werena uważa tak samo: że za dużo już tych klęsk i porażek. Armekt podbił cały Szerer, ale go nie upilnował i właśnie traci. Może umie tylko podbijać, więc zamierza to zrobić ponownie. Raz na sto pięćdziesiąt, dwieście lat... Najgodniejsza uważa, że to jest do przyjęcia.

Przygryzła wargę.

– Więc wróciłeś z pustymi rękami – podsumowała.

– Gdybyż tylko.

Upiła łyk wina.

– Oho, teraz będą pogrożki.

– Werena wyjdzie z Morskiej Prowincji i tym samym odzyska strzegące jej floty. Użyje ich do zablokowania wszystkich naszych portów i cieśnin Morza Zamkniętego. Na pewno ma dość sił, by to zrobić.

Odstawiła kielich.

– Ale przecież nie robi. Chce wojny?

– Uważa, że Wybrzeża i Porty Wschodnie wypowiedzą ci posłuszeństwo. Blokada morska oznacza ruinę finansową licznych miast i Domów. Zostaniesz zmuszona przez własnych poddanych do wypełnienia zobowiązań traktatowych wobec Kirłanu lub staniesz w obliczu wojny domowej podsycanej przez Armekt.

Milczała wyczekująco, więc przedstawił rzecz jak najdokładniej. Nie przerywała, gdy mówił.

– I wszystko to z powodu kilku chorągwi, które chciałabym jej posłać, lecz nie mogę? – zapytała na koniec.

– Lenniczka wypowiedziała Kirłanowi posłuszeństwo. Cesarzowa uznała to za bunt, w jej oczach wszczęłaś rebelię.

– Nie nie – powiedziała. – Jeszcze raz: co zrobiłam?

– Kirłan oczekuje, że niezwłocznie wyjaśnisz to... nieporozumienie.

Nie wypełnił polecenia siostry, właściwie nawet więcej: złamał słowo. Kazała mu powiedzieć: „Oczekuję przeprosin i dowodu lojalności z jej strony. Gotowa jestem przebaczyć i zapomnieć. Gdy zapyta, odpowiem, pod jakimi warunkami. Przekáže je w moim imieniu przedstawiciel Wiecznego Cesarstwa w Rollaynie, jego dostojność T.N.Henet, któremu posyłam instrukcje”.

Awenor nie powiedział tego żonie. JESZCZE nie powiedział. Prędzej czy później musiał. Chociaż niekoniecznie słowo w słowo.

– Cesarzowa Wiecznego Cesarstwa wyda mi wojnę morską i oczekuje, że się ugnę pod naciskiem liczących straty poddanych? – upewniła się.

– Tak.

– Wojna na północy i druga z Dartanem? Twoja siostra straszy, mój księżę.

Awenor westchnął.

– Niestety uważam, że nie.

Oparła łokcie na stole, a podbródek na splecionych dłoniach.

– Awenorze. Posłuchaj i schowaj na chwilę swoje armecktańskie uczucia. Oto, jak mają się sprawy. Kraj, który podbił cały Szerer, nie zdołał go utrzymać. Szykuje się do ponownych podbojów, bo to jest do przyjęcia raz na dwieście lat, dobrze usłyszałam?... Ale ma niestety kłopoty na Północnej Granicy, której nigdy nie chciał upilnować...

Awenor otworzył usta. Niecierpliwie uniosła rękę.

– Prosiłam: przez chwilę nie bądź Armecktańczykiem. Przez te setki czy tysiące lat mogliście zbudować na granicy choćby kamienny mur albo takie fortece, że wszyscy Alerowie razem wzięci nie zdobyliby nawet jednej z nich. Kiedyś może to było niewykonalne, ale odkąd nastąpiło imperium... Tylko że wy chcecie, nieprawdaż? Chcecie mieć tę świętą, wieczną wojnę graniczną, bo inaczej nie mielibyście żadnej. Przepychanki z jakimiś zbójami, ściganie pirackich żaglowców to za mało. Macie więc swoją płonąca granicę i odgrzewaną tam wojenną legendę, macie żołnierzy wracających z tej niby-wojny i dowódców okrytych namiastką chwały. Lepsze to niż nic.

– Do czego zmierzasz?

– Słuchaj dalej. Zabawa w wojnę zmieniła się nagle w coś poważniejszego. I oto słyhać ogromny krzyk: cały Szerer ma rzucić wszystko i popędzić na wezwanie Armecktu, któremu zepsuła się zabawka. Trzeba ją naprawić, a potem poczekać, aż

Armekt wysiąka rozbity nos i pójdzie od nowa zdobywać krainy Szereru. Niczego innego nie zapowiadacie.

– Przeciwnie, Werena właśnie oddaje Garyjczykom niepodległość.

– Bo nie może nie oddać. Jak nie odda, to sami sobie wezmą. Ale na jak długo ją odda? Aż znowu zdobędzie Dartan i znowu Garra okaże się potrzebna? Kto rozpęta nową wojnę z tym krajem: zdąży to zrobić twoja siostra czy dopiero jej następca?

– Armekt nie musi podbijać Dartanu.

– Naprawdę? Nigdy nie musiał. Prosiłam twoją siostrę o uznanie pełnej niezależności mojego królestwa. To tylko gest, bo przecież jestem niezależna od początku. Odmówiła nawet tego.

– Wyjaśniłem ci dlaczego. A poza tym jesteś silna, Ezeno. Zbyt silna i zbyt ambitna.

– Oczywiście. Gdyby na miejscu Dartanu były trzy małe królestwa, trochę ze sobą skłócone...

Spoglądała kpiąco.

– Niechby jedno silne państwo i dwa mniejsze. – Częściowo przyznał jej słusność.

– Awenorze, dzisiaj pošlę twojej siostrze posiłki, a ona nie użyje swoich odzyskanych flot, czy tak? Ale przecież ten piękny plan blokady morskiej nie zostanie zapomniany, twoja siostra wdroży go prędzej albo później. Jak potężną flotę mam zbudować, by go udaremnić?

– Silny Dartan z silną królową jest Armektowi potrzebny. Werena nie chce odbudowy Pierwszej Prowincji.

– Silny Dartan z silną królową, ale nie równorzędne mocarstwo? Kłopot w tym, Awenorze, że mając Armekt za sąsiada, tylko mocarstwo może czuć się bezpieczne. Znów zapytam: twoja siostra czy jej następca? Kto dojdzie do wniosku, że istnienie na południu kontynentu trzech

państewek nie ma żadnego sensu? Przecież lepiej będzie zebrać je w Pierwszą Prowincję i włączyć do nowego „wiecznego” cesarstwa. Dziś cesarzowa tego nie planuje, jutro zmieni zdanie. Jakich „wieczystych gwarancji” mi udzieli?

– Wiesz, co sędzę na ten temat. Ja też jestem Armektańczykiem, a jednak uważam, że twój plan zbudowania dwóch imperiów ma sens. To mogłaby być nowa trwała równowaga.

– Twoja siostra uważa inaczej.

– Tak, dlatego tłumaczę ci jej sposób rozumowania.

– Zrozumiałam. Ale nie rozbiję dla jej kaprysu własnego silnego królestwa na trzy słabe. Zrobiłam więcej, niż nakazywał rozsądek. Zamiast wykorzystać kłopoty Armektu, zapewniłam cesarzową, że nie naruszę pokoju, czyli że to dziwaczne zawieszenie broni między naszymi krajami zostanie przedłużone. Mogła więc zabrać z granicy wojska, których potrzebuje gdzie indziej. Nie wspominam o symbolicznym, niemniej rzeczywistym wsparciu: ma już dartańską chorągiew, gotowa byłam dosłać kilka tysięcy knechtów, niechby jeszcze jedną chorągiew ochotników. Ale słyszę: mało! Przypomnę ci, że odpowiedziała listem, w którym domagała się wystawienia co najmniej dziesięciu chorągwi. Nie ryzykując buntu, takie wojsko mogę powołać tylko na jedną wojnę: z Armektem. Obie o tym wiemy. I nawet ty to wiesz.

– W związku z tym...

– W związku z tym twoja siostra zapowiada: „Albo skłonisz swoich poddanych do wypowiedzenia ci posłuszeństwa, albo ja ich skłonię”. Nawet gdybym miała jej uwierzyć... Podpowiedz, mój mężu: co mi się bardziej opłaca? Mieć bunt i wspomóc przyszłego przeciwnika czy mieć bunt i osłabić przyszłego przeciwnika? Nie rozumiem, jakie rachunki przeprowadza cesarzowa Werena – zadrwiła.

– Czy ty naprawdę wierzysz, że zdołasz wygrać wojnę z Armektem?

– Jedną już wygrałam. Nie chcę tej wojny, zaproponowałam układ, który pozwoliłby ją zastąpić czymś innym. Światową równowagą. A na twoje pytanie odpowiadam: tak. Mogę wygrać ograniczoną wojnę, której celem będzie nie opanowanie, ale takie osłabienie Armektu, żeby siedział cicho przez parędziesiąt lat.

– A co potem?

– Nie wiem. Może druga taka wojna albo może już będę miała swoje własne imperium i doprowadzę do tej światowej równowagi, o której przed chwilą mówiliśmy. Podobno uważasz ten projekt za dobry?

– Tak, ale przy aprobacie Armektu, nie wbrew niemu.

Odchyliła się na oparcie krzesła i skąpym gestem rozłożyła ręce.

– Czyli w kółko to samo. Cokolwiek się dzieje w Szererze, musi się odbyć za zgodą Armektu. Dzisiaj jest ta zgoda, jutro jej nie będzie... Jestem już tym zmęczona. Może, jeśli ta wojna musi wybuchnąć, to niech wybuchnie teraz. Bardziej sprzyjających okoliczności nie umiem sobie wyobrazić. Nie zabiegałam o żadną pomoc, a pospieszyli z nią Alerowie, zaraz pospieszą Garyjczycy. Nie uwierzysz, od jak dawna jestem namawiana, by porozumieć się z nimi! Nigdy nie chciałam, bo im nie ufam. Wołałam już wesprzeć Armekt i przejąć kontrolę nad Garrą. Ale odpowiedź Armektu znasz.

– Nie uzyskasz pomocy od Garry. Werena naprawdę jest gotowa wyjść z Morskiej Prowincji. Uzna niepodległość starego królestwa.

– Bez żadnych warunków? Jeśli tak, to potraktuje Garrę znacznie lepiej, niż traktuje Dartan. Trochę to dla mnie upokarzające, nie uważasz?

– Odzyskają swoje państwo bez rozlewu krwi.
– Ach, i w Kirlanie oczekują wdzięczności Garyjczyków? Twoja siostra nic nie wie o polityce – skwitowała z pogardą. – Ale jakim cudem cesarzowa matka nie wytknęła jej tego? Starość. Wystarczy już, Awenorze. Będą tam miały, w Morskiej Prowincji, wojnę, o jakiej nie śniły w najgorszych koszmarach.

– Skąd takie przypuszczenie?

– Pewność.

– Wtajemniczysz mnie w swoje plany?

– Właśnie to zrobiłam. Ale pytasz o szczegóły? Nie.

– Jestem twoim mężem. Gdybyś jutro...

Przekrzywiła głowę i uśmiechnęła się kpiąco.

– Gdybyś jutro zmarła – dokończył spokojnie – rządziłbym Dartanem jako regent, aż do pełnoletności naszego syna. Rządziłbym najlepiej jak potrafię. Byłbym wierny temu królestwu i żadnemu innemu.

– Podobno jesteś człowiekiem uczciwym – powiedziała i to „podobno”, skierowane do własnego małżonka, było zwyczajną obelgą, ale chyba o tym nie pomyślała. – Po dwóch latach twoich uczciwych rządów Dartan byłby znowu Pierwszą Prowincją cesarstwa. Och, nie mówię, że zdradziłyś własnego syna i następcę tronu! Mówię, że nawet byś nie wiedział, że siostrzyczka ma cię uwięzowanego na postronku i prowadzi, gdzie jej się podoba. Jak ciebie.

– Przed chwilą powiedziałaś, że się nie zna na polityce.

– To przeszkadza, jeśli ma się przeciwnika.

Zagryzł usta.

Ponieważ nic już nie mówiła, dopił resztkę wina z pucharu i odstawił go. Wstał od stołu; zgrzytnęły na posadzce nogi krzesła.

– Wasza królewska wysokość – powiedział.

Uprzejmie skinęła głową.

Jeszcze nigdy nie rozmawiali tak długo. Chyba była zdziwiona własną łaskawością.

Skłonił się i wyszedł z komnaty, mijając przy drzwiach milczącą Sewę.

o o o

Gotah prosił, by jej wysokość zechciała go przyjąć. Jako Powiernik i specjalny doradca, miał prawo domagać się tego w każdej chwili.

Zresztą wszystkie tytuły, jakie nosił, warte były mniej niż osoba.

Był starym i wypróbowanym przyjacielem. Zaufała mu przed laty i nigdy tego zaufania nie nadużył. Miewał chwile słabości i wątplenia, ale zawsze mogła na nim polegać. Wiedziała, że od tego starzejącego się mężczyzny usłyszy tylko prawdę.

Kilka razy się nie zgodzili, i to w bardzo poważnych sprawach. Odrzuciła niejedną radę, ale zawsze je brała pod uwagę. Być może na całym świecie nie istniał nikt, kto sprzyjałby jej tak bezinteresownie.

Odłożyłaby dla Gotaha wszystko inne, ale sądu królewskiego nie mogła.

Przypomniała sobie o Przyjętym późnym wieczorem, gdy już rozebrała się do snu. Zwykle posyłała Anesę, ale zrobiło się późno, a Pierwsza Perła była nie wiadomo gdzie.

Przez krótką chwilę królowa siedziała z grzebieniem wbitym we włosy i patrzyła w lustro. Perła, która ją rozbierała, już oddaliła się z suknią.

– Sevo.

Niewolnica zjawiała się natychmiast.

– Tak, wasza wysokość.

– Biegnij do Przyjętego. Ale czy ty w ogóle wiesz, gdzie on mieszka?

– Wiem, wasza wysokość.

– Upewnij się, czy nie śpi. Przeproś. I zapytaj, czy zgodzi się przyjść teraz. Jeśli tak, sprowadź go tutaj.

– Tutaj, wasza wysokość?

– Tak, tylko daj mi cokolwiek, najzwyczajszą sukienkę. I biegnij, no już.

Rozczesane granatowoczarne włosy były bardzo piękne, ale jednak niewystarczająco długie, by spełnić rolę płaszcza... A w potwornej nocnej koszuli (wkładanej do snu tylko zimą, gdy w komnacie nad ranem robiło się chłodno) nie pokazałyby się nikomu.

Seva wyszła. Wkrótce potem przybiegła inna niewolnica, niosąca kusą białą szatkę – taką jaką miała na sobie.

– Wasza królewska wysokość, ja zaraz znajdę coś innego. Ale Seva kazała mi szybko...

– To wystarczy, niczego innego nie szukaj.

Nie bardzo liczyła na odwiedzin gościa, Gotał prawdopodobnie już leżał w łóżku. Może jeszcze nie spał; może czytał coś albo pisał. Jednakże mądra Seva, dowiedziawszy się o tym od czuwającej w jego przedpokoju służki, na pewno nie kazała mu wstawać i się ubierać.

Przyjęty nie spał jednak i nie leżał w łóżku. Mieszkał na dworze dość długo, by wiedzieć zarówno o tym, że królowa nie zawsze ma czas, jak i o tym, że gdy tylko znajdzie wolną chwilę, to odpowie na jego prośbę. Nie oczekiwał i nie spodziewał się, że go wezwie jeszcze tej nocy, bo naprawdę było już późno...

Ale liczył się z taką możliwością. I nie musiał nawet dopiąć klamry pasa, tylko uśmiechnął się do miłej Sevy – znał ją tak długo jak królową – i od razu dał się poprowadzić.

– O, jak dobrze! – powiedziała z zadowoleniem jej wysokość i miał pewność, że nie udawała. – Przebacz mi tę porę, wasza godność. Gdybym tylko mogła...

Zrobiła bezradny gest.

Skłonił się i uważnie przyjrzał prześwietnej szacie, w której się przechadzała po sypialni. Zrozumiała jego spojrzenie i na chwilę objęła się dłońmi za ramiona, bo pod lekką tkaniną naprawdę trochę zbyt mocno odznaczały się jej duże piersi.

– Wcale nie – rzekła i byłby przysiągł, że się lekko zarumieniła. – To było dawno temu, a teraz jestem królową. Nie biegam w rozwiązanej koszuli, już się nie obrażam na świat. Nie w ten sposób.

– W ogóle o tym nie pamiętałem, wasza...

– Oczywiście. Kto by tam zapamiętał półgołą regentkę Dartanu.

Zaśmiał się, ona też. I mocno rozkołysały się jej piersi.

– Ale w końcu jestem półkrwi Armeckanką – przypomniawszy. – Wolno mi chyba pokazać: gościu, w moim domu jesteś u siebie. Oczywiście tylko prywatnie, bo na audiencji to już nie.

– Skąd ten dobry humor, wasza królewska wysokość? – zapytał, poważniejąc. – Wydawało mi się, że wrócił Książę Małzonek...

– Nie „wydawało ci się”, panie, bo wiesz. I dlatego poprosiłeś o rozmowę.

Nie zaprzeczył.

– Wraca poseł z Kirlanu. Powiernik Królowej prosi o rozmowę – wyliczyła. – Albo jest tak ciekaw wieści, że nie może wytrzymać do chwili, gdy się dowie, z czym poseł wrócił, a to przecież chwila nieodległa... Albo świetnie wie, z czym poseł wrócił, i chce się zobaczyć z królową, zanim baba narobi głupstw. Zważywszy, że na dworze w Kirlanie siedzi żona Powiernika Królowej, a list, w odróżnieniu od mego męża,

można posłać sztafetą... Od tygodnia? – zapytała. – Od jak dawna wiesz, wasza godność?

– Choćbym wiedział od zawsze, nie miałem prawa, wasza królewska wysokość...

– Wiem. Żałuję, że nie mogłam wiedzieć wcześniej, ale nie gniewam się. Doceniam twoją uczciwość, mędrze Szerni. I lojalność. Przecież to działa w obie strony. Właśnie po raz kolejny dowiodłeś, że można i warto ci ufać.

– Dziękuję, pani.

– Ja też.

Milczeli przez krótką chwilę.

– Nie wierzę Armektance – powiedziała. – Usiądź, wasza godność, mm... no tak, chyba przy lustrze. Ja wolę chodzić, nie zwracaj na mnie uwagi. Nie wierzę Armektance – powtórzyła. – Bez jej zgody Dartan nie zluzuje armektańskich żołnierzy za morzem, więc nie przejmę prowincji. A jeśli Armekt naprawdę wycofa stamtąd swoje wojska, to ja przecież z dnia na dzień nie podbiję wskrzeszonego Królestwa Garry. Może kiedyś to zrobię, bo nie wierzę w dobre sąsiedztwo, nie z Garyjczykami. Ale jeśli nawet ich podbiję, to nieprędko.

– Skoro tak, wasza wysokość...

– Nie wierzę, że Werena wypowie mi wojnę. Że skieruje okręty przeciw moim portom i statkom handlowym. Ona w głębi serca uważa, że się ugnę. Jeśli jednak tego nie zrobię i sprawdzę jej pogrózkę, to jej nie spełni. Musi wiedzieć, że to będzie oznaczało wojnę na lądzie i morzu, choćbym miała do niej zmusić Złote Wzgórza i Zachodnie Wybrzeża. Przecież nie ustąpię wobec groźby wojny domowej, sprowokowanej przez Armekt, bo to oznaczałoby koniec silnej, a zresztą jakiegokolwiek władzy królewskiej. Raz zmuszona do ustępstw, będę już zawsze zakładniczką armektańskiej floty i dartańskich groszorbów, zwłaszcza gdy poznają swoją siłę.

– A ile będzie kosztować ta wojna? Nie myślę o pieniądzach, chociaż o tym też.

– Wszystko jedno. Niepodjęcie jej oznacza koniec Dartanu. Armekt wcześniej albo później powtórzy groźbę, której się przestraszyłam, i wywoła tu wojnę domową albo, jeśli znowu się cofnę, uzna niezależność Zachodnich Wybrzeży i udzieli im gwarancji, a wtedy... Armektańskie królestwo na górze, Garra i Wielkie Księstwo Zachodnich Wybrzeży na dole. Jak długo przetrwam w takich kleszczach? Dekadę? Więc teraz przyjmę i wygram wojnę, bo muszę. Zapłacę dowolną cenę.

– Nie umiem sobie tego wyobrazić. Armektańskie okręty zablokują dartańskie porty, wtedy uzależnione od morskiego handlu miasta i Domy zażądają od królowej takich decyzji i działań, które przywrócą porządek. Nie poprą wypowiedzenia Armektowi wojny, długotrwałej i niepewnej w skutkach, raczej zwrócą się przeciwko tobie. Stłumisz rebelię, wierzę, ale nie zrobisz nic więcej, bo przecież nie podejmiesz jednocześnie wojny z Armektem. I co dalej? Będziesz miała wewnętrznie zwaśniony, skrwawiony, osłabiony wojną domową kraj. To nie będzie koniec Dartanu? Armektańczycy uporają się z Alerami i co potem? Wykorzystasz ich osłabienie, uderzając... czym? Wasza królewska wysokość, zaproponujesz zrujnowanym Domom nową wojnę z przeciwnikiem, który nie ma i nie może mieć złych zamiarów, bo liże rany po wojnie, w której obronił Szerer? Może gdyby dało się podbić Armekt raz na zawsze, to jacyś twoi rycerze skusiliby się na ziemię, wioski, lasy. Ale nikt tu nie jest aż tak głupi, by uwierzyć w stuletnią okupację Armektu, w nowe imperium ze stolicą w Rollaynie. Z Armektem jako Pierwszą Prowincją.

Nie był pewien, czy nie przeszarżował. Ale jeszcze (o dziwo) nie. Wciąż słuchała.

– Nieprawda – odparła. – Wojna z Armektem opłaci się rycerstwu, a przygotowuję do niej kraj od tak dawna, że wszyscy jej oczekują. I dziwią się, i nie mogą zrozumieć, dlaczego jej jeszcze nie ma. Zaraz będę miała niepokoje w królestwie nie z powodu wojny, ale dlatego, że jej dotąd nie wypowiedziałam. A korzyści? Armektańskich miast nie trzeba palić, lepiej nałożyć kontrybucje. Taki Tarwelar zasypie zdobywców złotem, mniejsze miasta będą mniej hojne, ale za to liczne. Rycerstwo zyska chwałę i wzbogaci się na tej wojnie.

– O ile będzie zwycięska. Łucznicy wyliżą swoje rany, bo będziesz musiała dać im na to czas, a zrobią to tak szybko, jak tylko oni potrafią. I możliwe, że to oni przyjdą wystawić ci rachunek. Już nie za oderwanie Dartanu od cesarstwa, bo to akurat potrafią zrozumieć, a w głębi serca uszanować, nawet jeśli nie powiedzą tego głośno. Wystawią rachunek sojusznicze, która porzuciła ich w potrzebie, a z jakiego powodu? Bo nie umiała zmusić tysiąca rycerzy do zabrania swoich pocztowych i stanięcia z nimi w szyku pod chorągwanymi znakami?

– Wszystko prawda – odrzekła. – Pod warunkiem że skrwawię się teraz w tej dziwnej wojnie wszystkich ze wszystkimi, którą straszy Armektanka. Tylko że ona nie wyda mi tej wojny, wasza godność. Chciała mnie mocno przestraszyć, więc niczego nie ukrywa, a jest zbyt pewna siebie i zdradziła zbyt wiele. Nie mam złudzeń. Werena, a jeszcze bardziej stara Wasenewa na pewno narobią mi kłopotów, jeśli nie siłą, to knowaniami. Ale i oddadzą mi przysługę, bo ujawni się wielu moich przeciwników, których podejrzewam o nieczne zamiary, ale nie mam dowodów. A ilu jeszcze takich, których nawet nie podejrzewam? To, co byłoby zwykłą wewnętrzną polityką i walką o wpływy, w obliczu wojny z Armektem stanie się nagle zdradą. Bo przyznasz, panie, że czym innym jest zabieganie

o większą niezależność Zachodnich Wybrzeży teraz, a czym innym będzie jutro, gdy dartańscy żołnierze i rycerze staną naprzeciw armektańskich wojsk?

– Armekt nie wypowie ci otwartej wojny.

– No, to może wreszcie ja ją wypowiem, nie czekając na żadne morskie blokady? Jej cesarska wysokość zmusza mnie do tego.

– Naprawdę?

– Przynajmniej namawia. Nakłania. Wasza godność, powiedziałabym ci więcej, ale musiałabym zażądać obietnicy milczenia. Tak długo, jak długo jej nie złożysz, możesz dzielić się z małżonką swoimi przypuszczeniami i obawami. Ale jeśli ci wszystko powiem?... Nie chcesz składać tej obietnicy, bo będziesz się męczył, milcząc.

Przyznał jej w duchu rację.

– Trochę jednak mogę powiedzieć – ciągnęła. – Jeśli jakieś miasta i rody mają mi wymówić posłuszeństwo z powodu blokady morskiej albo z powodu wszczęcia niechcianej przez nikogo wojny ze stworami na północy Armektu, to niech raczej znajdą inny powód. Ale ciężko będzie znaleźć wiarygodny powód, jeśli jutro wybuchnie od dawna oczekiwana wojna z Armektem. Jej cesarska wysokość chce rozdawać zbyt wiele rzeczy, których nie ma – dorzuciła znacząco.

– Nie wiem, o czym myślisz, wasza wysokość. Czy naprawdę rozpoczniesz teraz niepotrzebną wojnę?

– Niepotrzebną? Przecież siostra z Kirłanu właśnie mi powiedziała, że dojdzie do tej wojny prędzej albo później, a zresztą obie o tym wiemy od zawsze. Jeśli rozpocznę ją teraz, to wysłane w pole chorągwie nie zawrócą do domów na wieść o morskiej blokadzie. Ale powiem ci coś, wasza godność: ja jednak nie rozpocznę tej wojny. Nie dzisiaj. I nie dojdzie do żadnej morskiej blokady. Armekt ma dość kłopotów i bez wojny

z Dartanem, więc jej nie rozpocznie. Jest takie zabawne powiedzenie: „Na złość babci odmrozę sobie uszy”. To nie jest polityka, tylko...

– Nie, nie polityka. To Arilora. Ich matka.

– Przecież to tylko los. Szczęście, pech, przypadek. Pasma Szerni istnieją, a Arilory nie ma i oni pierwsi wyśmieją każdego, kto będzie to traktował inaczej niż jako powinność wobec towarzyszy broni. Śmierć i bitewna chwała. Rozumiem Arilorę, ale to tylko takie ładniejsze imię wojny.

– Nie, królowo. To ich tożsamość. Jeśli chcą przetrwać, jeśli... jeśli chcą dalej czuć się Armektańczykami... Pójdą na wojnę z całym światem i mogą ją przegrać, ale nie usiądą z podkulonymi ogonami. Cesarzowa każe im umierać, patrzeć, jak płoną ich domy, i zrozumie to każdy chłop dojący kozy. Będzie dumny, że tego zażądała. Dumny, że jego żona i dzieci zobaczą w nim potomka łuczników Sar Soa. Pokonanych i pobitych, królowo. Oni są dumni zarówno ze zwycięskich, jak i przegranych wojen. Wstydzą się tylko niepodjętych.

Przyglądała mu się w milczeniu.

– Każda z was, wasza wysokość – rzekł jeszcze – gra bardzo ryzykownie. Chyba zbyt ryzykownie. Któraś z was czegoś nie zdoła przewidzieć, druga zrobi coś w gniewie... Jesteście żywymi kobietami, ludźmi. Wydaje się wam, że wszystkim kierujecie, dwie potężne władczynie. A tu wystarczy zwykły przypadek, krzywy uśmiech losu, może chwila słabości albo czyjeś nieposłuszeństwo, byście straciły kontrolę nad tym, co rozpętacie. I żadna nie będzie wiedziała, jak to zatrzymać. Przebacz mi, wasza wysokość, tego nie mówi Powiernik Królowej, tylko historyk i niemłody człowiek, który wiele widział. Czy pamiętasz, jak ja sam, człowiek nazywany mędrcom Szerni, próbowałem okiełznać Prawa Całości? To mnie nauczyło pokory. Nie panowałem nad niczym.

Wstał z krzesła przy lustrze i sięgnął w zanadrze.

– Wiem, że Kesa mi przebaczy – powiedział, podając list od żony. – Nawet więcej: nie przebaczyłaby mi, gdybym ci tego listu nie pokazał. Jest bardzo osobisty, ale przecież Kesa... Tak, dzisiaj to jest Przyjęta, ale to ta sama dziewczyna, której dałaś kiedyś wolność. Ta dziewczyna, którą zostawiłaś w Dobrym Znak i która go odbudowała. Dla ciebie, bo już nie musiała. Proszę cię, Ezeno. Przeczytaj to i spróbuj... pozbiierać ten świat do kupy. Jeszcze nie jest na to za późno.

Zupełnie nieoczekiwanie zgiął kolano, przyklęknął.

– Proszę, vana. Właśnie piszesz historię świata. Wyślij im te przekłete chorągwie.

ROZDZIAŁ 7



Wojskowe Okręgi Zachodnie Pogranicza nie były oddzielone od Aleru tak oczywistą granicą naturalną, jaką stanowiła Lezena, nad którą zbudowano stacje Okręgów Wschodnich. Umowną granicę wyznaczały Białe Góry, znane pod tym mianem właściwie tylko tutaj, bo gdzie indziej zwano je Dzielącymi. Jednakże pas „ziemi niczyjej” rozciągał się już u ich podnóża.

Nie było tam Wstęg Aleru ani Pasm Szerni, chociaż czasem odczuwało się ich wpływy.

W pasie ziemi niczyjej i pod niczym niebem powstały zimowe osady Srebrnych Plemion.

Roztoczono nad ich linią baczny dozór. Obserwowane były bez przerwy. Snuły się nad nimi dymy, bo Alerom mogło brakować wszystkiego, ale nie opału. Świerkowe i mieszane lasy osłaniały od wiatrów, ponadto dały trochę zwierzyny i tyle ciepła, ile zażądano. Życiodajne ognie w obozowiskach płonęły dniem i nocą.

Roja Eka, nieduża stacja obwodowa, wystawiła wartowniczą placówkę w lesie oddalonym trochę ponad pół mili od świerkowego boru, na którego skraju rozgościło się Srebrne Plemię. Alerowie musieli wiedzieć o tej małej wartowni, a właściwie dwóch położonych blisko siebie, bo następna mieściła się w tym samym lesie, dwie mile dalej na wschód. Żołnierze też palili ognie, inaczej by pozamarzali. Załogi wymieniano co tydzień, każda chata-stajnia była obsadzona

przez pełną dziesiątkę lekkokonnych. Trzej żołnierze stale wartowali, dwie trójki odpoczywały.

– Nic specjalnego, wasza godność – raportował dziesiątnik-komendant placówki. – Obóz jak obóz. Drugi jest taki sam, tylko trochę mniejszy, ledwie parę mil stąd. I są jeszcze dwa takie, bo z naszej stancy pilnujemy czterech. Ale gada się, że gdzieś są obozy trzy razy większe jak ten.

– Wypuszczają jakieś zagony? Patrolują, rozpoznają? – pytał Rawat.

– Nie. Jesienią to się zdarzało, pogoniliśmy ich, wasza godność. Dwa razy się przekradli, trzeba było ich szukać i ganiać. Była ładna bitewka, dobra setka z ich strony, nas tyle samo. Teraz nie pchają się w oczy, przecież po śladach na śniegu łatwo znaleźć. No, może zaraz coś wymyślą, bo odwilż i już wszystko spłynęło. Uważamy na nich bardziej, wiadomo. W nocy idzie patrol na przedpole.

– Upilnujecie?

– Zimą, kiedy śnieg, to tak. Musieliby przejść w zadymce, bo jak nie, to zawsze się zauważy. Jak nie horde, to chociaż ślad na śniegu. Teraz gorzej. W księżycowe noce to jeszcze coś widać, ale w taką, jak była wczoraj...

Rawat skinął głową.

Niełatwo tutaj mieli. W Okręgach Wschodnich pilnowało się brzegu rzeki. A tu?... Roja Eka nadzorowała blisko piętnastomilowy odcinek. Żeby nie przegapić żadnej grupki i żadnego pojedynczego Alera, wszyscy żołnierze garnizonu musieliby się rozciągnąć ażurowym łańcuszkiem wzdłuż granicy, po czym trwać tak dniem i nocą.

– A złoci?

– Od roku nie widziałem.

Rawat popatrzył na siedzącego obok podsetnika swojej eskorty.

Młody oficer oglądał wnętrze domu. Szumna nazwa dla czegoś, co było bardziej szałasem, co prawda niezwykle wielkim. Miał trzy i pół ściany – jedna z dłuższych urywała się w połowie. Ten dom-szałas, zbudowany najpierw prowizorycznie i byle jak, był stale poprawiany przez nudzących się żołnierzy, którzy – bardzo po wojskowemu – nie zaniechali niczego, by choć trochę uprzyjemnić i ułatwić sobie życie. Sklecieli już całkiem znośne prycze, jeśli dało się nazwać pryczami przywiezione chyba ze stanic deski, oparte na drewnianych balach. Nie brakowało suchych, bo położonych na tych pryczach, nie na ziemi, derek i pledów; każdy mógł się zwinąć choćby w trzy lub cztery. Odgrodzono ponadto „końską” część szopy od „ludzkiej”, a w kącie widniało bardzo ładne palenisko ze zrobionym w dachu otworem dla ujścia dymu, zakrywanym, gdy był niepotrzebny. Półotwartą ścianę dało się przedłużyć za pomocą rozwieszonych na sznurach pledów. Ktoś tu chodził na łowy – przy „kotarze” wisały dwa duże, ustrzelone ptaki, nie bażanty i nie głuszce. Coś miejscowego.

– Co powiesz, Nelecie?

– Niewiele, wasza godność – odrzekł podsetnik. – Z raportów, jakie spływały do Rewinu, tyle właśnie wynikało.

– A wy?

Aktar i Ajan też oglądali wnętrze szopy.

– A co my możemy powiedzieć, wasza godność? – odpowiedział pytaniem dowódca Jeźdźców. – Pierwszy raz jestem tak daleko na północy, nigdy nie widziałem Alera. Każdy z tych żołnierzy doradzi ci mądrzej niż ja.

Stary setnik potwierdził skinieniem.

– Podjeżdżaliście bliżej pod ich obóz? – znowu zagadnął dziesiętnika. – Policzyliście?

– Podjeżdżaliśmy w pół drogi, dalej nie. Nic się nie działo, ale drzewa zasłaniają, pewno tam się przygotowali, że jakby coś...

A policzyć? No, kocica policzyła. Pod każdy ich obóz poszła zwiadowca.

– Koty ich podchodziły?

– Tak, wasza godność. Właściwie u nas to nie koty, tylko kocice, mamy dwie. Ale to jeszcze jesienią, bo po śniegu koty nie chodzą. Ledwo uszy im widać, nie mogą szybko uciekać i jeszcze wszędzie zostawiają ślady. Tutaj siedzi koło tysiąca... znaczy nie kotów, he, he.. Alerów koło tysiąca, może trochę więcej, ale tak dokładnie zliczyć się nie da. Ze dwie setki jeźdźców, może dwa razy tyle piechurów. Znaczy wojowników. Reszta to te ich małe smrody, a inne nie bardzo wiadomo, bo u Alera trudno poznać, co chłop, a co ta ich baba, młode toto czy stare. Za słabo się różnią, nawet kot nie za bardzo odróżni, a opatulone to wszystko w skóry i futra tak, że nic nie widać. Czujni są, nasza ogoniasta mówi, że ich dużo trudniej podejść jak ludzi. No i nigdy całkiem nie śpią, wiadomo.

Podobno na Wyspach garyjski brzmiał tak różnie, że czasem trudno było zrozumieć miejscową gwarę. Armektański był wszędzie taki sam. No, prawie. Najbardziej dziwnie brzmiał daleko na południu, u stóp Szczytów Książących i w samych górach. Ale ten tu dziesiątnik mówił trochę bardziej miękko, bardziej śpiewnie. Dartańskie pogranicze? Mógł pochodzić i stamtąd, czemu nie.

Uzupełnienia dla danego garnizonu trafiały zazwyczaj z najbliższej okolicy, bo po co wybierać rekruta z drugiego końca kraju? Ale potem różnie układały się losy żołnierskie. Jak świat światem, żołnierz był łązęgą. Przeniesiono gdzieś jakiś klin, gdzie indziej potrzebny był doświadczony funkcyjny do prowadzenia szkoleń. Tu powiększono garnizon, a gdzie indziej zmniejszono, więc posłano nadetatowych tam, gdzie brakowało. Rawat słyszał o dziesiątce łuczniczek, które kiedyś przeniesiono – chyba z Rapy, a może z Riny? – do samego środka

Grombelardu. Miały wyszkolić trochę łuczników, bo w górach niepodzielnie królowała kusza, a czasem przydałoby się coś, co szybciej strzela. Wiadomo, jak to się skończyło. W Legii Grombelardzkiej w ogóle nie było kobiet, aż tu od razu dziesięć... Ktoś miał naprawdę znakomity pomysł na pomnożenie zastępów.

– Dużo mieli zapasów?

– Dużo. Ale na tysiąc brzuchów i jeszcze dla ich wehfetów... Koń to jakoś wyskubie coś spod śniegu, wehfet nie. Musi mieć miętkie, zielone. Znaczą u nas, bo ichnie zielsko to chyba dla wehfetów jakoś suszą. Nie wiadomo, co im zostało. Jeśli jeszcze przez parę dni nie spadnie śnieg, to pewnie znowu przyślą którąś futrzastą, może nawet z tą dziesiątką, która nas będzie zmieniać. Ale nie wiem.

– A kiedy zmiana?

– Dopierośmy zaczęli. Za pięć dni.

Rawat pożałował, że w stancy nie zapytał o koty. Nie zgadało się. Dowodzący nadsetnik nie był uszczęśliwiony, że przysłano mu do obwodu jakiś dziwny specjalny oddział, który mu nie podlega i nie wiadomo, co ma tutaj robić. Kazał wydać trochę zapasów, bo przeczytał podetknięty mu pod nos rozkaz z Rewinu; zaraz potem prawie ich wyrzucił. Dostali przewodnika, który tutaj zameldował dziesiątnikowi wartowniczej placówki o przybyciu gości i od razu zabrał się z powrotem do Eki.

Prawdę mówiąc, Rawat w ogóle się nie dziwił postawie komendanta stancy. Ten oficer miał dwie kolumny, konną i pieszą, do tego rezerwową klin jazdy – wszystkiego najwyżej dwie i pół setki ludzi, nie licząc rzemieślniczo-kuchennego zaplecza. Pilnował czterech obozów. Czyli jakichś dwóch tysięcy samych wojowników, już po odliczeniu starców, kobiet, dzieci.

Srebrni umieli zdobywać stаницe, wiedzieli, co to drabiny, prymitywne tarany i płonące strzały. Czterokrotna przewaga liczebna oblegających oznaczała nieliczne kłopoty i w najlepszym wypadku stos trupów po obu stronach. Ośmio-, dziesięciokrotna przewaga prawie nie dawała szans.

Trudno sądzić, by Alerowie siedzieli u stóp gór do końca świata. Mogli zabrać się i odejść z powrotem do siebie; może chcieli tylko coś przeczekać? Ale równie dobrze mogli pomaszerować dalej na południe.

„Twierdza” Roja Eka odgradzała ich od Armektu. Jej częstokół w niczym nie przypominał brunatnych murów Rewinu.

Nie przysłano nadsetnikowi posiłków (prawdę mówiąc – liczącego się wsparcia nie miałoby gdzie pomieścić), zamiast tego przybył jakiś cudaczny, dowodzony przez dziadka oddział, który... No właśnie, co?

Rawata, gdyby był na miejscu komendanta obwodu, zalałaby krew – musiał w duchu przyznać.

Ten tu przynajmniej był nadsetnikiem. Rawat przypomniał sobie dawne dzieje, gdy sam siedział w takiej stаницy. Za panowania starego cesarza wojsko nie miało tak dobrze, pieniądze szły na mosty, miejskie łaźnie, piękne mapy elementarne i w nieprzytomnej liczbie powielane zwoje z armektańskimi sagami i wierszami. Wieczny pokój w Wiecznym Cesarstwie – o, tak... Oszczędzano na etatach, taką stаницę wtedy trzymałby setnik, dowodzący zbyt dużym jak na swoją rangę garnizonem. Trochę się to zemściło podczas Wielkiej Wojny Granicznej, kiedy trzeba było awansować na łeb na szyję każdego, kto miał pojęcie, jak dmuchnąć w oficerską świstawkę, żeby jej od razu nie zapluć, bo wtedy bulgotała.

Rawat poczuł, że koniecznie, ale to koniecznie musi się napić. Zaraz.

Wszyscy już wiedzieli, że pije. Ale ponieważ starał się i bardzo pilnował, udawali, że jednak nie wiedzą. W ciągu dnia pociągał tylko tyle, ile naprawdę musiał, mocno w szyję dawał dopiero na wieczornym biwaku. I nie pchał się do komendy, oddziałem dowodził młody podsetnik Nelet. Rawat wysuwał się na czoło tylko wtedy, gdy warto było pokazać tunikę setnika legii i szare paski honor-gwardzisty. Na przykład tutaj, w Ece. Jej nadsetnik był tylko honor-dziesiętnikiem gwardii, więc łatwiej przełknął rozkazy przekazane przez honor-podsetnika. Przynajmniej rangę gwardyjską miał niższą, w formacjach elitarnych mógłby być podkomendnym tego tu... staruszka.

Nadtysięcznik Owen, komendant Okręgów Zachodnich, chyba jednak wiedział, co robi, przywracając „ochłajmordę” do służby. W każdym razie do takiego wniosku doszli Aktar i Ajan.

Wyszli przed szopę-wartownię. Obsadzający placówkę żołnierze już zbratali się z przybyłymi, wymieniano wieści – jedni mówili o tym, co w świecie, drudzy o tym, co na granicy. Ayana miała trzech nowych narzeczonych, a Wenewet zdążył popisać się wiedzą.

– Pojedziemy jeszcze dzisiaj – rzekł Rawat do Aktara. – Trochę dalej niż pół drogi. Jakies ćwierć mili. Zostawimy na ziemi worek grochu, wbijemy tyczkę z relfsem. Myślę, że w nocy ktoś od nich podjedzie, żeby sprawdzić, co my tu wyprawiamy. Rano zobaczymy, czy zabrali groch.

– A jeżeli nie?

– To dołożymy drugi worek z kaszą. I przeniesiemy jeszcze trochę bliżej ich obozu.

– A jeżeli grochu nie będzie?

– To tak samo położymy kaszę i tak samo przesuniemy relfs bliżej ich obozu. Nie odjedziemy całkiem, staniemy we trzech albo czterech kilkaset kroków dalej. Poczekamy. A teraz chodźmy się napić, tak żeby wojacy nie widzieli.

– Na pewno musimy teraz?

– Tak, bo mnie zaraz roztelepie. – Starzec dawno już wyzbył się wstydu wobec czwórki ludzi, w których gronie przebywał od ładnych kilku tygodni.

– No, to nie ma rady – zgodził się Aktar.

Poszli między drzewa, gdzie stały juczne konie. W szopie nie było miejsca dla pół setki zwierząt. Dla ludzi zresztą też nie. Już szykowano ogniska.

Wrócili po paru chwilach. Setnik nie grymasił, umiał szybko zażyć lekarstwo.

– Podsetniku.

Młody dowódca klina obejrzał się i od razu podszedł.

– Wszystkie konie pod siodłem, tej dziesiątki wartowniczej też. Raczej nic się dzisiaj nie stanie, ale gdyby jednak się stało, wyprowadzisz ludzi do stancy. Gdybyśmy się zgubili, to tam na nas czekaj.

– Tak, panie.

– Jedziemy i zaraz wracamy, biorę tylko Jeźdźców, żadnych wojskowych tunik. Alerowie musieliby zgłupieć, żeby wyskoczyć na sam nasz widok i pognać hurmem na ten las. Ale jeżeli zgłupieją i wyskoczą, to uciekać, nawet jeśli będzie ich mało. Nie chcę tu żadnej rzezi. Uciekać. Konie są szybsze od wehfetów. Wiem, wiem, że mniej wytrzymałe, ale przyjdzie noc i nawet gdyby was ścigali, to zgubią. Wszystko.

– Nie rozglądać się za wami, setniku?

– Rozglądać, ale nie czekać. Widziałeś, jak ta czwórka jeździ konno, damy sobie radę.

– Tak, panie.

– Potrzebuję długiej, prostej gałęzi, ociosanej z grubsza. Wszystko, synu.

– Tak, panie.

Podsetnik odszedł.

– Kto jedzie?

– Wszyscy – odparł Aktar. – Piątka to chyba nie jest tak dużo, żeby srebrni się przestraszyli? A gdyby jednak coś, to chcę mieć wszystkich przy sobie.

– Nic się nie zdarzy. Rozkazy wydałem, bo wydałem. Jakby o ćwierć mili stąd pięciu srebrnych zatknęło coś w ziemi i zaraz się zabrało z powrotem, to kazałbyś na nich szarżować?

– Nie.

– A oni nie są głupszy od nas – podsumował setnik. – A nawet jeśli są, to nie w tych sprawach.

– A w jakich są?

– Właściwie... trochę we wszystkich. Koło wynaleźli, ale prawie nie używają, tylko do ręcznych wózków. Takich taczek. Nie mają nic, co chodziłoby w zaprzęgu, wehfet się nie nadaje. Żelaza i brązu nie znają, statków chyba też nie budują... Wszystko mają bardziej byle jakie. Armię też, bo to nie są nasze kliny i kolumny, a co dopiero legiony. Ale zwykle rzeczy robią tak jak my. Nie mądrzej i nie głupiej. Normalnie chodzą, piją, jedzą... I nie rzucają się jak zwierzęta na wszystko, co zobaczą. Złoci tak; ci nie.

– A są w czymkolwiek od nas lepsi albo mądrzejsi?

– Tak.

Aktar nie dopytał, bo było widać, że setnik zaraz powie. Szukał słów.

– Nikt u nas tak nie maluje. Te piękne obrazki na tarczach to tylko wojenne ozdoby. O, jak wojskowa tunika. Porządnie zrobiona, ale to nie jest najpiękniejsza szata, prawda? No więc oni mają takie obrazy, przy których te na relsach wyglądają akurat jak książęca suknia przy mojej tunice.

Setnik myślał i wysławiał się jasno, ale język już mu troszkę skołowaciał. Aktar to zauważył.

– Lepiej jedźmy. Konie już są.

– Jeszcze drąg. Pójdę po relfs. A ty chodź ze mną i weź groch.

Wieziona w jukach tarcza była już przygotowana: do połowy zakryta skórą, jak chciał Rawat. Setnik wyciągnął ją, Aktar wziął worek grochu. Wrócili pod chatę-wartownię.

Wkrótce żołnierze dostarczyli żadaną gałąź. Przymocowano do niej relfs.

Setnik zdjął swoją tunikę. Skorzystawszy z pomocy Weneweta, dosiadł konia. Czwórka towarzyszy poszła w jego ślady.

Żołnierze obu oddziałów przyglądali się z ciekawością.

Pięcioro jeźdźców stępa, a potem drobnym kłusem ruszyło w stronę dalekiego lasu, w którym Alerowie mieli obozowisko.

Pogalopowali, potem znowu pojechali kłusem – przemierzili tak ćwierć mili i trochę. Jak na te okolice, teren był bardzo równy. Dokąd sięgnąć okiem, na wschód i zachód rozciągała się pofałdowana wyżyna pokryta mozaiką lasów i łąk; ten lasostep wiosną i latem zwano Ri Sillorem, bo koniecznie musiał być przykryty błękitnym, rozświetlonym niebem. Na północy „las Alerów” niespiesznie, lecz wyraźnie piał się na łagodny stok, a jeszcze dalej majaczyły pierwsze zbocza gór.

Lizjerę lasu widzieli dość wyraźnie. Nic tam się nie działo i prawie wcale nie było śladów życia. Tu i tam ku niebu snuł się dym.

Zachęceni bezruchem pojechali jeszcze kawałek. Aktar zeskoczył z siodła, zdjął z końskiego grzbietu wór grochu i położył na ziemi. Odebrał od Rawata tyczkę z relfsem. Jeszcze przy wartowni ściał mieczem i zaostrzył jej koniec, teraz pozostało tylko wbić go w ziemię. Tak zrobił.

Postali chwilę, choć było zupełnie pewne, że tylko ślepy mógłby ich dotąd nie zauważyć. Odjechali kilkaset kroków i znów się zatrzymali, tym razem na trochę dłużej. Ostentacyjnie wyczekująco.

Potem już wrócili prosto do obserwujących ich żołnierzy.

Rawat był podпиты, ale nie pijany – kto go dobrze nie znał, ten na pewno nie mógł zauważyć, że setnik mówi trochę wolniej i staranniej niż zwykle. Zmierzchało; płonęły trzy ogniska.

Rawat rozsiadł się przy największym, w kręgu kilkunastu legionistów z dwóch oddziałów. Krzywił się, bo siedzenie na ziemi nie przychodziło mu łatwo. Pobolewały stawy.

– Żołnierz powinien wiedzieć, co się dzieje – oznajmił. – Zawsze tak uważałem. Jeśli przyjdzie mu się bić i umierać, to niech wie, dlaczego musiał zginąć. Znam trochę język tych tam. – Wskazał gdzieś za siebie, z grubsza w stronę lasu Alerów. – Przysłali mnie ze stolicy, żebym ich spróbował wybadać. Przed czymś uciekają, robią coś, czego nigdy nie robili. Brałem udział w Wielkiej Wojnie Granicznej, tej przed trzydziestu laty.

Innej Wielkiej Granicznej nie było, ale setnikowi wszystko wydawało się troszeczkę trudniejsze niż wcześniej, dlatego starannie tłumaczył.

– Wtedy złoci bili się ze srebrnymi, a my musieliśmy już tylko posprzątać. Może teraz uda się tak samo. Jeśli oni się biją między sobą, a pojawiło się chyba jeszcze nowe, trzecie Plemię, to możemy tylko skorzystać. Dowództwo chce o tym wiedzieć. I napuścić jednych na drugich, jeśli można.

Upraszczał, wiele spraw pomijał. Ale właściwie nie kłamał. Opowiedział o swojej misji tak, by żołnierze łatwo zrozumieli.

Jakiś łucznik poszedł do szopy, teraz wracał. Niósł pieniek służący za zydelek.

– Setniku – powiedział.

Starzec z wdzięcznością przyjął pomoc przy wstawaniu z ziemi i przesiadł się na „zydel”. Podsunięto mu jeszcze złożoną końską derkę dla miękkości.

– Wasza godność zna ich język?

– Dogadam się.

Rawat nie chciał drążyć tematu, bo musiałby opowiadać o swoich snach albo już wprost kłamać i wymyślać nie wiadomo co, jedną historię mniej wiarygodną od drugiej. Że wychowali go srebrni, porzuconego w lesie jako dziecko czy jak?... Albo siedział u nich w niewoli przez pięć lat, aż się nauczył języka?

Zmienił temat, a raczej tylko trochę skrzył w bok.

– Wszyscy już wiecie na pewno, że złoci pobili Armię Toru.

Było oczywiste, że wiedzą. W Rewinie wiedział każdy, a ci tutaj... Jeśli nawet dotąd nikt im nie powiedział, to przed chwilą rozmawiali z przybyłymi kolegami legionistami.

Rozgorzał spór o rozmiary kłęski pod Torem.

Rawat wiedział, że oficer może, a niekiedy nawet powinien zbratać się z żołnierzami. Teraz miał łatwiej o tyle, że nie on był ich przełożonym.

Na przedpole, jak zwykle po zmroku, pojechał trzykonny patrol. Nakazano jednak żołnierzom, by nie kręcili się zbyt koło miejsca, gdzie zostawiono wbitą w ziemię żerdź z tarczą Alerów.

Do patrolu i do czatowników czuwających na skraju lasu podsetnik Nelet kazał dołączyć po jednym ze swoich jeźdźców – zlurowano dzięki temu dwóch gospodarzy. Koleżeński gest, doceniony przez dziesiątnika. Miało tak zostać przez cały czas pobytu.

Aktar sprawdził konie i odszukał swoich towarzyszy. Wyjątkowo stronili tego dnia od żołnierzy. Ayana wylegiwała się na jedlinie, z głową opartą na kolanach brata. Młody Wenewet siedział pod drzewem, też na pęku jedliny.

– Nacięłam więcej, weź sobie. – Na widok nadchodzącego pokazała palcem stos gałęzi. – Nie siedź na zimnej ziemi, bo złapiesz wilka.

Umościł siedzisko.

– Uda mu się? – zapytała.

– Kto wie.

– Miał znowu jakieś sny? Mówił, że bliżej granicy...

– Nie. Coś tam mu się śni, ale nic wyraźnego. Nic takiego jak kiedyś ani takiego jak na statku. Kiedy przyjechał na Północną Granicę rok temu, to miał w tej swojej stancy, w Erwie, tylko jeden bardzo wyraźny sen. O jakimś dole w ziemi, w którym coś się działo. Inne zwykle, prawie ich nie pamiętał. I nie każdej nocy.

Jeszcze trochę porozmawiali.

Setnik i podsetnik zostali zakwaterowani w szopie-wartowni. Reszta umościła się wokół ognisk, ponakrywała derkami. Nie padało, było chłodno, ale sucho. Dwa łyki gorzałki przed snem działały rozgrzewająco.

Nic się w nocy nie wydarzyło.

o o o

Chyba zupełnie nic. Rano relfs i worek grochu były tam, gdzie je zostawili. Nie dało się zgadnąć, czy srebrni zbadali zawartość wora ani czy w ogóle tu byli.

Jeśli przyszli, to raczej pieszo. Pazurzaste łapy wehfetów zostawiały wyraźne ślady, prawie równie dobrze widoczne, jak te od podków koni.

Żadnych śladów nie było.

Setnik nie okazał zawodu ani zniecierpliwienia.

– Podrzucimy im to jeszcze bliżej. Jakies dwieście kroków. I dołoż ten worek kaszy.

Tak zrobili. Tym razem jednak zostawili dwie tyczki, do drugiej przywiązali białą szmatę.

– Uczymy ich – wytłumaczył Rawat. – Może się domyślą, co u nas znaczy biała szmata. Że to samo, co u nich przysłonięty

relfs. W niektórych garnizonach nasi konni łucznicy wożą na plecach małe okrągłe tarcze, na pewno widzieliście.

– W okręgu Sar Soa często.

– Gdybym miał taką tarczę, tobym ją do połowy zakrył skórą i też tu zostawił. Dla jasności.

Odsunęli się na poprzednie miejsce i znów wyczekiwali. Dosyć długo, znacząco. Zsiedli nawet z koni, przeszli się kawałek tam i z powrotem. Potem wrócili na skraj lasu.

Do wieczora nic się nie wydarzyło. Jeśli relfs i dwa worki jakkolwiek zaciekały Alerów, to nie dali tego poznać w żaden sposób.

Minęła kolejna noc, a rano na stepie nie było nic. Ani tyczek, ani worków. Chyba.

Z powodu odległości nie mogli być całkiem pewni. Ale wczoraj łopoczącą białą szmatę widzieli, teraz zniknęła. Co do worków tylko zgadywali.

– Dobra nasza. Próbujemy dalej. Weź jeszcze dwa worki, a wy dwoje ostrugajcie nową tyczkę. Wenewet, chłopcze, przynieś drugi relfs.

– A jeśli ten też zabiorą?

– Nie, tego już nie oddamy.

Nie było pośpiechu – las Alerów raczej nie mógł uciec, pofałdowana szara łąka także nie. Przygotowali co trzeba i zjedli śniadanie. Rawat wydał polecenia podsetnikowi Neletowi, było to właściwie powtórzenie rozkazów z pierwszego wieczoru.

– Żadnych wrogich kroków – napomniał jeszcze raz. – Nie przyjechaliśmy tutaj po to, żeby pokonać trzydziestu czy nawet pięćdziesięciu Alerów. W razie czego uciekamy. Nie uda się tutaj, to może gdzie indziej. Oni też mają różnych dowódców, głębszych i mądrzejszych.

– Tak, panie.

– Jeśli tutaj skończy się bitwą, to nie wiadomo, jakie opowieści pójdą u nich od osady do osady. Że wywabiamy ich, a potem wyrzynamy. Konie trzymaj pod siodłem, ale żadnych szarż. Wszystko.

– Tak, panie.

Piątka jeźdźców dosiadła wierzchowców.

Tyczek i worków rzeczywiście nie było. Na ziemi sporo śladów wehfetów, tak na oko kilkanaście zwierząt.

Ujechali jeszcze sto kroków, byli teraz naprawdę blisko lasu Alerów.

Relfs i kawałek białej szmaty przymocowane mieli razem, do szczytu jednej żerdzi. Aktar zeskoczył z siodła, wbił zaostrzony koniec gałęzi w grunt.

Wycofali się jakieś dwieście kroków.

– Teraz już czekamy choćby do wieczora.

Wystawiono ich cierpliwość na próbę. Po pewnym czasie pozsiadali z koni; stary setnik nie omieszkał przy tym westchnąć. Gdy już siedział, to siedział, choć nogi i plecy dokuczały mu bardziej, niż okazywał. Ale gramolenie się na kulbakę, potem zeskakiwanie – to już w ogóle go nie bawiło.

Nastał późny ranek; minęło przedpołudnie.

– Wsiadajmy – powiedziała Ayana.

Pierwsza dostrzegła ruch na skraju lasu. Mężczyźni przerwali rozmowę i zerwali się z ziemi.

– Spokojnie – ostrzegła. – Chyba lepiej się nie miotać. Prawda, setniku?

Rawat wspiął się na koński grzbiet, tradycyjnie już korzystając z pomocy Weneweta.

Spomiędzy drzew wyjechał mały oddziałek, pięciu jeźdźców. Zatrzymali się, obserwowali.

– Wiemy już, że potrafią liczyć. Tyle ich, ile nas – rzekł Ajan.

– Nie opowiadałem? – zastanowił się Rawat. – Jak nie, no to mówię teraz: liczą lepiej od nas. Nie tylko malują.

– Co to znaczy: lepiej?

Jeźdźcy na wehfetach powoli ruszyli ku nim. Pięcioro ludzi uważnie ich obserwowowało.

– Szacują liczbę „na oko” – wytłumaczył setnik. – Bardzo rzadko się mylą. Też mam... no, teraz już nie. Miałem dobre oko, widziałem niejedną oddział i umiałem ocenić, że tam jest stu jeźdźców. Ale shehi odpowie ci na to: „Dziewięćdziesięciu czterech” i pomyli się najwyżej o jednego, dwóch. Ja nawet o dziesięciu w każdą stronę.

Piątka z przeciwka zbliżała się powoli, ostrożnie.

– Ale oni w ogóle liczą lepiej – dodał Rawat i pociągnął łyk z bukłaka. – Nie wiem, jak tam u nich z tą... uczoną matematyką...

– Wyższą – podpowiedział Wenewet.

– Tak. Nie wiem, chyba tego nie znają. Ale zwykle dodać, odjąć, podzielić... Takie rzeczy liczą dużo szybciej od nas.

Skinął głową i zarządził:

– Podjedziemy do nich we dwóch. Mniej więcej do tyczki i worków.

Aktar popatrzył z namysłem.

– Miałem powiedzieć wcześniej, ale zapomniałem. Kolczuga, setniku.

– Co z nią?

– Właśnie nie z nią, tylko bez niej.

Rawat zapytał spojrzeniem.

– Jedziemy rozmawiać – rzekł Aktar, nie unikając jego wzroku. – Ale nikt nie wie, co się naprawdę może zdarzyć. Jeśli w jakiś sposób chcieliby nas porwać... Właściwie to nie nas, tylko ciebie, Rawat.

Urwał na chwilę i dopowiedział:

– Pokażesz, że znasz ich język. Jeśli cię porwą, to cię odbijemy, a jeżeli się nie da, to spróbuję cię zabić. Każde z nas spróbuje. Jest wojna, a ty jesteś armektańskim oficerem wiedzącym o wojnie wszystko. O naszych możliwościach, wojskach, stanicach... Nie dostaną mówiącego ich językiem człowieka, który wie o tych sprawach tyle, ile ty.

Wenewet lekko pobladł, Ayana odwróciła spojrzenie.

Ajan nie mrugnął okiem, patrzył w oczy starca tak jak Aktar.

– Ma rację, rozmawialiśmy o tym – powiedział. – Gdy będziesz w tej kolczudze, nie zastrzelę cię z łuku, setniku. Nie na sto kroków. A jak będę blisko, to mogę nie przebić mieczem, bo to bardzo dobra plecionka.

Przez chwilę milczeli.

– Chyba tak. Macie słuszość. Dobrze, pomóżcie mi to zdjąć.

Wojskowej tuniki nie miał. Ajan i Wenewet podjechali z dwóch stron i pomogli mu uwolnić się ze zbroi. Chłopak zwinął ją i umieścił w sakwie przy siodle.

Jeźdźcy na wehfetach byli już bardzo blisko. Aktar i Rawat ruszyli na spotkanie. Prowadzący srebrny wojownik uniósł pochyloną dotąd gałąź, do której przyczepiony był relfs. Chyba ten, który w nocy zabrano. Trzej stanęli, posłuszni krótkiemu rozkazowi, dwaj pierwsi jechali dalej.

Aktar i Rawat zatrzymali się kilka końskich długości przed zatkniętą w ziemi tyczką. Tamci też. Nie trzeba było krzyczeć, wystarczyło wyraźnie mówić.



Aktar pierwszy raz w życiu widział srebrnego Alera – i dowiedział się, dlaczego ludzie i shehi nigdy nie będą w dobrym sąsiedztwie i pokoju dzielić świata.

Gdy ktoś miał chrypkę, niemal każdy rozmówca powstrzymywał się, by nie odkaszlnąć... Ale nie, to jeszcze za mało. Chodziło o coś więcej.

O pisk noża na szkle.

Gdy ktoś się bawił w ten sposób, już po chwili miało się ochotę wyrwać mu z ręki nóż i dać w łeb, a może i wsadzić odebrane żelazo pod żebro. Przykry dźwięk – tylko tyle. Nie ranił, nie zabijał, właściwie nie robił nic złego. Był nie do wytrzymania, właśnie tak. Nie dało się przywyknąć, można było co najwyżej dostać szału.

Nie do wytrzymania były twarze Alerów. Wąskie, żółtawobrazowe, właściwie dość podobne do ludzkich. Szeroko rozstawione oczy raziły najbardziej dlatego, że twarz była właśnie podłużna. W ustach widniały zbyt drobne, różnokształtne zęby. Nie wiadomo, co i dlaczego budziło w tych twarzach nienawiść. Mięśnie działały zupełnie inaczej niż ludzkie, przebiegały przez te twarze dziwne skurcze, wąskie usta układały się w kształty trudne do opisanego, marszczyła się skóra. Aktar odwrócił spojrzenie, bo zdał sobie sprawę, że zaraz sięgnie po miecz.

Podobno stary setnik przebywał wśród tych zwierząt. Może się przyzwyczaił albo miał jakiś dar. Może jego dziwne sny wypłukały albo złagodziły uczucia, które musiał mieć chyba każdy człowiek.

Aktar zobaczył dość. Najprawdopodobniej miał za sobą większość życia, a w każdym razie niemal cały wiek średni i młodość. Wiedział jednak, że przez wszystkie lata, które mu zostały, będzie uważał świat za nienaprawiony, jeśli pozostanie na nim choćby jeden Aler.

Nie dało się jeść kaszy z gwoździem. Szerer był kaszą, ludzie i koty skwarkami, Alerowie drobinami zardzewiałego żelastwa. I nic tego zmienić nie mogło.

Chodziło zresztą nie tylko o Alerów, bo chyba w ogóle o wszystko STAMTAD. Wehfety, mniejsze od koni, bardziej podobne do wielkich psów, zresztą niepodobne do niczego, też wyzwalaly dziwną złość. A przecież to było tylko zwierzę, porośnięte delikatną nitkowatą sierścią, trochę przypominające sylwetką małego żubra, z bardzo niezwykłymi, podobnymi do ludzkich oczami. Dziwnie osadzonymi, bo gdy czasem któryś z wierzchowców szerzej rozchyłał wpółzmruczone powieki, odsłaniał delikatne różowe mięso, z którego oko powinno chyba wypaść przy lada poruszeniu łba.

Lecz wehfet był przynajmniej paskudny, tak po prostu, a to jakoś tłumaczyło odrazę. Siedzący na jego grzbiecie jeździec, odziany w skóry, zbudowany podobnie jak człowiek, o bardzo ludzkiej na pierwszy rzut oka twarzy – odrażający nie był. A jednak tym bardziej obcy.

Aktar czuł się oszołomiony do tego stopnia, że nie słyszał pierwszych słów Rawata. Myślał o tym, że żołnierze i Alerowie mordowali się nawzajem nie tylko z nienawiścią, bo przede wszystkim z ulgą. To było coś, co koniecznie należało robić; coś, co przynosiło... o tak, radość. A przynajmniej zadowolenie. Jak zmycie z rąk zaschniętego błota.

Na krótko uniósł wzrok i zaraz znowu odwrócił.

Alerowie słuchali Rawata. Nie wiadomo, co wyrażały ich twarze. Poza krótką komendą wydaną wcześniej nie przemówili dotąd ani słowem.

Setnik wysławiał się wyraźnie i z wysiłkiem, choć zarazem tak szybko, jak potrafił. Jednakże niektóre z tych słów człowiek mógł wymówić jedynie wtedy, gdy dzielił je na części, mozolnie dokładając dźwięk do dźwięku.

Jeden z Alerów odezwał się, powiedział coś szybko – tak szybko, że to raczej był jakiś... odgłos niż mowa. Trzech lub czterech ludzi mogłoby rzucać w ścianę garściami żwiru, brzmiałoby to bardzo podobnie.

Rawat odpowiedział. Wojownik chyba powtórzył to, co wcześniej, ale znacznie wolniej.

Wciąż za szybko.

Zaczął po raz trzeci, ale słowa zaczęły się rozpadać...

Człowiek nie potrafił mówić tak szybko jak Aler, ten zaś nie mógł tak wolno jak człowiek.

Rawat znowu przemówił. Wojownik odpowiedział, powtórzył, potem jeszcze raz. Setnik zrobił ruch, jakby szybko coś chwycił przed piersią. Włócznie albo strzałę. Jedną ręką, pełną garścią.

Aler wzniósł okrzyk i odpowiedział takim samym gestem. Piątka jeźdźców na wehfetach zawróciła i pognąła ku skrajowi lasu. Oddalali się... i Aktar poczuł ulgę. Zdał sobie sprawę, że napięte ma wszystkie mięśnie.

– Zapomniałem – powiedział setnik, chyba odgadując uczucia i myśli towarzysza, którego obrzucił spojrzeniem. – Minęło pół wieku, odkąd widziałem pierwszego Alera, potem biłem się z nimi wiele razy. Powoli przywykłem, a potem się nauczyłem... – Nie bardzo wiedział, jak wytłumaczyć. – Ale zawsze się przy nich źle czułem. Tego... To chyba tak musi być. Oni są spod Wstęg, a my spod Pasm.

Aktar tylko pokręcił głową.

– Czekamy – wyjaśnił Rawat po chwili. – Oni mają wiele szczepów, różnie mówią. Jeden język, ale trochę tak, jak u nas garyjski, jeśli wiesz, co mam na myśli.

– Słyszałem.

– Rozumieli mnie, ale nie za dobrze. Rozpoznali kilka słów, które powiedziałem, a których ten szczep chyba nie używa albo używa rzadko. Poznali, skąd pochodzą te słowa, i pojechali po kogoś, kto mówi tak jak ja. Tą gwarą czy tym narzeczem. Mają kogoś, kto mnie lepiej zrozumie, a ja jego.

Uśmiechnął się nagle.

– Słyszeli o mnie, ale w pierwszej chwili nie wierzyli. Jestem legendą, wiesz, Aktarze? Człowiek-szehi, który z nimi rozmawiał. Bardzo, ale to bardzo dawno temu. Nie do wiary, jaki jestem stary.

– Człowiek-szehi.

Rawat nagle zaczął się śmiać.

– Człowiek... Dawno temu słyszałem sto razy dziennie, wielu znało moje imię, ale inni mówili: człowieku. Zapomniałem, jak jest człowiek, teraz powiedzieli i sobie przypomniałem.

– Jak jest „człowiek”?

– Twertf... lwoktl... wktli.

Aktar był prawie pewien, że starzec sobie żartuje. Ten jednak skinął głową i zaśmiał się jeszcze raz.

– Inaczej nie wymówię. Muszę to podzielić na części: twertf-lwoktl-wktli.

Twertflwoktlwktli-szehi.

– Mają jakiegokolwiek słowo, którego można się łatwo nauczyć? Poza „szehi”?

– Wiele. Złoty Aler to hests. Wygodne tak sobie, ale przecież krótkie. I do wymówienia. Ale powiem ci najłatwiejsze i na dodatek ważne: „woda”. Nie uwierzysz: wdl. Jeśli ci wygodniej powiedzieć „wydl”, to rozumieją. Nawet jakoś im się podoba, może brzmi zabawnie albo przypomina jakieś inne słowo, którego nie znam. Nie wiem. Ilekroć poprosiłem o wodę, ten, kto ją przynosił, starannie mówił „wydl!” i był bardzo zadowolony.

– Tak jakby przyszedł szehi i poprosił nas o wódę zamiast wody?

– O. No, coś takiego. Możliwe.

Aktar zerknął na rozmówcę raz i drugi. Starzec odmłodził. Albo raczej: wydawał się spokojny i bardziej pewny siebie. Dowódca Jeźdźców zdał sobie sprawę, że ten człowiek przeżył trzydzieści lat, coraz mniej ufając blednącym wspomnieniom. Być może wiele razy budził się rano i spoglądał w okno, myśląc: „Czy ja aby na pewno nie jestem pomyłony? Czy to wszystko rzeczywiście się zdarzyło?...”.

– Podjadę do naszych i powiem, na co czekamy. Pewnie się niecierpliwią i zgadują.

Rawat skinął głową.

ROZDZIAŁ 8



Armię Lekką wystawiono z zadziwiającą, aście armektańską sprawnością. Mogła ruszać w pole lada dzień.

Prawda, że nie budowano jej od podstaw.

Armektańskie armie trudno było całkowicie zniszczyć, bo składały się z żołnierzy będących nimi z własnej woli i dla własnego dobra. Ci ludzie służyli Wiecznemu Cesarstwu i jego władczyni, Armektowi, Arilorze, lecz przede wszystkim sobie. Ubytki w szeregach były niemal wyłącznie stratami bojowymi, dezercja prawie się nie zdarzała, ranni za wszelką cenę pragnęli wrócić do szeregów i prędzej ukrywali swe dolegliwości, niżli symulowali. Niejedno wojsko, rozpędzone tak jak Armia Toru, po prostu przestałoby istnieć, bo oprócz poległych i ciężko rannych ubyłoby z szeregów drugie tyle uciekinierów, lekko ranni zaś i kontuzjowani stawaliby na głowach, byle ich uznano za niezdolnych do dalszej służby i odesłano do domów. Zdarzałyby się nawet samookaleczenia; przecież w zaistniałej sytuacji i pod nieobecność dowódcy łatwo było wytłumaczyć pochodzenie dowolnej rany.

Armektańscy legioniści przegrywali, wycofywali się, uciekali, lecz bardzo szybko dochodzili do siebie. Skupiali się w oddziały, wyłaniali tymczasowych dowódców i podejmowali mniej lub bardziej trafne, ale przemyślane decyzje. Próbowali ocalić swój oręż i wyposażenie, bo mieli ich jeszcze potrzebować. Nie dojadali, ale dopóki było to możliwe, nie

zabijali bojowych ani jucznych zwierząt na mięso. Jeśli żołnierz zgubił lub porzucił broń, to następnie wyłaził ze skóry, by zastąpić utracony ekwipunek innym, a jeszcze podnieść z pobojuwiska dodatkowy miecz i w ogóle wszystko, co można – potem z dumą mógł oddać dowódcy, gdy już się przed nim stawił, ocalone dobro. Wydalenie z szeregów pod zarzutem tchórzostwa byłoby dla ogromnej większości tych ludzi życiową przegraną, katastrofą.

Z Armii Toru uratowało się bardzo wielu jeźdźców, a nawet sporo zwartych oddziałów. Klęska była tak piorunująca, że – znowu trochę wbrew prawom wojny – jej nagłość i nieodwołalność przyczyniły się do ograniczenia rozmiarów strat. Nie doszło do wielkich wyniszczających bitew ani przewlekłych walk, oddziały nie przedzierały się ku sobie, nie broniły przepraw, nie skrwawiano tylnych straży w opóźniających bojach, mających osłonić tabory i odwrót poszarpanych oddziałów. Nie próbowano sklecić z niedobitków zdolnej do boju siły. Armię trafił szlag i beznadziejne lokalne potyczki nie miały żadnego sensu, więc ich unikano. Wszystko, co ocalało, schroniło się w Torze lub uciekło. Niejedno żołnierskie życie zgasło jeszcze w lasach i stepach, niemniej z raportów i meldunków wyłaniał się w miarę jasny obraz: utracono cały ciężki tabor (choć niekoniecznie bezpowrotnie, bo w osadzie służebnej pod murami Toru tkwiły dziesiątki porzuconych, ale niezniszczonych wozów) i mniej więcej jedną czwartą żołnierzy, w tym najwyżej trzystu pięćdziesięciu jeźdźców. Gdy chodziło o liczby, rozpedzona konnica Armii Toru miała się wcale dobrze i została odtworzona w nowo sformowanej Armii Lekkiej. Jej rdzeń stanowił słynny Legion Konny.

Przed dekadą w wojnie armektańsko-dartańskiej Armia Zachodnia wydzieliła ze wszystkich legionów oddziały

łuczniaków konnych i zebrała w całość. Po pierwszej bitwie z ciężką jazdą Sey Aye została z tego połowa. Ci jeźdźcy już nigdy nie wrócili do macierzystych legionów, bo nie było co tam odsyłać – pieszym wojskom przydzielono tylko słabe oddziały rozpoznawcze. Reszta jeźdźców jako Legion Konny działała samodzielnie aż do końca wojny.

A potem tak już zostało.

Przez długi czas Legion Konny wchodził w skład sił trzymany na dartańskiej granicy. Wielu z tych żołnierzy znało północny Dartan, otarło się o język i miejscowe zwyczaje. Jednakże wobec niepokojów na Północnej Granicy legion luzowano i skierowano pod Tor, wychodząc ze słusznego założenia, że bezczynne trzymanie tych sił to marnotrawstwo. Szybka konną formację zawsze można było odesłać z powrotem, gdyby zaszła taka potrzeba. Wojna z Dartanem, gdyby miało do niej dojść, nie wybuchłaby przecież z dnia na dzień. Piechota potrzebowała sporo czasu na pokonanie odległości między jedną granicą a drugą; jazda połowę tego.

Z tysiąca dwustu żołnierzy Legionu Konnego po rozbiciu Armii Toru zebrało się pod Riną dziewięciuset, z tego osiem setek zdolnych do boju, a było więcej niż pewne, że jeszcze będą spływać jakieś resztki: grupki, pojedynczy żołnierze. Czekanie, aż dotrze ostatni, miało się z celem. Z pozostałych łuczniaków konnych, tworzących wcześniej kliny i kolumny wchodzące w skład różnych legionów, bez trudu dało się utworzyć drugą połowę Armii Lekkiej.

Dzień po dniu napływały kolejne oddziały i gromady niedobitków. Rozwiązano najbardziej poszarpane, niemające już bojowej wartości kliny, pozyskanymi żołnierzami uzupełniono istniejące. Znalazło się trochę ludzi z armijnego zaplecza: mulników i koniowodnych, parunastu rzemieślników i kilku urzędników (w tym płatnik jednego z legionów

z uratowaną szkatułą!), a nawet dwóch chirurgów. Wyznaczono dowódców, przydzielono juczne zwierzęta, wyprowadzone z pogromu, dodano trochę mułów i jucznych koni, obładowano zakupionymi na łeb na szyję zapasami...

Armia Lekka była gotowa.

Nie przeznaczono tego wojska do długotrwałych działań. Zakładano, że odbędzie jedną krótką kampanię i z powrotem zostanie wchłonięte przez odtworzoną Armię Toru.

W istocie przecież powołano tylko prowizoryczną miniaturkę armii, dwa legiony złożone z samych jeźdźców. Prawdziwego wojska, wystawionego do prawdziwej wojny, nie sformowano by tak szybko i sprawnie. Ale teraz chodziło tylko o... starą zabawę. O wyniszczenie bardzo wielkich alerskich zagonów przez wyjątkowo silną wyprawę karną. Gdy pominąć liczebność oddziałów – nic nowego.

Z drugiej jednak strony było to największe wojsko konne, jakie naród jeźdźców wystawił od stuleci. Samodzielne kliny i kolumny działały bardzo często, wydzielano konne półlegiony, ale gdy szło o większe zgrupowania jazdy, pojawił się tylko Legion Konny podczas wojny dartańskiej. Teraz jego dowódca z miejsca dostałby awans, byłby najwłaściwszym człowiekiem do objęcia komendy nad Armią Lekką.

Lecz zaginął. Nikt nie mógł zaświadczyć, że nie żyje, niemniej nie było go w Torze, nie stawił się pod Riną. Najwyższy po nim rangą jeździec miał stopień nadsetnika i odpowiednie do tego stopnia doświadczenie: mógł doskonale dowodzić półlegionem.

Jednakże półlegionów było sześć. Komendę nad takim wojskiem musiał wziąć nadtysięcznik.

Nikt w Armeckie nie odważyłby się powiedzieć tego głośno, ale może w całym Szererze najwłaściwszym człowiekiem do objęcia komendy nad nowo powstałym konnym wojskiem był... Dartańczyk. Jego godność M.B.Yokes, rycerz ze starego rodu

wojowników, komendant przybocznych chorągwi jej królewskiej wysokości Ezeny, zakończył służbę w Legii Armeckańskiej ze stopniem tysięcznika i nic nie stało na przeszkodzie, by go awansować stopień wyżej. Doskonale władający armeckańskim i wciąż jeszcze znany wielu oficerom, zwłaszcza tym najstarszym, którzy teraz sprawowali najważniejsze funkcje (osobiście znał go chociażby uwięziony w twierdzy nadtysięcznik-komendant Armii Toru). Weteran Wielkiej Wojny Granicznej z Alerem, potem dowódca jednego z Okręgów Zachodnich – świetnie więc znający warunki na Północy – wreszcie jeden z naczelnych wodzów w wojnie armeckańsko-dartańskiej, mający wielkie doświadczenie w dowodzeniu dużymi zgrupowaniami jazdy. Zdolny do pomysłów i zaskakujących działań, czego dowiódł.

Był nieosiągalny.

Dwóch nadsetników Legionu Konnego awansowano do stopnia tysięczników lekkiej jazdy. Dowódcę dla całości ścigano... spod Rewinu.

Wyglądało na to, że nadtysięcznik W.Aronet, niczym miejska straż ogniowa, będzie pędził wszędzie, gdzie się pali. W ogóle mu się to nie podobało.

Niestety dla niego, a na szczęście dla Armii Lekkiej, był doświadczonym wodzem i wywodził się z jazdy. Wojsko nie lubiło takich improwizacji, niemniej zgrywać napływające legiony w całość pod Rewinem mógł zastępca Aroneta; trzymanie tam właściwie bezczynnego, dobrego polowego dowódcy było w zaistniałej sytuacji marnotrawstwem. Nie odebrano mu Armii Rewinu, a tylko posłano do nowo utworzonej armii konnej. Czasowo oddelegowano – miał wrócić pod Rewin natychmiast po oczyszczeniu Okręgów Wschodnich z największych hord złotych Alerów. Nowo mianowani tysięcznicy dwóch legionów Armii Lekkiej powinni przez ten

czas oswoić się z dowodzeniem na tyle, by samodzielnie dokończyć dzieła – każdy już tylko na czele swego wojska.

Aronet ledwie żywy stawił się pod Riną (nie był trzydziestolatkiem), przespał się dwie godziny. Jeszcze tego samego dnia dokonał przeglądu oddziałów, zwołał odprawę i nakreślił ogólny plan kampanii, nad którym rozmyślał już w drodze. Wyznaczył oficerów odpowiedzialnych za przemieszczenie wojsk i podyktował rozkazy do wymarszu nazajutrz. Działął z oczekiwaną szybkością i zdecydowaniem.

Jeszcze tej nocy wyruszyły na północ pierwsze oddziały rozpoznawcze. Małe sfory złotych Alerów widywano już dwadzieścia mil od Riny; jakaś horda spustoszyła nieduże miasteczko, nim odparli ją żołnierze garnizonu z mieszkańcami pospołu. W całym okręgu miejskim było pełno uchodźców.

Pod miasto ścigali nie tylko jeźdźcy, choć oni – to oczywiste – stawili się najliczniej i najszybciej. Przybyło już sporo piechurów, wielu rannych, inni na ostatnich nogach. Tych w lepszej kondycji kierowano na krótki odpoczynek, formowano od nowa w oddziały, a następnie posyłano do wiosek i miasteczek okręgu. Wielkie sfory złotych Alerów nie zapędzały się tak daleko i nic nie wskazywało, by miało być inaczej. Dla obrony wsi przed hordą parudziesięciu stworów mieszany klin piechoty, wsparty przez chłopów, wystarczał. Należało za wszelką cenę powstrzymać ucieczkę ludności z zagrożonych terenów. Wybuch paniki we wszystkich wsiach i miasteczkach na północ od Riny, tysiące uchodźców na drogach i bezdrożach – nie wolno było do tego dopuścić.

Nazajutrz wieczorem Armia Lekka znajdowała się dwadzieścia pięć mil od stolicy okręgu. Utrzymując takie tempo, mogła następnego dnia osiągnąć rejon Toru, a jeszcze następnego obejrzeć baszty zamczyska.

Nadtysięcznik jednak nakazał spowolnienie marszu. Zarządził bardzo forsowny pierwszy przemarsz dobowy właśnie po to, by później już się nie spieszyć i w zwykłych etapach dać wypocząć ludziom i koniom. Poza tym nie zamierzał biec na oślep, czekał, aż spłyną najświeższe meldunki z rozpoznania. Posłał też gońców do Toru.

Odblokowanie twierdzy było sprawą pierwszą i najważniejszą. Przede wszystkim dlatego, że właśnie pod jej murami zebrały się największe siły złotych, obliczane na dziesięć tysięcy, więc blisko jedną czwartą tego, co przybiegło. Drugie tyle szwendało się po lasach i stepach, reszta pustoszyła wyludniony okręg Alkawy, zapuszczając się pod samą główną stanicę i w ogóle nie odchodząc od palisad mniejszej obwodowej Erwy. Siedziało tam, oprócz zbiegłych wieśniaków, ponad dwustu dobrze zaopatrzonych i bezpiecznych żołnierzy, niemogących wszakże wyściubić nosa na zewnątrz, bo najmniejsza sfera, jaką widzieli, liczyła dobrze ponad pół tysiąca łbów. Dałoby się to może pokonać, ale po bardzo, naprawdę bardzo krwawym – i na razie niepotrzebnym – boju.

o o o

Wysłani przez Aroneta do Toru gońcy wrócili, nie wypełniwszy zadania. Nie wszyscy; jeden ukrył się w niewielkim lasku, wypatrując okazji do przemknięcia galopem. Na przedpolach twierdzy wałęsały się luźne gromady rudych stworów, a mniej niż pół mili przed bramą było kilka małych koczowisk. Żołnierz ryzykował – złoci mogli go zwęszyć lub odkryć w inny sposób. Co prawda z pełnokrwistą dartanką pod siodłem miał widoki na pomyślną ucieczkę.

Pod samymi murami twierdzy nie doszło dotąd do żadnej bitwy, to jednak nie znaczyło, że brakło trupów. Hordy raz

i drugi bezmyślnie, nie wiadomo po co, zapuściły się do osady służebnej. Żołnierze na murach nie czekali, ich pociski zebrały żniwo. Między domami i porzuconymi wozami, pośród porozbijanych pak z zapasami, zazwyczaj bezużytecznymi (jak końska spyża) dla złotych, leżało dwadzieścia zastrzelonych pokrak, a pięć razy tyle skowyczało gdzieś dalej w wygrzebanych ziemnych jamach, nie mogąc się pozbyć grotów wbitych w cielska albo liżąc dziury po wyrwanych.

Jakkolwiek głupie były złote bestie, to nie aż tak, by ponawiać wyprawy pod mury. Skończyło się na kilku próbach, potem już starannie omijano jadowitą kolczastą górę.

Rzesłane przez Aroneta patrole przynosiły wieści. Niektóre z tych oddziałków miały utarczki z zabłąkanymi złotymi, inne wracały spóźnione, bo zmuszone do ucieczki kluczyły, nie chcąc przyprowadzić żadnej wielkiej sfory do odpoczywającej za lasem Armii Lekkiej. Jednak w miarę upływu czasu nadtyśęcznik coraz lepiej się orientował w rozmiarach i położeniu obozowisk Złotego Plemienia. Wykryte bądź domniemane sadyby kazał nanosić na mapy, które natychmiast powielano i przekazywano w dół do niższych szczebli dowódczych, a tam każdy setnik poprawiał swoje własne.

Zajęty rozpoznaniem i planami przełamania oblężenia, nadtyśęcznik Aronet nie zaniedbał jednak ostrożności. Wróg mógł pojawić się zewsząd i właściwie w dowolnej liczbie, bo wracający z patroli jeźdźcy zgodnie donosili o widocznych tu i tam sforach, gdzieś leżących lub skądś wracających. Wysunięto wartownicze placówki w głąb lasu, patrolowano równinę; dwa półlegiony stale pełniły służbę z końmi w gotowości pod siodłem. Zabezpieczono zwierzęta juczne, skupiając je w środku obozu.

Złoci nigdy nie walczyli i rzadko przemieszczali się po ciemku, to była najpomysłniejsza okoliczność.

Nie brakowało wódki ani zimowych okryć, żołnierze nie marzli, chociaż wygląd nieba podpowiadał, że nadchodzące dni mogą być śnieżne i dżdżyste. Przy braku mrozu oznaczało to przemoczenie butów i kozuchów. Brakowało namiotów – ale pięknych stałych obozowisk i tak by nie zakładano.

Jedlina nie miała w tym roku szczęścia na północy. Jakkolwiek kłująca, pozwalała przykryć ziemię i urządzić znośne legowisko. Kompletnie ogołocoło z najniższych gałęzi dziesiątki albo i setki drzew na skraju lasu.

Nadtysięcznik pochylał się nad małym składanym stołem, wozonym na ciężkim koniu jucznym, bo jak każdy dowódca jazdy trzymał swoje komendanckie klamoty na grzbietach zwierząt, nie na wozie. Wsparty dłońmi o blat przyglądał się krzywemu półksiężycowi, a może raczej nadłamanej podkowie, bo taki kształt wyznaczały swoim położeniem prymitywne obozowiska złotych. Otaczały twierdzę od południowego wschodu aż do północy, wielkim łukiem omijały osadę służebną i urywały się na północnym zachodzie. Na południowym zachodzie koczowisk nie było wcale, na zachodzie kilka niedużych.

Brama zamku skierowana była wprost na zachód.

Kiedyś całe podgrodzie zbudowano z drewna, można więc było je spalić, by nie dawało osłony oblegającym. Ale już od wieków, od chwili nastania pierwszego Królestwa Armektu, nie liczono się w Torze z prawdziwym oblężeniem. Wojskowa uczelnia, wielki skład dóbr wojennych, jeszcze kwatera dla odwodów i uzupełnień, a na koniec siedziba naczelnego dowództwa Wojskowych Okręgów Wschodnich Pogranicza – oto, czym teraz był Tor. Obrósł więc licznymi domami z cegły, które stopniowo wypierały stare drewniane zabudowania. Od małego miasta pod murami Rewinu przyforteczna osada Toru różniła się najbardziej brakiem muru.

Przylegała do zamku od strony bramy i opływała go, cały czas przytulona, od południa. Poza tą dość zwartą zabudową rozsiane były wokół twierdzy mniejsze grupki budynków, z różnych przyczyn – czasem oczywistych, jak warsztaty garbarskie i rzeźnia, a czasem niewiadomych – oddalone od reszty. Splądrowano te domy, raczej jednak poniszczono dobytek, niżli zrabowano. Złoci niczego poza mięsem nie potrzebowali, nie znali przeznaczenia domowych sprzętów i przedmiotów codziennego użytku. Nie umieli znaleźć dla nich żadnego zastosowania, unosili więc tylko różne rzeczy, które im się spodobały, ale szybko je niszczyli i gubili. Jeszcze milę od Toru można było znaleźć, porzucone na równinie lub na skraju lasu, najprzeróżniejsze przedmioty: zydel z wyłamanymi nogami, gliniane i drewniane naczynia, jakieś podarte szmaty, które już niczego nie przypominały.

Aronet chciał przełamać oblężenie, włączając do boju trzy tysiące siedzących w zamku łuczników. Wyprowadzanie tej piechoty, a zresztą kogokolwiek z tymczasowego garnizonu poza obręb murów miało się z celem i przynieść mogło więcej szkody niż pożytku. Nadtysięcznik nie planował walnej bitwy, choć zapewne mógłby ją wygrać, bo jego dwa legiony połączone z piechotą z zamku (oprócz łuczników był tam jeszcze tysiąc ciężkozbrojnych, i to nie licząc załogi) prawdopodobnie zdołałyby się uporać z dziesięcioma tysiącami zwierząt, chyba żeby przybiegły wszystkie naraz. Przy prawie równych siłach i głupocie Złotych Plemion klęska była mało prawdopodobna.

Zdołałyby więc zwyciężyć – tylko po co? Armekt nie mógł wystawić ćwierćmilionowego wojska, które zrównoważyłoby wszystkie siły Złotych i Srebrnych Plemion, stać go było na siły dziesięć razy mniejsze. Wojnę dało się więc wygrać, wymieniając jednego żołnierza na dziesięciu wrogów, nie jednego na dwóch albo trzech.

W walnej bitwie w zabitych i rannych straciłby tutaj półtora, a może dwa tysiące legionistów. Trzy tysiące, gdyby brakło mu szczęścia, czyli połowę sił. Pobiłby – prawdopodobnie zresztą raczej rozpędził, niż wyniszczył – Złote Plemię pod Torem i co dalej? Miał za zadanie oczyścić okolice twierdzy, uwolnić z pułapki resztki rozbitej armii, po czym oddać tych żołnierzy dowództwu jako rdzeń i załóżek odtwarzanego wojska. Następnie należało odzyskać okręg Alkawy. Okupione wysokimi stratami wyrżnięcie tego tu stada nijak wymienionym celom nie służyło.

Na pewno mógł, według starego jak wojna fortelu pozorowanej ucieczki, uderzyć, sprowokować do pościgu i pociągnąć za sobą hordy głupich półzwierząt, które wbrew obawom nie stworzyły pod Torem wojska i nawet się do tego nie przymierzały. Alerowie powinni go ścigać – ale dokąd? Pod mury zamku, to oczywiste, lecz którędy i do jakiego miejsca?

W Rinie dostał plan Toru, twierdza miała obrys dosyć regularny, z żadnej strony nie była szczególnie silna lub słaba, wszędzie się dało podobnie obsadzić mury i baszty. Pytanie brzmiało: czy można i jak można wykorzystać służebne podgrodzie? Koczowiska i sfory uniemożliwiające gońcom dotarcie do bramy nie były żadnym problemem, dwa konne legiony mogły się przebić przez to bez żadnego trudu. Lecz co dalej? Należało brać pod uwagę natychmiastowy, prawdopodobnie bezładny kontratak od strony legowisk złotych. Najbliższe oddalone były ćwierć mili od murów. To nie było daleko dla stworów biegających szybciej niż ludzie.

Jak prędko i jak sprawnie mogły się zebrać do walki hordy złotych? Co tam mogło zadziałać? Zwierzęcy instynkt? Jakieś... rozkazy przodownika stada? Owczy pęd? Nieodparta wściekłość albo przeciwnie, strach?

Zachowania tysięcy półzwierząt, zgromadzonych w koczowiskach, nie dało się przewidzieć. Doświadczenia z wielowiekowej wojny granicznej wydawały się mało użyteczne. Sfora licząca trzydzieści łbów, zabłąkana na armeckim terytorium i rzucająca się na pierwszą z brzegu wioskę, by potem uciekać lub wściekle atakować oddział jeźdźców, na pewno zachowywała się i reagowała inaczej niż... to tutaj.

Nadtysięcznik próbował przewidzieć różne sytuacje. Naradzał się z wezwanymi dowódcami legionów, wodził palcem po mapie i myślał.

Jedno było zupełnie pewne: musiał porozumieć się z komendantem twierdzy, który dotąd mógł nawet nie wiedzieć o jego przybyciu. Jeśli obserwatorzy z wież i murów dostrzegli gońców lub jakiś patrol, to przecież nic nie znaczyło. Jacyś jeźdźcy i tyle. Kolejni kurierzy z Riny? Dalekie rozpoznanie?

Z Riny co kilka dni posyłano gońców, próbujących się przebić do zamku z powiadomieniem o postępach w tworzeniu Armii Lekkiej. Niektórzy z tych kurierów wrócili, nie wypełniwszy zadania. O innych słuch zaginął. Przedarli się? Polegli? Przyczaili się gdzieś, czekając na okazję?...

W nocy Alerowie nie włączyli się po lasach i stepach, ale i jeździec miał nielekko. Niejeden już skręcił kark, galopując po dziurach i wykrotach; niejeden postradał wierzchowca. Wpaść na jakąś biwakującą sforę też było nietrudno. Alerowie może i się nie włączyli, ale to nie znaczyło, że w ciemnościach tracili zdolność ruchu.

Z zamku tylko dwa razy napłynęły wieści. Najpierw to były wstępne meldunki o rozbiciu armii i raporty o stanie ocalałych oddziałów. Potem jeszcze raz dojechali dwaj gońcy: Tor potwierdzał, że poznał zarys planów naczelnego wodza, w tym projekt powołania Armii Lekkiej.

Od tego czasu nic.

Zasilaną przez niedaleki strumień fosę zimą opróżniano, bo zamarznięta nie broniła dostępu, lepszy już był zasypany śniegiem rów, a zresztą naprawdę mało kto brał się za obleganie twierdz zimą. Tak to przedstawiało się kiedyś. Zanedbana fosa od stuleci niczemu przecież nie służyła. Poczyniono wprawdzie jakieś prace, ale nikt poważnie nie brał pod uwagę próby zdobycia Toru. Złoci w ogóle nie wchodzili w rachubę, a srebrni byli w stanie wdrzeć się do drewnianej stancy, lecz nie do otoczonego murem zamku – tu potrzebny był sprzęt oblężniczy, o którym plemiona Aleru nie słyszały. Nie podnoszono nawet zwodzonego mostu (czy w ogóle jeszcze dało się go podnieść?...), wystarczały wrota i żelazna brona. Pod samymi murami Alerowie nie siedzieli, odebrali zbyt bolesną nauzkę od łuczników.

Aronet miał przy sobie trzech kocich zwiadowców. Najstarszemu ze wszystkich, buremu pręgusowi, przypasał schowany w płóciennej sakiewce list, bo wolał nie zawierać kociemu „gadulstwo”. Swój, cokolwiek jednak dziwaczny plan bitwy wolał przedstawić komendantowi twierdzy za pomocą szkiców i objaśnień na piśmie niż za pośrednictwem posłańca, gotowego niechętnie użyć pięciu słów.

Kot wyruszył o zmierzchu. Konno. Doświadczony dziesiętnik jazdy wziął go na kulbakę i w asyście swoich łuczników podwiózł bliżej zamku.

Tak samo wrócili przed świtem. Obudzony nadtyśniętnik odebrał raport od kosmatego gońca, z którego wynikało, że kot poszedł do bramy, rozdarł się wniebogłosy w kręgu światła rzucanego przez smolne maźnice na łańcuchach, a wtedy wpuszczono go do środka, bo nie wyglądał na Alera. Oddał pismo, odpowiedział na pytania, odebrał inne pismo i wrócił.

Krótko mówiąc, nic ciekawego. Raportujący zwiadowcaomal nie zasnął z nudów.

Za konnym gońcem pędziłoby sto stworów; pręgus przetruchtał niezauważony i niedosłyszany przez nikogo. Nie za bardzo nawet przejmował się wiatrem; złoci mieli o wiele wrażliwszy węch niż ludzie, ale nie aż tak dobry, by wyczuć pojedynczego kota. Zgrzanego konia i spoconego jeźdźca – to już prędeej.

Gdy wypuszczano kocura z powrotem, stłumiono ogień przy bramie, tylko tyle.

Aronet zaplanował dwu- lub trzydniową bitwę, której pierwsza część sprowadzała się do przygotowania pola i rozpoznania przeciwnika bojem. Na razie mógł tylko zgadywać, jak się zachowa wróg; chciał zastąpić domysły wiedzą.

Obóz Armii Lekkiej położony był w odległości trzech i pół mili od Toru. Las, do którego się przytulili, wolny od Alerów, co stwierdziły przeczesujące go patrole, kończył się niecałą milę od zamku. Nakazawszy wymarsz wszystkich sił, Aronet okrążył go od południa i bez mała rozwiązał armię, dzieląc ją na sześć samodzielnie działających półlegionów. Z danych rozpoznania wynikało, że w tej okolicy włóczy się lub koczuje trochę luźnych sfor, z których większość liczy najwyżej kilkadziesiąt, a jedna może dwieście rudych stworów. Dla samotnego gońca to była śmiertelna groźba; dla trzystu dobrze prowadzonych jeźdźców – raczej niezbyt trudny przeciwnik.

Dwa czołowe półlegiony poszły stępa-kłusem prosto na największe koczowisko, wykryte ćwierć mili przed bramą. Tu i tam rozrzucone były inne, znacznie mniejsze. W nocy kot bez trudu przeszedł między nimi, lecz nie było mowy, by się przemknął jeździec.

Konni łucznicy nie zamierzali się przemykać.

Dwa kolejne półlegiony spłynęły na prawo i lewo od czołowych, potem jeszcze jeden na lewo. Ten ostatni pojechał wzdłuż lasu prosto na północ – jego zadaniem nie była walka pod twierdzą, lecz zajęcie uwagi Alerów siedzących w „podkowie” wielkich koczowisk. Był to najlepszy półlegion Aroneta, złożony z dartańskich weteranów. Połowa tych żołnierzy miała pod kożuszkami nie niebieskie, lecz szaro-niebieskie tuniki.

Szósty półlegion nadtyśęcznik zatrzymał przy sobie w odwodzie, tak samo jak dwie kolumny rezerw legionowych. Własnego odwodu – dodatkowego półlegionu do dyspozycji komendanta armii – nie miał; musiałby czekać pod Riną jeszcze ze trzy dni, by uzbierać i ściągnąć potrzebnych żołnierzy.

Całe zaplecze Armii Konnej wpakowało się do lasu i wsiąkło weń, osłaniane przez zbiorczy półlegion, utworzony z rezerwowych dziesiątek i klinów. Zapewne był to zbytek ostrożności.

Przy obliczaniu ruszających w pole armektańskich sił kronikarze i historycy bardzo często zapominali, że całe wojskowe zaplecze składało się z nieżołnierzy, których nie uwzględniano w zestawieniach. Przy wszystkich obsadzonych etatach taka armia, jaką miał Aronet, prowadziłyby około czterystu ludzi niebędących legionistami. Nie mieli żołnierskich przywilejów, nie wolno ich było kierować do walki – ale mieli przecież prawo bronić swego życia i powierzonego im mienia. Każdy z tych koniowodnych, szewców, kucharzy i pachołków-pomocników miał u boku miecz, czasem na plecach łuk albo włócznię przy siodle, a nierzadko jedno, drugie i trzecie. Pospiesznie sklecona Armia Lekka prowadziła zaledwie połowę regulaminowego zaplecza i niekompletną liczbę zwierząt jucznych, ale to i tak było dwustu uzbrojonych ludzi strzegących pięciuset mułów i koni. Wszyscy, nie wyłączając

urzędników i legionowych medyków, umieli jeździć konno, bo inaczej nie mogliby przecież towarzyszyć armii jeźdźców, nieprowadzącej ani jednego wozu. Zapasów Armii Konnej pilnowało więc w lesie ponad pół tysiąca zbrojnych – żołnierze ze wszystkich rezerwowych dziesiątek i klinów wzmocnieni ludźmi z zaplecza.

Nadtysięcznik jeszcze podczas nocnej odprawy uznał, że tam właśnie, w lesie, przez kilka najbliższych dni składowane będą zapasy jego wojska. Złoci dosyć często zaglądali do lasów, ale nie lubili przedzierać się przez gąszcze, było więc mało prawdopodobne ich skryte nadejście z głębi kniei.

A przedpole właśnie oczyszczano.

Zaskoczone, zazwyczaj raczej przerażone niż rozwścieczone gromady zwierząt pędziły tu i tam, wpadając pod kolejne ulewy strzał. Dwa pierwsze półlegiony w zwartym szyku przemierzały równinę, wypłaszając stwory z wydrążonych w ziemi kryjówek – zryte dziurami obozowiska to nie był teren dla jazdy. Osłaniały tych żołnierzy mniejsze oddziały, bo kolumny walczyły samodzielnie. Prowadzenie stu lub stu pięćdziesięciu jeźdźców było o wiele łatwiejsze niż trzy razy większego półlegionu; ponadto kolumna stanowiła podstawowy oddział legionu i to do niej dopasowano każdy zwrot i każdą komendę – w armektańskim wojsku nic nie działało sprawniej od samodzielnie walczącej kolumny, w półlegionowych ramach tylko współpracującej z sąsiadkami. Zwrotne, reagujące na każdy głos setniczkiej świstawki oddziały szły do pozorowanej szarży, by zająć nagle w prawo i osadzić kontrszarżującą zgraję deszczem strzał, wywabić w pościg za sobą i wyniszczać dalej posyłanymi za plecy pociskami. Z boku szła już na bezładnie rozciągniętą gromadę poranionych stworów druga kolumna z włóczyniami – i rozcinała ażurowy szyk na pół, tracąc czasem jeźdźca albo dwóch, gdy najbardziej zajadły potwór dopadł

konia lub porwał człowieka z kulbaki. Reszta zwierząt gnała za nowym wrogiem, znów ostrzeliwana przez równających w wyciągniętym kłusie, a potem przechodzących do galopu łuczników.

Pędziła w poprzek pola duża gromada złotych, bardziej zwarta od innych – ta z największego koczowiska. Prowadzący setnik nie mógł uniknąć starcia, bo wpakowałby się w środek innej gromady, bezładnej, ale wciąż groźnej, a tę pędzącą z przeciwka miałby zaraz na plecach. Poszedł do czołowej szarży. Dla lekkiej jazdy walczącej ze złotymi to była ostateczność. Pierwszy klin spłynął w prawo, drugi w lewo, ostatni od razu przeszedł do galopu, by wyrównać linię. Zaraz potem kolumna w pełnym cwale zderzyła się ze złotymi. Ryczały ponabijane na włócznie i tratowane stwory, kwik koni mieszał się z krzykami ludzi zrzucanych z kulbak, kotłowały się na ziemi rude cielska, złoci mordowali powalone konie, szarpali ogłuszonych upadkiem żołnierzy. Pojedynczy lekkobrojni legionista nie miał w walce jeden na jednego prawie żadnych szans, alerskie bydlę było cięższe, szybsze i co najmniej dwa razy silniejsze, a przy tym niesłychanie żywotne. O niebo lepiej radzili sobie w takim boju topornicy, walący tarczami i toporami, osłonięci blachami kirysów i nabiodrków. Zrzucony na ziemię jeździec w kolczudze, z mieczem w ręku, mógł zrobić bardzo niewiele, nawet jeśli poderwał się na nogi i zdążył dobyć broni. Nie zawsze oddawał życie darmo, najczęściej jednak przegrywał.

Potrójna linia legionistów popękała, częściowo uwięzła w hordzie złotych, częściowo się przebiła i w rozsypce wyszła z drugiej strony; żołnierze uciekali byle dalej, ciągnąc za sobą grupki rozwścieczonych stworów.

Rozniosła te gromadki siostrzana, szarżująca z boku kolumna.

To był najkrwawszy i najbardziej niefortunny dla ludzi fragment boju. Pechowa kolumna straciła trzydziestu czterech żołnierzy.

Na równinie trwało polowanie. Już ani jeden półlegion, poza beczynnym odwodowym Aroneta, nie działał jako całość. Kolumny, a nawet samodzielnie walczące kliny jeźdźców ścigały pojedynczych Alerów, ogarniętych zwierzęcym strachem, to znów bezrozumną furją, nakazującą trzem stworom pędzić na półsetkę łuczników. Mordowano wszystko, co znalazło się w zasięgu łuków lub dostało pod kopyta koni. Wiele półzwierząt gnało ku drzewom lasu, zbawczym tylko pozornie: trzystu zaczajonych strzelców nie powstrzymałoby wielkiej zgrai, ale oddziałek złożony z dziesięciu potworów był wręcz zasypywany strzałami. Pojedynczo biegnące bestie służyły tylko do ćwiczeń.

Brakowało ciężkiej piechoty, która powinna osłaniać takich strzelców, a następnie wyjść z lasu i równą potrójną linią przemierzyć pobojuwisko, dorzynając wszystko, co tarzało się i ryczało.

Były tego dziesiątki i setki. Naszpikowane strzałami, poprzebijane włóczniami, porąbane mieczami potwory łatwiej było pokonać, niż zabić. Skowyczące, tchórzliwie osłaniające ramionami łby, ale równie często oszalałe z bólu i wściekłości półzwierzęta potrafiły być groźne do ostatniej chwili. Niezdolny już do skoku, do pościgu lub ucieczki Aler wciąż mógł pochwycić końską lub ludzką nogę i nie wypuścić nawet po zgonie. Bywało, że alerskim trupom wyłamywano po bitwie hakowate kły i kwadratowe zębiska, zaciśnięte w agonii na przedramieniu półprzytomnego z bólu i upływu krwi żołnierza.

Kliny i dziesiątki łuczników przystawały, by posyłać w ubroczone rude futra strzałę za strzałą, aż ustawał najmniejszy ruch; wyrywano potem z tych trupów po

kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt pocisków. Inni, z pustymi kołczanami, ciskali włócznie bądź przebiegali w kłusie obok pełznącego stwora, kolejno bodąc grotami tak długo, aż znieruchomiał na dobre.

Żołnierze brali najwspanialszy odwet za zmasakrowanych tak niedawno towarzyszy. Wielu z tych jeźdźców wciąż miało przed oczyma porywanych z kulbak, miażdżonych i zagryzanych przyjaciół, pozabijanych chłopów z poodrywanymi rękami, rozdarte na strzępy dzieciaki i bezgłowe kobiety w wiosce, która przez kilka miesięcy udzielała gościny legionistom. Żołnierzom, którzy przyszli, by jej bronić, i przy których mieszkańcy czuli się bezpieczni... Minęło przecież tak niewiele dni. Jeszcze trudno było liczyć w tygodniach, uzbierałyby się raptem dwa.

Jakże tu brakowało tej przeklętej ciężkiej piechoty! Żeleźce topora dzierżonego przez wielkoluda potrafiło niemal odwalić od korpusu ryczący do ostatniej chwili łeb z wyszczerzonymi kłami.

A jednak Aronet nie zażądał wsparcia ciężkiej piechoty. W nocy w posłanym przez kota liście wręcz zabraniał wyjścia z zamku na przedpole, ostrzegając przed złotymi w „podkowie”. Jazdę zawsze mógł zabrać i uciec, piechota mogła nie zdążyć.

Nadtysięcznik nie miał pewności, czy posłany na północ półlegion zdoła się wywiązać z powierzonego zadania i skutecznie zaprzątnie uwagę wszystkiego, co mogło stamtąd przybiec.

Wywiązał się jak najbardziej.

Jeźdźcy wyszli na zewnątrz „podkowy” i z rozsądnej odległości ostrzeliwali obozowiska z łuków, najpierw w wyciągniętym kłusie, potem już w galopie. Wywabiali w pościg za sobą setki, a wkrótce już tysiące złotych bestii. Podrywali kolejne gromady, odchodząc coraz dalej na wschód.

Osiągnęli całkowite powodzenie: to, co działo się milę dalej, na wprost zamkowej bramy, nikogo, a raczej niczego w koczowiskach nie zaprzętało. Wróg był tu!

Gdyby pod murami Toru stało Srebrne Plemię, nie Złote, szyty tak grubymi nićmi plan nie mógłby się powieść. Lecz w sam raz pasował do półzwierząt.

Z baszt i murów zamku widać było wszystko znacznie lepiej niż z równiny pod lasem. Komendant twierdzy, a nawet każdy ze stłoczonych na murach gapiów więcej wiedział o przebiegu bitwy niż prowadzący ją Aronet. Obsadzający baszty żołnierze nie tylko podziwiali widowisko. Sporo rozbitych, rozpierzchłych sfor zapędziło się bezmyślnie pod mury i teraz kilkadziesiąt stworów wyło do brunatnych cegieł twierdzy. Gaszono te skowyty kolejnymi wiązkami strzał.

Otwarto bramę i ze zgrzytem podniesiono bronę. Załomotały na zwodzonym moście podkowy ciężkich koni. Chorągiew Chwały Dartanu była w murach zamku tylko zawadą. Powstrzymano tych jeźdźców przed włączeniem się do walki lekkokonnych. Bardzo słusznie, bo byłby z tego większy kłopot niż pożytek. Nie umieli współdziałać ze zwrotnymi kolumnami łuczników, wdaliby się w niepotrzebną rąbaninę bądź przysłonili legionistom cel.

Ale teraz mogli wyjechać.

Pozdrawiając okrzykami mijane oddziały armektańskich jeźdźców, chorągiew szła kłusem w stronę lasu, gdzie z blank wypatrzone nieruchomy odwód Aroneta – to dawało wskazówkę, gdzie jest wódz.

Za dartańską konnicą ciężkim biegiem posuwało się jeszcze kilkudziesięciu pieszych. Chorągiew straciła w swojej pierwszej bitwie więcej wierzchowców niż ludzi. Teraz spieszeni wojownicy biegli za jeźdźcami, mając pewność, że w przybyłej z odsieczą armii konnej znajdą się dla nich zwierzęta.

Prowadzący dartańskich wojowników rycerz zatrzymał konia przed nadtyśnięcznikiem, po dartańsku huknął się żelazną dłonią w pierś, wymienił swe imię poprzedzone monogramami przodków i powiedział dobrym armektańskim:

– Nadtyśnięczniku, Chorągiew Chwały Dartanu. Nie sprostamy takim manewrom, jakie tu widzieliśmy, ale tak liczny odwód jak ten już ci nie będzie potrzebny. Zechciej, wasza godność, uznać nas za swoją armijną rezerwę. Nadtyśnięcznik-komendant Armii Toru przekazuje ci komendę nad chorągwią, popierając naszą prośbę. Nie odrzucaj jej, panie.

Aronet nie wiedział o zajściu w bramie zamku, gdzie dwie kolumny łuczników chciały wyrąbywać drogę dla koni sojuszniczej jazdy. Ale o udziale chorągwi w pierwszej bitwie pod Torem już posłyszał. Mówiono, że Dartańczycy bili się odważnie i dobrze.

– Zaszczyt, sojuszniku – odpowiedział. – Bardzo krótko byłeś moim gościem, bo teraz już jesteś podkomendnym. W szyku „grotu”, tam! – Pokazał miejsce. – Rozkaż, rycerzu, swoim spieszonym jeźdźcom odzyskać z pobojuwiska rzędy zabitych wierzchowców. Konie dostaną w armijnym zapleczu. Jest w tym lesie.

– Tak, panie!

Uradowany Dartańczyk raz jeszcze huknął się w pierś.

Aronet rozejrzał się po grupce otaczających go ponadetatowych oficerów.

– Który zna dobrze dartański?

– Wasza godność!

Setnik, znakomicie. Dość wysoko, by rycerz dowodzący chorągwią nie poczuł się urażony. I dość nisko, by przydzielony oficer nie był upokorzony rolą tłumacza, doradcy i gońca.

– Dołączyć. Pozostaniesz w dyspozycji dowódcy tej jazdy, dobiez sobie trójkę legionistów.

– Tak, panie!

Zadowolony setnik pokłusował śladem Dartańczyków. Mógł być wreszcie przydatny, miał co robić.

Dawno powinni mieć przydzielonego takiego oficera. I na pewno mieli, tutaj go jednak nie było. Może zginął, może tylko zaginął. Albo został odesłany do pilniejszych zadań niż asystowanie dowódcy stojącej w twierdzy chorągwi.

Wchłonawszy dartański oddział, Armia Lekka zyskała trzy razy więcej jeźdźców, niż straciła. Policzone wkrótce zabitych i niezdolnych do boju rannych, których odesłano do twierdzy: razem było sześćdziesięciu czterech.

Sprzed bramy zamku i okolic wyprawiono do Wstęg Aleru prawie pół tysiąca złotych stworów. Mniej więcej drugie tyle uciekło.

o o o

Niemal wszyscy żołnierze Armii Lekkiej widywali już złotych Alerów, a połowa z nimi walczyła. Byli jednak i tacy, dla których zakończony przed południem bój oznaczał pierwsze zetknięcie z obcymi potworami.

Trochę drwiąco, a trochę życzliwie towarzysze pomagali im teraz zrozumieć, co widzą. Oglądano postrzelane i pokłute trupy.

Stwory przywodziły na myśl zniekształconych, włochatych ludzi, masywnych i krępych, z bardzo długimi ramionami i pozornie krótkimi nogami. Pozornie – bo wyprostowane nie były wcale takie krótkie, złoci zazwyczaj poruszali się na przykurczonych. Zaopatrzone w dodatkowe stawy, rozginały się jak sprężyny. Wszystko, co przychodziło „z tamtej strony”, potrafiło bardzo dobrze skakać. Nawet wehfety, choć nie wtedy, gdy były obciążone jeźdźcami.

Jednakże wolno poruszający się Aler prawie zawsze wsparty był na wszystkich czterech łapach. Długie przednie – ramiona – też miały dodatkowe stawy, ale chyba mniej użyteczne, półzablokowane. Przy dłoniach, owłosionych z wierzchu i bardzo masywnych, lecz poza tym podobnych do ludzkich, widniały mocne, na szczęście niezbyt ostre, zazwyczaj połamane pazury – im też najbliższej było do ludzkich paznokci.

Łeb złotego Alera przywodził na myśl trochę głowę człowieka, trochę psa. Wysunięte do przodu mocne szczęki, zaopatrzone w cztery kły na górze i dwa na dole, uzbrojone były ponadto w kwadratowe zęby, służące chyba nie tyle do przytrzymywania, ile do rozcinania mięsa.

A jednak w tym na poły psim łbie każdy musiał dostrzec... twarz. Słabo owłosione, grubo ciosane oblicze, wyrażające jednak o wiele, wiele więcej, niż wyrazić mogła zwierzęca morda. W nieco stożkowatej czaszce pracował mózg, pozwalający użyć ognia, w walce zaś prymitywnej maczugi, niekiedy nawet pocisku: mocno, choć zazwyczaj niezbyt celnie rzuconego kamienia. Z murów twierdzy słyszano czasem bardzo rytmiczne, zadziwiająco składne bębnienie – mówiło się, że złoci odbywają coś w rodzaju tańców. Mieli też jakąś namiastkę mowy, w każdym razie umieli się porozumiewać.

Nadtysięcznik Aronet nie rozmyślał o tańcach ani nawet mowie Alerów. Ogarnął wojsko, dał żołnierzom odpocząć i nacieszyć się zwycięstwem. Porozumiał się z dowództwem twierdzy. Wieczorem wrócili wyczerpani, ale nawet niedraśnięci żołnierze gwardyjskiego półlegionu na zdrożonych, lecz niepozajeżdżanych koniach. Wymęczyli ścigające ich sfory, oderwali się, zatoczyli ogromne półkole... Teraz poszli odpoczywać w leśnym obozie, luzując jeźdźców osłony.

Tor został odblokowany o tyle, że dałoby się wyprowadzić z niego wszystkie siły polowe, szczególnie pod osłoną nocy. Dla kilku tysięcy maszerujących na południe piechurów już kilka mil od zamku zabłąkane sfory nie stanowiły zagrożenia. Dotarliby pod Rinę nawet niezbyt zmęczeni i głodni, bo tygodniowy prowiant każdy żołnierz mógł dźwigać przy sobie, choć regulamin nakazywał mieć w torbie jedzenie na trzy dni.

Ale nie chodziło przecież o wycofanie tych żołnierzy na tyły, przeciwnie – twierdza była jedynym miejscem, gdzie szybko i najmniejszym kosztem dało się odtworzyć Armię Toru. Istniała szansa odzyskania wielu porzuconych wozów i materiałów wojennych, a w samym zamku składowano zapasy. Podgrodzie zapewniało tym wojskom obsługę wszelkiego rodzaju; przecież mieszkańcy żyli, schronili się w twierdzy.

Odbudowana, scalona armia mogła bez większych strat pobić dziesięć tysięcy stworów, bo osiemdziesiąt setek pieszych i konnych łuczników, każdy z dwudziestoma czterema strzałami w kołczanie, to był w takiej sprzeczce bardzo poważny argument. Dwieście tysięcy pocisków, z tego połowa posłana w chmurach, potrafiło zdziałać istne cuda. Ale żeby zebrać tych łuczników i zorganizować, należało usunąć spod twierdzy dziesięć tysięcy Alerów. Kółko się zamykało.

Aronet postanowił wypróbować odwagę, wytrzymałość i wytrwałość złotych. Gdyby udało się rozpędzić chociaż połowę tego mrowia, skłonić do odejścia w spokojniejsze rejony... Podzielone sfory mógł ścigać i wygniatać tak, jak tę pierwszą między bramą zamku a lasem. Potem wróciłby i znów szarpał „podkowę”. Aż do skutku.

Koczowiska wysunięte najdalej na południowy wschód zasłonięte były przez zabudowania przyfortecznego miasteczka. Miało nazwę, o czym nad tysięcznik najpierw nie

wiedział, w zamku nazywano je Toreną. Następnego dnia, poczyniwszy odpowiednie przygotowania i z samego rana ustawivszy półlegiony do walki strzelczej, Aronet posłał za wschodnie roгатki Toreny dwie kolumny, które miały sprowokować do pościgu tylu złotych, ilu tylko się dało.

Sprowokowały.

Zaczął mżyć drobny, marznący deszcz. To nie było dobre dla pocisków i cięciw.

Pierwsza kolumna uciekała środkiem osady, główną ulicą wiodącą na wylot, z której w nocy uprzątnięto wszystko, co się dało. Ulica wiodła do bramy, a jej boczna odnoga wypływała spomiędzy zabudowań na południowy zachód, przeradzając się w coraz gorszą drogę gruntową. Miejscami prawie nieistniejąca, droga ta prowadziła aż do pierwszych obwodów okręgu Riny i dalej.

Druga czmychająca kolumna okrążała Torenę od południa – ci jeźdźcy mieli dość miejsca i swobody, by skutecznie się ostrzeliwać.

Z murów zamku nie poszybował w dół nawet jeden pocisk, choć pędzące śladem jeźdźców stada były w zasięgu łuków. Ale nie chodziło przecież o to, by przedwcześnie odstraszyć złotych.

Wysłane na przynętę oddziały uciekały ku ugrupowanej w kolumnowym szyku Armii Lekkiej. Za nimi w większych i mniejszych sforach pędziły setki, może nawet ponad tysiąc Alerów, a spomiędzy domów wypadały z rykiem ostatnie spóźnione grupki. Konni łucznicy w siodłach dłonie mieli rozgrzane, bo dopiero co zdjęli rękawice i poupychali za pazuchy. Pierwsza złożona z tysiąca pocisków chmura poderwała się ku niebu i poszybowała ogromnym łukiem za plecy uciekających jeźdźców; natychmiast pomknęła druga – legiony strzelały kolejno. Jeszcze z pierwszym światłem dnia, zaraz po sformowaniu szyku, kliny i półsetki wstrzelały się

w teren na próbę: chcąc najlepiej ocenić siłę wiatru, przyjaznego, bo dość jednostajnego, poświęciły kilkaset pocisków. Teraz doszła paskudna mżawka, ale dobrze wyszkoleni żołnierze umieli wziąć na to poprawkę. Strzelający z miejsca łucznicy byli o wiele skuteczniejsi niż wtedy, gdy napinali cięciwy w trzęsącym kłusie lub galopie. Posługiwali się bronią z budzącą uznanie szybkością, każdy legion zawiesił w powietrzu dwie chmury i posyłał trzecią w momencie, gdy przemieniona w deszcz pierwsza spadała na ziemię.

Do przejętych walką żołnierzy nie od razu dotarło, w czym biorą udział. Strzelających jednocześnie dwóch tysięcy ludzi pola bitew nie widziały od wieków. Wskrzeszali tutaj historię. W wojnie stoczonej przed trzydziestu sześciu laty nie było aż tak gęstych ostrzałów, a już na pewno nie w otwartym polu. Mało kto pod niebem Szereru widział pobojuwisko w ciągu kilku chwil zjeżone ośmioma, dziesięcioma, zaraz potem już dwunastoma tysiącami strzał. Nie bez powodu mówiło się o ulewie, żadne inne słowo tego nie oddawało. Istniały skrawki ziemi, gdzie rzadko który pocisk tkwił oddalony od drugiego aż na odległość łokcia.

Legiony strzelały naprzemiennie, ale wchodzące w ich skład półlegiony rozdzieliły cele – wyszkolenie narzucało wybór. Każda z pędzących gromad, pod którymi naprawdę drżała ziemia, dostała swoją porcję grotów i natychmiast wpadała pod następne strugi zabójczego dżdżu. Świst strzał, turkot i kłaśnięcia wchodzących w mięso grotów, ryki i skowyty przeszywanych pociskami stworów były tłem dla furkotu oficerskich proporców – w dużych formacjach świstawek nie używano, bo ich dźwięki splatały się, tworząc nieczytelny hałas. Uciekające kolumny weszły w lukę specjalnie zostawioną między legionami, całkowicie odsłaniając równinę pod Toreną, gdzie dziesiątki i setki potworów kotłowały się, rozbiegały,

mknęły dalej, zalegały z wyciem na ziemi. Skoki i półskoki, przedziwne kozły w powietrzu, wyszczerzone kły i rozpalone ślepia, długie łapska tłukące ziemię i zwinięte w kłębek nieruchome kształty, cielska nadziewające się tyłkami i brzuchami na tkwiące w ziemi opierzone patyki – niczego tam nie zabrakło. Jakieś pierzchające gromady zderzały się, wpadały na siebie, tworzyły bezładnie rozedrgane, półoszalałe tłumy.

W strzelczej walce przydały się doświadczenia z Wielkiej Wojny Granicznej, podczas której właśnie zwabiano dzikie sfory pod umocniony obóz. Prawie zawsze z hordy okrywanej ulewami strzał wyłamywała się jakaś grupa, oszalała ze wściekłości, ponaglana ranami nie do ucieczki, lecz do najzajadłego ataku. W otwartym polu zajmowała się takimi bandami kontratakująca ciężka piechota.

Aronet nie miał piechoty, musiała mu wystarczyć ciężka jazda. Z obu skrzydeł łuczniczego szyku spłynęły ku środkowi pola dwa bliźniacze oddziały Chorągwi Chwały Dartanu. Lepiej tych jeźdźców użyć się nie dało. Wspierani przez swoich pocztowych dartańscy rycerze z mieczami, korbaczami i toporami w dłoniach, niemal nie tracąc impetu, roznosili kolejne bezładne kupy złotych, biorąc pod kopyta wszystko, co się znalazło na drodze. Minęli się przed środkiem szyku i rozeszli w przeciwnych kierunkach. Każdy oddział łukiem odchodził z powrotem na skrzydło, tam skąd wyruszyła siostrzana setka jeźdźców.

Pewna liczba złotych przedarła się do szyku lekkokonnych i rycząc, skotłowała parędziesiąt kroków przed nimi.

Tylne szeregi łuczników wciąż słały pociski w głąb pola, nad głowami towarzyszy rażąc pierzchające potwory, lecz czołowi jeźdźcy strzelali wprost przed siebie, teraz już we własnym tempie i według uznania wybierając cele. Trzydzieści kroków

przed sobą mieli skuteczną zaporę, na której ostatecznie utknęli Alerowie: gęsto powtykane w ziemię zaostrzone krótkie kołeczki, między nimi skierowane grotami do góry, połamane w minionej bitwie strzały i ułamki włóczni. Wszystko to przyprószone ziemią, skryte w szarych resztkach trawy.

Złoci nie przedostali się przez ten zdradliwy zasiek. Ta sama potężna siła skoku, wynosząca rudawe cielska w powietrze, była tu przekleństwem – niezabezpieczone niczym stopy i dłonie z ogromną siłą uderzały w ziemię, przebijane przez śmieszne zaostrzone patyczki, które w żadnych innych warunkach nie mogłyby posłużyć jako skuteczna broń. Kilkadziesiąt skowyczących z bólu stworzeń tarzało się niemal u samych kopyt armektańskich koni. Dobijali je strzałami łucznicy.

Dla tylnych szeregów wojska brakło celu. Porażone Złote Plemię na oślep uciekało przez uliczki i zaułki Toreny.

Zamek ożył.

Łucznicy na blankach i basztach nie mieli i w połowie tak wdzięcznego celu jak ich konni towarzysze na równinie, ale było ich znacznie więcej. Na murach z powodu niedostatku miejsca stanęła najwyżej jedna trzecia, ale za to wybrano najlepszych. Mieli trochę większe i mocniejsze łuki niż jazda. Pojedynczy pocisk bardzo rzadko od razu zabijał, przecież jednak nie było pośpiechu. Grot wpakowany w kark, grzbiet, a najlepiej bok, nierzadko dokonywał dzieła później, wystarczyło dać mu trochę czasu...

Nie wiadomo, czy choć jeden Aler cało wrócił do koczowiska. Mówiono w zamian o takich, którzy wyglądali jak jeże i nie bardzo było wiadomo, jakim cudem jeszcze się ruszali – i to biegiem, a właściwie skokami. Do nocy i długo po jej nadejściu wygrzebane w ziemi legowiska rozbrzmiewały zawodzeniem pokaleczonych, często zdychających od ran stworów.

Straty ludzi ograniczyły się tego dnia do łucznika z naderwanym ścięgnem i kilku dartańskich pocztowych, poranionych podczas szarży ze skrzydeł.

Nadtysięcznik rozkazał uciszyć wyjące pole bitwy (żołnierze najczęściej mówili: „zgasić”), odzyskać wszystkie zdatne do użytku strzały i uzupełnić ich zapas w kołczanach. Zbierano też połamane pociski; legionowi rzemieślnicy wiedzieli, co z nimi robić, a inne mogły się przydać choćby do nowych pułapek. Aronet po południu zamierzał wydać drugą bitwę na takich samych warunkach, tym razem północnemu krańcowi „podkowy”.

Złoci się uczyli. Powtórka powinna się udać, lecz należało wątpić, czy Alerowie w nieskończoność będą ruszać w pościg za wabiącymi ich jeźdźcami.

Najważniejsze pytanie brzmiało: czy pogoda pozwoli wznowić walki. Drobny deszcz nie ustawał, nawet trochę przybrał na sile. Wkrótce konie miały grzęznąć w gruncie, a mokre strzały i cięciwy były do niczego – po niedługim czasie łuki zawodziły. Każdy strzelec miał cięciwy zapasowe, a w taborze nie brakło suchych strzał, ale jedno i drugie należało oszczędzać, bo w deszczu i wilgotnym powietrzu przemoczone nie chciały wysychać. Były na to sposoby, lecz mozolne i czasochłonne.

Deszcz, teraz już wspomagany mokrym śniegiem, mógł padać z krótkimi przerwami do wieczora, do rana albo przez dwa dni.

Albo przez dwa tygodnie.

Gdy zwróciło się spojrzenie ku granatowemu niebu, można by pomyśleć, że będzie padał już zawsze.

Po południu Armia Lekka zdołała powtórzyć sukces. Był to jednak ostatni bój w jej kampanii.

ROZDZIAŁ 9



Srebrni Alerowie doskonale wiedzieli, gdzie jest obserwacyjna placówka Legii Armektańskiej; trudno, żeby było inaczej. Prawdopodobnie umieli też ocenić liczebność obsadzającego ją oddziału. W nocy piesza grupa wojowników przeniknęła do lasu, mniej więcej trzy czwarte mili na wschód od wartowni.

Konny patrol zauważył tę grupę przypadkiem. Naprawdę szczęśliwy traf, bo zachmurzone niebo i mżawka czyniły noc niemal nieprzeniknioną. W zamian nie było wiadomo, czy Alerowie spostrzegli, że ich odkryto.

Dziesiątnik, przysłany z Eki na czele świeżego oddziału, nie wiedział, co ma robić. Zluzował poprzednika zaledwie trzy dni wcześniej, ale kiedyś już pełnił tutaj wartę i był doświadczonym żołnierzem. Sytuacja jednak przedstawiała się dość niezwykle. Gdyby wykryto jeźdźców na wehfetach, natychmiast posłałby żołnierza do Eki. Ale pieszy zagon?... To nie miało sensu. Kiedyś liczne piesze zastępy atakowały stacje, tutaj jednak wykryto najwyżej czterdziestu zbrojnych.

Dziesiątnik doszedł do całkiem prawdopodobnego wniosku, że celem wypadu była jego lub sąsiednia placówka. Pod osłoną lasu mała horda Alerów mogła się zbliżyć na najmniejszą odległość i zaatakować o świcie.

I znowu: co należało przedsięwziąć? Gdyby miał pod komendą tylko swoich dziesięciu żołnierzy, od razu by ich wycofał. Ale przy wartowni biwakował, dowodzony przez

dwóch oficerów, klin jazdy. Na skraju lasu siedziało dokładnie czterdziestu dwóch żołnierzy i czworo Jeźdźców Równin. Do obrony przed spodziewanym atakiem aż nadto.

– Podporządkowuję ci się wraz z moją dziesiątką, wasza godność – rzekł dziesiątnik do obudzonego Rawata. – Nie ja dowodzę tym klinem, a to trzy czwarte żołnierzy tutaj. Jeśli zdecydujesz o obronie, to będziemy walczyć. Jeśli twoi jeźdźcy odejdą, to i ja nie zostanę, bo nie będę miał szans.

Rawat oprzytomniał z niejakim trudem, bo głowę miał jeszcze ciężką. Po całej przespanej nocy wyglądałby znacznie lepiej, ale cóż... Kazał zbudzić Aktara i podsetnika Neleta.

– Mamy chwilę czasu, to jest trzy czwarte mili nocą przez las – powiedział dziesiątnik. – Nie przyjdą tak od razu.

– Cicha pobudka dla wszystkich – rzekł Rawat, gdy zjawili się dwaj wezwani. W kilku słowach przedstawił sytuację i zakończył sucho: – Komenda przy tobie, Nelet.

– Proszę o radę, setniku.

– Odmawiam.

Aktar poszedł obudzić swoich, Nelet postawił na nogi jednego z dziesiątników. Chwilę potem kilkudziesięciu pogrążonych w mroku ludzi cicho, lecz całkiem sprawnie krzątało się przy koniach. Z rzadka ktoś zaklął niegłośnie, szukając czegoś po ciemku.

Podsetnik i Aktar wrócili.

– Zaraz posyłam jeźdźca do Eki, zamelduje o zagonie pieszych Alerów, może niejedynym, bo więcej takich małych hord mogło się przekraść – rzekł dowódca wartowni. – Myślę, że chcą zająć naszą chatkę. Ale może nie tylko. Może to jakaś większa, podzielona na części wyprawa. W Ece muszą usłyszeć, że coś się tutaj dzieje, a jeśli dowiem się czegoś więcej, pošlę drugiego żołnierza. Tyle muszę zrobić, wasza godność, bez względu na twoje rozkazy.

– Zezwalam – powiedział podsetnik.

Dziesiątnik odszedł, by wyprawić jeźdźca.

Rawat milczał. Odmówił rady młodszemu oficerowi, choć w takiej sytuacji było wręcz dobrym obyczajem wojskowym zasięgnięcie opinii starszego stopniem, a jeszcze bardziej stażem, doświadczonego kolegi-oficera.

W żaden sposób nie chciał wpływać na decyzje dowódcy klina.

Już od kilku dni działały się dziwne rzeczy. Rozmowy z Alerami, bardzo trudne na początku, potem poszły łatwiej. Nie było mowy o jakimkolwiek zaufaniu, ale przełamano nieuchronną, odwieczną przecież, bezwarunkową wrogość. Rawat nie ukrywał, że zna powód, dla którego złoci Alerowie uderzyli na okręg Alkawy (choć zachował dla siebie wiedzę o tym, jak daleko dotarli i czego zdołali dokonać). Opisał bitwę na górskim zboczu i młodą Alerkę, która przypłaciła swoją niezwykłą misję życiem. Wywarło to ogromne wrażenie; zaskoczeni i zdumieni rozmówcy niebaczenie zdradzili to i owo, choć Rawat starannie się wystrzegł udawania, że wie o tych sprawach coś więcej, niż wiedział – taki „spryt” mógłby się nie opłacić, bo shehi naprawdę nie byli głupi.

Rktrahi – tak się nazywali obdarzeni nadzwyczajną mocą „mędracy-Przyjęci” shehich. Pytania o to, co potrafią, ilu ich jest, i podobne należało odłożyć na później. Było przecież zupełnie oczywiste, że srebrni tego nie zdradzą.

Rozmowy urwały się zupełnie nagle i nie wiadomo dlaczego. Trzy dni temu shehi po prostu nie przybyli na spotkanie przy zatkniętych w ziemię relfsach. Mało tego – została tylko jedna, uwieńczona tarczą, żerdź. Drugą Alerowie zabrali.

Czy to oznaczało zerwanie rozmów? Na to wyglądało. Ale dlaczego?

Rawat codziennie w asyście swoich jeźdźców wracał pod relfs i czekał. Nadaremnie.

Teraz, obudzony nad ranem, nie chciał podejmować żadnych decyzji. Zbrojne starcie to było ostatnie, czego sobie życzył. Przyjechał rozmawiać, negocjować. Jednakże trwała wojna i nie mógł przecież rozkazywać wszystkim żołnierzom, by na widok wroga brali nogi za pas. Jeszcze przed nawiązaniem rozmów gotów był uciekać, gdyby Alerowie opacznie zrozumieli jego intencje, mogło przecież zajść jakieś nieporozumienie. Ale teraz? Rozmawiali przez kilka dni. Jeśli nagle Alerowie postanowili uderzyć na wartowniczą placówkę... Przez pomyłkę?

Nie chciał podejmować decyzji za strzegących granicy żołnierzy. Bardzo cienka linia oddzielała gotowość do rozmów z wrogiem – od zdrady.

Czy garnizon Roi Eki też miał rzucić się do ucieczki na widok srebrnych Alerów? Doprawdy: a co z Armią Rewinu? Przecież setnik Rawat negocjuje! Choć, niestety, od trzech dni sam ze sobą.

Patrol, który spiesznie przyniósł wieść o Alerach, już nie wrócił na równinę. Wszyscy żołnierze zebrali się na skraju lasu i mieli konie pod siodłem.

Nie było żadnej pewności, czy z drugiej strony placówki nie wsiąkła w las inna grupa Alerów. Rozsądek nakazywał nie pilnować lizjery, lecz wejść głębiej między drzewa. O trzydziestu jeźdźcach przybyłych przed tygodniem srebrni na pewno nie wiedzieli. Gotowi byli pokonać dziesięciu zaskoczonych żołnierzy na skraju lasu i w chacie, choć istnienia tej ostatniej mogli się najwyżej domyślać. Nie wiadomo, jak chcieli zabrać się do dzieła.

W mroku widzieli chyba niewiele lepiej niż ludzie. Podobno w ciemnościach dobrze radziły sobie wehfety, lecz ci szehi tutaj

ich nie mieli.

Było bardzo prawdopodobne, że atak nastąpi za dnia.

Wywiedziono konie dość głęboko w las, by przypadkowe parsknięcie nie zdradziło, gdzie są. Dwie trójki postawiono na ich straży, pozostali legionieści zawrócili i czekali niedaleko wartowni. Było więcej niż pewne, że rano się okaże, iż niejeden osiodłał nie swojego konia. W kompletnych ciemnościach zdarzały się takie pomyłki, naprawiane dopiero na pierwszym dziennym postoju, bo należało przecież zamienić nie tylko wierzchowce, ale i wszystkie wiezione przy kulbace graty – przesiadanie się z siodła na siodło to była połowa roboty.

Oczekiwanie ciągnęło się bez końca. Świt zwlekał dłużej niż zwykle, ukryty za pochmurnym niebem. Nad ranem znowu zaczął padać drobny deszcz. Ziąb przejmował do szpiku kości. Nie dostawał się wprawdzie pod kożuszki, ale tym mocniej przenikał pod spódnicę, atakując tyłki, kolana i uda. Od stania w miejscu sztywniały i marzły stopy.

W końcu zaczęło szarzeć. Półzakryte łubia zabezpieczały cięciwy przed wilgocią, żołnierze wyjmowali broń dopiero teraz.

Między drzewami majaczyły fragmenty ścian szopy; legionieści trzymali się w pewnym oddaleniu, bo osmyczony zimowy las nie zapewniał dobrych kryjówek.

Przemykający nocą Alerowie chyba jednak nie zauważyli, że dostrzegł ich niewidoczny na tle ściany drzew patrol jeźdźców. Teraz nadeszli od wschodu, więc z tej strony, z której byli oczekiwani. Wyraźnie wypatrywali wart, poruszali się ostrożnie i niepewnie.

Nie było na co czekać. W każdej chwili któryś z wojowników mógł odkryć przyczajonych między drzewami ludzi.

Rozbrzmiała oficerska świstawka: „Galop-szarża!”. Osobliwy rozkaz dla piechurów.

Legioniści rzucili się do przodu.

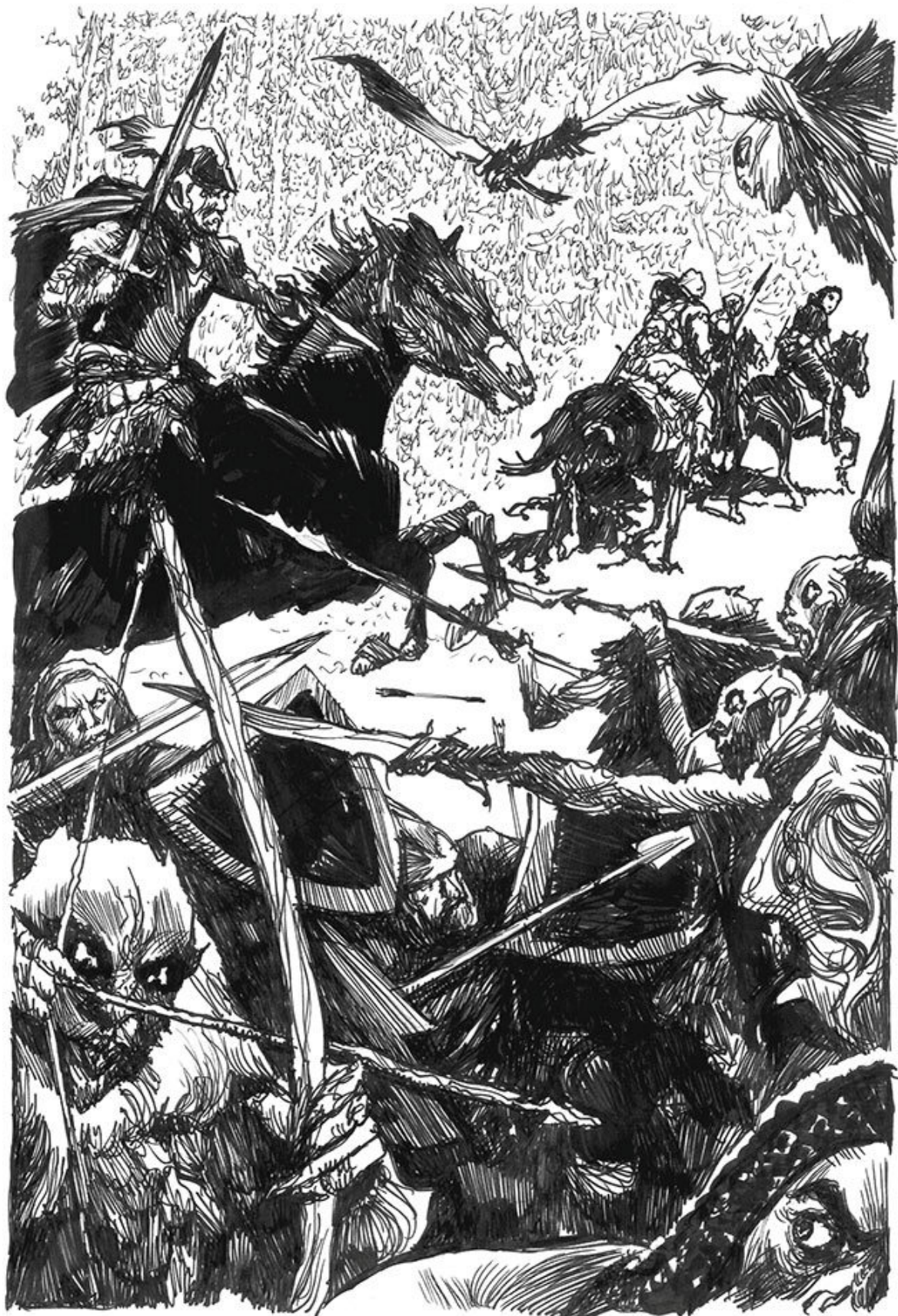
Łuki mieli jedni i drudzy. Pośród obustronnych okrzyków i wrzasków wypuszczane pociski mijały się w powietrzu, odłupywały korę z drzew, wbijały się w ściany szopy-szałasów bądź je przeszywały, ale bardzo wiele trafiło w żywy cel, bo strzelano z odległości kilkudziesięciu, a nierzadko nawet kilkunastu kroków. Krzyczał człowiek, wył Aler, padały na ziemię ciała.

Nie było jednak w tej walce żadnej równowagi i żadnej proporcji w stratach. Słabe łuki Alerów nie mogły się równać z bronią ludzi, a opatrzone kamiennymi grotami pociski były na ogół bezradne wobec potrójnej osłony, jaką dawał armektańskiemu łucznikowi kozuch, potem kolczuga i przeszywanica. Żelazne groty legionistów raniły lub zabijały. Zginął żołnierz trafiony w twarz, dwaj inni upadli ze strzałami w udach, kogoś alerski pocisk zranił w szyję, kogoś innego w ramię. Lecz krzyczących lub znieruchomiałych na ziemi Alerów było już kilkunastu.

Po obu stronach odrzucano łuki, dobywano mieczy bądź mocniej chwymano dzidy. Niektórzy strzelali dalej, inni zwarli się w walce wręcz – i znów lepszy był oręż z żelaza. Tylko wyjątkowo potężne i celne uderzenie utwardzoną w ogniu albo zaopatrzoną w kamienny grot dzidą mogło pokonać kolczugą zbroję i warstwy wojskowego odzienia, które nie było w stanie zatrzymać ostrza, lecz je spowalniało, rozpraszało siłę ciosu. W zamian ledwie kilku Alerów miało drewniane zbroje, które owszem, opierały się cięciom, lecz pchnięciu sztychem miecza znacznie rzadziej. W wypuszczanych na armektańskie ziemie zagonach trafiali się czasem wojownicy ze zdobyczną żelazną bronią, widywano nawet szerserskie kolczugi. Ale tutaj nie miał tego nikt.

Alerowie górowali szybkością i zręcznością, ludzie siłą.

Walka wręcz zebrała po armektańskiej stronie większe żniwo niż ostrzał z kiepskich łuków. Alerski wojownik próbował trafić wroga w twarz, w szyję albo w nogę, a ponieważ odpowiadał dwoma ciosami na każde uderzenie legionisty – bywał górą. Unikał większości ciosów, odskakiwał na niebywałą odległość i zaraz znów był przy żołnierzu, nawiązując z nim równorzędną walkę. Mocny cios dzidą mógł złamać żebro, nawet jeśli nie przebił kolczugi. W obronie przydawały się plecione tarcze, miała je połowa wojowników. Proporcje były mniej więcej takie, że na dziesięciu wytrąconych z walki szehich przypadało siedmiu, nawet ośmiu ludzi.



Lecz wciąż strzelali łucznicy. Kilkunastu legionistów nie uwikłało się w walkę, lecz z najmniejszej odległości wciąż posyłało strzały, korzystając z każdej okazji, gdy Aler odskoczył od człowieka. I już było jasne, kto wygra.

Kłębiło się na ziemi kilka ciał – rozbrojeni przeciwnicy walczyli gołymi rękami, czasem dobywali noży, kościanych albo żelaznych. Jeśli srebrny wojownik od razu się nie wymknął i był nieuzbrojony, to nie miał większych szans. Lżejszy, mniejszy, mógł żołnierzowi przeciwstawić siłę porównywalną z siłą zdrowej i młodej kobiety. To nie wystarczało, by wygrać zapasy, duszenie, wymianę ciosów pięściami. Uderzenia alerskich włóczni bywały mordercze, bo zadawane z niemożliwą dla człowieka szybkością, to wyrównywało niedostatki krzepy i wagi ciała. Lecz miażdżony w objęciach człowieka Aler już nie miał swej największej przewagi. Bardziej giętki od ludzkiego kościec trudno było połamać, ale brak powietrza w końcu powalał każdego. Uścisku ramion silnego mężczyzny shehi nie potrafił rozerwać.

A jednak takich walk jak ta tutaj, jeden na jednego albo dwóch na trzech, legionieści unikali jak mogli. Pojedynczy bój był prawie wyrównany. Legionista nie miał pewności zwycięstwa; Aler nie był skazany na przegraną.

W regularnych bitwach i potyczkach o wyniku starcia decydowały szyk, dyscyplina, współdziałanie, a w starciach jazdy ponadto bojowa wyższość koni. To wtedy wojownicy Srebrnych Plemion zbierali największe ciężki. W szarży na równinie czterdziestu konnych łuczników na pewno pokonałoby dwakroć tylu wrogów, połowę z miejsca kładąc na ziemi samym impetem uderzenia, większą masą, wspierającą pchnięcia żelaznych grotów. Tutaj wygrali ciężki bój czterdziestu na czterdziestu i gdyby przeciwnik dysponował

choć niewielką liczebną przewagą, pomimo wyższości broni mogliby mieć się z pyszna.

Czwórka Jeźdźców nie weszła do walki twarzą w twarz. Nieokryci zbrojami i niebędący rębajłami, staliby się zawadą dla żołnierzy, zmuszonych być może spieszyć im z pomocą. Wspierali legionistów, strzelając ze swych łuków, i robili to dobrze.

Rawat nie walczył w ogóle. Słaby wzrok nie pozwalał mu strzelać, mógłby poranić towarzyszy. Wiek nie pozwolił wywijać włócznią ani mieczem.

Nie wiadomo, o czym myślał stary setnik, po raz pierwszy od trzydziestu lat oglądający walkę, jakich tyle stoczył za młodu. Były wśród nich trudniejsze i o wiele bardziej krwawe. Ale ta mogła być ostatnią, jaką widział.

Na ziemi krzyczeli ranni żołnierze i wojownicy, inni dokąds pełzli lub tylko zwijali się z bólu, kilku szehich jeszcze walczyło z legionistami. Ośmiu lub dziesięciu uciekało ku równinie, niemal całkiem przesłoniętej przez pnie.

Cizba nowych wjechała między drzewa. Dwustu?...

Nie wiadomo, jakie zadanie wyznaczono grupie, która w nocy przekradła się do lasu. Być może ci wojownicy wcale nie mieli atakować; może ich zadaniem było tylko zapobieżenie ucieczce legionistów albo przechwycenie ich gońca, pędzącego z wieściami do stancy. Teraz jednak stało się jasne, że z nastaniem świtu wszystko, co żyło w alerskim obozie, wyszło na równinę i skierowało się do lasu pilnowanego przez ludzi. Na widok zgrai jeźdźców legioniści zostawili ostatnich przeciwników i rzucili się do ucieczki, pędząc w stronę koni, bo nic innego nie było do zrobienia.

Lecz wehfety znakomicie radziły sobie w lesie. Nie łamały nóg na korzeniach drzew, nie grzęzły w zgniłym mchu i igliwiu. Poruszały się prawie tak jak na równinie.

Ci żołnierze, którzy wcześniej nie weszli do walki wręcz, posyłali strzały najbliższym wrogim jeźdźcom, próbując choć przez chwilę osłonić ucieczkę towarzyszy. Wenewet też trafił Alera i zaraz został szarpnięty przez kogoś za ramię – to musiał być Ajan albo Aktar. Biegiem rzucił się do ucieczki, ramię w ramię z Ayaną. Aż dwa razy miał możliwość zobaczyć coś niezwykłego: ta nieduża kobieta, zręczna i zwinna jak kot, potrafiła w pełnym biegu nałożyć strzałę na cięciwę, zatrzymać się i w okamgnieniu okręcić na pięcie, napiąć łuk, odszukać cel, posłać pocisk i pędzić dalej – nie zdążyłby w tym czasie nawet kichnąć, a ona już znowu sięgała do kołczanu. Potrafiła użyć swojej broni w każdych warunkach i pozycji. Nie znał nikogo, kto umiałby choć połowę tego, co tutaj pokazywała jego podstarzała ruda ciotka. Wiedział już, dlaczego jest legendą Równin.

Pierwsza z Trzech. Czy tamte Dwie tak samo?

Chyba nie. Przypomniał sobie wieczór, gdy podpita zaczęła się chwalić, chociaż zaczęła od narzekań. Powiedziała: „Dawno temu twój ojciec wyśmiał moje strzelanie z łuku. Już nigdy nikt nie będzie się z tego śmiał. Kiedyś zobaczysz”.

Zobaczył.

Dziwne rzeczy przemykały przez głowę chłopaka, który zaraz mógł być trupem rozciągniętym między drzewami.

Pierwszy raz walczył o życie. I zdumiał się, bo wcale nie czuł strachu, a podobno przecież bał się każdy. Miał sucho w ustach, ale to wcześniej, gdy dopiero biegli ku Alerom. Teraz nie.

W zamian tłukły mu się po głowie różne głupstwa. Czy zawsze tak było? U każdego?

Mknąc przez las, Wenewet dopadł koni jako pierwszy, krzyknął ostrzegawczo na żołnierzy, chwilę później był w siodle i trzymał za uzdę dartańskiego ogiera. Ayana pochwyciła wodze konia Aktara i też znalazła się w siodle. Nadbiegli obaj Jeźdźcy.

Alerowie pędzili za nimi, jeden był bardzo blisko. Większość rozsypała się po lesie w pogoni za żołnierzami, którzy już wiedzieli, że nie dopadną koni, więc próbowali tylko drogo sprzedać życie, zabrać ze sobą jeszcze jedno alerskie półzwierzę.

Kiepska strzała trafiła Ayanę w pośladek. Wrzasnęła i wyrwała ją zupełnie odruchowo. Ajan i Aktar już siedzieli w siodłach. Oberwał strzałą i kwiknął jakiś luzak, zaraz potem następny. Wyprzedzający wszystkich innych, wyjątkowo wielki Aler na wehfcie miał utkwiony w ramieniu pocisk, ale chyba o tym nie wiedział. Terkotliwie wrzeszcząc w swoim języku, nie tyle pchnął, ile rozerwał dzidą bok Jeźdźczyni, choć mierzył w środek pleców. Trafił z tyłu, rozdzierając ostrzem odzienie i żywe mięso. Omal nie spadła z konia, tym razem nawet nie krzyknęła. Ajan wyrwał włócznię z tulei przy kulbace i posłał ją w plecy wojownika. Trafił i zwalił go z konia.

Od razu potem pognali w las.

We troje.

Wenewet byłby przysięgł, że między drzewami widział przez krótką chwilę siwą głowę starego setnika. I tam właśnie popędził jego ojciec. Chłopak krzyknął i gotów był zawrócić, lecz Ajan chyba pojął, co się święci, bo smagnął jego konia łączyskiem łuku w zad i poprawił z taką siłą, że wierzchowiec poniósł.

Pośród gęstej mżawki, w półmroku lasu i pod niskim granatowym niebem, jak szaleńcy mknęli między drzewami, położeńi na końskich karkach, smagani po ramionach i plecach przez gałęzie. Ajan trzymał wodze wierzchowca, na którym jechała jego siostra. Alerowie utknęli gdzieś z tyłu w tabunie spłoszonych, rozpędzonych koni.

Kilkadziesiąt kroków dalej gnali w tym kierunku co Jeźdźcy dwaj żołnierze, tak samo rozplaszczeni na grzbietach i szyjach

swych wierzchowców.

Konie były szybsze od wehfetów, lecz między drzewami szanse się wyrównywały. Jednakże kilkadziesiąt biegających po lesie zwierząt skutecznie rozproszyło uwagę prześladowców. Niepodobna było poznać, czy migająca między pniami sylwetka to bezpański wierzchowiec, koń juczny, czy też biegun unoszący pochylonego jeźdźca.

Pięcioro ludzi uciekło. W mżawce i leśnym półmroku pod skłębionym szererskim niebem.

ROZDZIAŁ 10



Wciąż było ciepło, ale śnieg z deszczem, a czasem tylko sam mokry śnieg padał od kilku dni. Rano przy gruncie zamarzał; gmin nazywał to „stłuczydupą”. Kto tylko mógł, zwlekał z wyjściem na ulicę. Przed południem było już tylko mokro, nie ślisko.

Przemęczony Ramez kładł się najwcześniej o północy, wstawał zaś wczesnym rankiem. Każdy z łuczników Armii Lekkiej sypiał więcej niż mieszkający w pałacu mąż władczyni imperium. W zamian żołnierz... chyba mniej maszerował. Przeważnie wiozł go koń, Ramez zaś po pałacowych korytarzach i schodach nie podróżował konno ani nawet w lektyce. Wzywał do siebie kogo tylko mógł, czasem jednak znacznie szybciej i łatwiej było utrudzić nogi i odwiedzić właściwego dowódcę lub urzędnika.

A przemierzał naprawdę bardzo duży dom. Trwały spory, który z pałaców jest największą niewojskową budowlą Szereru: ten tutaj czy królewski w Rollaynie.

Zwykle rano małżonka lekko skrobała w drzwi łączące ich sypialnie. Tym razem to on zaskrobał i od razu wszedł. Nie miał wątpliwości, że najgodniejsza żona jeszcze śpi.

Był wczesny ranek, panowały kompletne ciemności. Księżę Małżonek, odziany już jako tako, niósł wielki kandelabr na piętnaście świec. Nie mógł go postawić na stoliku, przy lustrze ani na stole, więc – poirytowany, co rzadko mu się zdarzało, bo

przeważnie dobrodusznie pokpiwał z „porządków” w pokojach żony – postawił na posadzce. Przysiadł na łożu Wereny.

– Zbudź się, cesarzowo – powiedział. – Mógłbym ci podarować jeszcze chwilę snu, ale potem... No cóż, nie wiem, czy znajdę czas, by przedstawić ci wieści. Zaraz stąd wybiegnę, bo muszę. I nie wiem, kiedy wrócę.

Obudziła się i nawet dość szybko oprzytomniała. Przeciągnęła się – a umiała to zrobić naprawdę bardzo ładnie.

– Na pewno istnieje powód, dla którego ośmieliłeś się podnieść rękę na swoją władczynię – powiedziała jeszcze trochę zachrypniętym głosem. – Niestety, kara cię nie ominie, musi być przykładem dla innych. Powiedz swoje ostatnie słowo.

– Najpierw dobre czy złe nowiny?

– Najpierw dobre.

– Dwie okręgowe, Żona i Córka Rewinu, chyba się obroniły. Na razie.

Uniosła się na łokciu.

– Te... stаницe?

– Tak. Pozostałych już nie ma, albo raczej zmieniły gospodarzy, i to są te złe nowiny. Srebrni Alerowie ruszyli. Pięćdziesiąt, siedemdziesiąt, ale może i osiemdziesiąt tysięcy. Wszystkie ich obozy w Okręgach Zachodnich. Możliwe, że po prostu zabrakło im jedzenia, ale tylko zgaduję. Zaatakowali.

Milczała, wciąż podparta na łokciu. W słabym, migotliwym świetle nisko stojących świec wyglądała bardzo młodo i ładnie. Rozczochrana dziewczyna w pościeli.

– Co to znaczy?

– Że Pani Wojna nas karci. Mogłem wycofać tych żołnierzy ze stanic, ale tego nie zrobiłem. Nie oczekiwałem jednoczesnego ataku na wszystkie zachodnie placówki, nie doceniłem srebrnych. Armia Rewinu jest niegotowa i niedowodzona.

Próbuję prowadzić wojnę jednym dowódcą polowym... Liczyłem, że jakoś to będzie, i właśnie zostałem skarcony.

Pokręcił głową.

– Za dziesięć, może dwanaście dni miałbym Aroneta z powrotem pod Rewinem. A za dwa tygodnie armię w komplecie. Wymęczone marszem oddziały, ale już na miejscu.

– A teraz co tam jest?

– Gwardia i jeszcze trzy legiony. Czwarty może dołączyć w ciągu kilku dni, stoi prawie gotowy pod Kanazą. Nie pchałem ich na północ, bo tu łatwiej ich zaopatrzyć bez naruszania zapasów, mieli dołączyć do legionów maszerujących z dartańskiej granicy. Ale chyba ruszą już dziś. Paręnaście wozów i trzydzieści mułów mogę podesłać im później.

– Czyli połowa armii?

– Tak. Razem z gwardią będzie pięć legionów. No i jeszcze załoga Rewinu, oczywiście. Nie wiem, czy cokolwiek wycofało się ze stanic, ale jeśli nawet, to garść.

– Wiesz, że nie znam się na wojsku. Czego mogą dokonać te siły?

– Pod dobrym dowództwem? Mogą pobić piętnaście, może i dwadzieścia tysięcy Alerów. W bardzo kosztownej bitwie.

– A mówiłeś...

– Że idzie siedemdziesiąt tysięcy. Ale to jest wielkie terytorium, Wereno. Nie idą jedną armią, bo to niemożliwe. Może jest szansa rozbijania mniejszych sił po kolei. Poza tym to nie są sami wojownicy, idzie tutaj wszystko, co żyje. Nie wiem, nic jeszcze nie wiem. Tylko to, co powiedziałem. Obudził mnie oficer służbowy nocnych wart, przyprowadził gońca – opowiadał Ramez. – Właśnie pędzę pisać listy, słać kolejnych gońców, zwoływać odprawy i narady. I ściągać na łeb na szyję

Aroneta spod Toru, bo mogę w ciemno powiedzieć, że beczynnienie sterczy tam na deszczu i moknie.

– Dlaczego?

– Bo ma armię konną, która mu ugrzęźnie w pierwszej szarzy. I nie za bardzo postrzela.

– Można go stamtąd odwołać?

– Zamek odblokował, przynajmniej na jakiś czas. Wyrznął parę tysięcy złotych, reszta się rozproszyła. Coś tam jeszcze siedzi w jamach pod Torem, ale to już nie jest przeciwnik dla załogi zamku, najwyżej żywe mięso do ćwiczeń w ćwiartowaniu... Przebacz. – Zmitygował się, ujrawszy zmarszczony ze wstrętem nos małżonki.

Machnęła ręką.

– Armię Lekką – podjął Ramez – weźmie dowódca odtwarzanej Armii Toru, bo to i tak jego wojsko. Dałbym mu je wcześniej, ale siedział zamknięty w Torze, a potem nie chciałem zmieniać wodza w środku kampanii.

Pokręcił głową i dodał:

– Powiedziałem ci wszystko, teraz idę. Będę łatał to, co rozprułem.

– Wspaniały początek dnia.

– Oby koniec był trochę lepszy. Zdam ci raport, czy w ogóle znalazłem jakieś igły, nici i łąty. I czy już wiem, jak cerować.

Pocałował żonę i z powrotem poszedł do siebie. Chciał nałożyć jeszcze swoją białą, podobną do wojskowej narzutę.

Cesarzowa została sama.

Naprawdę niezbyt dobrze znała się na wojsku. Ale wyglądało na to, że i srebrni, i złoci Alerowie wyprzedzają Legię Armektańską o krok. Wydawało się jej, że regułą wojny jest scalenie wszystkich sił i wydawanie bitew rozdzielonym wojskom przeciwnika.

Działo się dokładnie na odwrót. Rozbito Armię Toru, teraz przepadły graniczne placówki wraz z setkami, a może nawet tysiącami żołnierzy. Zaraz mogło przepaść pół Armii Rewinu, potem druga połowa. Po kolei.

Idący już korytarzem Ramez myślał o tym samym, ale więcej wiedział o wojsku. Dwa razy większa armia nie była przez to dwa razy silniejsza. Była cztery razy silniejsza. Dwie armie po pięć tysięcy legionistów mogły pokonać w dwóch jednoczesnych bitwach po dziesięć tysięcy Alerów kosztem straty połowy sił. Zebrane razem te dziesięć tysięcy legionistów mogło nie pokonać, a roznieść te siły wroga w dwóch kolejnych bitwach bez wartych wzmianki strat. Ważna była liczba żołnierzy, ale jeszcze bardziej: gdzie i przeciw komu ich zebrano. Nazywano to sztuką wojenną.

Na razie artystą był marnym.

Pałac dopiero budził się do życia, ale to nie znaczyło, że wcześniej korytarz ział pustką i dopiero teraz ktoś się na nim pojawił. Ten korytarz nigdy nie był pusty, ludzi tylko ubywało albo przybywało. W nocy przytłumiano światła, panowała cisza zamiast gwaru. Bezszelestnie przemieszczała się służba, sprzątającaienne pokoje, roznosząca wszystko, co potrzebne, przygotowująca olbrzymią budowlę do działania w następnym dniu.

Przemierzywszy tylko jeden długi korytarz, Ramez kilka razy skinął głową. W środku dnia nawet nie próbował odpowiadać na ukłony. Niektórzy brali to za wyniosłość.

Każdy domownik i sługa kłaniał się księciu tylko raz. Ich było wielu, on jeden. W środku dnia na zatłoczonym korytarzu Ramezowi odpadały głowy, gdyby chciał najbardziej zdawkowo odskinać każdemu; musiałby nią trząść niczym w chorobowych drgawkach. Tysiąc razy dziennie – codziennie.

Z poprzecznego, jeszcze słabiej oświetlonego korytarza wyłoniło się trzech mężczyzn w wojskowych narzutach, dreptał za nimi półprzytomny pisarz, szczęśliwy, że nie musi wlec swoich przyborów i składanego pulpitu, bo w Sali Odpraw było wszystko co trzeba.

Obudzony nad ranem Ramez natychmiast (bo jeszcze zanim odwiedził żonę) posłał niewolnicę do najwyższych dowódców. Ci trzej już się pozbierali, w pałacu mieszkało jeszcze dwóch. Ostatnich musiał ściągnąć z portu i komendantury miejskiego garnizonu.

– Przekazała? – zapytał krótko, nawet nie przystając. – Wiem, że tak, pytam, czy zrozumiała – uściślił.

Dołączyli.

– Tak, wasza wysokość. Ale...

– Gońca odesłałem – wytłumaczył. – Ledwie żywy, gotów był zaraz skonać. A to, co miał do powiedzenia, czyli cztery zdania, mógł wam powtórzyć ktokolwiek.

– Bardzo ładna ta „ktokolwiek” – orzekł H.H.Ewin, tysięcznik-komendant Legionu Gwardii Cesarskiej. – Na pewno ładniejsza od gońca. Skąd ją masz? Chyba nowa?

Dowódca prywatnych, choć opłacanych ze skatunki imperium żołnierzy cesarzowej, a wcześniej jeszcze jej ojca, zawsze miał szczególną pozycję. Przyjaźnili się z Ramezem. W tym tutaj najważniejszym gronie żaden nie musiał udawać, że tak nie jest.

– Zdziwiłbyś się, jakie kurierki czasem przyjeżdżają – odpowiedział Książę Małzonek. – Powinieneś wiedzieć. Są raporty, których mógłbym wysłuchać i trzy razy, a po każdym wysłuchaniu dawać dziewczynie awans. Przyjeżdża z Kanazy taka jedna, którą zrobię nad tysięczniczką.

– Do końca wojny?

– Nie, miesiąca.

Poranne żołnierskie, a właściwie męskie farmazony.

Ramez pozbierał się trochę i pomyślał, że jakoś to będzie. Sto razy bardziej wolał naradzać się z żołnierzami niż z kimkolwiek innym. Z urzędnikami to zawsze była droga przez mękę. „Ale”, „gdyby”, „jeżeli”, „niemożliwe, wasza wysokość, brak przepisów pozwalających...” Rozumiał, że tak musi być – lecz rozumieć nie znaczyło lubić.

Wkroczyli do Sali Odpraw i rozsiedli się przy wielkim stole. Było tutaj miejsce dla trzydziestu ludzi, a po doniesieniu krzeseł dla czterdziestu. Czterej mężczyźni – pięciu, jeśli liczyć pisarza pod oknem – prawie tu nie istnieli.

– Rozporządziłem niewolnicą waszej wysokości – usprawiedliwił się jeden z nadtysięczników. – Zapytałem, odpowiedziała, że nie ma żadnych poleceń, tylko nas powiadomić. Poprosiłem, by gdy już to zrobi, przyniosła nam tu coś do jedzenia.

L.Solton był głównodowodzącym Legii Armeckańskiej. Zaledwie od roku. Kiepski mówca, raczej ponurak, zawsze trochę sztywny. Ale niesłychanie konkretny, rzeczowy, dbały o każdy szczegół – oto był urzędnik w wojskowej tunice.

I właśnie ktoś taki powinien zajmować to stanowisko. Znakomity organizator, skrupulant pamiętający, ile kadrowych klinów siedzi w obwodowym miasteczku na drugim końcu kraju, jak się nazywa komendant, ilu jest tam mieszkańców...

– Znakomite posunięcie. Strategiczne myślenie, wasza godność – pochwalił Ramez. – Raczej żaden z nas nie zje dzisiaj zwykłego śniadania.

Znowu wszyscy się uśmiechnęli. Nawet Solton.

Rozmawiając, a raczej tylko pogadując o niczym, czekali na pozostałą dwójkę z pałacu. Tamci z miasta, czyli dowódca Floty Głównej i zastępca komendanta sił okręgu (komendant siedział w Kanazie), powiadomieni zostali tylko po to, by nie czuli się

pominięci. Ich żołnierze nie mieli w tej wojnie nic do roboty. Inna rzecz, że dwaj mądrzy dowódcy umieli posłużyć radą.

Zjawiała się niewolnica Rameza, naprawdę bardzo ładna dziewczyna, z półmiskiem zimnych mięsów i ogromną serwetą (chyba nie prześcieradłem?...) do wytarcia rąk.

Przybiegł kartograf ze zwojami map. Zaraz potem wkroczyli oczekiwani dowódcy.

Mężczyźni przy stole sięgnęli po mięso. Jedząc, znowu zamienili parę słów i wtedy wszedł ktoś jeszcze.

Od razu wstali; nie wiadomo było, co zrobić z pościem wołowiny w rękę, a jeszcze bardziej z przeżuwającym kęsem.

Dość porządnie ubrana, ale w ogóle nieuczesana cesarzowa skinęła głową i usiadła na krześle obok męża. Powstrzymała go, bo chciał zwolnić miejsce u szczytu stołu.

– Siadajcie i jedzcie.

Usiedli. Pozwoliła, więc jedli, zwłaszcza że Ramez dał przykład.

– Nie znoszę tego, ale chociaż raz muszę wysłuchać od początku do końca, na czym polega ta wojna – powiedziała i skinęła na służkę Rameza, która przed chwilą przyniosła posiłek.

Wskazała to, co miała na głowie, i dziewczyna natychmiast odwiązała wstążkę z własnego warkocza, po czym zebrała z tyłu włosy jej wysokości.

– Mam zapleść, wasza cesarska...

– Tylko zwiąż.

Najgodniejsza wzięła do ręki jeden ze stojących na stole posrebrzanych kubków i przejrzała się w nim.

– Nie wiem, jak mnie potem stąd wyprowadzicie, tak żeby nikt nie widział. A zresztą, na korytarzu i tak mnie nikt nie pozna, księżniczki są trochę piękniejsze. – Odstawiła kubek ze stuknięciem.

– Nieprawda, wasza cesarska wysokość – powiedział Ramez.

W tym gronie wszyscy znali go bardzo dobrze i dostrzegli, że powściągnął uśmiech, choć nie było jasne dlaczego.

Cokolwiek mówiło odbicie w kubku, zauważył przecież, że jego żona w iście wojskowym tempie zdążyła uróżnaczyć policzki, przyczernić trochę rzęsy i brwi. Należało to później poprawić, ale nie było kobiety, która wyszłaby z sypialni tak, jak spała.

– Zawsze zaczynacie od takiego... – zawahała się – smacznego śniadania?

– Nie, wasza cesarska wysokość – odpowiedział Książę Małzonek. – Przeczuwaliśmy, że przyjdiesz, i chcieliśmy ci pokazać ciężki żołnierski los.

Jeden z dowódców lekko się zakrztusił.

Najgodniejsza nie była żartownisią, ale jej mąż wiedział, co i kiedy może powiedzieć. Uśmiechnęła się.

– Trzeba jakoś specjalnie zacząć? Otworzyć naradę? Chciałam powiedzieć: odprawę? Ja tu dzisiaj nie rządę – zastrzegła. – Tylko słucham i najwyżej o coś zapytam.

– Tak, wasza cesarska wysokość.

o o o

Późnowieczorne odwiedziny księcia stały się już niemal tradycją, więc Przyjęta rozbierała się do snu i kładła bardzo późno, gdy już miała całkowitą pewność, że jego wysokość nie przyjdzie. W Kirlanie mocno zmieniła swoje przyzwyczajenia, bo przez całe życie lubiła wstawać wcześnie. Teraz, gdyby chciała utrzymać ten obyczaj, musiałaby nie dosypiać.

Tego wieczoru jednak książę przyszedł naprawdę późno; już była gotowa się kłaść. Naprawdę niewiele brakowało, by rozpuściła i rozczesła włosy. Przyłapałby ją wówczas tak jak

wtedy, w zimnej sypialni Rewinu. Gdy prawie nic nie miała pod futrem.

Po południu przyszła niewolnica z wieściami. Mążnek cesarzowej, biegnący z odprawy na naradę, jedzący rano wczorajsze mięsiwa, a w południe dostrzeżony z kawałkiem pszennego placka w ręku, dyktujący pisma i rozsyłający gońców, znalazł w środku tego wszystkiego wolną chwilę, by donieść historyczce Szerni o tym, o czym już zaczęły krążyć plotki. Niesprawdzone i poprzekręcane. Nie chciał, by miała taką wiedzę i niepotrzebnie gubiła się w domysłach.

Wszedł zapowiedziany przez służbę. Zmartwiła się, bo wyglądał źle. Naprawdę źle.

– Rozchorujesz się, wasza wysokość – powiedziała poważnie.

Usiadł tam, gdzie zwykle, nawet nie zapytawszy o zgodę.

– Kilka tysięcy żołnierzy śpi teraz na mokrej ziemi. Może porobili sobie daszki z wojskowych płaszczy i postawili szałas, bo porządnych namiotów nie dostali.

– Taki ich los – odparła chłodno. – A ty nie masz ich naśladować, tylko sprawić, żeby mieli te namioty. Spałeś dzisiaj na mokrej ziemi, książę? Nie zdziwiłabym się, bo tak wyglądasz.

Pokiwał głową, ale chyba nie słuchał.

Siadywał w ulubionym kącie (no tak, miał już tutaj ulubiony kąt), z jedną ścianą za plecami, a drugą w zasięgu prawego ramienia. Dotknął jej teraz palcem.

– Rewin, Tor, Rina, Trzy Porty. – Pokazał tak, jakby na ścianie była mapa; przecież mógłby ją w każdej chwili z pamięci narysować, niczym akademicki lub wojskowy kartograf, stojąca zaś przed nim historyczka co najwyżej dodałaby pominięty szczegół. – Oddajemy całą północ aż do wysokości Riny. Zostają tylko obie twierdze. Ewakuujemy rzeką wszystkie stacje z okręgu Alkawy. – Znowu pokazał palcem. – Srebrni

udowodnili, że w każdej chwili mogą je zająć jednym uderzeniem.

– Chciałeś odtworzyć Armię Toru, a tu miała powstać Armia Rewinu.

– Uczę się. Próbuję się uczyć. To był dobry plan przy założeniu, że wojna nie rozpali się do końca zimy, wiele wskazywało na to, że tak będzie. Jednak wciąż mamy zimę, a wojna trwa na całego. Trzymając się starych planów, będę tracił te armie częściami, odtwarzał i znowu tracił przed zakończeniem organizacji. Za którymś razem już nie będzie z czego ich odtwarzać.

Przyjęta znała się na wojnie trochę lepiej niż cesarzowa. Ale tylko trochę. Bitwy stanowiły część historii, znała przebieg i znaczenie tych ważnych. To nie była wojskowa wiedza.

– Co to da? Armiekt straci dziesiątki... setki wiosek? Miasta i miasteczka.

– Tak, najwięcej pod Riną. Ale może tych akurat nie straci, złoci siedzą i nic nie robią. A jeśli srebrni ruszą się na wschodzie, to będą mieli właśnie kłopot ze złotymi. Nie lubią się. Niech się biją.

– Może tak – powiedziała po krótkim namyśle. – A tutaj, pod Rewinem?

– Skracamy linie, wszystkie. – Znowu zaczął pokazywać palcem; nieistniejąca mapa na ścianie była już mocno pokreślona. – Tutaj świetny bity trakt aż do Riny i Rapy, mogę przerzucać nim wojska ze wschodu na zachód i odwrotnie. Blisko zaplecze, Trzy Porty... Ściągnięte spod Rewinu legiony będę miał pod Kanazą jednocześnie z tymi, które maszerują z Dartanu. Scalę armię w ciągu tygodnia.

– Ilu ludzi straci domy, książę?

– I tak nie obronię tych domów. Ale może chociaż będę mógł odzyskać.

– Co odzyskać, zgłiszcza?

– To, co zostanie.

– W jaki sposób?

– Nie wiem, co zrobią srebrni na zachodzie. Jeśli rozejdą się po okręgach Północnej Granicy i staną, to poczekamy. Nasze siły będą rosły, ich już chyba nie. A jeżeli ruszą dalej, to będą napływać kolejno, bo nie bardzo chce mi się wierzyć, że zbiorą się w jedną pięćdziesięciotysięczną armię. Nie wiedzą, jakie mamy siły ani gdzie te siły są. Pomaszerują od razu jedną wielką armią na oślep? Bo jeśli nie, to rozbiję ich kolejne wojska w miarę, jak będą napływały. Przynajmniej spróbuję to zrobić.

Zmarszczyła królewskie brwi i chyba bezwiednie, w zamyśleniu przygryzła paznokcie, więc od razu przestał na nią patrzeć. W skupieniu oglądała tę samą mapę, co on.

– Zostawią znaczne siły pod Rewinem – wyjaśniał dalej. – Napływać będą wzdłuż wybrzeża i na pewno stąd, wzdłuż Lawii. Armię Rewinu, dziesięć legionów, będę miał tutaj. Działania z położenia środkowego, tak to się nazywa. Pobię jednych, ruszę przeciw drugim. Jeśli uda mi się poprowadzić taką wojnę, to z nastaniem lata zdołam uwolnić Rewin. To wszystko jest oparte na domysłach. Nie wiem, co zrobią srebrni. Ale czas walczy po naszej stronie. Cokolwiek zrobią, będzie z korzyścią dla nas. Pod warunkiem że już nie pozwolę im pobić żadnej armii w kawałkach.

– A jeżeli się zbiorą w jedną wielką armię?

– Umrą z głodu. Resztki zimowych zapasów z jakiejś zdobytej przez nich wioski nie wykarmią tysięcy wojowników. W lesie można coś upolować i wyżywić setkę, ale nie pięćdziesiąt tysięcy. Wymrą z głodu, chyba że ruszą prosto na Trzy Porty. Ale mało prawdopodobne, by w ogóle wiedzieli o ich istnieniu. Ty mi to, pani, uświadomiłaś – przypomniał.

Kesa tak jak Gotah uważała, że wyobrażenia Alerów o Szererze są mgliste. I naiwne.

Zastanawiała się. Chyba naprawdę widziała tę mapę na ścianie.

– Ale jeżeli pójdą wzdłuż Lawii... czy nie skręcą razem z nią w stronę Riny?

– Możliwe. Dlatego właśnie tutaj, na łuku Lawii, postawię Armię Toru. Gońcy już pojechali z rozkazami, Armia Lekka i wszystko, co da się wyprowadzić z twierdzy, ma się zebrać najpierw pod Riną. Nawet bez ściągania małych garnizonów z miasteczek między Torem a Riną będę miał osiem tysięcy żołnierzy. Na południe od Lawii leży bogaty, gęsto zaludniony kraj, wioski, miasta, przecież to już sam środek dawnego Wielkiego Księstwa Riny i Rapy. Wyżywię armię nawet ze szczątkowym taborem. To nie północne bezdroża, gdzie trzeba wozić wszystko oprócz trawy dla koni na odległość stu mil. Tutaj legion pośle dziesięć wozów do miasta i wieczorem będzie miał je z powrotem, już pełne – objaśniał.

– Dlaczego dopiero teraz taki plan?

– Bo chciałem odzyskać okręg Alkawy, więc nie miało żadnego sensu prowadzenie wojsk w tę i nazad. Ale wobec tego, co zaszło w Okręgach Zachodnich, pchanie armii w stronę granicy byłoby wojskową głupotą. Ta uwikłana w walki ze złotymi armia miałyby na skrzydle wszystkie siły srebrnych, odgrrodzone tylko rzeką. Gdyby ją sforsowały jakiegokolwiek liczące się wojska, armia zostałaby odcięta od zaplecza i zamknięta w pułapce.

Nie przejawiał nawet odrobiny zniecierpliwienia. Prawdę mówiąc, po prostu potrzebował takiego podsumowania i – nawet o tym nie wiedząc – tego wieczoru właśnie po to przyszedł do mądrej, jednak niebędącej żołnierzem kobiety. Przez cały dzień podejmował decyzje, słał ogólne i szczegółowe

rozkazy. Teraz czuł coś w rodzaju ulgi, zbierając obraz do kupy, mówiąc głośno o rzeczach, które tylko błąkały się w cieniu, bo były wiadome wszystkim. Niby oczywiste, ale nienazwane.

Czasem jednak należało powiedzieć coś głośno, wyłaniał się wtedy konkret. Ostry kontur, wyraźny obraz.

– Były kłopoty z dowódcami – zauważyła. – Zapytam: ta... okropna kobieta, Żelazna Agatra, czy tak? – Nie zdołała ukryć lekkiego sarkazmu; wojskowe przydomki i nazwy lubiły być takie pompatyczne.

– Ona nie. Wprost odmówiła, a pytałem ją już kilka miesięcy temu. Musiałbym wydać rozkaz, wtedy oczywiście obejmie dowództwo czegokolwiek. Ale to jest... bardzo dobra żołnierka i świetna dowódczyni. Jeśli ktoś taki wprost odrzuca proponowany awans i mówi, że nie chce dowodzić armią, to lepiej go nie zmuszać. Ufam jej. Jest może najlepszym dowódcą legionu, jakiego w ogóle mam.

– To zupełnie inne dowodzenie – domyśliła się.

– Zupełnie inne – potwierdził. – Dowódca legionu trzyma go w garści, stoi pośród swoich żołnierzy i bardzo często wszystkich ma w zasięgu wzroku. Dowodzący armią prawie nigdy. Ogląda mapy i częściej wyobraża sobie swoje wojska, niż je widzi. A na samym polu bitwy nie wystarczy, że umie szybko reagować, to akurat jest zaleta niezbędna u dowódcy legionu. Wódz naczelny znacznie więcej musi zaplanować i przewidzieć. Lepiej niech już będzie flegmatyczny, byle przewidujący.

– Zrozumiałam – powiedziała swoim zwyczajem, jak zawsze, gdy nazbyt dokładny wywód trochę ją urażał.

Nie przejął się zbyt.

– Żadnych wieści z Rollayny? – zagadnął.

Przyglądała mu się długo i uważnie.

– Mnie o to pytasz, książę?

– I ty, i twój małżonek, wasza godność, macie do dyspozycji sztafety dwóch królestw. Armektańskie i jeszcze dartańskie. Nawet ja nie mam tak dobrze. Nie za bardzo mogę się wysługiwać jeźdźcami królowej Dartanu.

Nie uśmiechnęła się.

– Czy najgodniejsza...

– Czeka – uciał.

– Księżę – powiedziała bezradnie – przecież ta wojna z Dartanem... Kilka miesięcy temu obawiałeś się jej bardziej niż Alerów. Ta niepotrzebna wojna...

– Nie z Dartanem, tylko w Dartanie – przerwał znowu. – Tak, dartańska vana będzie miała niepotrzebną wojnę w swoim kraju, ale nie przyłoży się do tego nawet jeden armektański żołnierz. Powiedziała to jej wysokość Wasenewa, więc tak będzie. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek rzuciła słowa na wiatr.

Kesa tylko kilka razy zetknęła się ze starą cesarzową, najczęściej przy stole, do którego prosiła Werena. Przy pierwszym spotkaniu Wasenewa popatrzyła bardzo, bardzo uważnie. Dziesięć lat wcześniej próbowała zapobiec rebelii w Dobrym Znaku, skierowała tam specjalną wysłanniczkę i знаła wszystkie szczegóły nieudanej misji. Pamiętała nawet imiona Pereł księżnej Sey Aye. Nie żywiła przecież żadnej urazy do PRZEDMIOTÓW, którymi wtedy się posługiwała właścicielka. Dostrzegała tylko, że były przydatne.

Przedstawiona cesarzowej matce Przyjęta zdała sobie sprawę, że właśnie rozmawia z najbardziej niebezpiecznym człowiekiem Szereru. Pod spojrzeniem tej starej kobiety wciąż mogły chwiać się trony.

– A co potem, księżę?

– Już ci mówiłem. Nie wracajmy do tego, wasza godność. Jej cesarska wysokość czeka. Jeszcze czeka – powtórzył.

Wiedziała, że rozmowa skończona. Ramez w jednej chwili przemienił się w pierwszego poddanego swojej żony. Nie podobały mu się jej plany, ale postanowiła wcielić je w życie, były więc poza dyskusją.

Oto żołnierz.

Ze smutkiem skinęła głową.

Mapy kreślone palcem na ścianie i wojskowy język przysłaniały rzeczywistość. Jak to powiedział?... Skrócone linie i działanie z położenia środkowego. Tak czysto, tak... uczenie. Piękna sztuka wojenna. A co to oznaczało?

Gdyby pod Rewinem stało dziesięć chorągwi dartańskich, Ramez nie musiałby wydawać ogromnych połaci kraju na pastwę wroga. Nie musiałby skazywać tysięcy ludzi na tułaczkę i utratę całego mienia, a wielu po prostu na śmierć.

Mógłby ich bronić i obronić. Miałby czym.

ROZDZIAŁ 11



Srebrne Plemiona rozlały się po kraju niczym powódź. Wielkie hordy pieszych wojowników obległy stаницe, a bardzo silne jezdne zagony ominęły je, by od razu ruszyć dalej w głąb Armektu.

Kilka najsłabszych granicznych placówek zostało zdobytych nieomal z marszu. Alerowie zaatakowali zdecydowanie i szybko, ale to nie znaczyło, że bezmyślnie. Tu i ówdzie powiódł się plan wyciągnięcia w pole stanicznej jazdy, a tym samym osłabienia obrony. Nie wszystkie placówki zostały ostrzeżone tak jak Roja Eka, nigdzie zresztą nie było jasne, co się dzieje. Meldunki o wtargnięciu jakichś hord na tereny Wojskowych Okręgów Zachodnich niewiele mówiły, w pole wyruszyły więc liczne rozpoznania. Komendanci kilku stanic wyprawili jazdę przeciw dostrzeżonym silnym zgrajom na wehfetach, stoczono kilka potyczek, a nawet małych bitew – z różnym szczęściem, choć Arilora sprzyjała raczej szybszym i dobrze wyszkolonym oddziałom armeктаńskim, które mogły pobić słabszego, a uchylić się od walki z silniejszym przeciwnikiem.

Opuszczone przez jazdę stаницe trzymane były siłami samej piechoty. Zazwyczaj oznaczało to stu kilkudziesięciu do najwyżej dwustu żołnierzy.

Przed wojną Alerowie czasem próbowali szczęścia, posyłając pod wojskową placówkę oddział liczący kilkaset oszczepów. Teraz nigdzie nie było ich mniej niż dwa tysiące, a zdarzało się

trzy razy tyle. Zręczni i skaczący jak szczury srebrni wojownicy bardzo dobrze radzili sobie z palisadami, niekoniecznie i nie zawsze musieli używać drabin. Zaczepione o częstokół liny wystarczały, by wojownicy niemal w mgnieniu oka wdrapali się na górę. Lżejsi i zwinniejsi od ludzi, rzadko przypłacali upadek z wysokości ciężkim zranieniem lub kontuzją, więc przecięcie liny lub zepchnięcie napastnika nie wystarczało. Wojownik zrywał się i ponawiał próbę, należało dosięgnąć go ostrzem miecza, grotem włóczni lub strzały.

Do wieczora zdobyto większość stanic, w tym jedną okręgową: Siostrę Rewinu. Broniło się jeszcze kilka obwodowych; odparły atak pozostałe okręgowe.

Posłane w pościg za jezdnyimi oddziały łuczników konnych czasem wracały, próbując z zewnątrz dopomóc oblężonej piechocie, czasem zażarcie ścigały jezdne zagony wroga, jeszcze inne uciekały, rozbite bądź skrwawione w kolejnych starciach.

Jednej rzeczy nie zaniedbano prawie nigdzie, mianowicie ostrzeżenia najbliższych wiosek. Ci żołnierze po to tutaj byli: żeby bronić chłopów. I wszystkim legionistom stale kładziono to do głów, cóż dopiero podsetnikom i setnikom.

Przed wojną zabłąkane sfory złotych należało po prostu odnaleźć i wytępić; srebrne zgraje najczęściej wystarczyło przepłoszyć, bo wykryte i uparcie ścigane, rzadko były gotowe za wszelką cenę kontynuować wyprawę. Jeśli oddziałowi jeźdźców na wehfetach udało się skrycie przedostać na armektańską stronę, uderzali zwykle na wioskę, potem drugą i najspieszniej wracali pod swoje opiekuńcze Wstęgi, objuczeni łupami mającymi ogromną wartość, a więc przede wszystkim nożami i siekierami, żelaznymi narzędziami, pledami i rozmaitymi sprzętami domowymi. Chłopi, jeśli mieli dość rozsądku, oddawali wszystko na wyścigi, dzięki czemu prawie nigdy nie musieli grzebać trupów ani gasić domów.

Czasem stawili opór i, bywało, skuteczny. Jeśli przegrali – wtedy wioska płonęła, z mieszkańców zaś przeżywali tylko ci, którzy uciekli. Niekiedy oszczędzono życie starych kobiet i dzieci, to zależało od wysokości strat i wściekłości najeźdźców.

Z reguły jednak Alerowie nie palili wiosek i nie mordowali ich mieszkańców bez potrzeby. Przemienienie pogranicza w cmentarz nie leżało w ich interesie – na starych pogorzeliśkach nie znaleźliby łupów ani jada. Dla Srebrnych Plemion armeckańskie tereny były krową, której nie wolno wydoić na śmierć.

Albo może lepiej: łowiskiem, na którym bezmyślnością byłoby wytępić do szczytu wszystkie ławice.

Tak było kiedyś, nie teraz. Domów nie palono, niczego pochopnie nie niszczone, lecz mieszkańców mordowano – i to z niesłychanym okrucieństwem, może dla postrachu, chociaż wydawało się raczej, że srebrni biorą odwet za jakieś, nie wiadomo jakie, chłopskie winy. Z kilku wsi zaatakowanych pierwszego dnia ocalała tylko jedna, napadnięta przez małą i skrwawioną zgraję, która wcześniej wprowadziła pobiła oddział stanicznych jeźdźców, lecz przypłaciła to utratą większości wojowników i niemal całej wartości bojowej. Odważni chłopcy chwycili za łuki, siekiery, drągi – i obronili się.

Wkrótce potem dotarł do wsi wymęczony konny legionista z odbierającym wszelką nadzieję rozkazem: „Natychmiast uciekajcie na południe!” i najkrótszym, przerażającym wyjaśnieniem, że tym razem wojsko nie powstrzyma wroga.

Wieśniacy dowiedzieli się o wybuchu wojny. Nie przybyły zwykłe łupieżcze bandy, które należało odeprzeć albo przeczekać, zachowując życie kosztem części zapasów i mienia.

Bardzo różne były powody, dla których wolni chłopcy ściągali na niebezpieczne tereny Północnej Granicy. Korzyści płynące z długiego okresu wolnizny spletały się ze zwykłym ludzkim

„przecie jakoś to będzie”. Od wieków na północy były stаницe, były wioski – czyli dało się tam żyć. Różnie gadano o Alerach, ale wojsko ich odpędzało, a jak czasem nie odpędziło... Może lepiej, jeśli raz na rok przyszedł rabuś i poszedł, zabierając siekierę albo trochę jadła, niż miałyby stale przychodzić cesarski poborca danin. Można było sobie dorobić, polując w lasach, wypasano kozy i krowy gdzie kto chciał, ziemi zaś obrabiano tyle, ile kto podołał. Niejeden po odpracowaniu wolnizny zostawiał dzieciakom wcale ładne oszczędności i wybór, co dalej chcą robić ze swym życiem. Bywało, że chłopska rodzina zarobiła dość, by po prostu kupić ziemię, na której siedziała – o, a to już był naprawdę dobry, choć ryzykowny interes. Cesarstwo wcale chętnie i tanio wyzbywało się gruntów na północnych rubieżach, a jeszcze na wiele lat zwalniało nabywcę z podatków uiszczanych w pieniądzu lub naturze. Zagospodarowanie tych terenów i płynący z żyznych ziem strumień zboża były warte więcej niż podatek, który uiścić mógł chłop, akt własności zaś przywiązywał do ziemi bardziej, niż mogło to uczynić najsurowsze prawo.

Wielką wojnę pamiętano tylko jedną; mocno wtedy ucierpiało lub zniknęło z powierzchni ziemi trochę wiosek, dwa razy tyle zbiedniało, a strumyk nowych osadników prawie zamarł. Na krótko, zaledwie na kilka lat. Cesarstwo umiało zachęcić nowych osadników, a w napadniętych i wkrótce odzyskanych przez wojsko obwodach panował taki spokój jak nigdy. Wyglądało na to, że następna prawdziwa wojna przyjdzie nieprędko.

Trzydzieści sześć lat. To długo czy krótko?...

Chłopstwo zareagowało bardzo różnie. W niektórych ostrzeżonych wioskach niezwłocznie spakowano wszystko, co można, wprzężono woły do wozów, workami siana objuczono nawet krowy, skupiono inwentarz w stada, sklecono naprędce

skrzynie-klatki dla drobiu. Tak objawiła się po wiekach krew przodków koczowników, gotowych w każdej chwili przenieść się z miejsca na miejsce. Zakopano i poukrywano, co można – gdyby kiedyś dało się wrócić... Gdzie indziej szło to bardziej ślamazarnie, bo nie wiedziano, kiedy przestać, próbowano więc zabrać wszystko, a całą resztę poukrywać, nie pomijając glinianego dzbanka i drewnianej miski. Na koniec były i takie wsie, w których nic właściwie nie zrobiono, bo znów zwyciężyło odwieczne „przecie jakoś to będzie”.

Nie tym razem. Uszli z życiem jedynie ci, którzy wybrali tułaczkę i wyruszyli, nie zwlekając.

To nie była alerska wyprawa dla „wydojenia krowy” albo na odnawialne łowiska. Głodujący wojownicy na obleczonych skórą szkieletach wehfetów szukali nowego miejsca do życia. Nowego kraju, a może nowego świata, w którym mogliby się osiedlić, jeśli nawet nie na zawsze, to przynajmniej na lata.

Niektóre stacje jeszcze walczyły, jeszcze przebiegali pośród lasów i stepów armektańscy jeźdźcy skupieni w oddziały, a do zdobytych wsi już ścigał alerski przychówek, prowadzony przez niewojowników. Chłopi nie mogli zabrać wszystkiego, w porzuconych chałupach i spichrzach znajdowano zapasy jedzenia. Być może wieśniacy powinni spalić swoje opuszczone wioski, ale serca pękały na myśl o rzuceniu płonącej żagwi na strzechę własnego domu. Prawie nigdzie tego nie robiono.

W ciągu następnych dni, a nawet tygodni wielu chłopskich uciekinierów ukrywało się w lasach, przymierając głodem i marznąc, a nierzadko zamarzając na śmierć. Koniec zimy był lekki, ale nie dla ludzi bez dachu nad głową, nieśmiejących rozpalić ognia, pozbawionych ciepłych posiłków, najczęściej zresztą jakiegokolwiek strawy. Kraj przebiegały niezliczone hordy wroga, przemieszczały się małe, lecz dla chłopskiej rodziny śmiertelnie groźne oddziały, gdzie indziej zaś całe

armie złożone z tysięcy wojowników. W zamian już nigdzie nie było armektańskich żołnierzy. Próbowano to jakoś przeczekać, by następnie przekraść się na południe. Nocami, od lasu do lasu.

Niektórym się powiodło, wielu innym nie.

o o o

Jeździec Równin niemal cały dobytek zwykł wozić przy sobie, przy kulbace. Zbawienny nawyk. Wenewet, Ayana i Ajan na grzbietach zwierząt jucznych wozili tylko to, co musieli. Przy wierzchowcach mieli wszystko, co niezbędne: broń, wódkę, trochę jedzenia, przyodziewek i ciepłe pledy.

Od początku dopisało im szczęście, bo nie brali udziału w walce wręcz, mieli najbliżej do koni i mogli od razu uciekać, podczas gdy uwikłani w bój żołnierze musieli najpierw oderwać się od wroga.

Ranna kobieta miała się jednak coraz gorzej. Gorączkowała, zaczynała tracić przytomność.

Najpierw nie wyglądało to tak źle. Rana w pośladku była bolesna i zrazu mocno krwawiła, ta od dzidy nie wydawała się groźna dla życia, chociaż okropnie wyglądała: ostrze rozerwało skórę i mięśnie. Rozległa i nierówna dziura w ciele też krwawiła obficie i zanim ją opatrzono, Jeźdźczyni bardzo osłabła, niemal straciła przytomność. Na pierwszym postoju zalano zranienia wódką i zatamowano krew dość czystymi szarpami – pokutował żołnierski przesąd, że gorzałka wypala ranę, a brud nie sprzyja gojeniu. Chyba rzeczywiście był tylko przesądem, bo jednak wdało się coś paskudnego, pośladek wyglądał dobrze, lecz bok się jątrzył. Niekiedy w takich wypadkach po pewnym czasie następowało przesilenie, ale

rokowania były kiepskie. Cokolwiek mówić, rana zwykle goiła się dobrze albo wcale.

Zrazu uciekali przez las do momentu, aż trzeba było dać odpocząć koniom. Kilkakrotnie zmieniali kierunek. Zbyt wielu prześladowców pędziło ich śladem, a to nie był wojskowy oddział, który na komendę zaprzestałby pościgu i zawrócił. Większość chyba tak zrobiła, lecz na pewno byli i tacy, którzy zajadle gonili dalej. Niekarność Alerów w takiej sytuacji stanowiła duże zagrożenie.

W końcu jednak uciekinierzy musieli stanąć, najbardziej z powodu rannej towarzyszki, która była gotowa się wykrwawić. Razem sześcioro. Najpierw dołączyli dwaj pędzący nieopodal legionieści, a po niedługim czasie dogonił ich jeszcze jeden lekko ranny żołnierz. Na postoju obwiązano mu głowę, bo stracił pół ucha, miał rozciętą skórę pod włosami i wciąż broczył krwią.

Komendę objął Ajan.

„Odpoczniecie i dalej w drogę” – rzekł krótko do konnych łuczników. „Powiadomicie wszystko i wszystkich, każdą wioskę i każdego napotkanego żołnierza”.

„Tak, panie. A wy?”

„Już nie jesteśmy waszym zmartwieniem. Misja zakończona, my wracamy do domu, a żołnierze na wojnę”.

„Tak, panie”.

Z istic wojskową akuratnością trzech wojacy od razu wyłonili dowódcę: jeden już zawiązał na ramieniu zrobioną z jakiejś szmaty opaskę trójkowego. Świeżo upieczony funkcyjny wcale nie był zachwycony otrzymanym rozkazem, jego towarzysze też nie wyglądali na zadowolonych. Zdążyli się zżyć z grupką Jeźdźców i mieli ich za swoich.

„Jedźmy razem, panie. W szóstkę...”

„Trudniej się przemknąć, zwłaszcza z ranną”. Ajan skinął głową ku opatrzonej, ledwie przytomnej kobiecie. „Nie wiemy, co się dzieje poza lasem, ale coś mi mówi, że całe obozowisko srebrnych nie ruszyło się tylko po to, żeby zdobyć wartownię. Możliwe, że ruszyły też inne obozy. Powiedziałem, żołnierzu, jak ma być. Nie jestem oficerem, nie mam prawa wam rozkazywać. Ale jednak posłuchaj mnie, bo mógłbym być ojcem całej trójki”.

„Tak, panie”.

Powalone przez burzę drzewo wyrwało wielką dziurę w ziemi; oblepione piachem, połamane korzenie wznosiły się nad wykrotem. Była to dość głęboka pół jama, pół jaskinia, zabezpieczająca przed wiatrem, a do pewnego stopnia nawet przed deszczem. Bardzo dobra kryjówka, siedzących tam ludzi można było dojrzeć tylko z bliska i tylko z jednej strony. Gorzej z końmi; tych już nie dało się schować w byle piaszczystej dziurze.

Kilkadziesiąt kroków dalej wił się duży strumień, właściwie rzeczka, w której najpierw skąpo, a potem obficie mogli napić konie. Sami także zaspokoiли pragnienie, dopełnili bukłaki. Mżawka była dokuczliwa i niepożyteczna, nie dało się nałapać wody w takim „deszczu”. Gdy czas pozwalał, rozwieszano jakieś szmaty, a potem wyciskano brudną wodę do wora. Dzięki rzeczce nie musieli tego robić.

„Odpoczywajcie i pilnujcie jej” – powiedział Ajan do żołnierzy. Dotknął dłonią policzka siostry; uśmiechnęła się słabo. „Wenewie, weź swojego konia, ja poprowadzę swojego i Ayany. Znajdziemy dla nich na razie jakiś gąszcz, w którym nie będą widoczne. Tylko do wieczora, bo to duży las. Kilka razy słyszeliśmy wilki” – przypomniał.

Wenewet nie przemówił słowa od chwili, gdy porzucił ojca, by ratować się ucieczką. Nie odezwał się i teraz.

Poszli. Wydawało się, że kawałek na wschód las jest nieco gęstszy.

Wkrótce okazało się jednak, że Ajan nie zamierza ukrywać koni.

„Powiedziałem tak, żeby żołnierze słyszeli” – wytłumaczył. „Bez ognia w nocy nie poradysz sobie. Gdy przyjdą wilki, to będzie dobrze, jeśli się skończy na zjedzeniu koni. Zabieram oba, jadę po twojego ojca, ty zostaniesz z Ayaną. I spróbujecie przeżyć. Wrócę tu”.

„A jeśli nie wrócisz? Bez koni nie dam...”

„Przez kilka dni nigdzie nie pojedziecie, bo Ayana umrze, nawet jeśli zdołasz wsadzić ją na siodło. Koni nie ukryjesz, ktoś was znajdzie. A już wilki na pewno” – tłumaczył Ajan i miał rację. „Zima była krótka, wilki nie są głodne, a najedzone raczej uciekają od ludzi, ludzie pachną obco. Ale konie pachną jak konie. Przyjdą wilki i zeżrą was, bo ogniska palić nie możesz”.

Ktoś przedzierał się przez las w ślad za nimi. Jeden z żołnierzy – nie trójkowy i nie ten bez ucha. Wiódł swojego konia.

Zaczekali.

„Ja nie jadę z tamtymi, wasza godność” – powiedział. „Oni jadą, bo muszą, ale dwóch wystarczy. Ja muszę wrócić, panie. Sprawdzić, co z naszymi”.

„Tam są Alerowie”.

„Przecież ścierwa nie siedzą w wartowni” – odpowiedział przytomnie żołnierz. „Pobili nas i poszli tam, gdzie mieli iść. Może któryś z naszych się schował, może jakiś... gdzieś leży niedobity?”

Ajan popatrzył uważnie.

„No to jest nas dwóch, legionisto. Ja też wracam po moich. Bierz luzaka, a ja drugiego. Czekał. Wenew, odczep juki. Tam

jest żarcie, pledy i wszystko, co potrzebne. Ja swoje mam przy kulbace”.

„Ja też” – rzekł legionista.

„Niech twoi zostaną przy Ayanie” – powiedział Wenewet do żołnierza. „Ja też wracam po ojca. Ja...”

„Nie” – powiedział Ajan.

„Tak. Muszę”.

„Nie. Żołnierzu, zostaw nas samych. Tylko na chwilę” – rzekł Ajan.

Legionista odszedł, o nic nie pytając.

„Wrócę albo nie wrócę” – rzekł starszy z Jeźdźców. „Mogę zginać. Żołnierze muszą jechać, tam we wsiach są setki ludzi, a to tutaj mi nie wygląda na alerską wyprawę po łupy. Ktoś musi ostrzec wieśniaków i zawieźć wieści do stancy. Wcześniej pojechał jeden z meldunkiem o czterdziestu Alerach, czyli z nieprawdziwym meldunkiem”.

„Tak, ale...”

„Nie pojedziesz po ojca, bo masz uratować matkę”.

Zaległa cisza.

„Mam i zawsze miałem tylko jedną siostrę, nie dwie” – powiedział Ajan. „Tę, która leży w tym wykrocie i bez ciebie już nie wyjdzie z tego lasu. Jadę po Aktara i Rawata. Mogę zginać”.

Znów zamilkł.

„Powiedz mi. Wy tłumacz” – zażądał cicho Wenewet. „To tylko chwila, a ja... chcę wiedzieć”.

„Teraz?”

„Tak”.

„Co chcesz wiedzieć? Po urodzeniu Emiry próbowała ją wychowywać, być matką. Ale jest taka, jaka jest, nie umie nic, tylko jeździć konno. Zmusiłem ją, żeby odszukała Aktara i oddała mu córkę, bo nawet o niej nie wiedział. Tak zrobiła, a rok później zawiozła mu jeszcze ciebie”.

„Ale... Dlaczego nigdy...”

„Wenewie, czy naprawdę mogę ci to teraz wytłumaczyć? Nie umiem i nie chcę”.

„A Akea?”

„Też jej córka, ale nie Aktara. To najwspanialszy z ludzi, przyjął i wychował jak swoje obce dziecko, bo jest przyrodnią siostrą twoją i Emiry, a skoro tak, to uznał, że i jego córką. To wszystko, synu. I tak miałeś się dowiedzieć, choć chyba nie ode mnie. Emira wie”.

„Emira wie?”

„Tak. Żołnierzu!”

Ajan rzekł swoje i było jasne, że nie będzie dłużej rozmawiał na ten temat. Nie umiał i nie chciał – dokładnie tak, jak powiedział. Jego młody siostrzeniec musiał zostać ze wszystkimi niewypowiedzianymi pytaniami.

Przywołany legionista obejrzał się i podszedł szybkim krokiem.

„Juki, Wenewie” – przypomniał Ajan. „Trzymaj. Zrobię wszystko, żeby odnaleźć twego ojca. A ty, jeżeli nie wrócę, wyprowadź z tego lasu... moją siostrę. Proszę cię o to, synu. Obiecuj mi, że to zrobisz”.

Czekał.

Wenewet pochylił głowę.

Ajan uścisnął ramię, a potem dłoń chłopaka, wskoczył na siodło. Żołnierz poszedł w jego ślady i ruszyli, wiodąc luzaki. Rozglądali się bacznie, próbując zapamiętać, jak tutaj wygląda las, większe skupiska drzew, dziwaczne pnie... Musieli umieć odnaleźć to miejsce – wcale nie taka łatwa sztuka. Na szczęście niedaleko był strumień; to już trudno było przegapić.

Od tamtego czasu minęły trzy dni.

Dwaj legioniści odjechali, Ajan i trzeci żołnierz nie wrócili. W nocy gdzieś daleko wyły wilki, a raz dobiegło tajemnicze

dudnienie.

Wenewet nie miał koni, a nawet gdyby były, to gorączkująca kobieta z dziurą w boku i boleśnie zranionym pośladkiem nie zdołałaby się utrzymać na kulbace. Nie rozmawiali, bo po odjeździe Ajana tylko dwa razy odzyskała świadomość na tyle, by zdać sobie sprawę, gdzie jest i kto przy niej czuwa. Nic nie zjadła, wypła trochę wody.

Wenew siedział w wykrocie, gapił się w zasnuty drobnym deszczem las i czekał, aż matka umrze.

Lecz nad ranem oprzytomniała i wyraźnie czuła się lepiej, a gorączka trochę opadła. Ucieszony, lecz zarazem obawiający się zawierzyć nadziei (bo podobno tak czasem bywało, że umierający na krótko czuli się trochę lepiej), przede wszystkim jednak nie na żarty rozzłoszczony marudzeniem rannej, nakarmił ją prawie siłą.

– Obiecałem coś komuś, czyjaś... siostrze.

Przez minione trzy dni i trzy noce miał bardzo dużo czasu na myślenie.

o o o

Dla ocalenia życia człowiek potrafił zrobić prawie wszystko. A w każdym razie bardzo, bardzo wiele.

W pustym i cichym, ociekającym zimnym deszczem lesie Ajan i towarzyszący mu legionista odnaleźli ukrywającego się żołnierza. Przemoczony i zziębnięty, był jednak prawie zdrów, miał tylko rozerwaną wargę i dwa wybite zęby. Uderzony oszczepem w twarz podczas szarży Alerów, wylądował w połamanych iglastych krzakach, do których nikt nie zaglądał.

Pociemniały od wilgoci kożuch i czarna spódnica leżącego w zaroślach człowieka były słabo widoczne. Trupy legionistów poobdzierano, bo przyodziewek, a jeszcze bardziej broń i zbroje

to była cenna zdobycz. Leżący trochę na uboczu ranny łucznik zachował wszystko. Po prostu go nie zauważono.

Inni tyle szczęścia nie mieli, kilku żołnierzy dobito.

Wreszcie Alerowie odjechali. Samotny, pólżywy z bólu wojak pozostał, bo czekał, aż zapadną ciemności. Tuż przed zmierzchem zauważył dwóch skradających się ludzi i, uradowany, od razu im się pokazał. Ostrzegł przed Alerami. Uściskał rękę towarzysza, zdał raport Ajanowi.

Nie miał broni, to była zła wiadomość. Łuk i strzały porzucił, ruszając do walki wręcz. Potem, zraniony, wypuścił z dłoni miecz. Leżący na ziemi oręż stał się łupem zwycięzców.

– Wszystko wyzbierali, widziałem – opowiadał teraz półgębkiem, niewyraźnie, bo warga naprawdę wyglądała kiepsko, a i brak zębów nie pomagał. – Leżał żem tutaj, to daleko od wszystkich. Zapomnieli, nie zauważyli. Ale tam wyzbierali wszystko, poodciągali trupy. I pojechali.

– A ilu, mówisz, zostało w szopie?

– Sześciu, może siedmiu. Kogoś tam zanieśli, chyba setnika.

– Setnika?

– Siwy był, tak mi się zdaje, bo bardzo krótko widziałem. Nieżywy albo mocno ranny. Chyba się wcale nie ruszał.

– Nikt więcej?

– Nie wiem, panie.

Z bezpiecznej odległości, przyczajeni, przyglądali się szopie-strażnicy.

– Po co go tu trzymają? Na pewno go poznali, ale jeśli to dla nich cenny jeniec, to chyba powinni zabrać? – zastanawiał się na głos Ajan.

Żołnierz miał cały dzień na myślenie. Podzielił się tym, co wydumał:

– Bardzo im było spieszo, po naszej walce przecie poznali, żeśmy byli przygotowani. No i pewno widzieli, że was paru

uciekło. Widzi mi się, że oni chcą napaść na stanicę i może na jakieś wioski. Może im się zdawało, że jak pognają szybko, to jeszcze zdążą zaskoczyć... A stary setnik, jak ranny, to przecież trudno go wieźć. Wykitowałyby im. Pewnie później kogoś przyślą po niego.

Ajan skinął głową.

Dobrze sobie przypominał tego legionistę, w odróżnieniu od jego towarzysza, którego twarz niby też poznawał, ale... Ten tu prosty wiejski chłopak w mundurowej tunice legionisty nie był głupi. Przy ogniskach zwykle dużo gadał, ale chyba do rzeczy. Nawet nie rechotał z byle jakiego żartu.

Z setnikiem sprawa mogła wyglądać tak, jak powiedział.

– Wyłapali bardzo dużo koni i zabrali – rzekł jeszcze żołnierz.
– Jeździć nie potrafią, no to chyba na mięso.

Zmarszczył brwi i wymienił spojrzenie z towarzyszem. Dla żołnierza armektańskiej jazdy koń był towarzyszem broni. Zabijano czasem wierzchowce, podczas Wielkiej Wojny Granicznej podobno tak się zdarzało. Ale nie od burczenia w brzuchu, lecz w obliczu głodowej śmierci. Najpierw zresztą wędrowały do kotła muły, konie zaprzęgowe i juczne. Koń żołnierz na samym końcu.

– Ale dużo uciekło i na pewno jeszcze biega po lesie – dorzucił.

Było już całkiem ciemno.

– Poleżymy trochę, zobaczymy, czy rozpalą ogień, bo jeśli nie... W nocy nic nie zdziałamy, pozabijamy się w tej szopie nawzajem – orzekł Ajan.

– Alery nie śpią, panie. Znaczy nie tak jak my. Nie zaskoczemy ich śpiących.

– Właśnie. Jeśli nie rozpalą ogniska, to wartujemy po kolei. Dwóch śpi przy koniach, trzeci marznie tutaj. Może być?

Żołnierze przytaknęli. Ich niewojskowy towarzysz należał do starszyny oddziałku Jeźdźców, przez setnika i podsetnika traktowany był jak równy, siadał z nimi przy jednym ognisku. Może jeszcze nie oficer, ale przynajmniej funkcyjny. Górował wiekiem, doświadczeniem. Nie musieli, ale chcieli słuchać jego rozkazów. Tak było po prostu właściwie.

Alerowie nie rozpalili ogniska. Po pewnym czasie Ajan odprawił żołnierzy.

– Idźcie. Pierwsza warta moja, potem wy po kolei, na końcu znowu ja. Przed świtem dołączycie. Przy jednym koniu znajdziesz włócznię – powiedział szczerbolowi z rozerwaną wargą. – Uzbrój się.

Ayana zgubiła swoją długą broń, natomiast uciekający przez las Wenewet wyrwał ją z tulei, żeby nie zawadzała o gałęzie, ale rozsądnie nie wyrzucił; teraz była jak znalazł. Naprawdę mądry i przytomny chłopak.

Żołnierz ucieszył się. Miał dostać do ręki oręż, który świetnie znał. Już nie był bezbronnym ciężarem dla towarzyszy.

Ajan został sam. Leżał i myślał.

Miał tydzień na poznanie tego skrawka lasu, a najbardziej szopy-strażnicy. Pełne szczelin ściany nie pozwalały na skryte podejście z żadnej strony poza jedną: od wschodniej, stajennej części. Wątpił, by tam właśnie przesiadywali Alerowie, skoro w „żołnierskiej izbie” były dość wygodne siedziska, ponadto coś w rodzaju stołu i prycze. Przy świetle dziennym należało podkraść się od wschodu, wpaść do środka, przebiec przez część stajenną... I pozabijać tych sześciu lub siedmiu Alerów. A jeżeli się nie da, to chociaż setnika Rawata.

Leżał, marzył, nasłuchiwał i popatrywał w ciemność. Przynajmniej nie chciało mu się spać.

Potem odnalazł go posykujący w mroku żołnierz.

Noc minęła bez niespodzianek. Ajan przespał się przy wierzchowcach, potem objął ostatnią wartę. Chyba trochę za wcześnie, ale trudno było poznać, jaka jest pora nocy.

Żołnierze dołączyli przed świtem. I też trochę za wcześnie.

Biedak z rozerwaną wargą w ogóle nie mógł mówić, bo gdy spał, twarz mu zdrętwiała, a połowa ust zastygła pod wielkim strupem. Należałoby właściwie ten strup zerwać, jakoś złożyć mięso do kupy... Zszyć byle nicią, albo chociaż spiąć kawałkami drutu. Taka niby niegroźna dla życia, a nawet dla zdrowia rana mogła być utrapieniem do ostatnich dni tego człowieka, bardzo przecież młodego. O braku dwóch zębów, i to nawet bardziej z boku niż z przodu, dało się szybko zapomnieć. O nieszczelnej, zaślinionej, bełkoczącej i do tego paskudnej gębie nie za bardzo.

– Chyba mieli tu coś do szycia, zasłonę z pledów jakoś pozszywali – mruknął Ajan. – Wy, wojacy, zawsze wszystko macie pod ręką. Jak już wyrzniemy srebrnych, to pamiętaj, żeby poszukać. Jak będę miał czym, to ci zaceruję tę gębę, robiłem już takie rzeczy.

– Y-y?

– Ayana ma igłę w kłopotach, ale może być już za późno, bo wszystko ci się pozrasta. Poszukamy tutaj.

– Y!

– Miło nie będzie. Najpierw cię trzasnę w papę, żeby wszystko z powrotem pękło. A potem będziesz płakał jak bóbr, ale za to wyglądał jak człowiek.

Żołnierz nie bardzo nawet umiał się uśmiechnąć, popatrzył więc tylko z wdzięcznością.

– Jak się nazywacie?

Jeden powiedział, drugi wymamrotał.

Wymamrotane było nie wiadomo co, ale ten drugi miał na imię Askar.

– Ten kraj nie przetrwa, nie ma prawa – rzekł niegłośno Jeździec. – Askar. Że też nie zgadłem.

I zobaczył Aktara.

Krył się tylko tyle o ile. Przygarbiony przemykał po łuku, kilkadziesiąt kroków dalej od wartowni, niż leżeli. Już ich widział, machnął ręką i pochylił się bardziej. Dopełził na czworakach. Był zadowolony, ale nie zdziwiony. Nie ranny ani nawet zmęczony.

– Rozglądałem się za wami – powiedział. – Wenew i Ayana?

– Schowani. Na razie bezpieczni.

Przyglądali się sobie.

– Wiedziałem, że jeśli żyjecie, to wróćcie tutaj po mnie i Rawata – wytłumaczył Aktar. – Domyśliłem się, że będziecie obserwować wartownię, więc wiedziałem, gdzie mniej więcej was szukać. Od strony stepu nie, od strony stajni też nie, bo stamtąd nic nie widać.

– Chcemy podejść właśnie od stajni.

– Mądrze. Ty dowodzisz. Siedzisz tu i słyszę, że masz już jakiś plan.

– Wycofajmy się, podejźmiemy od wschodu. Ale najpierw spokojnie pogadajmy.

Na czworakach odpełzli w głąb lasu, potem wstali schyleni, wreszcie mogli się wyprostować.

– Skoczyłem do Rawata, nie zdążyłem – opowiedział Aktar najkrócej jak można. – Wziął zdrowo po łbie, trzymało go już trzech, a dwaj inni pędzili na mnie. Oberwałem strzałą w łydkę. Tylko draśnięcie, nawet niezbyt utykam. Koń dostał w zad, nawet nie wiem kiedy, ale też niegroźnie. Dobrze jeżdżę, więc sobie poradziłem, nie osaczyli mnie. Za wami już nie mogłem, pogałem kawałek w las, a potem na równinę. A tam mrowie, cały ich obóz, ale wszyscy pieszo. Wypadło za mną z lasu paru na wehfetach, ale uciekłem, na otwartym nie nadążyli, a jeszcze

te ich wehfety pogryzły się między sobą. Konie są mądre, a wehfety głupie i zawsze robią, co chcą, Rawat opowiadał. No i rzeczywiście. Wróciłem teraz w nocy, schowałem konia w lesie, wyspałem się. Nie chciałem was szukać po ciemku.

– To prowadź do konia, zbierzemy wszystkie zwierzęta razem. I gdzie oni poszli? No, Alerowie.

– Na zachód wzdłuż lasu, a potem wiadomo. Na południe. Ale srebrni to już mniejszy kłopot, przynajmniej dla nas. W ich obozowisku są złoci. W naszym lesie już chyba też, w nocy słyszałem coś jakby bębny. Wy nie słyszeliście?

– Nie.

– Bębny. Pamiętasz, co mówił Rawat?

– Tak. Opowiadał, że oni tańczą. I właśnie bębnią.

– Bębnią, wasza godność – potwierdził żołnierz Askar. – Słyszałem. Teraz to nie, ale latem przychodziły sfory złotych. A ja służyłem w Córce, dopiero niedawno przenieśli mnie do Armii Rewinu. Odesłali ze stancy na tyły, bo się pochorowałem. Ale wyzdrowiałem, tylko już do Córki nie wróciłem. Ale złotych wcześniej widziałem i słyszałem. I zabijałem też – pochwalił się.

– Gdzie są?

– Na zachód stąd, w głębi lasu – odpowiedział Aktar. – Ale tam dalej, wzdłuż lasu, a potem na południe, poszły chyba za srebrnymi jakieś inne stada.

Nie wyglądało to dobrze.

– Sfory – poprawił żołnierz. – A u srebrnych zgraje. Tak najlepiej mówić, bo od razu wiadomo którzy.

– Odbijmy Rawata. Nie wiadomo, co tu się za chwilę może dzieć. Przyjedzie po niego jakiś oddział srebrnych albo wpadną do lasu złoci. Teraz jest nas czterech na sześciu albo siedmiu.

Przedstawił swój prosty plan. Niczego lepszego nie dało się wymyślić.

– Mogą zabić Rawata.

– No to będzie trupem. Chyba lepiej niż ich jeńcem? Trzy łuki, trzy strzały, wszystkie mają być celne. Zostanie jeden na jednego. My z mieczami, a ty z włócznią. Kiepska broń do walki w chałupie.

Legionista chyba się uśmiechnął i prawie coś powiedział. Brzmiało z grubsza jak „ohisie”.

Być może chciał zapewnić: „Zrobi się”.

Ajan trochę dodawał animuszu sobie i towarzyszom. Trzy strzały, a wszystkie śmiertelne – to byłby jakiś cud, nawet mimo tego, że i on, i Aktar mieli łuki podobne do łuków armektańskiej piechoty, nie jazdy: trochę większe i odpowiednio mocniejsze. Niemniej było prawie całkiem pewne, że zranią, lecz nie zabiją trzech Alerów. Jednego; no, może dwóch.

Ani on, ani Aktar nigdy dotąd nie toczyli walki wręcz ze srebrnymi wojownikami. W ogóle nie mieli doświadczenia.

Ani kolczug.

Odnaleźli konia Aktara i powiedli w stronę pozostałych. Zebrali cały tabunek i poprowadzili między drzewami, dużym łukiem, na wschód od strażnicy. Znalezli dobre miejsce, uwiązali zwierzęta do drzew. Postali, ponasłuchiwali. Las był cichy.

– Chodźmy.

Przychodziło na myśl dziesięć różnych planów: wskoczyć do szopy, strzelić i wybiec, wyciągnąć Alerów za sobą, strzelać dalej... Wszyscy czterej jednak walczyli już o życie, widzieli to i owo. W takiej sytuacji piękne, starannie przemyślane plany zawodziły. W zamyśle wszystko świetnie pasowało. Potem dwóch łuczników wskakiwało do środka, strzelało, zderzało się, wyskakując z powrotem na zewnątrz – i było po pięknym, przemyślanym planie.

Najprostszy, a najlepiej prymitywny, udawał się znacznie częściej.

Lecz nie wykonali go. Alerowie wystawili warty. Niestety, nie wiadomo, jak liczne. Niespodzianka, bo minionego dnia nie wartowali, a w nocy chyba też nie; może czuwał ktoś w środku. Teraz przed wejściem do szopy siedziało na ziemi dwóch, rozmawiali i przepatrywali las. Było bardzo prawdopodobne, że dwaj inni gapią się na równinę. Gdzie byli?

Aktar dużo polował, umiał cicho chodzić po lesie. Prawie na pewno mógł podejść i wykryć tych dwóch na skraju lasu.

A co potem?

W armektańskich sagach doskonali łucznicy wypuszczali niechybne strzały, ugodzeni nimi strażnicy osuwali się bez jęku na ziemię, a wtedy napastnicy cicho jak cienie napadali na uśpiony obóz.

To nie była armektańska saga. Obojętnie, jak śmiertelnie ugodzony, wróg darł się tak, że usłyszano by go w Rewinie. Złapać od tyłu, zakryć dłonią gębę i parę razy wbić nóż, a potem trzymać, aż zadźgany strażnik wyzionie ducha, to niekiedy się udawało. Ale z łuku? Ajan i Aktar przez całe życie nie widzieli nikogo, kto ugodzony strzałą zechciałby umrzeć bezszelestnie; może był taki jeden na dwudziestu, ale tego akurat nie spotkali. Dwaj towarzyszący im żołnierze chyba także nie widzieli dyskretnego trupa.

Może nawet nie czytali sag.

Prawdę mówiąc, wszyscy znali jedną: *Pieśń o jeźdźcach Sar Soa*. Tę, którą bakałarz przynosił do nauki czytania. Aktar trochę się uczył w mieście i przynajmniej wiedział, że są dziesiątki takich opowieści. Znał fragmenty.

– Żadnych cudactw – powiedział Ajan, bo też chyba pomyślał o sagach. – Tylko najprostszy plan. Który z nas najlepiej strzela?

Pytanie było niemądre; mieli urządzić zawody i wyłonić najlepszego strzelca?

A jednak konny łucznik Askar bez wahania powiedział:

– Ja.

Jednocześnie niemowa pokazał palcem: on.

– No... prawie najlepiej w półlegionie – usprawiedliwił się zmieszany żołnierz. – Drugi, czasami trzeci. Wolny dzień w nagrodę to zawsze sobie wystrzelam.

Ajan z miejsca przyjął rzecz do wiadomości.

– Ty lewego, my dwaj prawego. – Wskazał palcem. – A potem zobaczymy, co będzie. Może wyjdą następni i postrzelamy znowu.

– A jeżeli zabiją setnika?

– Będzie trupem – rzekł po raz drugi tego dnia Ajan. – Zabity będzie trupem. Nie zrobimy w ogóle nic, jeśli będziemy się pytać: „A co, jak zabiją setnika?”. Będzie trupem – powiedział jeszcze raz.

Kryjąc się, zatoczyli mały łuk z powrotem. Byli teraz na wprost narożnika szopy. Wybrali dogodne miejsca, wymierzyli.

– Na „już”. Gotowi?

– Tak.

– Już.

Trzy strzały wyprysnęły spomiędzy pni. Jeden Aler oberwał w czoło, drugi w ramię i pierś. Rzucili się obaj, ranny wrzasnął, a ten zabity – o dziwo nie. Ale za to wyrznął łbem w ścianę szopy.

Nie minęła chwila i ze strażnicy wybiegli pozostali Alerowie. Natychmiast zawrócili, ostatni w dziwnym podskoku, bo z trzema strzałami w plecach. Ajan, Aktar i niemowa rzucili łuki i pognali na łeb na szyję. Łucznik też, chociaż wolniej, bo ze strzałą nałożoną na cięciwę. Dwa czarne alerskie pociski wystrzeliły z mrocznego wnętrza, niemowa wrzasnął, rozrywając strupy na obolałych ustach, i gnał dalej ze strzałą w piersi. Skończyło się jak zazwyczaj: kozuch, kolczuga i przeszywanica, nie licząc w ogóle koszuli i mundurowej tuniki

– to było po prostu za dużo dla kamiennego grotu. Wystrzelony z odległości dwudziestu kroków pocisk chyba nawet przebił zbroję, lecz wszedł w ciało najwyżej na grubość palca. Skaleczył, bo nawet nie zranił.

Kamień był łupliwy, lubił pękać. Gdy już wszedł w ciało i co gorsza, uderzył w kość, to była paskudna sprawa. Ale kruszył się na kolczudze, rzadko ją pokonywał.

Wrzeszczący coś w swoim dzikim języku Aler znowu wypadł z szopy, ściskając dzidę – szybkość poruszeń tej istoty robiła duże wrażenie. Jednakże armektańska włócznia była znacznie dłuższa od dzidy, a legionista umiał się posłużyć bronią; szehi w ostatniej chwili zdążył uskoczyć w bok. Z drugiej strony przyskoczył doń Aktar; zaraz odbił mieczem oręż wroga.

Ajan wpadł do szopy i ocalał tylko dlatego, że przeciwnik, który właśnie rzucił łuk, nie zdążył jeszcze skierować ku niemu drugiej broni – skróconej zdobycznej włóczni legionisty, nieco lżejszej od alerskiego oszczepu, ale w zamian zakończonej świetnym grotem. Porwał ją właśnie spod ściany i skoczył. Jeśli oczekiwał, że człowiek spróbuje uniku, to się mocno przeliczył. Jeździec Równin mieczem odbił w bok drzewce i wpadł na wroga całym ciężarem. Grzmotnęli w wątlą ścianę, omal jej nie przełamując. Ajan wypuścił miecz i chwycił włócznię Alera; szamotali się, wyrywając sobie broń. Człowiek był silniejszy – a już szczególnie ten człowiek: wysoki i barczysty, niestary. Szehi nie puścił włóczni, został więc zwyczajnie oderwany od ziemi, gdy mężczyzna szarpnął w bok i obrócił się bez mała wokół osi. Aler zatoczył półkole w powietrzu niczym dziecko bawiące się ze stryjkiem, trzymane przez niego za ręce, po czym wyrznął w ścianę nad pryczą. Kolejne szarpnięcie wydarło mu oręż. Ajan użył włóczni jak kija, smagnął przeciwnika przez łeb, poprawił, przyłożył jeszcze raz. Oszołomiony szehi ryczał i wymachiwał rękami, próbując

pochwycić drzewce. Nawet mu się udało, ale nie zdołał utrzymać, znowu mu je wydarto. Bezlitosny przeciwnik zaraz potem połamał mu ramiona, tłukąc swym kijem zupełnie bez opamiętania, ale za to z siłą, jaką mógłby się wykazać wierzgający koń. Drzewce pękło, został zakończony grotem kawałek o długości przedramienia. Zamachnąwszy się po raz ostatni, Ajan wbił ten grot w sam środek alerskiego łba. Porwał z ziemi swój miecz, przebił kark pełzającego po ziemi Alera z trzema strzałami w plecach – tego, który oberwał w samym wejściu. Wypadł na zewnątrz.

Aktar właśnie dorzynał przebitego żołnierską włócznią wojownika, który stał tylko dlatego, że legionista trzymał go niczym robaka nadzianego na patyk.

Pod zachodnią ścianą wrzasnęła, niewidoczny dla Ajana, kolejny wojownik shehi. Właśnie oberwał, bo ostatni z ludzi wciąż miał w ręku łuk i mądrze osłaniał towarzyszy; był gotów, gdy nadbiegli wartownicy ze skraju lasu. Ajan rzucił się biegiem i zobaczył upolowaną zwierzynę: trafiony w pierś wojownik przysiadł na mięknących nogach. Legionista już znowu napinał cięciwę.

Ostatni przeciwnik strzelił do niego z łuku i nie trafił.

Żołnierz posłał strzałę i też chybił. Haniebnie, bo najwyżej na trzydzieści kroków. Nie wystrzelałby w ten sposób wolnego dnia dla siebie.

Nie istnieli strzelcy doskonali.

Dwaj Jeźdźcy i żołnierz rzucili się z bronią. Ostatni zdolny do walki shehi pognał w las, mknął skokami. Nie było mowy o doścignięciu go, potrzebny byłby koń.

Wystarczyła dobrze wymierzona strzała, puszczone prześwitem między pniami. Tym razem młody żołnierz nie chybił, trafił pędzącego Alera w dół pleców. Jeśli uciekinier miał nerkę w tym miejscu co człowiek, to właśnie ją stracił. Zawył,

zrobił jeszcze pół skoku i przewrócił się. Po swojemu terkotał na ziemi do chwili, gdy przebiła go włócznia nadbiegającego legionisty, a potem dwa miecze Jeźdźców.

Wciąż się ruszał wartownik pod ścianą, trafiony na samym początku; żył także ten upolowany strzałą w pierś, przedostatni z pokonanych. Legioniści dobili obu i zaległa cisza.

Zwycięzcy popatrzyli po sobie. Aktar uniósł zakrwawioną, mocno szarpniętą ostrzem dzidy dłoń, ale to był gest uspokajający – nawet zgiął i rozprostował palce na dowód, że wszystko w porządku, choć mocno się przy tym skrzywił. Lecz to była lewa ręka, niestety. Miecz trzymał rzadko, wodze stale. Przez jakiś czas świetny jeździec miał kiepsko powodować wierzchowcem.

Stękający niemowa wyrwał wciąż sterczącą z piersi strzałę, której koniec uwiązał między rozgiętymi oczkami kolczugi, i też uspokajająco uniósł ją do góry, a następnie odrzucił. Gębę miał zalaną świeżą krwią z rozerwanych na nowo ust.

Słabo związanego Rawata znaleźli w chacie. Miał chyba mocno rozbitą, obwiązaną głowę, ale nie wiadomo, czy uszkodzoną czaszkę. Na wszelki wypadek na razie nie zdejmowali opatrunku, bo i tak niewiele mogli zrobić.

Z setnikiem było bardzo, ale to naprawdę bardzo źle. Atakował go królik w hełmie, a możliwe, że i białe myszy. Telepało go tak, że spadł z pryczy. Po wyjęciu knebla rozdarł się na cały las – Alerowie nie dla zabawy zatkali mu usta szmatą. Ajan i Aktar porwali staruszka i powlekli do koni. Przy kulbakach mieli trochę gorzałki.

Nie tracąc czasu, żołnierze splądrowali strażnicę, biorąc wszystko, co mogło się przydać. Nikt nie umiał powiedzieć, jak długo będą się włóczyć po lasach i stepach.

Pokrwawiony posiadacz włóczni uzbroił się w miecz, znaleziony przy jednym z Alerów, lecz to nie była, niestety, broń

zdobyta dzień wcześniej. Jakieś niemożliwie poszczerbione żelastwo, uniesione przez zagon shehich nie wiadomo kiedy, może i przed półwieczem. Próbowano chyba ostrzyć i wygładzać to na kamieniu, ale z marnym skutkiem. Głownia była trochę szczerbata, a trochę płomienista. Pasowała jednak do pochwy przy pasie, bo Legia Armektańska od dawna używała sprawdzonej broni, zachowując tak niewiele wzorów, jak to tylko możliwe. W ten sposób dobry oręż wrócił do rąk, dla których został wykonany, a szlifiernia w byle garnizonie lub u wioskowego kowala mogła go jeszcze uzdrowić. Ucieszony znaleźnikiem żołnierz – przecież zawsze lepszy rydz niż nic – szukał dalej i znalazł straszliwą płaską igłę, tylko trochę węższą i krótszą od mieczowej głowni (takie sprawiała wrażenie), wyborną chyba do zszywania naderwanych popręgów, ponadto mocną nić. Pamiętał, że Ajan obiecał przywrócić utracone piękno jego twarzy. Przydałoby się, bo warga wisiała mu na brodzie.

Pozbierali wszystkie łuki, odzyskali strzały i ciężko objuczeni pobiegli do koni, dźwigając nieco prowiantu, trzy wory obroku i trochę różnych kłopotów.

Zwierząt było tyle, ile trzeba. Wkrótce stępa zagłębiali się w las, podtrzymując w siodle Rawata, który nie chciał wypuścić z ręki bukłaka z eliksirem.

Jechali po Wenewa i Ayaną.

Po drodze odkryli stos poobdzieranych trupów. Swoich poległych Alerowie zabrali i może gdzieś pochowali; zabitych żołnierzy tylko wywlekli w las, by nie gnili pod zajęętą strażnicą.

Zatrzymali się przy tym strasznym stosie i nasłuchiwali jęków, bo bywało, że niedobity wojownik, uznany za nieżywego, konał potem na poboju albo w pryzmie zwłok...

Poznawali swoich towarzyszy, z którymi całkiem niedawno ścigali się do dębu na równinie. I żołnierzy z Eki, strzegących skraju lasu na rubieżach swojego kraju. Podsetnik Nelet, dziesiątnicy, chłopak z odstającymi uszami – ten od szyszki. Obok świetny jeździec, którego Ayana klepnęła w tyłek po tym, jak przyjechali ramię w ramię.

Nikt nie jęczał, nic się nie ruszało, w żadnym ciele nie odkryli śladu ciepła.

Nie mogli pogrzebać ani spalić zwłok trzydziestu zabitych ludzi. Ruszyli tam, gdzie w jamie pod korzeniami zwałonego drzewa czekało na nich dwoje żywych.

O ile jeszcze aż dwoje.

o o o

Pięciu ludzi i tyleż koni to już była wcale ładna grupka. Szukali największych gąszczy, co w zimowym lesie wcale nie było takie proste. Jeden jeździec mógł się ukryć prawie wszędzie, pięciu niemal nigdzie. Raz i drugi poproszył śnieg z deszczem, ale natychmiast topniał, więc nie zostawiali śladów. To była szczęśliwa okoliczność.

I nie znalazły ich wilki. Przepadły gdzieś, uciekły, bo las opanowały groźniejsze drapieżniki.

Wszędzie wokół rozbrzmiewało bębnienie.

Znowu dopisało im szczęście: natknęli się na dwa złote stwory. Odłączone od gromady, chyba zabląkane. Może próbowały polować? Dwa konie odniosły w tej walce rany, raczej jednak bolesne niż groźne, a jeźdźcy wyszli niemal bez szwanku – mocno potłukł się stary setnik, padający na ziemię razem z koniem, pozostali szybko zakłuli ryczącego wroga. Tylko jednego, bo drugi został unieszkodliwiony w mgnieniu oka: przestraszony wierzchowiec legionisty niemal zabił go

wściekłym wierzgnięciem, ludziom pozostało tylko dobić stwora pełzającego po ziemi z rozłupaną czaszką.

Dowiedzieli się, że gdzieś nieopodal jest wróg.

Żołnierze zapewniali, że złoci nie lubią ciemności, rozsądek nakazywał więc przemieszczać się pod osłoną nocy. Ale mówiono także, że złoci nie lubią lasów... Jaką wartość miała taka wiedza?

Po zmierzchu usłyszeli bębnienie, cicho było tylko na wschodzie. Ruszyli w tamtym kierunku, lecz szybko się okazało, że w lesie, pod zachmurzonym niebem, noc jest czarna jak smoła. Samotny człowiek mógłby wędrować mozolnie, prawie po omacku. Lecz pięciu ludzi wiodących wierzchowce – nie. Zwłaszcza że jeden z tych ludzi był rannym i poobijanym starcem.

Przenocowali i ruszyli za dnia. Znów na wschód, bo jeśli wierzyć dobiegającym w nocy odgłosom, tylko tam nie było wroga.

Na południu i południowym wschodzie był na pewno. Zostali odcięci od dwojga towarzyszy pozostawionych w wykrocie pod zwalonym drzewem. Należało zatoczyć ogromne półkole: na wschód, następnie na południe, odnaleźć strumień i podążać wzdłuż niego z powrotem na zachód.

Po zapadnięciu zmroku znów usłyszeli bębnienie na południu. Jakaś gromada złotych przemieszczała się równo z nimi. Prawdopodobnie sprawił to przypadek, bo gdyby złoci wykryli ich słuchem albo węchem, to już dawno byłoby po wszystkim.

Leśne podchody nie rokowały sukcesu. Zakrawało nieledwie na cud, że grupka ludzi i koni nie została dotąd zwężona. Może w opowieściach o „psich nosach” złotych było więcej legendy niż prawdy? Tak jak w nic niewartych opowieściach, że nie lubią lasów.

Nikt nigdy nie bawił się ze sforą w chowanego; nikt nie wiedział, w jaki sposób to robić. Kiedyś legioniści tropili i ścigali potwory. Przed liczniejszym przeciwnikiem (a bardzo rzadko był liczniejszy) uciekali. Trzydziestu złotych zabłąkanych pod niebem Szerni miało się całkiem nijak do setek, a może tysięcy tutaj. Wydawało się przecież bardzo prawdopodobne, że ściągnęły tu sfory równie liczne, jak te w Okręgach Wschodnich.

Słyszane z bliska bębnienie było raczej stukaniem. Złote Plemiona nie wymyśliły niczego w rodzaju bębnów, a w każdym razie nie nosiły ich ze sobą. Walono patykami lub kijami w pnie drzew, ale jednak była to jakaś... muzyka. Raczej tylko rytm, zmienny, niepokojący, lecz wybijany z naprawdę niezwykłą zręcznością.

Przeczekali kolejną noc i znowu ruszyli na wschód.

Po zmroku rozbrzmiało bębnienie – od północy i od południa.

Następnego dnia zawrócili i to była dobra decyzja. Rzeczywiście nikt o nich nie wiedział, po prostu jakieś sfory przez minione dwa dni przemieszczały się równo z nimi. Tej nocy jeszcze raz słyszeli bębnienie, ale tak odległe, że prawie nieuchwytnie. Daleko, daleko na wschodzie. Oznaczało to, że sfory, nie zmieniając kierunku, poszły dalej.

Rankiem skręcili na południe i odnaleźli rzeczkę. Prawdopodobnie tę, nieopodal której leżało zwalone drzewo.

To rzeczywiście była ich rzeczka. Odszukali drzewo i wykrot, a w wykrocie ślady pobytu dwojga ludzi. I znacznie więcej innych śladów. Pasowały do alerskich nóg i łap.

Nikt nic nie powiedział.

Jeszcze raz zbadali piaszczystą dziurę w ziemi.

– Nie ma trupów, nie ma śladów krwi – krótko powiedział Ajan.

Aktar też był spokojny.

– Ani nawet śladów walki – dorzucił. – Uciekli. Żyją albo nie żyją, ale jeśli zostali zabici, to nie tutaj.

– Twój chłopak ma głowę na karku, ufam mu. Nie tylko zdążył uciec, ale jestem pewien, że jeśli miał trochę czasu, to zostawił nam jakąś wiadomość, jakiś znak. Może wyrył coś gdzieś na korze? Szukajmy.

Znaleźli bardzo szybko. Niemowa wciąż był niemową, raczej mruczał, niż mówił, ale pohukiwać umiał bardzo dobrze. Wskazywał ziemię. Z patyków i szyszek bez wątpienia ułożono napis, potem jednak ktoś po nim przebiegł. Może zwierzę, ale raczej złoty Aler.

– Chyba było pięć liter. Tak, na pewno, popatrzcie. A te dwie...

– Całe. WI.

Aktar wskazał dwie pierwsze rozrzucone litery i to, co zostało z ostatniej.

– Pierwsze dwie nie wiadomo jakie, potem WI... Ta ostatnia to na pewno N. Było: REWIN.

Nie mieli wątpliwości.

– Będą próbowali dotrzeć do Rewinu.

Pięciu mężczyzn popatrzyło po sobie.

– Pieszo? Nie ma mowy, żeby Ayana... Poniósł ją?

– Nawet żaden z nas by jej nie doniósł do Rewinu. Wenewet to zdrowy chłopak, ale...

– Ale jednak tylko chłopak. Czyli dwie możliwości. Albo zdobyli konie...

– Niewielka szansa, chociaż sporo rozbiegło się po lesie, niektóre gnały w tę stronę, co my. Ale jeśli nawet, to zdobyli najwyżej jednego. Dwa to byłby już cud.

– Więc przy dużym, naprawdę dużym szczęściu mają konia. A jeżeli nie, to Wenewet wie równie dobrze jak my, że nie dotrą pieszo do Rewinu. Może wskazał nam tylko kierunek. Może

siedzą w lesie pół dnia drogi stąd i nas wypatrują. Jeśli tak, to możliwe, że znajdziemy jeszcze jakieś nowe znaki. Albo ślady.

– Tak – zgodził się Ajan. – Odpocznijmy chwilę i ruszajmy. Ktoś ma lepszy pomysł?

Nikt nie miał.

Do zmierzchu przemierzyli ładny kawałek drogi, jednak krótszy, niż gdyby po prostu jechali. Wypatrywali, nasłuchiwali. Kluczyli, szukali śladów i znaków.

W nocy nie usłyszeli bębnienia, choćby nawet bardzo odległego, ani żadnych innych podejrzanych dźwięków. Las był zwykłym lasem, zamieszkanym chyba tylko przez zwierzęta; wydawał się nawet bardziej cichy niż zazwyczaj. Następnego dnia, ośmieleni tym spokojem i ciszą, czasem nawet nawoływali.

Przed zmierzchem osiągnęli południowy skraj kniei; dalej rozpościerał się lekko pofałdowany, pusty step. Bardzo daleko majaczył następny bór, widoczny tylko dlatego, że nie padało i trochę się przejaśniło. Na zachodzie spoza chmur przebłyskiwało czasem słońce.

Odmiana pogody oznaczała mniej deszczu, ale niekoniecznie ocieplenie. Równie dobrze mogły nadejść późnozimowe mrozy.

Rozłożyli się na nocny biwak. Ostatni raz całą grupą.

– Nie odjadę stąd bez nich – powiedział Aktar.

– Są w drodze do Rewinu – orzekł Ajan.

– Albo nie. Jedź tam, jedźcie wszyscy. Ja zostanę i będę szukał. Może gdzieś siedzą, a tylko ich nie znaleźliśmy. Przeczesać cały ten las, potem będę szukał w następnym. Zostawcie mi całe żarcie, jakie jeszcze zostało, wytrzymacie dwa dni bez jedzenia. Gnajcie do Rewinu tak szybko, jak się da. Na otwartym uciekniecie i złotym, i srebrnym.

Setnik i żołnierze milczeli. Dwoje zaginionych – to byli ich towarzysze, ale jednak nie rodzina.

A ci dwaj Jeźdźcy Równin szukali najbliższych. Jeden siostrzeńca i siostry. Drugi syna i jego matki.

– Posłuchaj...

– Zostanę, powiedziałem – rzekł Aktar.

– Nie. Ja zostanę i będę ich szukał, braciszku. Starszy braciszku – podkreślił. – Jestem młodszy, silniejszy i nawet niedraśnięty, mam lepszego konia i równie dobry powód, żeby zostać. Nawet lepszy, bo obiecałem twojemu synowi, że po niego wrócę. A z twoją ręką niedobrze, jeśli zostaniesz w tym przeklętym lesie, to kto wie czy się z nią nie pożegnasz. W Rewinie będzie gorąca woda, wywary z gojących ziółek, medycy i wszystko co trzeba, a rękę owiniesz i nie będziesz używał. Wenewet i Ayana mogą siedzieć w jakiejś kryjówce albo równie dobrze być w drodze do Rewinu, we dwoje na jednym koniu.

– Uważasz, że...

– Nie wiadomo, który z nas ich znajdzie, tak samo mogą być tu, jak i tam. Ale za to wiadomo, który powinien jechać do Rewinu. Starszy i ranny.

– Setniku – odezwał się łucznik Askar.

Starzec uniósł głowę. Wciąż nosił opatrunek, bo rzeczywiście oberwał naprawdę mocno. Alerski oszczep niemal zdarł mu skalp, choć na szczęście nie naruszył kości czaszki. Przez chwilę spoglądał na legionistę i jakimś cudem odgadł, co znaczyło „setniku”.

– Pozwalam, żołnierzu – powiedział.

– Tak, panie – rzekł legionista – Wasza godność, mój koń jest pokaleczony, a oprócz dartańczyka to jest najlepsze zwierzę – zwrócił się do Aktara, wskazując wierzchowca Ayany. – Oddasz mi je? Zostaniemy tutaj we dwóch, jego godność Ajan i ja.

Zwykły żołnierz nie śmiałyby się kiedyś wtrącić do rozmowy. Ale w małej grupce zdanych na siebie mężczyzn wiele spraw

wyglądało inaczej. Prosty konny łucznik znał swoje miejsce, zarazem jednak czuł i rozumiał, że jest nie tylko podkomendnym, ale i po prostu towarzyszem pozostałych.

– Chcesz zostać ze mną, Askarze? – upewnił się Ajan.

– Tak, panie. Setnik pozwolił.

Ajan spojrzał Aktarowi w oczy.

– Jedź do Rewinu. Jeszcze raz ci mówię: nie wiemy, czy trzeba ich szukać w tym lesie, bo może raczej powinniśmy gonić w stepie. Tu i tam mogą potrzebować pomocy. Zdrowi zostają tutaj, a ranni do fortecy. Skoro musimy się rozdzielić, to po prostu zróbmy to mądrze. Już nie powiem, że na tych dwóch koniach mamy większe szanse przetrwać tutaj, niż wy trzej dojechać na gorszych i pokaleczonych do Rewinu. Wcale nie wiadomo, kto ma trudniejsze zadanie.

Aktar milczał. Wiedział jednak, że jego towarzysz ma słuszość, a co więcej, naprawdę niełatwo było ocenić, gdzie są Wenewet i Ayana. Że w drodze do twierdzy, wydawało się nawet bardziej prawdopodobne. Czy naprawdę drzemali gdzieś w tym lesie, nie nasłuchując i nie wypatrując towarzyszy?

A jeżeli gdzieś pod drzewem leżały ich trupy, to było obojętne, kto je znajdzie.

– Dobrze – powiedział. – Tak, to rzeczywiście najmądrzejsze, co możemy zrobić, i wszystkim daje największe szanse. Także Ayanie i... Jak długo chcecie ich szukać?

Ajan nie od razu odpowiedział.

– Jeśli nie znajdziesz ich w Rewinie, to przecież wiem, że tam nie wysiedzisz – rzekł na koniec. – Za osiem dni szukaj nas tu, na skraju lasu. A jeżeli będą w Rewinie...

Nie dokończył.

Aktar uśmiechnął się.

– A jeżeli będą w Rewinie, to tak samo tu po was przyjadę.

ROZDZIAŁ 12



Armia Rewinu szykowała się do odwrotu. Zamysł był słuszny. Niemniej każdy, kto chciał zniszczyć morale wojska, winien zaczynać właśnie od tego: odwrotu bez nawiązania walki z wrogiem.

Zgromadzono kilka tysięcy żołnierzy i powiedziano im, że będą bronić kraju. Następnie kazano odmaszerować na pierwszą wieś o wojskach przeciwnika, bez bodaj najmniejszej próby powstrzymania ich.

Uciekali.

Pod Rewinem zjawili się już chłopscy uchodźcy i nieliczni żołnierze z przygranicznych placówek. Tak jak w okręgach Toru, także tutaj najlepiej radziła sobie jazda. Z oblężonych, a następnie zdobytych stanic nikt nie wynosił głowy. Udawało się to niektórym wysłanym w pole oddziałom, czasem jeźdźcom z jakiegoś rutynowego patrolu, którzy już nie mogli się przebić i schronić w stancy, a tym bardziej – we trójkę – przybyć jej z odsieczą.

Przymaszerowała tylko jedna dziesiątka piechoty, będąca stałym garnizonem dużej umocnionej wioski; ci żołnierze wyprowadzili wszystkich jej mieszkańców. Dowodzący dziesiątnik, ostrzeżony przez stanicznych jeźdźców, uzyskał pewne i wyczerpujące wieści o wielotysięcznych zagonach, po czym podjął bardzo mądrą, jak najbardziej słuszną decyzję. Powzięta w porę, pozwoliła uratować wszystkich ludzi i niemal cały dobytek, wywieziony na wozach i grzbietach zwierząt.

Zabrano żywy inwentarz, wszystkie narzędzia, wiele sprzętów, zapasy, a nawet dodatkowy przydziewek i pościel. Nikt nie zginął, stracono tylko domy i przyszłe plony – o ile dało się tutaj użyć słowa „tylko”.

Ludzie jednak byli bezpieczni, choć czekała ich dalsza tułaczka, bo Rewin przecież wzniesiono jako wojskową budowlę, nie przytułek. Surowy zamek i przylegające doń służebne miasteczko w żaden sposób nie mogły przyjąć i otoczyć opieką setek, a już wkrótce tysięcy bezdomnych ludzi, spośród których znaczną liczbę stanowiły dzieci; schronienie się w twierdzy to zawsze była ostateczność. Kierowano chłopów do Miejskiego Okręgu Trzech Portów. Dla tych obarczonych dobytkiem i przychówkiem ludzi oznaczało to dwutygodniową podróż zimą, na szczęście przez coraz gęściej zaludniony kraj, gdzie mogli liczyć na taką lub inną pomoc.

Wciąż nie było mrozów ani śniegu, w zamian mżawki i deszcze dawały się we znaki. Wyrwani ze swych suchych i ogrzanych izb, teraz stale moknący wieśniacy smarkali i pokasływali, niektórzy gorączkowali. Wielu starców mogło nie przeżyć tej drogi.

Każdy jednak, kto dotarł do Rewinu, miał prawo się cieszyć. Inni chłopci tyle szczęścia (albo równie często: rozumu) nie mieli. Wszyscy, którzy wybrali przeczekanie, „bo jakoś to będzie”, bardzo szybko pożegnali się z nadzieją.

Każdy oddziałek jeźdźców przywoził gorsze wieści. Najpierw meldowano o stanicach i kilku napadniętych wioskach, potem o kolejnych, jeszcze później o wyrzynaniu napadniętych w drodze grup uciekinierów. W oczyszczonych wsiach rozgościli się Alerowie niebędący wojownikami. Zbrojne grupy na wehfetach i piesze zapuszczały się coraz dalej, metodycznie oczyszczając i zajmując kraj.

Srebrne Plemiona szykowały sobie nowe miejsce do życia. Wszystko na to wskazywało.

o o o

Trwała wojna i wojskowe odprawy były codziennością. Rzadko jednak miały taki przebieg jak ta, którą właśnie zwołano w Rewinie.

– Nie wykonam TEGO ROZKAZU!

Mocno rozdzielając słowa, powtórzyła po raz trzeci, tak głośno i dobitnie, żeby wreszcie dotarło do każdego.

Nadtyśnięcznik Owen nie wiedział, co ma zrobić.

Jego podkomendna, najsłynniejsza dowódczyni Szereru, wyższa od niego gwardyjską rangą, która powinna być wzorem i przykładem dla każdego, sprzeciwiała się tak otwarcie i wprost, że właściwie... powinien to uznać za wojskowy bunt i natychmiast odebrać jej dowództwo. To nie był poufny sprzeciw, zakwestionowanie rozkazów gdzieś w prywatnej kwaterze po służbie, gdy przełożony mógł następnie udawać, że niczego nie słyszał. To była odprawa najwyższych oficerów.

Trwała wojna. Sytuacja, w której każdy dowódca legionu robi, co mu się podoba, uznaje rozkazy albo nie, wdraża własne wojenne plany, nie mogła zostać zaakceptowana.

Siedzieli przy wielkim stole w Sali Odpraw: u szczytu on sam – dowódca Okręgów Zachodnich; po bokach komendant twierdzy oraz zastępujący Aroneta tymczasowy dowódca Armii Rewinu i dowódcy czterech legionów. Najściślejsze grono, bo nie było nawet zastępców i najwyższych urzędników wojskowych, takich jak główny intendent albo płatnik. Najwęższe grono, siedem osób. Lecz o pięć osób za szerokie, bo ta rozmowa powinna się odbyć najwyżej w cztery oczy.

I odbyła się, Agatra zaś uczciwie go ostrzegła. Ale co znaczy: uczciwie ostrzegła?... Wojsko! To było wojsko, rozmowa dowódcy z podkomendną, nie małżeńska kłótnia o to, kto miał przypilnować dzieciaków.

Tej babie przewróciło się we łbie i tak wyglądała prawda. Odrębne zdanie, spór na radzie wojennej, zażądanie powtórzenia rozkazu... Dobrze. Ale tutaj, przy tym stole, otwarcie buntowała się – wobec trzech innych! – dowódczyni gwardyjskiego legionu. Co z nią? Miała uderzenia gorąca? Bo na bolesne krwawienie miesięczne... no, to już chyba nie te lata.

Prawdę mówiąc, na uderzenia gorąca też było trochę za późno.

Ledwie się powstrzymał od powiedzenia jej tego. Już, już miał zacząć od: „Co z tobą?”...

Miała rację, miała dużo racji. Ale tylko z pewnego punktu widzenia. Czterolegionowa Armia Rewinu potrafiłaby nieźle zaleźć Alerom za skórę, pogonić ich, a na pewno osadzić w miejscu, skłonić do ostrożności. Samym swoim istnieniem mogła osłonić ucieczkę chłopów, dać czas, uratować niejedno ludzkie życie. I nawet nie dać się rozbić.

Jednakże kilka dni temu Owen, a także inni dowódcy od rangi komendanta legionu włącznie otrzymali list od głównodowodzącego wszystkimi siłami imperium. Ramez nie musiał się tłumaczyć z wydanych rozkazów, ale posłuszny starej armektańskiej szkole wojny, która kładła nacisk na zrozumienie, nie zaś ślepe wykonywanie rozkazów, zrobił to. Przedstawił swoje racje i wynikłe z nich plany, a nawet podzielił się wiedzą, której podlegli mu dowódcy mieć nie mogli.

Srebrni Alerowie nie potrafią ocenić – pisał w załączonym do rozkazów liście – jakimi siłami dysponuje Legia Armektańska. W Wielkiej Wojnie Granicznej mieli do czynienia z wojskami,

które nigdy nie przekroczyły półtora tysiąca żołnierzy w jednym miejscu i czasie, była to bitwa pod Alkawą. W drugim okresie wojny nasze kilkutysięczne siły walczyły już tylko ze Złotym Plemieniem. Srebrne Plemię tych wojsk nie widziało. Oceniam, że tereny Północnej Granicy są pustoszone przez wroga, który nie przewiduje oporu ze strony liczących się sił, a nawet więcej: uważa, że wystawienie takiego wojska przekracza możliwości całego świata ludzi. Dowódcy Srebrnych Plemion nie wiedzą, jak duży jest Szerer. Sądzą, że nie większy od ich ziem, w swoim mniemaniu zajęli więc niemal ćwiartkę naszego świata, podczas gdy drugą ćwiartkę okupują złoci.

Było to zdumiewające i zaskakujące spostrzeżenie, zarazem zaś oczywista prawda od chwili, gdy ktoś pokazał ją palcem. Srebrni Alerowie mogli nie wiedzieć nawet o istnieniu Toru i Rewinu! Mówiło się o jakimś zagonie, który doszedł kiedyś pod Rinę, ale jeśli nawet tak było, to ów zagon mógł tam dotrzeć, nie odkrywając po drodze Toru. Nikt przecież nie wiedział, którędy i w jaki sposób, za dnia czy tylko nocami, przekradali się wojownicy na wehfetach.

Dalej w liście głównodowodzący krótko tłumaczył, że utrzymanie Alerów w niewiedzy nie da im powodu do scalenia sił, lecz raczej przeciwnie, skłoni do rozproszenia, pozwoli wciągnąć w głąb terytorium. Te rozproszone siły będzie można zaskoczyć i wyniszczyć częściami w błyskawicznej kontrofensywie. Przedwczesne zdradzenie, czym naprawdę dysponuje Armekt, może uczynić wojnę przewlekłą i w ostatecznym rachunku o wiele bardziej kosztowną.

Żelazna Agatra w ogóle nie brała tych argumentów pod uwagę. Czy chociaż przeczytała ten list?

– Tysięczniczko...

Przerwała mu. Nie miał pojęcia, w jaki sposób ta szorstka chłopka – bo pozostała nią przez całe życie – dotarła na sam szczyt wojskowej hierarchii. Nie rozumiała, co to dyscyplina, rozkaz, ani nawet autorytet przełożonych. Choć w ciemno przyjąłby zakład, że od swoich podkomendnych wymagała respektowania każdej z tych rzeczy.

– Nie odchodzić BEZ WALKI – wyskandowała z tym samym naciskiem, co wcześniej. – Aronet na wschodzie pokazał, co mogą dwa legiony jeźdźców. Sformujmy tylko jeden. Tysiąc jeźdźców nie skłoni srebrnych do zmiany zdania na temat naszych możliwości. Może nawet utwierdzi ich w błędzie. Silne, ale stanowczo za słabe do wygrania wojny zgrupowanie, to będzie wyglądało na ostatecznie, wyskrobane z samego dna odwody. Jednak spowolnimy ich, zdradzając istnienie tego wojska, zmusimy do słania rozpoznań, ubezpieczeń. Rewin i tak zaraz odkryją i jeśli Księżę Małzonek ma rację, to uznają go za stolicę świata.

Czyli jednak czytała list.

– Kilka kolumn lekkiej piechoty niech wyjdzie uchodźcom naprzeciw. Większość sił Alerów to piesi wojownicy, nasi wieśniacy wyrzynani są teraz przez zagony na wehfetach, niezbyt liczne, czasem śmiesznie małe, po kilkudziesięciu jeźdźców. Stu piechurów zdoła się obronić. A jeżeli któraś kolumna przepadnie, to trudno. Żołnierski los.

Słyszał już te argumenty, lecz nie przekonały go.

– Pokażemy chłopom, ale przede wszystkim żołnierzom, że walczyliśmy. Nie każdy zna i rozumie plany naczelnego dowództwa. Mają rzucić wszystko i uciekać z bronią pod pachą. Co innego, jeśli wycofają się w walce. Oni! Skoro walczy kolumna z ich legionu, to znaczy, że walczy legion. To znaczy, że walczy armia. Jego wysokość Ramez nie dowodził nigdy w polu, jest strategiem, może bardzo dobrym! – ciągnęła podniesionym

głosem. – Ale żołnierze to nie są rysowane na mapie półlegiony, kolumny ani kliny, tylko ludzie!

Owen nie wiedział, jak to przerwać. Tysięczniczka naprawdę nie umiała przestać. Zaraz mogła wobec zapatrzonych w jej sławę oficerów wytrzeć podłogę naczelnym dowództwem wszystkich sił imperium.

Na szczęście nie wytarła.

– Aronet zdołał kiedyś odtworzyć Armię Wschodnią, bo ta armia cofała się w walce. Nie uciekała. Wszystko jedno, kto dowodził strażą tylną. Ważne, że ta straż istniała i biła się każdego dnia, dostawała w dupę, wchłaniała szczątkowe uzupełnienia i znowu się biła. Żołnierze w punktach zbornych formowali nowe kliny i mówili jeden drugiemu: walczymy! My! Ariergarda Armii Wschodniej, czyli Armia Wschodnia. Czyli my!

Poruszył się jeden z dowódców „czerwonych” legionów.

– Nadtysięczniku – powiedział.

Owen przyzwalająco skinął głową i zaraz pożałował, bo należało raczej natychmiast przerwać tę dyskusję.

– Byłem tam – powiedział tysięcznik. – W stopniu nadsetnika dowodziłem półlegionem, z którego zostało osiemdziesięciu żołnierzy. Ja... Tak było, wasza godność. Uciekaliśmy najszybciej jak się dało, ale na każdym postoju mówiłem żołnierzom właśnie to: „Walczymy”. Trzy dni później miałem pod bronią odtworzony półlegion złożony z trzech rozbitych.

Owen zdał sobie sprawę, że za chwilę wojskowa odprawa przemieni się w zakończony głosowaniem wiec.

– Tysięczniczko – powiedział – o ile mi wiadomo, proponowano ci awans i objęcie komendy nad Armią Rewinu, albo nawet dowództwo Okręgów Zachodnich. Siedziałybyś wówczas na moim miejscu. Dlaczego odmówiłaś?

Pozwolił, by pytanie przez chwilę wisiało w powietrzu.

– Zgłaszasz wojskową propozycję niezgodną z planami twoich przełożonych. – Ujął to najogólniej jak potrafił, bo nie „propozycja”, tylko „bunt”; nie „plany”, a „rozkazy”. – Mogłaś siedzieć na moim miejscu i nie zgłaszać propozycji, tylko ogłaszać swoją wolę, w wojskowym języku nazywamy to wydawaniem rozkazów. Dlaczego nie chciałaś? Mogę wziąć pod uwagę to, co powiedziałaś, ale mam prawo wiedzieć, kto mówi. Czy świetna dowódczyni legionu, która jednak uznała, że dowodzenie armiami przekracza jej umiejętności i zdolności?

Pozwolił jej nie odpowiedzieć. Bo spodziewał się, że nie odpowie.

Dobrze zgadł, nie odpowiedziała.

– Wymarsz jutro według ustalonego porządku. To wszystko – powiedział i wstał.

Dowódcy też wstali.

Dowódczyni nie.

Owen poczekał, aż wyjdą, i przemówił pierwszy, bo bardzo tego pilnował. Wiedział, że dla dobra obojga nie może pozwolić, by otworzyła usta.

– Wstań i wyjdź, to rozkaz – powiedział po prostu. – Wypowiesz jedno słowo i zdejmę cię z dowodzenia. Teraz.

Na stole leżało kilka czystych kart i przybory do pisania. Usiadł i ujął pióro.

Patrzyli sobie w oczy.

– Odeślę cię do Kirlanu jeszcze dziś, zameldujesz się u jego cesarskiej wysokości – dodał. – Wyjdź albo tak zrobię, chociaż bardzo nie chcę.

Patrzył wyczekująco.

Naprawdę był gotów to zrobić. Odebrać dowodzenie komendantce najlepszemu legionu imperium. Mogła opuścić tę salę już jako tysięczniczka bez przydziału. Zdegradować jej raczej nie mógł, lecz zdjąć z dowodzenia – tak.

Wstała, po wojskowemu skinęła głową i wyszła.

Owen odetchnął głęboko.

Cokolwiek myślał o tej głupiej babie (bo głupiej bez dwóch zdań; nie wiedziała nic o niczym, nadawała się wyłącznie na wojowniczkę i za żadne skarby świata nie skosztowałaby ugruchmolonego przez nią racucha), miała sporo racji. Zamierzał podjąć ograniczone działania. Nie tak szerokie, o jakich mówiła. Ale jednak widział pewne możliwości.

Rewin obsadzono stałą załogą. Niezbyt liczną, bo przy znikomych możliwościach oblężniczych wroga duża liczba żołnierzy byłaby raczej zawadą. Ludzie musieli jeść i pić, a należało się liczyć z przyjęciem w mury twierdzy wszystkich mieszkańców podgrodzia i nie wiadomo ilu uchodźców (słyszał już, co się działo w przepełnionym Torze). Dowódca twierdzy miał jednak silny forteczny półlegion, do tego drugi łuczników, wzmocnione wysokoetatową – dwie półsetki i klin – odwodowo-rozpoznawczą kolumną jazdy. W miasteczku stały ponadto dwa samodzielne kliny konne, a jeszcze dwa razy tyle mógł zlepić z przybywającej stanicznej jazdy. Razem: całkiem silny półlegion jeźdźców. Zamierzał użyć tych sił.

Lecz oddziały Armii Rewinu miały odejść do Rameza wszystkie i w komplecie. Nie sądził, by te cztery legiony, w tym gwardyjski i dwa doświadczone, doborowe, naprawdę miały się rozpaść po pierwszym odwrocie bez walki. Obniżenie nastrojów żołnierzy, marudzenie i sarkanie w szeregach, tylko tyle. Drugi i trzeci taki odwrót, to tak; to już mogło być niebezpieczne.

Uważał, że w Kirlanie trafnie oceniono sytuację. Należało w końcu zebrać siły, które mogły nie obawiać się niczego lub prawie niczego.

Agatra naprawdę nie nadawała się na dowódczynię czegoś większego niż legion. Wiedziała o tym i to trzeba było zapisać

na jej korzyść. Przy pierwszej okazji zapomniała – to z kolei po stronie wad.

Była świetną dowódczynią i nie chciał jej tracić, ale nie mógł też pozwolić na niesubordynację.

Czekała go teraz przeprawa z dowódcą Rewinu. Chciał mu przecież odebrać całą jazdę. Nie wspomniał o tym na odprawie, bo wolał półprywatnie. Znali się od dawna i bez mała przyjaźnili, lecz żaden dowódca nie lubił, gdy zabierano mu żołnierzy. Jakikolwiek przebieg miała mieć ta rozmowa, lepiej było ją odbyć w cztery oczy. A już na pewno poza zasięgiem uszu mądrej tysięczniczki Agatry.

Nikt nie miał doświadczenia w prowadzeniu takiej wojny. Od razu – bo właśnie teraz – wyszły na jaw błędy w planowaniu. Twierdza to nie tylko schronienie; to także punkt wypadowy i oparcie dla działających w polu oddziałów. Rewin powinien być zdolny nie tylko do obrony, ale i do ataku. Tu należało trzymać co najmniej cztery kolumny jazdy, nie jedną. Półlegion i silną rezerwę. Niewielkie wojsko, zdolne jednak do zdecydowanych uderzeń na średniej wielkości oddziały nieprzyjaciela. Alerowie powinni pilnować Rewinu nie dla zabawy, lecz ze strachu przed penetracją swego zaplecza przez groźną szybką formację.

Naprawdę trochę już w Armieckie zapomniano, do czego służą twierdze.

Następnego dnia karne kolumny Armii Rewinu kolejno formowały szyk marszowy i ruszały na południowy zachód, drogą do Okręgu Trzech Portów. Oglądali ten wymarsz mieszkańcy przyfortecznej osady i liczni uchodźcy z przygranicznych wiosek. Wychodzili na progi domów, wyglądali przez okna, stawali na murach niskiego zamku oraz przy kiepskim gościńcu, który od stuleci nie był używany tak często, jak przez kilka ostatnich miesięcy. Potężne mury

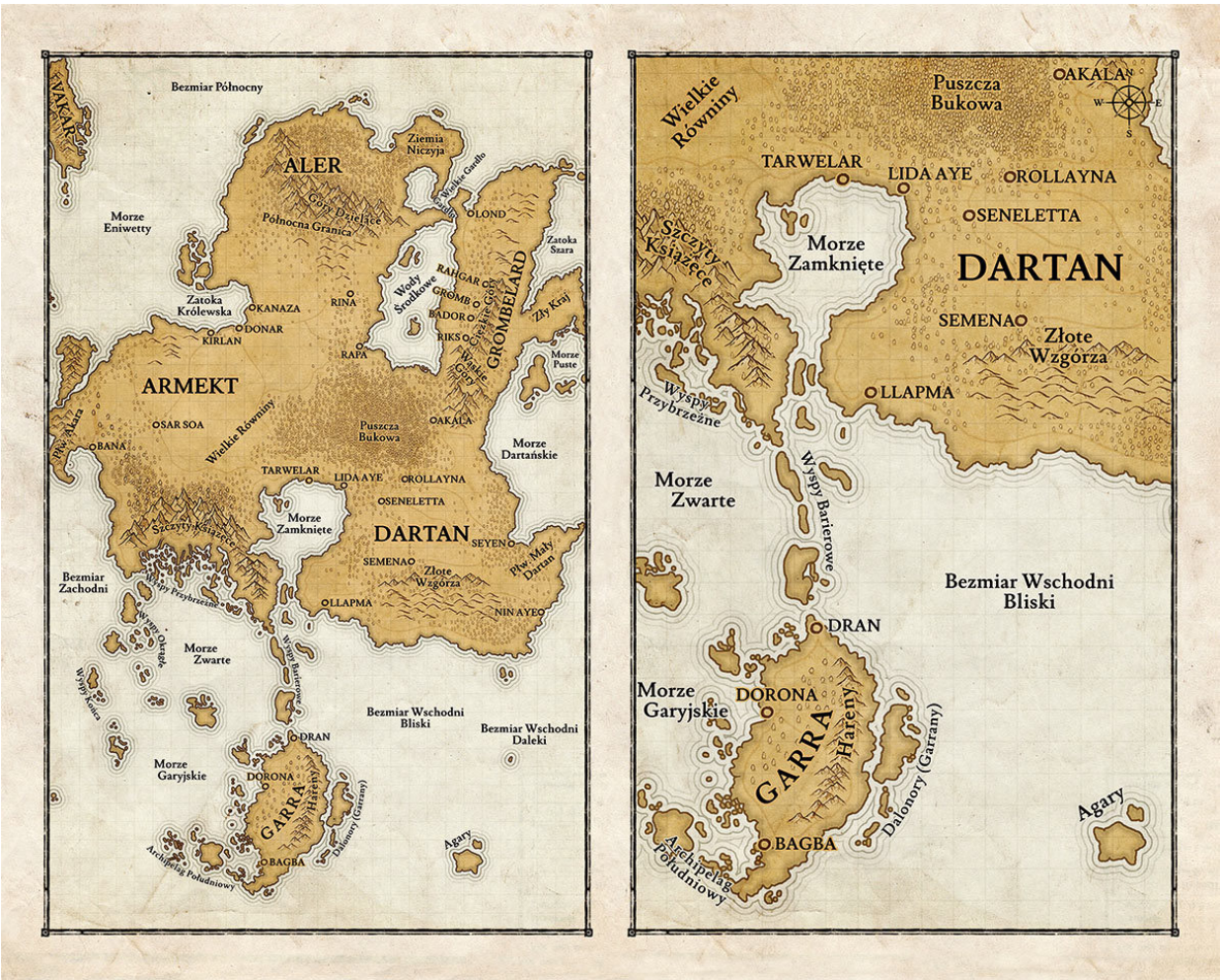
twierdzy obsadzone przez dobry garnizon zapewniały tym ludziom bezpieczeństwo; w razie konieczności mieli gdzie się schronić.

Ale wojsko ich opuściło.

Koniec









HELLO NIPPON, MY OLD FRIEND

Jesteś brudny, zły i pełen niebezpieczeństw, ale każdy wyrzutek stanie w twojej obronie. Ponowna wizyta w Nipponie uświadomiła mi, że od dawna tęskniłam za tym światem.

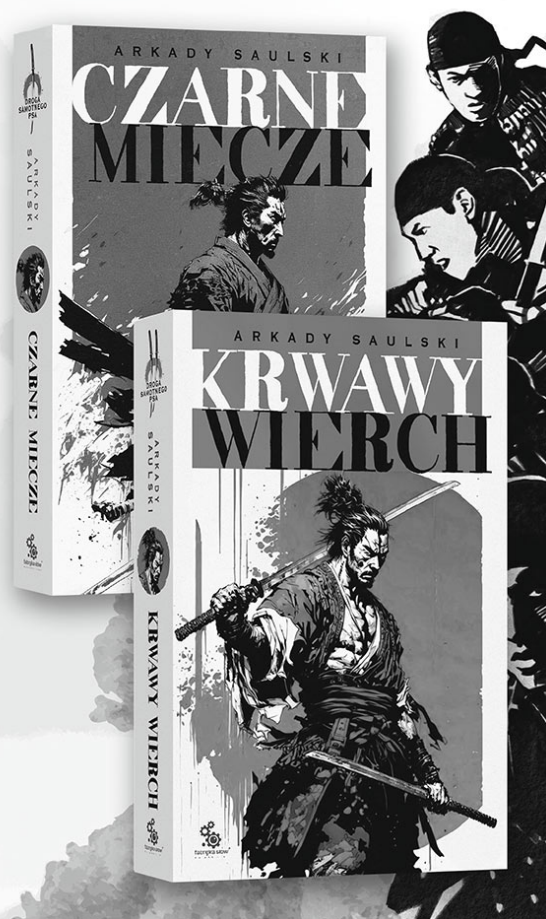
Polecam, Agu @kupie_przeczytam_pozniej

Arkady Saulski znowu porywa do świata przypominającego historyczną Japonię i ubiera go w to wszystko, co kochamy w dobrym fantasy. Wspaniała przygoda!

Piotr Mąka @the.booking

W głowie każdego toczy się walka. Jakie demony mogą podbić umysł samego Ducha? Jakie rany poniesie w tym starciu? Czarne miecze to wyśmienity obraz największego wroga jaki może stanąć nam na drodze - nas samych.

Adrian Bruździak @podczytany



COPYRIGHT © BY Feliks W. Kres
COPYRIGHT © BY Fabryka Słów sp. z o.o., 2024

WYDANIE I
ISBN 978-83-67949-23-1

Wszelkie prawa zastrzeżone
All rights reserved

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

PROJEKT I ADIUSTACJA AUTORSKA WYDANIA
Eryk Górski, Robert Łakuta

GRAFIKA NA OKŁADCE
Sergey Shikin

PROJEKT OKŁADKI
Szymon Wójciak

ILUSTRACJE
Przemysław Truściński

MAPA
Paweł Zaręba

REDAKCJA
Dorota Pacyńska

KOREKTA
Agnieszka Pawlikowska

SKŁAD WERSJI ELEKTRONICZNEJ
pan@drewnianyrower.com

SPRZEDAŻ INTERNETOWA



swiatksiazki.pl



Zamówienia hurtowe
Dressler Dublin sp. z o.o.

ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. (+ 48 22) 733 50 31/32
www.dressler.com.pl
e-mail: dystrybucja@dressler.com.pl



WYDAWNICTWO
Fabryka Słów sp. z o.o.
ul. Poznańska 91
05-850 Ożarów Mazowiecki
www.fabrykaslow.com.pl
e-mail: biuro@fabrykaslow.com.pl
www.facebook.com/fabryka

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

FELIKS W.

KRES

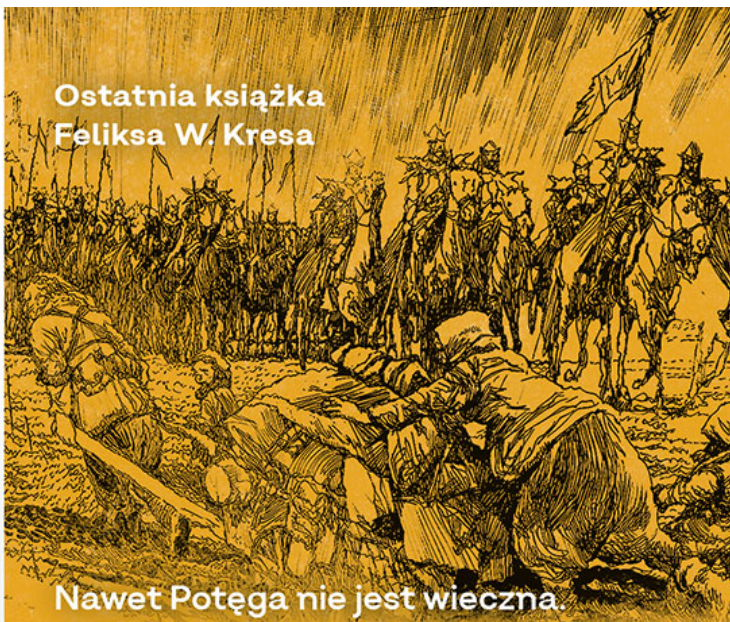
SZERŃ

I SZERER

ZIMA PRZED

BURZĄ

Ostatnia książka
Feliksa W. Kresa



Nawet Potęga nie jest wieczna.

Wciąż żyją ludzie, którzy przed półwieczem widzieli ostatnią bitwę Szerni z Alerem. Bitwę, jak sądzili, zwycięską. Dziś dawna Potęga, nie unicestwiona, a jedynie uśpiona, zaczyna pożerać własny świat i własne dzieci.

Alerowie tysiącami przekraczają Północną Granicę i zalewają Armekt, broniony resztkami wojsk ocalałych z wojny między dwiema najpotężniejszymi kobietami świata. Teraz to one, te, które w listach nazywają się siostrami, będą musiały odłożyć na bok dumę i nienawiść i wspólnie stawić czoła zagrożeniu, jakiego nie widział jeszcze świat pod niebem Szerni.

Gdy dwie władczynie ślą listy, gdzieś daleko na północy, wśród mroku i śniegu, rozpoczyna się rozpaczliwa, uświęcona rzeź. Rzeź, po której nic już nie będzie takie samo.

FELIKS
KRES
.PL

II

KSIĘGA
CAŁOŚCI



ISBN 978-83-7964-868-9



9 788379 648689

69,90 zł*

* cena zawiera 5% VAT



fabrykaslow.com.pl

patroni
medialni:



FANTASTYKA I KOSMOS Z CIEM...